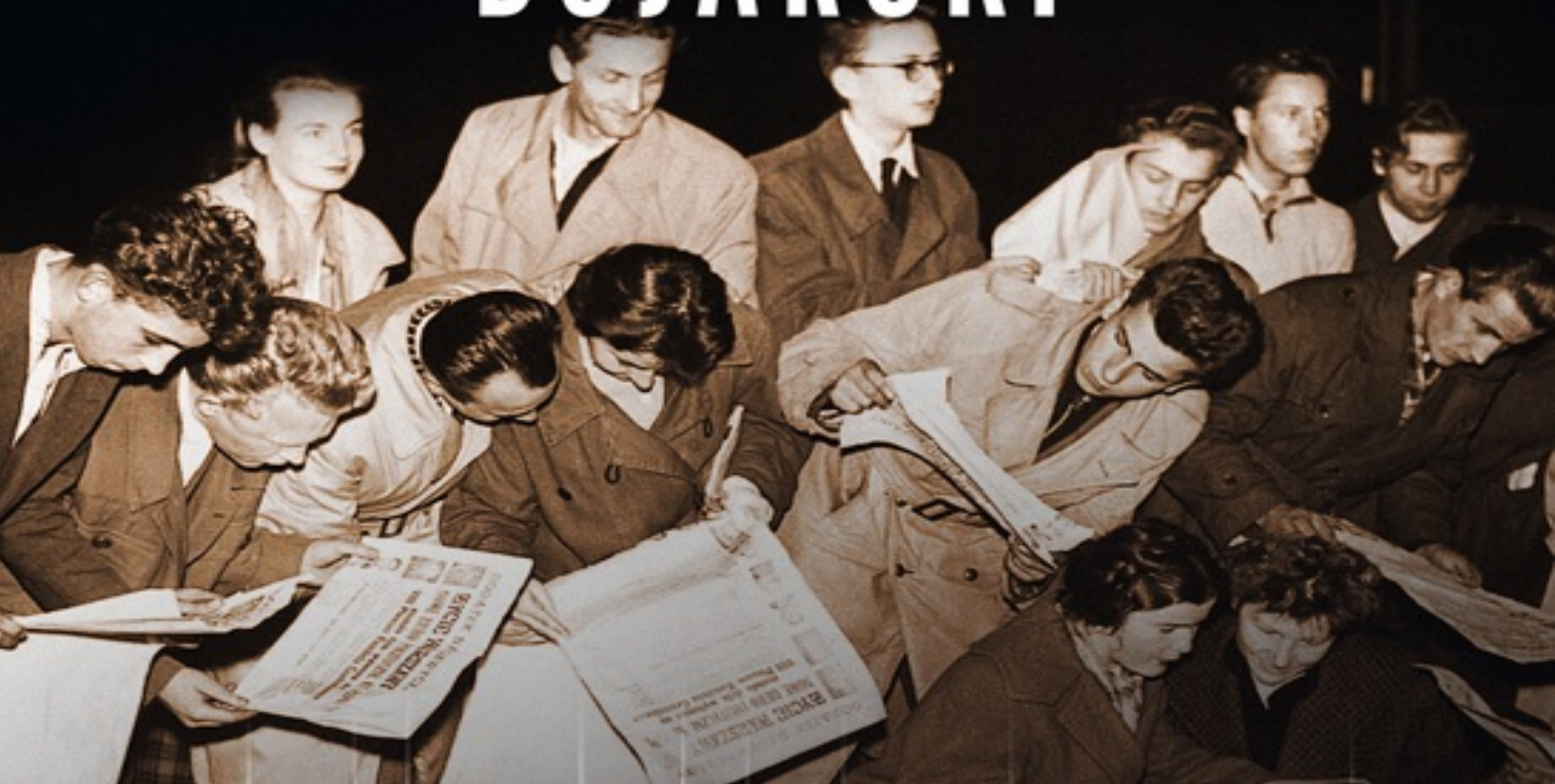


P I O T R
B O J A R S K I



PRZEBUDZENI



P I O T R
BOJARSKI



PRZEBUDZENI



Redakcja: **Robert Siewiorek**

Konsultacja merytoryczna: **Piotr Osęka**

Korekta: **Danuta Sabała**

Fotoedytor: **Rafał Szczepankowski**

Projekt graficzny okładki, makiety, skład i przygotowanie zdjęć do druku: **Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl**

Źródła zdjęć (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki):

okładka – **Wojciech Kondracki/PAP, Tadeusz Rolke/Agencja Gazeta, Muzeum Poznańskiego Czerwca, AN/PAP, Tadeusz Sumiński/East News, Łukasz Cynalewski/Agencja Gazeta (tył);** środek – Agencja Gazeta: **Tadeusz Rolke** s. 4-5, 421, 422, 432, **Jacek Marczewski** s. 105, 109, 282, 341, 406, **Łukasz Cynalewski** s. 66, 73, 150 (górne), 152, **Adam Kozak** s. 27, 115, **Tymon Markowski** s. 378, 381, **Bartosz Bobkowski** s. 20, **Albert Zawada** s. 34, **Jarosław Kubalski** s. 247; East News: **Polfilm** s. 24, 37, **Melchior Wańkowicz/Muzeum Literatury** s. 94, **Lucjan Fogiel** s. 111, **archiwum Marka Hłaski** s. 112, **Wojciech Łaski** s. 173, **archiwum Z. i K. Komedów** s. 250, 264, 269, **Stanisław Wydzga** s. 254, **Artur Starewicz** s. 294, **Laski Diffusion** s. 313, **Arpad Hazafi/AP** s. 353, **AP** s. 356, **AFP** s. 360; **PAP:** s. 137, 208, 288, **Zygmunt Wdowiński** s. 78, 127, **Stanisław Dąbrowiecki** s. 96, **Wojciech Kondracki** s. 306, **Tadeusz Kubiak** s. 325; **NAC:** 194, 198, 211, 226, **Stanisław Porębski** s. 316; **Forum:** **Władysław Sławny** s. 88, 140, **Wojciech Plewiński** s. 429; **Fotonova:** **Andrzej Zborski** s. 259; **Getty Images:** **Ullstein Bild** s. 365; **Muzeum Poznańskiego Czerwca:** s. 6-7, 157, 166, 238; **IPN:** 178, 220, 385, 386, 388; **Studio Filmowe „Kadr”:** **Ryszard Golc** s. 31, 43, **Archiwum Prywatne: P. Bojarskiego** s. 8, 56, **K. Szymańskiego** s. 60, **H. Karonia** s. 150 (dolne), **A. Banasiak** s. 154, 183, **J. Nowaka-Jeziorańskiego** (dzięki uprzejmości M. Chojeckiego) s. 193, **rodziny Celtów** s. 202, **A. Krzeczunowicza** s. 212, **R. Strzeleckiego-Gomułki** s. 284, **E. i B. Liszewskich** (fot. Stefan Kowalski) s. 349, 350.



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska

Redaktor naczelny: Paweł Goźliński

Koordinacja projektu: Katarzyna Kubicka

© copyright by Agora SA 2016

© copyright by Piotr Bojarski 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2016

ISBN: 978-83-268-2396-1



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz,

czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej





Spis treści

Dokąd jedziecie?

Styczeń 1956

Wyjście z kanału

Luty 1956

Zaplute karty wracają do życia

Marzec 1956

Literaci jedzą żabę

Kwiecień 1956

„Po Prostu” prawdą po oczach

Maj 1956

Rebelianci

Czerwiec 1956

Radio wolnych ludzi

Lipiec 1956

Zabić ubowca!

Sierpień 1956

Był jazz i krawaty w „girlsy”

Wrzesień 1956

„Wiesław”, towarzysz z odchyleniem

Październik 1956

Z Węgier przywiozłam męża

Listopad 1956

Bydgoszcz miała listopad

Grudzień 1956

Widziałeś, jak mi Hłasko dał w zęby?

Podziękowania

Najważniejsze wydarzenia polityczne 1956 roku w Polsce

Bibliografia

Indeks



Mojej żonie, naszym rodzicom



Aleksander Bojarski w październiku 1956 r. miał 12 lat. Idąc do szkoły, widział ciągnące w stronę Leszna sowieckie czołgi. Kolumna była długa, chłopcu wydawało się, że nie ma końca

Dokąd jedziecie?

Od dzieciństwa prześladował mnie czołg wjeżdżający w kino.

Czołg był sowiecki, a kino nazywało się Hel i było jedną z niewielu atrakcji w mojej rodzinnej Wschowie, mieścinie w Lubuskiem, na Ziemiach Odzyskanych.

Lubił o tym opowiadać mój ojciec. Czołg miał nie wyrobić na zakręcie i zahaczyć lufą o kino w 1956 roku. Widziało to całe miasto, choć każdy inaczej i kiedy indziej. Według jednej z wersji miało się to zdarzyć w czerwcu, gdy Sowieci spieszyli się w stronę zbuntowanego Poznania. Druga wersja głosiła, że w październiku – gdy jechali na Warszawę.

– Jak było naprawdę? – zapytałem ojca w październiku 2015 roku.

To było pytanie podchwytliwe: właśnie zdobyłem mapę Polski, na której czerwonymi strzałkami zaznaczono ruchy sowieckich kolumn pancernych w październiku 1956 roku. Jedna z nich zmierzała w stronę stolicy z poligonu w Bornem-Sulinowie na Pomorzu. Druga biegła do Warszawy z poligonu w Żaganiu.

Podejrzywałem, że to kolumna czołgów zaznaczona drugą strzałką, przeprawiając się przez Odrę po moście w Głogowie, przejechała także przez Wschowę.

– To, że czołg uszkodził kino, to chyba jednak legenda – pokiwał głową ojciec. Ale na pewno kolumna zniszczyła krawężniki i ponemiecki bruk na ulicach. Potem trzeba to było naprawiać.

Na pewno to był październik, bo 12-letni Olek Bojarski właśnie zaczął nową szkołę. Uczeń siódmej klasy, który latem 1956 roku przeprowadził się z rodzicami i rodzeństwem spod Mogilna do Wschowy, dopiero poznawał drogę z domu przy ulicy Herbergera do Szkoły Podstawowej nr 2.

Tego jesienno-go dnia jego szkolną trasą od wczesnego ranka ciągnęły w stronę Leszna sowieckie czołgi. Kolumna była długa, chłopcu wydawało się, że nie ma końca.

Sześćdziesiąt lat później ojciec nie ma wątpliwości: – To musiała być cała dywizja pancerna. Czołgi jechały przez ponemiecki most nad torami

kolejowymi i ulicą Głogowską – przez Rynek – skierowały się ku Lesznu.

Czołgi były z gwiazdami. Brudne, ubłocone.

Ludzie krzyczeli do Rosjan: – Dokąd jedziecie?

A oni odpowiadali: – Na zapadniego Giermanca!

Jechali tak przez Wschowę „na zachodniego Niemca” cały dzień, aż do wieczora.

Sprawdziłem. To musiał być 19 października. Tego dnia o godzinie siódmej rano na warszawskim lotnisku Okęcie wylądowała delegacja radziecka z Nikitą Chruszczowem i marszałkiem Iwanem Koniewem, naczelnym dowódcą Układu Warszawskiego na czele. Wściekły Chruszczow po wyjściu z samolotu groził pięścią Edwardowi Ochabowi, szefowi „bratniej” Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, bo polscy towarzysze odważyli się bez konsultacji z kierownictwem KPZR dokooptować do władz partii Władysława Gomułkę, dotychczas odsuniętego za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”.

Jednak sowieckie czołgi, które miały być elementem nacisku na Polaków, nie dojechały do Warszawy. 20 października stanęły w okolicy Kutna i Łodzi, a później musiały się wycofać do baz. Towarzysz Chruszczow uznał, że rewolucji w Polsce nie ma. A jeśli nawet się wydarzyła, to Gomułka przekonał go po długich rozmowach, że zaraz się skończy.

Powrotu czołgów przez Wschowę ojciec już nie pamięta. Być może zresztą wrócili do Żagania i Bolesławca inną drogą.

Zapadł mu głęboko w pamięć ten pierwszy przejazd. Może dlatego, że żaden Polak – nie tylko we Wschowie – nie wierzył, że Sowieci jadą na Niemców. Jechali na przebudzoną Warszawę.

Gdy kierownictwo KPZR odleciało do Moskwy, było już pewne: odwilż została obroniona. W atmosferze tej krótkiej, limitowanej wolności dorastał i studiował we Wrocławiu mój ojciec. Jak miliony młodych ludzi z jego pokolenia. Rozczarowanie Gomułką, a potem szok grudnia 1970 roku przeżyli już jako dorośli.

Choć rok 1956 zaczął się srogą zimą, która sparaliżowała kraj, zakończył się euforyczną jesienią w Warszawie.

Odwilż miała rozmrozić Polskę. Zanim jeszcze na ulice Poznania wyszli

zbuntowani robotnicy, wiosną z więzień wychodzić zaczęły tysiące żołnierzy Armii Krajowej i innych organizacji podziemnych, tysiące zapomnianych i zniszczonych bohaterów wojny. W gazetach upominać się o ich losy zaczęli – z reguły partyjni – dziennikarze. W sierpniu podnosząca się wciąż z ruin Warszawa po raz pierwszy czciła pamięć powstańców, a Andrzej Wajda kręcił *Kanał* – pierwszy film fabularny, w którym pokazano żołnierzy AK i dramat powstania.

Na ulicach, dotychczas szarych, zrobiło się kolorowo za sprawą zbuntowanej młodzieży – bikiniarzy. Ich barwne skarpetki i krawaty ozdobione postaciami nagich „girlsów” były znakiem, że idzie nowe.

Ożywczego ducha niósł ze sobą jazz, jeszcze niedawno zepchnięty przez władze i zetempowców do podziemia. Latem 1956 roku do Sopotu zjechało kilkadziesiąt tysięcy fanów, by wysłuchać pierwszego krajowego festiwalu jazzowego. Ekspłodowało życie teatralne i kabaretowe, uwolnione z gorsetu ideologii. Ze stalinowskiej nocy przebudzili się też pisarze. Wielu z nich biło się w piersi.

Polacy wreszcie poczuli się wolni – a przynajmniej bardziej wolni niż dotychczas. Rozpadał się stary aparat przemocy, przed sądem stanęli najbardziej znienawidzeni oficerowie byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W listopadzie 1956 roku tłum mieszkańców Bydgoszczy zniszczył urządzenia zagłuszające Radio Wolna Europa i inne zachodnie rozgłośnie.

Upadał stary, represyjny system spod znaku Stalina i Bieruta, ale nikt jeszcze nie wiedział, na ile lepszy i trwały będzie ten nowy, kojarzony z Gomułką. System zwany polską drogą do socjalizmu albo socjalizmem z ludzką twarzą.

Styczeń 1956

PARTIA UCZY: NIE UPAJAJ SIĘ

Z przemówienia noworocznego I sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruta transmitowanego przez Polskie Radio:

„Drodzy rodacy i przyjaciele! Wszyscy obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej!

Pragnę złożyć Wam serdeczne życzenia noworoczne w imieniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i władz naszego ludowego państwa. Życzenia te przekazuję również serdecznie Polakom rozsianym na obczyźnie. Niechaj wiedzą, że całym sercem jesteśmy z nimi, a ci, którzy pragną szybkiego powrotu, będą w kraju przywitani jak bracia. (...)

Podsumowujemy dziś wyniki ostatniego roku wielkiego planu 6-letniego. Któż nie pamięta, z jakim niedowierzaniem wielu ludzi przyjmowało wówczas, przed 6 laty, zdawałoby się niewykonalne zadania. A jednak polskie masy pracujące mają dziś prawo stwierdzić z zasłużoną dumą: oto wykonaliśmy chlubnie i pomyślnie jedno z najtrudniejszych zadań, jakie wysunęła przed 6 laty nasza Partia – przekształciliśmy Polskę Ludową w kraj wielkiego przemysłu, utorowaliśmy naszej Ojczyźnie drogę do dalszego rozwoju, uczyniliśmy ją wielokrotnie silniejszą, niż była za czasów kapitalizmu. Jest to wielkie zwycięstwo całego naszego narodu.

Partia nas uczy, aby nie upajać się zwycięstwami: mamy przed sobą dalsze nie mniej odpowiedzialne i ważne zadania. (...) Przede wszystkim zaś musimy znacznie podnieść produkcję naszego rolnictwa jako niezbędną warunek szybszego wzrostu stopy życiowej mas, zdajemy sobie bowiem sprawę, że wielu ludzi ma jeszcze niełatwe warunki życia (...).”

„Zielony Sztandar”, 8 stycznia 1956

TELEWIZJA Z PAŁACU

W pierwszej połowie roku telewizja polska otrzyma nową stację w Pałacu Kultury (...).

Na 27. piętrze Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie rozpoczęto montaż telewizyjnej aparatury nadawczej. Skomplikowane te urządzenia dostarczane całkowicie przez ZSRR składają się z dwóch nadajników: jednego do przekazywania obrazów, drugiego – dźwięku. Rozpoczęcie montażu tej aparatury – to dalszy krok na drodze do realizacji Uchwały Rządu z ub.r. w sprawie rozbudowy naszej telewizji. Uchwała ta przewiduje urządzenie w Pałacu nadawczej stacji telewizyjnej. Zgodnie z Uchwałą Rządu, telewizja w PKiN uruchomiona będzie już w pierwszej połowie br.

Zasięg nadawania programu telewizyjnego powiększy się z 30 km, tj. obrębu Wielkiej Warszawy, do koła o promieniu 65 km. Aparatura nowej stacji telenadawczej w poważnym stopniu pozwoli także na podniesienie na wyższy poziom odbioru obrazu telewizyjnego, a przede wszystkim na polepszenie jego ostrości i wyrazistości na ekranie. (...) Jeszcze w pierwszej połowie br. otrzymamy ze Związku Radzieckiego specjalny wóz teletransmisyjny, przy pomocy którego nadawać będziemy mogli cotygodniowe aktualności telewizyjne z zawodów i igrzysk sportowych, imprez artystycznych, manifestacji ulicznych itp.

„Trybuna Ludu”, 11 stycznia 1956

ZAKAZANE METODY UBOWCÓW

Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy rozpatrzył sprawę pięciu b. funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, oskarżonych o to, że w ubiegłych latach dopuścili się nadużycia władzy, które polegało na stosowaniu zakazanych przez prawo metod na śledztwie. Sąd w wyniku rozprawy, w oparciu o zeznania świadków i wyjaśnienia oskarżonych, którzy przyznali się do zarzucanych im czynów, uznał ich winę i skazał: Jana Kieresa [Kierasa] – na 9 lat więzienia, Józefa Duszę – na 5 lat, Jerzego Kaskiewicza – na 4 lata, Jerzego Kędziorę – na 3 lata, Jana Misiurskiego na 2 lata więzienia.

„Zielony Sztandar”, 15 stycznia 1956

WIĘCEJ ŚWIATŁA!

Centralny Zarząd Elektryfikacji Rolnictwa opracował już projekt planu elektryfikacji wsi w planie 5-letnim. W myśl wstępnych założeń tego planu w latach 1956–1960 zamierza się zelektryfikować ok. 8200 wsi, tj. ponad 500 tys. zagród wiejskich, ok. 1500 PGR, prawie wszystkie niepodłączone do sieci elektrycznej POM oraz wiele innych obiektów na wsi (...). Jak się oblicza, w wyniku realizacji tych zamierzeń ponad 60 proc. wsi w całym kraju będzie korzystało w r. 1960 ze światła elektrycznego, a w niektórych województwach, zwłaszcza w zachodnich, już wszystkie wsie.

„Zielony Sztandar”, 22 stycznia 1956

MARCZEWSKI I INNI HEROSI

Stalinogród. W dniu 20 bm. załoga kopalni „Stalin” podjęła pierwsze w planie pięcioletnim zobowiązanie produkcyjne, mające zabezpieczyć wykonanie i przekroczenie zadań planowych I kwartału br. Górnicy kopalni „Stalin” złożyli dotychczas 450 wniosków zmierzających do poprawy organizacji pracy, z czego 150 zastosowano już w produkcji.

Realizacja dalszych wniosków oraz zobowiązań, podjętych przez górników zatrudnionych bezpośrednio przy wydobywaniu, pracowników transportu dołowego, wydziału podsadzki, wentylacji i innych wydziałów, pozwoli wydobyć kopalni 11.500 ton węgla ponad plan kwartalny. M.in. brygada ścianowa Bolesława Marczewskiego postanowiła wydobyć w I kwartale 760 ton węgla dodatkowo.

„Trybuna Ludu”, 22 stycznia 1956

TYLKO ŻONY NIE CHCĄ NALEŻEĆ

U nas w Tyńcu Małym (pow. Wrocław) wszyscy należą do spółdzielni produkcyjnej. Na 600 ha ziemi gospodaruje 80 członków. 33 jest ZSL-owcami. Jest również organizacja PZPR, jest ZMP, są też bezpartyjni. Mamy również Ochotniczą Straż Pożarną, której komendantem jest Stanisław Gargała. Organizacja ta jest aktywna. Zuchy chłopaki, nie dają się pobić

w zawodach, zawsze zdobywają niepoślednie miejsca. Urządzili zabawę i za dochód zakupili sobie piękne mundury, teraz przy jakichkolwiek występach wyglądają jak lale.

Nie możemy tylko dogadać się z naszymi żonami, te nie zdradzają chęci należeć do organizacji. Jest niby u nas Liga Kobiet, ale tylko na papierze.

Nadeszła zima, jest teraz więcej czasu, będziemy mogli więcej czytać, zbierać się, trzeba, aby i nasze kobiety żyły społecznie (...).

Ludwik Szydełko, Tyniec Mały, pow. Wrocław.

List do redakcji, „Zielony Sztandar”, 22 stycznia 1956

DEFILADA W CZARNYCH WIATRÓWKACH

Z głośników rozbrzmiewa stara góralska pieśń z tych okolic w wykonaniu chóru strzelców „Alpini”, a za chwilę rozpoczyna się barwna defilada. (...) Maszerują Holendrzy i tuż za nimi liczna grupa Polaków. Flagę polską niesie wielokrotny mistrz i reprezentant naszego kraju w biegach narciarskich Tadeusz Kwapien. Za nim trójkami cała ponad 60-osobowa ekipa polska. Nasi reprezentanci ubrani są w czarne wiatrówki i czarne spodnie narciarskie, a na wiatrówkach na lewym rękawie godło państwowe z pięcioma kołami olimpijskimi.

„Trybuna Ludu”, 28 stycznia 1956

BEKONY PONAD PLAN, CZYLI DOBRZE GOSPODARUJĄ

W naszym powiecie Wąbrzeźno wielu chłopów zasługuje na miano przodowników. Dobrze gospodarują, przed terminem i z nadwyżkami wywiązują się ze swoich obowiązków wobec państwa. Oto kilka przykładów:

Z gromady Osieczek

Helena Macikowska, gospodarująca na 5 ha ziemi, rokrocznie odstawia kilkanaście bekonów ponad plan. W 1955 roku odstawiła ona 31 bekonów ponad plan. (...)

W gromadzie Łabędź

Małorolny Stanisław Kmiecik (ze wsi Katarzynki), posiadający

gospodarstwo wielkości 2,10 ha, odstawił zboże z nadwyżką. Ponad plan odstawił 4 bekony.

Średniorolny Tylmanowski, mimo że ma ziemię piaszczystą i liczną rodzinę na utrzymaniu, wywiązuje się zawsze ze wszystkich obowiązków w terminie i odstawił 6 bekonów ponad plan.

Marian Kostrzewa, Wąbrzeźno, woj. bydgoskie.

„Zielony Sztandar”, 29 stycznia 1956

PIERWSZA TAKA ARMIA NIEMCÓW

Z przemówienia premiera Józefa Cyrankiewicza:

„Zbieramy się dziś w stolicy bratniego kraju – Czechosłowacji, by omówić sprawy wynikające z podpisanego przez nas w Warszawie 14 maja 1955 r. układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej. (...) W obliczu zbrojeń Niemiec zachodnich oraz wobec nieustającej fali odwetowych gróźb – jednym z doniosłych zadań jest dalsze wzmocnienie w narodzie niemieckim tych sił, które pragną pokoju i gotowe są go bronić. (...) Do sił zbrojnych uczestników Układu Warszawskiego przybywa obecnie Narodowa Armia Ludowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest to pierwsza w historii armia niemiecka związana z bogatą w rewolucyjne tradycje niemiecką klasą robotniczą i z prawdziwie pokojowymi i demokratycznymi siłami Niemiec”

„Trybuna Ludu”, 29 stycznia 1956

Wyjście z kanału

W tym kanale umarły moje młodzieńcze złudzenia – powiedział w jednym z wywiadów Jerzy Stefan Stawiński, pseudonim „Łącki”, żołnierz powstania, porucznik AK.

Chodziło o kanał, do którego Stawiński, dowódca kompanii łączności pułku AK „Basztka” 26 września 1944 roku o godzinie dwudziestej drugiej wprowadził siedemdziesięciu ludzi. Właz był przy ulicy Szustra 6, obok ulicy Puławskiej, na Mokotowie.

W południe następnego dnia przez właz w Alejach Ujazdowskich u wylotu Wilczej z kanału wyszła szóstka ocalałych.

Stawiński opisuje tę historię w listopadzie 1955 roku. Ukazuje się drukiem w marcu 1956 roku w „Twórczości”. Opowiadaniem zachwyca się Tadeusz Konwicki, pisarz i kierownik literacki zespołu filmowego Kadr. Widzi w nim film.

Nike

W kwietniu 1956 roku, na mocy amnestii, z więzień wychodzą tysiące byłych żołnierzy AK.

Tygodnik „Po Prostu” żąda ich rehabilitacji, warszawiacy po raz pierwszy od wojny głośno dopominają się uznania zasług tych, którzy walczyli w Niemcami podczas powstania 1944 roku.

30 lipca 1956 roku Stołeczna Rada Narodowa uchwala: powstanie pomnik Bohaterów Warszawy poświęcony „pamięci żołnierzy Gwardii i Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, oddziałów RPPS oraz innych patriotycznych organizacji zbrojnych, bojowników Getta, żołnierzy Wojska Polskiego z 1939 i 1945 roku i żołnierzy Armii Radzieckiej”. Ta długa lista to wytrych: wśród wielu bohaterów łatwiej zmieścić tych dotychczas szykanowanych. Może władze odpuszczą?

Władze PRL pomnikowi się nie sprzeciwiają.

1 sierpnia 1956 roku, w 12. rocznicę wybuchu powstania, Warszawa po raz pierwszy od końca wojny czci nie tylko Armię Ludową, ale i Armię Krajową.

U zbiegu Pięknej i alei Stalina (dzisiejszych Alej Ujazdowskich) pojawia się tablica poświęcona żołnierzom AK, którzy zlikwidowali tu kata Warszawy Franza Kutscherę, hitlerowskiego generała policji.

Na Powązkach po raz pierwszy odbywają się oficjalne uroczystości ku czci powstańców. W Teatrze Narodowym na koncercie w hołdzie powstańcom pojawiają się nawet przedstawiciele partii.

Na rozpisany w lutym 1957 roku konkurs na pomnik Bohaterów Warszawy wpłynęło aż sto dziewięćdziesiąt sześć propozycji z kraju i zagranicy. Zwycięski projekt wyłoni jednak dopiero ponowny konkurs w 1959 roku – najlepsza ze stu sześciu prac jest Nike Warszawy rzeźbiarza Mariana Koniecznego i architektów Zagremmy i Adama Koniecznych. Społeczny Komitet Budowy Pomnika zbiera ogromną sumę ponad 7 milionów złotych. Zbiórce i samej idei pomnika patronuje „Życie Warszawy”.

Nike stanie w końcu na placu Teatralnym w lipcu 1964 roku.

Munk rezygnuje, Wajda przejmuje

Przełom 1955 i 1956 roku. Andrzej Wajda, 29-letni wówczas reżyser, absolwent Szkoły Filmowej w Łodzi, ma już na koncie fabularny debiut pełnometrażowy – i pierwsze kłopoty z partyjnymi decydentami. W *Pokoleniu* pokazał losy żołnierzy Gwardii Ludowej w walce z niemieckimi okupantami nie tak, jak chciała partia. Za dużo klęsk, za mało sukcesów. – Miała być młoda Gwardia, rwąca się do walki i zwyciężająca Niemców, a tymczasem ja pokazałem, jak to wyglądało w rzeczywistości – wspomina.

W przeddzień dziewięćdziesiątych urodzin Wajdy siedzimy przy herbacie i ciastkach w jego żoliborskim domu. Reżyser skończył właśnie zdjęcia do kolejnego filmu – *Powidoków*, lecz my z każdym słowem cofamy się ku tamtym dniom sprzed sześćdziesięciu lat.

Jesień 1955 roku. Wajda, syn przedwojennego oficera (rozstrzelanego przez

NKWD w 1940 roku w Charkowie), a w czasie wojny nastoletni łącznik AK, szuka nowego tematu. Wie tylko, że ma to być film o II wojnie światowej.

Gdy Konwicki przyniesie mu scenariusz Stawińskiego, bez żalu porzuca własne projekty.

Andrzej Munk, reżyser słynnej *Pasażerki*, też myślał o kręceniu filmu według noweli Stawińskiego. Ale zrezygnował, gdy zszedł do kanałów.

„Tłumaczył mi: »Słuchaj, co jest najważniejsze w kanale? Oczywiście ciemności. Jak zaświecimy światło na planie, to już nie będzie ciemno. Miniemy się z prawdą. Druga rzecz to straszny zapach. Jak go oddać w filmie?«” – wspominał Janusz Morgenstern, któremu Munk zaproponował asystenturę przy *Kanale*.

Morgenstern był wściekły. Munk go nie przekonał: „Uznałem te argumenty za niewystarczające. Kino opiera się przecież na pewnej umowności, której nie chciał uznać Munk, dokumentalista. A to jest jeden z najlepszych tekstów napisanych dla kina w ogóle. Do dzisiaj tak twierdzę”.

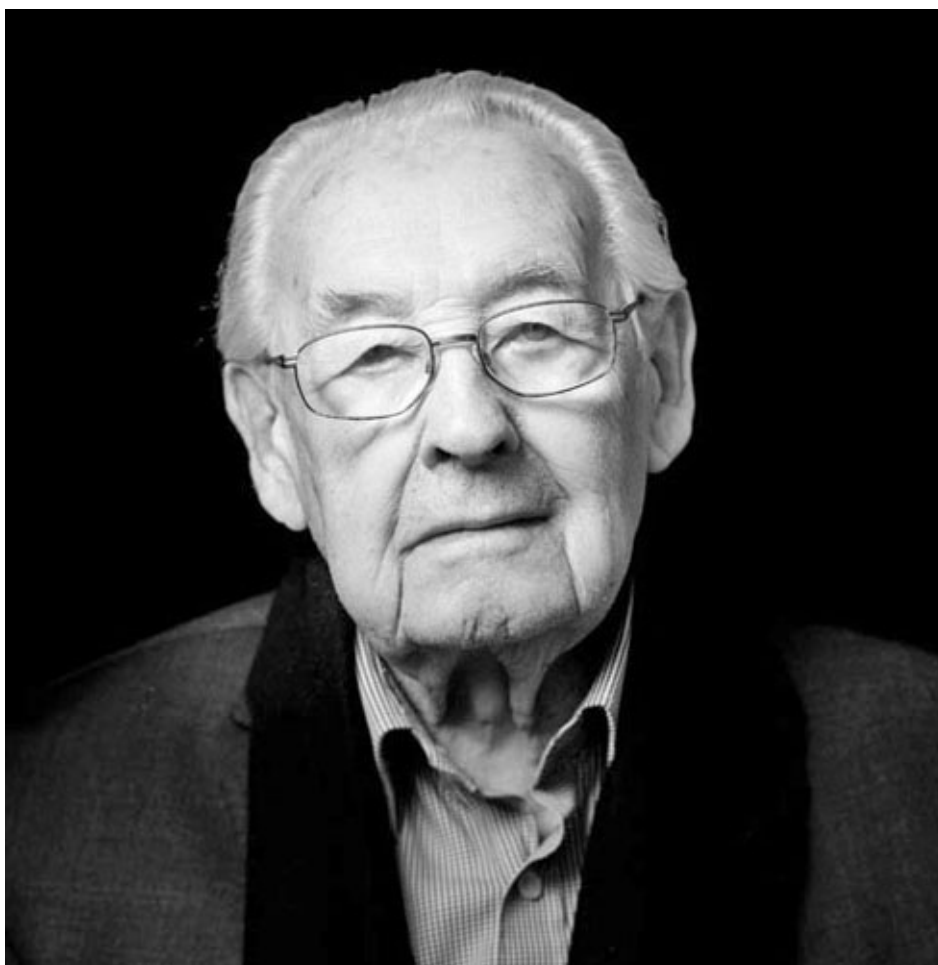
Wajda nie zastanawiał się ani chwili, czy kanały są ciemne, czy jasne. Chciał nakręcić ten film.

Opowieść zachwyca go autentycznością. Wie, że aby film był dobry, musi dochować wierności Stawińskiemu, który przeżył to, co „Zadra”, główny bohater noweli. Wajda nigdy tego by nie wymyślił, w powstaniu nie walczył; latem 1944 roku ukrywał się przed Niemcami w Krakowie.

W lipcu 1955 już wiedział, że film zacznie się od komentarza: „Oto kompania, bohaterowie naszego opowiadania – wszyscy nie żyją”.

Po latach wspominał: „To było wtedy zaskakujące i odkrywcze – w kinie czeka się przecież na jakąś niespodziankę, chce się zobaczyć, co się zdarzy. A tu od razu mówią, co będzie na końcu”.

Akcja filmu rozpoczyna się 25 września 1944 roku. Następnego dnia grupa powstańców podejmuje próbę przedostania się kanałami z Mokotowa do Śródmieścia. Przeżyje ją tylko dowódca kompanii.



Andrzej Wajda szukał w 1955 roku nowego tematu na film. Gdy Konwicki przyniósł mu scenariusz Stawińskiego, bez żalu porzucił własne projekty

O krok od włazu

Wajda i Stawiński zabierają się ostro do roboty. 24 stycznia 1956 roku scenariusz trafia na posiedzenie specjalnej komisji ocen, która opiniuje przygotowywane produkcje.

Zrządzeniem losu komisja obraduje kilka kroków od włazu kanałowego na ul. Puławskiej, do którego w 1944 roku schodził ze swoją kompanią porucznik Stawiński.

Na czele komisji stoi Leonard Borkowicz, przewodniczący Centralnego Urzędu Kinematografii, a wcześniej pierwszy wojewoda Polski Ludowej w Szczecinie. W 1949 roku musiał zrezygnować z tego stanowiska pod presją stalinowców, bo do odbudowy ziem zachodnich wciągał również środowiska

dalekie od partii.

Borkowicz ma wątpliwości, podobnie jak Ludwik Starski, scenarzysta z przedwojenną praktyką, który ostrzega: – Przez półtorej godziny pokazywanie ludzi w kanałach, to będzie nie do zniesienia!

Wielkim zwolennikiem scenariusza Stawińskiego jest Jerzy Zarzycki, reżyser i były akowiec, choć i on ma wątpliwości: – Przecież nie robimy filmów po to, żeby ludzie dostawali szoków nerwowych.

Ale Jerzy Kawalerowicz, Tadeusz Konwicki i Andrzej Wajda bronią projektu. Czują, że przyszedł czas na taki film. – Wartość tego scenariusza polega na ludzkim dramacie – wyjaśnia ten ostatni. – Ma on te same cechy co dramat antyczny. Tutaj nie ma wyboru, jest tak jak w *Antygonie*.

Powstańcy stoją w sytuacji bez wyjścia, oni nie mogą się poddać ani nie mają szans na zwycięstwo.

Aleksander Ford, postać kluczowa w ówczesnej polskiej kinematografii, jest tego dnia chory. Ale przez Starskiego przekazuje, że film jest nie do nakręcenia z przyczyn politycznych. Bo ludzie, którzy zobaczą *Kanał*, będą pytać: „Co robili tamci, którzy stali po drugiej stronie Wisły?”

Chodzi o Armię Czerwoną, która w sierpniu i wrześniu 1944 roku nie udzieliła powstańcom pomocy. Na rozkaz Stalina krasnoarmiejcy z drugiego brzegu Wisły beczynnie przyglądali się agonii powstania.

Kawalerowicz jest jednak za tym, by „lepiej na ten temat w ogóle coś powiedzieć, niż milczeć”

Scenariusz Stawińskiego wspiera twardo Krzysztof Teodor Toeplitz, recenzent filmowy i wschodząca gwiazda dziennikarstwa. – Jeżeli w roku 1955 mówimy, że jest możliwa powieść o powstaniu, to dlaczego ma nie być możliwy film? – pyta.

Za jest też Konwicki: – Byłem na Powązkach w czasie Zaduszek i widziałem, jak wielu ludzi ma na cmentarzu swoich umarłych, którzy zginęli właśnie w czasie powstania. Nam nie wolno mówić, że ludzie, którzy ginęli, byli agentami czy wrogami. Jestem przekonany, że ten film, kiedy pójdzie na Zachód, przyniesie nam ogromny profit z punktu widzenia ideowo-moralnego; czy my nie możemy pokazać ludziom rzeczy, które przeszliśmy? Przecież tym razem mamy okazję do zaprezentowania bardzo

dobrego filmu!

Borkowicz waha się, proponuje wrócić do sprawy za kilka dni. Komisja nakazuje Stawińskiemu i Wajdzie nanieść poprawki w scenariuszu.

– Borkowicz wiedział, że odpowiedzialność za film spadnie na niego – mówi Wajda. – Ci, którzy walczyli w powstaniu i przeżyli, chcieli mieć usprawiedliwienie, że ono miało sens. Chcieli mieć film, który mówiłby, że to komuś służyło. A ja byłem przekonany, że to była źle podjęta decyzja dowództwa i nie ma dla niej usprawiedliwienia. I że nic z powstania nie wyniknęło.

Historia sprzyja Wajdzie i Stawińskiemu: tydzień później, na XX Zjeździe KPZR w Moskwie, Nikita Chruszczow ujawnia część zbrodni Stalina, a na początku marca w Moskwie umiera Bolesław Bierut.

Konwicki przekonuje komisję scenariuszową, że *Kanał* to film, który trzeba nakręcić. Borkowicz zaprasza Wajdę i Stawińskiego na kawę. I decyduje: – Róbcie!

Film młodych aktorów

Ekipa filmowa spieszy się. Nie ma pewności, czy wszystko się jeszcze w kraju nie odwróci.

– Moja świadomość polityczna była wtedy niewielka – przyznaje reżyser.
– Nie miałem żadnych przyjaźni w obozie władzy, z nikim nie byłem na „ty”. Dla mnie to byli „oni”. Na filmie bardzo zależało Konwickiemu, to on był moim obrońcą.

Wajda kompletuje obsadę, która zmienia się do ostatniej chwili. W roli podchorążego Jacka „Koraba” Zbigniewa Cybulskiego zastępuje 30-letni Tadeusz Janczar. Szalę na jego stronę przechyla postać Jasia Krone, wykreowana w *Pokoleniu*. Ale nie tylko. – Cybulski grał wtedy u Petelskich w filmie *Wraki*, kręconym na Wybrzeżu, i nie mógł zagrać w *Kanale* – wyjaśnia Wajda.

Janczar wie, co to wojna. W 1939 roku Rosjanie zabili mu ojca. W latach okupacji wchodził w skład Grup Szturmowych Szarych Szeregów – elitarnych jednostek bojowych konspiracyjnego harcerstwa. Potem został

aktorem frontowym w 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po wojnie uzyskał dyplom aktorski, ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Łodzi. W *Kanale* grany przez niego „Korab” ginie przy kracie uniemożliwiającej ucieczkę na wolność.

Kalinę Jędrusik w roli łączniczki „Stokrotki” zastępuje 23-letnia debiutantka Teresa Iżewska. – Była jeszcze wtedy studentką – przypomina sobie Wajda.

Studiowała na Wydziale Aktorskim PWST w Warszawie, kochał się w niej m.in. Marek Hłasko. Za rolę łączniczki w *Kanale*, dramatycznie walczącej o życie własne i „Koraba”, otrzyma nominację do Nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych.



Kadr z filmu *Kanał*. „Korab” (Tadeusz Janczar) i „Stokrotka” (Teresa Iżewska) przy kracie zamykającej im ucieczkę na wolność



Emil Karewicz (po lewej, jako porucznik „Mądry”) i Wieńczysław Gliński („Zadra”) byli najbardziej doświadczonymi aktorami na planie *Kanału*.
W czasie wojny Gliński był żołnierzem kontrwywiadu AK

Gustawa Holoubka, przewidywanego w pierwszej kolejności do roli Artysty, zastępuje Władysław Sheybal. Ma trzydzieści trzy lata, od września 1939 roku szczerze nienawidzi komunizmu – w wieku szesnastu lat w rodzinnym Krzemieńcu jest świadkiem zbrodni popełnianych przez czerwonarmistów po zajęciu miasta. Aktorstwa uczy się w podziemnym Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w okupowanej Warszawie. Po powstaniu warszawskim niemal cudem unika śmierci, uciekając z transportu więźniów na egzekucję. Po wojnie dzięki występom na scenach Krakowa, Katowic i Warszawy zdobywa pozycję jednego z najważniejszych polskich aktorów lat pięćdziesiątych. W *Kanale* grany przez niego Artysta przeżywa załamanie po śmierci rodziny z rąk Niemców i popada w obłąd.

Z pierwszego planowanego składu aktorów pozostają Wieńczysław Gliński („Zadra”, dowódca kompanii) i Emil Karewicz (w roli porucznika

„Mądrego”, zastępcy porucznika „Zadry”). Gliński ma trzydzieści pięć lat, za sobą debiut aktorski jako nastolatek w przedwojennych teatrach Wilna. I przeszłość żołnierza kontrwywiadu Armii Krajowej pseudonim „Antek”, rozpracowującego podejrzanych o kolaborację z okupantami w Warszawie. Studiował w podziemnej PWST. Ujęty w łapance, trafił do obozu na Majdanku, a potem do Sachsenhausen. W 1945 roku słuchacze Polskiego Radia poznają jego charakterystyczny głos. Gra w teatrach w Łodzi i Warszawie. Na planie *Kanału* zjawia się po debiucie filmowym w *Sprawie pilota Maresza* Leonarda Buczkowskiego (1955). Gra dowódcę kompanii, który straciwszy oddział, w odruchu rozpaczony ponownie schodzi do kanałów, by odszukać swoich żołnierzy.

Gdy Karewicz gra u Wajdy porucznika „Mądrego”, ma trzydzieści trzy lata. Karierę aktorską rozpoczyna jeszcze przed wojną na deskach Teatru Małego w Wilnie. Zostaje żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego, przechodzi szlak bojowy wraz z 2. Armią WP. Po wojnie występuje w teatrach łódzkich: im. Stefana Jaracza i Nowym. To najbardziej doświadczony aktor filmowy w ekipie Wajdy – gra w filmie od 1950 roku. Ma już na koncie m.in. role w *Młodości Chopina* i *Podhalu w ogniu*. Jego „Mądry” dostaje się do niewoli, kiedy z kanału wychodzi wprost pod lufę niemieckiego żołnierza.

Na planie filmu Karewicz spotyka Stanisława Mikulskiego. Jedenaście lat później stworzą niezapomniany duet Brunner – Kloss w *Stawce większej niż życie*.

Mikulski jest młodszy od Karewicza o sześć lat. Pochodzi z Łodzi, gdzie spędza okupację. Po wojnie gra w teatrach w Lublinie i Warszawie. Przed kamerę trafia przypadkiem, z naboru w łódzkich szkołach. Gdy w 1956 roku dostaje propozycję od Wajdy, jego ojciec – przedwojenny komunista – opuszcza właśnie więzienie (siedział za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”). W *Kanale* Mikulski dostaje swoją pierwszą dużą rolę – porucznika „Smukłego”, który ginie, próbując rozbroić zastawioną przez Niemców pułapkę z wiązki granatów.

Kutz, asystent z inwencją

„Niczego podobnego do tej pory nigdy dotąd w polskim kinie nie było” – piszą Don Fredericksen i Marek Hendrykowski w książce *Kanał*.

Wajda skupia wokół siebie grupę niedawnych studentów łódzkiej Szkoły Filmowej i ich starszych kolegów. Stawia na najlepszych. Funkcję II reżysera powierza kipiącemu pomysłami Kazimierzowi Kutzowi, z którym zrobił już *Pokolenie*. W gronie asystentów Wajdy jest też Janusz Morgenstern. Autorem znakomitych zdjęć zostaje wytrawny mistrz światła Jerzy Lipman (także uczestnik powstania), a operatorem kamery 26-letni wówczas Jerzy Wójcik. Pomagają im doświadczony scenograf Roman Mann i kompozytor Jan Krenz.

Kutz, reżyser i twórca m.in. śląskiej trylogii filmowej, w plebiscycie „Gazety Wyborczej” uznany za najwybitniejszego żyjącego Ślązaka, jest młodszy od Wajdy o trzy lata. Poznali się w łódzkiej Filmówce. Wajda przyszedł do Filmówki po trzecim roku Akademii Sztuk Pięknych.

Kutz zapamiętał, że Wajda trzymał się wtedy z boku: – Był obcy, bo pochodził z Krakowa i trzymał fason artysty. Z natury był zdystansowany. Nie interesowały go żadne zebrania ZMP. Był ładnym i straszliwie nieufnym chłopcem. Nie miał prawdziwych przyjaciół.

Rozmawiamy przy kuchennym stole w domu Kazimierza Kutza pod Warszawą. Wokół las, cisza, za oknem zaczyna deszcz, do naszych nóg przymila się kotka. 87-letni gospodarz siedzi z kieliszkiem porto w dłoni i snuje opowieść.

– Talent Andrzeja polega na tym, że genialnie potrafi zorganizować najbliższy team. Zgromadził wtedy bardzo kreatywnych współpracowników, asystentów, z którymi żył w takiej rodzinie, i powtarzał, że to nasze wspólne dzieło, które wymaga od nas inwencji, współpracy i samodzielności. A ponieważ sam był człowiekiem delikatnym i słabym fizycznie, który nie lubił huku ani brudu, to ten *Kanał* był dla niego czymś, czego on nie powinien był robić. Ale zrobił.



Kazimierz Kutz dostał funkcję II reżysera *Kanału*, bo zaimponował Wajdzie pomysłowością

Drugi brzeg Wisły

Wajda zdaje sobie sprawę, że aby film mógł powstać, a jednocześnie mówić prawdę o powstaniu, nie może powiedzieć wprost o roli Rosjan. Dlatego Armii Czerwonej czekającej za rzeką, aż powstanie się wykrwawi, w *Kanał* nie widać.

Jest za to widok przez kraty, które zagradzają „Korabowi” i „Stokrotce” wyjście przez wylot kanału. To przez nie widać odległy drugi brzeg rzeki. Świadomy polski widz zrozumie to porozumiewawcze mrugnięcie twórców filmu.

Wajda pamięta, że wpadli na ten pomysł już podczas kręcenia: – Zorientowałem się, że kanały wychodzą do Wisły. I że u wylotu są zakratowane. Zorientowałem się, że jedyną moją „szansą cenzuralną” jest fakt, że u wylotu kanału widać szary drugi brzeg. Na tym szarym drugim brzegu w 1944 roku stał Stalin ze swoją armią. Wszyscy to wiedzieli. Gdybym wtedy pokazał, że tam stoją radzieckie czołgi, pewnie by mi tę scenę wycięli.

– Jako filmowcy w czasach cenzury szybko nauczyliśmy się języka metaforycznego. Szukaliśmy metafory w obrazie. W scenie z kratą nie ma nic zbędnego – kwituje Kutz.

Kwestia główna

Wajda przyznaje, że oprócz obaw politycznych miał też „niepewności natury artystycznej”. Don Fredericksen i Marek Hendrykowski cytują jego wypowiedź: „Film w ciemnościach kanałów nie zapowiadał sukcesu w kinach, ale nie bałem się tego. Od pierwszego zetknięcia z tekstem *Kanału* było jasne, że robię film ważny dla siebie samego. Obawiałem się tylko, czy potrafię dać na ekranie obraz dostatecznie silny i przekonujący. Tym bardziej że w 1956 roku trudno już było o ruiny w Warszawie, a ich fragment na Starówce poniżej Kamiennych Schodków użyty w finale *Kanału* był ostatnim, który czekał na rozbiórkę”.

O filmowaniu w autentycznych kanałach nie ma mowy. Makieta kanału – dzieło scenografa Romana Manna, z którym Wajda pracował wcześniej przy *Pokoleniu* – staje więc w Łodzi, na podwórzu studia filmowego

na Łąkowej. Nieżyjący już Stanisław Mikulski wspominał w rozmowie z „Wyborczą”: „Zespawano jakieś wanny, przykryto dekoracją, nalano w to wody. I brodziliśmy w tych wannach przez kilka tygodni. Ciągłe byłem mokry”.

Ale jak pokazać w filmie ścieki?

– Kazio sprowadził z łódzkich fabryk pył, który powstawał przy przecinaniu szpulek z kartonu. Wrzucał ten pył na wodę i on unosił się, fantastycznie udając nieczystości – mówi Wajda.

Kutz: – Ten karton sam się w wodzie kisił, rozpadał. I dawał ten brązowy kolor, który powodował, że to było gówno, nie woda.

Mimo podgrzewania wody aktorzy, którzy brodzą w niej godzinami, są zziębnięci i wyczerpani.

Po zdjęciach rozgrzewają się wódką: gorąca herbata to za mało, by uchronić człowieka przed zapaleniem płuc.

Chcieli mnie za to zabić

Początek lipca 1956 roku. „Trybuna Ludu” wysyła reportera na warszawski Mokotów, na Dolną 25:

„Zaraz... zaraz... Przecież niedawno był tu pusty plac, a teraz stoi killkupiętrowy, i to w dodatku zniszczony, dom... Ten widok wprawia w zdumienie każdego przechodnia i na długo odebrałby spokój, gdyby nie fakt, że przed owym dziwnym domem stoją samochody z napisem »Film Polski«. A więc to tu nakręcany jest nowy film polski!”

Kanał powstaje szybko, od czerwca do wczesnej jesieni 1956 roku. Na Dolnej broni się kompania „Zadry”. To tam, w mokotowskich ruinach, „Korab” bohaterstwo unieszkodliwia goliata – miniaturowy, zdalnie sterowany czołg, który zagraża pozycjom powstańców.

W scenach zbiorowych biorą udział żołnierze I Dywizji Kościuszkowskiej. Wojsko udostępnia też czołgi, które odgrywają maszyny Wehrmachtu. Ich wystrzały wybijają wszystkie szyby na ulicy. – Od tych wystrzałów zginęły wtedy wszystkie zwierzęta domowe, zwłaszcza ptaki, przestraszone wybuchem. I jedna staruszka – Kutz ścisza głos. – I nie było z tego żadnej

afery, bo ci ludzie wokół wiedzieli, że robimy film o powstaniu. No trudno. Potem zeszli się tam wszyscy szklarze Warszawy.

Wajda: – Byliśmy bardzo ambitni na punkcie pirotechniki. Kaziu Kutz wymyślił, jak pokazać, że człowiek dostaje kulę. Realistyczna scena zranienia „Koraba” to jego zasługa.

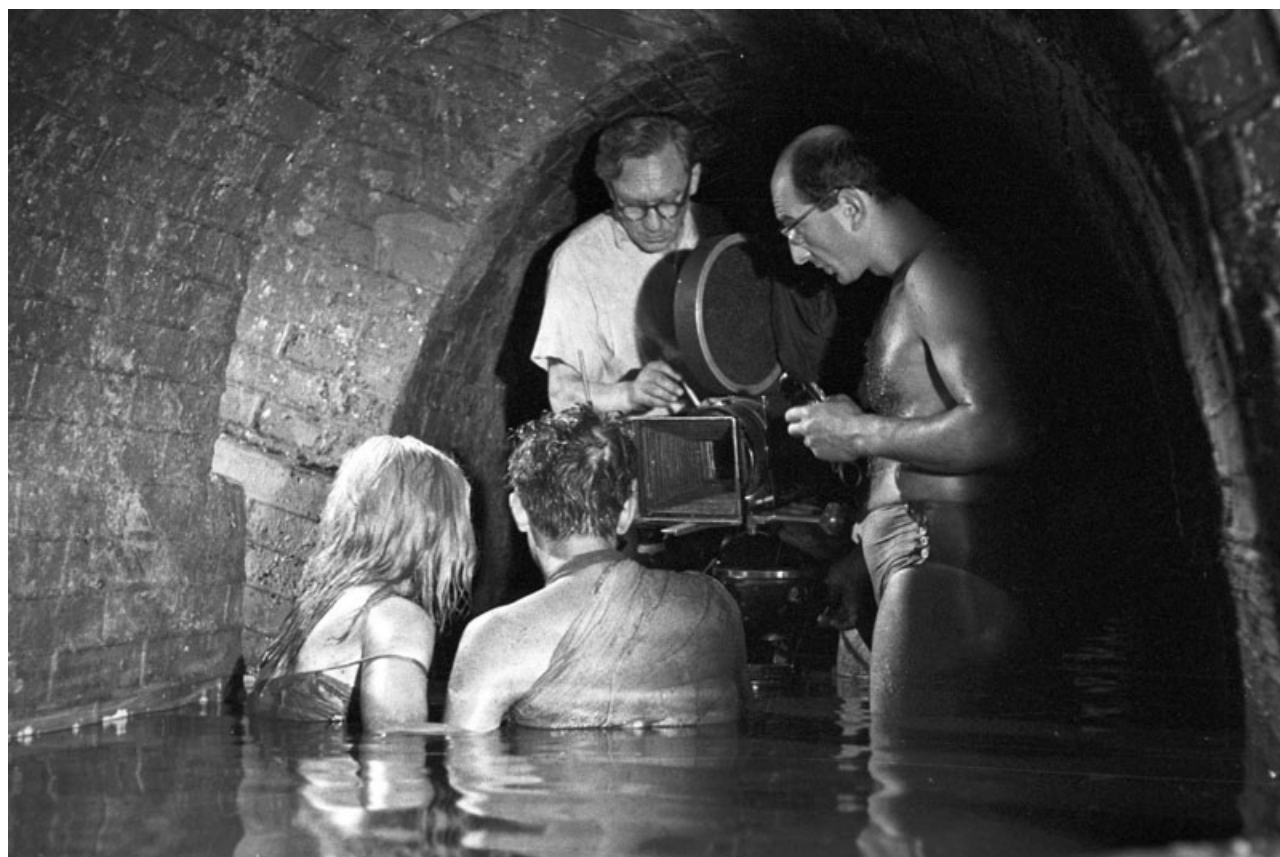
Kutz ożywia się na to wspomnienie: – Na ręce Janczara przymocowaliśmy ołowiane blachy, na nie zakładaliśmy prezerwatywy z czerwoną mazią i ładunkami odpalonymi na sznurek. Potem wystarczyło Janczara ubrać. Nie było obawy, że się wystraszy hukem ślebaka, bo był odważny i spokojny.

Ale innych aktorów trzeba było z bronią oswajać. – Lipman, były powstaniec warszawski, to był cudowny człowiek. Braлиśmy nowych aktorów na bok. Miałem spluwę ze ślepakiem, mówiłem im: „Patrzcie, ch...e” – i wtedy Lipman spuszczał spodnie i wypinał dupę, a ja mu w nią strzelałem.

Aktor bladey pytał: „O co chodzi?” A ja mu na to: „Jesteś przystosowany, możesz być powstańcem” – śmieje się Kutz.

Raz umieszcza nad przebiegającymi aktorami ładunek, ale o niczym im nie mówi. Gdy podczas kręcenia sceny następuje eksplozja, są śmiertelnie przerażeni. Potem mają do Kutza pretensje.

– Nie ostrzegłem ich, bo człowiek nieostrzeżony zachowuje się inaczej. Mieli się naprawdę wystraszyć – wyjaśnia reżyser.



O filmowaniu w autentycznych kanałach nie ma mowy. Makieta kanału – dzieło scenografa Romana Manna, z którym Wajda pracował wcześniej przy *Pokoleniu* – staje więc w Łodzi, na podwórzu studia filmowego na Łąkowej

W zdobyciu ślepeków pomaga Zygmunt Wąsik. Kutz opowiada: – To był genialny człowiek w ekipie. Gdy trzeba było uruchomić fabrykę ślepeków, to powiedział: „Pojadę”. I załatwił – w fabryce broni w Radomiu wstrzymali produkcję normalnej amunicji i zaczęli robić dla nas ślepaki. Wyprodukowali ich tyle, że strzelaliśmy tym jeszcze przez dziesięć lat! Szaleliśmy, robiliśmy rzeczy niekonwencjonalne. Bo wtedy nie było żadnej techniki. To był pionierski film, wszystko trzeba było wymyślać. Ale ponieważ byliśmy pokoleniem wojennym, które już wiele widziało, to nikt z nas się nie bał. Musieliśmy tylko mieć instynkt samozachowawczy, żeby nikomu nie zrobić krzywdy.

Choć się pilnują i uważają, Lipman i tak obrywa w łysinę cegłą.

Kutz dba też o odpowiednią charakteryzację aktorów: – Żeby wychodzący z kanałów powstańcy wyglądali jak należy, zamówiłem dwa duże kotły. W jednym była glina, a w drugim ropa. Kiedy aktorzy przychodzili, musieli

najpierw wskoczyć do gliny, a potem do ropy. A później tak stali i obsychali. Śmierdzieli, fakt. No i niektórzy chcieli mnie za to zabić.

Kaziu, nie jest dobrze

Kutz przypomina sobie chwilę zwątpienia Wajdy: – Wezwał mnie po zdjęciach w Warszawie do siebie do hotelu i powiedział: „Kaziu, nie jest dobrze. Istnieje prawdopodobieństwo, że robimy bardzo zły film. Weź ten scenopis i szukaj filmu. Szukaj filmu!” Przeraziłem się.

Jesienią 1956 roku ekipa goni resztką sił. Kutz wspomina, że byli jak „narkomani, w transie, pochyleni ciągle nad kamerą”.

Wajda opowiadał po latach: „Wiedzieliśmy, że jesteśmy głosem naszych zmarłych, że naszym obowiązkiem jest danie świadectwa o tych strasznych latach, strasznych zniszczeniach, o strasznym losie, który spotkał polski naród, a spotkał tych, którzy byli najlepsi. Chcieliśmy uprawiać kino, które miało służyć przemianie naszego kraju i pomóc w jej urzeczywistnianiu. To siła kina polskiego i niezwykła społeczna energia ruchomych obrazów sprawiły, że świat nagle dowiedział się o nas i o tragicznym doświadczeniu ludzi żyjących w pewnym wschodnioeuropejskim kraju za żelazną kurtyną”.

Andrzej Wajda podkreśla, że nikt mu się nie wtrącał w filmową robotę, nikt nie żądał zmian w scenariuszu. – Czuliśmy się wolni i z tej wolności korzystaliśmy – mówi.

Czy wtedy, latem 1956 roku, czuł, że świat wokół się zmienia?

– Byłem wtedy całkowicie skupiony na filmie – przyznaje. – Nie znałem ludzi władzy, byłem oddalony od tych środowisk. Nie wciągałem się w politykę, nie znałem młodzieży partyjnej ani tych, którzy tworzyli nową rzeczywistość polityczną. Nie miałem ojca, a to z ojcami rozmawia się o polityce.

Wajda nie był na październikowym wiecu Gomułki na placu Defilad. – Jego przebieg znam z Polskiej Kroniki Filmowej. Byłem jednak pewien, że zmiany sprzyjają mojemu filmowi.

Morgenstern przyszedł, pokazał mnie palcem

W czerwcu 1956 roku na planie filmowym *Kanału* w roli łącznika „Zefira” debiutuje Jan Englert. Ma wtedy ledwie trzynaście lat, uczy się w szkole podstawowej przy ul. Zakroczymskiej. – Trudno mówić o debiucie, to była wielka przygoda – uśmiecha się ten jeden z najbardziej znanych i nagradzanych polskich aktorów, który zagrał w ponad stu filmach, a dziś jest pedagogiem i dyrektorem artystycznym Teatru Narodowego w Warszawie.

Rozmawiamy w jego gabinecie niedaleko Starego Miasta i miejsc, w którym kręcono kluczowe sceny *Kanału*. – To był przypadek. Morgenstern, który był asystentem Wajdy, miał znaleźć chłopca do filmu. Ja mieszkałem na Starym Mieście, Morgenstern też. Przyszedł do mojej podstawówki, wszedł do mojej klasy, pokazał mi palcem – zawieźli mnie na Dolną i zrobili parę zdjęć. A potem ktoś podpisał z moją mamą umowę. Tydzień później byłem już na zdjęciach do filmu, przy czym jako dziecko musiałem nie być zbyt utalentowany, bo Wajda po raz kolejny zaangażował mnie dopiero po pięćdziesięciu latach – żartuje Englert. Nawiązuje do filmu *Katyń* z 2007 roku, w którym zagrał postać generała.

„Zefir” z warszawskich ruin

Latem 1956 roku Englertowie mieszkają w kamienicy na rogu Freta i Długiej. Wprowadzili się tam w 1951 roku.

– Stare Miasto nie było jeszcze odbudowane, bawiliśmy się w ruinach getta, które zaczynało się od Świętojańskiej. To była pustynia, biegały zające, dzikie koty, szczury wielkości tygrysów.

Na początku lat pięćdziesiątych Janek wraz z młodszym o trzy lata bratem Maciejem dzień w dzień przemierzają ten księżycowy krajobraz. Zaglądają nawet do piwnic. – W tej pustyni gruzów kształtowały się charaktery – wspomina aktor. – Nie było wtedy piłek, grało się w „zośkę” albo szmaciankę, „kipę” i tak dalej... A w domu cały czas wracano do tradycji powstania. Więc jak mi włożyli na planie filmu panterkę z biało-czerwoną opaską, to poczułem się powstańcem.



Jan Englert się uśmiecha: – Ta „dziewczynka”, która mówi z ekranu falsetem, to ja

Chłopak wie, w czym bierze udział. W powstaniu jego babcia była sanitariuszką, a dziadek służył w pomocy cywilnej. Na pogrzebie ojca Englert usłyszy od obcego człowieka: „Czy pan wie, że pana ojciec kupił od Niemców dwie ciężarówki broni dla AK?”

W czasie okupacji Andrzej Englert pracował w recepcji hotelu Bristol. – Kiedyś, po jego śmierci, oglądaliśmy z mamą audycję telewizyjną *Świadkowie*. Kiedy pokazali w niej zdjęcia z pogrzebu Kutschery, zrobione

z Bristolu, mama powiedziała: „To ojciec je robił, a ja je wywoływałam”.

Po wojnie ojcem Jana interesuje się UB, trzy razy siedzi w więzieniu. Aktor wspomina, że w latach pięćdziesiątych ojciec „był ciągle zamykany i wypuszczany”, a on do dziś nie wie, dlaczego. – Prawdopodobnie pracował w przedwojennym kontrwywiadzie, i to w antyrosyjskiej sekcji „Dwójki”. Chyba, nie mam pewności – przypuszcza Englert.

W 1956 roku, gdy ekipa Wajdy kręci *Kanał*, Stare Miasto jest już podniesione z ruin. Janek wyczuwa, że coś się wokół zmienia.

– Pierwszym elementem oddzielającym stare czasy od nowego był zlot młodzieży socjalistycznej w 1955 roku. Wtedy powiało światem w Warszawie. Murzyni chodzili po ulicach! To był entuzjazm. Do dzisiaj pamiętam, jak w zeszytiku zbierałem autografy cudzoziemców. „Masz już Murzyna? Mam. A Kubańczyka masz?”. Świat się otworzył.

Drzazgi w brodzie, czyli wyższa stawka

Łącznik „Zefir” wypowiada w filmie kilka zdań. – Ta „dziewczynka”, która mówi z ekranu falsetem, to ja. To przeze mnie oddział „Zadry” zostaje z tytułu. Pamiętam, że nam tam w kanałach dawali po kostce cukru. Moja kwestia? „Poczekajcie chwilę, sił brakuje...” – Jan Englert udanie naśladuje groteskowo wysoki ton „Zefira”.

Pierwszy dzień na planie *Kanału* kończy z drzazgami wokół brody. I większą stawką za zdjęcia. – Biegliśmy rowem łącznikowym pod ostrzałem. Wtedy technika była dość prymitywna, zapalały się spłonki na deskach imitujące karabinowe serie. Jak biegli starsi, to mieli te spłonki nisko, ale ja je miałem na wysokości twarzy. Więc mi powchodziły te drzazgi. Kierownik produkcji był przerażony. I bardzo zdziwiony, że musi mi zapłacić wyższą stawkę.

Na planie filmowym *Kanału* poznaje m.in. Ewę Wiśniewską, która wystąpi w epizodzie.

Znajduje też inne bratnie dusze. – Najsympatyczniejszy był Tadzio Janczar. Bardzo koleżeński, fajny. Zakumplowałem się też wtedy z Kaziem Kutzem. Miał taki chłopięcy charakter. Byłem potem na jego pierwszym ślubie

i weselu w Łodzi.

Kutz na wspomnienie Englerta uśmiecha się. – Janek miał fajną ofensywę, zawsze był do przodu i takiego fajnego „luza”, swobodę. Bardzo kontaktowy, „czaruś”, zawsze chciał imponować. Idealnie nadawał się psychofizycznie do tego filmu. Wybraliśmy go trafnie, skoro zrobił potem karierę.

Czy Wajda, w czasie okupacji łącznik AK, dawał Jankowi Englertowi jakieś konkretne wskazówki?

– Nie. Z Wajdą rozmawiałem może raz. Mnie prowadził Kaziu Kutz albo Morgenstern. Oni mi dawali wskazówki. Jakie? A myśli pan, że pamiętam? – Englert znowu się uśmiecha. – „Tu wchodzisz, tu mówisz, tu wychodzisz”. Takie to były uwagi. Nie umiem o tym rozmawiać w kategoriach zawodowych czy artystycznych. Ale powiem panu, dlaczego: ja byłem wychowany w tradycji powstania warszawskiego. Moja rodzina w nim uczestniczyła, ja też – jako roczny chłopiec. Po kilku latach nieobecności wróciliśmy do Warszawy. I ojciec, i dziadek oprowadzali mnie po ruinach, opowiadając, gdzie co było. Wówczas chodziły mi po głowie pretensje do Pana Boga, że ja się za późno urodziłem. Że fajnie byłoby zginąć za ojczyznę. Takie chłopcy mieli wtedy myśli. I udział w tym filmie, wejście w te kanały, podobnie jak później udział w *Kolumbach*, a nawet w *Katyniu* – to dla mnie nie były role. To było tak, jakby los czy Bóg pozwolił mi uczestniczyć w sposób wygodny i bezpieczny w wydarzeniach, o których jako dorastający chłopiec marzyłem. To była jakaś powinność. I bonus od losu, że mogłem w tych filmach zagrać.



Jan Englert: – Udział w tym filmie, wejście w te kanały, podobnie jak później udział w *Kolumbach*, a nawet w *Katyniu*, to dla mnie nie były role. To było tak, jakby los czy Bóg pozwolił mi uczestniczyć w sposób wygodny i bezpieczny w wydarzeniach, o których jako dorastający chłopiec marzyłem. To była jakaś powinność

Film ważny dla matki

Matka jeździ z Jankiem na kolejne zdjęcia. – Trzy tygodnie przed powstaniem urodziły się moje siostry bliźniaczki. Nie przeżyły powstania – wyznaje aktor. – Dla mamy ten film i mój w nim udział musiały mieć olbrzymie znaczenie emocjonalne. Ale nie zwierzała mi się z tego. A ja byłem na „wojence”, na przygodzie, awanturze. Później ktoś próbował zrobić z mamą wywiad o traumie dzieci w powstaniu. Nie chciała opowiadać o swojej martyrologii, wywiad się nie udał.

Englert przyznaje, że latem 1956 roku, gdy powstawał *Kanał*, nie

orientował się w politycznej odwilży, która przetaczała się przez Polskę. Zapamiętał jednak znamieny obrazek z czerwca 1956 roku, gdy ekipa filmowa kręciła scenę wyjścia kompanii „Zadry” z kanałów. – To była scena, w której Niemcy zabijają upapranego szlamem „Mądrego”. Zawieziono nas potem, mnie i studentów szkoły teatralnej, prosto z planu do łaźni Pod Messalką na Krakowskim Przedmieściu – właśnie wtedy, gdy miały miejsce wydarzenia poznańskie. Wyskoczyliśmy z półciężarówki, utytłani tym błotem, z opaskami AK na ramionach... Zapamiętałem ten moment, bo ludzie zareagowali nie tak, jak by się każdy spodziewał. Bez entuzjazmu. Lekko nas omijali...

Rewolucja

Pieniądzy zarobionych na planie filmowym wystarcza Jankowi Englertowi na ernerdowski rower Diamant. I na nowe znaczki do klaseru.

W październiku 1956 roku „Mały” (szkolna ksywa Englerta) próbuje dopchać się przez tłum na plac Defilad, gdy do tłumów przemawia Gomułka.

– Dlaczego? To był skutek tego, co wisiało wtedy w powietrzu. Być może był to też skutek *Kanału*. Moja rodzina była antykomunistyczna. Ja się wychowałem w schizofrenii: w szkole mówili mi, że coś jest „cacy”, a w domu, że „be”. Umiałem wtedy wybrać. Pamiętam dziadka, który na moje pytanie, kto wygrał wojnę w Korei: dobrzy czy źli, odpowiedział: „źli”.

Natomiast ten entuzjazm ówczesny na ulicach powodował, że człowiek chciał w tym uczestniczyć. Nie wiedziałem tak naprawdę, po co ja idę na ten plac. I nie wiedziałem, na czym polega ta nadzieja. Ale dość szybko się zorientowałem, jak po 1956 roku dostałem nagle dość wcześnie Sartre’a. A potem czytałem Ionesco, Becketta. To była przede wszystkim rewolucja kulturalna. Nieprawdopodobna! Rewolucja w głowach elit, które są zawsze w pogardzie. Świat przekreślił się o 180 stopni.

Przygnębieńie, martwa cisza

Zasadnicze zdjęcia do *Kanału* kończą się w sierpniu 1956 roku, potem trwa długi montaż. Kutz pamięta pierwszy pokaz filmu dla kierownictwa Zespołu „Kadr”. Ścisza głoś: – Przyjechał Kawalerowicz i Konwicki. Pokazaliśmy film na dziesięciu taśmach zmienianych co kwadrans. Po pokazie powstała atmosfera tak przygnębiająca, tak martwa cisza... W życiu czegoś takiego nie przeżyłem. W końcu odezwał się Kawalerowicz. „Gówniarze – powiedział – zrobiliście straszne gówno. Ale w tym gównie jest film”

Kawalerowicz poszedł potem z Wajdą do montażowni „i właściwie napisali na tym materiale nowy film, bo filmy w gruncie rzeczy powstają w montażowni”

Ale w świat poszła fama, że film to dno. – Wie pan, wszyscy czekali na klęskę Wajdy, bo to by była klęska Aleksandra Forda, którego nienawidzili – puszcza oko Kutz.

Potem był pokaz wersji nowej, zmontowanej. Kutz wspomina, że szefowie kinematografii „przyszli wszyscy jak na klęskę Wajdy, niezyczliwość zawsze jest gdzieś w człowieku”

– W którejś przerwie Wanda Jakubowska [reżyserka i współzałożycielka polskiej kinematografii, wykładowczyni szkoły filmowej w Łodzi – red.] zaczyna chodzić i kurzyć papierosa. Gdy film się skończył – długa cisza – opowiadając to, Kutz znowu szepcze. – Wtedy Wanda wstała, rozejrzała się, podeszła do Andrzeja i mówi: „Andrzeju, jesteś genialny. Przepraszam cię za to, że źle o tobie myślałam, a nawet mówiłam. Wybacz mi!” Niesamowite!

Według Kutza *Kanał* to była walka młodego pokolenia o lepsze kino. Młodzi chcieli przeskoczyć starszych – i im się udało.

Duża rzecz, ale...

Przedpremierowy pokaz filmu w stołecznym klubie filmowym „Po Prostu” kończy się gorącą dyskusją. Ujęcia Wajdy, skupione na losach garstki ludzi w końcowej fazie powstańczych walk, nie wszystkim się podobają. „Nie chodziło mi o Powstanie, tylko o oddanie procesu umierania ludzi skazanych na śmierć” – napisze potem Wajda w *Notatkach reżysera*.

Oficjalna premiera odbywa się 20 kwietnia 1957 roku w Warszawie,

w kinie Moskwa.

– Nie widziałem na niej Gomułki. Nie wiem, czy w ogóle zobaczył mój film – mówi Wajda. – Proszę sobie wyobrazić, że chociaż tym filmem pracowałem w jego sprawie, on nigdy nie miał potrzeby, żeby się ze mną zobaczyć. W następnych latach miałem już jasną świadomość, że to człowiek, który nie interesuje się kulturą. Sam nigdy o takie spotkanie nie zabiegałem.

Pierwsze komentarze prasy po premierze *Kanału* są chłodne, zdystansowane. Film budzi mieszane odczucia. Polacy spodziewali się „filmowego fresku” (Marek Hendrykowski, znawca polskiego filmu), a otrzymali obraz pełen symboliki, ukazujący grozę ostatnich dni powstania.

Wielu widzów wychodzi z kin rozczarowanych, bo zamiast pochwały heroizmu zobaczyli tragiczny schyłek powstania.

– Ten film działał. Wszyscy przychodzili na niego z takim podniecającym wyczekiwaniem – opowiada Kutz. – Wielu ludzi, być może z powodu własnych przeżyć, nie reagowało jednak na niego dobrze. Film miał początkowo niedobre recenzje.

Prasa wytyka Wajdzie nieścisłości historyczne: pomyłki w umundurowaniu, uwspółcześnione dialogi. A także „zbyteczne” aluzje erotyczne – np. śmiało pokazany romans porucznika „Mądrego” (Emil Karewicz) z łączniczką „Halinką” (Teresa Berezowska). Dziś te pruderyjne zastrzeżenia mogłyby wzbudzić rozbawienie: w jednej ze scen „Korab” (Janczar) widzi „Mądrego” i „Halinkę” leżących razem w łóżku. Pod kołdrą. Mimo to niektórzy są oburzeni. „Do tego sanktuarium nie wolno było wprowadzać elementów burdelu wojennego” – grzmi socjolog Stanisław Szanter w liście do „Ekranu”.

A Władysław Bartoszewski, były powstaniec, kpi, że filmowy dowódca oddziału to „hamletyzujący niedojda, który filozofuje ustawicznie na głos wobec swoich podwładnych na temat beznadziejności sytuacji”. I dodaje: „*Kanał* nie jest filmem historycznym o Powstaniu Warszawskim, nie jest również filmem psychologicznym o Powstaniu. (...) i dlatego dużo dla *Kanału* bezpieczniej byłoby go oceniać tylko jako obraz wewnętrznych konfliktów, przeżyć i uczuć ludzi w obliczu grożącej im śmierci. Byłaby to

jednak ocena bardzo jednostronna, gdyż (...) setki tysięcy widzów szuka i będzie szukać w *Kanał* jakiejś skrótowej prawdy o Powstaniu Warszawskim, której w nim nie znajdzie”

Krytyk filmowy Aleksander Jackiewicz w „Trybunie Ludu” zapewnia, że „*Kanał* to duża rzecz”, ma jednak uwagi do wiarygodności psychologicznej postaci. „Działają trochę jak automaty, a przecież byli to zwyczajni chłopcy bardzo gorąco kochający Polskę. Jeżeli brak zgodności z realiami mnie nie razi, to razi mnie ten chłód traktowania w powstaniu rzeczy najcenniejszych”

Dlaczego *Kanał* – choć tak oczekiwany – zebrał tyle krytycznych ocen?

Bo „film Wajdy nie ulega sentymentom – ocenia Marek Hendrykowski w książce *Kanał*. – Cała ta opowieść nie pretenduje bynajmniej do miana notarialnie poświadczonej, zapisanej w księgach wieczystych i archiwach prawdy historycznej o żołnierzach powstania, walczących w tej czy innej dzielnicy, w szeregach takiego czy innego batalionu czy kompanii. Realia powstania 1944 roku, choć istotne i ważne, w każdym momencie pośredniczą jedynie w przekazaniu wstrząsającej prawdy artystycznej o dramacie współczesnego człowieka, walczącego o wolność i poznającego gorzki bycia pokonanym”

Prof. Hendrykowski zwraca uwagę, że bohaterowie *Kanału* to „ludzie-widma”: „Ci dzielni ludzie walczą jedynie o prawo do zwykłego szczęścia. Po pięciu latach hitlerowskiej okupacji w Warszawie, zagrożeni nową, zbliżającą się sowiecką okupacją, wzięli los w swoje ręce. Ich rachuby i oczekiwania na cudzą pomoc okazały się złudne. Zostali oszukani. Są o włos od śmierci i szukają skutecznego sposobu przetrwania. Dopóki trwa ich walka i życie jest możliwe – trzeba za wszelką cenę żyć i próbować przetrwać”

Wajda: – *Kanał* pokazał ludzi, którzy do końca stali przy swoim. Wymowa filmu brzmiała: możecie nas zwyciężyć, ale nie możecie nas pokonać. Sądzę, że tak właśnie przyjęli go ludzie na świecie.

Nikt tego nie zrozumie, czyli triumf w Cannes

Andrzej Wajda był początkowo niezadowolony z końcowego efektu. „Nie wykorzystałem w pełni możliwości tkwiących w tym temacie i w opowiadaniu Stawińskiego – zwierzył się w rozmowie z Czesławem Janickim. – Cała pierwsza część jest kompromisem – ani to »dokument«, ani też zawiązanie dramatycznych losów bohaterów. Całą tę część należało zawrzeć w jednej scenie, jak w *Moście na rzece Kwai*”.

Mimo umiarkowanych lub chłodnych recenzji po premierze Leonard Borkowicz, szef polskiej kinematografii, zaskakuje: wysyła film na międzynarodowy festiwal w Cannes. Choć mu to odradzają. Podstawowy zarzut wobec *Kanału* brzmi: nikt tego nie zrozumie.

Według Wajdy Borkowicz wykazał się wtedy dużą odwagą. – Pokazanie filmu za granicą, gdzie poddany został ocenie, której nie kontrolowała nasza cenzura, to było duże ryzyko. Bo przecież co oni o tym filmie powiedzą? Co w nim zobaczą? Borkowicz miał chyba jednak przecucie, że *Kanał* swoją oryginalnością może odegrać pewną rolę.

W maju 1957 roku ekipa filmowców z Polski zjawia się na Lazurowym Wybrzeżu. Na europejskich salonach w Cannes reżyser i aktorzy czują się jak ubodzy krewni. Choć mieszkają w tym samym hotelu co inne ekipy z całej Europy, są potężnie onieśmieleni. Andrzej Wajda nie ma nawet smokingu; musi go wypożyczyć. W międzynarodowym towarzystwie świetnie odnajduje się za to Stawiński. Mówi po francusku, angielsku, włosku i bywał za granicą już przed wojną.



Andrzej Wajda na planie *Kanału*

„Nie znałem nikogo takiego. Gdy Jurek pojawił się w Cannes, był po prostu u siebie. A my – ja i aktorzy Teresa Iżewska i Tadeusz Janczar – byliśmy szalenie speszeni, jak ludzie z prowincji, którzy pierwszy raz wychynęli na świat” – wspominał Wajda.

Dzień prawdy nadchodzi 7 maja 1957 roku. *Kanał* jest pokazany na dwóch seansach i z miejsca zostaje znakomicie przyjęty. Jury festiwalu pod przewodnictwem Jeana Cocteau przyznaje filmowi Wajdy Srebrną Palmę (ex aequo z *Siódmą pieczęcią* Ingmara Bergmana). *Kanał* wprawia w zachwyt zachodnią publiczność. Francuski krytyk Rodolphe-Maurice Arlaud pisze, że film Wajdy „dowiódł istnienia kinematografii polskiej”.

Od widzów w Cannes Wajda otrzymuje trójkolorową opaskę, jaką nosili żołnierze francuskiego ruchu oporu.

To początek triumfu filmu na całym świecie. W latach 1957–1958 zakupią go na ekrany kin Francja, Chiny, Japonia, Włochy, Wielka Brytania, Jugosławia, Szwecja, Kanada, Izrael, Grecja, NRF, Węgry, Bułgaria,

Portugalia, Szwajcaria, Czechosłowacja, Indie, Turcja, Islandia, Norwegia, Dania, Argentyna, Brazylia – a nawet ZSRR.

W kinach francuskich nosi tytuł *Oni kochali życie*.

W samej tylko Wielkiej Brytanii wyświetlany jest w 1958 roku w ponad stu kinach jednocześnie.

Ikona filmu staje się finałowa scena: ciężko ranny Jacek i „Stokrotka” dochodzą do zamkniętego kratą wylotu kanału.

O filmie i jego 31-letnim reżyserze piszą z entuzjazmem najbardziej prestiżowe gazety po obu stronach oceanu.

„*Kanał* jest filmem najbardziej przerażającym, jaki zdarzyło mi się widzieć” – pisze dziennikarz „*Libération*”.

„Łagodzi w nim tragedię podmuch najczystszej poezji” – komplementuje włoski „*Il Messagero*”.

„Reżyser Andrzej Wajda uczciwie opowiedział o straszliwym losie szeregowych bojowników powstania warszawskiego. Ale opowiedział on również o czymś innym: o moralnej sile człowieka, o pięknie jego czynu bohaterskiego, o wspaniałej zdolności wzniesienia się ponad najstraszliwsze okoliczności życia” – zauważa „*Litieraturnaja Gazieta*”.

Jeszcze w Cannes amerykańscy scenarzyści podpytują Stawińskiego w hotelu: – Partyzanci przechodzący kanałami to świetny pomysł. Jak pan na to wpadł?

Gdy autor scenariusza odpowiada, że historia opowiedziana w filmie jest prawdziwa, nie chcą uwierzyć.

„Bez filmu *Kanał* nigdy by się o tym nie dowiedzieli i ten fakt był dla mnie najważniejszy. Konwicki miał rację. Mieliśmy coś do opowiedzenia światu” – wspominał Wajda.

– Ta nagroda uświadomiła Polakom, że ten film opowiada o naszym bohaterstwie. Że opowieść o uczestnikach powstania i ich odwadze idzie w świat – dodaje dziś reżyser.

Polacy biegną do kin

Na konferencji prasowej w Cannes dziennikarze pytają Wajdę o to, kto jest

jego mistrzem.

– Luis Buñuel... To znaczy byłby, gdybym znał jego filmy – odpowiada bez wahania reżyser.

Wzruszona tym wyznaniem filmoteka w Paryżu organizuje dla Wajdy pokaz większości filmów Buñuela. Ten ogląda je razem z Romanem Polańskim: – W czasach szkoły filmowej widziałem już *Psa andaluzyjskiego* i *Złoty wiek*. Nie znałem jednak późniejszych filmów Buñuela. Wtedy mogłem je wreszcie zobaczyć.

Wajda uważa, że Srebrna Palma ochroniła *Kanał* przed – początkowo nieprzychylną – polską krytyką i publicznością. – Trudno się dziwić polskim widzom – mówi. – W ogromnej części byli to uczestnicy powstania lub ich rodziny, które straciły w Warszawie swoich najbliższych. Wylizali już rany, opłakali bliskich i teraz chcieli zobaczyć ich moralne i duchowe zwycięstwo, a nie śmierć w kanałach.

Sukces za granicą napędza Polaków do kin. W pierwszym roku pokazów film Wajdy ogląda w Polsce rekordowa liczba 4,2 mln widzów.

Kanał zdobywa też Złotą Kaczkę – miano najlepszego polskiego filmu roku 1957 w plebiscyście czytelników tygodnika „Film” – a także m.in. Złoty Medal w kategorii filmów fabularnych młodych reżyserów podczas Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1957 roku.

Po sukcesie w Cannes *Kanał* zyskuje grono zagorzałych obrońców w kraju. Jan Józef Szczepański pisze w „Tygodniku Powszechnym”: „Wajda dokonał tego, co wydawało się już niemal niemożliwością. Odnalazł prawdę. W jego filmie jest autentyczny smak dni powstańczych, jest ich gorycz, ich krwawa ironia i ich przejmujący patos, i to w proporcjach właściwych, nie deformujących, nie pomniejszających formatu rzeczy”.

Zdaniem Dona Fredericksena, współautora monografii *Kanału*, powstanie filmu o zrywie Warszawy z 1944 roku „zmieniło publiczną tajemnicę w kwestię publiczną, która mogła być analizowana i oceniana w sposób, jaki nie był możliwy w latach 1944–1956. Niedługo potem Gomułka pokazał pazury i państwowa cenzura ponownie przyjęła politycznie poprawny kurs”.

Bohaterstwo absurdalne, śmierć niepotrzebna

W posłowie do książki Dona Fredericksena i Marka Hendrykowskiego *Kanał* Andrzej Wajda napisał, że powstanie warszawskie było klęską, która otworzyła Stalinowi drogę do wasalizacji Polski. „Opowieści o tym, że powstanie warszawskie powstrzymało Stalina przed krwawą rozprawą z całym polskim podziemiem, kładę między bajki. Osiągnąwszy to, czego chciał, »Wódz Narodów« zostawił nam przecież i orła jako godło, i biało-czerwone barwy, a nawet hymn *Jeszcze Polska...*, który uznał według świadków tego wydarzenia za bardzo ładną piosenkę – tłumaczył reżyser. – Z goryczą niestety myślę, że na te gesty pozwoliło mu właśnie przegrane powstanie. (...) Jeśli czasem myślę o nieszczęściu i klęsce warszawskiego powstania, to jedynie jako o okrutnej lekcji, której rezultatem był ruch »Solidarności« wybierający tylko polityczne formy nacisku, i Okrągły Stół – jako skuteczna forma do odzyskania trwałej Niepodległości”

Wajda wskazuje ręką na powstańcze pamiątki żony wiszące na ścianie przy oknie. – Krysia [Krystyna Zachwatowicz – red.] była w powstaniu łączniczką, przeżyła ten entuzjazm młodzieży, jej stosunek do powstania jest więc zupełnie inny. Mnie to było zupełnie nieznane, obce. Owszem, byłem żołnierzem Armii Krajowej [w Radomiu – red.], złożyłem przysięgę, ale to, co się działo w Warszawie, było poza moją świadomością. Ja widziałem tylko rezultaty powstania: zniszczoną Warszawę. I fakt, że przestała istnieć Armia Krajowa.

W 2004 roku Wajda nakręcił wywiad z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, legendarnym „kurierem z Warszawy”. Jeziorański mówi, że decyzję o tej akcji dowództwo Armii Krajowej podjęło „w oderwaniu od rzeczywistości”, nieświadome stanowiska Brytyjczyków i prawdziwej sytuacji militarnej. I że była to decyzja oparta na złudzeniach, bo powstanie nie miało żadnych szans na realną pomoc mocarstw zachodnich.

– Nowak-Jeziorański uważa jednak, że nauka z powstania warszawskiego nie pozwoliła Polakom popełnić błędu, który popełnili Węgrzy w 1956 roku. „Powstanie w roku 1944 ocaliło Polskę przed powstaniem w roku 1956, które miałyby skutki o wiele cięższe, o wiele bardziej niszczące niż tamte” – konkluduje w filmie Jan Nowak-Jeziorański.

Sukces *Kanału* w Cannes daje początek tzw. polskiej szkole filmowej.

„Szkola polska odważyła się pokazać bohaterstwo absurdalne i śmierć niepotrzebną. Była terapią szokową – nazwano ją złośliwie »polską szkołą masochizmu« – napisał po latach Tadeusz Sobolewski, krytyk filmowy »Gazety Wyborczej«. – W tym szaleństwie kryła się metoda. Kino Wajdy, Munka, ale też Kawalerowicza, Konwickiego, Kutza było zwrócone w przyszłość. Przestrzegało przed ofiarą daremną. Pracowało na to, żeby Polska nie była Chrystusem narodów, tylko normalnym krajem, gdzie młodzi mogliby realizować swoje szczęście bez kompleksu zdrady i gdzie wartość ludzkiego życia nie miałaby tak niskich notowań”

Kanał otwiera polskiemu filmowi okno na świat, ale też świat gości coraz częściej w polskich kinach. W październiku 1956 roku państwowy dystrybutor kupuje pakiet amerykańskich filmów, które można już wyświetlać w ogólnie dostępnych kinach. Wcześniej westerny czy musicale mogli oglądać tylko zaufani towarzysze.

Powrót po półwieczu

Rok 2007. Znowu Cannes. Pięćdziesiąt lat po swoim triumfie Andrzej Wajda ponownie odwiedza festiwal, tyle że tym razem jako gość honorowy.

– W 1956 roku przyjechałem tu z kraju, w którym kino dopiero się tworzyło – przemawia. – W Cannes znalazłem ludzi, którzy mój film docenili i dali mi kredyt zaufania na całe życie. Kiedy wróciłem do Polski, nie miałem już żadnego wytłumaczenia – ani że młody, ani że kinematografia jest nieznaną. Wiedziałem jedno: jeżeli będę miał temat i znajdę odpowiednią formę, mogę zrobić filmy, które trafią do Europy, a może i do świata. To właśnie dało mi Cannes – festiwal, który wspierał polskie kino nawet w najcięższych czasach. Dziękuję!

Specjalny pokaz *Kanału* znów gromadzi liczną publiczność.

Teraz, niemal sześćdziesiąt lat po nagrodzie w Cannes, Wajda powtarza: – Sukces *Kanału* był otwarciem polskiego kina na świat. I dowodem, że takie filmy nareszcie mogą powstawać w Polsce.

Do dziś *Kanał* jest jednym z najbardziej znanych polskich filmów fabularnych na świecie.

Pięć minut w ciemności

Kazimierz Kutz podkreśla rolę wielkiej wspólnoty, jaka wytworzyła się na planie wśród realizatorów filmu: – To było szaleństwo, myśmy się w tej wspólnocie taplali. I myślę, że to zostaje. Że obiektyw przenosi klimat, w którym się pracuje. W obu naszych filmach, *Pokoleniu* i *Kanale*, widać, że myśmy heroicznie trzymali Pana Boga za nogi, niewiele na początek potrafiąc. To była dla mnie wspaniała lekcja, nie mogłem lepiej trafić.

A czym był udział w *Kanale* dla nastoletniego Jana Englerta?

– Zdeterminował całe moje życie – przyznaje aktor. – Chociaż wtedy, na planie, w ogóle nie zastanawiałem się, czy zrobię karierę. Byłem czystym amatorem, któremu to dynda. Ważniejsze były inne sprawy: że nie strzeliłem bramki albo że koleżanka nie chce się ze mną umówić.

Na twarzy aktora znowu pojawia się ironiczny uśmiech: – Skutki *Kanału* dla mnie były pozytywne i negatywne. Zaczniemy od tych drugich. Nie chciało mi się chodzić do szkoły, nudne to było. Pierwsza klasa licealna w moim wydaniu nie nadaje się do opowiadania jako przykład dla dzieci: byłem rekordzistą, nie wiem, czy nie kraju, w wagarach. Byłem na nich miesiąc. Wydało się, gdy przyszła do nas koleżanka i zapytała: „Jak się czuje Janek, bo podobno jest w szpitalu?”

Miałem mądrą nauczycielkę. Wezwała mnie i powiedziała, że ona mi to wszystko zaliczy pod jednym warunkiem: że nigdy tego nie będę robił. I już nigdy więcej tego nie zrobiłem. Natomiast skutki pozytywne udziału w filmie były takie, że od samego początku byłem w tej szkole traktowany jak człowiek, który nie musi się uczyć matematyki, fizyki i chemii – i profesorowie mnie nie męczyli z tych przedmiotów.

Janek Englert musi za to prowadzić szkolną kronikę, być dobry z historii i polskiego, występować od czasu do czasu na akademiach. Zostaje uznany za artystę. – Pani matematyczka, gratulując mi matury, w której zdawaniu mi zresztą pomogła, powiedziała: „Mam nadzieję, że na pierwszą premierę mnie zaprosisz”

Do powstania warszawskiego – jako aktor już w pełni ukształtowany – Jan Englert wraca rolą Zygmunta w serialu Janusza Morgensterna

Kolumbowie w 1970 roku. Mówiąc o nim, wyraźnie się ożywia: – Żaden inny serial nie miał takiej widowni. Wygrałem nawet z Mikulskim w plebiscycie „Expressu”. O ile *Kanał* był dla mnie czymś nieświadomym, o tyle *Kolumbowie* to było coś emocjonalnie, historycznie i politycznie niezwykle ważnego. Moja rola puchła w trakcie pracy nad serialem, okazało się, że wyszła na pierwszy plan. Sądzę, że to nie dzięki talentowi, tylko dzięki moim proweniencjom. Cała ekipa, od technicznych po aktorów, kręciła ten film sercem. Kończyło się zdjęcia i jechało do Kuby [Janusza Morgensterna – red.] pisać kolejne sceny. To była sprawa hołdu, powinności wobec historii. Miałem wtedy dwadzieścia siedem lat, *Kolumbów* przeżywałem świadomie, podobnie zresztą jak *Katyń*. W moim życiorysie *Kolumbowie* to był największy skok.

Englert zapamiętał szczególnie mocno przedpremierowy pokaz dwóch odcinków serialu rozgrywających się podczas powstania warszawskiego.

– To była jedna z najważniejszych chwil w mojej karierze zawodowej – wspomina. – Kuba zaprosił na pokaz kombatantów powstania. Kiedy skończyła się projekcja, w ciemności rozległ się głos: „Proszę nie zapalać światła!”. I myśmy z nimi siedzieli pięć minut w tej ciemności...

Gdy Englert to opowiada, szklą mu się oczy.

Luty 1956

JAK UCZYĆ, GDY MRÓZ

Nad Polskę nadciągnęła wielka fala mrozów. Największy spadek temperatury zanotowano w dniu 30 stycznia na północy kraju – ok. minus 28 st. Najcieplej jest w Raciborzu na Śląsku – minus 10 st. Największe opady śniegu wystąpiły w górach i w centrum Polski – w rejonie Siedlec. (...)

Komunikat Ministerstwa Oświaty:

(...) W czasie trwania silnych mrozów, przy temperaturze minus 20 st. i niżej należy usprawiedliwić nieobecność poszczególnych uczniów, których rodzice lub opiekunowie zatrzymali w domu ze względu na odległość od szkoły, słaby stan zdrowia lub brak dostatecznie ciepłej odzieży. Przerwanie nauki w szkołach z powodu mrozów jest dopuszczalne jedynie w tych wypadkach, gdy szkoła przy największych staraniach nie może zapewnić temperatury w pomieszczeniach szkolnych przynajmniej plus 12 st. Celsjusza.

„Trybuna Ludu”, 1 lutego 1956

WIELKI SUKCES SPORTOWCÓW RADZIECKICH

Według nieoficjalnej punktacji: 1. ZSRR, 2. Austria, 3. Finlandia, 4. Szwecja, 5. USA, 6. Szwajcaria – Polska zajęła 13. miejsce. (...)

Ci, którzy w ciągu minionych dni olimpijskich zmagani zdobyli największe sukcesy i mistrzostwa, nieśli flagi narodowe. Sztandar Polski niósł młody nasz medalista Franciszek Groń-Gąsienica.

„Trybuna Ludu”, 7 lutego 1956

KARNAWAŁ, KOKSOWNIKI I NYLONY DLA HALINY

Ostatnia sobota tegorocznego karnawału i noc z soboty na niedzielę upłynęły w całym kraju pod znakiem beztroskich zabaw oraz balów

maskowych. (...) Wystawione na stołecznych ulicach koszyki z żarzącym się koksem miały wieczorem, w ostatnią sobotę karnawału szczególne powodzenie. W oczekiwaniu na tramwaje, autobusy i stale zajęte taksówki warszawiacy, spieszący na przeszło 100 zorganizowanych w tym dniu w stolicy zabaw i balów, pokonywali przy ogniskach 24-stopniowy mróz. Karnawałowa tradycja – okazało się – była jednak silniejsza od mrozu. Przy wejściach na bal Młodej Architektury, na zabawę w gmachu Stołecznej Rady Narodowej, przed aulą Politechniki gromadziło się wielu amatorów tańca. Na tradycyjnym balu maskowym przyszli architekci z Warszawskiej Politechniki udowodnili, że nie brak im fantazji i humoru. Wśród tańczących – rycerz z XV wieku obok Madame Pompadour, Faust z Małgorzatą. Magnesem balu była, oczywiście, modna pieśniarka Carmen Moreno i doskonały saksofonista Jan Walasek, którzy wraz z solistami Błękitnego Jazzu zaprezentowali wysokiej klasy muzykę do tańca i do słuchu. Każda zabawa miała inne atrakcje. Na balu w Stołecznej Radzie Narodowej wielkim powodzeniem cieszyła się popularna już dziś zabawa „Zgaduj zgadula”. Okazało się, że nazwy warszawskich placów, pomników i gazet zna najlepiej mieszkanka stolicy Halina Kleniewska. Nagroda – piękne, jak sama stwierdziła, nylony – przypadła jej do gustu (...).

„Trybuna Ludu”, 14 lutego 1956

BĘBNY DLA ZJAZDU

Załogi zakładów pracy w kraju żywo interesują się doniosłymi obradami XX Zjazdu KPZR. (...) W Warszawskiej Fabryce Motocykli wielu robotników zgłosiło się do komitetu partyjnego z pytaniami dotyczącymi spraw poruszonych w referacie N.S. Chruszczowa.

W zakładzie zorganizowano na okres Zjazdu tzw. skrzynki pytań i odpowiedzi. Dla robotników pracujących na nocnej zmianie radiowęzeł zakładowy transmituje te wieczorne audycje Polskiego Radia, które poświęcone są Zjazdowi.

W Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu załoga wydziału podwoziowego powitała Zjazd podjęciem wielu zobowiązań. Operator Urbaniak, produkujący detale do przednich kół, postanowił wykonać plan

miesięczny na 7 dni przed terminem, a 11-osobowa grupa robotników, wykonujących bębny hamulcowe, po przeanalizowaniu swych możliwości skróci wykonanie planu miesięcznego o 2 dni. Do kierownictwa zakładu napływają meldunki o dalszych zobowiązaniach.

„Trybuna Ludu”, 18 lutego 1956

DESANT CHŁOPÓW KOZIENICKICH, CZYLI NIE BÓJCIE SIĘ BIAŁEGO KONIA

Z roku na rok coraz więcej chłopów kozienickich osiedla się na Ziemiach Zachodnich. Z naszej wsi Ruda już od kilku lat gospodaruje tam Stanisław Szot, Stanisław Płaskociński, Sokołowski i wielu innych, którzy dawniej biedowali na swych kawałkach piachu. Obecnie za nic w świecie nie wróciliby do „starej biedy”.

Ale są i tacy, którzy gnieźdzą się w swoich ciasnych zabudowaniach, kłócąc się wzajemnie, a na zachód nie chcą wyjechać. (...) Są u nas tacy np. młodzi rolnicy, jak Marian Drachal, Antoni Krzesiak, Jan Jędra i inni. Biedują, a osiedlić się nie myślą na Ziemiach Zachodnich. Obawiają się... niepewności, słuchają plotek, że rzekomo „Niemcy odbiorą nam zachód”. Choć takie bzdurne przepowiednie nie sprawdzają się od wielu lat i nigdy nie sprawdzą, plotkarze swoje plotą.

Żaden człowiek rozsądny na te ploty nie zważa. Anders nie przekroczy Odry na białym koniu, bądźcie pewni. Pogrobowcy Adolfa Hitlera nie poważą się też – dlatego, że na straży naszych granic stoi Wojsko Polskie. Ostoją i obrońcą tej granicy jest Związek Radziecki i 8 państw, uczestników Układu Warszawskiego.

Nie bójcie się więc białego konia!

Józef Wąsik, wieś Rusa, pow. Kozienice, woj. kieleckie.

List do redakcji „Zielonego Sztandaru”, 26 lutego 1956

KARA ŚMIERCI DLA AGENTA

Ostatnio przed Wojskowym Sądem Garnizonowym w Warszawie odbyła się rozprawa przeciwko Janowi Milerowi i jego żonie Helenie Miler –

kierownikom siatki wywiadowczej, zlikwidowanej przez organa bezpieczeństwa publicznego w kwietniu 1955 r.

W wyniku przewodu sądowego zostało ustalone, że w Londynie istnieje ośrodek wywiadu angielskiego, posiadający w różnych portach zachodnioeuropejskich współpracowników tzw. naganiaczy, którzy pod pozorem prowadzenia handlu z marynarzami Polskiej Marynarki Handlowej wyszukują spośród nich kandydatów do roboty szpiegowskiej. (...) Oskarżony Jan Miler pływając na statkach PMH w 1949 r. zawarł w Londynie znajomość z niejakim Gulukiem, jednym z naganiaczy ośrodka wywiadowczego, a następnie nawiązał z nim szerokie stosunki handlowe, nabywając od niego różne towary, które przemycał do kraju i sprzedawał. (...) Wykonując polecenie pracowników ośrodka w końcu 1950 r. osk. Jan Miler zwerbował do działalności szpiegowskiej swoją żonę Helenę, a następnie przy jej czynnej pomocy w okresie 1951–1953 r. zorganizował z członkami rodziny i innych osób wrogich Polsce Ludowej siatkę wywiadowczą (...). Jan Miler został skazany na karę śmierci – Helena Miler na karę dożywotniego więzienia.

„Trybuna Ludu”, 25 lutego 1956

REKORDOWA KONGRESOWA

Od chwili otwarcia Pałacu Kultury i Nauki minęło już pół roku. W tym czasie wewnątrz Pałacu zwiedziło już 600 tys. osób, z czego duża część to chłopcy, uczestnicy wycieczek do stolicy. Wielkim powodzeniem cieszą się również te części Pałacu, które przeznaczone są na użytek specjalny. Tak np. w części sportowej PKiN odbyło się wiele imprez sportowych. Z urządzeń sportowych Pałacu skorzystało już prawie 36.000 miłośników sportu. Wszelkie rekordy bije jednak Sala Kongresowa. Odbyło się w niej 139 imprez, które oglądało łącznie 417 tys. widzów.

„Zielony Sztandar”, 29 lutego 1956

Zaplute karły wracają do życia

Kazimierz Szymański lubi podejść do okna swojego parterowego domu przy Rynku 13, odsłonić firankę i popatrzeć na ratusz w Krobi. Życie czterotysięcznego miasteczka w środku Wielkopolski koncentruje się wokół rynku. A to przed oknem przejdzie stary znajomy, a to przysiądzie na ławce córka przyjaciela z wózkiem, albo mignie ktoś z rodziny...

Szymański ma już osiemdziesiąt cztery lata. Zdrowie mu szwankuje, właśnie wrócił ze szpitala w Poznaniu, a pamięć zaciera się z każdym dniem.

Jednej chwili nie zapomni jednak do końca życia. Na progu tego domu pojawił się późnym popołudniem 31 maja 1956 roku, miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Czekali już na niego wzruszeni rodzice, objęli go, przytulili. Nie pamięta już, kto co powiedział. Po siedmiu latach w więzieniach i obozie pracy wracał wreszcie do normalnego życia, choć długo jeszcze musiał się meldować w posterunku milicji. W dodatku chcieli go wciągnąć do ORMÓ.

Nie dał się, propozycję odrzucił. To byłoby niegodne Zawiszy.



Kazimierz Szymański o przejściach w śledztwie nie chce opowiadać. – Bili –
rzuca krótko i odwraca wzrok

Czas nadziei

Wiosna 1956 roku. Czas nowej nadziei. Bramy więzień zgrzytają coraz częściej, wychodzą przez nie na wolność zapomniani i poniżeni bohaterowie z lat wojny – żołnierze Armii Krajowej i innych podziemnych formacji, a także Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy wrócili do ojczyzny. Wszyscy ci, którzy jakimś cudem nie dostali kuli w potylicę – i nieoznaczonej kwatery na cmentarzu na „Łączce” „Zaplute karły reakcji” – nazywała ich komunistyczna propaganda. Zmaltretowani i schorowani, bez zębów, wybitych im przez ubeckich oprawców. Fizyczne i psychiczne wraki.

Jeszcze dwa lata wcześniej Polska Ludowa była jednym wielkim więzieniem. W 1954 roku stworzony na wzór sowieckiego Gułagu system liczył aż sto siedemdziesiąt dziewięć obiektów więziennych: pięćdziesiąt jeden więzień centralnych, osiemdziesiąt pięć karno-śledczych, dwa zakłady dla młodocianych, dwie kolonie rolne i trzydzieści dziewięć ośrodków pracy więźniów. Przez więzienia przechodzi ponad milion osób. Tylko w 1951 roku w więzieniach Polski Ludowej siedzi 110 tysięcy ludzi, w tym 14 tysięcy więźniów tzw. antypaństwowych. W 1952 roku liczba więźniów politycznych rośnie do niemal 50 tysięcy (Andrzej Paczkowski, *Czarna księga komunizmu*).

Ustawa o amnestii, przyjęta przez Sejm PRL 27 kwietnia 1956 roku, mówi o umożliwieniu „szybszego powrotu do normalnego życia” osobom, które „dopuściły się przestępstw”. W artykule pierwszym przestępstwa „puszcza się w niepamięć i przebacza”. Ustawa nie mówi wprost o tym, że wypuszczani na wolność są ci, którzy walczyli z komunizmem. Tę kategorię więźniów skrywa prawnicza formuła „przestępstw szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa”.

W maju 1956 roku cele opuszcza kilka tysięcy więźniów politycznych. Do czerwca 1956 roku wolność odzyska około 28 tysięcy ludzi.

„Już po wyjściu czułem się początkowo dobrze. Potem gorzej, w końcu musiałem się znaleźć w sanatorium. 30 sierpnia wyjeżdżam stąd, zaś 4 września jadę do innego zakładu leczniczego, w Poznańskie, kurować system nerwowy, który trochę został porażony w okresie nasączenia mnie nadmiarem wrażeń śledczych” – pisze Kazimierz Moczarski do Władysława Bartoszewskiego, towarzysza broni z AK i powstania warszawskiego.

W miejscu zębów ma poczerniałe pieńki, po jedenastu latach w katowniach Polski Ludowej wygląda jak żywy trup.

Bohaterowie Polski Podziemnej wracają do życia za murami. Razem z nimi wychodzą niedawni żołnierze systemu, ofiary zmanipulowanych śledztw w ramach bezwzględnych partyjnych rozgrywek.

Najdłużej na wolność czeka prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński. Z Bieszczad do stolicy wróci dopiero w końcu października 1956 roku, gdy upomną się o niego tysiące Polaków fetujących Władysława Gomułkę na warszawskim placu Defilad.

Twoja rodzina cię wzywa

Zanim Kazimierz Szymański stanie 31 maja 1956 roku na progu swojego domu w Krobi, musi przejechać pół Polski. Najpierw autobusem z Jaworzna do Katowic, potem pociągiem do Poznania. Jedzie za własne pieniądze, ciężko zarobione w kopalni w Jaworznie. Pracował tam jako więzień za groszowe stawki, ale i tak się cieszy, bo nie trafił z kilofem na przodek. Uratowały go umiejętności rzeźnika.

Rodzice Kazimierza mieli zakład masarski w Krobi; tradycje rzeźnicze w rodzinie sięgają pradziadków Szymańskiego. Pod koniec lat czterdziestych Kazimierz i jego brat Stefan byli harcerzami. Do Krobi, na Biskupiznę – miasteczko i dwanaście wiosek wokół to dawna własność biskupów poznańskich – przyjechał wtedy z Gostynia Marian Rączka, starszy o siedem lat od Kazimierza, mający kontakty z ludźmi Armii Krajowej.

– Pracował w cukrowni w Głogowie, a tak się złożyło, że zatrudniony tam był również Józef Marciniak z Krobi – opowiada Szymański. – Weszli w komitywę. Rączka chciał, żeby organizacja zaczęła działać także w Krobi.

Rączka, pseudonim „Kościuszko”, miał autorytet i wojenną legendę.

– Pochodził z Gostynia, ale w czasie wojny był w Warszawie – podkreśla Szymański.

Po wojnie Rączka przejmuje „w spadku” część antykomunistycznego oddziału po Gedyminie Rogińskim pseudonim „Dzielny”, straconym w sierpniu 1946 roku w Centralnym Więzieniu w Poznaniu. Oddział walczy

z UB i KBW w okolicy Gostynia, dowodzony przez Rączkę działa do września 1946 roku. W październiku, korzystając z dekretu o amnestii, ujawnia się przed organami bezpieczeństwa publicznego w Gostyniu.

W 1947 roku harcerze i rzemieślnicy z Krobi tworzą tajną organizację pod nazwą „Zawisza”. Zapisuje się do niej ponad sześćdziesięciu młodych mieszkańców i mieszkanek Krobi i okolicy. Wielu z nich przeszło przez IV Drużynę Harcerską im. Tadeusza Kościuszki. Wychowani są na legendzie Szarych Szeregów, nie godzą się z porządkiem wprowadzanym przez komunistów.

Kazimierz Szymański wymieniany jest przez Waldemara Handkego w książce *Polegaj jak na Zawiszy...* w gronie trzech założycieli organizacji. Wstępuje do niej wiosną 1947 roku, w wieku piętnastu lat. Uczy się wtedy w gimnazjum w Gostyniu.

– Wciągnął mnie Józef Szczepaniak, sąsiad z ulicy. To był mój najlepszy kumpel z podwórka, żyłem z nim lepiej niż z braćmi. Ojciec Józefa miał kontakt z Marciniakiem, tym, który pracował z Rączką w Głogowie – wspomina Szymański – To był moment, kiedy komuniści rozwiązali stare harcerstwo. Ale myśmy nadal działali. Dostałem pseudonim „Jędrak”. Spotykaliśmy się prywatnie, po domach. Rozmawialiśmy o Katyniu, o zbrodniach sowieckich. Trzech z mojej rodziny siedziało w Ostaszku [zamordowani w Kalininie, dzisiejszym Twerze – red.], spoczywają w Miednoje.

Harcerze, którzy nie uznają rozwiązania ZHP, rysują ulotki. Na jednej z nich, zachowanej do dziś, widać sowieckiego żołnierza z naganem w rękę stojącego nad katyńskim dołem. „Krwawe hordy Stalina znęcają się nad Polakami. Twoja rodzina wzywa cię o pomstę” – głosi napis poniżej. Ulotki powielają u proboszcza.

Malują też napisy na murach, zakładają „placówki” w okolicznych wsiach: Żychlewie, Sułkowie i Pudliskach. I zbierają broń. – To były przede wszystkim pistolety. Ja miałem parabelkę – uśmiecha się Szymański.

W początkach 1949 roku kontakt z Zawiszą nawiązuje Marian Rączka, wciąga organizację w struktury podziemnej AK. Członkowie Zawiszy jeżdżą do Rączki na odprawę w Głogowie, a on nakazuje im tworzyć odnogi

organizacji we wsiach i gromadzić broń.

Organizacja AK Zawisza rozlewa się też na powiaty leszczyński, rawicki i głogowski. Broni jest coraz więcej – nie tylko pistolety, również amunicja. Trzymają ją zakopaną w sadzie Szymańskich, potem przewożą do domu Jana Stachowiaka. Tam znajduje ją UB. Stachowiak dostanie karę śmierci, ale nie zostanie ona wykonana.



Członkowie AK „Zawisza” z Krobi po zwolnieniu z więzienia, rok 1957.
Od prawej: Jan Stachowiak, Kazimierz Szymański, Jerzy Kmiecik, Leon Wenderski, Józef Szczepaniak, Kazimierz Sikorski. W środku siedzi Marian Rączka

Bili

Początek lipca 1949 roku. Wielka wsypa w organizacji. UB aresztuje m.in. Rączkę, w łapy ubowców wpada archiwum Zawiszy. Bezpieka idzie tropem zdobytych dokumentów.

Szymański, członek ZMP, przebywa wraz z kolegami z Zawiszy na obozie harcerskim w Podtyniu pod Kłodzkiem, jest już uczniem trzeciej klasy. Na plac obozu zajeżdżają ubecy. Aresztują Szymańskiego, Józefa Szczepaniaka i Gerarda Kaczmarka – kolegów z AK Zawisza. Wiozą ich na UB w Gostyniu, wsadzają do aresztu.

O przejściach w śledztwie Szymański nie chce opowiadać.

– Bili – rzuca krótko i odwraca wzrok.

– Tata nie lubi o tym mówić – wyjaśnia córka Irena Mendel. – Wiem, że warunki w areszcie mieli tragiczne. Siedzieli jeden na drugim.

W ręce UB wpada w sumie ponad trzydzieści osób. Bezpieczniacy przewożą więźniów do Poznania, do więzienia na Młyńskiej. 7 lipca 1949 roku 17-letni wówczas Szymański staje przed Wojskowym Sądem Rejonowym wraz z siódmką kolegów. Zarzut: był członkiem „nielegalnego związku”, który usiłował dokonać przemocą zmiany ustroju państwa polskiego. A także wraz z kolegami przechowywał trzy pistolety parabellum kaliber 9 z amunicją, 760 sztuk amunicji karabinowej i dwanaście sztuk amunicji do działka przeciwpancerneho, trzy pociski do moździerza, czternaście sztuk naboju do pepeszy. I granat z zapalnikiem. Członkowie Zawiszy zdobyli ten arsenał w niepilnowanych poniemieckich magazynach w Goli.

Wyrok: jedenaście lat więzienia i pozbawienie praw publicznych. W uzasadnieniu napisano, że Szymański popełnił przestępstwa „szczególnie niebezpieczne w okresie odbudowy państwa”. Dla Polski Ludowej jest zwykłym bandytą.

Brat Kazimierza Stefan, wtedy trzynastolatek, jako „młodociany” dostaje dziesięć miesięcy więzienia. Po wyjściu wezmą go zaraz do wojska, służbę odbędzie w kopalni.

I tak mają szczęście. W procesach członków AK Zawisza zapadają dwa wyroki śmierci: dla Jana Stachowiaka i Mariana Rączki. Obaj doczekają złagodzenia kar.

Kazimierza Szymańskiego wiozą do więzienia we Wronkach, potem do Rawicza, na koniec do więzienia na Montelupich w Krakowie. W 1951 roku trafia do obozu pracy w Jaworznie, tam bowiem trzymani są

młodociani więźniowie polityczni z całej Polski.

Waldemar Handke, lokalny historyk, opisuje: od 1950 roku teren obozu w Jaworznie obejmował 26 hektarów, otoczonych pięciometrowym murem i drutem kolczastym pod napięciem. W trzech czterokondygnacyjnych blokach 250 strażników pilnowało około 2,5 tysiąca młodych więźniów.

Komendantem więzienia był okryty złą sławą kapitan Salomon Morel. Pochodził z rodziny żydowskiej, pracę w komunistycznych służbach rozpoczął w 1944 roku od posady strażnika w więzieniu UB na zamku w Lublinie. W 1945 roku zarządzał obozem Zgoda w Świętochłowicach, w którym trzymano w większości Ślązaków, oskarżonych o kolaborację z III Rzeszą. W 1996 roku prokuratura w Katowicach postawi mu dziewięć zarzutów – m.in. ludobójstwa, fizycznego i moralnego znęcania się nad więźniami. Uniknie kary, bo Izrael nie zgodzi się w 2005 roku na jego ekstradycję do Polski. Umrze w Tel Awiwie dwa lata później.

Szymański musi zjeżdżać szybem do pracy w kopalni, na przodku. Ale ma szczęście. Jako że liznął trochę fachu rzeźnickiego, zatrudniają go w obozowej kuchni. W popielatym drelichu gotuje obiady dla więźniów. Dostaje 120 zł za miesiąc – jedną dziesiątą tego, co zarabiają przeciętnie ludzie na wolności.

– Kiedy tata i jego brat siedzieli, władze komunistyczne zabrały rodzinny zakład dziadków i trochę ziemi, którą mieli – opowiada Irena Mendel, córka Kazimierza Szymańskiego.

Raz w miesiącu Kazimierz może napisać list do rodziny, który jest ściśle cenzurowany, albo przyjąć odwiedziny bliskich pod nadzorem wartownika. Dwa razy odwiedza go brat Stefan, zwolniony już z więzienia. Za każdym razem zgodę musi jednak wydać prokurator.

– Gdy wybuchła wojna w Korei, szykowali nas na front – przypomina sobie pan Kazimierz. – Dali nam nawet mundury wojskowe, płaszcze. Ale nic z tego nie wyszło.

Szymański nie ma nadziei na szybsze wyjście: – Amnestii było w tym czasie kilka, ale wszystkie dla niepolitycznych.

Nawet do ORMO namawiali

Wiosną 1956 roku coś się jednak zmienia. O szykującej się amnestii dla akowców Kazimierz dowiadyuje się z listów od rodziny, ale także z gazet i od strażników.

– Nie wszyscy klawisze byli źli, niektórzy byli życzliwi – podkreśla dziś.

Jak opowiada, żadnego prawnika rodzina wynajmować nie musiała, bo straż więzienna i prokuratura wszystkie dane o osobach kwalifikujących się do zwolnienia miały w swoich papierach. Choć amnestię uchwalono w końcu kwietnia, Szymański musi czekać na wolność jeszcze miesiąc: – Przynieśli mi dokumenty do podpisania, ale nawet potem siedziałem jeszcze z dwa tygodnie.

Denerwuje się, bo z obozu zwolniono już niemal wszystkich więźniów politycznych; zostało ostatnich dwunastu. Wykorzystują go do ostatniej chwili – zatrudniają w sklepie na osiedlu poza obozem. – Wiedziałem, że będę zwolniony, więc nie musieli mnie już pilnować.

30 maja 1956 roku odbiera swoje prywatne rzeczy i niewielką sumę, którą zarobił w kuchni. Przed bramą kopalni nikt na niego nie czeka. Wychodzi ze Stachowiakiem i Sikorskim. Najpierw trzeba przejść sześć kilometrów do autobusu. Autobusem dojeżdżają do Katowic, tam wsiadają do pociągu. Po drodze nikt ich nie legitymuje.

W pamięć wryło mu się popołudnie 31 maja, gdy zjawił się na dworcu w Krobi. – Było ciepło, prawdziwa majówka – opowiada. I powitanie przez rodziców i trzech braci.

Gdy pytam go, co sobie powiedzieli, wzrusza się...

– To było tu, w tym pokoju – tylko tyle przechodzi mu przez gardło.

Jak przyjęli go ludzie w Krobi?

– Życzliwie, ale nie milicjanci czy ubowcy. Oni mnie nadal pilnowali – wspomina. – Chodzili za mną, pytali o mnie. Nawet mnie namawiali do ORMO.

– Zgodził się pan?

– Z jakiej racji?

Wolność można odzyskać, młodości już nigdy

Do wojska go nie biorą, dla władzy jest elementem „niepewnym”. Co miesiąc musi meldować się na posterunku milicji na ul. Kolejowej. Szuka pracy, ale z powodu uwięzienia nie ukończył szkoły. Nie ma matury, więc w Krobi pracy nie znajdzie. Musi jej szukać gdzieś dalej od domu. W czerwcu 1956 roku jedzie do Poznania, do ciotki farmaceutki.

Gdy 28 czerwca robotnicy wychodzą na ulice, ciotka organizuje Szymańskiemu rower i wysyła go natychmiast z powrotem do Krobi.

– Ciocia widziała, co się święci. Chodziło jej o to, żebym nie wmieszał się w te tłumy na ulicach. I żebym nie miał znowu problemów – wspomina. – Tym bardziej że nie miałem jeszcze dowodu osobistego, a tylko kartę zwolnienia z więzienia.

Kiedy w Poznaniu wojsko strzela do demonstrantów, Szymański pedałuje zawzięcie w stronę Krobi. To ponad 80 kilometrów, do domu dociera pod wieczór.

– Technikum zacząłem robić jeszcze w Jaworznie – opowiada. Naukę kontynuuje w Gostyniu. Potem zdobywa kwalifikacje rzeźnika. Dostaje posadę zaopatrzeniowca w Gminnej Spółdzielni w Krobi.

W 1963 roku żeni się z Adelą Wołk, lwowianką. – Mama do dziś wspomina, jak do babci przychodziły koleżanki i się pytały, jak mogła na to pozwolić – uśmiecha się córka Szymańskiego. Bo żona „zza Buga” jest w Krobi uważana za coś dziwnego.

Adela rodzi Kazimierzowi dwie córki. On wciąż pozostaje pod operacyjnym nadzorem esbeków. – Pamiętam jako mała dziewczynka, jak w latach siedemdziesiątych wpadło do nas dwóch mężczyzn z SB [w listopadzie 1956 roku formacja ta zastąpiła Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego – red.]. Przyszli z tatą. Weszli na górę, przewertowali jego rzeczy – wspomina córka Szymańskiego. – Potem zabrali tatę na posterunek. Mama była bardzo zdenerwowana, bo puścili go dopiero o ósmej czy dziewiątej wieczorem.

Z dokumentów IPN, które przeglądała, wynika, że śledzenie ojca Służba Bezpieczeństwa odpuściła sobie dopiero w latach osiemdziesiątych. – Z wcześniejszych lat zachowały się notatki na temat tego, co tata robił. W Krobi nie brakowało chętnych, by donosić. Tu wszyscy o wszystkim

wiedzą.

W 1990 roku Kazimierz Szymański przechodzi na emeryturę. Cztery lata później Sąd Wojewódzki w Poznaniu unieważnia wyrok z 1949 roku. W tym samym roku prezydent Lech Wałęsa przyznaje mu Krzyż Armii Krajowej. Jedenaście lat później prezydent Lech Kaczyński nadaje Szymańskiemu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Członków Zawiszy ubywa z każdym rokiem. – Z ponad sześćdziesięciu pozostało ich siedmiu. Tata mieszka w Krobi, Alojzy Smyczyński jest w Gostyniu, Leon Wenderski w Pudliszkach, Marian Rybacki we Wrocławiu, Jan Rogala w Trzebnicy, ktoś jeszcze w Warszawie, a pani Helena Wenzlowa w Lesznie – wylicza córka Szymańskiego. Mówi o sobie „prawa ręka AK Zawisza”, bo gromadzi materiały i pamiątki po organizacji. Coraz częściej zastępuje ojcu pamięć.

– To więzienie zabrało mi młodość – podsumowuje Szymański. Dziś jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy AK, ma stopień porucznika. Jeszcze niedawno bywał zapraszany do miejscowej szkoły, ostatnio już rzadziej. Ma poczucie, że jego życie mogło potoczyć się inaczej, gdyby nie więzienie. Jak? Zastanawia się długo, nie odpowiada.

– Jaworzniacy mają takie hasło – włącza się córka pana Kazimierza, by przerwać ciszę. – „Wolność można odzyskać, młodości już nigdy”. Święta prawda.

Głodówka, bo o mnie zapomnieli

Znowu wiosna 1956 roku. Ciężkie więzienie we Wronkach.

Na korytarz wywołują Jana Górskiego, 24-letniego żołnierza Armii Krajowej ze Świętokrzyskiego, potem członka szczecińskiej organizacji Wolność i Niezawisłość. Jest tu od kilku miesięcy, aresztowany przez UB w 1949 roku jako student Akademii Handlowej i jednocześnie medycyny w Poznaniu. Po śledztwie w UB w Kielcach do dziś ma kłopoty z żołądkiem, nogami i wzrokiem.

Sześć lat wcześniej został skazany na karę śmierci. Prokuratorski zarzut brzmiał: „Idąc na rękę niemieckim władzom okupacyjnym, mordował

Żydów i strzelał do skoczków radzieckich? Tyle że zabił nie Żydów, ale niemieckich konfidentów. I nie skoczków radzieckiej Armii Czerwonej, lecz walczących po stronie Hitlera własowców.

– Nie miałem złudzeń, że dostanę inny wyrok – przyznaje. – Widziałem, co się dzieje. W śledztwie nie chciałem podawać nazwisk ani pseudonimów, no to przykuwali mnie do kaloryfera, kierowali na mnie wentylator i lali kubek zimnej wody na głowę. A to była zima. I tak całą noc. Wsadzali mi do odbytu nogę od stołka. Dziesięć dni przesiedziałem w karnej celi. Półtora na półtora metra, raz dziennie miska zupy, ale do ubikacji nie wypuszczali. Trzeba było robić pod siebie. A w takiej celi człowiek długo nie ustoi. Musi w te własne brudy usiąść. Jak stamtąd wyszedłem, wszyscy zatykali nos.

Po wyroku siedzi w celi śmierci, czekając na egzekucję. Sąd nie wyznacza jednak terminu. Przez rok Górski będzie drżał przy każdym ruchu na korytarzu. To oczekiwanie śni mu się do dziś.



Jan Górski po zamianie kary śmierci na dożywocie „zwiedza Polskę”: w ciągu dziewięciu lat odsiadki zalicza Kielce, Rawicz, Racibórz, Potulice i znowu Rawicz, skąd trafia do Wroniek

Gdy czeka na śmierć, jego brat dociera do dwóch Żydówek, rzekomo zamordowanych przez Górskiego. Odnajduje je w Wałbrzychu. Podpisują oświadczenie, że żyją dzięki pomocy Jana Górskiego, który w czasie okupacji wywiózł je w ukryciu z getta w Opatowie.

Brat dostarcza oświadczenie do Biura Ułaskawień przy prezydencie Bolesławie Bierucie. Dokument na wagę życia Jana. Zamieniają mu karę śmierci na dożywocie.

Potem – jak dziś opowiada z ironicznym uśmiechem – „zwiedza Polskę”. W ciągu dziewięciu lat odsiadki zalicza Kielce, Rawicz, Racibórz, Potulice i znowu Rawicz, skąd trafia do Wroniek. W kieleckim więzieniu siedzi razem z Niemcem, sekretarzem Sicherheitsdienst [Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS – red.] z Kielc. W Rawiczu dzieli celę z esesmanem, który cierpi na wrzody żołądka (Górski robi mu zastrzyki). Styka się też z generałem Kirchmayerem, pułkownikami Skibińskim, Skalskim, Chojeckim i Zychem, oskarżonymi o pomoc w ucieczce Stanisława Mikołajczyka.

Więc kiedy wywołują Górskiego w szarym drelichu na korytarz we Wronkach, nie spodziewa się niczego dobrego. Z przyzwyczajenia staje nosem do ściany, ręce za plecy, nie rozglądając się na boki. Tak go wytresowano w Rawiczu.

– A tu wartownik do mnie mówi: „A czego wy tak stajecie? Odwrócić się w drugą stronę!”. Byłem zaskoczony. Zrozumiałem, że coś się jednak zmienia.

Wronki to w latach stalinowskich jedno z najgorszych więzień w Polsce, ale w 1956 roku, gdy siedzi tam Górski, reżim jest już złagodzony. Więźniowie są prowadzani regularnie na 20-minutowe spacerzy.

Cela Górskiego to „pojedyńka”. Ma pryczę, chowaną w ciągu dnia do ściany, śpi na sienniku i poduszce, pod kocem, bo chłodno. Wartownicy co jakiś czas robią mu kipisz – wywracają siennik i posłanie do góry nogami, niby to w poszukiwaniu ukrytego noża czy żyłki. Jednak do politycznych odnoszą się inaczej niż do pospolitych przestępców, z większym szacunkiem. Podobnie jak żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego transportujący ich pomiędzy więzieniami.

Warunki życia w więzieniu stopniowo się poprawiają.

– Od momentu gdy na Zachód uciekł Józef Światło [jeden z najważniejszych oficerów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – red.], dostarczano nam do więzień gazety, przede wszystkim „Trybunę Ludu”. Wcześniej nie wiedzieliśmy kompletnie nic – wspomina Górski. – Z „Trybuny” można już było coś wyczytać. Na przykład wiedziałem, że w Poznaniu był strajk, że toczyły się jakieś walki. To były urywane wiadomości, bo gazety nie przychodziły regularnie.

O krwawych wydarzeniach w Poznaniu w czerwcu 1956 roku dowiaduje się też od rodziny, choć wiele szczegółów pozna dopiero po wyjściu z więzienia. Bo podczas widzeń pod okiem strażnika (krąży pomiędzy siatkami w sali widzeń odgradzających więźnia od rodziny) nie sposób przekazać nic poza prostymi informacjami o zdrowiu i sobie samym.

W listach do bliskich może pisać tylko o sobie, listy od rodziny też są kontrolowane.

Co wie jesienią 1956 roku o zmianach w kraju? Niewiele. Tyle ile wyczyta między wierszami w „Trybunie”. Gomułka? – Wiązałem z nim nadzieje, ale kiedy zaraz po wyborze pojechał do Moskwy, to już wiedziałem, że w kraju zmieni się na gorsze. I rzeczywiście się zmieniło. Nie było już gwałtownych rewizji wyroków.

Jeszcze we Wronkach występuje o rewizję swojego procesu. W kraju amnestia, ale on nie ma szans na zwolnienie. – Bo byłem sądzony z paragrafu za współpracę z Niemcami, więc amnestia z kwietnia 1956 roku nie obejmowała mojego przypadku – wyjaśnia.

Rozmawia z oddziałowym, jednym ze starszych strażników. – Nie martwta się, chłopcy – pociesza go wartownik – ja tutaj wypuszczałem więźniów po I wojnie światowej. I jak się zaczynała II wojna światowa, to też wypuszczałem. To i was puszczyć...

Jan wierzy w swoją szansę. Nie traci czasu. Brat przesyła mu książki medyczne, bo Jan chce już w więzieniu dobrze przygotować się do powrotu na studia: – Wiele rzeczy przerobiłem w więzieniu. Na przykład z farmakologii byłem gotów składać egzamin od razu, choć na studiach farmakologia jest zwykle na czwartym i piątym roku.

Z Wronek wiozą go zimą 1957 roku do więzienia w Szczecinie,

a w kwietniu 1957 roku – do więzienia w Sieradzu. Tu w celach ma już towarzystwo – są większe niż we Wronkach, siedzi w nich nawet po dziesięć osób. To w Sieradzu dowiaduje się od brata, że po rewizji procesu wszyscy jego koledzy z organizacji, a także dowódcy, zostali zwolnieni w lutym 1957 roku. On jednak siedzi dalej. Podobno zaginęły jego akta. To przynajmniej ustala adwokat Węgliński z Warszawy, który reprezentuje Górskiego.

– Czułem się podle, byłem podłamany. Tamci wyszli, a ja co?

13 czerwca 1957 roku na znak protestu podejmuje głodówkę. – Zaraz po kilku dniach zjawił się prokurator. „Dlaczego ta głodówka?” – pyta. Ja mu na to, że nie ma moich akt. Dlaczego wszyscy doczekali już rewizji wyroku, a ja – choć wystąpiłem o to pierwszy – nie mogę jej doczekać? Obiecał, że będą szukać moich akt, bylebym tylko przerwał głodówkę. Nie zgodziłem się. Powiedziałem, że muszę być najpierw zwolniony.

Po dwóch tygodniach wartownicy chwytają Górskiego za ręce, lekarz wsadza mu sondę prosto do żołądka i wlewa litr mieszanki mleka z cukrem. – Tak mnie karmili przez cztery tygodnie. W międzyczasie prokurator był u mnie chyba z pięć razy. W końcu w lipcu powiedział, że akta się odnalazły, a rozprawa odbędzie się 14 grudnia 1957 roku. Zagroziłem, że jeśli rozprawy nie będzie, to wznowię głodówkę.

Nie ma potrzeby. Do rozprawy dochodzi w połowie grudnia 1957 roku. Choć Górski ma zostać zwolniony, niespodziewanie każą mu się pakować do wywózki i przewożą go do więzienia w Strzelcach Opolskich.

Papiery z sądu docierają do Strzelec tuż przed Bożym Narodzeniem.

Na wolność wychodzi 22 grudnia 1957 roku. Za bramą nikt na niego nie czeka – rodzina nie wie, że przeniesiono go w ostatniej chwili w Opolskie.

Zakłada swój stary wojskowy płaszcz z wełny, w którym spał przez pierwsze, najgorsze lata więzienia. Do dwóch tobołów pakuje manatki i kilkanaście ciężkich książek medycznych. Po śniegu idzie na dworzec w Strzelcach Opolskich.

Z więzienia wypuścili go pięć minut przed odjazdem pociągu do Warszawy. Nie ma szans zdążyć. Z pieniędzy z depozytu kupuje więc bilet na kolejny pociąg, musi czekać na dworcu przez sześć godzin.

O czym wtedy myślał w dworcowej poczekalni? – Żeby jak najszybciej

dostać się z powrotem na studia. I czy uda mi się od razu wskoczyć na drugi rok medycyny, bo miałem zaliczone wszystkie ćwiczenia na pierwszym roku w Poznaniu, ale z egzaminów tylko ten z fizyki. I dwa lata na Akademii Handlowej. Martwiłem się, czy będę miał kłopoty z powrotem na uczelnię, czy nie.

W stolicy jest około północy. Z Dworca Głównego idzie do Warszawy Śródmieście, by przesiąść się na pociąg do Wesołej, gdzie mieszkają jego matka, siostra i brat.

Ciemno, pusto. Widzi wyniosły gmach Pałacu Kultury i Nauki. Nowa Warszawa mu się jednak nie podoba, chociaż przyznaje: – Z dwoma worami na plecach to mi się ciężko szło i nie miałem okazji, by się lepiej poprzyglądać.

Mężczyzna w mundurze wzbudza zainteresowanie wojskowego patrolu w łaziku. Przeglądają jego więzienne papiery, a on pyta, czyby go nie podwieźli. Nie. Musi sobie radzić sam.

Ostatni nocny pociąg w kierunku Wesołej. Wysiada, w ciemności idzie przez las. Między drzewami odnajduje dom, w którym mieszkają najbliżsi: „Wreszcie się znalazłeś!”

– Matka była wzruszona, nie widziała mnie przez dziewięć lat, mogłem do niej pisać raz w miesiącu – głos pana Jana łamie się.

W Warszawie mogą go przyjąć na studia dopiero za pół roku, więc jedzie do Poznania. Prodziekan Akademii Medycznej prof. Pilarski obiecuje pomoc.

Idzie też do Akademii Handlowej, gdzie przed aresztowaniem zaliczył trzy lata. Miał również zaliczoną pracę dyplomową, ale nie egzamin. – Trafiłem akurat na profesora, u którego składałem księgowość, analizę finansów. Mówił, żebym nie zawracał sobie głowy medycyną. Kusił mnie skierowaniem do Baltony w Szczecinie i bardzo dobrą pensją, 3,5 tysiąca złotych. A ludzie wtedy zarabiali przeciętnie 1500–1600. Zapewniał, że w rok zrobię magisterkę i wszystko będzie skończone, a na medycynie mam jeszcze pięć lat studiów. Ale się bałem, że będzie jak w 1948 roku. Jeszcze przed więzieniem zaproponowano mi pracę w Narodowym Banku Polskim, też z bardzo dobrą pensją. Warunkiem była jednak legitymacja partyjna, której nie miałem i nie zamierzałem mieć. Takiej sytuacji chciałem uniknąć i tym

razem. Wybrałem medycynę, żeby być niezależnym.

Władze Akademii Medycznej przyjmują warunkowo Górskiego na pierwszy rok, mimo że pierwszy semestr już upłynął. Musi jednak do końca roku akademickiego powtórzyć raz jeszcze wszystkie zaliczenia i kolokwia.

– Więc wziąłem się ostro do roboty! – uśmiecha się pan Jan.

Czuł wtedy życzliwość prodziekana prof. Pilarskiego i dziekana prof. Stolzmanna. A także prof. Wizny z mikrobiologii. – Później się dowiedziałem, że wszyscy oni byli żołnierzami Armii Krajowej. Wiedzieli, za co siedziałem – wspomina.

Przed aresztowaniem ukończył kurs szybowcowy, lecz nie zdążył już odbyć żadnego lotu. Teraz, już na pierwszym roku studiów, mimo nawału nauki znalazł czas na żeglarstwo. Na wakacjach w 1958 roku, pierwszych po uwolnieniu, pojechał na kurs żeglarski do Jastarni i zdobył stopień sternika jachtowego.

– To był jedyny raz w trakcie studiów, kiedy wyrwałem się na to żeglarstwo. We wszystkie pozostałe wakacje musiałem pracować, trzeba było zarobić na życie – wzdycha.

W 1963 roku kończy studia medyczne dyplomem. Odbywa staż z chirurgii i interny.

Jeszcze w trakcie nauki, w 1959 roku, żeni się z Danutą Stypińską. Znają się od dzieciństwa, tyle że gdy Jan widział ją ostatni raz przed aresztowaniem, miała dziewięć lat. Gdy spotyka ją po raz drugi po wyjściu z więzienia, Danuta ma siedemnaście lat, a on trzydzieści pięć. Dziewczyna wpada mu w oko, dwa lata później za niego wychodzi. Pracuje w księgowości w Izbie Rzemieślniczej. Z tego związku urodzi się syn Andrzej i córki – Hanna i Beata.

Na początku mieszkają w jednym pokoju przy ul. Kasprzaka (dziś Rzepeckiego), przy rodzicach żony. Jest ciasno, więc w 1964 roku przenoszą się do Kędzierzyna-Koźła, gdzie Górski dostaje trzy pokoje z kuchnią. Warunek jest jeden: zrobi specjalizację z chorób płuc. Zostaje więc pulmonologiem.

– Miałem jechać do Kędzierzyna-Koźła na dwa-trzy lata, a zostałem

na dziewiętnaście lat – podsumowuje.

W 1983 roku wraca do Poznania. Przez wiele lat jest lekarzem zakładowym w spółdzielni krawieckiej Moda.

Dziś jest pułkownikiem w stanie spoczynku, a zarazem bardzo zapracowanym emerytem. Od czternastu lat kieruje światowym Związkiem Żołnierzy AK w Wielkopolsce. Sukcesy? – Udało nam się postawić pomnik Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego. No i w końcu usunęliśmy z miasta pomnik generała Świerczewskiego! – uśmiecha się.

Kiedyś przejeżdżał niedaleko Wronek, ale jakoś nie ciągnęło go, by raz jeszcze zobaczyć więzienie. – Pewnie znalazłbym te cele, trzymali mnie przecież w kilku. Ale po co?

Zenek z „Wilków”

Raz jeszcze rok 1956. Gdy Jan Górski walczy o rewizję swojego wyroku, Zenon Wechmann z Poznania cieszy się już od roku wolnością. Choć swoboda jest mocno ograniczona – ciągle pozostaje pod kontrolą milicji i UB. Funkcjonariusze robią wśród sąsiadów wywiady środowiskowe.

– Wszyscy wiedzieli, że jestem „bandyta” – mówi.

Rocznik 1927. Przed wojną harcerz, w czasie okupacji pracownik w zakładach poznańskiej Centry. Po wojnie wrócił do 5. Poznańskiej Drużyny Harcerskiej. Został instruktorem. Po wojsku, gdy stare harcerstwo zostaje rozwiązane i władze tworzą nowe, czerwone, Wechmann angażuje się w 1950 roku w tajną organizację instruktorów harcerskich, która sięga poza Poznań – aż do Nowej Soli i Buku. Mówią o sobie „Piątacy”, ale w czasie ubowskiego śledztwa przyłgnie do nich nazwa „Wilki” – od nazwy jednego z konspiracyjnych zastępów. Wechmann, na co dzień mierniczy w Urzędzie Miar i Wag na Wałach Królowej Jadwigi (dziś Krakowskiej), jest w czołowej dziesiątce instruktorów. Organizacja liczy około pięćdziesięciu osób. Spotykają się w kościele Najświętszego Zbawiciela przy ul. Fredry i po domach. Szkołą się w teorii i taktyce, czekając na III wojnę światową, która ma uwolnić Polskę od sowieckiej okupacji.



Jesienią 1956 roku Zenon Wechmann wystąpił do sądu z wnioskiem o śledztwo w sprawie brutalnych metod stosowanych przez ubowców w 1952 roku. Ale sąd uznał sprawę za przedawnioną, bo Wechmann „nie ma trwałego kalectwa”

W 1952 roku Urząd Bezpieczeństwa wpada na trop „Piątaków”. Jeden z instruktorów okazuje się ubecką wtyką, sypie w śledztwie. Bezpieczniacy aresztują Wechmanna. Z Sulimierza pod Gorzowem, gdzie spędza wakacje, przewożą go w kajdankach pociągiem do Poznania. Zaczynają się przesłuchania, ale Wechmann zeznawać nie chce. Trafia do lochów UB na Młyńską. Bity pałką i taboretom przyznaje się tylko do tego, co śledczym i tak wiadome. Do dziś pamięta nazwiska tych sadystów: Leśniewski i Kapuściński. I to, że dziewczyny były przypalane papierosami.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Poznaniu oskarża go o dążenie do obalenia siłą ustroju PRL. Podczas procesu zeznaje, że w śledztwie był bity. Skutek jest tylko jeden: przenoszą Kapuścińskiego do Lublina. Wiosną 1953 roku Wechmann dostaje siedem lat więzienia, inni nawet dziesięć. – Na szczęście nie mieliśmy broni, bo inaczej byłyby „czapy” – ocenia.

Trafia do Rawicza, do osławionego „białego pawilonu”, który zimą zamarza i pokrywa się szadzią. Siedzi w sześćosobowej celi. Widzi skrajne okrucieństwo wartowników.

Do dziś pamięta zapach kwitnącej maciejki, który w letnie wieczory dochodził przez otwarte okna do wnętrza celi. – To było coś niesamowitego! Wspaniałe! – wspomina.

Na przełomie 1954 i 1955 roku trafia, via Potulice, do obozu pracy w Piechcinie pod Inowrocławiem. Do kamieniołomu wozi ich obstawa z KBW. Pracuje „pod ścianą”, czyli pod urąbkiem kamienia. Praca jest mordercza, codziennie ma rozbijać młotem i ładować na wagoniki 17–18 ton kamienia. I sortować go na głowinę, głowacz, cukrowy i piecowy.

To praca ponad siły wątłego Wechmanna. Zapada na zdrowiu, w izbie chorych ratują go spirytusowymi bańkami. Z rekonwalescencji trafia na przeładunek; tu obowiązują już normy zespołowe. Jest nieco łatwiej, ale tempo pracy nadal ogromne.

Teraz może mieć widzenia z rodziną. Gdy pod ścianą nie wyrabiał z normą, nie dostawał na to pozwoleń.

W listopadzie 1954 roku jest świadkiem wypadku: ciężarówka wioząca ludzi do kamieniołomów wpada do glinianki z wodą. Dzięki przytomności kierowcy większość zamkniętych pod plandeką udaje się uwolnić, ale trzech więźniów ginie na miejscu.

W kamieniołomie pracują do piętnastej. Potem mogą pójść do świetlicy, by odreagować. Wechmann gra na kontrabasie.

O tym, co dzieje się w Polsce, nie wiedzą. Tylko tyle, że zmarł Bierut. Dla więźniów ważniejsze jest to, co dzieje się w „Watykanie”. To specjalnie wydzielona z obozu strefa, w której mieszkają ubowcy.

Medalik od mamy

8 lutego 1955 roku. O szóstej rano, zamiast jechać ciężarówką do kamieniołomu, ubrany w szary roboczy drelich Wechmann słyszy od wartownika: – Pakuj się!

Nie mówią mu, po co. Ale prowadzą go „na komorę”, czyli

do pomieszczenia, w którym są cywilne ciuchy. Tam dostaje worek i polecenie: – Ubieraj się!

Mimo to ciągle nie wierzy, że wychodzi. Przecież nikt mu tego nie zapowiedział.

O tym, że idzie na wolność, dowiaduje się od jednego z wartowników dopiero po wezwaniu do budynku administracyjnego. Dają mu wypisany bilet i wypłacają niedużą kwotę, którą wypracował w kamieniołomie. – To było ciągle niedowierzanie – wspomina.

Wechmann wychodzi więc wcześniej niż po siedmiu latach, jak zakładał wyrok, w ramach nieoficjalnej amnestii. I „za zasługi” – normy przy przeładunku są bowiem korzystne: dzień przepracowany tutaj liczy się podwójnie.

Przy wyjściu z obozu wydają mu z depozytu medalik z komunii świętej i łańcuszek, zerwany z szyi przez wartownika po rozprawie sądowej w 1953 roku. Od tej pory nosił na sznurku inny medalik, подарowany mu przez mamę.

Wechmann ma na sobie stare, wyświechtane spodnie. W pociągu zakrywa dłońmi dziury na kolanach. Jest wychudzony, niemal nie ma zębów; większość stracił jeszcze w Rawiczu. Gdy się psuły, po prostu je wyrywano.

Kiedy wypuszczają go za obozową bramę, nie wie, co ze sobą zrobić. Od kobiety, która odwiedzała w Piechcinie brata, dowiaduje się, że trzeba dojść do dworca w Inowrocławiu. Kilka kilometrów. Więc idzie.

Z Inowrocławia jedzie najpierw do Torunia, a potem do Poznania. Do rodzinnego miasta dociera nocą. Rodzice wiedzą, że niebawem wyjdzie. Nie znają jednak dokładnej daty, więc na dworcu nikt go nie wita. Idzie nocą do domu, do kamienicy przy ulicy Łąkowej. Zastaje w nim rodziców i siostry.

– Już nie pamiętam, co mówiłem do matki i ojca... – wzrusza się. – Najważniejsze, że znowu byliśmy razem.

Jeszcze tej samej nocy idzie z rodzicami do kościoła Najświętszego Zbawiciela. Tego, od którego wszystko się zaczęło – to tutaj spotykali się konspiracyjnie „Piątacy”, zanim zgarnęli ich ubowcy. Świątynia jest zamknięta, więc klękają na stopniach pod drzwiami i modlą się.

Gdy o tym opowiada, głos więźnie mu w gardle.

Wilcze bilety

– Czasem mówię, że moja rodzina poniosła większe konsekwencje niż ja – zamyśla się Wechmann. – Moje siostry, choć zdały na studia, to się nie dostały, bo miały wilcze bilety. Za mnie. Ojciec też był stale pod kontrolą.

Po powrocie Wechmann musi rozejrzeć się za pracą. Rodzina żyje w skrajnej nędzy, utrzymywana z podłej pensji ojca w Urzędzie Miar i Wag. Dopiero wtedy Zenon dowiaduje się z opowiadań matki, że choć odwiedzając go w Piechcinie przywoziła wędlinę, rodzina mięsa ani wędlin nie jadła. – Mama nie brała nawet dla siebie na podróż chleba, żeby zaoszczędzić go dla domu. Raz, będąc w podróży, widziała, jak z drzewa spadło jabłko. Odebrała to jako dar z nieba, najadła się nim – wspomina pan Zenon.

Wechmann chce pomóc rodzinie i też idzie do Urzędu Miar i Wag, ale nie chcą zatrudnić go ponownie. Szuka w innych miejscach, lecz i tam mu odmawiają. W końcu pomaga szczęście – kontrolerzy Urzędu Miar i Wag mają nawał pracy z pomiarami liczników i potrzebują nowych sił. Po kilku miesiącach przyjmują młodego Wechmanna do pracy.

Chodzi więc do pomiarów, spisuje, nakłada plomby na liczniki, kontroluje – a jego kontroluje milicja. Sprawdzają go, wypytyują sąsiadów, mówią, że siedział.

– Ludzie byli nieufni wobec mnie, życie było rozbite. Dawna harcerska brać trzymała się daleko – wspomina.

Gdy 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu wybuchają zamieszki, Wechmann ma wolny dzień i odpoczywa. – Ojciec wrócił i poinformował nas, co się święci. Przykazał mi: „Zenon, żebyś siedział w domu!”

Ale on nie słucha. Idzie na plac przed zamkiem, gdzie zbiera się wielotysięczny tłum. Potem wraz z demonstrantami dociera na Młyńską, pod więzienie. Poznaniacy szturmują bramę, chcą wtargnąć do środka.

– Pod bramą więzienną znalazł mnie ojciec. Wziął mnie za chachoł i powiada: „Do chaty!” – Odnalazł mnie, bo matka mu doniosła,

że wyszedłem. Musiałem się podporządkować, wróciłem do domu.

Jesienią 1956 roku Zenon i dawni koledzy z harcerstwa występują do sądu z wnioskiem o śledztwo w sprawie brutalnych metod stosowanych przez ubowców w 1952 roku. Uzyskuje wgląd do swoich akt, robi notatki ołówkiem. Ale sąd odrzuca wniosek. Uznaje sprawę za przedawnioną, bo Wechmann „nie ma trwałego kalectwa”.

Wechmann pisze też do sądu wojskowego we Wrocławiu o unieważnienie wyroków na „Piątaków”. Dostaje odpowiedź, że nie można tego zrobić hurtem, że każdy musi wystąpić o to indywidualnie.

– To było szalone, że próbowaliśmy anulować te wyroki tak wcześnie – uważa dziś.

Trochę lepsze życie

Na powrocie Gomułki do władzy i zmianach w kraju Wechmann nie zyskuje, lecz traci, zwolnieni oficerowie bezpieczeństwa lądują bowiem w różnych urzędach. Nowym dyrektorem poznańskiego Urzędu Miar i Wag zostaje właśnie były ubek.

– I dla mnie już nie było pracy, zostałem zwolniony.

Dzięki znajomemu dostaje posadę w spółdzielni wyrobów ze szkła laboratoryjnego. Wszyscy wiedzą jednak, że to były więzień, musi więc zgodzić się na najniższe stawki. I nie ma szansy na awans.

Z Przemysłowej przenosi się na Świerzawską, do nowej spółdzielni Labor-Med, gdzie pracuje do emerytury. W latach osiemdziesiątych żeni się (dzieci nie ma) i przenosi do zaopatrzenia. Dopiero wtedy zaczyna się dla niego trochę lepsze życie.

Po 1989 roku pracuje w komisji weryfikacyjnej ZBOWiD-u, dziś szefuje Związkowi Więźniów Okresu Stalinowskiego w Poznaniu. W korytarzu urzędu wojewódzkiego pokój związku sąsiaduje z pomieszczeniem Światowego Związku Żołnierzy AK.

Od czasu do czasu Zenon Wechmann i Jan Górski spotykają się na rocznicowych uroczystościach.



Maj 1956 roku. Amnestia. Jedna ze specjalnych komisji prokuratorskich w składzie: Halina Sejfert, Wiktor Jamiński i Władysław Augustowski, podejmuje decyzje w sprawie przedterminowych zwolnień więźniów politycznych

Marzec 1956

HIT WIOSNY: STEELONY BEZ SZWÓW

Łódź. W Zakładach Przemysłu Pończoszniczego im. Zubrzyckiego w Łodzi zostały wykonane pierwsze pary eleganckich pończoch steelonowych bez szwów. Rozpoczęcie produkcji tych poszukiwanych na rynku pończoch stało się możliwe dzięki sprowadzeniu z Anglii specjalnych maszyn – automatów. Steelony bez szwów ukażą się w sprzedaży w II kwartale br.

„Trybuna Ludu”, 10 marca 1956

PIĘTNO AK-OWSKIEJ PRZESZŁOŚCI

Starano się wytworzyć przekonanie, że okupacyjna przeszłość AK-owców jest grzechem pierworodnym wobec socjalizmu (...). Piętno AK-owskiej przeszłości stawiało niżej od tych, którzy w czasie okupacji tchórzliwie stronili od walki. (...) Wyrządziliśmy tym ludziom krzywdę, wyrządziliśmy może jeszcze większą krzywdę naszej sprawie. Tę krzywdę trzeba jak najszybciej naprawić, trzeba dokonać moralnej rehabilitacji wielkiej części ludzi naszego pokolenia – byłych żołnierzy AK. Trzeba przywrócić jasność i jednoznaczność oceny moralnej ich okupacyjnej przeszłości.

(...) Biało-czerwona opaska z napisem AL czy AK była jedynie miernikiem politycznego uświadomienia, ale nie mogła być probierzem ofiarności, wytrwałości i odwagi. Z punktu widzenia podstawowych wartości moralnych krew i trud każdego żołnierza konspiracji muszą być liczone jednakowo.

„Po Prostu”, 11 marca 1956

ZGUBNE SKUTKI KULTU JEDNOSTKI

Na XX Zjeździe KPZR postawione zostały w sposób szczególnie mocny

zagadnienia walki z kultem jednostki, z piętnem, jaki kult ten wyciska na wszystkich dziedzinach życia umysłowego i społecznego.

Kult jednostki to przekonanie, że wszystko, co dzieje się w społeczeństwie, jest dziełem w pierwszym rzędzie jakiejś wybitnej jednostki, że ta jednostka posiada niemal wyłączność na poznanie prawdy o wszelkich zagadnieniach oraz na kształtowanie w oparciu o tę prawdę wszystkich dziedzin życia społecznego. (...)

Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego wystąpiła do stanowczej walki z kultem jednostki, jako zjawiskiem głęboko sprzecznym z marksizmem, zjawiskiem, które w poważnym stopniu zaciążyło na rozwoju społeczeństwa radzieckiego.

Józef Stalin odegrał wybitną rolę po śmierci Lenina, w okresie socjalistycznego budownictwa w Związku Radzieckim (...). W tym okresie Stalin zdobył sobie szczególny autorytet i popularność. Stopniowo jednak – w latach trzydziestych – Stalin zaczął wynosić się ponad partię, narzucać partii swą wolę, swe jednostkowe decyzje. Kolegialność kierownictwa partyjnego była coraz bardziej umniejszana i wreszcie zlikwidowana. Wszystko to wyrządziło wiele bolesnych i dotkliwych szkód Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i międzynarodowemu ruchowi robotniczemu. (...)

W tych warunkach mogło nastąpić i rzeczywiście nastąpiło wyrodzenie się organów bezpieczeństwa, które stały się niezależne od partii. Stały nad partią i nad państwem. Tu tkwi źródło zwyrodnienia, które określamy mianem beriowszczyzny. (...)

Trwa wielki proces reedukacji naszej partii. Proces bardzo trudny dla każdego z nas. Reedukację musimy zaczynać od siebie, od głębokiej analizy własnych nawyków, własnych metod pracy, własnego sposobu rozumowania. (...) XX Zjazd KPZR podjął z porywającą śmiałością nową wielką ofensywę. Ofensywę w imię odrodzenia leninizmu, oczyszczenia naszej wielkiej idei od wszelkich narośli i wypaczeń. (...) Bardziej niż kiedykolwiek czujemy się solidarni z Komunistyczną Partią Związku Radzieckiego, czujemy się związani z nią naszymi dążeniami, naszymi pragnieniami, naszymi wysiłkami, naszym przekonaniem, że i dziś wraz

z nią pójdziemy do nowych zwycięstw.

„Trybuna Ludu”, 11 marca 1956

ŚMIERĆ SZERMIERZA PRZYJAŹNI

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rada Państwa, Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z głębokim bólem zawiadamiają cały naród – robotników, chłopów, inteligencję i młodzież naszego kraju, że w dniu 12 marca o godz. 21.30 w Moskwie zmarł po ciężkiej chorobie I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR towarzysz Bolesław Bierut.

Dotkliwa to strata dla polskiej klasy robotniczej, której towarzysz Bierut był niezłomnym bojownikiem, dla całego ludu pracy, którego był wiernym synem, dla narodu, o którego wolność i lepszą przyszłość walczył od lat młodzieńczych przez całe swe życie.

(...) Towarzysz Bierut zapisał się w pamięci narodu jako niezłomny bojownik o umocnienie władzy ludowej, o granice Polski na Odrze i Nysie, o zjednoczenie ruchu robotniczego na gruncie marksizmu-leninizmu, o odbudowę kraju, o rozwój gospodarki i kultury naszej ojczyzny, o umocnienie pozycji Polski w świecie, o socjalizm.

Gorący patriota – był szermierzem braterskiej przyjaźni Polski Ludowej ze Związkiem Radzieckim, z wszystkimi krajami socjalistycznymi, szermierzem międzynarodowej solidarności ludzi pracy, żarliwym bojownikiem o pokój i przyjaźń między narodami.

Klasa robotnicza, cały naród znały Go jako czołowego działacza Partii – przewodniczki ich trudu i walki. Partia, której służył do ostatniego tchnienia – jako nieugiętego żołnierza komunizmu.

Cześć jego pamięci!

„Trybuna Ludu”, 14 marca 1956

BYŁ TAKI PROSTY, ZAŁATWIŁ OPAŁ

Wieść o śmierci I Sekretarza KC PZPR odbiła się szerokim echem wśród załóg stołecznych zakładów pracy. We wszystkich oddziałach Zakładów im. 22 Lipca robotnicy odeszli od maszyn, by wysłuchać bolesnego komunikatu.

Na twarzach ludzi – smutek. W oczach wielu robotnic błyszczą łzy. Szczególnie bliski był Bolesław Bierut, z zawodu drukarz – warszawskim drukarzem. Są tacy, których z I Sekretarzem KC PZPR łączą osobiste wspomnienia. W drukarni im. Rewolucji Październikowej we wszystkich działach odbyły się zebrania załóg. (...)

Z uczuciem serdecznego bólu i głębokiego smutku przyjęli wiadomość o śmierci Bolesława Bieruta spółdzielcy w Jackowicach. Spółdzielnię produkcyjną w Jackowicach Bolesław Bierut odwiedził dwa razy i stale interesował się rozwojem i postępem jej gospodarki.

Był taki prosty i coś dobrego miał w oczach – opowiada członkini spółdzielni Olszewska. – Ludzie od nas pisali potem do niego. Załatwił jakiś opał, jakieś materiały budowlane. Była od nas delegacja u niego w Radzie Państwa w ostatnie dożynki. A teraz już nie przyjedzie...

„Zielony Sztandar”, 18 marca 1956

PAŁKI, KTÓRE WYSKAKUJĄ

Prawdopodobnie już w kwietniu warszawscy milicjanci otrzymają pałki. Będą to pałki chowane w rękojeść, z której w razie potrzeby wyskakują.

„Trybuna Ludu”, 25 marca 1956

Literaci jedzą żabę

„Jestem zupełnie rozbity. Rozum ludzki padł ofiarą największego oszustwa w dziejach” – notuje Andrzej Kijowski, 28-letni krytyk literacki.

Jest 21 marca 1956 roku, Warszawa, dzień wiosennego przesilenia. I przesilenia w myśleniu wielu ludzi. Kijowski jest wstrząśnięty lekturą referatu Chruszczowa *O kulcie jednostki i jego następstwach*, który dotarł do stolicy zaraz po lutowym XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Ujawnione przez nowego szefa KPZR fakty dotyczące zbrodni Stalina i okrucieństw systemu ZSRR są szokiem dla środowisk twórczych PRL.

Środowisko literatów budzi się z głębokiego snu. To bolesna pobudka, niejeden z autorów chwalał w minionych latach Stalina czy Bieruta ma moralnego kaca.

XIX Sesja Rady Kultury i Sztuki, instytucji Ministerstwa Kultury i Sztuki, odbywająca się 24 marca w Warszawie, to seans zbiorowego bicia się w piersi.

Moralna zgoda na zbrodnię

Zaplanowane jeszcze w styczniu spotkanie ma, zgodnie z planem pracy ministerstwa, stworzyć „szeroki długofalowy plan ofensywy kulturalnej”. Spotkaniu przewodniczy minister Włodzimierz Sokorski, dotychczas promotor socrealizmu. Wszyscy obecni na naradzie w ministerstwie czują jednak, że plan pracy jest już od miesiąca nieaktualny.

„Nie jest rzeczą łatwą przemawianie w obecnej chwili – zagaja prof. Jan Kott, poeta i członek partii, który jeszcze niedawno atakował wrogów socjalizmu, oskarżał Armię Krajową o faszyzm, a *Kamienie na szaniec* Aleksandra Kamińskiego nazwał „groźną książką” wychowującą kondotierów. – Nie jest rzeczą łatwą po prostu dlatego, że głęboko się

przeżywa, że sprawy kultury i sztuki są jak gdyby bardzo błahe, bardzo dalekie od wielkiego wstrząsu społecznego, politycznego i moralnego, jaki przeżywamy obecnie”

Ale Kott przejrzał. Krytykuje mitologizowanie rzeczywistości, socjalizmu, rewolucji i sztuki. Negowanie dorobku i tradycji kultury zachodniej tylko z tego powodu, że nie spełniała standardów wyznaczonych przez ideologów kultury stalinowskiej. Dostaje się nawet literaturze Związku Radzieckiego.

„Miała zamknięte usta” – mówi profesor.

Krytycznie ocenia też dokonania polskiej kultury po wojnie. Zarzuca pisarzom, że utracili zmysł moralny: „Chodzi po prostu o stosunek do rzeczywistości. Chodzi o prawdę uczuć i prawdę wydarzeń, które ta literatura odmalowywała, chodzi o zatrącenie moralnego wyczucia krzywdy, o brak jasności intelektualnej, owo wyrażanie zawsze i z całą ufnością zgody na wszystko, co się dzieje”

Kott atakuje jeszcze z pozycji marksistowskich. Wytyka partii, że „nie dość” pomagała twórcom w odnowie życia kulturalnego. „Nie otrzymaliśmy ani zachęty, ani pomocy, że przeciwnie, polityka kierownictwa wyraźnie hamująco oddziaływała na ten proces odnowienia literatury i sztuki, który zachodził w latach ostatnich – krytykuje. – Dawaliśmy moralną zgodę na krzywdę i dawaliśmy swoją moralną zgodę na zbrodnię. I z tego będziemy musieli się tłumaczyć”

To pierwszy tak mocny głos przeciw literaturze spętanej ideologią. Ale nie ostatni.

Wyjście z mroku średniowiecza

Na mównicy staje Antoni Słonimski, poeta, który wrócił z emigracji w 1951 roku, gdy inni pukali się w czoło. Jeszcze niedawno sam atakował Czesława Miłosza. Teraz przemawia ostro, odważnie – przeciwko systemowi.

„Historia filozofii nowożytnej mało zna okresów, które by tak jak lata ostatnie pogłębiły i udoskonaliły nietolerancję – mówi. – Prześladowania myśli krytycznej w początkach Odrodzenia czy później w wieku XVII i XVIII wydają się niemal sielanką w porównaniu do czasów, które przeżyliśmy

i które – powiedzieć możemy z ulgą – odchodzą!”

Słonimski stawia diagnozę: początkiem nieszczęść było bezwiedne przyswojenie radzieckich wzorców w polskiej kulturze. Nazywa socrealizm „precyzyjnym narzędziem niszczenia sztuki”, a urzędników Andrieja Żdanowa [w latach 1944-1948 kierownika Wydziału do spraw Kultury i Ideologii w KC KPZR, jego podwładni sprawowali nadzór ideologiczny nad życiem kulturalnym w ZSRR – red.] porównuje do hitlerowców.

Ale na tym nie koniec. Słonimski krytykuje dorobek kulturalny Polski z początku lat pięćdziesiątych: „Filmy z tego okresu przypominają zwierzęta z epoki mezozoicznej, a architektura – poronione płody”

Nikt dotąd nie przemawiał na tym forum tak odważnie.

Obecni na sali działacze partyjni muszą przełknąć gorzką pigułkę także wtedy, gdy Słonimski porównuje socrealizm z dotąd postponowanym dwudziestolecie międzywojennym. Przypomina, że w II RP mógł działać teatr Leona Schillera, mogła rozwijać się literacka twórczość Leona Kruczkowskiego, Władysława Broniewskiego czy malarstwo Władysława Daszewskiego. Tymczasem „w Polsce Ludowej zniszczono Schillera, Daszewskiego wycofano z wystaw międzynarodowych”. I dodaje: „Ograniczam się tu umyślnie do działalności polskich artystów skrajnej lewicy i członków Partii Komunistycznej. Koledzy nasi: [Stanisław – red.] Stande, [Wacław] Bandurski, Bruno Jasieński nie w polskich zginęli więzieniach”

Wspomniana przez poetę trójka to ofiary stalinowskich czystek. Przywołanie na oficjalnej sesji w ministerstwie „wyklętych” pisarzy lewicowych to dla słuchaczy szok. Nie ostatni.

Słonimski twardo domaga się przywrócenia „zasadniczych swobód obywatelskich”, w pierwszej kolejności – wolności słowa. Jego zdaniem odpowiedzialność za błędy nie ponoszą żadne abstrakcyjne „wypaczenia”, ale ustrój umożliwiający kult jednostki i inne szkodliwe działania.

„Wychodzimy z mroku średniowiecza – puentuje swoje wystąpienie. – Słowom trzeba przywrócić ich znaczenie i rzetelność”

Na sali burza oklasków, długotrwała owacja. Następnego dnia o brawurowym wystąpieniu Słonimskiego dyskutować będzie cała

warszawska inteligencja.

„Te oklaski uznać można za rodzaj oczyszczającej terapii – nastąpiły po odważnej mowie pisarza powszechnie szanowanego za postawę i dorobek, który tak jak większość dał się w pewnym momencie uwieść totalitarnej pokusie; nastąpiły po słowach przywracających sens podstawowym wartościom, które umożliwiały wyjście z pewnego zamkniętego kręgu »odwilżowych« postulatów” – ocenił Eryk Krasucki, który przeanalizował partyjne protokoły z tej dyskusji.



Na mównicy staje Antoni Słonimski, poeta, który wrócił z emigracji w 1951 roku, gdy inni pukali się w czoło. Jeszcze niedawno sam atakował Czesława Miłosza. Teraz przemawia ostro, odważnie – przeciwko systemowi

Kolonizatorzy w kolonii czarnego narodu

Słowa Słonimskiego rozwiązują języki i uwalniają myśli innych.

Profesor Karol Estreicher, historyk sztuki, uważa, że niezbędnym warunkiem odnowy życia kulturalnego jest „przywrócenie indywidualnej odpowiedzialności za słowo i czyn”

Mieczysław Jastrun wzywa do moralnego osądu i napiętnowania tych, którzy niszczyli kulturę, a nie ma ich na sali.

Julian Przyboś nazywa socrealizm „pałką stworzoną przez Żdanowa dla zabicia sztuki, na użytek urzędników biura propagandy, serwilistów i panegirystów”. I wzywa, aby „dać głos tym, którzy nie ulegli ogłupieniu i cynizmowi”

Przyboś domaga się też zmian na stanowiskach redaktorów najważniejszych czasopism społeczno-kulturalnych.

Drugiego dnia obrad ze swoją niedawną przeszłością rachuje się Witold Wirpsza, poeta i prozaik, również członek partii. „Dlaczego jadłem tę żabę? – pyta. – Czy był taki okres w moim życiu, kiedy byłem naprawdę przekonany o tym, że bohaterowie procesów moskiewskich byli rzeczywiście zdrajcami i agentami faszystów? Nie, zawsze miałem co do tego niejakie wątpliwości albo, mówiąc oględniej, odczuwałem pewien niepokój. Czy niepokój ten likwidował jakiś dr Faul? [postać z *Obrony Grenady* Kazimierza Brandysa, uosobienie partyjnej dialektyki – red.] Zapewne – trochę i dr Faul. W głównej mierze jednak ja sam likwidowałem w sobie ten niepokój. I dlatego, że przez dłuższy czas odbywała się we mnie ta likwidacja – dlatego jadłem tę żabę”

Kończy heroicznie: „Nade wszystko baliśmy się sami zostać żabami, które by ktoś pożerał. (...) A za to, co się mnie tyczy, pragnę osobiście ponieść odpowiedzialność”

Literaci domagają się wolności słowa. Ktoś przytacza skonfiskowane przez cenzurę wiersze Woroszylskiego, Jastruna, Ważyka i Wyki.

„Artyści w Polsce są kolonizatorami w kolonii czarnego narodu” – rzuca prowokacyjnie Lech Zahorski, grafik i współpracownik „Kultury”

Pisarka Anna Kowalska notuje w dzienniku: „Słonimski zażądał,

by odeszła góra partyjna, która jest winna temu, co się stało, deprawacji moralnej i zniszczeniu literatury. (...) Wyścig, kto jest szerszy, kto jest »jedynym sprawiedliwym«. Nawet biedny Kruczkowski (...) bąkając, dowodził, że on już dawno, jeszcze w 1950 i 1951 oponował i walczył ze złą polityką kulturalną. Słonimski: »Nie pamiętamy!«. Bogowie!»

Zwolennikom zmian podczas sesji odpowiadają wysocy działacze partyjni: Stefan Żółkiewski, Jerzy Putrament i minister Włodzimierz Sokorski. Ich wystąpienia wypadają jednak blado. Sokorskiego stać jedynie na stwierdzenie, że „XX Zjazd jest głosem, na który czekaliśmy”

Partyjni literaci starają się omijać zarzuty oponentów szerokim łukiem. Żółkiewski opowiada się przeciwko rewolucyjnym zmianom, a Putrament obawia się, że pisarze mogą zanegować socjalizm: „Jeżeli w czymś zobaczyliśmy coś bardzo złego, my przestajemy widzieć to dobre, co może w tym zjawisku być!”

Kilkanaście dni później Putrament nazwie zwolenników radykalnych zmian „matadorami Sesji”

O istnieniu „opozycji literackiej” dowiadują się niebawem ze specjalnych opracowań Biuro Polityczne i Sekretariat KC PZPR. Do grona „liberałów” awansują Słonimski, Sandauer, Estreicher i Przyboś.

Na szczytach PZPR przetasowania: w kwietniu 1956 roku I sekretarzem zostaje Edward Ochab. Nie ma pewności, czy partia znowu przykręci śrubę, czy poluzuje. „Weźcie gazurkę i przepędźcie tego Żyda Słonimskiego!” – proponuje podczas spotkania z łódzkimi robotnikami wiceminister obrony narodowej gen. Kazimierz Witaszewski.

W odpowiedzi partyjni członkowie Związku Literatów Polskich piszą list do KC: „Generał usiłował podważyć zaufanie robotników łódzkich do inteligencji twórczej naszego kraju”. Partia nie reaguje.

Buźka i spokój, czyli oportunizm bohaterski

Wieści o burzliwej sesji Rady Kultury i Sztuki idą w Polskę.

Wiosna 1956 roku to czas rozliczeniowych spotkań środowisk artystycznych. Zbierają się m.in. członkowie Prezydium Partyjnego Koła

Twórczego przy Sekcji Filmowej SPATiF. „Zebranie to ujawniło duże przygnębienie niektórych twórców – donosi w notatce „sektor filmowy” Wydziału Kultury KC. – Towarzysze zastanawiali się, jak mogło dojść do tak poważnych wypaczeń w naszym życiu partyjnym. Niektórzy stwierdzali, że po prostu nie mieści im się w głowie to, że te wszystkie prawdy, w które ludzie uwierzyli, bardzo często z dużymi oporami, przestały być nagle prawdą”.

Pisarze i poeci związani dotychczas z reżimem czują się w obowiązku rozliczyć przed środowiskiem.

3 maja 1956. Anna Kowalska notuje: „Kornaccy mówili, że był u nich [Jerzy – red.] Andrzejewski – mówił o sobie, że jest kurwa, szmata, skończony, złądaczony, że już nic nie napisze. Podobno rozpił się i włączył się po najgorszych knajpach na Pradze w poszukiwaniu chłopców”.

Inni zaczynają pisać inaczej niż do tej pory. Latem 1956 roku w „Po Prostu” ukazuje się *Obrona Grenady* Kazimierza Brandysa, przodownika prozy socrealistycznej, który jeszcze we wrześniu 1955 roku opublikował opowiadanie *Nim będzie zapomniany*, paszkwil na Czesława Miłosza. W *Obronie Grenady*, a potem w powieści *Matka Królów* Brandys opisuje tragiczne losy polskich komunistów, zgruchotanych przez totalitarny system, który współtworzyli.

„W duszy Brandysa zaszła metamorfoza i napisał opowiadanie pod tytułem *Obrona Grenady*. Że niedobrze, ale że będzie lepiej. Niedobrze było dlatego, że musiało być niedobrze; ale od tej chwili – ogólna buźka i spokój. Również i tym razem Brandys nie sprawił niespodzianki swoim czytelnikom i nie podważył ich zaufania. Epos Brandysa rozłożył fachowo Artur Sandauer, człowiek bez złudzeń, który to dzieło nazwał, a właściwie wyśmiał, określając je mianem »oportunistu bohaterskiego«” – szydzi Hłasko w *Pięknych dwudziestoletnich*.

Jerzy Andrzejewski, choć zastrzega się, że nic już nie napisze, od grudnia 1955 roku w tajemnicy przygotowuje powieść odkupienie. W 1957 roku wydaje *Ciemności kryją ziemię*. Krytykuje stalinowski system przemocy, ukrywając go aluzyjnie za maską hiszpańskiej inkwizycji. „Zła i fałszywa jest ta wiara i trzeba uczynić wszystko, aby nędza usunięta została nie

powierzchnownie, lecz wyrwana i zniszczona u samych swych korzeni” – pisze.

Ciemności... to jedna z najśmielszych krytyk ustroju komunistycznego w literaturze październikowej. Wszystkie powstające wtedy utwory posługują się jednak językiem ezopowym, ubierają krytykę w kostium historyczny lub symboliczny.

Jan Józef Szczepański wydaje w 1957 roku powieść *Pojedynek*. Pisał ją już od kwietnia 1955 roku. Kreśli w niej pesymistyczny obraz przemian w Polsce lat pięćdziesiątych, dochodząc do tego samego wniosku co Andrzejewski: zło tkwi w samej istocie systemu komunistycznego.

Andrzej Braun, literat i pracownik Wydziału Kultury KC PZPR, pisze opowiadanie *Piekło wybrukowane*.

Wiktor Woroszyński, autor m.in. *Poematu o generale Świerczewskim* i młody piewca socrealizmu, jesienią 1956 roku jedzie jako korespondent prasowy na Węgry. Sowieckie okrucieństwo jest dla niego wstrząsem. W jego życiu to przełom – zrywa z komunizmem. W 1958 roku wydaje zbiór opowiadań *Okrutna gwiazda*.

Stanisław Wygodzki, w czasach stalinowskich szef działu literackiego Polskiego Radia, pisze *Zatrzymanego do wyjaśnienia*, opowiadanie zostaje jednak zatrzymane przez cenzurę i nigdy nie ukazuje się w PRL.

Aleksander Ścibor-Rylski, żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego, a potem m.in. autor powieści *Węgiel* – o przodownikach pracy – pisze *Morze Sargassa*. To opowiadanie jest historią byłych akowców próbujących ułożyć sobie życie i coraz mocniej osaczanych w powojennej Warszawie przez UB. Ukazuje się w dwóch odcinkach w „Nowej Kulturze”

Krótkie togi ocalieli

W końcu września 1956 roku Maria Dąbrowska wraca zniesmaczona z zebrania Oddziału Warszawskiego ZLP. Obrady są burzliwe, padają gorzkie słowa.

„Znów ten sam poziom bab kłócących się w maglu – notuje w swoich *Dziennikach*. – Każdy chce uchodzić teraz za wielkiego liberała, buntownika

i moralistę i wszyscy wymyślają każdemu, że jak śmie za to uchodzić, kiedy wtedy a wtedy... Wypominają sobie wszystkie grzechy, wiele świętego oburzenia, padają wrzaski: »Fuj! Hańba!« etc., a w gruncie rzeczy każdy myśli o sobie, żeby straciwszy już i tak kredyt u władz, zyskać go sobie »u narodu« (...). Anna [Kowalska – wspomniana wyżej pisarka, współlokatorka Dąbrowskiej w kamienicy w al. Niepodległości w Warszawie – red.] świetnie określiła tych wszystkich Katonów: »Powkładali togi ocalieli godności pisarza i nie dostrzegli, że togi za krótkie, widać spod nich gołe tyłki i genitalia«. Wrażenie tego zbiegowiska odstręczające»

Jesień 1956 roku przynosi nieśmiałe wzmianki w prasie o pisarzach przedwojennych i emigracyjnych, a w końcu również książki Stanisława Ignacego Witkiewicza, Brunona Schulza i Witolda Gombrowicza. Do kraju wracają Melchior Wańkowicz i Stanisław Cat-Mackiewicz. Ich utwory również mają być drukowane.

„Na obiedzie Melchior Wańkowicz – zapisuje pod datą 13 września 1956 roku Maria Dąbrowska. – Bardzo się zmienił, bardziej niż inni emigranci, których widziałam w Paryżu i Londynie. Śnieżne białe włosy, miły stary pan, ale już nie dorodny piękny mężczyzna, jakim pozostał np. Kazio Wierzyński. Jakby grubszy i mniejszy, niż był kiedyś. A jednak pozostał młody, najżywszy może człowiek spośród emigrantów. Obserwuje, myśli, konfrontuje myślenie z życiem, energia, dobry humor. Nie doceniałam go nigdy jako pisarza (...). A teraz słucham z pasją jego opowiadań»

Polacy mogą nareszcie zapoznać się z aktualną twórczością literacką na świecie. Tygodnik „Świat” drukuje nawet fragment *Roku 1984* George’a Orwella.



„Na obiedzie Melchior Wańkowicz – zapisuje pod datą 13 września 1956 roku Maria Dąbrowska. – Bardzo się zmienił, bardziej niż inni emigranci, których widziałam w Paryżu i Londynie”. Od lewej: Maria Dąbrowska, Melchior Wańkowicz, Anna Kowalska

Histeria, żale, deklamacje

Zbliżają się wybory do zarządu Związku Literatów Polskich, na czele którego stoi jeszcze Leon Kruczkowski, dotychczas lojalny aparatczyk. Antoni Słonimski udziela wywiadu. „Pisarze zawsze byli związani z formami przekształcającego się życia – mówi. – Dziś to się tylko nasila i odpowiedzialność pisarza jest ogromna. Treść dzieła musi być podyktowana własnym imperatywem (...), w żadnym razie zaś nie może być – narzucona. Tam bowiem, gdzie drukuje się »prawdy uzgodnione«, kończy się wszelka literatura i wszelka myśl”.

Słonimski liczy, że zostanie nowym prezesem ZLP.

Przełom listopada i grudnia 1956 roku. W sali Naczelnej Organizacji

Technicznej w Warszawie odbywa się zjazd Związku Literatów Polskich. Pisarze są pod silnym wrażeniem tragicznych wydarzeń na Węgrzech. Jan Brzechwa zgłasza kandydaturę Słonimskiego na szefa związku. Nie ma on konkurentów, z kandydowania rezygnuje bowiem Maria Dąbrowska, choć cieszy się poparciem części delegatów. Dąbrowska uważa jednak, że się nie nadaje. Z kandydowania na szefa ZLP wycofują się także pisarz Michał Rusinek oraz poeci Julian Przyboś i Mieczysław Jastrun.

„Nie wiem, czy [Słonimski – red.] to będzie stosowny prezes, ale w każdym razie będzie śmiały i na żadne świństwa nie pójdzie. Oby tylko nie zaczęły się napaści antysemitów” – pisze w *Dziennikach* Dąbrowska zaraz po zjeździe.

„Histeria, dawne żale, deklamacje, małostkowość, szlachetne oburzenie. Pięknego odczytu Przybosia o literackich zagadnieniach sala nie chciała słuchać. Mądrych słów Maryjki [Marii Dąbrowskiej – red.] nie zrozumiała” – komentuje wydarzenia zjazdowe Anna Kowalska.

W euforycznej atmosferze zjazd podejmuje uchwały: o naprawieniu krzywd wyrządzonych niektórym pisarzom w okresie stalinowskim, o poparciu dla narodu węgierskiego, o zniesieniu prohibitów w czytelnich i bibliotekach. A także o rozszerzeniu kontaktów z polskimi pisarzami na emigracji i zniesieniu ograniczeń w sprowadzaniu paryskiej „Kultury” oraz innej prasy emigracyjnej.

Ludziom pióra wydaje się, że granice wolności poszerzają się niebywale: dostają zgody na wyjazdy na stypendia do Europy Zachodniej i Ameryki. Polskie wydawnictwa drukują wreszcie Hemingwaya, Camusa czy Mauriaca.

Najważniejsze jest rolnictwo

Ale euforia kończy się szybko. Po wyborze na prezesa Słonimski rozmawia podczas bankietu z Gomułką. Wyraża radość ze zmian w kraju, ale I sekretarz odpowiada mu ponuro:

„No tak, ale wy umysły podniecacie, a to niedobrze!”

Zbity z tropu poeta przez chwilę szuka odpowiedzi.

„Literatura podnieca umysły od paru tysięcy lat – ripostuje w końcu. –

Gdyby nie podniecała, to nie byłoby socjalizmu”

Gomułki to jednak nie przekonuje. „Najważniejsze są sprawy rolnictwa” – kwituje i odchodzi.

Słonimski jeszcze się łudzi. Zabiega o złagodzenie cenzury, a podczas pobytu w Japonii krytykuje stalinizm, mówiąc, że zdevastował życie kulturalne i naukowe w Polsce.

Dwa lata później Służba Bezpieczeństwa zakłada mu telefoniczny podsłuch, zaczyna też kontrolować listy prezesa. Dla partii jest teraz nielojalnym awanturnikiem. W grudniu 1959 roku na stanowisku szefa ZLP zastąpi go ugodowy Jarosław Iwaszkiewicz.

Kilka miesięcy wcześniej, w kwietniu 1958 roku, sekretariat KC PZPR poleca nie wydawać już więcej książek, w których dokonywano by rozrachunku ze stalinizmem.

Październik jest już historią.



Pisarze polscy oddają hołd walczącym Węgrom. Warszawa, 29 listopada 1956 roku, obrady VII Walnego Zjazdu Delegatów Związku Literatów Polskich

Kwiecień 1956

ZNACZĄCE ZALETY NAPĘDU SYRENY

Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu przygotowuje się obecnie do uruchomienia produkcji „Syren”. W końcu bież. roku zakład ma wreszcie opuścić pierwsza partia tych samochodów – od początku 1957 roku rozpocznie się ich produkcja seryjna. Jak wiadomo, silniki do „Syren” dostarczać będzie Wytwórnia Sprzętu Mechanicznego w Bielsku, gdzie już przed kilku dniami rozpoczęto ich produkcję.

Tymczasem kilka próbnych „Syren” odbywa codziennie różne doświadczalne rajdy. Samochody mają już na koncie ponad 50 tys. kilometrów przejechanych w różnych warunkach drogowych. Jak dotychczas, zdają egzamin bez zarzutu. Ostatnio odbyty rajd po zaśnieżonych szosach wykazał znaczące zalety napędu na przednie koła, jaki posiada „Syrena”.

W FSO wykonywane już jest oprzyrządowanie dla podwozia „Syren”. Nieco mniej zaawansowane są prace przy wykonywaniu karoserii tych samochodów, jednak i tu już w najbliższym czasie roboty przygotowawcze przeniosą się z biura głównego technologa do wydziału narzędziowni (...).

„Trybuna Ludu”, 4 kwietnia 1956

ŻYJE SIĘ DŁUŻEJ, ŻYJE SIĘ ZDROWIEJ

Kraków. 17 milionów 500 tysięcy uprawnionych do korzystania z bezpłatnej opieki lekarskiej w ramach ubezpieczeń społecznych, 300 tysięcy pacjentów dziennie, korzystających z porad i zabiegów w ośrodkach zdrowia i ambulatoriach, przedłużenie przeciętnego wieku człowieka z ok. 50 lat przed wojną do 62 obecnie – oto główne osiągnięcia naszej służby zdrowia, z którymi zapoznano uczestników odbywającej się w Krynicy międzynarodowej konferencji naukowej (...). Około 85 proc. porodów

odbywa się w szpitalach lub wiejskich izbach porodowych, 80 proc. obszaru kraju obejmują już swym zasięgiem stacje pogotowia ratunkowego. Sukcesami może poszczycić się również nasz przemysł farmaceutyczny, który pokrywa dziś 85 proc. zapotrzebowania na leki, gdy przed wojną zaspokajał je zaledwie w 15 proc.

„Trybuna Ludu”, 7 kwietnia 1956

NARODZINY WIELKIEJ PŁYTY

W dniu 31 marca oddany został w Poznaniu do użytku pierwszy wielkopłytowy blok mieszkalny, wybudowany metodą uprzemysłowioną. W sąsiadującym z nim bliźniaku trwają jeszcze roboty wykończeniowe. Oba budynki wznoszą się na krawędzi Parku Kasprzaka, tuż obok szklanych pawilonów poznańskiej Palmiarni; budowa ich rozpoczęła się równo rok temu.

Każdy z obu bloków posiada dwa piętra, płaski dach i kilka małych balkoników, stanowiących element dekoracyjny na fasadzie. W każdym bloku mieszczą się 24 mieszkania o łącznej liczbie 54 izb. W obu budynkach, od piwnic aż po dach, nie ma ani jednej cegły. Wszystko, co składa się na gmach w stanie surowym (...) – zestawione jest z gotowych elementów prefabrykowanych.

„Trybuna Ludu”, 11 kwietnia 1956

PIERWSZE WYTRZEŻWIAŁKI

Prezydium miejskich rad narodowych w większych miastach kraju zamierzają otworzyć specjalne izby wytrzeźwień dla pijaków. M.in. już w maju br. izby takie mają powstać w Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Gdańsku. W innych miastach, m.in. w Krakowie, izby takie zostaną zorganizowane w najbliższym czasie po uzyskaniu odpowiednich lokali.

Wystarczy powiadomić telefonicznie izbę wytrzeźwień o leżącym czy awanturującym się gdzieś na ulicy pijaku, aby pielęgniarze, dyżurny milicjant i dyżurny lekarz zajęli się delikwentem. Jeśli zajdzie potrzeba, po przewiezieniu „pacjenta” specjalną karetką do bazy przeprowadzi się

odpowiednie zabiegi, jak np. płukanie żołądka w celu usunięcia zatrucia alkoholem. Koszty transportu oraz wszystkich zabiegów ponosić będą „pacjenci”

„Trybuna Ludu”, 14 kwietnia 1956

DROGĄ HERBATĘ TYLKO WTYKAJĄ

Od pewnego czasu w całej Warszawie nie sposób dostać taniej herbaty Yunan czy Ulung po zł 7,10 paczka, wtykają nam natomiast drogie, jako żywo nic a nic nie lepsze gatunki po 14,25 zł (...). Czy są to przejściowe i usprawiedliwione trudności z zaopatrzeniem, czy – jak powszechnie się słyszy – ukryta podwyżka cen?

„Trybuna Ludu”, 18 kwietnia 1956

NAMIĘTNE SŁOWA NOCĄ O PARTII

Nasza partia ma też własny rachunek błędów z minionego okresu. Robimy dziś ten rachunek każdy we własnym sumieniu i w nocnych rozmowach, które nigdy nie były tak długie i tak przejmujące, namiętne. Robimy dziś ten rachunek na setkach zebrań partyjnych, gdzie zabierają głos tysiące komunistów, gdzie pada mnóstwo pytań. Sprawy te są bliskie całemu społeczeństwu, toteż mówi dziś w nich cały naród.

Padają gniewne i namiętne słowa. Wiele jest goryczy i bólu, wiele ostrej, uzasadnionej krytyki. Błędy popełnione kosztowały nas drogo, toteż zdrowe i naturalne jest dążenie do tego, by na zawsze i bezpowrotnie wyrwać korzenie zła.

Jest to krzepiący proces. Partia rośnie, dojrzewa i wzmacnia się w tej dyskusji (...). Partia i rząd przeprowadziły poważne zmiany w strukturze, kompetencjach i metodach pracy organów bezpieczeństwa, wyciągnęły poważne wnioski organizacyjne oraz dokonały wśród kadry bezpieczeństwa dużej pracy politycznej, zmieniającej gruntownie klimat moralno-polityczny (...).

„Trybuna Ludu”, 18 kwietnia 1956

KOTERBSKA KRÓLUJE, TYLKO PŁYT MAŁO

Ponad 200 tys. płyt produkuje co miesiąc Warszawska Fabryka Płyt Gramofonowych. Już w tym roku załoga tej fabryki dostarczyła do sprzedaży 550 tys. płyt. Obecnie króluje w fabryce Koterbska (chodzi oczywiście o piosenki przez nią śpiewane, nagrane na płyty).

Zofia Modzelewska (widoczna na zdjęciu) produkuje płyty. Niejednemu zaśmieją się oczy, są to bowiem płyty długogrające, wolnoobrotowe, nie tłukące się. Trudno znaleźć je w sklepach. Nic dziwnego – jedyna w Polsce fabryka płyt robi je tylko na dwóch maszynach. 27 tys. sztuk, które dotychczas poszły do sprzedaży, to „kropla w morzu”. Dodatkowe maszyny, które umożliwią zwiększenie produkcji tych płyt, fabryka otrzyma dopiero w III kwartale br.

„Trybuna Ludu”, 19 kwietnia 1956

„BIERUT” NIE CHCIAŁ DO WODY

W czwartek 19 kwietnia godz. 6 po południu. Statek gotów do wodowania. Z pomostu manewrowego inż. Rekowski podaje komendę: załoga pokładowa na statek!

Wczoraj też padła ta komenda i statek ani drgnął. Stał na pochylni jak wmurowany. Po dwóch godzinach wodowanie 10-tysięcznika „Bolesław Bierut” odwołano. Stoczniowcy mocno odczuli to niepowodzenie. Wszyscy byli zupełnie jak struci (...).

Środa 18 kwietnia była tu na Wybrzeżu niezwykle jak na tę porę roku zimna. Temperatura spadła nieco poniżej zera. Nie zdziwiłem się, gdy inż. Rekowski pokazał mi, jak stwardniał od zimna smar na torze ześlizgowym. I to właśnie było przyczyną, że płozy nie chciały ruszyć. Tarcie było zbyt wielkie.

Pracowali całą noc i dzień. Jeszcze raz przygotowywali statek do wodowania. Wstrzykiwali w smar oliwę, założyli trzy potężne pompy tłoczące. Płozy popchnięte ciśnieniem 200 atmosfer muszą ruszyć.

Jest już godzina 18.10. Pada ostatni rozkaz: stopery mechaniczne zwolnić! Tłoki pomp napierają na płozy. Ludzie zawiśli wzrokiem na burcie statku. Nie wiem, jak to długo trwało, może sekundy, może minuty. Wreszcie

drgnął. Zaczął się zsuwać tak powoli, tak nieznacznie, że nie byliśmy pewni... Już sunie coraz szybciej. Pod rufy tryskają białe bryzgi wody... Spłynął na morze – ludzie poszaleli. Gwałtownie zrzucone napięcie przemienia się w szal radości. Pędzą wzdłuż pochylni. Krzyczą, obejmują się.

„Trybuna Ludu”, 21 kwietnia 1956

ABORCJA, ALKOHOLIZM, AMNESTIA

(...) Przemiany zachodzące w naszym kraju radują serce każdego uczciwego człowieka. (...) Na przygotowywanej obecnie sesji Sejmu omawiane będą: ustawa o amnestii, ustawa o zwalczaniu alkoholizmu, ustawa o przerywaniu ciąży – czyż nie są to problemy istotne, pasjonujące całe społeczeństwo? Sejm zajmuje należne mu konstytucyjnie miejsce w układzie władzy w naszym kraju.

Ustawa o amnestii, która stanie się przedmiotem obrad Sejmu, będzie politycznym aktem wielkiej wagi. Ludzie zaś, którzy skorzystają z drogi powrotu na podstawie amnestii, będą wdzięczni Partii, Rządowi i Sejmowi za to, że droga ta będzie szeroka, za to, że wrócą do społeczeństwa, odnajdą rodziny i – siebie samych.

„Trybuna Ludu”, 21 kwietnia 1956

„Po Prostu” prawdą po oczach

„Byłem zetempowskim aktywistą. Robiłem obok rzeczy potrzebnych tysiące głupstw i święcie wierzyłem w ich mądrość. Przyczyniłem się też do wyrzucenia mojej starej i mądrej szkolnej nauczycielki za »reakcyjność«. Popełniłem moc bzdur” – bije się w piersi Jerzy Urban, dziennikarz, lat dwadzieścia dwa i pół.

Publicznie, na łamach poczytnego tygodnika.

Dalej jest jeszcze mocniej: „Kłamałem podwójnie – nie pisząc o sprawach istotnych i pisząc lukrowane reportażyki. Ale najgorsze, że i ja, i inni wierzyli w sens i rację tego kłamstwa”

Jest styczeń 1956 roku. Za oknem redakcji „Po Prostu” na Wiejskiej 17 mroźna zima. W polityce również – na czele partii stoi jeszcze Bolesław Bierut, choć w bezpiecie czuć już odwilż.

Pismo, które publikuje tekst Urbana, jeszcze rok temu było nudnym tygodnikiem Zarządu Głównego ZMP i zalegało w paczkach na parapetach uczelni. Teraz jest rozchwytywaną gazetą „studentów i młodej inteligencji”. Dzięki tekstom takim jak *Wyznania nawróconego cynika*.

Autor artykułu przyszedł do tygodnika rok wcześniej z „Nowej Wsi”. Jak sam o sobie napisał, na początku 1956 roku coraz więcej rozumiał, a coraz mniej czuł. W końcu musiał to z siebie wyrzucić.

Cynik bije się w pierś

Dziś Jerzy Urban ma osiemdziesiąt trzy lata i jest redaktorem naczelnym tygodnika „Nie”. Sprawia wrażenie zmęczonego, może nawet znudzonego opowiadaniem o swoich latach w „Po Prostu”. Uważa, że robił w życiu rzeczy znacznie ważniejsze.

– To są już sprawy dobrze opisane – mówi, zapalając papierosa. Siedzi w skórzanym fotelu, za szerokim biurkiem. Rozluźniony. – *Wyznania*

nawróconego cynika napisałem z punktu widzenia człowieka, który w stalinizmie miał kilkanaście lat i był gorliwym działaczem ZMP. Który z podniecenia nie spał trzy doby przed 1 maja. Który wagarował po to, by się angażować politycznie, bo szkoła była nudna, a rzeczywistość ciekawa.

Siedzimy w jego gabinecie w efektownej willi na Słonecznej, w ustronnym zaułku Mokotowa. Na blacie biurka szklane wyróżnienie z wygrawerowanym tytułem „Ateista roku 2015”. Na ścianach obrazy z nagimi kobietami, waginami, penisami. Urban nadal lubi prowokować.

Zanim w 1955 roku trafił do „Po Prostu”, zaliczył uwiedzenie marksizmem i ZMP w Łodzi, a potem w Warszawie – dokąd przenieśli się jego rodzice. Ojciec działał w PPS i Bundzie [lewicowo-socjalistycznej partii żydowskiej – red.], był właścicielem socjaldemokratycznego „Głosu Porannego”, łódzkiego dziennika z przedwojnia.

Jerzy, choć nie ukończył prawa ani dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, na całe życie z dziennikarstwem się związał.

„Po Prostu” było po „Nowej Wsi” jego drugą redakcją. *Wyznania nawróconego cynika* zapoczątkowały cykl artykułów drukowanych w „Po Prostu” pod wspólnym nagłówkiem „Sprawy naszego pokolenia”. Zimą 1956 roku Urban szczerze martwił się o zanikającą ideowość młodzieży. „Młode pokolenie inteligencji w swojej masie nie jest ani »wdechowe«, ani bohaterskie. Jest zetempowskie i nijakie” – oceniał w *Wyznaniach*.



„Byłem zetempowskim aktywistą. Robiłem obok rzeczy potrzebnych tysiące głupstw i święcie wierzyłem w ich mądrość”. Dziś Jerzy Urban ma 83 lata i jest redaktorem naczelnym tygodnika „Nie”

Brak ideowości zarzucał też sobie i swoim kolegom. I ostrzegał przed

„wylewem drobnomieszczaństwa” „Ale w gruncie rzeczy ów wylew drobnomieszczańskich ideałów jest zjawiskiem pozytywnym. Umożliwia bowiem otwartą walkę z otwartym wrogiem” – puentował.

– Do moich przeżyć emocjonalnych z lat wcześniejszych odnosiłem się w 1956 roku, kiedy młodzież już znormalniała – podkreśla dziś Urban. – Zaczęła się zajmować czym innym niż to środowisko, w którym obracałem się jako nastolatek. Mentorsko-kaznodziejski ton mojego tekstu wynikał z tego, że czułem jakąś miałość zainteresowań młodzieży w porównaniu z masowymi uniesieniami w stalinizmie. Niby byłem antystalinowski, ale tęskniłem za jakimś klimatem.

W 1955 roku dziennikarze odnowionego „Po Prostu” odrzucili kuratelę ZMP i poczuli się odpowiedzialni za los młodego pokolenia. Dlatego, jak wyjaśnia Urban, zajęli się normalnymi sprawami ówczesnych studentów i inteligentów. – Ich warunkami życia, sprawami osobistymi. Pchaliśmy to pokolenie w kierunku jakiejś normalności. Ale jednocześnie ja skowyczałem, że wraz z tą normalnością, której tu nie dostrzegałem, mijają uniesienia ideowo-religijne, w sensie: komunistyczne.

Wyznania wpisywały się też w inny nurt.

– Była wtedy moda na samokrytykę. Więc ja w tym tekście zwyczajnie kłamię. Na żadną nauczycielkę nie donosiłem, ale wypadało wymyślać takie historie, żeby bić się w piersi – podkreśla Urban. – Byłem tak naprawdę za młody, żeby robić jakiś prawdziwy rachunek sumienia.

Ale jego tekst to nie tylko konfabulacje. Przede wszystkim to rozliczenie ze stalinizmem.

„Pod Warszawą znajdował się ośrodek, w którym mieszkały dziewczęta z zaciągu pracujące w tamtejszej fabryce. Działy się tam rzeczy straszne – brud, głód, nędza, choroby, prostytutka, brak opieki, zbiorowe ataki hysterii, próby samobójstwa. Napisać mi o tym nie pozwolono w imię »celów wyższych« (»Zniechęci się młodzież do zaciągu«). Później objeżdżałem zielonogórskie PGR. Młodzież żyła nie jak ludzie, lecz jak bydło. Gdzieś tam na barłogu umierała z choroby i głodu dziewczyna, którą wyrzucono z pracy za to, że miała gruźlicę. Napisać mi o tym nie dano. Znów w imię »wyższych celów«. Czy rozumiecie? (...) Dla dobra socjalizmu wytrącano mi z ręki tę

najlepszą i najskuteczniejszą broń, którą dysponuje dziennikarz – wrażliwość i możliwość pisania o tych sprawach”.

Takich rachunków sumienia na łamach „Po Prostu” jest więcej. W maju 1956 roku Stanisław Chełstowski publikuje tekst *Do szturmowania nowych twierdz*:

„Miałem pozytywny stosunek do rzeczywistości. To znaczy do władzy ludowej, do budowy socjalizmu i do wszystkich wypaczeń, złodziejstwa i marnotrawstwa, do tego, że budowano Nową Hutę i że katowano ludzi w więzieniach, że likwidowano analfabetyzm i marnowano miliardy złotych na nieprzemysłane inwestycje. Choć ja nikogo nie biłem i nie planowałem budowy przestarzałej fabryki – to jednak godziłem się na to – milcząco”.

Na co liczył Urban, pisząc *Wyznania*? Oczywiście na dyskusję. I młodzież dyskutowała – na zebraniach studenckich i w klubach. Kolejne głosy pojawiły się też na łamach tygodnika. Urban już ich nie pamięta, ale przyznaje, że ciąg dalszy nastąpił. „Po Prostu” zabrało się do tematu wypranego z idei ZMP: gdy związek rozwiązano, Urban nie zamierzał go odbudowywać.

Jednak wiosną 1956 roku redaktorzy tygodnika wierzą jeszcze, że socjalizm da się naprawić, że można tchnąć w niego nowego ducha. Szczerze niepokoją się topniejącymi szeregami ZMP. I tym, że organizacja obumiera, skoncentrowana głównie na indoktrynacji młodych. W kwietniu 1956 roku „Po Prostu” proponuje władzom ZMP zmiany.

Eligiusz Lasota, ówczesny redaktor naczelny, wspominał: „To nasze wspólne z czytelnikami myślenie zaowocowało słynnym, podpisanym przez cały zespół artykułem *Co robić?*, w którym zaproponowaliśmy tworzenie grup rewolucyjnych w ZMP i przekształcenie go w faktyczną organizację młodzieży. W konsekwencji spowodowaliśmy upadek tej wszechpotężnej przez lata organizacji. Coraz lepiej dostrzegaliśmy, że przecież chory i oparty na zakłamaniu jest cały system, w którym żyjemy. Zaczęliśmy więc dobierać się do systemu”.

Gdy na przełomie listopada i grudnia 1956 roku w Warszawie dochodzi do zawiązania niezależnego od władz Rewolucyjnego Związku Młodzieży, Urban proklamuje jego powstanie.

Obradom przewodniczy Jan Olszewski.

To miał być prawdziwy socjalizm

Konkurencyjną dla upadającego ZMP inicjatywę organizują pochodzący z Krakowa Stefan Bratkowski i Marek Perlman. Temu ostatniemu udaje się rzecz niesamowita: załatwia na rozłamowy zjazd Salę Kongresową Pałacu Kultury i Nauki.

Jesienią 1956 roku Stefan Bratkowski wbiegał jak wichur na schody kamienicy przy Wiejskiej. – Ponieważ byłem najmłodszy w redakcji, miałem raptem dwadzieścia dwa lata, musiałem wszystko zaprojektować i pociągnąć tę całą ferajnę z Rewolucyjnego Związku Młodzieży – opowiada.

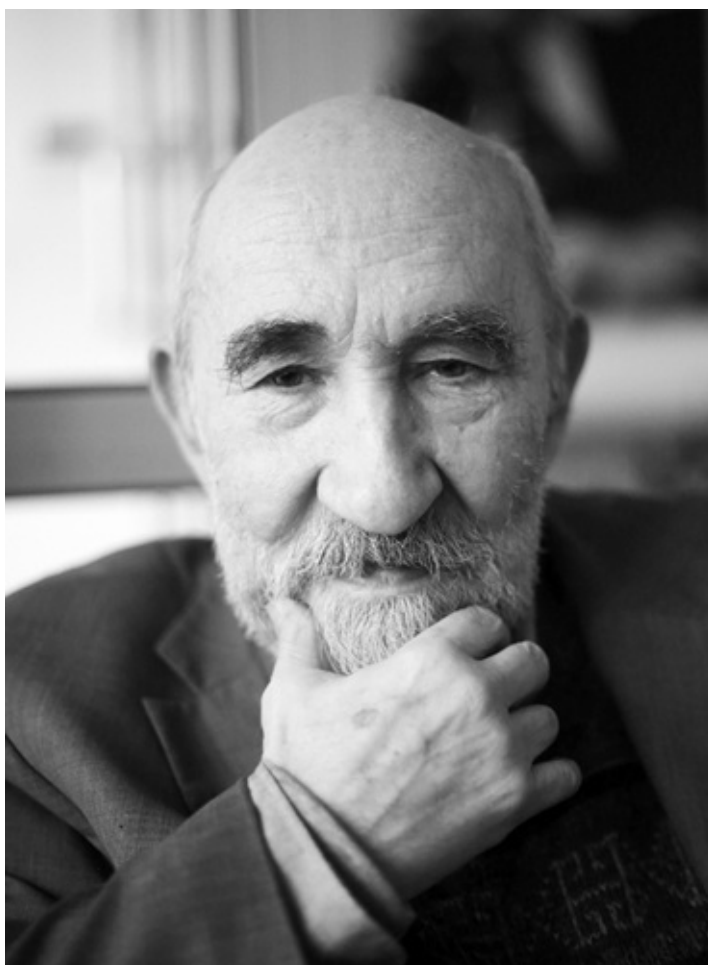
Rozmawiamy w Centrum Jana Nowaka-Jeziorańskiego na warszawskim Solcu. Na ścianach wiszą satyryczne rysunki Jacka Fedorowicza. – Jacek też zamieszczał swoje rysunki w „Po Prostu”, to była sztandarowa postać, jeśli chodzi o humor – uśmiecha się Bratkowski.

Dziś ma osiemdziesiąt jeden lat, na spotkanie przychodzi pod rękę z siostrą żony. Chodzi powolutku, ostrożnie.

– To miał być zupełnie inny socjalizm. Prawdziwy. Redakcja „Po Prostu” była grupą ludzi, którzy przerabiali świat. To było wtedy ich główne powołanie. Wiedzieliśmy, czego nie chcemy: tego, co było. Ale tak prawdę mówiąc, wcale nie wiedzieliśmy, co mamy zrobić z tym całym socjalizmem. Chcieliśmy demokracji, ale nie mieliśmy koncepcji, jak to ma wyglądać i jak to zrobić.

– Chodziło o demokrację w partii czy o demokrację parlamentarną?

– Tylko o demokrację parlamentarną. O to, jak się partii pozbyć. Jak ją obalić, rozwiązać. Partia nas o to posądzała i miała rację. Oczywiście nikt o tym głośno nie mówił, ale nie było to oparte na jakimkolwiek przerabianiu tego, co funkcjonowało, tylko na skrywanym programie obalenia tego, co jest. Obalenia władzy partii.



Stefan Bratkowski: – To miał być zupełnie inny socjalizm. Prawdziwy.
Redakcja „Po Prostu” była grupą ludzi, którzy przerabiali świat

O demokracji parlamentarnej – z mnogością partii, które zaczęły się gwałtownie odradzać w październiku 1956 roku na Węgrzech – raczej jednak w redakcji nikt poważnie nie myślał. Głośno i wiele mówiono za to o naprawianiu socjalizmu. „Marzyła nam się demokratyczna monopartia, samorządność, władza produkcyjna w rękach pracowniczych. Było w nas sporo dogmatyzmu, wiele bezrefleksyjności. Nie myśleliśmy wnikliwie, za to chcieliśmy zmienić ustrój bez ruszania socjalistycznych świętości” – wspominał Jerzy Urban w 1996 roku.

Rewolucyjny Związek Młodzieży nie spotkał się jednak z uznaniem Gomułki. Towarzysz „Wiesław” wolał organizację całkowicie posłuszną, w kwietniu 1957 roku stworzył więc na gruzach ZMP nowy byt – Związek Młodzieży Socjalistycznej.

Młoda gwardia z Wiejskiej

Kim byli młodzi dziennikarze „Po Prostu”, którzy w 1956 roku chcieli zmieniać Polskę?

Zbierali się w ciasnej redakcji na II piętrze kamienicy na Wiejskiej. Aktywiści ZMP i ZWM, którzy dorastali w entuzjazmie dla zmian zachodzących w powojennej Polsce. Choć różnili się pochodzeniem i poglądami, łączył ich wiek: tylko nieliczni przekraczali trzydziestkę.

Na czele pisma stał Eligiusz Lasota. Członek partii, dwadzieścia sześć lat, był szefem Związku Walki Młodych w Słupsku, absolwentem szkoły komsomolskiej w Moskwie. Do redakcji „Po Prostu” przyszedł po praktykach w „Świecie Młodych”, wskazał go Wydział Prasy Komitetu Centralnego.

Zastępcą, a od stycznia 1957 roku następcą (Lasota został wtedy posłem) „Lilka” był Ryszard Turski, z wykształcenia prawnik i socjolog, pochodzący z Lublina. Do ZMP nie należał. Gdy zapisywał się do partii, towarzysze mieli wątpliwości. Turski wahał się bowiem co do tego, czy powojenna Polska jest niepodległa. Partyjni uznali to jednak za przejaw szczerości i legitymację dostał.

Anna (Hanna) Bratkowska, także zastępca Lasoty, miała pochodzenie inteligenckie, od 1949 roku była aktywistką Zarządu Głównego ZMP.

Jerzy Ambroziewicz, absolwent studiów dziennikarskich, był synem księgowego. W czasie okupacji żołnierz Szarych Szeregów, w aktach miał adnotację: „Z uwagi na brata z AK nie kwalifikuje się do pracy politycznej”.

Synem fabrykanta był Roman Zimand, kierownik wydziału polityczno-wychowawczego w ZWM, potem w ZMP, sekretarz partyjnej organizacji studenckiej we Wrocławiu.



Na czele pisma stał Eligiusz Lasota. Członek partii, 26 lat, był szefem Związku Walki Młodych w Słupsku, absolwentem szkoły komsomolskiej w Moskwie

Z Nowosądeckizny pochodził „góral” Włodzimierz Godek, jeden z czołowych reporterów „Po Prostu”.

W redakcji byli także Tadeusz Jaszczuk i Witold Wirpsza. Lasota zatrudnił m.in. Zdzisława Grzelaka, studenta wydziału nauk społecznych w Krakowie (syna chłopca spod Lublina, przodownika w brygadzie Służby Polsce – 900 procent normy), Stanisława Chełstowskiego (syna dyrektora fabryki, żołnierza AK, uczestnika powstania warszawskiego, potem kierownika stołecznego ośrodka ZMP), Janusza Kuczyńskiego (syna łowczego i zetempowca).

Grafikiem był Jerzy Ćwiertnia, syn legionisty, członek ZWM i ZMP.

Od „zetempowskiej” reszty odstawał Jan Olszewski, absolwent prawa i pracownik PAN – nigdy nie należał do związku. I Jan Józef Lipski – członek

tajnego klubu młodych pracowników nauki, rozpędanego przez bezpiekę w 1954 roku.

Dział prozy redagował Marek Hłasko – wschodząca gwiazda polskiej literatury. Jego obecność znacząco poprawiła reputację tygodnika.

„Tak się jakoś złożyło, że te indywidualności kwitły w zespole. Nawet wiele artykułów podpisywaliśmy kilkoma nazwiskami. Mnie zaś, jako naczelnemu, pozostawało raczej tylko nie przeszkadzać tym twórczym jednostkom w robieniu dobrego pisma i podchwytywać, promować każdą cenną inicjatywę” – wspominał Lasota.

Integrowali się w pobliskim barze Jontek, słynnym z pysznych kopytek. Urban zapamiętał Jontka dobrze: – Tam można było zjeść świńskie uszy, świńskie mordy... Bez przypraw, ale to są smaczne części świń. Była też wódka Broniewski.



Dział prozy w „Po Prostu” redagował Marek Hłasko, wschodząca gwiazda polskiej literatury. Jego obecność znacząco poprawiła reputację tygodnika

„Wyrządziliśmy AK-owcom krzywdę”

Lutowy XX Zjazd KPZR, podczas którego Chruszczow ujawnił i potępił zbrodnie Stalina, nie osłabił wiary dziennikarzy z Wiejskiej w socjalizm. Byli jednak rozdarci, czuli potrzebę rozliczenia się z przeszłością i naprawienia krzywd wyrządzonych w imię komunizmu.

Na pierwszy ogień poszli żołnierze Armii Krajowej, tysiącami więzieni w peerelowskich katowniach. Jako pierwsi dziennikarze w powojennej Polsce upomnieli się o nich trzej autorzy „Po Prostu”

„Starano się wytworzyć przekonanie, że okupacyjna przeszłość AK-owców jest grzechem pierworodnym wobec socjalizmu. Piętno AK-owskiej przeszłości stawiało niżej od tych, którzy w czasie okupacji tchórzliwie stronili od walki” – napisali 11 marca 1956 roku Jerzy Ambroziejewicz, Walery Namietkiewicz i Jan Olszewski.

Pierwszy i trzeci mieli w życiorysach Szare Szeregi. Czuli, że najwyższa pora upomnieć się o starszych towarzyszy broni, siedzących od lat w więzieniach.

„Wyrządziliśmy tym ludziom krzywdę, wyrządziliśmy może jeszcze większą krzywdę naszej sprawie. Tę krzywdę trzeba jak najszybciej naprawić, trzeba dokonać moralnej rehabilitacji wielkiej części ludzi naszego pokolenia – byłych żołnierzy AK. Trzeba przywrócić jasność i jednoznaczność oceny moralnej ich okupacyjnej przeszłości” – postulowali odważnie w czasie, gdy nikt we władzach PRL nie myślał jeszcze poważnie o amnestii.

– Tekst *Na spotkanie ludziom z AK* był moim zdaniem najważniejszym artykułem, jaki ukazał się w „Po Prostu” przed Październikiem – mówi Jan Olszewski, były premier, ceniony adwokat i zasłużony obrońca polskiej opozycji demokratycznej. Wiosną 2016 roku nie może się ze mną spotkać osobiście. Choruje. Zgadza się jednak na dłuższą rozmowę telefoniczną.

Był wtedy 25-letnim aspirantem Instytutu Nauk Społecznych PAN i współpracownikiem tygodnika. Różnił się od reszty zespołu nie tylko dlatego, że nie należał do ZMP. „Czułem się związany z zespołem. Ale mogłem z nimi być tylko dlatego, że przyszła odwilż. Im po rewelacjach Chruszczowa o zbrodniach Stalina sufit zawałił się na głowę, z dnia na dzień zmieniły się postawy” – wspominał w 1996 roku.

– Nasz tekst zbiegł się z XX Zjazdem w Moskwie. Wiedziałem, co się dzieje w kraju. Wiedziałem, kto siedzi w więzieniu i – najogólniej – co tam się dzieje. Relacji z więzień słuchałem już później, kiedy ci ludzie zaczęli wychodzić. To były historie, które pozostały mi w pamięci na całe życie. Po paru godzinach słuchania człowiek wychodził z tego chory. Dla mnie było naturalne, że zajmiemy się tym tematem. Zdawałem sobie sprawę

z jego wagi.



– Tekst *Na spotkanie ludziom z AK* był moim zdaniem najważniejszym artykułem, jaki ukazał się w „Po Prostu” przed Październikiem – mówi Jan Olszewski, były premier, ceniony adwokat i zasłużony obrońca polskiej opozycji demokratycznej

Urodził się w rodzinie kolejarzy w 1930 roku, a więc na granicy dzielącej „pokolenie AK-owskie od zetempowskiego”. – Miałem to szczęście, że w wieku trzynastu lat, jako dość dojrzałe dziecko, trafiłem do Szarych Szeregów, do ich najniższego szczebla, czyli drużyn zawiszackich. Miałem to poczucie, że, choć marginalnie, brałem udział w tej wielkiej sprawie, jaką było wtedy Polskie Państwo Podziemne.

Olszewski widział likwidację struktur AK w 1944 roku na zajętej przez Sowieców Pradze. Uważał wtedy, że powinien zastąpić pojmanych akowców. Był świadkiem fali młodej antykomunistycznej konspiracji w praskich szkołach i powrotu Mikołajczyka do Polski. Wspierał PSL, dopóki mógł. – Mój najbliższy przyjaciel, który wrócił wtedy do podziemia, został niedawno odnaleziony na „Łączce”, na cmentarzu Powązkowskim.

Olszewski przyznaje, że celowo unikał wstąpienia do ZMP. Dlatego

podczas studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim pisano na niego donosy.

– Śmierć Stalina zmieniła sytuację z każdego punktu widzenia. Wiadomo było, że zacznie się coś nowego. W tej sytuacji trzeba było szukać nowego klucza. Na fali odwilży postanowiliśmy z kolegami związać się od 1955 roku z inicjatywą, która rokowała nadzieje na zmiany – z tzw. dorosłym „Po Prostu”. Z Namiotkiewiczem poszukaliśmy kontaktu z redakcją poprzez Ernesta Brylla, który był wtedy recenzentem filmowym tygodnika. W ten sposób rozpoczęła się moja współpraca z „Po Prostu”.

– Jak się pan czuł wśród zdeklarowanych zetempowców?

– Byli tam młodzi ludzie, którzy także mieli poczucie, że sytuacja staje się niemal nieznośna. Zdawali sobie sprawę, że ich możliwości nie są wielkie, ale bliska mi była ich postawa ludzi, którzy chcą poprawiać, cywilizować sytuację. Ja się z tym identyfikowałem.

W tygodniku tworzyły się zespoły autorskie. W ten sposób do pary Olszewski – Namiotkiewicz doszedł Jerzy Ambroziowicz. Miał być redaktorem odpowiedzialnym za kształt publikacji.

Olszewski szukał pretekstu, by sprawę więźniów z AK wprowadzić na łamy tygodnika. Znalazł go w cyklu tekstów o młodym pokoleniu, który zapoczątkował artykuł Urbana.

– Sprawa Armii Krajowej, podziemia, była dla mnie sprawą bardzo osobistą. Postanowiłem ją włączyć do dyskusji o młodym pokoleniu na zasadzie pewnej mistyfikacji, pewnego kostiumu. Pamiętam jak dziś rozmowę w księgarni, podczas której przedstawiłem ten pomysł kolegom z zespołu. Starsi bracia Jerzego Ambroziowicza – cała jego rodzina była akowska, a ojciec Namiotkiewicza zginął jako oficer rezerwy we wrześniu 1939 roku – natychmiast zgodzili się, że trzeba to napisać.

Olszewski, Ambroziowicz i Namiotkiewicz napisali odważnie, choć w typowej dla tamtych czasów retoryce: że szanują dramat pokolenia akowców, ale ich zdaniem nie polegał on na tym, że zapłacili cenę najwyższą w walce z okupantem, ale że uwierzyli „niewłaściwym ludziom” i w „niewłaściwe ideały”. Że żałują, iż byłych akowców nie wciągnięto w dzieło budowy socjalizmu. I że uważają dzielenie kombatantów

na dobrych, z Armii Ludowej, i złych, z Armii Krajowej, za rzecz, która nie tylko niszczy społeczeństwo, ale też zakłamuje historię.

Dominika Rafalska, autorka książki o tygodniku „Po Prostu”, zwraca uwagę, że trzej autorzy artykułu umieścili problem żołnierzy AK w kontekście „budowy socjalizmu” i „walki z wypaczeniami stalinizmu”: „Być może dzięki temu artykuł miał większe szanse na publikację – głównej konstrukcji myślowej tekstu nic nie można było zarzucić – dziennikarze upominali się o sprawiedliwość w socjalistycznym państwie. Warto też zwrócić uwagę na akcentowaną przez publicystów nutę patriotyczną: częste używanie słów »ojczyzna«, »przelana krew«, »bohater«. Czy ktokolwiek mógł w 1956 roku zaprzeczyć, że krew przelana za ojczyznę jest czynem bohaterskim?”

„Biało-czerwona opaska z napisem AL czy AK była jedynie miernikiem politycznego uświadomienia, ale nie mogła być probierzem ofiarności, wytrwałości i odwagi – przekonywali dziennikarze „Po Prostu” – Z punktu widzenia podstawowych wartości moralnych krew i trud każdego żołnierza konspiracji muszą być liczone jednakowo”

W kraju, w którym tysiące akowców wciąż siedziało za kratami, te słowa brzmiały jak rewolucja.

Zdaniem Jerzego Urbana, wówczas szefa działu krajowego „Po Prostu”, temat przynieśli do redakcji sami akowcy. – Dotarli do któregoś z trójki autorów, nie pamiętam już, do którego, ze swoimi krzywdami. Uznaliśmy wtedy, że to jest bardzo ważny temat, który trzeba podjąć.

– Urban był co najmniej bardzo sceptyczny w tej sprawie, dyskusja była długa. Nie był entuzjastą, ale był otwarty na argumenty i ostatecznie dał się przekonać – wspomina Olszewski. – Muszę powiedzieć, że jego rolę w tej sprawie, tak zresztą jak rolę Lasoty, oceniam bardzo pozytywnie. Jako kierownik działu krajowego Urban był pierwszym szczeblem w redakcji, który trzeba było przejść, by dalej procedować z tym artykułem. A to nie była błaha sprawa, wszyscy w redakcji byli zaskoczeni tym pomysłem. To była z naszej strony próba wstrzelenia się w akcję, którą „Po Prostu” robiło pod hasłem „Sprawy naszego pokolenia”, czyli w typowo zetempowski pomysł. Artykuł otwierający tę dyskusję szedł przecież w zupełnie innym

kierunku.

Urban twierdzi, że to on zaproponował ostateczny tytuł tekstu.

Olszewski prostuje: – To nieprawda, tytuł był nasz, od samego początku. Po zgodzie Urbana tekst poszedł wyżej. I tam się zaczęły dyskusje na temat poszczególnych sformułowań, wprowadzenia jakichś elementów, które by nieco łagodziły problem czy go „oswajały”. Prowadzenie tych trudnych dyskusji spadło głównie na mnie. Rozmawialiśmy z Lasotą i Turskim. Była decyzja, że tekst idzie, zarezerwowano dla niego kolumnę, ale w dniu, w którym miał się rozpocząć druk, tekst był jeszcze ciągle przedmiotem różnych redakcyjnych „ulepszeń”. W rezultacie pojechałem do drukarni z zatwierdzonym ostatecznie tekstem około dwunastej w nocy. Drukarze czekali, bo następnego dnia pismo musiało się znaleźć w kioskach.

Był już 11 marca 1956 roku, gdy Olszewski przekazywał tekst *Na spotkanie ludziom z AK* drukarzowi, starszemu mężczyźnie. Tę chwilę zapamiętał szczególnie. – Dyktowałem mu artykuł, a on składał tekst na linotypie. Później odbitki miały pójść do druku. W pewnym momencie spostrzegłem, że drukarzowi zaczęły się trząść ręce. Podnoszę wzrok i widzę, że płacze. Opanował się: „Panie redaktorze, przepraszam pana bardzo, ale mój syn był w Armii Krajowej. Zginął w powstaniu”. W tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, w jak wielki zakres emocji w Polsce my z tym artykułem trafiamy, co myśmy zrobili.

Reakcji drukarza trudno się dziwić. Dziennikarze „Po Prostu” jako pierwsi napisali o akowcach jak o bohaterach. Pierwsi zwrócili uwagę, że ich zasługi przemilczano. I pierwsi sięgnęli do szkolnych podręczników, by to wskazać i napiętnować: „Zajrzyjmy do podręcznika przeznaczonego dla klas licealnych Missalowej i Schoenbrennerowej – zaproponowali. – Walce z okupantem poświęcone jest tam niecałe pięć stron, a ocenie Armii Krajowej zaledwie jedno zdanie. »W rachunkach imperialistów AK (podobnie jak armia Andersa) miała być użyta przeciwko ZSRR dla przywrócenia obszarniczych rządów w Polsce«. Takie traktowanie historii nie uczy patriotyzmu, lecz obłudy”.

Jednocześnie pokazywali punkt widzenia akowców: „Dla młodego człowieka, ukształtowanego przez szkołę sanacyjną, wstąpienie do AK było

rzeczą najprostszą – pozwalało to na spełnienie »żołnierskiego obowiązku«, zwalniając jednocześnie od obowiązku przemyślenia wielu rzeczy, przynajmniej, w tym okresie do przemyślenia niełatwych. Dzisiaj nie istnieje już problem dowództwa AK. Tę sprawę załatwiła historia. Jest natomiast ciągle aktualne zagadnienie masy żołnierskiej, całego akowskiego pokolenia” – pisali Ambroziewicz, Olszewski i Namiotkiewicz.

W tekście mówi się o krzywdzie akowców, ale nie o więzieniach. –

Typowe było szkalowanie ich w karierach zawodowych, naukowych. Więzienia dotyczyły jednak niewielkiej liczby przywódców i były krótkotrwałe, bo kolejne amnestie kasowały te wyroki – tłumaczy Urban.

– Niektórzy siedzieli długo – oponuję.

– Bo niektórych wsadzano ponownie. Ale te aresztowania nie były na szeroką skalę – upiera się były szef działu krajowego „Po Prostu”.

Czy w marcu 1956 roku nie można było napisać wprost, że bohaterowie AK siedzą niesłusznie? Urban nie potrafi odpowiedzieć.

– Słowa o więzieniach znalazły się w pierwotnym tekście – zapewnia mnie Olszewski. – Zarówno naczelny, jak sekretarz redakcji i Turski uważali jednak, że musimy się bardzo pilnować, bo temat jest tak wybuchowy i trudny, że należy go możliwie złagodzić. Dlatego z tekstu powypadały różne sformułowania.

A co z cenzurą?

Olszewski zapewnia, że cenzura nie brała w tym udziału, bo „sytuacja »Po Prostu« była w tym względzie szczególna” – Lasota użerał się z cenzurą na co dzień, ale jeśli już sytuacja była podbramkowa, miał możliwość bezpośredniego kontaktu z Jerzym Morawskim, który odpowiadał wtedy w Komitecie Centralnym za prasę. To tam zapadały decyzje, Lasota otrzymywał informacje bezpośrednio od Morawskiego. Sytuacja naszej redakcji w dyskusjach z cenzorami była lepsza niż jakiegokolwiek innego pisma. Tak było przynajmniej do wypadków poznańskich.

Apel autorów „Po Prostu” w obronie akowców podchwycił Edmund Osmańczyk – w swojej audycji *Naszym zdaniem* na falach Polskiego Radia, a potem na łamach „Nowej Kultury”. Sprawa stała się tak głośna i nośna, że w połowie kwietnia za sponiewieranymi bohaterami ujęła się nawet

„Trybuna Ludu”

„Praktyka ostatniego dziesięciolecia wykazała, że byli AK-owcy – a tym bardziej byli BCh-owcy – to ludzie, którzy w masie swojej stoją na gruncie naszego ustroju i rzetelnie pracują dla Polski Ludowej. Z tego faktu należy wyciągnąć polityczne i organizacyjne wnioski” – napisała w „Trybunie Ludu” Alicja Solska [w czasie powstania warszawskiego łączniczka Armii Ludowej pseudonim „Inka”, później żona premiera Piotra Jaroszewicza – red.]. – „Partia niejednokrotnie stwierdzała, że nie może być w Polsce obywateli drugiej klasy, że każdego obywatela oceniać powinniśmy według jego pracy, według jego postawy obecnej, według jego wkładu w dzieło naszego budownictwa. Ludzi pracy o AK-owskiej czy andersowskiej przeszłości chcemy mieć w naszych szeregach, razem z nami budujących niełatwe dziś i jutro naszej ojczyzny, a nie poza nawiasem wartko toczącego się życia”

Presja na władze zbiegła się z postępującą odwilżą. W końcu kwietnia 1956 roku Sejm przyjął zapowiadaną wcześniej ustawę o amnestii. Na jej mocy więzienia opuściło od 4 do nawet 28 tysięcy akowców. Wyniszczeni fizycznie i psychicznie przez śledczych byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego pierwsze kroki często kierowali na Wiejską 17, do redakcji „Po Prostu”

– Mieli wewnętrzne przekonanie, że muszą to opowiedzieć komuś, do kogo mają pełne zaufanie. Ta redakcja była wtedy taką wyspą, do której mieli zaufanie – opowiada Olszewski.

Urban przyznaje: – Efekt artykułu Olszewskiego, Namiotkiewicza i Ambroziewicza był bardzo duży, także urzędowy. Zrobiono wiele gestów w stronę akowców. Temat dodał też tygodnikowi popularności i zapoczątkował dwa nurty w samej redakcji: narodowy i lewicowo--demokratyczny. Ten drugi był mocniejszy, a podział rozwijał się po 1956 roku. Zresztą do naszej redakcji przychodzili wtedy obok akowców również wyżsi oficerowie Armii Ludowej, podsyłani nam przez Gomułkę. Oni także opowiadali o swoich krzywdach i upominali się o swoją sławę bojową.

Walery Namiotkiewicz, późniejszy osobisty sekretarz Gomułki, wspominał, że mimo zebrania materiałów do całego cyklu o bezprawnie

aresztowanych członkach AL sprawa spaliła na panewce. – Przyszedł Edwin Rozłubirski, wtedy pułkownik [zwolniony z wojska z przyczyn politycznych w 1951 roku, przywrócony po październiku 1956 roku – red.], kierujący referatem obrony przeciwlotniczej na Pradze-Południe. Opowiadał o tym, co z nimi zrobili. Ale okazało się, że było to tak wątpliwe, bo dotyczyło wewnętrznych spraw partii, że Lasota powiedział: „dajmy spokój” – podsumowuje Olszewski. – Rozłubirski ogłosił potem artykulik w „Nowej Kulturze”.

Wiosną 1956 roku do redakcji „Po Prostu” płynęły za to listy z całego kraju. Pisali byli żołnierze AK (znamiennie, że wszystkie listy były anonimowe) i żołnierze AL, którzy wstydzi się za „przykrywaczy” historii.

Lektura listów byłych żołnierzy AK była dla dziennikarzy gorzka. „Nie sądzicie, abyście już doszli do punktu, w którym możecie się zatrzymać, abyśmy z kolei my szli ku Wam, abyśmy Was ściskali – strofował dziennikarzy „Po Prostu” autor podpisany jako „Akowiec”. – Jeśli naprawdę chcecie spotkać się z nami – w co nie wątpię – i jeżeli możecie, czego nie jestem pewien – to musicie przełamać jeszcze dalsze przegrody moralne, które w Was tkwią. W tym stanie, jaki jest, lepiej nie podawajmy sobie jeszcze rąk, bo to byłby uścisk zbyt słaby”.

– Te listy to było szczególne, bardzo ciężkie doświadczenie – ocenia Olszewski, delegowany przez Lasotę do rozmów z byłymi akowcami. – To, co wtedy ujawniano, to były rzeczy niebywałe. Ludzie do nas przychodzili. Pamiętam na przykład wielogodzinną rozmowę z Bernardem Zakrzewskim, przedwojennym prokuratorem, który w czasie wojny działał jako szef kontrwywiadu w Komendzie Głównej AK. Kilka dni po zwolnieniu opowiadał nam szczegóły swego śledztwa. Przez trzydzieści dni był przesłuchiwany na zasadzie konwejeru – czyli bez snu. Stan, w jakim się znalazł, był przerażający.

Redakcja „Po Prostu” drukowała anonimowe głosy akowców. Pełne wyrzutów i żalów za lata tortur, życia z piętnem zdrajców lub obywateli gorszej kategorii.

„Wszystkie błędy, wypaczenia i fałszy historie rzucono nam w twarz. Nie można się było od tych zarzutów uchylić. Potępiano ludzi, piętnowano

prawdziwe lub rzekome wypaczenia, oszustwa, zbrodnie, ale idea socjalizmu wyszła z tego zwycięsko” – odpowiadał na łamach tygodnika tercet Ambroziowicz – Namiotkiewicz – Olszewski.

Dla autorów tygodnika moralnym obowiązkiem – wynikającym, jak deklarowali, z idei socjalizmu – było obalenie muru kłamstw i wzajemnych uprzedzeń. I zadośćuczynienie prześladowanym.

Na apel „Po Prostu” odpowiedziała „Nowa Kultura”, tygodnik Związku Literatów Polskich. Jej dziennikarze wystąpili z propozycją budowy pomnika powstania warszawskiego. A Ambroziowicz, Namiotkiewicz i Olszewski napisali kolejny tekst pod tytułem *Niech prawo zawsze prawo znaczy*. Domagali się w nim rehabilitacji osób niesłusznie skazanych w procesach politycznych. Olszewski wycofał jednak swój podpis pod artykułem. Dlaczego?

– Ten tekst stawiał następny krok: sprawę odpowiedzialności za prześladowania żołnierzy AK – mówi były premier. – Za to, co zrobiono z całym ruchem niepodległościowym. Wskazywaliśmy w nim Radkiewicza, Romkowskiego i Fejgina jako winnych zniszczenia tych środowisk. I wtedy się zaczęło. Gdy sekretarz redakcji Helena Bratkowska to zobaczyła, zbladła i zapytała, czy chcemy, żeby nas wszystkich zamknęli. Nie bardzo wiedziałem, czy chodzi o zamknięcie redakcji, czy nas, autorów. Lilek Lasota był umiarkowanym entuzjastą tematu, ale postawił sprawę na kolegium. Potem się od niego dowiedziałem, że tekst idzie, ale bez nazwisk oprawców. Odpowiedziałem więc, że trzeba też będzie zdjąć moje nazwisko z grona autorów. Przyjął to spokojnie: „No trudno”. Ambroziowicz był tym bardzo poruszony. Powiedział mi, że właściwie kończę tym samym możliwość współpracy z tygodnikiem, Namiotkiewicz podzielił jego zdanie. Słowo się rzekło, nie mogłem się już wycofać.

Tydzień później ukazała się jednak uchwała Biura Politycznego o pociągnięciu do odpowiedzialności Romkowskiego, Różańskiego i Fejgina.

Olszewski się uśmiecha: – Koledzy doszli do wniosku, że miałem jakieś tajne źródło informacji wyprzedzającej, co było śmieszne, bo ja żadnych kontaktów w partii nie miałem. To był zupełny zbieg okoliczności. Ale od tej pory nikt już nie wspominał o końcu mojej współpracy w redakcji.

Byłem traktowany jako członek zespołu.

Pod wpływem tekstów „Po Prostu” Prokuratura Generalna powołała specjalny zespół, który rozpatrywał wnioski o rehabilitację żołnierzy AK i innych organizacji niepodległościowych.

A w 12. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego Stołeczna Rada Narodowa zdecydowała o budowie pomnika Bohaterów Warszawy – warszawskiej Nike. Zbiorowy bohater pomnika był dla władz łatwiejszy do przełknięcia. W 1956 roku na cmentarzu Wojskowym na Powązkach po raz pierwszy odbyły się oficjalne uroczystości ku czci powstańców.

Na ratunek inteligentom z Brzozowa

Kwiecień 1956. W redakcji „Po Prostu” – alarm! Jerzy Ambroziewicz i Zdzisław Grzelak dostają informację, że w Brzozowie pod Sanokiem rozwiązano Klub Młodej Inteligencji. Po krótkiej odprawie wsiadają do samochodu i jadą ratować klub. Bo los inteligentów w prowincjonalnych miasteczkach to jeden z najważniejszych tematów tygodnika. A Brzozów to oczko w głowie zespołu.

Olszewski wyjaśnia: – Oprócz pisania próbowaliśmy organizować głębsze społeczne zaplecze. Artykuł o Brzozowie był początkiem ruchu Klubów Młodej Inteligencji, z którymi wiązano ogromne, jak się okazało, nadmierne nadzieje.

Osiem miesięcy wcześniej, we wrześniu 1955 roku, Jan Czyński i Zdzisław Grzelak napisali *Ziemię Obiecany* – tekst o życiu młodych inteligentów w Brzozowie pod Sanokiem. Okraślił go *Apel do młodej inteligencji*, który miał „położyć kres panoszącemu się i zataczającemu coraz szersze kręgi zastoju w naszym życiu”

„Koleżanki i koledzy! Inżynierowie, lekarze, nauczyciele i ekonomiści z najbardziej odległych krańców Polski! Nasze trudności są podobne do waszych, a cel nasz wspólny. Zachęcamy was do łączenia się w podobne kluby” – pisali członkowie redakcji na siódmej stronie pisma.

Włodzimierz Godek i Jerzy Ambroziewicz pojechali wtedy do Brzozowa. Namawiali tamtejszych inteligentów: – Trzeba ruszyć tu życie, kulturę!

Musicie, los was obarczył Brzozowem, to starajcie się coś tu zrobić!

Choć Klub Młodej Inteligencji w Brzozowie nigdy formalnie nie powstał, ludzie zaczęli się regularnie spotykać u nadleśniczego, inżyniera Zdzisława Mazura. Przychodziło dwadzieścia parę osób: dwóch-trzech lekarzy, inżynierowie, nauczyciele, prawnicy wraz z żonami. A nawet Jan Ciuba, powiatowy prokurator, choć nękało go UB – ubecy chcieli, żeby pisał dla nich sprawozdania ze spotkań. Nic nie napisał, za co został później przeniesiony do Lubaczowa.

Ubecy, nie będąc w stanie wcisnąć tam żadnego agenta, mogli jedynie podglądać spotkania u nadleśniczego z koron pobliskich drzew. Byli wściekli, bo klub w Brzozowie był grupą wyjątkowo rozdyktowaną. I aktywną – urządzał spotkania, zorganizował zabawę w zgaduj-zgadulę, a nawet pierwszego od wojny sylwestra. Brzozowscy inteligenci śpiewali *Legiony* albo *Czerwone maki na Monte Cassino*. Skrzyknęli się też, by w czynie społecznym zbudować basen pływacki, dwie szkoły i szpital. Pomagali im nawet zakonnicy z klasztoru jezuitów, a lekarze zorganizowali cykl „białych niedziel”

„Jechaliśmy razem, z kolegami i koleżankami, lekarze, wśród nas dentyści, i sędzia, i prokurator, na wieś, gdzie nigdy lekarza nie oglądano. Dentyści rwali zęby, usuwali wszystko, co zepsute i nie do uratowania, czasem kończyli dzień z połową wiadra zębów. Osłuchiwaliliśmy płuca – to były czasy gruźlicy... Jak się zeszło więcej ludzi, to rozmawialiśmy o profilaktyce, o higienie...” – wspominał Zbigniew Kubas, założyciel szpitala.

Takich klubów jak brzozowski powstało w latach 1955–1956 więcej. Na apel redaktorów „Po Prostu” młodzi inteligenci spoza Warszawy ożywiali prowincję.

Pijaństwo, orgie i waleriana

Ale akcja zwykle rodzi reakcję. Wiosną 1956 roku w Brzozowie do kontrataku przystępują miejscowe ZMP i partia, wsparta przez doniesienia UB. Przewodniczący powiatowego ZMP nazwiskiem Zięba orzeka: – Klub, zamiast zmniejszać bezideowość w mieście, swoją

działalnością jeszcze bardziej ją pogłębił. Jego członkowie nie walczą z drobnomieszczańskim duchem!

– Dlaczego? – pytają na miejscu Ambroziewicz i Grzelak. W odpowiedzi słyszą, że podczas zabawy w szpitalu Klub Młodej Inteligencji... wykupił cały bufet, co miało być „policzkiem” dla innych uczestników imprezy.

W oczach przewodniczącego ZMP brzozowski klub to „skrzyżowanie zamaskowanej podkarpackiej spelunki – nazwanej przez niego Paryżem – z ekskluzywną lożą masońską, gdzie dzieją się prawie nikomu z władz młodzieżowych nieznane »rzeczy« o charakterze przeważnie alkoholowo-rozrywkowym” – relacjonują dziennikarze.

Zetempowcy kolportują po Brzozowie plotki o „wyrafinowanych orgiach” i „wyuzdanym pijaństwie” w mieszkaniu nadleśniczego, spotęgowanych przez narkotyki dostarczane przez lekarzy (konkretnie: krople walerianowe). A wszystko to przez ludzi „obciążonych drobnomieszczańskim stylem życia”, w dodatku kamuflujących swoje nieczne cele wyjazdami w teren w ramach „białych niedziel”.

Atakom ZMP wtóruje komitet powiatowy partii.

– Wodzirejów klubu: Mazura, Sawickiego i Orłowskiego, trzeba wysiedlić jak najdalej od Brzozowa! A przynajmniej poza granice powiatu! – żąda sekretarz propagandy z miejscowej organizacji PZPR.

Ambroziewicz i Grzelak postanawiają skończyć z tą galopującą nagonką. Organizują konfrontację w siedzibie zarządu powiatowego ZMP. Członkowie Klubu Młodej Inteligencji nareszcie mogą się publicznie bronić. Kolega Skarbek wyjaśnia, skąd wzięły się pogłoski o „orgiach” u nadleśniczego: – Spowodował to sylwester. Mimo szczelnie zasłoniętych okien i normalnej noworocznej zabawy nazajutrz zaczęto szeptać o kobietach tańczących w bieliźnie, gwałtach i orgiach.

Od tej pory członkowie klubu tracą prywatność. – Wystarczyło, żeby u Mazura zebrało się kilka osób, pograli w brydża lub wypili flaszkę wina, a już rano całe miasto trzęsło się, że klub spędził noc na hulance i orgiach – żali się Skarbek.

Nie ma chętnych do trzeźwej oceny sytuacji, więc dziennikarze, choć bez entuzjazmu, przejmują rolę prokuratorów. „Punkt po punkcie

odczytywaliśmy akt oskarżenia i punkt po punkcie wszyscy przekonywaliśmy się o jego bezpodstawności – sprawozdawali Ambroziewicz i Grzelak. – Bzdura goniła bzdurę. Wyssane z palca lub przeinaczone wieści powtarzane z plotkarskich ust do bezkrytycznych umysłów zrodziły ten potworny dokument”

Okazało się, że samobójca, który miał rzekomo targnąć się na życie po udziale w „orgiach”, nie miał z klubem nic wspólnego. I że nie było żadnych оргий. A pogłoski o kradzieży drewna z lasów państwowych, z czego utrzymywać miał się klub (i organizować rozpustę), są nieprawdziwe. Potwierdził to zresztą sam komendant MO.

„Z aktu oskarżenia pozostała szmata, którą nie bez celu fabrykowała głupota i zawiść ludzka” – podsumowuje dziennikarska spółka ratunkowa. I cieszy się, że klub ma ambitne plany: wyjazdy ekip lekarskich, weterynaryjnych i prawnych do odległych wsi powiatu, imprezy rozrywkowe i utworzenie powiatowego domu kultury.

„Wyjeżdżamy z Brzozowa” – kończą swój interwencyjny tekst Ambroziewicz i Grzelak. – „Zakończenie jak w reportażu sprzed ośmiu miesięcy: »Ziemia Obiecana« p l u s ośnieżone szczyty gór topniejące w blaskach słońca. W i o s n a”

Klub Młodej Inteligencji w Brzozowie zostaje uratowany.

Niech sobie żółknie

– Klub w Brzozowie nie był jedynym miejscem, w którym działały się takie rzeczy – mówi Jan Olszewski. – Reakcja aparatu partyjnego w terenie wzmogła się zwłaszcza po Poznaniu, kiedy szybko zaczęto odchodzić od Października.

Jerzy Urban kręci głową, kiedy chcę mu przeczytać fragmenty relacji z Brzozowa. – Nie pamiętam już tej historii. Pamiętam natomiast, że tych klubów powstała potem cała sieć.

Tłumaczy, że wprowadzie jako szef działu krajowego w „Po Prostu” podpisywał do druku wszystkie teksty, ale dziś już ich dobrze nie pamięta i nie potrafi ich komentować.

– Pamięć mam kiepską – usprawiedliwia się. I dorzuca z drwiną: – Żyją jeszcze nieliczni dziennikarze tygodnika, którzy przez całe życie po zamknięciu pisma egzystowali jako byli redaktorzy „Po Prostu”. I oni pamiętają, czytają zszywki, rozmawiają o tym, a przynajmniej rozmawiali. Ja do nich nie należę. Mam w domu komplet „Po Prostu”, ale nigdy go nie otworzyłem. Żółknie sobie spokojnie.

Zepsute święto

1 maja 1956 roku, gdy przez Warszawę idzie robotniczy pochód, tygodnik „Po Prostu” psuje świąteczną atmosferę. Partyjnych sekretarzy bije w oczy tytuł *Kopalnia milionów*. Włodzimierz Godek i Ryszard Turcki opisują niewiarygodne marnotrawstwo w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg na warszawskiej Woli.

„Jeśli ekspedient lub kierownik sklepu zrobi manko na niewielką sumę, czeka go za to kara więzienia. W Zakładach im. Róży Luksemburg mamy do czynienia z m i l i o n o w y m i »mankami«. I to z winy ministerstwa – twierdzą dziennikarze. I pytają: – Czy ono nie powinno odpowiadać za swoje postęпки, zwłaszcza że straty biją po kieszeni nie tego czy innego ministra, ale robotnika z kilkusetzłotową pensją?”



1 maja 1956 roku, gdy przez Warszawę idzie robotniczy pochód, tygodnik „Po Prostu” psuje świąteczną atmosferę. Na zdjęciu: dziennikarze „Po Prostu” w pochodzie pierwszomajowym

Godek i Turski pokazują fatalne warunki pracy i krzywdę prostego robotnika na tle biurokratycznej maszyny zakładu, w którym kwitnie niegospodarność. Piszą o wadliwych maszynach sprowadzanych z Węgier – zamiast niezawodnych z Anglii. O kupionej w NRD galwanizerii, która prosto z wagonu powędrowała na lata do magazynu fabryki. O bezsensownie drogiej produkcji przestarzałych modeli lamp i o technologicznej zapaści zakładów.

„Nikt nie potrafi wydobyć z błota zmarnowanych milionów, nikt nie

przywróci ich narodowi. Zostały bezpowrotnie stracone. A działo się to kosztem wyrzeczeń każdego człowieka pracy, kosztem wielu tragedii ludzkich, kosztem najcenniejszego skarbu człowieka – zdrowia. Kto obliczy procent chorych na gruźlicę z powodu złych warunków mieszkaniowych, słabego odżywienia i niedbania o higienę pracy? Wydaje nam się, że nadszedł czas dokonania rozrachunku z ludźmi odpowiedzialnymi za ten stan naszej gospodarki. Nie chodzi tylko o samokrytykę. Uważamy, że powinni ponieść karę. Jeśli robotnik za wyniesienie z zakładu śrubki dostaje parę lat, to cóż mówić o wyniesieniu miliardów?” – pytają dziennikarze.

Jak trafili do zakładu lamp na Karolkowej? Urban szczegółów już nie pamięta, ale zwraca uwagę, że do redakcji przychodziło dużo listów. –

W epoce przedinternetowej albo ktoś napisał, albo ktoś opowiedział, albo ktoś zauważył, że jest jakiś problem. To były wówczas odkrywcze rzeczy. Pokazywało się Polskę w realnym wymiarze po okresie, gdy ona była cukierkowata, odległa od prawdy. Wszystko to było wielkim odkryciem, bo wszystko to było pierwsze.

„Wielu z nas, w tym i ja, byliśmy w PZPR, partii, która obiecywała więcej chleba i więcej wolności. Ale patrzyliśmy krytycznie na to, co się dzieje, i dla nieprawości i bezsensu nie szukaliśmy ani ideologicznych, ani żadnych innych usprawiedliwień” – wspominał Eligiusz Lasota.

Redaktorzy „Po Prostu” wierzą, że socjalizm jest jedynym ustrojem gwarantującym szczęście. Są pełni dobrej woli, ale również naiwni. Godek i Turski drobiazgowo i bezlitośnie obnażają w *Kopalni milionów* ekonomiczny bezsens gospodarki socjalistycznej, produkującej w kosztowny sposób przestarzałe i nikomu niepotrzebne lampy. A mimo to wierzą, że socjalizm można poprawić i uratować.

– Nie doszłście już wtedy w redakcji do wniosku, że ten system musi upaść? – pytam Urbana.

– No tak, ale nawet jeśli takie myśli nam wtedy przechodziły przez głowę, to żeby móc je opublikować w jawnym obiegu, trzeba było kochać socjalizm i mówić, że coś było sprzeczne z socjalizmem, z naszym ideałem socjalizmu. Ile w tym było naszego przekonania, a ile niezbędnego rytuału,

aby móc to pokazać – nie jestem w stanie dziś odtworzyć. Mogę tylko powiedzieć, że pomysły „Po Prostu” na systemowe ulepszanie socjalizmu były z dzisiejszej perspektywy przerażające.

Co dziś przeraża Urbana?

– Proponowaliśmy na przykład, aby robotnicy uczestniczyli w wyłanianiu kierownictwa fabryki w ramach rad robotniczych. To była koncepcja, aby przemysł produkował nie dla konsumentów, ale dla producentów. Innym pomysłem była decentralizacja, aby powiaty były samodzielne ekonomiczne. Kompletny idiotyzm w XX wieku!

Niewolnice z Zambrowa

Reporterzy „Po Prostu” jeżdżą w teren, są niezmordowani. Obnażają nędzę życia w państwie, które według propagandy rozwija się błyskawicznie. Już w listopadzie 1955 roku Jerzy Ambroziewicz i Ryszard Wiśniowski publikują reportaż *Tam zapomniano o socjalizmie*. Tekst pokazuje życie pracownic Zakładu Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie, jednej ze sztandarowych inwestycji planu sześcioletniego.

Warunki pracy, bezpieczeństwa i higieny w zakładzie urągają wszelkim normom. Dzień pracy trwa nawet szesnaście godzin. Pracownice padają ofiarą wypadków z braku odpowiednich zabezpieczeń. I nie mają żadnych życiowych perspektyw.

Dyrekcji zakładu dostaje się za nieudolność. Kiedy dyrektorzy tłumaczą się, że nie ma funduszy, Ambroziewicz i Wiśniowski replikują: „Tak, nie jesteśmy bogaci. Stać nas jednak na tolerowanie zbrodniczego brakoróbstwa przemysłowego, tragicznych pomyłek, stać nas na opłacanie tępych urzędników”

„Zambrów czeka na socjalizm” – kończą swój tekst.

– Nie wiem, na ile ten zwrot był politycznym „dupochronem”, a na ile wynikał z wiary autorów w socjalizm. Moim zdaniem to była wiara – komentuje Urban. – Bo prawdziwy socjalizm w ujęciu autorów to nie jest ustrój, w którym dziewczyny z Zambrowa są w tak fatalnym położeniu materialnym, zawodowym i płciowym.

Tekst przechodzi przez cenzurę za cenę drobnej zmiany w tytule. Do pierwotnego tytułu tekstu *Zapomniano o socjalizmie* cenzor dodaje słowo „Tam”. W ten sposób cenzorzy „uznali, że jego wydźwięk ograniczył się dzięki tytułowi” – skomentował Ryszard Turcki.

Autorzy tekstu zmuszają do reakcji wiceministra budownictwa i działaczy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białymstoku. Władze obiecują naradę.

– To było typowe myślenie biurokratyczne: przyjedzie kontrola i sprawdzi, czy jest tak źle, jak oni piszą. Pogada z różnymi notablami i usłyszy, że „owszem, owszem, jest, ale nie aż tak źle, bo mamy też sukcesy” – mówi Urban.

Trzeba nowych ludzi

Kolejne publikacje tygodnika na temat złego stanu gospodarki wywołują reakcję. Czytelnicy nadsyłają do redakcji listy, w których żądają walki z marnotrawstwem, znanym im powszechnie z zakładów pracy. „Po Prostu” alarmuje, że system kierowania gospodarką jest niewydolny, i proponuje oddawać zakłady we władze samorządów robotniczych, które spowodują, że pracownicy będą mieli realny wpływ na przedsiębiorstwa.

– To były wówczas bardzo ważne teksty. Złożyły się na ogromny autorytet „Po Prostu”. To było pismo, które miało bezprecedensowe wówczas zaufanie – ocenia Olszewski.

Barbara Łopieńska i Ewa Szymańska, autorki opracowania na temat roli „Po Prostu” w przemianach 1956 roku, napisały: „Reportaże »Po Prostu« podawały fakty i wymuszały reakcje nie tylko czytelników, ale również władz. Domagały się nowych decyzji i nowych ludzi”.

Dziewiętnaście wersji i Pierre Doliński

Wolność na łamach „Po Prostu” ma jednak granice. Kiedy w końcu czerwca 1956 roku na ulice Poznania wychodzą robotnicy, a władza rozjeżdża czołgami ich bunt, tygodnik nie kwestionuje oficjalnej wykładni podyktowanej przez sekretarzy partii. Według władz PZPR wydarzenia

poznańskie to dzieło „imperialistycznych prowokatorów”

„Po Prostu” nie polemizuje. Nie pozwala na to cenzura.

Poznański Czerwiec jest dla dziennikarzy tygodnika bolesnym doświadczeniem. Do stolicy Wielkopolski jadą już następnego dnia, 29 czerwca, Roman Zimand, Stanisław Chełstowski, Włodzimierz Godek i Jerzy Kossak.

– Kossak jechał tam z legitymacją członka Komitetu Centralnego, inni z legitymacjami dziennikarskimi. I pokazywali je na obie strony: milicji – legitymację KC, a tłumom – „Po Prostu” – relacjonuje Urban.

Dziennikarze „Po Prostu” są zszokowani, przerażeni krwią na ulicach. „Nagle przekonałem się, że czterdziestotysięczna organizacja partyjna nie istnieje. Najzwyczajniej w świecie jej nie ma. Czyli w ciągu tego jednego dnia przekonałem się, że nie ma Pana Boga. Jest bezpieczeństwo, jest wojsko, ale nie ma partii” – relacjonował po latach Zimand.

Gdy w trakcie kolacji słyszą premiera Józefa Cyrankiewicza, grożącego przez radio manifestantom ucięciem ręki podniesionej na władzę ludową, nie mają złudzeń co do intencji władzy. To dla nich szok podwójny, ich wiara w socjalizm radykalnie słabnie.

Mimo to wracają do Warszawy. Próbuje opisać, co widzieli. Piszą dzień i noc, ale cenzura reportażu nie puszcza, więc przez następny dzień i następną noc kombinują, jak napisać, żeby jednak przepuściła, a jednocześnie nie kłamać. Wiozą nową wersję do cenzury – i znowu szlaban.

Udaje się przepchnąć dopiero dziewiętnastą wersję tekstu.

Tygodnik drukuje się z opóźnieniem, w zmniejszonej objętości. Z krótkim „słusznym” komentarzem i fikcyjnym podpisem „Piotr Doliński”. W ostatniej chwili redaktorów „Po Prostu” dopada jednak strach. W drukarni wycofują podpis, są zrozpaczeni.

Olszewski mówi, że w „Po Prostu” był zwyczaj, jeszcze z czasów tygodnika zetempowskiego, że teksty, które czasami trzeba było zamieszczać jako „drętwą mowę” na ważne rocznice, traktowane przez redakcję jak danina, podpisano nazwiskiem „Piotr Doliński”. – Trzeba to było czytać z francuska: „Pierre Doliński”. To zdradzało prawdziwe stanowisko redakcji

w tej sprawie.

Były premier opowiada: w lipcu 1956 roku wyszła dyrektywa, w myśl której każda redakcja musiała oświadczyć, że w Poznaniu działali „agenci imperialistyczni”. – Takie sformułowania znalazły się w „Nowej Kulturze” czy „Przeglądzie Kulturalnym”. A myśmy nie mogli tego przyjąć. Owszem, wymowa naszego tekstu szła po linii partii, ale sprawa była wtedy jasna: albo akceptujemy rację o „wrogiej działalności” w Poznaniu, albo zamykamy pismo. To była cena, którą warto było zapłacić. Byliśmy jednym pismem, które nie zadeklarowało wprost, że widziało w Poznaniu działania „imperialistycznych agentów” – wspomina Olszewski.

Dobrych towarzyszy dobrze trzepnąć

Relacja z rozstrzelanego Poznania, zamieszczona w „Po Prostu”, rozczarowuje. Materiał jest niewielki, idzie pod rękę z propagandową tezą o „wrogu”, który wykorzystał „wewnątrzsocjalistyczny” spór o likwidację błędów i wypaczeń dla „swoich antysocjalistycznych celów”. Tym wrogiem według tygodnika są „zagraniczne centrale szpiegowskie” i „kołtun w kraju”.

Redakcja pyta: dlaczego „wrogowie socjalizmu” bali się zmian zachodzących w Polsce? Pod względem języka i stylu argumentacji tygodnik cofa się na moment do początków lat pięćdziesiątych. Skąd ta asekuracja?

– Bo to był czerwiec, a sytuacja zmieniła się dopiero jesienią – wyjaśnia Urban.

– W czerwcu nie było jeszcze wiadomo, w którą stronę to pójdzie?

– Nie o to chodzi – zżyma się mój rozmówca. – Istniała przecież cenzura, istnieli „patroni” pisma od władzy, wysoko postawieni doradcy.

Mimo ostrożności w przypadku Poznania tygodnik znajduje się już na celowniku partyjnej wierchuszki.

„To są rzeczywiście niby dobrzy towarzysze, ale tych dobrych towarzyszy trzeba dobrze trzepnąć, żeby nie robili głupstw. A jak się nie zgadzają z Biurem Politycznym, nie zgadzają z Komitetem Centralnym, niech powiedzą, żebyśmy wiedzieli, z kim mamy przyjemność” – mówi o „poprostowcach” Zenon Nowak latem 1956 roku na VII Plenum KC.

„Uświadamialiśmy sobie, że to, w czym żyjemy, jest klasycznym systemem totalitarnym. Pisaliśmy o tym mniej lub bardziej otwarcie” – wspominał Ryszard Turcki, który rok później zastąpił Eligiusza Lasotę na stanowisku redaktora naczelnego pisma.

Odsiecz wielkiej literatury

O Poznaniu pisać otwarcie nie mogą. W innych przypadkach uciekają się do forteli, byle tylko zmylić cenzorów.

„Pewnym chwytem było tu umieszczanie tłumaczeń obszernych fragmentów zachodnich artykułów – opowiadał Turcki w 2006 roku. – Teraz mogę wyznać, że w części były to artykuły zmyślane, nazwiska ich autorów też były zmyślane. Chodziło o to, żeby pisać o totalitaryzmie, zmuszając czytelników do dyskusji na ten temat, a zarazem uciec cenzurze. Myślę, że udało nam się wyzwolić w społeczeństwie ogromną aktywność intelektualną”.

W październiku 1956 roku „Po Prostu” osiąga rekordowy nakład 150 tysięcy egzemplarzy. Ustala go wprawdzie władza, ale jest wyznacznikiem popularności bojowego pisma. Tygodnik czyta m.in. Władysław Gomułka. Do redakcji docierają wieści, że zgadza się z podstawowymi tezami zespołu.

Tygodnik jest atrakcyjny, bo publikuje też dzieła pisarzy dotychczas nieobecnych w oficjalnych wydawnictwach, m.in. Brunona Jasieńskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Fiodora Dostojewskiego, Ernesta Hemingwaya, Franza Kafki i Jean-Paula Sartre’a. Redakcja zamieszcza też teksty Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Dygata, Tadeusza Konwickiego, fragmenty *Złego* Leopolda Tyrmanda czy *Obrony Grenady* Kazimierza Brandysa.

Młodych czytelników napędzają też tygodnikowi opowiadania Marka Hłaski i utwory części polskich pisarzy emigracyjnych. Na łamach tygodnika publikują filozofowie i socjologowie: Leszek Kołakowski, Tadeusz Kotarbiński, Maria Ossowska, Stanisław Ossowski i Bertrand Russell.

Korowody z cenzorami

Tygodnik zmagają się z ingerencjami cenzury, Lasota opowiadał wręcz o „użeraniu się” z cenzorami: „Kosztowało to bardzo wiele trudu i nerwów. Zdejmowano nam nie tylko poszczególne artykuły, ale całe strony. Z czasem jednak nabieraliśmy doświadczeń w trudnych negocjacjach i wkrótce mieliśmy już opracowaną strategię działań. Jeśli chodziło o sprawy mniejszej wagi, najpierw przekonywaliśmy cenzora, że nie rozumiał tego, co napisaliśmy, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że jest tumanem. Jeśli się upierał i nie puszczał tekstu, dzwoniliśmy w jego obecności do kogoś z jego zwierzchników, mówiąc, że na dyżurze w drukarni siedzi jakiś tępy idiota, który niczego nie rozumie, i podawaliśmy własną interpretację kwestionowanego artykułu. Często to skutkowało i materiał dało się wybronić. Ale czasem trzeba było interweniować wyżej, do Wydziału Prasy KC. Wysoką funkcję sprawował tam wówczas Mieczysław Rakowski. W jego przypadku trzeba było więcej przebiegłości”

Cenzura zdejmuje artykuły „Po Prostu” wieczorami, a pismo drukuje się rano. Lasota czeka więc z reguły do drugiej w nocy i dzwoni do mieszkania Rakowskiego: – Przepraszam cię, Mietek, że tak późno, ale przecież jutro pismo musi się ukazać, a tu jakiś idiota...

Czasem to skutkuje, a czasem nie. Kiedy Lasota jest mało przekonujący, Rakowski każe mu przyjechać w nocy z zakwestionowanym artykułem. Lasota tylko na to czeka: wskakuje w kabriolet Horch (legenda głosiła, że to dawny wóz Göringa) i jedzie do Rakowskiego w aleję Niepodległości. Drzwi otwiera mu w nocnej koszuli wirtuozka skrzypiec Wanda Wiłkomirska, ówczesna żona Rakowskiego. Zaczynają się nocne negocjacje. Ich wynik nigdy nie jest pewny.

Wszystkie zdjęte materiały trafiają do KC, Lasota musi potem przychodzić do komitetu i się z nich tłumaczyć.

„To, co wówczas robiliśmy, było już autentyczną walką. Walką przede wszystkim z aparatem partyjnym. Polski stalinizm nawet po śmierci Stalina nie zamierzał się poddać. Również po śmierci Bieruta rządziło nim twardogłowe partyjne kierownictwo” – wspominał szef „Po Prostu”

Turski starcia z cenzurą zapamiętał nieco inaczej: „Wiedzieliśmy, o czym nie można pisać, bo cenzura na pewno nie przepuści. Nagle w 1955 roku cenzorzy zmienili do nas stosunek – okazało się, że wielu z nich jest po naszej stronie. Często zdarzało się, że siedzieliśmy razem z nimi i dyskutowaliśmy, co trzeba w tekście zmienić, żeby można go było puścić”

Urban jest zdziwiony, kiedy go o to pytam. – Przecież mechanizm cenzor – redaktor nie był w pełni antagonistyczny. Po pierwsze, procesy politycznych przemian, które współtworzyło i którym podlegało „Po Prostu”, dotyczyły też urzędów państwowych, w tym cenzury. Były różne zdarzenia poprzedzające, jak np. ucieczka Józefa Światły, które reorientowały osobiste sympatie cenzorów. One nie miały jednak zasadniczego znaczenia, bo cenzura wcale nie była urzędem decyzyjnym. To był urząd pełniący funkcję selektora, służył do podkreślania wątpliwych fragmentów. Decyzje drobne: aby zamienić słowo albo zdanie, albo wykreślić zdanie czy wprowadzić jakieś uogólnienie – to były decyzje cenzora. Ale decyzje, czy to już można było puścić, czy nie można, zapadały w odpowiedniej komórce w KC. Cenzura odgrywała o tyle pozytywną rolę, że zwalniała redaktorów od funkcji cenzorskich, a po drugie – często cenzor był sprzymierzeńcem.

Turski wspominał, że cenzura zdejmowała czasami nawet pół numeru tygodnika: „Ale zawsze czekało drugie tyle materiału, kłopot mieli tylko nasi koledzy drukarze, nasi najbardziej oddani przyjaciele, którzy potrafili po kilka razy przełamywać numer, jeśli zaszła potrzeba”

Triumf i rozczarowanie

Bojowe nastroje panujące w „Po Prostu” udzielają się innym zespołom dziennikarskim. Podobne teksty opisujące absurdy PRL ukazują się w „Nowej Kulturze” pod redakcją Wiktora Woroszylskiego i w „Przeglądzie Kulturalnym”.

Po Poznaniu wydarzenia w kraju gwałtownie przyspieszają. W październiku 1956 roku do władzy wraca Gomułka. Kiedy do Warszawy niespodziewanie przylatuje sowiecka delegacja z Chruszczowem na czele, by przywołać kierownictwo PZPR do porządku, „Po Prostu” twardo stoi

za „Wiesławem”

„Nie było alternatywy. Albo Gomułka, albo przegrana – a może wariant, jaki zastosowano na Węgrzech, gdzie utopiono powstanie we krwi” – wspominał Lasota.

W październiku naczelny „Po Prostu” występuje na wiecach na Politechnice Warszawskiej. Idzie w delegacji robotników i studentów do towarzysza „Wiesława”, a potem, na prośbę Gomułki, występuje na wiecu w Gdyni, by uspokoić nastroje.

Tygodnik jest u szczytu znaczenia i popularności. Wydrukowany na pierwszej stronie tekst Turskiego i Lasoty *Polski październik* daje nazwę bezkrwawej rewolucji na szczytach PZPR – i w kraju.

Redaktorzy „Po Prostu” czują się silni społecznym poparciem, a w tym poczuciu utwierdzają ich setki listów i gości w redakcji. Upajają się wynikami VIII Plenum, wydaje im się, że partia również przeszła demokratyczną rewolucję, która wprowadzi do zakładów pracy samorząd robotniczy i odrodzi się na „konsekwentnie komunistycznych zasadach”.

„Młodym marksistom z »Po Prostu« wydawało się, że historia z kart podręcznika dziejów ruchu robotniczego schodzi do znanych im fabryk. Byli tym odurzeni – napisali Zbysław Rykowski i Wiesław Władyka, autorzy książki *Polska próba. Październik '56.* – Odkryli sposób na urządzenie świata i to pchało ich do działania. Diagnozy były zbyt proste i stawiane na wyrost, jednak w tym momencie odgrywały wielką rolę, organizowały myślenie najbardziej aktywnej części społeczeństwa, współtworzyły sytuację rewolucyjną”.



W redakcji tygodnika „Po Prostu”: zastępcy redaktora naczelnego Hanka Bratkowska i Ryszard Turcki

Już w listopadzie redakcja zderza się jednak z twardą rzeczywistością. Już wie, że Gomułka nie pójdzie dalej w demokratyzacji kraju.

Lasota wspominał „dramatyczne zebranie zespołu” po przemówieniu Gomułki wygłoszonym 4 listopada 1956 roku do aktywu partyjnego w Sali Kongresowej. Gomułka dał do zrozumienia działaczom partii, że ich pozycja nie zostanie podważona.

„Już wtedy odłonił swoją filozofię rządzenia i dalszego kierunku rozwoju kraju. Wyraźnie postawił na aparat partyjny i trzymanie wszystkiego przez partię mocną ręką. Pamiętam, jak Hanka Bratkowska, Rysiek Turski, Włodek Godek, Witek Wirpsza, Jurek Ambroziewicz, Janusz Chudzyński, Egon Gonczarski, Andrzej Berkowicz zadawali sobie i nam wszystkim pytanie – co dalej? Było bowiem jasne, że nasza dotychczasowa linia to droga konfliktu z Gomułką” – opisał to spotkanie zespołu Lasota.

Jednak według Jerzego Urbana jesienią 1956 roku dziennikarze „Po Prostu” nie czuli jeszcze, że Gomułka wyhamowuje. – Jeszcze nie wtedy. To nastąpiło już w roku 1957, ale jeszcze przed styczniowymi wyborami, gdy nie dopuścili naszych kandydatów.

– Przecież Lasota wystartował i został posłem – zauważam.

– Ale jako kandydat PZPR, a przecież nasi fani stworzyli Klub Karola Marksa, który chciał startować w wyborach. Władza ogłosiła jednak głosowanie bez skreśleń, a to już był element rozczarowania.

W styczniu 1957 roku „Po Prostu” jako jedyna w Polsce redakcja nie popiera apelu Gomułki o głosowanie bez skreśleń w wyborach do Sejmu. Domaga się możliwości wyboru na listach, promując hasło: „Wybierajcie najlepszych!”

Tu się kończy pierwsza ćwiartka

– Nie pracowałem dla „Po Prostu”, gdybym nie widział, że ma to sens – podsumowuje Jan Olszewski.

W tygodniku pisał m.in. o tym, że adwokaci są zbyt drodzy, o nadużyciach w handlu zagranicznym, o antysemityzmie. Dziś uważa, że „Po Prostu” było ważnym rozdziałem jego życia. – Pochodziłem z Warszawy i wcześniej właściwie nie wyjeżdżałem poza miasto. To wtedy poznałem lepiej Polskę. Po Październiku jeździliśmy na przykład na Śląsk, gdzie w kopalniach i hutach zaczęto wywozić na taczkach władze partyjno-zakładowe. Próbowaliśmy to relacjonować ex post, po wydarzeniach. Spędziłem na Śląsku dwa tygodnie, ale z tego nie można było nic opublikować. Kolegium podjęło decyzję o wstrzymaniu się, to było tuż

przed wyborami w styczniu 1957 roku.

Na przełomie 1956 i 1957 redakcja tygodnika przenosi się na siedemnaste piętro Pałacu Kultury i Nauki.

– To była forma uhonorowania nas – opowiada Urban. – Zresztą fatalna, ponieważ trzeba było przechodzić przez plac Defilad, gdzie zimą wieją wiatry i pada śnieg. Potem trzeba było czekać na miejsce w windzie ze spoconymi studentami – bo w pałacu były również sale wykładowe – a potem przeżywać przeraźliwe przeciągi, bo tam nie było klimatyzacji, musieliśmy więc otwierać okna na przestrzał. Wszystko to było niezbyt wygodne, ale żyliśmy.

– Nowy lokal był nie za „zasługi”, ale z przydziału. Uważaliśmy go zresztą za zbędny luksus – kontruje Bratkowski.

Urban opowiada o tym okresie z lekką ironią: – Zbieraliśmy się w jednym pokoju, wszyscy siedzieli na kupie, pili wódkę i gadali. Dyskusje były o Polsce, o plotkach, o tym, co nowego mówili w KC. A potem dziennikarze wychodzili i znowu pili wódkę i gadali. A potem pili i pisali, a ja – jako redaktor – pisałem potem na marginesie: „tu się kończy pierwsza ćwiartka” albo „a tu się kończy druga ćwiartka”

– Decyzje o tym, co napiszecie, zapadały wspólnie?

– Różnie bywało. Czasem koledzy przynosili już gotowe teksty, czasem się je obgadywało, albo inspirowało. Myśmy żyli w ogromnym oszołomieniu, pod ciśnieniem. Bo nagle marginalna redakcja stała się ważnym i otoczonym kultem czynnikiem.

Piasek zasypuje ślad

Urban doskonale pamięta uczucie osamotnienia, które towarzyszyło dziennikarzom „Po Prostu” we wrześniu 1957 roku, gdy Gomułka zlikwidował pismo. – Chcieliśmy iść do przodu, ale mieliśmy przecucie, że Gomułka zaspokoił już oczekiwania społeczne. Że nasza wiara w socjalizm i demokrację nas wyobcowuje. I że piasek zasypuje ślad po nas błyskawicznie.



Styczeń 1957. Eligiusz Lasota, redaktor naczelny tygodnika „Po Prostu” i kandydat Frontu Jedności Narodu w wyborach do Sejmu II kadencji, na spotkaniu przedwyborczym

Po zamknięciu „Po Prostu” Olszewski został adwokatem broniącym ludzi,

którzy podpadli władzy. Wspierał KOR, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, wreszcie „Solidarność”. Inną drogą podążył Urban. Pisywał pod pseudonimami, dorabiał pisaniem prac magisterskich. W 1960 roku pogodził się z rzeczywistością: poszedł do „Polityki”, złożył samokrytykę przed Mieczysławem F. Rakowskim i został felietonistą pisma. Pisał pod pseudonimami, bo objęty został zakazem publikacji, a od 1963 roku w ogóle zakazem pracy dziennikarskiej. W latach siedemdziesiątych wrócił do „Polityki”. W latach 1981–1989 był rzecznikiem rządu, zasłynął przede wszystkim jako twarz propagandy stanu wojennego.

W rozmowie z Pawłem Smoleńskim przed dwudziestoma laty mówił: „Stoję plecami do przeszłości. Mam za sobą znacznie bardziej twórcze okresy niż »Po Prostu« i Październik”

– Nie czuję się kombatantem „Po Prostu”. Raczej kombatantem „Polityki”. Racjonalizm „Polityki” jest mi bliższy niż emocjonalne, kiepskie intelektualnie ideotwórstwo „Po Prostu” – deklaruje dzisiaj.

– Dziennikarstwo „Po Prostu” było naiwne?

– Pod każdym względem – zarówno tekstowym, jak pod względem wiary, że tą drogą można coś zrobić.

Z jakiego swojego artykułu w tygodniku jest szczególnie dumny?

– Z tekstu *Dziady narodowe*, który miał ukazać się w 1957 roku, ale już się nie ukazał, bo cały numer został skonfiskowany. Ten tekst doprowadził Gomułkę do wściekłości. Dziś mógłby się ukazać w „Wyborczej” jako zupełnie aktualny atak na PiS. Tekst był o tym, jak sztandary narodowe, rogatywki, marsze, uroczystości i śpiewanie hymnu służą likwidowaniu demokracji. Na tym polega jego aktualność.

Jest tylko jedno „ale”

– Język i styl tego tekstu jest nie do strawienia – uśmiecha się kwaśno były szef działu krajowego „Po Prostu”

Maj 1956

PAŃSTWO LECZY SWOICH WIĘŹNIÓW...

Zwolnieni z więzień na podstawie uchwalonej przez Sejm PRL amnestii korzystać będą z bezpłatnych świadczeń leczniczych. Jak wynika ze specjalnie wydanego przez Ministerstwo Zdrowia zarządzenia, osobom zwolnionym przysługuje prawo do korzystania ze świadczeń placówek lecznictwa otwartego, stacji pogotowia ratunkowego, szpitali, sanatoriów przeciwgruźliczych, a dla matek z dziećmi do dwóch lat – z domów matki i dziecka. Amnestionowani otrzymywać będą również za darmo środki lecznicze.

Bezpłatne świadczenia służby zdrowia przysługiwać będą osobom zwolnionym na podstawie amnestii przez okres trzech miesięcy. Po upływie tego czasu korzystać będą one z opieki zdrowotnej na tych samych zasadach co ogół obywateli.

„Trybuna Ludu”, 1 maja 1956

NA POCZĄTEK 1 MAJA

Nasza telewizja przeżyła w dniu wczorajszym przełomowy moment. W Pałacu Kultury i Nauki uruchomiono pierwszy w Polsce Ośrodek Telewizyjny.

Uroczystego przecięcia wstęgi dokonał Prezes Rady Ministrów, tow. Cyrankiewicz. (...) Całą uroczystość oglądali w tym samym czasie posiadacze telewizorów – była ona nadawana na antenę. Zamiast znanych już słuchaczom programów telewizyjnych napisu Warszawski Doświadczalny Ośrodek Telewizyjny na ekranach pojawiła się Syrenka oraz napis: Telewizja Warszawa. „Tu Telewizja Warszawa” – tymi też słowami rozpoczęto pierwszy program, nadawany przez nową stację.

(...) Nowa stacja nadała już transmisję z Centralnej Akademii 1-majowej w Warszawie. W dniu dzisiejszym posiadacze telewizorów będą mogli oglądać przebieg manifestacji 1-majowej.

„Trybuna Ludu”, 2 maja 1956

KRÓLAK MÓWI: SPOKOJNY JESTEM

Dziś rozpoczyna się IX Wyścig Pokoju.

Nasi reprezentanci mówią. Królak: – Czuję wyraźnie, że dochodzę do formy. Spokojny jestem – nie powtórzy się historia pierwszego etapu w Pradze, kiedy to – pamiętacie zresztą – nic nam nie wychodziło. Tym razem, gdy mocniej przyciśniemy pedały, mięśnie nie zeszywnieją. Lubię wyścigi wieloetapowe. Najlepiej mi się kręci na końcowych etapach.

„Trybuna Ludu”, 2 maja 1956

BILET DO DOMU

Od dnia 30 kwietnia br. przystąpiono do zwalniania z zakładów karnych osób, które obejmuje uchwalona przez Sejm ustawa o amnestii. W pierwszej kolejności zwalniane są kobiety.

Dnia 30 kwietnia i 2 bm. – według danych uzyskanych przez korespondentów PAP – zwolniono: w woj. krakowskim ponad 1400 osób, w woj. poznańskim – ponad 1200, w Warszawie – ok. 1000, w woj. olsztyńskim – 700, w gdańskim – 350, bydgoskim – ponad 500 osób itd. (...) Amnestionowani otrzymują bezpłatne bilety kolejowe do miejsca zamieszkania, a także prowiant na drogę; specjalne komisje powołane przy radach narodowych otaczają ich opieką. Korzystający z dobrodziejstwa amnestii otrzymują też, o ile o to poproszą, skierowania do pracy (...)

„Trybuna Ludu”, 4 maja 1956

STONKA LEKCEWAŻYĆ SIĘ NIE DA

Przeprowadzone ostatnio przez Instytut Ochrony Roślin badania odkrywkowe na polach ziemniaczanych wykazały, że mimo ostrej zimy chrząszcze stonki nie wymarły i po ociepleniu się będą wychodzić

na powierzchnię. Opinię tę potwierdza fakt wykrycia już, mimo ochłodzenia, chrząszcza stonki na polach woj. opolskiego.

Na podstawie tych badań stwierdzono również, że w tym roku istnieje niebezpieczeństwo pojawienia się tego groźnego szkodnika upraw ziemniaczanych w większych ilościach niż w ub. roku. Dotyczy to szczególnie województw centralnych. Niezrozumiałe więc jest lekceważenie tej ważnej sprawy przez prezydium rad narodowych i POM-y (...)

„Trybuna Ludu”, 11 maja 1956

KREDYT NA KONIA I INNE POKUSY

Rodziny chłopskie, wyjeżdżające na Ziemię Zachodnie, korzystają z wszechstronnej pomocy państwa w postaci pożyczek i kredytów oraz ulg w podatku gruntowym i obowiązkowych dostawach. Chłopi, którzy zdecydowali się wyjechać na Ziemię Zachodnie, aby się tam na stałe osiedlić, będą korzystać z jeszcze dogodniejszych warunków. Zapewnia to im podjęta ostatnio przez Prezydium Rządu uchwała w sprawie akcji osiedleńczej w 1956 roku.

Uchwała ta przede wszystkim znacznie rozszerza dotychczasowe środki pomocy finansowej dla osadników. Z większej pomocy korzystać będą np. rolnicy, którzy wstąpią do spółdzielni produkcyjnych. Do ubiegłego roku otrzymywali oni na zagospodarowanie działki przyzagrodowej pożyczkę w wysokości 1 tys. zł. Obecnie uzyskać oni mogą na ten cel długoterminowy kredyt wynoszący 2 tys. zł. Uchwała przewiduje również zwiększenie umarzalnych pożyczek udzielanych wszystkim osadnikom na zakup inwentarza żywego. Na kupno krowy pożyczka ta wynosi obecnie 3500 zł, czyli o 1200 zł więcej niż w latach poprzednich, a na kupno konia – 3300 zł. Rodziny osadników składające się z więcej niż dwóch osób zdolnych do pracy mogą uzyskać bezprocentową pożyczkę umarzalną na zakup zarówno krowy, jak i konia (...).

„Zielony Sztandar”, 13 maja 1956

NIEBIESKIE KOSZULKI Z GOŁĄBKIEM

Indywidualnie – Królak, drużynowo – reprezentacja ZSRR triumfują w IX Wyścigu Pokoju.

IX Wyścig Pokoju – największa amatorska impreza kolarska świata – został zakończony. Przez 14 dni miliony ludzi w wielu krajach Europy z zainteresowaniem śledziły walkę kolarzy 23 państw na ponad 2000-kilometrowej trasie z Warszawy przez Berlin do Pragi. (...) Szczególnym zainteresowaniem cieszył się piękny sportowy bój między dwoma najlepszymi zespołami wyścigu – ZSRR i Polską o niebieskie koszulki z białym gołąbkim – o przodownictwo drużynowe. Z walki tej wyszli zwycięsko kolarze radzieccy. (...) Drużyna polska zajęła zaszczytne drugie miejsce i przegrała do zwycięzców wyścigu zaledwie o 7 minut i 6 sekund. Jest to różnica minimalna w takiej imprezie jak Wyścig Pokoju (przypomnijmy, że w poprzednich Wyścigach zwycięzca wygrywał z różnicą półgodziną lub wyższą). (...)

Olbrzymi sukces odnieśliśmy w klasyfikacji indywidualnej. Nasz najlepszy kolarz, kapitan polskiego zespołu, Stanisław Królak, wpisał swe nazwisko na honorową listę zwycięzców Wyścigu Pokoju. Przez cztery ostatnie etapy Królak wspaniale walczył z tak silnymi przeciwnikami, jak Dumitrescu, Kolombet, Nyman czy Cestari i zwycięsko obronił żółtą koszulkę lidera. Jest to pierwsze zwycięstwo Polaka w dotychczasowych Wyścigach Pokoju i tym większa jest jego waga, że odniesione zostało w tak doborowej stawce.

„Trybuna Ludu”, 17 maja 1956

WYCHODZĄ Z UKRYCIA

W okresie od 20 IV do 16 V zgłosiło się do „Trybuny Ludu” i ujawniło za naszym pośrednictwem w Generalnej Prokuraturze dalszych 10 osób. Wśród nich:

Stefan Dolata, zam. w Ornontowicach, pow. Tychy, dezertor z Wojska Polskiego, ukrywał się od 12 VII 1955.

Kazimierz Wójtowicz, b. komendant Rejonu AK, ukrywał się pod przybranym nazwiskiem od 1947 r. (zam. w PGR Zespół Korsze, pow. Kętrzyn).

Ludwik Mateuszuk ze Słupska, zamieszany w aferę szpiegowską Robineau,

ukrywał się od 1949 r.

Franciszek Zając z Wólki Komarowskiej, pow. Radzyń Podlaski. Uciekł z aresztu MO i ukrywał się od lipca 1950 r.

Marian Szulewski z Broszowic (pow. Puławy). Ukrywał się od sierpnia 1950 r. (kontakty z bandą).

Tadeusz Wiktorowicz, b. członek NSZ, uciekł z aresztu PUBP i ukrywał się od lipca 1950 r.

Ryszard Suwara, dezerner z MO, ukrywał się od marca 1953 r. Zdał pistolet i 16 sztuk nabojów.

Wszyscy ujawnieni są na wolności.

„Trybuna Ludu”, 20 maja 1956

Rebelianci

Czwartek 28 czerwca 1956 roku. Dochodzi szósta rano. Robotnicy pierwszej zmiany wydziału W-3 Zakładów im. Józefa Stalina w Poznaniu, dawniej Cegielskiego, nie zaczynają pracy, zakładu nie opuszczają też ci z nocnej zmiany. Wszyscy idą do głównej hali suwnicowej.

Są rozgoryczeni i źli.

Mają dość rozmów z władzami – m.in. o cofnięciu nienależnie im naliczonego podatku (około 11 milionów złotych), cofnięciu zawyżonych norm, ośmiogodzinnym dniu pracy i likwidacji godzin nadliczbowych – z których nie wynika nic poza obietnicami.

– Wychodzimy! – decydują.

O 6.30 syrena fabryczna wzywa do strajku. Robotnicy z W-3 obchodzą wydziały W-2, W-4, W-6, W-8, a te przyłączają się do protestu.

– Chcemy żyć jak ludzie! Żądamy podwyżki płac, obniżki cen i norm! – krzyczą. Przez główną bramę zakładu rusza pochód.

Dziesięć tysięcy ludzi idzie ulicą Dzierżyńskiego – dziś 28 Czerwca 1956 – w kierunku centrum miasta. Intonują hymn, a potem *Boże, coś Polskę*.

Naprzeciw nim wyjeżdża Leon Stasiak, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Z dachu samochodu wzywa, by wrócili do pracy. Teraz? O nie, miarka się przebrała! Do pochodu przyłączają się robotnicy ZNTK, MPK, Wiepofamy i innych zakładów – wkrótce jest ich 30 tysięcy.

Główny strumień maszerujących skręca na zachód, przepływa tuż obok wejścia na trwające właśnie Międzynarodowe Targi Poznańskie.

– Chcemy wolnej Polski! Precz z Ruskimi! Chcemy wolnych wyborów! My chcemy Boga, żądamy religii w szkołach! – słyszą zagraniczni goście targów. Niektórzy fotografują demonstrantów; antykomunistyczna rebelia to dla nich sensacja.

Ze wszystkich stron miasta robotnicy idą pod dawny zamek niemieckiego cesarza, dziś siedzibę Miejskiej Rady Narodowej.

Wkrótce pod zamkiem i na placu Stalina, dziś Mickiewicza, stoi 100 tysięcy ludzi. Wszyscy jeszcze spokojni, jeszcze uważają, żeby nie deptać trawników. Wysyłają delegację na rozmowy z Franciszkiem Frąckowiakiem, przewodniczącym Rady: niech przyjedzie premier Józef Cyrankiewicz albo Edward Ochab, I sekretarz KC PZPR. To samo słyszy Wincenty Kraśko, sekretarz propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Przemowa Kraśki rozwściecza tłum. Robotnicy wdzierają się do budynku, niszczą symbole komunistycznej władzy, z okien wywieszają biało-czerwone flagi. Potem wchodzi też do Komendy Wojewódzkiej MO i na teren targów, by powiedzieć cudzoziemcom, czego chcą i co się dzieje w Poznaniu.

Gdy ludzie zaczynają wierzyć, że ich bunt rozlał się na cały kraj i rozpoczyna się ostateczna rozprawa z dyktaturą, w Warszawie zbiera się Biuro Polityczne.

Wtedy w tłumie przed zamkiem rozchodzi się plotka: aresztowali delegację robotników, którzy dwa dni wcześniej prowadzili rozmowy w Warszawie. To nieprawda, ale na wyjaśnienia jest już za późno. Jedna grupa rusza w stronę więzienia przy Młyńskiej, druga na Kochanowskiego, przed siedzibę bezpieki: „Chcemy wolności! Niech żyje Mikołajczyk!” Po drodze z dachu ZUS-u przy Dąbrowskiego paru demonstrantów zrzuca na bruk zagłuszarkę zachodnich stacji radiowych.

Bramy na Młyńskiej już wyważone. Strażnicy nie protestują, gdy robotnicy uwalniają 252 więźniów, a z magazynu wyciągają 74 sztuki broni, głównie karabiny, do tego sporo amunicji. Naczelnik więzienia zakazuje strażnikom strzelać, więc ograniczają się tylko do polewania szturmujących wodą.

Po wszystkim uzbrojeni demonstranci ruszają ku Jeżycom, na Wojewódzki Urząd do spraw Bezpieczeństwa Publicznego.

Męski zawód

Henryk Karoń, 29-letni chirurg, jak zwykle przyjeżdża do Szpitala Miejskiego nr 2 na Jeżycach o 7.30.

Dziś to 89-letni elegancki starszy pan pod krawatem, z falą siwych

włosów na czole. Sympatyczne, ale uważne spojrzenie spod gęstych brwi. Jest ostatnim z żyjących lekarzy tamtego szpitala, którzy w Czerwcu ratowali rannych buntowników.

Pochodzi z Białegostoku, w Poznaniu zrobił studia medyczne.

– Dlaczego chirurgia? Bo to jest męski zawód. No i studia były atrakcyjne.

Chciał zostać naukowcem w klinice chirurgicznej, ale dziekan powiedział „nie”. Za to, że mając szesnaście lat, za okupacji, Karoń działał w konspiracyjnej białostockiej organizacji Polska Niepodległa. Nieważne, że tylko prznosił paczki, że nie brał udziału w żadnej akcji zbrojnej, a na przysięgę przed delegatem z Warszawy się spóźnił.

W latach pięćdziesiątych studenci medycyny mieszkali w barakach na Słonecznej.

„Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa, druga mała, ale silna, i wrócimy wnet do Wilna” – śpiewa Karoń z kolegami przy wódce. Na wieść o amnestii dla żołnierzy podziemia idzie do Urzędu Bezpieczeństwa na Wildzie i się ujawnia.

Ubecy spisują jego zeznania. Od siebie dorzucają, że Karoń prznosił do stolicy paczki z bronią i kogoś zastrzelił. Na wieść o tym wzywa go dziekan kliniki chirurgicznej i mówi, że asystent musi mieć pozytywny stosunek do Polski Ludowej.

I po karierze naukowej.

Przymusowe odejście do szpitala na Jeźycach w 1953 roku odczuwa jako degradację. Na początku jest ciężko, ostre dyżury dwa razy w tygodniu. Dlatego często operuje. – Ale to miało swoje zalety, jak trzeba było ratować ludzi w ciężkim stanie, to dawało pęd do pracy.

Zostaje zastępcą ordynatora, profesora Józefa Granatowicza. Na czarno-białym zbiorowym zdjęciu z 1961 roku Karoń siedzi po prawej ręce profesora. Ordynator to człowiek starej daty, do partii nie należy, ale jest czuły na pochwały.

– „Granat” był bardzo ostrożny, wręcz bojaźliwy. W konflikcie z władzą, ciągle go chcieli wyrzucić z pracy, ale nie mieli następcy – mówi Karoń.

28 czerwca miał być dniem nieoperacyjnym. Tylko obchód sal, opatrunki, konsultacje na temat chorych i planowanych zabiegów.

„Pierwsze pogłoski, że w mieście dzieje się coś niezwykłego, dotarły do nas około 9.00 – wspominał Karoń w 1981 roku. – Mówiono o pochodzie robotników Cegielskiego pod zamek. Tuż po godz. 9.00 z okien laboratorium usytuowanego na ostatnim piętrze zaczęto obserwować niezwykle ruch na dachu budynku Ubezpieczalni Społecznej na rogu Dąbrowskiego i Mickiewicza. Po chwili stało się już jasne, że ludzie, którzy pojawili się na dachu, niszczą anteny i urządzenia stacji służącej do zagłuszania audycji radiowych z zagranicy. Na naszych oczach burzono maszty i anteny”.

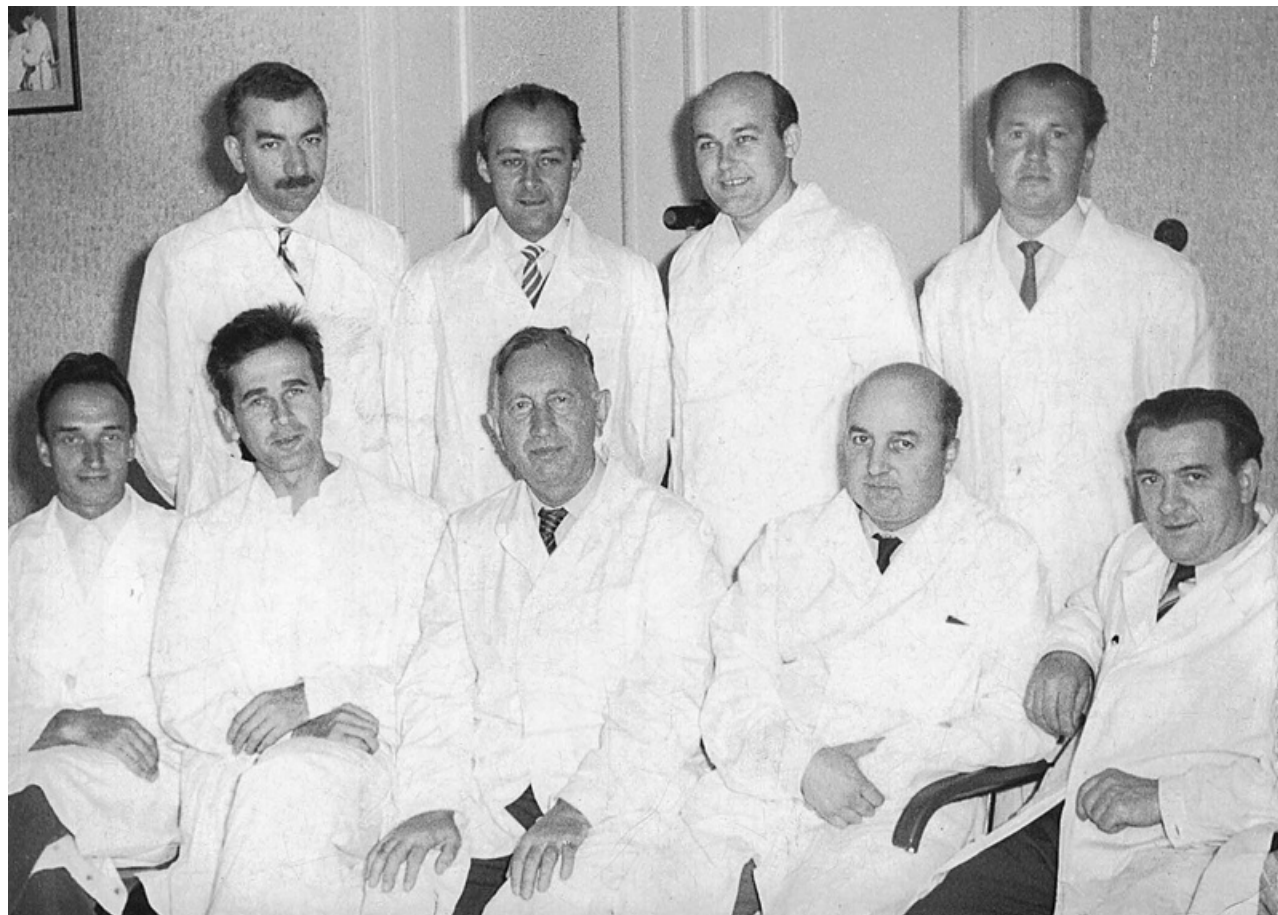
Z okien oddziału chirurgicznego Karoń widzi niezabudowany wówczas teren między ulicami Mickiewicza i Kochanowskiego, na którym gromadzą się pierwsze grupki demonstrantów. Szybko rosną do kilkuset osób, to głównie młodzież i tramwajarze w mundurach.

– Skandowano jakieś hasła. Pamiętam kobietę w mundurze tramwajarskim, która z biało-czerwonym sztandarem w rękach maszerowała przed frontem budynku Urzędu Bezpieczeństwa tam i z powrotem, prowadząc ze sobą grupę ludzi.

Na razie nikt jeszcze nie strzela.



Henryk Karoń: – Pierwsze pogłoski, że w mieście dzieje się coś niezwykłego, dotarły do nas około 9



Zespół lekarski Szpitala Miejskiego nr 2 w Poznaniu w 1961 roku. Henryk Karoń siedzi drugi z lewej, w środku – ordynator Józef Granatowicz

Anioł

W pokoju służbowym na drugim piętrze szpitala mieszka Aleksandra Banasiak, pielęgniarka. Niska, drobna, ciemne włosy spięte w kok wystający spod czepka. I promienny uśmiech.

W czerwcu 1956 roku ma dwadzieścia jeden lat. Córka nauczyciela z Fabianowa pod Pleszewem.

Skąd ten pielęgniarski czepek? W 1948 roku, w wieku trzynastu lat, łamie nogę i przez trzy miesiące leży na wyciągu, a potem jeszcze w gipsie w szpitalu w Pleszewie. Ma sporo czasu, by obserwować pielęgniarki

i salowe. – Jak mi się podobała ich praca! To były anioły. Były tam jeszcze zakonnice. Gdy nastąpiła cisza przed nocą, śpiewały taką ładną pieśń: „Wieczór, cisza, noc nadchodzi, nasza praca kończy się, jeszcze raz pozdrawiam Ciebie, śliczny Jezu, dobranoc!”

Właśnie tam mi się ten zawód spodobał.

W gimnazjum w Pleszewie ma trudności z nauką. – Nie było zeszytów ani książek, trzeba było tylko słuchać na wykładzie. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Nie umiałam się tak uczyć.

Po ósmej klasie bez wiedzy rodziców pisze podanie na półroczny kurs dla młodszych pielęgniarek w Poznaniu. – Z wydziału zdrowia dostałam odpowiedź, że mogę być przyjęta, ale w Pile, bo tam jest internat. Ojciec miał mi za złe, że tak zdecydowałam bez ich wiedzy. A mamusia się martwiła. Pamiętam, jak zapytała mojego brata Zenka: „Gdzie leży Piła?”. A on na to: „Tam, w chlewie”



Aleksandra Banasiak. Po ósmej klasie bez wiedzy rodziców pisze podanie

o półroczny kurs dla młodszych pielęgniarek w Poznaniu

Dla 16-latki ze wsi przeprowadzka do Piły była wielką wyprawą w świat. – Dostałam od rodziców ręczniczek, dwie pary majtek, jakąś suknię na przebranie – i z małą teczuszką pojechałam w 1951 roku do tej Piły. Miasto było tak zbombardowane, że jak się wyszło z dworca, to leżało tam tyle cegieł! Wtedy pomyślałam, że jeżeli mnie nie przyjmą na kurs, bo byłam jeszcze o rok za młoda, to nie wrócę do domu, tylko zostanę w Pile i będę pracowała przy tych gruzach.

Ale przyjmują ją do szkoły pielęgniarskiej. Dobrze się uczy, ale dokucza jej ostry reumatyzm: ma obrzęki i zaczerwienienie stawów. Dostaje bolesne zastrzyki salicylu. Na egzamin jedzie ze szpitala karetką pogotowia, jednak zdaje, co trzeba.

W lutym 1952 roku, w wieku siedemnastu lat, zaczyna pracę w Szpitalu Miejskim nr 2 na poznańskich Jeźycach. Najpierw na oddziale ginekologiczno-położniczym przy ul. Engla, potem na Mickiewicza. Wiosną 1956 roku zdobywa dyplom pielęgniarski. Mieszka w pokoju służbowym, wyżywienie ma na miejscu, zarabia 240 złotych. Za jedną z pierwszych pensji kupuje ubranko swojej siostrze.

– Nie wiedziałam wtedy, co to jest Cegielski. Nie znałam Poznania, nie kupowałam gazet. Nie miałam radia, żyliśmy skoszarowani wokół szpitala – opowiada. Gdy ma wolne, chodzi do delikatesów na Dąbrowskiego. O konsumach dla rodzin funkcjonariuszy UB i wojskowych – sklepach za żółtymi firankami z lepszym zaopatrzeniem – też wtedy nie wie. Dowie się później.

Naprzeciwko szpitala stoi gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. – Wtedy nie wiedziałam, co tam jest, bo mnie to nie interesowało.



28 czerwca 1956 roku. Banasiak nie doszła na dworzec: – Bo po drodze trafiłyśmy na tłum demonstrantów. Zafascynował nas. Zapomnialiśmy o ojcu, poszliśmy z robotnikami na plac Stalina

Po co stoję w tym tłumie?

W czwartek 28 czerwca Aleksandra Banasiak ma wolne. Wkłada więc sukienkę w pepitkę z dużym, szerokim, rozkloszowanym dołem i razem z siostrą idzie po ojca i brata na dworzec kolejowy. O udziale w tych wydarzeniach siostry i brata Banasiak opowie dopiero po upadku komunizmu. Wcześniej będzie ich chronić.

Jest dziewiąta rano. Aleksandra od razu zauważa, że na ulicach jest jakiś nerwowo, a ruch większy niż zwykle.

– Nie doszłam na dworzec, bo po drodze trafiłyśmy na tłum

demonstrantów. Zafascynował nas. Zapomniałyśmy o ojcu, poszłyśmy z robotnikami na plac Stalina. To tam, na placu, dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak Zakłady Cegielskiego; wtedy nosiły imię Stalina.

Pod Domem Partii, czyli Komitetem Wojewódzkim PZPR, panuje straszny ścisk, a ona i siostra są niskie, mają raptem po 155 centymetrów wzrostu, więc mało co widzą. Proszą więc mężczyzn w drelichach, by je podnieśli.

– Byłam prostą dziewczyną. Wiedziałam wtedy tylko, że jest Związek Radziecki i jest Polska. I że to, co dotyczy Polski, jest dobre, a Związku Radzieckiego – złe – opowiada.

Największą radość sprawia obu dziewczynom śpiewanie wraz z demonstrantami patriotycznych pieśni. I widok ludzi zrzucających z okien komitetu czerwone flagi, które robotnicy natychmiast wdeptywali w bruk.

– Byłam blisko, więc też je podeptałam. W oknach zaraz pojawiły się flagi nasze, biało-czerwone. Pewnie ktoś je znalazł w komitecie. Wiedziałam tylko, że to nie nasza władza. Że to czerwoni – opowiada Banasiak. – Początkowo nie miałam pojęcia, po co stoję w tym tłumie. Dopiero tam się dowiedziałam, że cegielszczacy wyszli na ulice. I że trzeba iść na Młyńską, aby uwolnić uwięzionych członków delegacji do rządu. Porwała mnie rzesza ludzi i oburzenie na to, co wyprawia władza. Ale najważniejsza była dla nas ciekawość.

Wraz z pochodem docierają na podwórze więzienia przy Młyńskiej, które robotnicy ogałają z broni i opróżniają z więźniów. Potem tłum wdiera się do sąsiedniego budynku – sądu powiatowego i prokuratury. W powietrzu fruwać papiery, robotnicy wyrzucają na ulicę akta i podpalają je.

Banasiak stoi w tym czasie na dziedzińcu więzienia. Nie wie, że w budynku wielu więźniów waha się, czy wychodzić z otwartych przez demonstrantów cel. Niektórzy odsiadują końcówki wyroków, obawiają się prowokacji.

W końcu dostrzega więźniów; wychodzą w pasiakach na ulicę. Jeden rzuca się jej na szyję – zna ją, leżał w jej szpitalu.

– Wtedy, pod więzieniem, uświadomiłyśmy sobie, że ojciec z bratem na pewno są już w Poznaniu, więc wróciłyśmy do szpitala – opowiada.

Przed godziną jedenastą wracające do szpitala siostry widzą wielkie

poruszenie: grupy ludzi z flagami narodowymi ciągną jeżyckimi ulicami Krasińskiego, Mickiewicza i Poznańską. Słyszą pierwsze, zrazu pojedyncze, strzały dobiegające od strony siedziby bezpieki.

Strzały

Karoń był wtedy w sali operacyjnej.

Potężny szum z ulicy. Dwie salowe z bloku podbiegają do okna, otwierają je i krzyczą. Karoń wychyla się i widzi falujący tłum, rzekę kilkunastu tysięcy ludzi. Płynie od strony Młyńskiej pod budynek UB ulicą Poznańską. Na czele jedzie radiowóz z megafonami, słychać chrypliwe krzyki, ale trudno wyłowić, co to za hasła. Na dachu samochodu, na masce stało i siedziało kilkunastu ludzi z biało-czerwonymi flagami. Każdy coś krzyczy lub śpiewa. Hymn? Pieśni religijne?



Największą radość sprawia dziewczynom śpiewanie wraz z demonstrantami patriotycznych pieśni. I widok ludzi zrzucających z okien komitetu czerwone

flagi, które robotnicy natychmiast wdeptywali w bruk

Demonstrantom nie udaje się z marszu zająć gmachu UB, obrzucają go więc kamieniami. Zabarykadowani ubecy i kilkunastu żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego odpędzają napastników strumieniami wody z węzów strażackich.

Ale ludzie nie ustępują. Około jedenastej padają pierwsze strzały. Pierwsi zabici.

– Precz z faszystami! SS-owcy! Bandyci! – krzyczą wzburzeni ludzie.

– To były strzały prosto w tłum. Ludzie się rozbiegli, niektórzy ranni o własnych siłach próbowali dotrzeć do szpitala – mówi Karoń.

Demonstranci rozpierchają się, ale szybko zbierają w mniejsze grupki i butelkami z benzyną próbują podpalić siedzibę UB. W pobliże gmachu ściągają cywile uzbrojeni w karabiny zdobyte w więzieniu na Młyńskiej. Z okolicznych podwórek, dachów i okien pobliskich kamienic zaczynają regularny ostrzał twierdzy ubeków. Strzelają też zza prowizorycznie wznoszonych barykad, np. zza przyczep wypełnionych workami z cementem.

Entuzjizm rośnie. W tłumie rozchodzą się fantastyczne plotki: – Ruszyły Bydgoszcz, Gdańsk, Łódź, Stalinogród, Szczecin i Warszawa! W całym kraju rewolucja!

Błyskawiczną karierę robi opowieść o Amerykanach, którzy ponoć lądują gdzieś na spadochronach. Buntownicy są pokrzepieni, pewni siebie i wściekli na ubeków. Na ulicach miasta trwa polowanie na funkcjonariuszy, kilku zostaje pobitych do nieprzytomności. Na Dworcu Głównym PKP tłum linczuje kaprała Zygmunta Izdebnego. Nienawiść do UB jest tak wielka, że ludzie nie chcą dopuścić do ciężko rannego karetki pogotowia. Zmasakrowany Izdebny umiera po przewiezieniu do szpitala.

Ireneusz Cieśliński, lekarz ze Szpitala Miejskiego nr 2 na Jeźycach, wspominał ćwierć wieku później: „Słyszeliśmy wznoszone okrzyki; widzieliśmy pięści podniesione w kierunku UB. Potem w stronę okien poleciały kamienie podniesione z bruku, z ulicy. W jednym z okien ukazał się osobnik w zielonym ubraniu, w takim półwojskowym mundurze, trudno mi to z perspektywy lat określić, i coś początkowo krzyczał do nich.

Po chwili wyjął pistolet i strzelił dwa razy w górę. A następnie zaczął strzelać w dół. Zaraz potem widziałem przez okno, że idzie pierwszy ranny, nazwiska nie pamiętam, ale ranny miał przestrałał kości ramieniowej lewej czy prawej. Potem było dwoje dzieci, a później ludzi rannych było bardzo dużo. Łącznie rannych, chorych było może około trzystu, może nawet więcej”

Kiedy Cieśliński dostrzega rannych, zbiega w dół. Dwóm rejestratorkom każe stanąć przy wejściu, spisywać dane i godziny przyjęć rannych.

Potem szpitalne księgi przyjęć staną się dowodem, że pierwszych rannych przyjęto tuż po dziesiątej. Tymczasem demonstranci dostali broń dopiero około południa, po zdobyciu więzienia na Młyńskiej.

„Czyli ludność nie mogła rozpętać tego całego piekła, tylko Urząd Bezpieczeństwa” – podsumował lekarz.

Ratunku, tu są ranni!

Około godziny jedenastej, ulica Mickiewicza. Pod szpitalem wracającą z Młyńskiej Aleksandrę Banasiak zaczepia jakiś mężczyzna, obok stoi dwóch młodszych.

– Pracujesz tu? – pyta.

– Tak.

– To przynieś nam benzyny. Potrzebujemy na Urząd Bezpieczeństwa.

Pielęgniarka idzie do szpitala, z magazynu przynosi w koszyku trzy butelki benzyny. Dyrektor Granatowicz gromi ją wzrokiem, dlatego więcej benzyny Ola już nie przyniesie.

W holu szpitala widzi pierwszego rannego: 27-letni Józef Maj, pracownik telekomunikacji, z postrzałem głowy.

Dziewczyna idzie do swojego pokoju na drugim piętrze. Ojciec i jej brat już tam czekają. Są jeszcze znajomi ze wsi: mężczyzna z synem, który tego dnia miał zdawać egzamin w szkole geodezyjnej.

– Naraz usłyszeliśmy piękny patriotyczny śpiew, a potem padły strzały i przez okno usłyszeliśmy wołanie o pomoc: „Tu są ranni! Niech ktoś pomoże, przecież tu jest szpital!”. Włożyłam kitel.

Ojciec chce ją zatrzymać. Blokuje drzwi: – Nie wyjdiesz!

– Tatuś, a jak ty mnie wychowywałeś? – pyta Ola.

W drodze na dół wpada do izby przyjęć po opatrunki. Na ulicy świszczą kule.

– Zobaczyłam absolutny chaos. Jedni uciekali, inni stali i zatrzymywali uciekających. To mogło być około 11.30. Tuż obok naszego szpitala zauważyłam grupkę dzieci, chyba z Poznańskiej albo Jeżyckiej. Takie nasze poznańskie szczuny, wyrostki. Zaraz potem przyjechało wojsko. Na czele szedł oficer z bronią gotową do strzału. Krzyczał do dzieci: „Uciekajcie, bo będę strzelał!” Dzieciaki schowały się za schodami, w wejściu do magazynu szpitala od strony Mickiewicza. Zapytałam tego oficera: „Do dzieci będziesz strzelał?” A on: „To załatw, żeby się rozeszły”. Odprowadziłam dzieci do manifestantów, zaraz się nimi zajęli.

Banasiak jest roztrzęsiona. Jej brat odbywa wtedy służbę wojskową w Stargardzie Szczecińskim.

Mógł być jednym z tych bandytów – myśli.

Pierwszy

Według Karonia pierwsze strzały padły około 10.30. Lekarz zapamiętał, że kilkutyśięczny tłum rozbiegł się przed budynkiem UB, lecz po chwili uformował się na nowo, znowu wznosząc okrzyki i skandując hasła. – Po kilkunastu minutach były następne strzały, teraz już co chwila. Pojawili się pierwsi ranni, wśród nich kobieta z przestrzelonym ramieniem. Ale tłum rósł i gromadził się w zaułkach ulicy Poznańskiej, zbierał za budynkami.

Dotychczas Karoń ratował ofiary wypadków drogowych. Teraz – rannych od ostrzału.

– Pierwszy był trzydziestoletni mężczyzna postrzelony w rękę czy nogę. Natknęliśmy się na niego z doktorem Granatowiczem, gdy biegliśmy na oddział operacyjny. Był blady z powodu upływu krwi, dawał Granatowiczowi jakieś znaki, chwycił go za fartuch, z trudem oddychał. Powiedział tylko: Doktor Granatowicz, doktor Granatowicz – i po kilkunastu sekundach zmarł na naszych oczach.

Głos Karonia łamie się: – Myśmy nie byli w stanie operować wszystkich. Ranni leżeli na łózkach w korytarzach, a gdy zabrakło łóżek, to na posadzce przed salą operacyjną.

Bagnet

Ola Banasiak boi się wyjść pod kule, ale czuje, że powinna. Pomaga jej koleżanka, salowa Aleksandra Kozłowska, gdy Banasiak sama nie daje rady zatańczyć rannego mężczyzny do szpitala. W tych swoich białych pielęgniarskich strojach dla strzelców z UB są widoczne jak na dłoni.

– Nie, nie bałam się – wspomina dziś Aleksandra Banasiak.

– Pewnie dlatego, że wcześniej, na placu Stalina, w tłumie było bardzo podniosłe. To była taka euforia!

Ale kula i ją dosięga. Ola dostaje rykoszetem w łokieć. – To była drobna rana. Nie czułam tego, dopiero demonstranci powiedzieli, że ręka mi krwawi. Koleżanka mnie opatrzyła – opowiada. – Jak biegałam wtedy pod kulami, to sobie ciągle śpiewałam ten nasz pielęgniarski hymn: „...Sztandar nasz przeszedł wielkie dni chwały,/ Gdy o wolność się walki toczyły./ Pielęgniarki na frontach ginęły,/ Lecz ofiarnie swą służbę pełniły”. Gdyby teraz zdarzyło mi się coś podobnego, pewnie bym się modliła.

Banasiak i Kozłowska ratują rannych na ulicach Mickiewicza, Poznańskiej i Kochanowskiego. Fartuch pierwszej jest czerwony od krwi, więc gdy wbiega do swojego pokoju w szpitalu, by się przebrać, ojciec i siostra znowu nie chcą jej wypuścić. Znowu awantura.

– Wychowałeś mnie tak, że nie mogę tu teraz siedzieć! – krzyczy Ola do ojca. I znowu wybiega do rannych.

– No, nareszcie! – witają ją ludzie na ulicy.

Naprzeciwko trzem czołgom wychodzi młody mężczyzna. Powiewa białą chustką. Z czołgu wyskakuje żołnierz z bagnetem i dźga go w brzuch. Raz, drugi.

Ludzie łapią rannego pod ramiona i niosą do szpitala. To Marian Kubiak, osiemnastoletni pracownik poczty, który wcześniej wraz z kolegami zdobył broń w Studium Wojskowym Wyższej Szkoły Rolniczej.

– Twarz miał bladą, zlaną zimnym potem, na pytania odpowiadał powoli i z wyraźnym trudem. Miał wstrząs wywołany upływem krwi – wspomina Henryk Karoń. – Dwie głębokie rany kłute. Operował doktor Granatowicz, ja asystowałem.

Gdy próbują uratować chłopaka, pod oknami bloku operacyjnego rozlega się kanonada z broni maszynowej. Słychać brzęk tłuczonych szyb, część personelu wpada w panikę.

Kubiak umiera kilka godzin później.

Nasze chłopaki mnie pomszczą

Na krótko demonstranci opanowują dwa czołgi, ale nie potrafią z nich zrobić użytku – przejeżdżają tylko przed gmachem UB, nie czyniąc krzywdy ubekom. Zaraz potem odzyskuje je wojsko.

Decyzję o stłumieniu buntu w Poznaniu przy pomocy armii podejmuje Biuro Polityczne KC PZPR. Wiceminister obrony narodowej generał Stanisław Popławski, Rosjanin skierowany do Wojska Polskiego z Armii Czerwonej, organizuje grupę oficerów, która ma przejąć dowodzenie nad akcją pacyfikacyjną.

Jeszcze zanim ten zespół około czternastej wylądzuje na lotnisku Ławica, szef Sztabu Generalnego gen. Jerzy Bordziłowski – kolejny Rosjanin w polskim wojsku – przekazuje komendantowi poznańskiej szkoły pancерnej rozkaz użycia broni „przeciw prowokatorom”.

Pojawienie się wojska na Jeźcach wkurza ludzi.

– Gdy wyszedłem przez boczne wejście ze szpitala, widziałem, jak na noszach przyniesiono podchorążego z roztrzaskanym przez kulę podudziem. Było jasne, że takie obrażenie zakończy jego karierę w wojsku – relacjonuje Henryk Karoń. – Tłum przywitał go krzykami i gwizdami, a ten podoficer uniósł się na łokciu, rzucił kilka dosadnych słów, a na koniec krzyknął: „Nasze chłopaki zemszczą się za mnie!”

Karoń musiał osłaniać nosze z rannym własnym ciałem. – Co takiego się stało, że tłum chciał dokonać linczu na polskim żołnierzu? Że chciał go rozszarpać? – nie rozumie do dziś.

Szpital Miejski nr 2 staje się nagle szpitalem frontowym.

Banasiak wspomina: – Nie było gdzie położyć rannych, pielęgniarki znosiły łóżka, materace, pościel. Leżeli w świetlicy, na korytarzu albo na łóżkach zwolnionych przez łóżka chorych pacjentów. Nie zmieniano się pościeli, bo świeżej nie było skąd wziąć.

Ireneusz Cieśliński wspominał przed laty: „Kaplicę zamieniliśmy na salę dla rannych”.

Wśród rannych krząta się dominikanin ojciec Antoni Wiśniewski, szpitalny kapelan. Z okna szpitala obserwuje nieudolne próby zdobycia przez tłum gmachu bezpieczki.

„Działania ludzi na ulicy nie były ze sobą zgrane, każdy robił to, co uważał za najlepsze. Brakowało dowódcy – wspominał w 1981 roku. – Ranni chcieli wiedzieć, co się tam dzieje. Opowiadałem im”.

Zofia Pawłowska, wtedy 22-letnia pielęgniarka, leży tego dnia na laryngologii po operacji wycięcia migdałów. Z okna szpitala patrzy na piekło.

„Widok był straszny. Pełno ludzi; przerażeni mieszkańcy domów sąsiadujących z UB powychodzili na ulicę, nie wiedząc, gdzie się podziać. U zbiegu Poznańskiej, Mickiewicza i wylotu Kochanowskiego był placyk z kępą zieleni; przerażone kobiety z małymi dziećmi stanęły na tym miejscu, dzieci krzyczały. Już były czołgi na ulicach; od strony UB leciały serie kul, strzelano również z czołgów seriami z karabinów maszynowych. Przy szpitalnym wejściu, po drugiej stronie ulicy Zacisze, przy samej ulicy Mickiewicza, grupa młodych podchorążych – około dwudziestu, trzydziestu ludzi – przyprowadzona przez dowódcę dostała rozkaz: Padnij! Strzelaj! Obok strzelano z czołgu w kierunku grupy kobiet i dzieci. Mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat – wysoki blondyn w beżowym garniturze, biegł wprost na strzelających i krzyczał: »Nie strzelajcie, tu są dzieci i kobiety!«. Dostał serię w brzuch. Padł na środku ulicy”.

Pawłowska nie wytrzymała: „Poszłam do rannych na salę konferencyjną. Sala była już pełna leżących na materacach. Niektórzy umierali. Około godziny 16 młody człowiek z przestrzeloną piersią i twarzą, któremu podłączono transfuzję, zaczął konać. Zauważyłam, że właśnie przechodził

dyrektor dr Granatowicz. Wybiegłam, aby go poprosić do konającego i jeszcze innych rannych. Podchodziliśmy do okna, przy którym leżał ten ranny w agonii, i wtem w okno uderzyła seria z karabinu. Na szczęście było to II piętro, kule poszły pod pewnym kątem, ale zaledwie kilka centymetrów nad głowami – doktora Granatowicza i moją. Od tej chwili podchodziłam do rannych schylona, na kolanach, aby z dołu nie widziano przy oknie nikogo z personelu”

Noc spędziła na sali wśród rannych: „Byli to mężczyźni, przeważnie młodzi lub bardzo młodzi. Mieli rany głowy, twarzy, kończyn, przestrzelone klatki piersiowe, rany postrzałowe brzucha. Niektórzy nie dożyli rana”

Jak puszcę, to umrze

Ojciec Wiśniewski: „Zawołali mnie do dyżurki na I piętro. Leżał człowiek, zakrwawiony, strupy oblepiają jego oczy. Ręce miał w porządku. Mówi: »Zawołaj księdza!«. »Jestem księdzem. Czy pan wierzący? Żałuje za grzechy?«. »Wierzący, żałuję«. Dałem mu rozgrzeszenie. »Niech pan pocałuje krzyżyk« – dałem mu pasyjkę. Namacał krzyżyk, bo nie widział, i przycisnął go do ust. Widziałem te wargi pełne krwi. Ten człowiek mnie nie widział, tylko słyszał. Wierzył w to, co mu powiedziałem. Żałował, jak potrafił. Nie spowiadałem go, nie było czasu”

Lekarze co chwila wołają kapelana. Ojciec Wiśniewski nie biega już po schodach, zjeżdża po poręczy, żeby było jak najszybciej.

„Miałem dwa takie przypadki: lekarz klęczy przy chorym. Mówi do mnie: »Ksiądz zrobi swoje. Ja odejść nie mogę, bo muszę trzymać. Jak puszcę, to on umrze«. Ranny miał przestrzeloną głowę; choć zabandażowana, mózg wydostawał się na zewnątrz. Lekarz zaciskał mu ręką jakąś żyłę przy głowie. Szybko udzieliłem absencji i namaszczenia. Lekarz puścił. Wtedy ranny wydał krótkie westchnienie... Umarł”

Banasiak widzi rannego w wojskowym mundurze. Leży na schodach kamienicy naprzeciwko UB, nogami w górę.

Ludzie przestrzegają: – Nie idź tam, to pułapka!

Ale poszła. Rozerwany brzuch, jelita na wierzchu. Banasiak nakrywa

żołnierza swoim fartuchem.

Zabierają go do szpitala.

Tego dnia trafi tu kilkuset rannych. Tylko co trzeci z nich tu zostanie – reszta wróci o własnych siłach do domów. Ze strachu, że w szpitalu mogą ich dopaść ubecy.

Wśród rannych, którzy muszą zostać, jest Andrzej Górny, później znany poznański pisarz. Kula wybiła mu oko.

Cieśliński naliczył w sumie około dwudziestu zabitych: „Znoszono ich zaraz do garażu szpitalnego, który w tej chwili służył doraźnie jako kostnica. Na trzeci dzień, gdy już było trochę luzu, zeszliśmy z kolegą Śliwińskim do tej kostnicy, pozrywaliśmy koszule wszystkich zabitych, opisywaliśmy wlot i wylot każdego postrzału i każdemu przypięliśmy kartkę z dokładnym opisem”.

Chłopczyk na krześle

W rejonie walk kręcą się zaciekawione podrostki. Około godziny 13 w stronę ubeckich garaży przy ulicy Krasińskiego spogląda Romek Strzałkowski, drobny trzynastolatek w szarej sportowej koszulce z perłowymi guzikami. Widzi, jak demonstranci wytaczają ze stacji paliw beczki z benzyną.

Wokół Romka świszczą kule, ale dla niego to wielka przygoda. W kieszonce ma 10 złotych. Dała mu je rano chora mama, żeby kupić kilka plastrów szynki. Zupełnie o tym zapomniał. W drodze do sklepu zabrał się z robotniczym pochodem na Jeżyce. Potem spotkał kolegę i poszli poszperać w garażach i mieszkaniach opuszczonych w popłochu przez rodziny ubeków.

Kwadrans przed szesnastą na ulicę Krasińskiego od strony garaży wybiega młoda kobieta. Woła pielęgniarkę do rannego chłopca. Na plac garażowy wbiegają pielęgniarki i kilku mężczyzn z noszami. Wśród nich jest 18-letnia Aleksandra Kozłowska, pomoc laboratoryjna ze szpitala na Mickiewicza. Ta sama, która razem z Aleksandrą Banasiak ratuje postrzelonych.

W dyspozytorni na krześle, oparty o kij od szczotki, siedzi drobny chłopiec w szarej koszulce. Jest blady i nieprzytomny.

Zobaczyła go Kozłowska.

„Właściwie to wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby spał. Jakby zasnął na tym krześle, bo on był tak podparty lewą ręką, a drugą trzymał tak opuszczoną. Koszula nie była zakrwawiona, ja krwi nigdzie wokół niego nie widziałam.”



Romek Strzałkowski (zdjęcie legitymacyjne)



W rejonie walk kręcą się zaciekawione podrostki. Około godziny 13 w stronę ubeckich garaży przy ul. Krasieńskiego spogląda Romek Strzałkowski, drobny 13-latek w szarej sportowej koszulce z perłowymi guzikami

Pielęgniarka sprawdza puls na ręce, a potem na szyi. Nic. Odchyła koszulkę i dostrzega ślad po kuli. I niewielką plamę krwi.

„Pomyślałam, że doniesiemy go do szpitala, że lekarze jeszcze coś zrobią. Bo on jeszcze był ciepły, lejący. Nie pamiętam momentu, kiedy stamtąd wychodziliśmy, ale pamiętam, że po drodze spotkaliśmy księdza, a on klęknął przy noszach i modlił się. Wojsko stało obok i patrzyło, ja do nich nawet coś krzyknęłam w tym gniewie: »Patrzcie, coście zrobili! Czapki z głów i na kolana!«. Nikt się nie odezwał”

W szpitalu na Mickiewicza doktor Karoń stwierdza zgon.

Mimo śledztwa IPN do dziś nie wiadomo dokładnie, jak, gdzie i kiedy zginął Romek Strzałkowski, absolwent Państwowej Szkoły Muzycznej im. Henryka Wieniawskiego. Chłopiec jest dziś symbolem poznańskiego Czerwca. Wokół jego postaci przez następne lata urosnie legenda – że to on niósł bohatersko biało-czerwoną flagę pod kulami przed gmachem UB. Ale historycy mówią, że musiało to być inne dziecko.

„Wbrew tendencyjnie rozsiewanym pogłoskom nie ma wśród ofiar zaburzeń dzieci i kobiet” – obwieszcza następnego dnia komunikat Polskiej Agencji Prasowej opublikowany we wszystkich dziennikach w Polsce.

Redaktor naczelny „Głosu Wielkopolskiego” Józef Konecki fałszuje więc treść nekrologu Romka – rozmazuje w nim trójkę w liczbie „13” (teraz wiek wygląda na 18), wyrzuca z niego słowa: „uczeń szkoły podstawowej”, zmienia godzinę pogrzebu. Nekrolog musi być zgodny z urzędowym komunikatem.

W garażu szpitala na Jeźycach leżą w tym czasie zwłoki czwórki dzieci.

W piątek 29 czerwca lekarz Bolesław Śliwiński otwiera garaż przed rodzicami Romka Strzałkowskiego. „Gdzie leżał na raszce mój kochany biedny Romek. Uklękałam i nachyliłam się, żeby jego rączki pocałować, ale lekarz odciągnął mnie” – wspominała nieżyjąca już Anna Strzałkowska, matka Romka. „Podnieśli mnie i zauważyłam, że obok leży czternastoletni, może piętnastoletni chłopiec – ładny blondyn z małą raną w czole. Pytałam: co tam jest za żółtą zasłoną? To człowiek zrzucony z dachu. Dr Śliwiński nalegał, żebyśmy już wyszli i żeby nikt nie wiedział, że tu byliśmy”

Kobiety ubeków na skraju wyczerpania

Ale to wszystko stanie się dzień później. Na razie jest 28 czerwca, „czarny czwartek”. Poznańskie Jezyce wciąż rozbrzmiewają strzałami. Demonstranci wytaczają beczki z benzyną, chcą podpalić Urząd Bezpieczeństwa. Rzucają też wypełnione benzyną butelki, ale najczęściej rozbijają się one o fasadę budynku, a do środka wpadają tylko nieliczne, wzniecając krótkotrwałe pożary. Ubecy odpowiadają ogniem z karabinów. Rannych i zabitych przybywa.

Kozłowska i Banasiak uwijają się jak w ukropie. Muszą zmieniać fartuchy, Kozłowska nawet dwukrotnie: „Taki był zakrwawiony, jakbym w sklepie mięso rąbała”

Próbuje ratować kolegę Kazimierza Dutkiewicza, który dostał postrzał w głowę. „Jak go tak złapałam, położyłam rękę pod głowę, chciałam jakoś opatryć, ale widziałam, że wszystko z głowy wycieka. Zabrali go do szpitala, nie uratowali”

Tego dnia Banasiak i Kozłowska tylko z sąsiedztwa gmachu UB donoszą do szpitala dwudziestu rannych.

– Ludzie bardzo mi pomagali, zwłaszcza jeżeli trzeba było kogoś dźwigać. I wtedy od razu ustawały strzały – jak ktoś był przenoszony do szpitala albo jak przyjeżdżała karetka pogotowia, bo nie wszyscy ranni szli do nas – opowiada pani Aleksandra.

Dziś jest prezeską Stowarzyszenia Poznański Czerwiec '56, jednego z trzech działających w Poznaniu związków kombatanckich. Cieszy się powszechnym szacunkiem, ale jedno uczestnicy Czerwca mają jej ciągle za złe: pomagała też rannym ubowcom (tak w latach pięćdziesiątych mówiono na pracowników Urzędu do spraw Bezpieczeństwa, dziś częściej używamy formy „ubecy”).

– Bo to był mój obowiązek, nie było innego wyjścia – wyjaśnia. – Ubowcy zawołali mnie, gdy wynosiłam rannego leżącego naprzeciwko ich budynku. Krzyczeli, że u nich też są ranni. Jak zanieśliśmy tego rannego do izby przyjęć, to lekarze mnie zapytali, czy nie poszłabym z nimi do Urzędu Bezpieczeństwa. Bo zadzwonili stamtąd do szpitala z prośbą o pomoc.

Karetki pogotowia przez cały dzień nie mają dostępu do UB. Manifestanci blokują dojazd.

W końcu przebija się tam dwóch lekarzy – Henryk Karoń i Bolesław Śliwiński – oraz pielęgniarka Banasiak.

Banasiak pamięta gwizdy demonstrantów i okrzyki: „Zdrajcy!”, „Jak możecie!”, „Komu chcecie pomóc?!”

– To było smutne – mówi. – Jak mogłam nie pójść? Byłam pielęgniarką.

Karoń: „Przeszliśmy przez placyk tzw. ziemi niczyjej, to jest miejsce między

gmachem UB a szpitalem w linii prostej (obecnie teren ten jest zabudowany), po którym biegali uzbrojeni żołnierze, a w załomach domów i w zaułkach sąsiednich ulic gromadzili się wzburzeni i podnieceni ludzie. Słychać było pojedyncze wystrzały. W białych ubraniach i płaszczach lekarskich dotarliśmy nie niepokojeni do gmachu UB”.

Siedziba bezpieki ma osmalone tynki – ślady po koktajlach Mołotowa. W środku, na schodach, lekarze i pielęgniarka widzą mężczyzn w cywilnych ubraniach, z bronią maszynową w dłoniach i pistoletami za pasem.

– Ubowcy byli przygaszeni, nie rozmawiali ze sobą. Widać było, że są psychicznie zniszczeni – wspomina Karoń. – Musieli mieć świadomość, że gdyby tłum wyważył drzwi i wdarł się do środka, to doszłoby do masakry. Ale mieli broń i to ona ich uratowała.

– Popłochu nie było widać, spojrzenia harde, twarze zacięte – mówi Banasiak.

Na piętrze, w korytarzu bez okien, zobaczyła kobiety z dziećmi skulone pod ścianą. To były rodziny ubowców. – Te kobiety były strasznie znerwicowane, skulone ze strachu. Uciekły tu z ubeckich mieszkań, które znajdowały się w dwóch budynkach naprzeciwko. Trzeba im było podać środki uspokajające. Daliśmy im Lubrocal, płyn o działaniu podobnym do bromu. Piły wszystkie z jednego kieliszka.

Ola Banasiak widzi popalone ściany, stoły z przestrzelonymi, opalonymi blatami, którymi ubowcy zasłaniali okna podczas walk.

Ireneusz Cieśliński wspominał w 1981 roku, co opowiedział mu po tej wizycie doktor Śliwiński: „Był tam olbrzymi smród, ponieważ ludzie ci załatwiali się prawdopodobnie pod siebie. Nie mogli podnieść się, strzały były z sąsiednich budynków do okien, siedzieli więc tyłem, nie mogli podejść pod drzwi. Byli przerażeni, próbowano podpalić budynek”.

Henryk Karoń: „Nasz przewodnik poprowadził nas wyżej, gdzie w pokoju leżał na podłodze z zakrwawioną twarzą młody osobnik, zraniony rykoszetem kuli. Był przytomny i ogólnie w dobrym stanie, jedynie zakrwawiona twarz i silny krwotok z nosa powodujący chrapliwy oddech nadawał charakterowi jego twarzy wyraz grozy. Gdy pielęgniarka Aleksandra Banasiak bandażowała mu twarz, nasz przewodnik zaprowadził

nas wyżej, do pokoju na poddaszu, gdzie na stole leżały świeże zwłoki młodego mężczyzny z raną postrzałową w samym środku czoła”.

W gmachu UB lekarze stwierdzają zgon dwóch funkcjonariuszy. Opatrzony przez pielęgniarkę ranny musi trafić do szpitala. Kiedy lekarze wyprowadzają go z budynku, witają ich gwizdy i szydercze śmiechy.

Ludzie się rozbiegli dopiero, gdy żołnierze zaczęli strzelać w powietrze.

Ale wizyta lekarzy w siedzibie UB okaże się ważna z innego powodu.

– Śliwiński spotkał tam swojego dawnego kolegę ze szkoły, nazywał się Przybył. I zaczął go wypytywać, jak to się wszystko zaczęło – mówi Karoń. – I wtedy oni przyznali, że kiedy demonstranci próbowali podpalić gmach UB, otworzyli do nich ogień z karabinów.

Gdy jesienią 1956 roku przed sądem w Poznaniu staną poznaniacy oskarżeni o napad na UB, adwokat Stanisław Hejmowski, obrońca robotników, wykorzysta zeznania lekarzy i pielęgniarki, by uchronić podsądnych od kary. Procesy poznańskie zostaną zawieszono.

Postrzelać sobie

W szpitalu przy Mickiewicza ratują też rannych żołnierzy, choć i oni nie wahają się strzelać do demonstrantów.

Doktor Cieśliński wspominał: „Był też u nas jeden ranny żołnierz, miał przetrzął kości podudzia. Od niego dowiedzieliśmy się, jak się to wszystko odbywało. Otóż oni zostali zebrani z różnych jednostek z całej Polski. Otoczyli Poznań. Wprowadzono ich w błąd, powiedziano im, że po ulicach grasują bandy rabujące sklepy, mordujące ludzi, które to bandy należy unicestwić. W takim zacietrzewieniu żołnierze strzelali naprawdę trochę bezmyślnie. Po godzinie milicyjnej, która była zdaje się od 21, strzelali bez zapytania do ludzi, ktokolwiek się pojawił – kobieta, nie kobieta. Rozjuszeni przez dowódców żołnierze chcieli sobie – jak to się mówi – postrzelać”.

Wanda Kocięcka, wówczas lekarka na stypendium w szpitalu zakaźnym na Zawadach, chce przedostać się do lecznicy, by pomagać rannym. Ale na ulicy Zacisze zostaje zatrzymana przez jednego z mężczyzn.

Dwadzieścia pięć lat później tak opisywała ten dzień:

„Na ulicach wzmagał się ruch. Ryczały syreny karetek Pogotowia Ratunkowego. Jechały przeważnie z otwartymi oknami i były przeładowane rannymi, którzy stłoczeni leżeli także i na przednim siedzeniu, podtrzymywani jedną ręką przez kierowcę. Co chwila, trąbiąc przeraźliwie, pędziły prywatne samochody z otwartymi drzwiami z obu stron i w poprzek ustawionymi noszami, z których zwisały na zewnątrz ramiona lub głowy rannych, broczących krwią. Pamiętam starą warszawę jadącą zakosami od strony ul. Poznańskiej. Kierowca jedną ręką prowadził samochód, a drugą, wyciągnąwszy do tyłu, usiłował zatamować krwotok gdzieś w okolicy szyi u młodego mężczyzny, zwieszającego się na przednie siedzenie”

Rannym pomagają też w innych poznańskich szpitalach – m.in. na Polnej oraz im. Strusia na Szkolnej. Kocięcka zgłasza się do pomocy w tym drugim.

„Izba Przyjęć od Podgórznej była oblężona przez ludzi. Płacz, tumult. Słyszę krzyk sanitariuszy i nadbiegających stale pielęgniarek: »Ludzie! Odejdźcie, rannych trzeba przenieść«. Szybko znalazłam się przy drzwiach karetki i zaczęłam pomagać w przenoszeniu rannych do Izby Przyjęć. Wszędzie krew. Wszystkie pomieszczenia zajęte, ponieważ ranni leżeli wszędzie: na kozetkach, na krzesłach i na podłodze. Wokół siebie słyszę szybkie, urywane słowa w pośpiechu rzucane przez lekarzy: »Tego natychmiast na stół; siostró, tu zaraz morfinę – jest w szoku; temu już nic... tu nic... eę, ten też... eę; kolego, u tego natychmiast grupę krwi i przetoczenie, bo się do reszty wykrwawi; panie doktorze, czy tu jeszcze iniekcja?«. Jeden drugiemu wyrывał bandażę, opatrunki, pielęgniarki i lekarze nie ustawiali w działaniu. Wszyscy umęczeni, złani potem, głodni, lecz niestrudzeni”

Rosjanie w sztabie, w czołgach Polacy

Walczący wokół gmachu UB cywile nie zdają sobie sprawy, że nie mają szans. Ponieważ czołgi z Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych mają kłopot z odblokowaniem ubowców, odpowiedzialny za stłumienie powstania generał Stanisław Popławski uruchamia cztery dywizje: dwie pancerne, 19. i 10., ćwiczące pod miastem, na poligonie w Biedrusku, oraz dwie piechoty,

4. i 5., ściągnięte z poligonu w okolicach Słubic.

Pierwsza grupa czołgów z 19. Dywizji Pancерnej wchodzi do miasta około 13.30. Nieznający Poznania pancerniacy błędzą i niespodziewanie dla siebie trafiają w rejon walk. Zasadnicze siły pancerne wchodzi do miasta po południu. Najpilniejsze zadanie – oczyszczenie z rebeliantów rejonu UB przy Kochanowskiego, likwidację okolicznych barykad oraz ochronę kluczowych budynków miasta – mają wykonać czołgiści 19. Dywizji Pancерnej.

Są ideowo urobieni: przez kilka godzin oficerowie polityczni przekonują ich, że rebelię wywołali „zachodni dywersanci”, którzy weszli do Poznania, udając gości międzynarodowych targów.

Chcą przyłączyć Poznań do Niemiec.

Czołgi i transportery przedzierają się więc pod gmach UB w obłokach gazu łzawiącego. W rewanżu mieszkańcy obrzucają pojazdy butelkami z benzyną.

Ludzie powtarzają, że do Poznania sprowadzono rosyjskie wojsko przebrane w polskie mundury.

Około siedemnastej ubecy oblężeni na Kochanowskiego doczekują się odsieczy. 19. Dywizja to blisko 1800 żołnierzy oraz 130 czołgów i dział pancernych.

Ta przygniatająca przewaga nie wystarcza jednak do uspokojenia sytuacji w mieście. Po zmroku ludzie znów obrzucają butelkami z benzyną czołgi wokół ulicy Kochanowskiego. I znów od strony zaimprovizowanych stanowisk strzeleckich słychać strzały.



Walczący wokół gmachu UB cywile nie zdają sobie sprawy, że nie mają szans. Odpowiedzialny za stłumienie powstania gen. Stanisław Popławski uruchamia cztery dywizje: dwie pancerne oraz dwie piechoty

Wieczorem 28 czerwca Karoń widzi żołnierzy z bronią w dłoniach

na korytarzu szpitala. – Rozmawialiśmy z nimi. Było ich trzech. Pochodzili ze Śląska. Było coś przerażającego w tym, że oni – dorośli mężczyźni – opowiadali sobie, że to wszystko robota imperialistycznych agentów, sługusów londyńskich i Wolnej Europy!

Generałowie w sztabie wojskowym na lotnisku Ławica decydują, że potrzebują kolejnych oddziałów.

Około dwudziestej do miasta wchodzi dwie kolejne dywizje piechoty: 10. i 4. Do północy żołnierze opanowują m.in. Zakłady Cegielskiego, czyli ZISPO, oraz teren Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Od dwudziestej pierwszej na tym samym lubuskim poligonie trwa alarm bojowy w 5. Dywizji Piechoty – jej żołnierze dojeżdżają do Poznania jeszcze tej samej nocy. Pododdziały dywizji oczyszczają miasto z ostatnich rebeliantów – razem z UB i milicją przeprowadzają pierwsze aresztowania.

Do walki ze zbuntowanymi poznaniakami władza ludowa wprowadza w sumie prawie 10 tysięcy żołnierzy oraz 390 czołgów i dział pancernych. To siły wystarczające do rozegrania bitwy o duże, umocnione miasto.

Naprzeciwko mieli kilkuset powstańców posiadających 186–188 sztuk broni palnej, trochę granatów i butelki z benzyną.

Mimo godziny milicyjnej w nocy z 28 na 29 czerwca ludzie atakują żołnierzy. Wojsko nie pozostaje dłużne: dwadzieścia dziewięć miejsc oporu najpierw próbuje zniszczyć ogniem z czołgów, na demonstrantów nacierają też zwarte kolumny piechoty. Potem zmienia taktykę – atakuje małymi grupami szturmowymi.

Od godziny 1.30 w różnych punktach miasta zaczynają się aresztowania. Zatrzymanych wiozą na lotnisko na Ławicy. Tam, na tzw. punkcie filtracyjnym, czekają na nich ubowcy, bicie i poniżanie.

Do pierwszych dni lipca na Ławicę trafi – według oficjalnych danych – aż 746 osób. W sumie UB i milicja zatrzymają ponad 1100 poznaniaków.

Granat w beczce z masłem

Noc z 28 na 29 czerwca Aleksandra Banasiak spędza w izbie przyjęć. Jej ojciec i brat śpią na łóżkach w prywatnych pokojach pielęgniarek.

Do szpitala przychodzą przerażone rodziny rannych. Ola ma za zadanie informować je, gdzie kto leży. Siedzi tam jeszcze w piątek.

Z tych nocnych godzin czuwania zapamiętała epizod z 19-letnią wówczas Lusią Tatarewicz, pracownicą administracji. – Lusie chodziło po domach i zawiadamiała, że ktoś z rodziny jest ranny w szpitalu. Kiedy sama przyjmowała do szpitala rannego żołnierza, ten wręczył jej granat. Poprosił, żeby go schowała, bo jak go z nim znajdą, to go zabiją. Więc Lusie poszła z granatem do szpitalnego magazynu i schowała go głęboko w beczce z masłem z UNRRY. Po dwóch tygodniach – alarm! Ktoś przybiegł do dyrektora z krzykiem, że Amerykanie przywieźli nam masło z bombą w środku! Dyrektor już chciał iść na UB, lecz Lusie szybko mu wyjaśniła, o co chodzi. Co się stało z tym granatem, trudno mi powiedzieć, ale sprawa na szczęście rozeszła się po kościach.

Co komu władza odrąbie

Nocą z 28 na 29 czerwca w jednopokojowym mieszkaniu w kamienicy na Piekarach 9 czekają na Henryka Karonia żona i mała córka Małgosia. Żona niepokoi się.

– Zadzwoń do niej kilka razy, na długie rozmowy nie było czasu. Nie dało się wyjść w nocy ze szpitala. Tam było kilkudziesięciu rannych i trzeba było się nimi zajmować.

Przez następne kilka dni śpi w szpitalnej dyżurce. W piątek 29 czerwca nad ranem miasto jest już spacyfikowane.

– Około czwartej, piątej wyszedłem ulicą Mickiewicza w górę, ku Dąbrowskiego. Na ulicy leżało szkło z okien kamienic ostrzelanych przez czołgi, framugi zwisały w dół. Tramwaj przy tramwaju, wyrócone, służyły dzień wcześniej jako barykady, zza których ostrzeliwano gmach UB.

Od rana trwa liczenie ofiar. Dziś IPN ma potwierdzoną listę pięćdziesięciu ośmiu zabitych i zmarłych później w wyniku odniesionych ran; inne źródła mówią o siedemdziesięciu trzech zabitych. Niewykluczone, że było ich więcej.

Po kostnicach jeździ minister zdrowia Jerzy Sztachelski. Z nim Jerzy

Molenda, szef Biura Prasowego Targów Poznańskich, który liczy ciała: 113.

Rannych jest 650. O ósmej rano Sztachelski przyjeżdża do szpitala na Mickiewicza. Patrzy na ludzi leżących na korytarzach. Ruga Granatowicza, że ściany są pobrudzone krwią.

– Obejrzał ze wstrętem te ściany, niemalowane od wielu lat, i powiedział: „Dyrektorze, ja przyślę wam komisję ministerialną!” Po tym całym dramacie on zwrócił jedynie uwagę na ściany.

Karoniowi drżą ręce. – Niech mi pan powie, jakim trzeba być człowiekiem, żeby tak się zachować?

Minister rozmawia też z pielęgniarką Banasiak.

– Nie wiedziałam, że to minister. Wyliczyłam, czego potrzebujemy, by ratować rannych – opowiada pani Aleksandra.

Tego samego dnia po południu szturmowany niedawno Wojewódzki Urząd do spraw Bezpieczeństwa Publicznego odwiedza premier Józef Cyrankiewicz. Dziękuje funkcjonariuszom UB za „dzielną postawę”. Choć szpital jest ledwie dwieście metrów obok, szef rządu do niego nie zagląda.

Dyrektor szpitala nakazuje pielęgniarce Banasiak, by następnego dnia wzięła urlop. Lepiej, żeby nie rzucała się w oczy ubekom.

Już 28 czerwca wieczorem pierwsi funkcjonariusze bezpieki w cywilu odwiedzają szpital w poszukiwaniu rannych, którzy strzelali do ubeków. Potem przychodzą następni. Chodzą po strychach szpitala, ale nikogo nie znajdują.

– Dyrektor Granatowicz powiedział mi: „Napracowałam się, odpocznij”. Nie spodziewałam się wtedy, że może chodzić o UB – wspomina Banasiak.

O 19.30 Polskie Radio nadaje wystąpienie Cyrankiewicza. Mówi o „zbrodniczej prowokacji” imperialistycznej agentury, która miała wykorzystać „istniejące bezsprzecznie bolączki i niezadowolenie w niektórych zakładach pracy”.

„Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie!” – grozi premier.

Następnego dnia, w sobotę 30 czerwca, Aleksandra wyjeżdża na wieś, do Dobieszczyzny pod Jarocinem. Jedzie na imieniny swojego ojca Leona. –

Bo 28 czerwca w Poznaniu zupełnie o tych imieninach zapomniałam. Byłam tak zmęczona, że w pociągu o małego Jarocina nie przespałam. A we wsi już wszyscy wiedzieli, że się narażałam w Poznaniu.

Ubecy wpadają w niedzielę, podczas obiadu. – Przesłuchamy panią.

Matka zdąży jej tylko powiedzieć: – Pamiętaj, nic nie widziałaś. Cisza...

Kiedy ubecy wiozą Olę na Kochanowskiego, na trzech poznańskich cmentarzach odbywają się pogrzeby ofiar. Cywile grzebani są po cichu, ceremonii pilnują funkcjonariusze UB. Oficjalne uroczystości pogrzebowe z udziałem premiera Józefa Cyrankiewicza odbywają się na Cytadeli. Przemawiający nad grobami sekretarz KC PZPR Edward Gierek w pierwszej kolejności oddaje hołd „bohaterskim obrońcom praworządności ludowej”.

Ubecy przesłuchują Banasiak do dziewiątej wieczorem. Podsuwają dziesiątki zdjęć. Tego znasz? A tego?

Pielęgniarka kręci głową przecząco. – Ja tylko ratowałam ludzi.

– Kto zaczął strzelać?

– Nie wiem, nic nie wiem.

W przerwie przesłuchania ubecy prowadzą Banasiak do ubikacji. Pilnują pod drzwiami.

Pielęgniarka słyszy krzyki, wygląda przez okno na podwórze. Pośrodku, na czymś w rodzaju podium, stoi ubek z pejczem. Okłada nim ludzi chodzących wokół.

Banasiak szłocha. Nie może przestać.

Przecież to jak za okupacji! Tak Niemcy bili ludzi w obozach.

Wypuszczają ją późnym wieczorem. W drodze do domu ciągle płacze.

Trzy procesy

Wrzesień 1956 roku. Do Poznania zjeżdżają dziennikarze z całego świata. Zaczynają się pokazowe procesy rebeliantów.

Cel władz jest jasny: trzeba udowodnić, że czerwcowy bunt to dzieło chuliganów i prowokatorów, którzy podszyli się pod robotniczą manifestację, by osłabić ludowe państwo.

Prokurator generalny kieruje do Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu akt

oskarżenia przeciwko 58 osobom.

Rozpoczynają się trzy procesy: dwudziestu dwóch robotników oskarżono o „chuligański udział z bronią w ręku” w wystąpieniach przeciwko władzy ludowej. Trzem zarzucono zabójstwo na dworcu PKP kaprala UB Zygmunta Izdebnego, pozostałym – m.in. udział w walkach pod gmachem UB i rozbrajanie komisariatów MO.



Wrzesień 1956 roku. Do Poznania zjeżdżają dziennikarze z całego świata. Zaczynają się pokazowe procesy rebeliantów. Na zdjęciu: przed sądem zeznaje oskarżony Mikołaj Pac-Pomarnacki, student Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu

Aby uwiarygodnić tezę o bandyckim charakterze wystąpień w czerwcu 1956 roku, prokuratura selekcjonuje oskarżonych: z grona kilkuset zatrzymanych władza oskarża głównie tych, którzy mają kryminalną przeszłość. Obrony podejmuje się kilkunastoosobowy zespół poznańskich adwokatów, którzy działają za symboliczne kwoty lub bezpłatnie.

Są wśród nich wybitni prawnicy: Stanisław Hejmowski, Michał Grzegorzewicz, Gerard Kujanek. Na przygotowanie linii obrony mają

zaledwie tydzień.

Trzy procesy – „trzech”, „dziewięciu” i „dziesięciu” – rozpoczynają się 27 września 1956 roku. Aleje Marcinkowskiego, przy których stoi budynek sądu, są odgradzone szczelnym kordonem milicji.

Poznaniacy słuchają procesów przez radio, a świat czyta relacje korespondentów.

„Niektórzy z adwokatów wygłosili mowy, których odwaga i elokwencja przynoszą zaszczyt ich zawodowi” – komentuje przedstawiciel Belgijskiej Ligi Obrony Praw Człowieka.

Obrońcy stanowczo polemizują z tezą prokuratorów o chuligańskich wybrykach oskarżonych. Przełomową rolę odgrywają wezwani przez adwokatów w charakterze biegłych profesorowie socjologii: Jan Szczepański, Józef Chałasiński i Tadeusz Szczurkiewicz.

Biegli uznają, że oskarżeni działali 28 czerwca pod wpływem psychozy tłumu, a ich czyny były wynikiem „nacisków, jakim podlega psychika jednostki w warunkach zbiorowego napięcia”.

Adwokaci udowadniają krok po kroku, że oskarżeni ulegli nastrojowi powszechnej euforii i poluzowania więzów społecznych. I że działali w stanie silnego wzburzenia emocjonalnego, wywołanego faktem, że wojsko i UB strzelało do cywilów.

Wśród obrońców najważniejszy jest Stanisław Hejmowski, poznański mecenas z przedwojennym etosem. W 1946 roku bronił z urzędu hitlerowskiego namiestnika Arthura Greisera – z tej roli wywiązał się świetnie, choć podczas wojny stracił dwóch braci. Hejmowski dowiaduje się, że lekarze i pielęgniarka ze Szpitala Miejskiego na Mickiewicza byli w „czarny czwartek” w gmachu UBP. Adwokat stara się wykazać, że zachowania demonstrantów wywołane były wzburzeniem ludzi, że strzelają do nich ubecy.

Wzywa więc lekarzy i pielęgniarkę Banasiak na świadków.

– Pracowałam na popołudniowej zmianie. Na salach wisały kołchoźniki, nadawano program radiowy, relację z sądu. W pewnym momencie podano informację: „Na świadków jutrzejszej rozprawy powołujemy doktorów Karonia, Śliwińskiego i siostrę Hawanę”.

„Siostra Hawana” to ona, Banasiak. Tak mówi do niej ojciec, a potem przełożona w szpitalu. Z emocji upuszcza tackę z termometrami, rozbijają się w drobny mak.

Banasiak ma być świadkiem na procesie Janusza Kulasa, kierowcy ciężarówki, jednego z dziesięciu oskarżonych o zbrojną napaść na gmach Urzędu Bezpieczeństwa i ograbienie z broni magazynów Przysposobienia Wojskowego w Wyższej Szkole Rolniczej.

Kulas świetnie nadaje się na wzorcowego chuligana. Ma za sobą legendę konika, sprzedającego bilety pod kinem Bałtyk, a prasa określa go pseudonimem „Edie Polo – włoski bandyta”.

Rozprawy odbywają się w największej sali sądu wojewódzkiego na pierwszym piętrze – z szeroką galerią. Skład sędziowski siedzi za majestatycznym stołem pod wielkim świetlikiem.

Banasiak łamie się głos i trzęsą kolana.

Słyszy, jak doktor Śliwiński mówi, że po walkach poszli pomagać rannym w budynku UB i tam usłyszeli, że to ubecy zaczęli pierwsi strzelać. Potwierdza jego słowa.

Po wyjściu z sali rozpraw do Banasiak podchodzi dziennikarka. Z Reutersa? „Timesa”? Mówi, że jeśli pielęgniarka będzie mieć problemy, to postara się dla niej o azyl polityczny.

Banasiak nie rozumie. Jaki azyl?

Henryk Karoń siedzi na jednej z rozpraw jako widz. – Oskarżeni byli młodzi, beztroscy, takie „niebieskie ptaki”, zwykle bez pracy. Zachowywali się swobodnie, bo czuli, że mają opinię publiczną po swojej stronie.

Procesy nie idą po myśli władz.

Sędzia Andrzej Gładysz, protokolant procesów poznańskich, wspominał w 2001 roku: „Hejmowski krok po kroku rozprawił się ze wszystkimi punktami oskarżenia. Jako pierwszy podkreślił ekonomiczne podłoże wydarzeń w Poznaniu. Świetnie polemizował z oskarżycielami. »Wojsko nie strzelało? Na skrzyżowaniu Jeżyckiej i Mickiewicza stał czołg. Robotnicy krzyczeli, żeby nie strzelali, i wtedy tego, który to mówił, zastrzelono« – mówił Hejmowski. I dodał: »Nie karmi się kulami ludzi, którzy wołają o chleb«”.

Wielkie wrażenie na obserwatorach procesów wywiera adwokat Michał Grzegorzewicz – pokazuje sędziom zakrwawioną, podziurawioną kulami koszulkę 13-letniego Romka Strzałkowskiego.

16 października 1956 roku Hejmowski mówi: „Na swoich prokuratorów czekają biurokraci, którzy zawinili w wypadkach czerwcowych, którzy oderwali się od mas. Na swoich prokuratorów czekają te kule, które ugodziły tramwajarkę i dziecko. Ja wierzę, że na grobach tych, którzy polegli, spełni się zapowiedź, którą w *Nocy listopadowej* Stanisław Wyspiański włożył w usta Korze, bogini wiekuiście odradzającego się życia: »Krwi przelanej nie zmarnię, krwią tą pola i rolę użyźnię,/i synów z krwi tej dam kiedyś Ojczyźnie«”.

Publiczność wrze.

Cztery dni później wracający do władzy Władysław Gomułka podczas obrad VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR przyznaje Hejmowskiemu rację.

„Przyczyny tragedii poznańskiej tkwią w nas, w kierownictwie partii, w rządzie” – uznaje nowy szef partii, a jego słowa drukuje „Trybuna Ludu”.

Prokuratura Generalna PRL zarządza rewizję wszystkich aktów oskarżenia i występuje do sądu o zwolnienie z aresztu osób, na których nie ciąży zarzuty zabójstwa albo rabunków. Sąd Wojewódzki w Poznaniu umarza wszystkie sprawy z wyjątkiem jednej: wyroki odsiedzą trzech skazani za zabójstwo kaprała UB na dworcu kolejowym.

Pożegnanie z Hejmowskim

Jesienią 1956 roku Banasiak zostaje oddziałową. Ale kiedy w 1957 roku lekarze ze szpitala dostają odznaczenia państwowe i ministerialne, nie ma jej wśród nagrodzonych.

Lekarze solidarnie decydują się nie odbierać odznaczeń, dopóki i ona nie dostanie orderu.

Dostaje Brązowy Krzyż Zasługi.

Od 1957 roku w szpitalu na Mickiewicza nieoficjalnie odbywają się w niedziele msze za poległych w Czerwcu. Kaplica jest przenośna: święty

obraz i stół. Dyrektor szpitala przechowuje ją za szafą w swoim gabinecie.

Los raz jeszcze zetknie Banasiak z adwokatem Hejmowskim. Prawnik, który jesienią 1956 roku stał się w Poznaniu legendą, dwukrotnie trafia do szpitala na Mickiewicza. Raz prosi o widzenie z pielęgniarką „Awaną” Pamięta, że zeznawała w procesie w sprawie Czerwca.

– Był zawsze konkretny i stanowczy – wspomina go Banasiak.

Bezpieka zagina na Hejmowskiego parol. Jego sprawa ma kryptonim „Maestro”. Podśłuchują rozmowy mecenasa przez prywatny telefon, przeszukują mieszkania, a w 1961 roku nasyłają kontrole skarbowe, które pod naciąganyimi pretekstami rujnują adwokata finansowo.

Zawieszony w prawach wykonywania zawodu, bez prawa odwiedzania pierwszej żony i dzieci w Szwecji, w 1967 dostaje wylewu i paraliżu. Drugi wylew dopada go wiosną 1969 roku. Umiera 31 maja 1969 roku.

Przed milicją nie uciekałam

Aleksandra Banasiak o tragedii Hejmowskiego nie wie. W 1961 roku zdaje maturę, w 1979 kończy studia z rehabilitacji na poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego.

Gdy powstaje „Solidarność”, w 25. rocznicę Czerwca zostaje zaproszona przez związek na plac Mickiewicza. Ma być świadkiem odsłonięcia pomnika Ofiar Czerwca – dwóch wielkich betonowych krzyży. Siedzi w drugim rzędzie, zaraz za matką Romka Strzałkowskiego.

W 1981 roku, gdy relacje uczestników Czerwca po raz pierwszy są obszernie spisywane, Banasiak wspomina wydarzenia sprzed dwudziestu pięciu lat ostrożnie. Unika wzmianek o swojej rodzinie, bo mimo zmian w kraju obawia się o swoich bliskich: – Wtedy, w 1981 roku, wszyscy się dziwili, że piszę te wspomnienia. Dopingowali mnie ojciec i siostra. Mówili, że skoro tyle widziałam, to powinnam to zrobić. Więc robię to do dziś.

Jako żywy symbol Czerwca zostaje matką chrzestną statku „Poznań”. Wskazują na nią robotnicy z „Solidarności” Cegielskiego.



1984 rok. Aleksandra Banasiak właśnie odsłoniła tablicę pamiątkową na szpitalu przy Mickiewicza

W stanie wojennym Aleksandra Banasiak ma problemy, władza próbuje zwolnić ją ze stanowiska przełożonej. Naciska I sekretarz partii z Zespołu Opieki Społecznej Jeżyce. Powód? Banasiak nie należy do PZPR. Sprzeciwia się ordynator Cyryl Badyda, nieżyjący już sekretarz partii w szpitalu.

W kolejne rocznice wprowadzenia stanu wojennego chodzi pod Krzyże, choć ZOMO rozgania opozycję. Czasami, jak 13 lutego 1982 roku, bardzo brutalnie.

– Kiedyś mi zarzucono, że nigdy nie zostałam zatrzymana. A ja odpowiedziałam, że pewnie dlatego, że nigdy przed milicją nie uciekałam. Bo nie mogłam, mam uszkodzone kolano – śmieje się.

Odnaczona prestiżowym medalem Florence Nightingale, tzw. pielęgniarskim Noblem, pracuje jeszcze na pół etatu w Szpitalu Miejskim im. Raszei. Żegna się z nim i zawodem dopiero w 2014 roku.

Dziś mieszka na siódmym piętrze bloku na poznańskim Piątkowie. W pokoju na ścianie zdjęcia: z Janem Pawłem II i z Donaldem Tuskiem, gdy jeszcze przed objęciem funkcji premiera składał kwiaty pod Krzyżami.

Na politykę dała się namówić tylko raz: w 2007 roku kandydowała do Sejmu z listy PO. Ale z dziesiątego miejsca nie miała szans na mandat. – Nie jestem członkiem Platformy, tylko sympatykiem. Trochę mnie zawiedli – zastrzega się.

Między innymi tym, że mimo obietnic nie przyjęli ustawy o kombatantach Czerwca.

Twarz ze snu

Po Czerwcu Henryk Karoń robi doktorat, potem habilitację, wreszcie zostaje profesorem zwyczajnym. – Znalazłem sposób, żeby ułożyć sobie życie – podkreśla z dumą.

Dojście do władzy Gomułki w październiku 1956 roku wywołuje powszechną euforię.

– W tej euforii dałem się namówić na wstąpienie do partii. Tyle że byłem w niej najwyżej dwa lata. Kiedy zobaczyłem, że Gomułka się zmienił, przestałem się udzielać. Nie rzuciłem oficjalnie legitymacji, bo to było ryzykowne. Mój kolega profesor Fibak [ojciec Wojciecha Fibaka – red.], który też wstąpił do partii po Październiku, potem się z niej wypisał i miał kłopoty, między innymi z habilitacją. Ja przestałem chodzić na zebrania, przestałem się zgłaszać, nie odpowiadałem na wezwania.

Po habilitacji, w 1974 roku, Karoń zostaje ordynatorem jeżyckiego szpitala i kierownikiem zakładu naukowo-teoretycznego na Akademii Wychowania Fizycznego. Jest wykładowcą. Potem pracuje jako ordynator w Szpitalu im. Strusia. Tam doczeka emerytury. Później prowadzi jeszcze własną poradnię chirurgiczną.

Jego syn Jacek idzie w ślady ojca. Córka Małgorzata – po mężu Hendrykowska – jest profesorem na UAM, znawcą historii filmu.

Doktor Karoń spotyka na ulicach miasta ludzi, którym pomógł w czerwcu 1956 roku. W 50. rocznicę Czerwca otrzymuje odznaczenie z rąk prezydenta

RP Lecha Kaczyńskiego.

Po nocach śni mu się starsza, siwa, chuda kobieta. Matka Mariana Kubiaka, chłopaka zakłutego bagnetami przezczołgistę.

– Pamiętam, jak przysłała do szpitala, by dowiedzieć się, co się dzieje z jej synem. Miała takie przenikliwe spojrzenie, wpatrywała się w moje oczy i pytała: „Co się stało z moim synem? Nie wrócił do domu?” Chwyliła mnie za ramię i ścisnęła. Zwlekałem z odpowiedzią, a ona ścisnęła jeszcze mocniej. W końcu powiedziałem, że jej syn nie żyje. I wtedy rozległ się krzyk. Aż dziwne, że tak wątła kobieta mogła wydać z siebie tak straszliwy krzyk rozpacz. Ludzie, którzy stali przy łóżkach, zamilkli porażeni.

Zobaczyłem ją dwa dni później, gdy załatwiała formalności w szpitalu. Nie miałem odwagi z nią rozmawiać. Miałem potem wyrzuty sumienia, że nie zaopiekowałem się nią. Miałbym podstawy, by wystąpić z takim wnioskiem. Ale byłem taki zapracowany, mieliśmy osiemdziesiąt łóżek, operacje non stop. Nawet nie wiedziałem, gdzie ona mieszka. Nie wiem, co się z nią stało. Na pewno umarła w nędzy.

Czerwiec 1956

ARMIE WROGA NA POWIERZCHNI

135 milionów złotych kosztowała w ub. roku walka ze stonką w jednym z najbardziej zagrożonych województw – w poznańskim. Inaczej mówiąc, stonka „zjadła” w jednym tylko województwie ponad milion kwintali ziemniaków (tyle bowiem można ich zakupić za tę sumę). Taka ilość ziemniaków wystarczyłaby dla Warszawy na całą zimę.

Czy niebezpieczeństwo stonki zostało obecnie choć w pewnym stopniu zażegnane? Niestety. Na to pytanie trzeba odpowiedzieć przecząco. (...) W każdym gospodarstwie, w każdej spółdzielni produkcyjnej i PGR należy dokładnie przejrzeć zeszłoroczne ziemniaczyska, obejrzyć wszystkie krzaki samosiewu i jeśli znajdziemy na nim owada, larwy lub jaja stonki – zgłosić w prezydium GRN, aby natychmiast miejsce odkażono, a krzaki zniszczono (...).

Rozpoczyna się właśnie decydujący okres walki ze stonką. Czerwiec jest tym miesiącem, kiedy całą „armię wroga” mamy na powierzchni. Larwy w początkowym stadium rozwoju są słabe – skutecznie więc działają na nie środki chemiczne.

„Trybuna Ludu”, 2 czerwca 1956

NIEOMYLNÓŚĆ I KAPRAŁSKA METODA

W dobie kultu jednostki ustaliło się takie oto prawo do działania: Jeśli ja mówię tak, to tobie nie wolno mówić inaczej, bo jeśli mówisz inaczej, podrywasz mój autorytet, a ja jestem oficjalnym przedstawicielem władz. Mój autorytet jest więc nienaruszalny i tobie nie wolno mieć innego zdania. A jeśli cię już coś bardzo nurtuje, to powiedz mi to na ucho i to na osobności, aby nikt prócz mnie tego nie słyszał. Wtedy zabezpieczony będzie autorytet

władzy ZSL, powiatu itd.

Ta metoda pracy z masami w żaden sposób nie zabezpieczała autorytetu władz ZSL czy jakiegokolwiek innej władzy, lecz obniżała ten autorytet. Obniżała dlatego, że była to metoda kaprańska żądająca od ludzi podporządkowania się woli jednostki, uznawania nieomyślności jednostki. A gdzie istnieje nieomyślność, tam się tworzy taki sam dogmatyzm, jaki istnieje we wszystkich religiach, które swoim nakazują wierzyć i nie wątpić, a nie zastanawiać się nad prawdziwością dogmatu wiary. (...)

Nowa sytuacja demokratyczna, wolnościowa, prawo do mówienia choćby najbardziej gorzkiej prawdy będzie sprzyjać podnoszeniu się poziomowi naszych działaczy (...).

Władysław Kowalski.

„Zielony Sztandar”, 10 czerwca 1956

ANTYPOLSKI BALON POPARZYŁ ROBOTNIKÓW

Na terenie gromady Biechów, pow. Nysa, woj. opolskie, spadł w tych dniach balon z antypolskimi ulotkami tzw. Wolnej Europy. Według relacji naocznych świadków wypadek miał przebieg następujący. Robotnicy miejscowego PGR, którzy przebywali w godzinach obiadowych nad stawem gospodarstwa, zauważyli opadający balon. Kiedy dotknął on ziemi, zbliżyli się, by go obejrzeć. W tym momencie, mimo iż żaden z nich nie palił papierosa i nie zbliżał się z ogniem, nastąpiła eksplozja balonu, w wyniku której ciężkim oparzeniom twarzy, rąk i innych części ciała ulegli trzej robotnicy PGR: Ludwik Galik, Franciszek Jagiełło i Jerzy Kozior. Poszkodowanych odwieziono po udzieleniu pierwszej pomocy do szpitala.

„Zielony Sztandar”, 20 czerwca

POWRÓT CATA

14 bm. przybył samolotem z Londynu do Warszawy Stanisław Cat-Mackiewicz, były premier „rządu” emigracyjnego i wybitny publicysta.

Stanisława Cat-Mackiewicza na lotnisku Okęcie witali: żona, córki i wnuki oraz dalsza rodzina, grono przyjaciół i znajomych, a także przedstawiciel

Pełnomocnika Rządu PRL do spraw repatriacji. Obecni byli liczni przedstawiciele prasy polskiej i zagranicznej.

Po wyjściu z samolotu Stanisław Cat-Mackiewicz złożył następujące oświadczenie przed mikrofonem rozgłośni Kraj: „Jestem niesłychanie wzruszony, stając na ziemi polskiej. Reprezentowałem zawsze kierunek polityczny, który był odwrotny temu, który reprezentuje dziś rząd obecnej Polski. W tym, że jestem tu tak uprzejmie witany, widzę, że Polska nie dzieli się na zwyciężonych i zwycięzców, a tylko na Polaków”.

„Zielony Sztandar”, 20 czerwca 1956

NASZA CIĘŻKA DUMA

Przez ogromne hale i kolorowe pawilony przesuwają się tysięczne rzesze zwiedzających. Trudno jest oderwać wzrok od wspaniałych dekoracji i ciekawych eksponatów, które nie ustępują zagranicznym, budzą uznanie i zainteresowanie.

Na tegorocznych Targach Poznańskich Polska wystawiła przeszło 30.000 eksponatów, zajmując prawie połowę całej powierzchni wystawowej – około 90.000 metrów kwadratowych. Naszą dumą jest przede wszystkim bogaty dział przemysłu ciężkiego, w którym wystawione maszyny i urządzenia przemysłowe wyróżniają się znacznie lepszym wykonaniem aniżeli w roku ubiegłym. (...).

„Trybuna Ludu”, 20 czerwca 1956

GORYCZ UBEKÓW

Z wywiadu z Przewodniczącym Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego Edmundem Pszczółkowskim:

„Innymi słowy, aparat bezpieczeństwa publicznego skoncentrował się wyłącznie na sprawach konkretnej walki z wrogami Polski Ludowej, ze szpiegostwem, dywersją i podziemiem politycznym, dawne sfery zainteresowań organów bezpieczeństwa zostały wyeliminowane.

Mam tu na myśli nie tylko sprawy gospodarcze lub politykę personalną, w które dawniej organa bezpieczeństwa ingerowały, a co było jaskrawym

przekroczeniem ich kompetencji. Mam na myśli również inne ingerencje b. MBP do różnych dziedzin życia politycznego, które mogą i powinny być jedynie przedmiotem rozwiązań politycznych, a gdzie niedopuszczalne są metody administracyjnej represji.

(...) Jak mówiliśmy, wielu winnych wypaczeń zostało usuniętych z aparatu. Ci, którzy dopuszczali się niewłaściwych metod śledztwa, zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, o czym relacjonowano w prasie. Wypadki takie miały miejsce nie tylko w centralnym aparacie, ale i w terenie. Tak np. zostali za łamanie praworządności i nadużycie władzy pociągnięci do odpowiedzialności karnej pracownicy aparatu – Proszowski z Poznania, Chacian z Olsztyna, E. Kowalik ze Stalinogrodu, Hartman z Łodzi i inni. (...) Chcę powiedzieć, że również w samym aparacie bezpieczeństwa, zwłaszcza w jego niższych ogniwach, było początkowo sporo niezrozumienia dla krytyki wypaczeń. Wielu ofiarnych i wiernych władzy ludowej pracowników organów bezpieczeństwa, posiadających niewątpliwie zasługi w walce z wrogami Polski Ludowej, odczuło boleśnie słowa krytyki ze strony społeczeństwa, gdyż nie zawsze rozróżniano w niej uczciwą pracę od wykroczeń i nadużyć władzy, popełnianych przez niektórych pracowników bezpieczeństwa.

Czynimy niemałe wysiłki w tym kierunku, aby cały nasz aparat zrozumiał, że krytyka ze strony opinii publicznej była sprawiedliwa i uzasadniona, i sądzę, że wysiłki te uwieńczone są pozytywnymi wynikami, co pozwoli nam lepiej pracować. (...)"

„Zielony Sztandar”, 24 czerwca 1956

Radio wolnych ludzi

– Byliśmy wtedy na jakiejś balandze u jednego z kolegów. Kilkanaście osób, dobra zabawa, dobre bawarskie piwo – wspomina Andrzej Krzeczunowicz, emerytowany dziennikarz Radia Wolna Europa i dyplomata, zasłużony dla sprawy wprowadzenia Polski do NATO.

Jest 28 czerwca 1956 roku, centrum Monachium. Wśród przyjaciół z sekcji polskiej Radia Wolna Europa panuje wesoła, luźna atmosfera.

– Nagle ktoś telefonuje i mówi: „Słuchajcie, coś się dzieje w Poznaniu, jest jakaś awantura”. Bez zastanowienia popędziliśmy wszyscy do redakcji. Nikt nie pytał, czy nam zapłacą za nadgodziny. Wiadomo: jak coś się dzieje, to trzeba pracować. Okazało się, że jest masa pracy, i to na kilka dni! W Poznaniu buntują się robotnicy największych zakładów. Opanowują więzienie, próbują zdobyć gmach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Władza rzuca przeciwko nim wojsko i czołgi. Giną ludzie.

Radio Wolna Europa non stop informuje o krwawych wydarzeniach w Poznaniu. Krzeczunowicz niezmordowanie tłumaczy nadchodzące do redakcji depesze.

– Głównym naszym źródłem informacji był korespondent „Le Monde” Philippe Ben. Pod takim pseudonimem pisał polski dziennikarz pochodzenia żydowskiego [wydalony później z Polski – red.], który znajdował się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich – przypomina sobie Krzeczunowicz. – Słał nie tylko depesze do „Le Monde”, ale także – znacznie bardziej szczegółowe – do nas. Podawał mnóstwo szczegółów, na przykład jaką ulicą szli demonstrujący robotnicy. Ogromnie się zasłużył dla polskiego społeczeństwa.

Radio Wolna Europa ma biura w różnych stolicach europejskich. Kiedy tylko wracają do nich dziennikarze z poznańskich targów, korespondenci sekcji polskiej RWE spisują ich relacje. Dzięki temu rozgłośnia kierowana przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego ma najlepsze informacje na temat

poznańskiego buntu. Krzczunowicz jest dumny. – Byliśmy lepsi od BBC i Głosu Ameryki, ponieważ byliśmy na antenie cały czas.



„Głos Wolnej Polski” – Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, na której czele stoi Nowak-Jeziorański – nadaje z Monachium od 1952 roku

Angaż dla bezpieczeństwa

„Głos Wolnej Polski” – Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, na której czele stoi Nowak-Jeziorański – nadaje z Monachium od 1952 roku. Ma dostarczać Polakom za żelazną kurtyną prawdziwe informacje o sytuacji w Polsce Ludowej. Wolna Europa szybko zdobywa masowego odbiorcę za Odrą. Już w 1954 roku audycji z Monachium, mimo zagłuszania rozgłośni, słucha regularnie 40 procent posiadaczy odbiorników radiowych w Polsce. Sporadycznie – nawet 60 procent.

Ogromnym zainteresowaniem Polaków cieszy się zwłaszcza cykl audycji

Za kulisami bezpieki i partii. Składają się nań rewelacje Józefa Światły, szczyty z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który w 1953 roku uciekł na Zachód i w 1954 opowiedział przed mikrofonami RWE o największych tajemnicach PRL oraz jej przywódców. Audycje z udziałem Światły są wstrząsem dla Polaków w kraju. Ujawniają przestępstwa bezpieki i przyspieszają likwidację stalinowskich porządków w organach bezpieczeństwa.

Rozgłośnia Polska RWE ma duże możliwości. W końcu korzysta z amerykańskiego sprzętu i pieniędzy, w praktyce pochodzących z CIA.

Ale Nowak-Jeziorański stawia sprawę jasno: „Mało mnie obchodzi, z jakiej kieszeni radio otrzymuje pieniądze, dopóki w moim pojęciu służy interesom mego kraju”

Większość emigracji nie uważa współpracy z CIA za coś zdrożnego, bo wierzy ona, że tylko USA i Wielka Brytania są w stanie przynieść Polsce wolność. Amerykanie zostawiają polskiej sekcji dużo swobody. CIA nie ingeruje w treść audycji, a jedynym pracownikiem wywiadu w budynku radia jest szef służby ochrony.

W 1954 roku do zespołu dołącza 24-letni wówczas Krzeczunowicz, absolwent studiów historycznych na szkockim uniwersytecie St. Andrews.

– Nowak-Jeziorański zaangażował mnie na uniwersytecie w Strasburgu. Przyjechał tam w sierpniu 1954 roku na kolegium Wolnej Europy, prowadzone przez Komitet Wolnej Europy – tę samą firmę, która założyła radio w 1951 roku w Nowym Jorku. Oni mieli stypendia i utrzymywali studentów na uniwersytecie w Strasburgu – opowiada pan Andrzej. – Byłem wtedy jednym ze stypendystów. My, polscy studenci, przygotowaliśmy jakąś imprezę dla studentów francuskich. Robiliśmy kolejną powtórkę, w ramach której wlałem na krzesło i wygłosiłem z głowy jakieś przemówienie po francusku, bo po francusku mówiłem od dziecka. Po próbie podszedł do mnie łysy człowiek: „Nazywam się Nowak-Jeziorański. Czy nie interesowałaby pana praca w Radiu Wolna Europa?” „Naturalnie” – odpowiedziałem, słyszałem wiele o tym radiu. Poza tym byłem wtedy bezpieczeństwa, jak wielu uchodźców, i niełatwo mi było znaleźć pracę. Po kilku miesiącach byłem już w Monachium.

Zaczyna od posady tłumacza, ale już w 1956 roku przechodzi na etat redaktora dziennika radiowego Rozgłośni Polskiej.

– Nie pamiętam, czy to było jeszcze przed poznańskim Czerwcem, czy później – przyznaje.



W 1954 roku do zespołu dołącza 24-letni wówczas Krzczunowicz, absolwent studiów historycznych na szkockim uniwersytecie w St Andrews

Poznański szok

„Czarny czwartek” 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu zaskakuje polską emigrację. Około godz. 19.30 nasłuch RWE przechwytuje komunikat Polskiej Agencji Prasowej o „poważnych zaburzeniach w mieście”.

Dla zespołu Rozgłośni Polskiej RWE to test sprawności i gotowości do reagowania. Choć nie pierwszy, bo już raz, w czerwcu 1953 roku, informowała o proteście robotników Berlina.

Dzięki zmobilizowaniu reporterów w całej Europie rozgłośnia zdobywa z pierwszej ręki relacje cudzoziemskich uczestników Międzynarodowych Targów Poznańskich. Z ich korespondencji Nowak--Jeziorański dowiaduje się, że zbuntowani poznaniacy nie tylko szturmowali siedzibę partii i Urzędu Bezpieczeństwa, ale także zniszczyli zagłuszarkę na poznańskich Jeźyczach. Dla szefa polskiej sekcji RWE to znak, że ludzie w Polsce oczekują prawdziwych informacji.

– Sam Poznań nie był totalną niespodzianką – uważa Andrzej Krzczunowicz. – Po śmierci Stalina najpierw do władzy doszedł Malenkov, a potem Chruszczow, który zaczął się przymilać do Tity. Pojawiły się nowe pomysły. No i było już po XX Zjeździe KPZR. Szczegóły tego zjazdu wyciekły na zewnątrz, treść wystąpienia Chruszczowa wywieźli komuniści polscy, ktoś coś komuś podał. Treść tajnego przemówienia Chruszczowa była już znana i było powszechnie wiadomo, że idzie odwilż.

Krzczunowicz zapamiętał, że Jan Nowak-Jeziorański tonował nastroje w Polsce. – Był szalenie ostrożny, bo przeżył powstanie warszawskie. A ludzie, którzy je przeżyli, musieli być ostrożni, bo widzieli, co to była za tragedia. Nowak kładł wielki nacisk na to, aby w żaden sposób nie podburzać. Linia radia była prosta: informować, to był zresztą nasz wielki atut, bo podawaliśmy wtedy o wiele więcej faktów niż radio w Warszawie.

„Nasz trudny dylemat polegał na tym, by rozpowszechnione przez nas wiadomości i echa ze świata nie stały się iskrami, które rozniosą pożar na cały kraj. Najprawdopodobniej skończyłoby się to katastrofą. W komentarzach musieliśmy więc wskazywać na konsekwencje eksplozji w skali całego kraju i niebezpieczeństwa powrotu do terroru, który

przeciąłby proces liberalizacji” – wspominał Nowak-Jeziorański.

Zbierając informacje na przełomie czerwca i lipca 1956 roku, Rozgłośnia Polska RWE przekazuje relacje naocznych świadków wydarzeń – dziennikarzy, którzy wrócili z Poznania. Cytuje też artykuły i relacje zachodniej prasy. Przed mikrofonami RWE występują m.in. Władysław Anders, Stanisław Mikołajczyk, Adam Ciołkosz, a nawet pisarz John Steinbeck. I Krystyna Marek, koleżanka premiera Józefa Cyrankiewicza ze studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, współpracownica z krakowskiego PPS, która razem z nim organizowała przed wojną robotnicze protesty. Cyrankiewiczowi – autorowi słów o „ucinaniu ręki podniesionej na władzę ludową” – zarzuca zdradę ideałów, którym niegdyś razem służyli.

Krzeczunowicz mieszka wtedy w Monachium, przy Lamontstrasse. Koledzy z RWE trzymają się po pracy razem, wspólnie chodzą na piwo.

– Proszę pamiętać, że my przebywaliśmy wtedy w kraju, który został po wojnie potępiony jako agresor. Nie obwinialiśmy poszczególnych Niemców o wojnę, ale mieliśmy przeczucie, że nie jesteśmy w kraju do końca normalnym – opowiada. – Zwłaszcza że początkowo Niemcy były jeszcze okupowane, a Monachium leżało w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Myśmy korzystali nawet na początku z amerykańskich sklepów wojskowych. Tak więc wtedy, w latach pięćdziesiątych, trzymaliśmy się razem w naszym radiowym getcie.

Krzeczunowicz ma kontakt z krajem poprzez rodziców w Londynie.

– Aby nie szkodzić rodzinie w kraju, pisywałem do niej z innych miejsc, nigdy z Monachium. I w miarę możliwości nie z Niemiec. Zwykle moje listy wysyłałi rodzice z Londynu. O szczegóły życia rodziny w Polsce nie zabiegałem, żeby nikogo nie narazić.

By kraj znów nie spłynął krwią

Jan Nowak-Jeziorański i zespół Radia Wolna Europa stawiają na ewolucyjną poprawę sytuacji w kraju. Uważają, że należy wspierać te siły w partii, które gwarantują zmiany. Taka taktyka przynosi owoce: jesienią 1956 roku do władzy w PRL wraca Władysław Gomułka, który przyznaje rację

robotnikom z Poznania i mówi o krzywdach wyrządzonych Polakom przez poprzednią ekipę.

Piątek 19 października 1956 roku to w Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium kolejny nerwowy dzień. Z kraju docierają wieści o niezapowiedzianej wizycie potężnej radzieckiej delegacji z Chruszczowem na czele. I pogłoski o pancernych kolumnach zmierzających z poligonów w zachodniej Polsce w stronę Warszawy.



Jan Nowak-Jeziorański (na zdjęciu) i zespół Radia Wolna Europa stawiają na ewolucyjną poprawę sytuacji w kraju. Uważają, że należy wspierać te siły w partii, które gwarantują zmiany

Szef rozgłośni znów ma dylemat: jak przekazać te informacje milionom

słuchaczy w Polsce, by nie rozbudzić bezpodstawnych nadziei na pomoc z zewnątrz. Wie bowiem, że żadna pomoc nie nadejdzie. Jako dziennikarz radia finansowanego przez Stany Zjednoczone nie może jednak otwarcie przyznać, że Ameryka nie kiwnie w sprawie Gomułki palcem. Po wahaniu znajduje dobry argument. Geograficzny.

– Rosja ze swoją potęgą militarną jest zbyt blisko, a Stany Zjednoczone zbyt daleko, aby mogły skutecznie obronić Polskę przed sowieckim zalewem – tłumaczy słuchaczom przed mikrofonem.

Rzuca na szalę swój budowany przez cztery lata autorytet i reputację radia, którym kieruje. Nie chce tworzyć złudzeń, które popchnęłyby Polaków do kolejnej rzezi. Codziennie dalekopisem z Nowego Jorku przychodzą wytyczne programowe, ale Nowak-Jeziorański wyrzuca je do kosza bez czytania. Może sobie na to pozwolić, tak mocną ma pozycję. Amerykanie podziwiają jego twardy charakter i polityczną mądrość. Szybko okazuje się, że miał rację.

– Październik to było coś zupełnie innego niż Poznań – wyjaśnia Krzczunowicz, wówczas redaktor radiowego dziennika RWE. – To były wydarzenia na większą skalę. Nowak był przerażony, że w Polsce może się wydarzyć powtórka z powstania warszawskiego. Gdy wiemy, co stało się na Węgrzech, to widać, że miał podstawy, by tak sądzić.

Kiedy „Wiesław” jako nowy sekretarz KC PZPR przemawia do tłumów na placu Defilad, Krzczunowicz tłumaczy na żywo słowa Gomułki dla amerykańskiego kierownictwa, które zebrało się w redakcji RWE, bo wydarzenia w Polsce to dla Amerykanów „wielka sprawa”.

– Nowak postanowił dać Gomułce kredyt zaufania, ponieważ nowy szef partii obiecał społeczeństwu ustępstwa i wybory. Uważał, że nie należy atakować tych decyzji, bo niektórzy członkowie naszej redakcji chcieli atakować Gomułkę na całego – mówi Krzczunowicz.

– Kto na przykład? – pytam.

– Twardogłowym był Wiktor Trościanko, nasz główny polemista [miał poglądy narodowe – red.]. Nie wierzył w zapewnienia Gomułki i mówił: „To są jednak komuniści”. Ale decyzja Nowaka-Jeziorańskiego, by dać kredyt zaufania Gomułce, sprawdziła się, bo w kraju nastąpiło rozluźnienie.

Odwrót od Października nastąpił dopiero później, począwszy od 1957 roku, od zamknięcia „Po Prostu” i wielu innych wydarzeń. Jesienią 1956 roku Nowak wyróżnił się jednak zmysłem politycznym.

Gdy Gomułka wraca do władzy, a do Warszawy przylatuje niespodziewanie kierownictwo ZSRR, Wolna Europa udziela pełnego poparcia nowemu szefowi polskiej partii komunistycznej. W swoich programach i komentarzach radio wzywa do zachowania spokoju, by nie dać Sowiecom pretekstu do interwencji.

„Dziś właśnie manifestowanie zrozumiałych uczuć nienawiści do sowieckiego ciemiężyciela na publicznych wiecach, zebraniach i pochodach stanowi groźne niebezpieczeństwo i może być z łatwością wykorzystane jako pretekst do ataku na tę ograniczoną niezależność, która stała się zdobyczą ostatnich kilku tygodni – komentuje już 4 października 1956 roku przed mikrofonem RWE Jan Nowak-Jeziorański. – Nakazem chwili na dzień dzisiejszy jest unikanie wszystkiego, co mogłoby zagrozić Polsce nową katastrofą, unikanie wszystkiego, co mogłoby pogłębić wewnętrzny chaos i pogorszyć jeszcze bardziej fatalne położenie gospodarcze”

Nowak-Jeziorański nie chce, by „kraj znowu spłynął krwią”

– Tłumaczył to wszystko lekcją powstania warszawskiego. To przemawiało do każdego, przecież każdy pamiętał, jak wyglądała Warszawa w końcu 1944 roku. Z milionowego miasta zostały 4 tysiące mieszkańców. Katastrofa, ruiny po horyzont – przypomina Krzczunowicz.

Redaktorzy sekcji polskiej mocno przeżywają październikowe wydarzenia. Krzczunowicz wspomina „te dyskusje podczas porannych konferencji redaktorskich, a potem w trakcie przerw w kantynie. Myśmy wtedy dyskutowali na okrągło”: – Z naszego punktu widzenia każdy bunt w PRL był korzystny, ale chodziło o to, by nie było ofiar.

Polska rozgłośnia w Monachium nie poucza i nie instruuje. Skupia się na dostarczaniu obiektywnych informacji o przebiegu zdarzeń. To ważne, bo oficjalne środki przekazu Polski Ludowej na temat wydarzeń czerwcowych niemal zupełnie milczą. A dramatyczne chwile związane z niezapowiedzianą wizytą Chruszczowa kamuflują urzędowym

pustostłowiem i nowomową.

Tymczasem nadająca równolegle do polskiej sekcja węgierska RWE działa inaczej: wzywa do buntu, co potęguje dramat na ogarniętych powstaniem Węgrzech. Jak zauważa Jolanta Hajdasz, autorka pracy *Szczekaczka, czyli Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*, węgierski zespół RWE, nadający emocjonalne audycje, odpowiada za radykalizację powstańców i spada na niego „część odpowiedzialności za tragedię 1956 roku, w której życie straciło ponad 2600 obywateli węgierskich, a prawie 20 tysięcy zostało rannych”.

Krzysztof Pomian, w październiku 1956 roku jeden z organizatorów wieców na Politechnice Warszawskiej, jako członek władz Związku Młodzieży Polskiej miał dostęp do biuletynu nasłuchu RWE. „Lekturę codzienną zaczynałem od tego, co powiedziała Wolna Europa – wspominał. – To był też mój pierwszy kontakt z Janem Nowakiem. Od tego czasu datuje się mój ogromny szacunek dla tego człowieka. Gdyby Nowak nic więcej w życiu nie zrobił, to już tylko za sam Październik '56 zasłużył na pomnik na największym placu Warszawy. Gdyby uległ presji Amerykanów i postępował tak jak jego koledzy z sekcji węgierskiej, w Warszawie mielibyśmy drugi Budapeszt. (...) Oczywiście tłem jego postawy była pamięć powstania warszawskiego i świadomość, że alianci nie kiwnęli w naszej sprawie palcem. Jego węgierski kolega był o to doświadczenie uboższy”.

Między wierszami

W niewielkim Planegg pod Monachium mieszka Ewa Chciuk-Celt, jedna z nielicznych już osób, które tworzyły pierwszy zespół sekcji polskiej Radia Wolna Europa. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, więc uprzejmie prosi, by mówić do niej przez telefon głośno i wyraźnie, „bo już nie jestem tak sprawna jak kiedyś”.

W 1956 roku miała trzydzieści dwa lata, od czterech lat mieszkała w Monachium. Przyjechała tam w marcu 1952 roku z dwojgiem małych dzieci.

– Do Radia Wolna Europa trafiłam dzięki mężowi, który został tam zaangażowany do grona redaktorów. Występował w radiu pod pseudonimem „Michał Lasota” i prowadził audycje wiejskie, a także audycje młodzieżowe, m.in. harcerskie – opowiada.

Męża, Tadeusza Chciuka, „cichociemnego” i kuriera Związku Walki Zbrojnej, który przeprowadzał ludzi z okupowanego przez Sowieców Lwowa do Budapesztu, poznała jeszcze przed wojną w Drohobyczu, na porannej mszy szkolnej. Symbolem mocnego uczucia był przyjęty przez Tadeusza Chciuka pseudonim „CELT” (C – od Chciuk, E – od Ewa, L – od Lovell, panińskie nazwisko Ewy, T – od Tadeusz). Stąd też wzięło się drugie nazwisko Ewy.



W niewielkim Planegg pod Monachium mieszka Ewa Chciuk-Celt, jedna z nielicznych już osób, które tworzyły pierwszy zespół sekcji polskiej Radia Wolna Europa

Pobrali się w grudniu 1945 roku w Polsce. W kwietniu 1946 roku zostali aresztowani przez UB pod zarzutem szpiegostwa. Ewa była wówczas w ciąży, miała przyjść na świat ich pierwsza córka Oleńka. Wyszli na wolność po interwencji Stanisława Mikołajczyka. Zagrożeni ponownym aresztowaniem, w 1948 roku uciekli z całą grupą uchodźców politycznych przez Słowację do Wiednia, a potem do Paryża. Tam dzięki stypendium Ewa wznowiła studia romanistyczne na Sorbonie, tam też urodziła syna Łukasza. W kwietniu 1952 roku stawiła się do pierwszej pracy w Monachium.

– Dostałam najpierw pracę zleconą: miałam zrobić wykaz wszystkich poloników znajdujących się w posiadaniu Staatsbibliothek [Biblioteki Państwowej w Bawarii – red.]. Musiałam opracować 5 tysięcy książek. Napracowałam się, oj, napracowałam! Ale był to jedyny wówczas spis poloników, zanim nastały komputery – śmieje się pani Ewa. – A potem cały czas pracowałam albo w archiwum, albo w researchu, albo w tzw. ewaluacji, czyli przygotowaniu materiału na potrzeby redaktorów.

Szybko stała się filarem polskiej części działu badań i analiz, tzw. researchu. Awansowała na zastępcę kierownika, potem samodzielnie prowadziła dział.

– Publikowaliśmy regularnie, po angielsku, dwojakiemu rodzaju opracowania. Nie tylko dla redaktorów polskich, ale również dla redaktorów wszystkich innych rozgłośni, węgierskiej czy czeskiej. Informowaliśmy w nich o tym, co dzieje się w Polsce.

Zadaniem Chciuk-Celt była lektura polskiej prasy, dzienników i czasopism. – Wyciągałam z nich materiały i informacje dla naszych redaktorów. A w ewaluacji prowadziliśmy karty osobowe wszystkich ważniejszych polityków i osób zaangażowanych w polską kulturę.

– Gazety z Polski przychodziły z dużym poślizgiem? – pytam.

– Nie. Mieliśmy jakąś firmę niemiecką, która nam to załatwiała. Gazety dostawaliśmy w ciągu kilku dni, najwyżej tygodnia.

– Wtedy liczyła się umiejętność czytania między wierszami?

– Tak jest! – ożywia się pani Ewa. – To było właśnie moje zadanie: wyczytywanie nie tego, co stoi napisane w gazecie, tylko co to oznacza.

Wypuścili Wacka, czyli przełom

Kiedy zorientowała się, że sytuacja w Polsce się poprawia? Gdy jesienią 1956 roku z więzienia wyszedł Waław Felczak, wielki przyjaciel jej męża jeszcze z czasów kurierskich, późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Mąż mój zaprzyjaźnił się z nim, wówczas szefem biura kurierów polskich, jeszcze podczas wojny, na Węgrzech – wspomina pani Ewa. – Wacek pomagał nam potem uciekać z Polski przed bezpieką. Został aresztowany, gdy my już byliśmy w Paryżu. Dostał bardzo ciężki wyrok [dożywocie – red.], był torturowany i więziony. I właśnie wtedy, w październiku 1956 roku, został uwolniony. To był dla nas bardzo ważny moment, bo Wacek był naszym bliskim przyjacielem, został nawet ojcem chrzestnym naszej córki. Moment, w którym Wacek i inni więźniowie polityczni zostali zwolnieni, był dla nas przełomem.

W 1956 roku poprawiła się atmosfera w redakcji RWE. Koledzy i koleżanki zaczęli patrzeć na przyszłość kraju bardziej optymistycznie. Zmieniły się także informacje w polskich gazetach, polscy dziennikarze zaczęli pisać bardziej otwarcie.

Swoje opracowania sygnowała skrótem „ECC”, znajdowały się one w cotygodniowych raportach sytuacyjnych. Ewa Chciuk-Celt odpowiadała za informacje na temat życia Kościoła i organizacji młodzieżowych – i religijnych, i ZMP. Pamięta, jaką radość sprawiła jej wieść o uwolnieniu prymasa Wyszyńskiego z Komańczy.

– Pierwszym powodem do radości był fakt, że nasi zasłużeni w wojennych akcjach koledzy powychodzili nareszcie z więzień, że w ogóle przeżyli te więzienia. A po drugie, że wyszli jako tako zdolni do dalszego życia – mówi pani Ewa. – Bardzo nas też cieszyło to, co działo się na płaszczyźnie Kościół – państwo. Wrócił „Tygodnik Powszechny”, powstawały kluby inteligencji katolickiej, a endek Bolesław Piasecki przestał reprezentować dla władz Kościół katolicki. Wreszcie pojawiła się możliwość odetchnięcia!

Pracowała od 9 rano do 17.30, z godziną przerwą w południe. Gdy czytała polską prasę, analizując ją pod kątem wykorzystania na antenie, zauważyła, że jesienią 1956 roku zmienił się język publikacji. – Bardzo

na korzyść. Nawet w polskim radiu przestał obowiązywać żargon komunistyczny, wreszcie zaczęli tam mówić jak ludzie. Jedyne, co nas niepokoiło, to bezpieka, która nadal istniała i wszędzie pchała swoje łapy. Wywracała ludziom sumienia. Mieliśmy wtedy różne przykre wiadomości na ten temat.

– Czy zespół sekcji polskiej wierzył, że zmiany w kraju pójdą dalej?

– Dominował ostrożny optymizm. Coś nareszcie zaczęło się w kraju dziać. Atmosfera optymizmu była wyczuwalna w redakcji nawet mimo tragicznych wydarzeń w Poznaniu, choć sceptyków nie brakowało.

Młodość na ulicy Nibelungów

– Często miała pani okazję rozmawiać z Janem Nowakiem-Jeziorańskim? – pytam.

– Tak, byliśmy wszyscy w dobrych stosunkach, choć w tamtym czasie byłam raczej mało zaangażowana w towarzyskie życie redakcji – przyznaje. – Miałam wtedy na głowie czwórkę dzieci, w tym dwoje niemalże noworodków: moja najstarsza córka Aleksandra Marta miała dziesięć lat, syn Łukasz sześć lat, druga córka Maria Elżbieta urodziła się w 1954 roku, a drugi syn Jan Waław w 1955. Musiałam więc godzić pracę z domem.

Ewa i Tadeusz Chciukowie mieszkali wtedy w Monachium przy Nibelungenstrasse 53. Stały tam domy mieszkalne zbudowane przez Amerykanów dla pracowników Radia Wolna Europa.

– Mieszkania były w pełni urządzone, choć nie należały do nas – wspomina pani Ewa. – Potem okazało się, że tyłu nas tam przybyło, że kolejnych domów nie da się już dobudować. Dlatego Amerykanie pomagali nam przenosić się poza Monachium.

W 1969 roku Chciukowie zebrali wszystkie oszczędności i kupili pół domu w Planegg, miejscowości położonej 27 kilometrów od Monachium. Pani Ewa mieszka tu do dziś.

Jak opowiada, w 1956 roku miała „bardzo ostrożny” kontakt z rodziną w kraju: – Bo im też dokuczali. Moja matka, mieszkająca wtedy w Rzeszowie, złożyła wniosek o wizę, żeby normalnie, legalnie przyjechać

do nas, do Monachium. Odesłano jej jednak wszystkie papiery bez słowa komentarza. Bezpieka nachodziła też mieszkanie rodziców. Mieli mamę dobrze na oku, nie mówiąc już o świętej pamięci rodzicach mojego męża. Mama Tadeusza miała poniemiecki domek w Aleksandrowicach pod Bielskiem. Po naszej ucieczce bezpieka próbowała od niej wyciągnąć, gdzie jesteśmy i co robimy, ale odpowiedziała, że nie wie. Po śmierci męża zmusili więc ją do przeniesienia się do Katowic, do siostry.

Nadal na froncie

Pani Ewa przyznaje, że nie pamięta już dobrze atmosfery z października 1956 roku.

– Każdy był pochylony nad swoim biurkiem, nad swoim konkretnym zadaniem. W samym tylko polskim dziale było nas 120 osób – podkreśla. – Zresztą to nie była tylko redakcja, ale również tzw. produkcja, czyli dział publikowania, newsy, monitoring – nasłuch radiowy i biblioteka. Nasłuch polskiego radia działał przez całą dobę, więc ci ludzie siedzieli też na „nocnych szychtach”. A wiadomości nadawaliśmy co godzinę, chyba przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Jak wyglądał dzień pracy Rozgłośni Polskiej RWE?

– Rano praca dla redaktorów i innych pracowników, z wyjątkiem tych nocnych, zaczynała się o godzinie dziewiątej. O dziesiątej była konferencja redaktorska. Redaktorzy już zapoznali się z tym, co ich tego dnia czeka, i było to omawiane do godziny 10.30 lub 11. Wtedy redaktorzy zabierali się do pracy. A my do pracy w researchu, a z drugiej strony – do obsługi redaktorów. Bo wiedzieliśmy już, o czym tego dnia będzie mowa. Wszyscy redaktorzy, zwłaszcza ci polityczni, ale również z ciekawości ci od kultury czy muzyki, brali udział w konferencji. Tam się wszystko ustalało – mówi.

Zespół tworzyli wtedy ludzie, którzy „w 90 procentach mieli już jakąś karierę w Polsce za sobą”, no i byli w odpowiednim wieku, „więc często odchodzili albo na emeryturę, albo w ogóle”

Z jesieni 1956 roku zapamiętała jeszcze, jak reporterzy RWE wyłapywali Polaków, którzy przejeżdżali przez Monachium. – Ci, którzy przedtem nie

mogli nawet marzyć o wizie, teraz dojeżdżali do nas i relacjonowali wydarzenia z kraju. Zajmował się tym specjalny dział, który wykorzystywał informacje z kraju zdobyte z pierwszej ręki. Ten dział odpowiadał za spotkania z ludźmi stamtąd, którzy mieli nam coś do opowiedzenia. Ale wszystko to nie odbywało się publicznie, żeby tych ludzi i ich rodzin nie narażać po powrocie do Polski na konsekwencje.

– Gdzie odbywały się te spotkania?

– Nie wiem, nie pracowałam w tym dziale – odpowiada pani Ewa.

Z jesienią 1956 roku kojarzy jej się też to, że najwięcej szumu w redakcji zrobiły tragiczne wydarzenia na Węgrzech:

– Gdy nasi koledzy węgierscy zaczęli przeciągać strunę, sugerować rodakom w kraju: „poczekajcie, wytrwajcie, my przyjdziemy z pomocą”, nikt nie przyszedł im z pomocą. Przyszli Rosjanie i na Węgrzech zrobiło się bardzo niedobrze. Węgrzy za bardzo dali się porwać emocjom.

Po październiku 1956 roku w zespole polskim RWE nie zaszły żadne istotne zmiany.

– Byliśmy nadal na froncie walki z komunizmem – mówi pani Ewa – ale cieszyliśmy się, że dużo dobrego dzieje się w polskim rolnictwie, że słabnie kolektywizacja, że rolnicy indywidualni mają możliwości przeżycia. To były jednak dobre rzeczy. Tak samo jak zmiany w kulturze czy w harcerstwie, które też się poprawiło, znowu przypominało prawdziwy skauting. Wszystko to odnotowywaliśmy i staraliśmy się dodać animuszu tym zmianom.

Przyznaje, że dziennikarze mieli „pewne nadzieje, ale euforii nie było”. Podkreśla, że nikt w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa nie miał wtedy nadziei na „zakończenie komunizmu w Polsce” – Zawsze się mówiło: no, może poszło o pół kroku naprzód.

Wobec Gomułki

Po Październiku do Polski wracają m.in. Melchior Wańkowicz (najpierw na kilka tygodni jesienią 1956 roku; na stałe w 1958) i Zofia Kossak (1957). Lawinowo rośnie skala odwiedzin Polski przez Polonię amerykańską, która

wystawia zmianom w ojczyźnie pozytywne oceny. Do Polski zaczynają też wracać emigranci z Francji.

Wybory ze stycznia 1957 roku, które mają potwierdzić w kraju pozycję Gomułki, wywołują spory na emigracji. Polacy poza krajem obawiają się, że mimo pozorów demokratyzacji wybory w PRL to plebiscyt popularności Gomułki, a nie możliwość realnego wyboru.

Mimo to rozgłośnia Polska RWE wspiera postulat Gomułki, by głosować „bez skreśleń” (a więc na liderów partii na pierwszych miejscach listy wyborczej). Nowak-Jeziorański nadal obawia się, że w przypadku zaognienia sytuacji w Polsce mogą interweniować Rosjanie. Chce tego uniknąć. Nawet za cenę wsparcia niedemokratycznych wyborów.

Na przełomie lutego i marca 1957 roku Nowak-Jeziorański i dziennikarze RWE spotkają się w Monachium z Andrzejem Berkowiczem i Wiesławem Szyndlerem-Głowackim, przedstawicielami tygodnika „Po Prostu”. Nowak-Jeziorański obawia się, że „Po Prostu” czy „Przegląd Kulturalny” – pisma domagające się od Gomułki dalszych demokratycznych zmian – są zbyt radykalne. Że działają prowokująco na ZSRR i „partyjną konserwę”. I że mogą wywołać interwencję radziecką.

„W wywodach [Nowaka – red.] wyczuwało się apel, a nawet błaganie o łagodniejszy ton i mniej radykalne postulaty” – napisał w sprawozdaniu dla KC PZPR i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Wiesław Adamski, uczestnik tego spotkania z ramienia Zrzeszenia Studentów Polskich.



Po Październiku do Polski wracają m.in. Melchior Wańkowicz (na zdjęciu) – najpierw na kilka tygodni jesienią 1956 roku; na stałe w 1958 – i Zofia Kossak (1957)

Dochodzi do paradoksu: należący do PZPR redaktorzy „Po Prostu” mają do Nowaka żal, że jest zbyt ugodowy i – pośrednio – wzmacnia pozycję Gomułki.

– Tygodnik „Po Prostu” to była wielka rzecz w komunistycznej Polsce – uważa Ewa Chciuk-Celt, która analizowała wtedy publikacje tego pisma.

Redakcja sekcji polskiej RWE widzi odchodzenie Gomułki od haseł Października, ale Nowak-Jeziorański przestrzega przed podgrzewaniem nastrojów w kraju. Na antenie stawia przede wszystkim na informację, rzadziej na komentarz. Uważa, że polskie społeczeństwo przyzwyczaja się do nowej rzeczywistości, którą porównuje do trzęsącego się tramwaju.

„Skoro (...) wiadomo, że nie można z tego wehikułu wysiąść »na żądanie« (...), a podróż może jeszcze potrwać długo – pasażerowie zaczynają myśleć, by uczynić podróż możliwie znośną (...)” – opisał tę sytuację w latach osiemdziesiątych.

Rozwiązanie „Po Prostu” w październiku 1957 roku i rozbięcie przez milicję demonstracji studenckich w Warszawie w obronie pisma to dla Nowaka-Jeziorańskiego ostateczny sygnał do zmiany stanowiska wobec Gomułki.

– Pamiętam, że Gomułka zaczął się wyraźnie wycofywać ze swoich obietnic około 1961 roku – mówi Ewa Chciuk-Celt. – Dlaczego właśnie wtedy? Bo wtedy mieliśmy znowu napływ uchodźców z Polski, niektórzy zgłaszali się do nas, do redakcji. Ci ludzie byli rozczarowani: „Takie mieliśmy nadzieje, a znowu wszystko wróciło do komunistycznego kołowrotka”. To chwytano za gardło.

– Codziennie dyskutowaliśmy o tym, co dzieje się w Polsce. Analizowaliśmy każdą informację polityczną radia z Warszawy, każde wydanie „Trybuny Ludu”. I rozmawialiśmy ze wszystkimi Polakami, którzy jeździli do Niemiec – wspomina Krzeczunowicz. – Nigdy nie sądziliśmy, że coś się zmieni jeszcze za naszego życia. Tymczasem komunizm upadł, gdy nie byłem jeszcze stary...

Ostrożnie z tymi sprawami

Ewa Chciuk-Celt przepracowała w polskiej sekcji Radia Wolna Europa trzydzieści pięć lat, w lipcu 1987 roku przeszła na wcześniejszą emeryturę. Jej mąż działał w radiu do stycznia 1983 roku, był nawet pełniącym obowiązki dyrektora sekcji. Zmarł w 2001 roku. Od tamtej pory pani Ewa dba o pamięć o mężu. I o „Celtowo” – dom Chciuków w Planegg. Z radością wyczekuje kolejnych wizyt dzieci, mieszkających w USA.

– Za tydzień przyleci do mnie Łukasz – cieszy się, gdy rozmawiamy na początku maja.

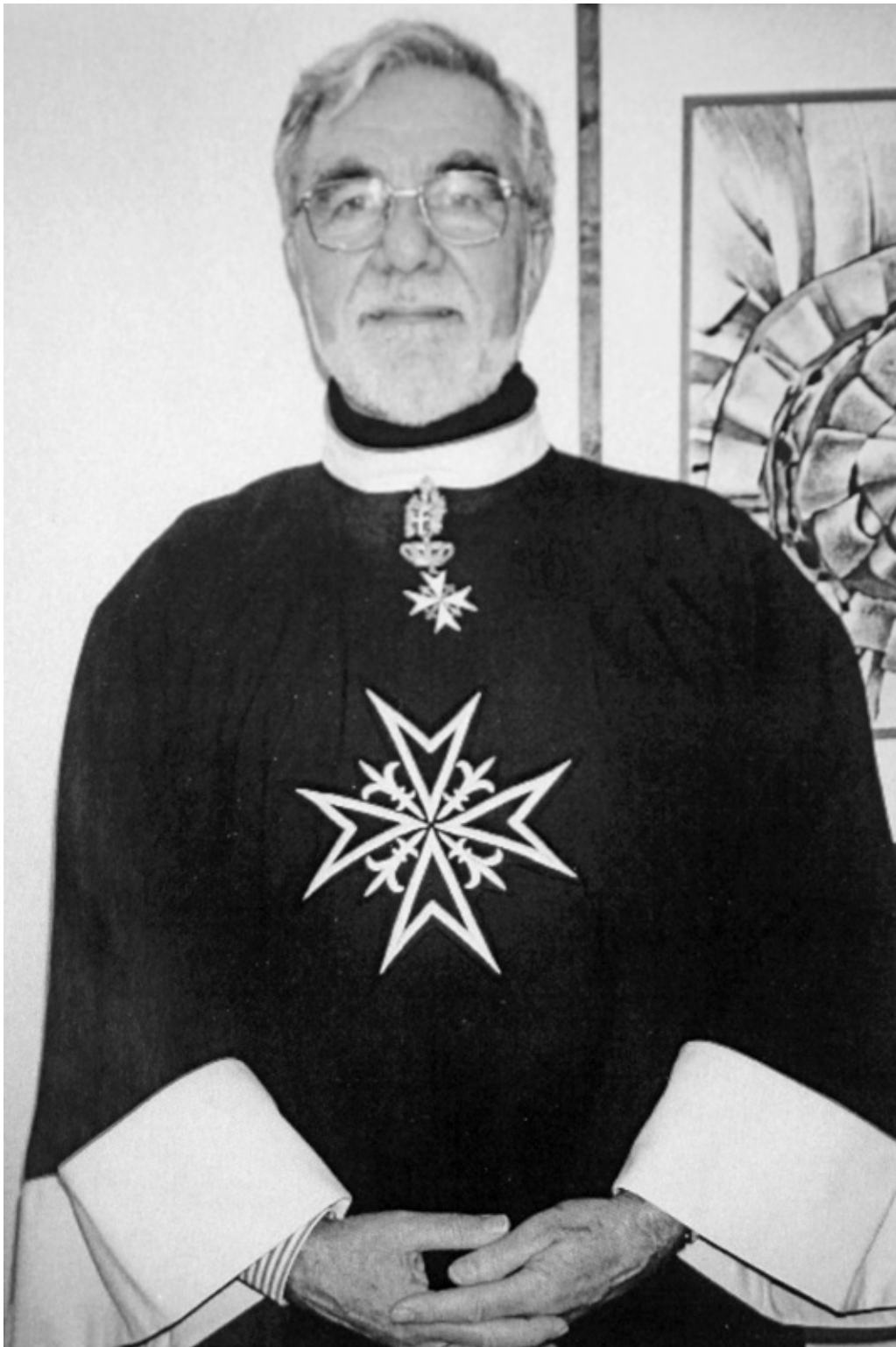


40. rocznica emisji pierwszego programu Rozgłośni Polskiej RWE, maj 1992 roku. Uczestnicy uroczystości przed kościołem św. Barbary w Monachium.

Widoczni od lewej: Tadeusz Chciuk-Celt, Gerda Urbanowicz, Janusz Urbanowicz, Edwarda Srebowska, Józef Ptaczek, Danuta Gamarnikow, Danuta Krajewska, ksiądz Podgórski, Jan Nowak-Jeziorański, Krzysztof Romanowski, Alina Perth-Grabowska, Hanna Ratowa, Krystyna Miłotworska, Leszek Perth, Urszula Stefanowska, Ewa Chciuk-Celt, Irma Wysocka, Nina Kozłowska, Roma Stefanowska

Andrzej Krzczunowicz pozostał w RWE do 1988 roku, od 1983 roku będąc zastępcą dyrektora Rozgłośni Polskiej. Gdy Polska odzyskała wolność, kierował Biblioteką Polską i Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu (1989–1992), a potem został dyplomatą. Reprezentował Rzeczpospolitą jako ambasador w Belgii i Luksemburgu, a także jako ambasador przy NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej. Przygotowywał wejście Polski do Paktu Północnoatlantyckiego. Dziś kieruje Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie, angażuje się też w inicjatywę Związku Polskich Kawalerów Maltańskich.

Przyznaje, że dane mu było doświadczyć rzeczy niebywalej: najpierw walczył słowem o wolną Polskę w Radiu Wolna Europa, a potem związał niepodległy kraj ze strukturami wolnego świata. – Miałem supersatysfakcję z tego, że Polska znalazła się w NATO. Ostatecznie to nas zabezpieczy na jakiś czas. Bo w polityce nie ma słów „zawsze” i „nigdy”; zawsze się coś zmienia. W NATO jesteśmy od siedemnastu lat, a już widzimy, że sytuacja jest inna niż wtedy, gdy do niego wchodziliśmy. Trzeba postępować bardzo ostrożnie z tymi wszystkimi sprawami. I z Europą, bo Europa jest naszą przyszłością. Nigdy z niej nie wyjdziemy, zawsze będziemy częścią kontynentu. I nigdy Rosja nie przestanie być naszym sąsiadem. Nasi politycy, nasi przywódcy muszą ciągle o tym myśleć.



Andrzej Krzczunowicz kieruje Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie, angażuje się też w inicjatywy Związku Polskich Kawalerów Maltańskich

Lipiec 1956

O OBCINANIU RĄK

Z przemówienia premiera Józefa Cyrankiewicza do mieszkańców Poznania:

„Obywatele, mieszkańcy Poznania, robotnicy, inteligenci, młodzieży!

Mówię do Was z głębokim bólem, bo to nasze piękne, znane ze swej pracowitości, z patriotyzmu i z zamiłowania do porządku miasto stało się terenem zbrodniczej prowokacji i krwawych zająć, które wstrząsnęły sumieniem każdego uczciwego poznaniaka, każdego Polaka, i które społeczeństwo z całych swoich sił stanowczo potępia.

Mówimy ze sobą szczerze i wcale nie trzeba ukrywać faktu, że zbrodniczy prowokatorzy wykorzystali istniejące bezsprzecznie bolączki i niezadowolenie w niektórych zakładach pracy z powodu trudności ekonomicznych i rozmaitych dokuczliwych nieraz bolączek. Jeżeli chodzi o bolączki ujawnione w całym szeregu zakładów pracy w Poznaniu, które w dużym stopniu wywołane zostały błędami i nieprawidłowym stosowaniem obowiązujących przepisów, to rzecz jasna błędy te muszą być i będą natychmiast poprawione (...).

Na Poznaniu skupiła się cała uwaga ośrodków imperialistycznych, albowiem chodziło o to, aby Poznań, miasto Międzynarodowych Targów i w okresie Targów, uczynić terenem zamieszek. (...) Wróg starał się więc wykorzystać niezadowolenie części robotników i pracowników Poznania, spowodowane trudnymi warunkami materialnymi ludności pracującej, a zwłaszcza robotników. Bo przecież wiadomo, że warunki te nie są takie, jakie chcielibyśmy, żeby były. (...)

Wtedy w niektórych punktach miasta, na niektórych dachach, prowokatorzy ustawili karabiny maszynowe, które godziły zarówno w strażników porządku, jak i w spokojną ludność i pochłoneły ofiary. (...)

Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw

władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podnoszenie stopy życiowej ludności, w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia (...).”

„Trybuna Ludu”, 1 lipca 1956

POTĘPIENIE HECY WROGA

Wczoraj rano mieszkańcy Warszawy dowiedzieli się ze szpalt gazet stołecznych o tragicznych zajściach, spowodowanych przez prowokatorów w Poznaniu. W wielu zakładach warszawskich odbyły się zebrania organizacji partyjnych i załóg.

Kobiety – robotnice Warszawskich Zakładów Odzieżowych na Pradze – ogłosiły apel do wszystkich kobiet Polski. W treści apelu czytamy:

„Z całą bezwzględnością potępiamy zakusy wroga i protestujemy przeciwko rozlewowi bratniej krwi. (...).

(...) Drukarze warszawscy, zebrani na otwartym zgromadzeniu partyjnym, zastanawiali się poważnie nad głębszymi przyczynami dezorientacji wśród wielu uczciwych, ofiarnych robotników poznańskich w stosunku do hecy wroga, który – chcąc siać panikę, prowokować krwawe zajścia – wypuścił z więzienia kryminalistów i bandytów, zaatakował milicjantów broniących spokoju ulicy, zbezczęścił sztandary robotnicze. (...)

Robotnicy Żerania mają szczególne powody do gorących wystąpień i do oburzenia. Wczoraj w Poznaniu rozeszła się bowiem pogłoska, że załoga FSO w Warszawie solidaryzuje się z wystąpieniami w Poznaniu. Robotnicy Żerania zastanawiali się, komu zależało na oczernianiu ich załogi?”

„Trybuna Ludu”, 1 lipca 1956

ZWĘGIER AUTOBUSY, ZEGARKI Z NIEMIEC

Czwartkowe zamieszki w Poznaniu nie zahamowały działalności naszych central. W ich siedzibach kontynuowane było analizowanie szeregu kontraktów. Obroty tego dnia były duże. Szczególnie dotyczy to transakcji importowych. Z Węgier sprowadzamy 34 autobusy oraz 3000

radioodbiorników. (...) Zakontraktowano również wiele artykułów na potrzeby rynku, m.in. dalszą partię obuwia skózanego z Belgii, zegarki i zabawki mechaniczne z NRF, jak również szereg aparatów medycznych. (...) W dniu zajęć tereny targowe pozostały nienaruszone. Sporadyczna próba włamania, dokonana przez dwóch uzbrojonych bandytów, została udaremniona (...).

„Trybuna Ludu”, 1 lipca 1956

SIDŁO TRIUMFUJE

Janusz Sidło pobił w sobotę w Mediolanie rekord świata w rzucie oszczepem uzyskując wspaniały wynik 83,66 m. Sidło poprawił o 10 cm rekord Fina Nikkinena, ustanowiony przed tygodniem. (...) Na stadionie mediolańskim publiczność zgotowała nowemu rekordziście gorące owacje, a słynny dyskobol włoski Consolini zaniósł Sidłę na ramionach na podium zwycięzców.

„Trybuna Ludu”, 2 lipca 1956

POLACY POD GERLACHEM

Dzięki umowie o wymianie turystycznej między Polską i CSR setki turystów z Polski podziwiają urok Tatr Słowackich.

„Trybuna Ludu”, 5 lipca 1956

HUK I DYM, CZYLI BĘDZIE „KANAŁ”

Ulica Dolna 25. Zaraz... zaraz... Przecież niedawno był tu pusty plac, a teraz stoi kilkupiętrowy i to w dodatku zniszczony dom...

Ten widok wprawia w zdumienie każdego przechodnia i na długo odebrałby spokój, gdyby nie fakt, że przed owym dziwnym domem stoją samochody z napisem „Film Polski”. A więc to tu nakręcany jest nowy film polski, według noweli Jerzego Stawińskiego pt. *Kanał*.

Tematem filmu są ostatnie dni walki powstańców na Mokotowie i przedzieranie się ich kanałami do Śródmieścia. Film reżyseruje Andrzej Wajda, zaś operatorem jest Jerzy Lippman [Lipman]. W filmie występują m.in. aktorzy: Gliński, Janczar, Karewicz, Gniazdowski [Gwiazdowski],

Sheibal [Sheybal], Iżewska.

Pierwszą część zdjęć wykonano w czerwcu. Obecnie, po krótkiej przerwie, zespół znów wznawia pracę. Okolicznych mieszkańców, którym huk i dym towarzyszący zdjęciom sprawiają pewnie niemało kłopotu, pocieszamy, że nie potrwa to dłużej niż kilka najbliższych dni.

„Trybuna Ludu”, 5 lipca 1956

ARCYDZIEŁA Z ODZYSKU

Związek Radziecki przekazuje Polsce odnalezione dzieła sztuki zrabowane przez hitlerowców.

(...) Są to dzieła sztuki zdobniczej stanowiące własność muzeów polskich, a zagrabione przez hitlerowców w latach 1939–1944. Armia Radziecka uratowała je w czasie walk na terytorium Niemiec i następnie przewiezione one zostały do ZSRR wśród zdobyczy wojennych. Niedawno dzieła te zostały odnalezione w rezultacie dokładnego przeglądu i przestudiowania zdobyczy wojennych.

Łącznie w ZSRR znajduje się 800 obrazów, ponad 10.500 dzieł grafiki i rysunków oraz 1.100 przedmiotów sztuki złotniczej. Wśród tych dzieł sztuki przekazywanych Polsce znajdują się obrazy wybitnych polskich mistrzów: Jana Matejki, Aleksandra Gierymskiego, Henryka Rodakowskiego, Franciszka Smuglewicza, Józefa Chełmońskiego, Leona Wyczółkowskiego, Wojciecha Gersona, Stanisława Lenca [Lentza], Józefa Brandta. Dzieła Jana Matejki reprezentowane są tu przez znane obrazy *Stańczyk*, *Zygmunt August i Barbara*, *Śmierć Zygmunta* i *Portret Henryka Krajewskiego* (...).

„Trybuna Ludu”, 9 lipca 1956

STO TYSIĘCY W KOTLE CZAROWNIC

W dniu Lipcowego Święta śląscy sportowcy i miłośnicy sportu otrzymali Stadion Śląski, największy w Polsce i jeden z największych w Europie stadionów sportowych. Już od wczesnych godzin przedpołudniowych w kierunku Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, w którym wspólnym wysiłkiem całego społeczeństwa został wzniesiony stadion,

podążały tysiące mieszkańców pobliskiego Stalinogrodu, Chorzowa, Siemianowic i całego Śląska. Setki samochodów przywiozły wycieczki sympatyków sportu z Krakowa, Wrocławia, Opola i wielu innych miast kraju. Przybyły również wycieczki z Czechosłowacji i NRD.

Na długo przed rozpoczęciem uroczystości otwarcia trybuny stadionu wypełniła blisko 100-tysięczna rzesza publiczności. Uroczystość otwarcia rozpoczyna przelot myśliwców odrzutowych.

Po defiladzie odbyły się pierwsze zawody lekkoatletyczne z udziałem zawodników NRD, Czechosłowacji i czołowych polskich zawodników.

„Trybuna Ludu”, 24 lipca 1956



DROGA JAKO CZYN

Chłopi gromady Ostrowite, powiat Wąbrzeźno, realizując czyn podjęty dla uczczenia 22 Lipca budują drogę z Ostrowitego do Gajewa o nawierzchni twardej i żuźlowej. Wartość tego czynu przyniesie państwu 260 tys. złotych oszczędności.

Wyróżniają się przy budowie: przewodniczący komisji drogowej ob. Michał Łukiewski, chłopi: Michał Fidorek, Bolesław Wilczewski, Tomasz Gierałowski i wielu innych.

„Zielony Sztandar”, 25 lipca 1956



POKAZALI ODRZUTOWIEC

25 bm. już od godz. 7 rano przybywali na lotnisko Bemowo mieszkańcy stolicy, by obejrzeć pasażerski odrzutowiec radziecki TU-104. (...) Potężna sylweta TU-104 widoczna jest już z pętli tramwajowej na Bemowie. Tutaj dosłownie bez przerwy podjeżdżają pełne do ostatniego miejsca tramwaje, autobusy, samochody osobowe i ciężarowe, w kierunku lotniska podążają stale tłumy ludzi. Nie mniejsza frekwencja była również mimo deszczu w godzinach popołudniowych.

Ogółem liczbę osób, które obejrzały w dniu 25 bm. odrzutowiec radziecki, ocenia się na ok. 50 tysięcy.

„Trybuna Ludu”, 27 lipca 1956

Zabić ubowca!

Pociąg z Obornik wtacza się wolno o 13.47 na peron poznańskiego Dworca Głównego.

Jest czwartek 28 czerwca 1956 roku. Od trzech godzin w mieście leje się krew. Zacięte walki toczą się pod gmachem Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego na Kochanowskiego. Próbuje go zdobyć poznańscy robotnicy, uzbrojeni w karabiny z opanowanego przez nich wcześniej więzienia i z lokalu Przynależności Wojskowej. Trwa wymiana ognia.

A w całym mieście – polowanie na ubowców.

Kapral Zygmunt Izdebny o tym wszystkim nie ma pojęcia. Wysiada jak co dzień z pociągu w mundurze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ma niespełna dwadzieścia sześć lat, mieszka w Marlewie, niedużej wsi między Rogoźnem i Wągrowcem.

Idzie do pracy. Od listopada 1955 roku jest zatrudniony jako wartownik w gmachu Urzędu do spraw Bezpieczeństwa. Tego samego, który broni się właśnie przed zbuntowanymi poznaniakami.

Izdebny zarabia 703 złote i 50 groszy. Przed budynkiem UB stoi uzbrojony w karabin, lecz broń zdaje zawsze po zakończeniu dyżuru.

Gdy 28 czerwca idzie do pracy na poznańskich Jeźycach, jest więc bezbronny.

Słyszając odgłosy strzelaniny, zapewne przyspiesza kroku, jest niespokojny. Widzi biegnący tłum, słyszy okrzyki. Nie dociera do gmachu UB. U zbiegu ulic Dworcowej i Armii Czerwonej (dziś Święty Marcin) otacza go grupa młodych demonstrantów.

– To ubowiec, morderca kobiet i dzieci! Trzeba go ukatrupić! – krzyczą.



Kapral Zygmunt Izdebny wysiada jak co dzień z pociągu w mundurze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ma niespełna 26 lat, mieszka w Marlewie, niedużej wsi między Rogoźnem i Wągrowcem

Bryła krwi

To nieprawda, Izdebny nikogo nie zamordował. Ale tego dnia plotka ma zabójczą moc. Powszechna nienawiść do pracowników bezpieki wreszcie znajduje ujście.

Izdebny próbuje się tłumaczyć, ale nikt go nie słucha. Mężczyźni otaczają go i biją. Wyrывa się, ucieka z powrotem w stronę stacji. Próbuje się ukryć w tramwaju stojącym na pętli przed dworcem, ale czterech napastników biegnie za nim. Wpadają do tramwaju, wyciągają go na zewnątrz.

Izdebny znowu się uwalnia, biegnie na peron 5, jednak tłum nie odpuszcza.

– Zabił ciężarną kobietę! Kobietę i dziecko! Chłopca z transparentem! – słysząc wrzaski.

Kapral chroni się w wagonie stojącym na peronie. Znowu tylko na chwilę. Wyciągają go siłą, ktoś uderza go kamieniem w głowę. Biją, przewracają, kopią po całym ciele, depczą. Rzucają na niego metalowe pręty.

Traci przytomność, przestaje się bronić.

Wokół kłębi się kilkuset gapiów, trzy razy przeganiając personel karetki

pogotowia. – Bo sam znajdziesz się z sanitarką na torach! – grozi ktoś kierowcy karetki, który próbuje przedrzeć się do ciężko rannego.

Opodal na przymusowym postoju stoi pociąg relacji Szczecin – Łódź. Wyskakuje z niego kilka osób. Chcą bronić kaprała, ale i ich tłum odpycha na bok.

– Za co go bijecie? – pyta pasażerka pociągu, żona funkcjonariusza UB z Łodzi.

– To ubowiec, mordował matki i dzieci! – odkrzykują mężczyźni pastwiący się nad Izdebnym.

Gdy kobieta nadal próbuje bronić Izdebnego, grożą: – Jak go pani żal, to niech się pani położy obok niego!

Ktoś alarmuje milicję. Na peron przeciska się dziesięciu mundurowych z pistoletami w dłoniach.

– Na bok! – rozkazuje porucznik Józef Kuźniak, komendant Rejonowej Kolejowej Milicji Obywatelskiej w Poznaniu. Dostał informację o katowanym „majorze z Urzędu Bezpieczeństwa”, więc biegnie na ratunek.

Milicjanci są kilka metrów od zmasakrowanego ciała. Porucznik Kuźniak chce do niego podejść, ale najbardziej agresywni mężczyźni zastępują mu drogę, gwizdząc i krzycząc:

– Rozbroić go! Powiesić! Na szyny!

Porucznik wie, że milicjantów jest zbyt mało. Nie chce strzelać w ludzi na oślep, musi się wycofać.

Tłum nadal pastwi się nad kapralem Izdebnym.

– Musi zdechnąć! – krzyczy Józef Foltynowicz, młody pracownik Państwowej Wytwórni Win, skacząc po klatce piersiowej Izdebnego.

Jerzy Sroka, pracownik Urzędu Poczтового nr II, udaje lekarza: owiniętym w papier palcem podnosi powieki kaprała. Do gardła wkłada mu niedopałek papierosa.

Nieprzytomnego i skrwawionego funkcjonariusza niosą do dworcowej toalety na peronie 4, ale stąd przegania ich dozorca: – Wynieście tego człowieka! Tyle bałaganu narobiliście! Ja muszę teraz wszystko sprzątać!

Zmasakrowanego Izdebnego wloką więc na peron 4. Lekarz stwierdzi potem liczne rany tłuczono-cięte głowy, wgniecenia kości czaszki w obrębie

sklepienia, ramy tłuczono-cięte twarzy, wielokrotne złamania kości nosa i twarzy, zasinienie w obrębie szyi, barków i górnej części klatki piersiowej.

Dopiero czwarta interwencja pogotowia, wsparta przez wojsko w trzech samochodach, przerywa lincz.

„Wyglądał jak bryła krwi” – zezna w procesie kierowca karetki.

Na pomoc jest już za późno. Lekarze Szpitala Wojskowego nr 111 na Grunwaldzkiej nie mają już kogo ratować. Kapral Izdebnny umiera o szesnastej. W dokumentach zapisano, że z powodu wylewu krwi do mózgu.

Zostawia żonę w ciąży.

O śmierć na poznańskich ulicach ocierają się tego dnia dwaj inni funkcjonariusze UB. Do nieprzytomności pobity zostaje 32-letni Stanisław Prądyński.

– Zabić ubowca! – krzyczą napastnicy.

Gdy ranny leży już w Domu Zdrowia przy ul. Słowackiego, tłum wdziera się do sali. Lekarze i pielęgniarki są bezradni: Prądyński znowu zostaje pobity do utraty przytomności.

Do nieprzytomności biją też Henryka Hołubowskiego. W jego własnym mieszkaniu. Przeżyje tylko dzięki interwencji sąsiadów. Gdy chce go zabrać pogotowie, tłum wyrywa rannego z rąk lekarzy.

– Ubowiec! Komunista! Trzeba go zabić, bo zamordował matkę i czworo dzieci! – wołają oprawcy, wlokąc nieprzytomnego po bruku.

Pomsta

Trzy miesiące później, pod koniec września 1956 roku, przed poznańskim sądem stają trzej mężczyźni: 20-letni Józef Foltynowicz, kawaler i pracownik fizyczny (nie ukończył szkoły podstawowej), 18-letni Jerzy Sroka, kawaler, pracownik poczty, i 18-letni Kazimierz Żurek, w czerwcu ubiegający się o pracę w PKP. Są oskarżeni o udział w zabójstwie kaprała Izdebrego.

Foltynowicza, Sroki i Żurka nie było wśród napastników, którzy pierwsi osaczyli funkcjonariusza. Do bicia się przyłączyli. Prokuratorom nie udało się ustalić, kim byli ludzie, którzy dopadli Izdebrego pierwsi, ani kto jeszcze go

katował. Wiadomo tylko, że szczególną aktywnością wyróżniał się niezidentyfikowany mężczyzna w mundurze kolejarskim, a na peronie było w sumie kilkaset osób.

Oskarżeni przyznają się do udziału w zgromadzeniu na dworcu, ale bagatelizują swoje czyny. Sroka przekonuje, że był tylko obserwatorem i nie uderzył Izdebneho. Żurek przyznaje jedynie, że kilka razy kopnął nieprzytomnego kaprała „w tylną część ciała”. A Foltynowicz utrzymuje, że uderzył go pięć razy przed dworcem, gdy funkcjonariusz był jeszcze w pełni sił.

Obwiniają za to siebie nawzajem, więc sąd przesłuchuje sześćdziesięciu dwóch świadków linczu. Te relacje są jednak sprzeczne, trzeba przeprowadzać konfrontacje.

Niemal wszyscy są za to zgodni, że podczas wydarzeń na dworcu byli przekonani o winie Izdebneho. I że uczestniczyli w „słusznej pomście” mordercy kobiety i dzieci.

Dowody przeciwko trzem oskarżonym są mocne – to m.in. zeznania świadków i ślady krwi na garderobie oskarżonych (zachowały się mimo prania).

Pod wpływem postępującej odwilży i międzynarodowych obserwatorów sąd wymierza jednak oskarżonym łagodne kary. Foltynowicz i Sroka dostają po cztery lata i sześć miesięcy więzienia, a Żurek cztery lata.

W październiku 1956 roku sąd umarza dwa inne procesy, w których oskarżono dziewiętnastu kolejnych poznaniaków o wystąpienia z bronią w rękę przeciwko UB.

Foltynowicz, Sroka i Żurek jako jedyni uczestnicy poznańskiego buntu odsiedzą zasądzone kary.

Ublizają, zniesławiają, a nawet biją

Gdy trzej winni śmierci kaprała Izdebneho trafiają za kraty, posłowie należący do zespołu ziemi kieleckiej otrzymują list.

„My, pracownicy aparatu bezpieczeństwa publicznego województwa kieleckiego, głęboko zaniepokojeni stosunkiem do pracowników i byłych

pracowników Urzędu na niektórych zakładach bądź instytucjach, zwracamy się do was o obronę praw obywatelskich naszych pracowników. Bola i niepokoją nas takie fakty, jak np.: w Kazimierzy Wielkiej, gdzie podjęto uchwałę i wyrzucono z zakładu pracy byłego pracownika aparatu BP Jakubowskiego Franciszka, zwolnionego w 1947 roku, kilkakrotnie rannego w walkach z bandami, będącego obecnie kaleką. Ponadto na masówce w tym zakładzie domagano się wysiedlenia go z tego terenu. W Sandomierzu na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej zgłoszony został wniosek, aby wszystkich byłych pracowników aparatu BP wysiedlić z terenów, na których zamieszkują i na których pracowali”

I dalej: „Częste są także fakty ubliżania, zniesławiania, a nawet bicia pracowników. I tak np.: w Radomiu pobity został pracownik Urzędu Klimek Stanisław. W Szczekocinach pow. Włoszczowa wszedł do autobusu obywatel niczym z aparatem niezwiązany, a ubrany tylko w zielony krawat, za którym wsiadło dwóch osobników, przez całą drogę go obserwowali i na przystanku w lesie wyprowadzili z autobusu, wylegitymowali i oświadczyli »masz szczęście, żeś nie UB-owiec«”

Funkcjonariusze bezpieki z Kieleckiego odczuwają „wzmagający się atak na pracowników [UB – red.] i powszechną dyskryminację, co znajduje swój wyraz w trudnościach uzyskania pracy tylko na skutek tego, że byli w UB lub – nawet jeśli ją otrzymują – w zwalczaniu ich”

Z obawy o przyszłość byli ubecy próbują ukrywać swoją służbę w ankietach wypełnianych w urzędach pracy. „Uważamy ten stan za niehumanitarny i sprzeczny z ideą socjalistycznej demokracji i ludowej praworządności. Nasz dołowy aparat nie może ponosić winy za to, co działo się w kierownictwie, nie może ponosić winy za styl i metody pracy narzucone nam z góry. Odcinamy się od Różańskich, Fejginów i innych, żądamy surowych w stosunku do nich wniosków. Jesteśmy wraz z całym narodem i partią za socjalistyczną demokratyzacją”

Sumienie ubeka

List z Kieleckiego to podzwonne dla ubeków. Nic dziwnego, rok 1956 to czas

ich upadku.

Jeszcze kilka lat wcześniej budżet UB przekraczał wydatki państwa na oświatę. W obszernych kartotekach ubecy zgromadzili dane o „elemencie podejrzanym”, które dotyczą 5,2 miliona Polaków. Pod obserwacją znajdował się co trzeci dorosły obywatel PRL, funkcjonariusze kontrolowali miliony paczek, listów i kartek pocztowych, przede wszystkim tych z zagranicy.

Wszystko zaczyna się zmieniać we wrześniu 1954 roku, gdy Radio Wolna Europa po raz pierwszy nadaje audycję z udziałem Józefa Światły, byłego podpułkownika Urzędu Bezpieczeństwa i wicedyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Światło, który uciekł za żelazną kurtynę, ujawnia ściśle strzeżone tajemnice władzy komunistów w Polsce i ich tajnych służb. Wychodzi także na jaw ogrom zbrodni MBP, sekrety przywódców Polski Ludowej, np. dziesięć willi towarzysza Bieruta, upublicznione zostają fakty świadczące o zależności kraju od ZSRR.



Audycje z rewelacjami Józefa Światły (na zdjęciu) wzmacniają lawinę zmian w bezpieczeństwie

Audycje z rewelacjami Światły wzmacniają lawinę zmian w bezpieczeństwie. W marcu 1954 roku stanowisko traci pułkownik Józef Różański, okrutny

śledczy i dyrektor Departamentu Śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Ten sadysta zostaje przesunięty na stanowisko... dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego. W czerwcu 1954 roku zostaje zlikwidowany Departament X w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego rozpracowujący wrogów wewnętrznych w partii. Władze wyrzucają z bezpieczki dotychczasowego szefa departamentu pułkownika Anatola Fejgina.

Ubegy, dotychczas panowie życia i śmierci więźniów i inwigilowanych, znajdują się nagle w trudnym położeniu. Z jednej strony partia i rząd nakazują im „przestrzeganie zasad praworządności”, czyli „odchodzenie od masowego terroru i stosowania przestępczych metod”, z drugiej – mobilizowani są do większej aktywności. Sęk w tym, że nie potrafią pracować inaczej niż do tej pory.

Podczas odprawy krajowej szefów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego samokrytykę składa szef resortu Stanisław Radkiewicz. „Błąd polegał na tym, że (...) nienawiść do wroga przekształciła się w nienawiść do ludzi w ogóle – przyznaje. – Tego rodzaju zjawiska występują w całym naszym aparacie. I tu właśnie widzimy całą groźbę wypaczenia naszych ludzi”

Radkiewicz bije się w piersi: „Brak było w naszej pracy wychowawczej wysiłku w kształtowaniu sumień i miłości do człowieka”

I dodaje: „Sumienie, towarzysze, to nie jest pojęcie burżuazyjne, daleko nie!”

7 grudnia 1954 roku Rada Państwa likwiduje MBP. Radkiewiczowi nie dzieje się jednak krzywda – zostaje ministrem Państwowych Gospodarstw Rolnych, by ostatecznie wiosną 1956 roku przejść na emeryturę.

W miejscu zlikwidowanego MBP powstaje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, któremu podporządkowane zostają Milicja Obywatelska, Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej (ORMO), Wojska Ochrony Pogranicza i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Aparat bezpieczeństwa traci zęby – i wpływ na około ćwierć miliona mundurowych. Bezpieką zarządza teraz Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego (KdsBP), ciało kolegialne, na czele którego stają działacze partyjni niezwiązani z dawnym MBP. Partii chodzi o przywrócenie nadzoru nad tajnymi służbami.

W grudniu 1954 roku przewodniczący Komitetu Władysław Dworakowski, dotychczas członek Biura Politycznego KC PZPR, nakazuje zwolnienie członków partii z obowiązku współpracy z UB.

W lipcu 1955 roku pod zarzutem łamania praworządności aresztowanych zostaje pięciu szczególnie brutalnych funkcjonariuszy Departamentu X: Józef Dusza, Jerzy Kaskiewicz, Jerzy Kędziora, Jan Misiurski i Jan Kieras. W grudniu 1955 roku stają przed sądem, a w styczniu 1956 zapadają wyroki: Dusza dostaje pięć lat więzienia, Kaskiewicz cztery, Kędziora trzy, Misiurski dwa, a Kieras dziewięć.

Legitymacja bezpieczeństwa po raz pierwszy nie gwarantuje bezkarności.

U nas zanadto stwardniała skóra

Luty 1956 roku. W Wielkim Pałacu Kremlowskim sensacja goni sensację. Podczas XX Zjazdu KPZR nowy I sekretarz Nikita Chruszczow gra *va banque*: na zamkniętym posiedzeniu, niedostępnym dla gości zagranicznych, ujawnia zbrodnicze nadużycia władzy Józefa Stalina. Delegaci słyszą z trybuny o masowych aresztowaniach i deportacjach setek tysięcy ludzi, o wielkiej czystce z lat 1935–1938, o zlikwidowaniu kadry dowódczej Armii Czerwonej tuż przed napaścią III Rzeszy na „ojczyznę światowego proletariatu”.

Przewodniczący polskiej delegacji Bolesław Bierut, który jeszcze niedawno ręcznie sterował śledztwami UB i pisemnie instruował śledczych, jak przesłuchiwać Władysława Gomułkę, jest w szoku. Stan jego zdrowia gwałtownie się pogarsza. Nie wraca do Polski, umiera w Moskwie na zawał serca. Echa zmian w stolicy ZSRR docierają do Warszawy.

W marcu 1956 roku przewodniczącym Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego zostaje Edmund Pszczółkowski, z zawodu buchalter, były minister rolnictwa z KPP-owskim życiorysem. To ważna zmiana – Komunistyczna Partia Polski wraca do łask. Średnia i niższa kadra Komitetu to jednak, z drobnymi wyjątkami, dawni funkcjonariusze zlikwidowanego MBP.

Mimo to dla osadzonych w więzieniach wszystko się zmienia: безпеaka, przynajmniej na jakiś czas, ma zrezygnować z wymuszania zeznań

za pomocą tortur.

Z partii wylatują były wiceminister MBP Roman Romkowski i Anatol Fejgin. To na nich spada odium krytyki aparatu bezpieczeństwa, który oderwał się od mas. Partia chce przekonać społeczeństwo, że jej sekretarze nic o nadużyciach bezpieczeństwa nie wiedzieli.

„U nas zanadto stwardniała skóra, towarzysze – przemawia 11 grudnia 1954 roku, na naradzie aktywu, towarzysz Franciszek Mazur z Biura Politycznego. – Straciliśmy zdolność wyczuwania bolączek ludzkich, trosk człowieka, narobiliśmy ludziom dużo krzywd i świństw. Od nas, z organów bezpieczeństwa, niewinni ludzie szli do domów wariatów, wychodzili kalekami, i musimy to, towarzysze, głęboko przemyśleć, przejąc się tym tak, aby już nigdy więcej nie powtórzyły się podobne rzeczy. Podważyliśmy w społeczeństwie autorytet organów bezpieczeństwa, musieliśmy wywołać nawet oburzenie i nieufność i teraz to wszystko trzeba odrobić”

Aparat mniej sprężysty

Zamieszanie wokół UB i reorganizacja aparatu bezpieczeństwa wytrąca ubowcom broń z ręki. Do połowy 1956 roku w ramach weryfikacji spraw, które prowadzą, odsyłają do archiwów dokumentację aż 846 tysięcy spraw, a do sprawdzenia pozostaje ich tylko 14 tysięcy. Sieć agenturalna, która w 1954 roku liczyła prawie 76 tysięcy tajnych współpracowników, w 1956 roku maleje do niespełna 20 tysięcy.

Nastroje w UB są złe. Funkcjonariusze niższych szczebli czują się napiętnowani. Powiatowe i wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa przechodzą dwie redukcje zatrudnienia. Funkcjonariusze zaczynają sabotować pracę. Do Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie napływają alarmistyczne sygnały o „rozluźnieniu dyscypliny służbowej”, a nawet o „złośliwym interpretowaniu i opieszałym wykonywaniu poleceń”

W kwietniu 1956 roku wielu ubeków dostaje po kieszeni: tracą etaty wojskowe, a z nimi dodatki, ekwiwalent za umundurowanie i inne przywileje, przenoszą ich na stanowiska cywilne. To zaś rodzi kolejne

frustracje.

„Obecnym zadaniem winno być nie wypominanie starych błędów, a położenie kresu niezdrowej atmosferze” – mobilizują funkcjonariuszy członkowie Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. I bronią ubeków przed Biurem Politycznym, tłumacząc ich „często nieodpowiedzialną krytyką dotychczasowej pracy”, a nawet „próbami szkalowania aparatu przez niektóre organy prasowe”.

Bezpieka ma już jednak przetrącony kręgosłup, nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji.

„Słaboduszni o miękkim charakterze i bez kręgosłupa partyjnego poczęli rozpowszechniać atmosferę »dziewiczej wstydlivosti z powodu ich służby w organach bezpieczeństwa« – stwierdza wiceprzewodniczący Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego Jan Ptasiński w marcu 1955 roku, na naradzie aktywu kierowniczego. – Na szczęście słabeuszy tych było niewiele, niemniej jednak niemało było takich, którzy przestali być dumni, że pracują w organach bezpieczeństwa, że partia im zaufała, kierując ich na pierwszą linię walki z agenturą”.

Ptasiński niepokoi się, że w szeregach UB widać „tendencje asekurantwa i biernego wyczekiwania”. Co osłabia „sprężystość działania aparatu bezpieczeństwa”, który znalazł się „w stosunku do wroga w pozycji defensywnej”. – Wiadomo zaś powszechnie, że pozycja obronna w walce z wrogiem powoduje wzrost jego działalności, stwarza poczucie bezkarności – wyjaśnia.

Jutro zaczną bić w TW

Kwiecień 1956 roku. Podczas odprawy w stolicy szefowie Wojewódzkich Urzędów do spraw Bezpieczeństwa Publicznego narzekają, że dotychczasowa agentura masowo odmawia współpracy z UB. Po ujawnieniu „wypaczeń” w bezpieczeństwie tajni współpracownicy nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

– Dziś bije się w pracowników bezpieczeństwa, a jutro zaczną się bić w ich tajnych współpracowników, lepiej więc na czas się wycofać – argumentują.

Współpracy zaczyna odmawiać m.in. agentura z kręgów duchowieństwa i zakonów. Najwięcej takich przypadków notuje bezpieka we Wrocławiu.

„Widoczny jest nacisk agentury, który wyraża się przede wszystkim w stawianiu przez agenturę pytań o prowokacyjnym charakterze, zaczerpniętych nieraz i z wrogiej propagandy. Jak podkreślili kierownicy wojewódzkich urzędów, pracownicy nieraz temu naciskowi ulegają” – zapisano w protokole z narady kierownictwa UBP z kwietnia 1956 roku.

Rewolucja pożera własne dzieci

27 kwietnia 1956 roku. Sejm uchwała amnestię, która otwiera bramy więzień dla, według różnych źródeł, od 4 do 28 tysięcy więźniów politycznych.

Z amnestii korzystają też skazani w styczniu śledczy Departamentu X MBP. Ich wyroki zostają obniżone, ale kwestionuje to Sąd Najwyższy (ponowny proces Duszy, Kaskiewicza i Kierasa w 1959 roku podwyższył im kary w stosunku do pierwszego procesu).

Masowa amnestia i „demokratyzacja” w organach bezpieki to w stalinowskim państwie zmiana bez precedensu. Kadra kierownicza aparatu bezpieki czuje się zagrożona.

Byli ubecy zmiany roku 1956 roku wspominali raczej niechętnie. I rzadko.

„Trwał proces demokratyzacji, krytykowano wypaczenia i błędy w aparacie bezpieczeństwa. Wojewódzka konferencja PZPR w Poznaniu oceniła z uznaniem przeprowadzone zmiany w bezpieczeństwie w województwie poznańskim” – pisał po latach podpułkownik Feliks Dwojak, w latach 1955–1956 kierownik Wojewódzkiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu.

Był rozgoryczony. „Lawina słusznej krytyki trwała jednak nadal, niosąc ze sobą również wiele nieprawdziwych informacji o rzekomych przestępstwach, jakich dopuścili się funkcjonariusze tej służby. Słyszano coraz częściej plotki o wyjątkowo wysokich zarobkach pracowników służby bezpieczeństwa, o ich przywilejach, o korzystaniu ze sklepów »za żółtymi firankami«. Ferment w społeczeństwie zataczał coraz szersze kręgi. Uzdrawianie i demokratyzacja życia społeczno-politycznego wzmagają

emocje. Hasło: »spokój i rozważa« nie zostało zaakceptowane powszechnie. Na obrazową ilustrację tego hasła, iż w kotle parowozu jest ogromne ciśnienie, że może dojść do wybuchu, odpowiadano: klapy bezpieczeństwa służą do stopniowego wypuszczenia pary, nie dojdzie do wybuchu – mówiono – nic z tego pomysłu nie będzie. Życie potoczy się własnymi torami. Nie najlepsza była także sytuacja ekonomiczna. Dotkliwie były braki na rynku. Za mało było mięsa i masła. Wydłużały się kolejki”

W kolejkach do sklepów żona Dwojaka słyszy o przywilejach pracowników bezpieki, elity władzy i mundurowych. Poznaniacy z goryczą spoglądają na specjalne luksusowe sklepy, zaopatrywane poza normalną dystrybucją towarów. Kiedy półki w zwykłych sklepach świecą pustkami, w „sklepach za żółtymi firankami”, Gallużach czy delikatesach można kupić wszystko – za dolary lub złotówki, tyle że w wyższych cenach.

Zaopatrzenie sklepów pogarsza się od 1951 roku, a kiedy w 1953 władze znoszą kartki na mięso, załamuje się kompletnie. Apogeum braków w zaopatrzeniu następuje wiosną 1956 roku. Mimo apeli lokalnych władz kierownictwo państwa nie uznaje za stosowne zwiększyć zaopatrzenia w Poznaniu i innych miastach wojewódzkich.

„Te sprawy dręczyły nie tylko mnie. Mówili o nich w pracy często koledzy, funkcjonariusze bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Współczuli nam towarzysze w komitetach partyjnych, często stwierdzali cierpko: rewolucja pożera własne dzieci. Narastała w społeczeństwie niechęć do aparatu bezpieczeństwa, były też drobne, ale wymowne objawy wrogości do funkcjonariuszy tej służby, dowcipniejsi kwitowali to stwierdzeniem: policji nikt nigdzie nie lubi” – wspominał Dwojak.

17 kwietnia 1956 roku przewodniczący Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego naradza się w stolicy z kierownikami Wojewódzkich Urzędów do spraw Bezpieczeństwa. Nastroje w aparacie są fatalne.

„Dyscyplina wśród pracowników jest dobra. Widoczna jest większa śmiałość w krytykowaniu przełożonych (Stalinogród) – czytamy w protokole ze spotkania. – Na ogół – podkreślali to wszyscy kierownicy urzędów, którzy zabierali głos – wśród pracowników panuje nastrój dużego przygnębienia wywołany nie tylko powszechną, bardzo surową krytyką dotychczasowej

pracy organów bezpieczeństwa, lecz wypadkami wyolbrzymiania błędów, a nawet szkalowania aparatu bezpieczeństwa i poszczególnych jego funkcjonariuszy”.

Szefowie urzędów wojewódzkich UB żalą się, że pracownicy aparatu partyjnego odnoszą się do nich z nieufnością: „Funkcjonariusze nie umieją sobie wytłumaczyć, że nawet centralna prasa partyjna występuje tylko z krytyką błędów aparatu bezpieczeństwa, tak jakby aparat ten w ciągu 12 lat nie zrobił niczego dobrego. Wielu funkcjonariuszy zwraca uwagę, że [podczas] gdy ocena pracy bezpieczeństwa na III Plenum KC PZPR była całkowicie słuszną, to obecnie jest ona rażąco jednostronna. Funkcjonariusze czują się tak, jakby ich wieloletni wysiłek i ofiara krwi w walce z wrogami Polski Ludowej zostały zupełnie zapomniane”.

W szeregach UB widać nerwowość i niepewność jutra. Wielu młodszych funkcjonariuszy zwalnia się ze służby. Ubecy mają też pretensje do partii. Dlaczego odpowiadać ma tylko aparat bezpieczeństwa, podczas gdy takie np. sprawy jak Gomułki i Spychalskiego musiały być przecież akceptowane przez KC! – podnoszą funkcjonariusze na wewnętrznych spotkaniach.

Boją się dalszych zwolnień, żalą na niechęć społeczeństwa. Nie bez podstaw. W Krakowie zwalniają z zakładów pracy byłych funkcjonariuszy UB, którzy trafili tam do produkcji po redukcji etatów w bezpieczeństwie. Byli ubecy z Łodzi żalą się natomiast na brak pracy lub niskie zarobki w nowych miejscach zatrudnienia.

Celem wroga jest uchwycenie władzy

W oczach szefów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego sytuacja w Polsce wiosną 1956 roku wygląda dramatycznie.

„Widoczne jest duże ożywienie we wszystkich wrogich środowiskach i wśród reakcyjnej części kleru. Stwierdza się uaktywnienie byłych elementów AK-owskich, PSL-owskich, WRN-owskich, chadeckich, SN-owskich i nacjonalistów ukraińskich. Główna myśl tych elementów – to wykorzystać obecne możliwości dla przesuwania polityki państwa na prawo – zapisano w podsumowaniu narady kierownictwa bezpieki z kwietnia 1956.

– Jako szczególnie dogodny moment dla zmanifestowania swojej postawy elementy reakcyjne uważają zbliżające się wybory do Sejmu, a obecnie zajmują postawę wyczekiwania i obserwacji, czy zachodzące zmiany są trwałe. Szeroko rozwijane są w dyskusjach plany stworzenia legalnej opozycji”

Protokół z narady pokazuje, że UB „trzyma rękę na pulsie” i stara się drobiazgowo analizować aktywność środowisk opozycyjnych:

„WRN [Wolność, Równość, Niepodległość] – była prawica PPS. Aktywizuje się w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Mówi się o »upadku dyktatury proletariatu« i snuje plany wykorzystania sytuacji w związku z przewidywanymi zmianami w aparacie kierowniczym. Czynione są spekulacje na temat [Edwarda] Osóbki-Morawskiego, chociaż koła te poważnie go nie traktują (...). Agentura w środowisku WRN-owskim wyraźnie uchyla się od współpracy (Kraków).

Byli członkowie AK. Widoczne są objawy zadowolenia z manewrów rehabilitacyjnych. Są próby ostrożnego reaktywowania form organizacyjnych – odbyło się np. tajne zebranie byłych członków 27. [Wołyńskiej] Dywizji [Piechoty] AK (Warszawa). Zebranie to inspirowało artykuł na temat AK w »Po Prostu«. Widoczne jest również utrzymywanie łączności przez kadrę byłych oficerów AK (Kraków).

Byli członkowie NSZ. Według sygnału z Wrocławia również zbierają się i prowadzą rozmowy.

Środowisko chadeckie. Lansowane są plotki o planach stworzenia legalnej chadeckiej partii opozycyjnej (Stalinogród – Kraków). W Łodzi mówi się o utworzeniu »nowej partii katolickiej«. W związku z tym są wypowiedzi, że powstanie partii opozycyjnej zapobiegłoby powtórzeniu się w przyszłości tych wypaczeń, jakie mieliśmy, ponieważ były one wynikiem braku krytyki.

PSL. Na zebraniach członków ZSL były wypowiedzi domagające się wykreślenia hasła spółdzielczości produkcyjnej z programu ZSL.

Kler. Szykowanie »misji wschodniej« przez biskupa [Zdzisława] Golińskiego (Stalinogród). Pokazywanie jako »męczennika« mnicha repatriowanego z ZSRR (Łódź). Ustanowienie przez Watykan święta Józefa

Rzemieślnika w dniu 1 maja.

Ucieczki za granicę. W województwie wrocławskim stwierdzono wzrost ilości wypadków nielegalnego przekroczenia granicy do NRD. (...)

Tow. Szlachcic (Stalinogród) zgłosił wniosek w sprawie lepszego i szybszego informowania przez Komitet kierownictwa wojewódzkich urzędów odnośnie [do] bieżących zagadnień politycznych. Tow. Szlachcic podał też przykład, że o zwolnieniu Gomułki i Spychalskiego funkcjonariusze dowiadywali się od agentury i byli tym zaskoczeni. (...)"

Towarzysze przestają trzeźwo myśleć

„Widoczne jest ożywienie nadziei reakcji, że uda się zahamować budownictwo socjalistyczne i zrobić szczelinę między Polską z ZSRR – podsumowuje dyskusję Julia Brystiger, dyrektorka Departamentu III w Komitecie do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, z powodu swojego okrucieństwa zwana „Krwawą Luną” – Taktyka elementów wrogich polega na usiłowaniu przesunięcia polityki państwa w kierunku na prawo. Wahnięcie elementów mieszczańskich przejawia się m.in. w postawie publicysty [Edmunda] Osmańczyka, który podejmuje próby przeciwstawiania Frontu Narodowego partii”

Brystiger to doświadczona towarzyszka, w aparacie bezpieczeństwa od grudnia 1944 roku. Przetrwiała wszystkie rewolucje w resorcie. „Krwawa Luna” ostrzega, że безпеaka zbyt mało wie na temat wpływu WRN na zakłady pracy i reakcji wsi. „Jest fala religianctwa, są próby organizowania zbiorowego chodzenia członków ZMP do kościoła. Jest wiele środowisk akowskich, które od lat 1952–1953–1954 wyszły z naszego pola widzenia. Konieczne jest sięgnięcie do starej agentury akowskiej, aby uzyskać lepsze rozeznanie obecnej sytuacji”

Julia Brystiger uważa, że безпеaka znalazła się w tyle za zachodzącymi zmianami. „Reflektor naszej pracy operacyjnej nie nadąża za zmianami w sytuacji – w związku z tym sprawy prowadzone przez nas nie są odbiciem sytuacji!” – ostrzega współtowarzysz z Komitetu do spraw Bezpieczeństwa.

Towarzysz Antoni Alster, wiceprzewodniczący Komitetu, proponuje zmianę

taktyki: „Trzeba szybciej pokazywać społeczeństwu fakty ujęcia w Białymstoku czy Zielonej Górze osób, które podniosły rękę na aktywistę społecznego, chłopca spółdzielcę. Winno to unaocznic, że organa bezpieczeństwa pracują i stoją w ochronie człowieka pracy”

Towarzysz Pszczółkowski, przewodniczący KdsBP, podsumowuje: „Na obecnym głębokim nurcie ogólnej dyskusji i krytyki występuje i brudna piana. Nie tylko ból powoduje, że niektórzy towarzysze tracą jasność spojrzenia, przestają trzeźwo myśleć, gubią się w sytuacji. Jest również wiele zjawisk świadczących o niedojrzałości politycznej, wyłazającym teraz bagażu drobnomieszczańskich poglądów, jak też hysterii”

„Ten stan stara się wykorzystać wróg, mamy próby organizowania się wroga i kreślenia długofalowych perspektyw. To wszystko wymaga czujności i wnikliwości. Celem wroga jest uchwycenie władzy” – zapisano w protokole z kwietniowej narady kierownictwa aparatu bezpieczeństwa.

Gniew ofiar sześciolatki

Wiosną 1956 roku kierownictwo bezpieki nakazuje wzmocnić czujność, wroga szuka jednak pod niewłaściwym adresem.

Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego ignoruje bowiem niepokojące sygnały nadchodzące z kręgów robotniczych Poznania.

27 czerwca 1956 roku po południu do gmachu Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego w Poznaniu spływają pierwsze sygnały o przygotowywanej przez robotników na 28 czerwca demonstracji na ulicach miasta.

Dzięki agenturze w zakładach ubecy już 25 czerwca znają skład komitetu strajkowego w Zakładach im. Józefa Stalina i Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego.

„Wiedzieliśmy o każdym posiedzeniu i zebraniu komitetu strajkowego. Mogliśmy z łatwością dokonać aresztowania szczególnie agresywnie strajkujących osób, na przykład Matyi, członka komitetu strajkowego w zakładach Cegielskiego, pracownika wagonowni – wspominał ppłk Feliks Dwojak. – Nie uczyniliśmy tego z różnych powodów, chociaż znane nam

było jego zachowanie się w czasie obrad komitetu strajkowego na »zielonej trawce« poza zakładami. Oczekiwaliśmy na polityczne i ekonomiczne decyzje naczelných władz partyjnych i państwowych, a one, niestety, nie nastąpiły (...). O strajku mającym się rozpocząć 28 czerwca mówiono dosłownie wszędzie: w zakładach, w tramwajach, w kolejkach, w aktywie partyjnym i administracyjnym (...). Informacje te analizowano i oceniano (...). [Wieczorem – red.] pocieszające wiadomości uzyskano z zakładów Cegielskiego. Mieliśmy nadzieję, iż może nie będą one strajkowały 28 czerwca, że do strajku dojdzie, ale prawdopodobnie w następnym tygodniu, po zamknięciu Międzynarodowych Targów”.

UB zwołuje nocną naradę kierownictwa. Zdecydowano na niej, żeby grupy operacyjne ubeków wysłać do najważniejszych zakładów i punktów. Mają obserwować teren zakładów i niezwłocznie informować o strajkach.

O dwudziestej drugiej do Dwojaka dzwoni ze stolicy Jan Ptasinski, zastępca szefa KdsBP. Pyta o sytuację w Poznaniu, lecz obawy Dwojaka bagatelizuje. – Strajku nie będzie – zapewnia.

Władze w Warszawie nie spodziewają się problemów. Ale nie doceniają determinacji robotników Poznania. W końcu czerwca 1956 roku bezpieka nie ma już żadnego wpływu na załogi zakładów. Wybuchu nie sposób powstrzymać.

Pod ostrzałem

W „czarny czwartek” 28 czerwca 1956 roku gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego na Kochanowskiego jest – obok więzienia na Młyńskiej – głównym celem ataku demonstrantów. Od przedpołudnia do wieczora toczą się pod nim zacięte walki, poznaniacy próbują wdrzeć się do budynku i podpalić go butelkami z benzyną.

Funkcjonariusze UB strzelają do ludzi, co wzmaga gniew demonstrantów. Ubeków ratuje przed linczem wojsko, dopiero czołgi skutecznie rozpędzają cywilów z karabinami.

W poznańskim proteście ginie m.in. trzech funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Kapral Izdebny zostaje zlinczowany na dworcu PKP, dwóch

kolejnych to ofiary zaciętych walk o budynek bezpieki.

Na protest poznański władze reagują oskarżeniem „imperialistycznych prowokatorów”. Przez kilkanaście dni na przełomie czerwca i lipca 1956 roku ubekom wydaje się, że wracają do minionej rzeczywistości: przesłuchują i biją uczestników antykomunistycznych wystąpień. Maltretują m.in. Stanisława Matyję, robotnika, który wyprowadził pracowników ZISPO na ulice. Znowu stosują przemoc i prowokację – próbują podrzucić Matyi do torby dwa pistolety.

Obrońców Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu odwiedza premier Józef Cyrankiewicz, chwalać ich za odwagę. Polegli funkcjonariusze – w odróżnieniu od ofiar cywilnych grzebanych nocą – chowani są w dzień, z najwyższymi honorami.

Zmian w aparacie bezpieczeństwa nie można jednak zahamować. Dojście do władzy Władysława Gomułki oznacza dla byłych oprawców okres niepewności.

W listopadzie 1956 roku Różański zostaje aresztowany i postawiony przed sądem za „łamanie praworządności” w organach bezpieczeństwa, czyli bicie i stosowanie tortur wobec więźniów w celu wydobywania zeznań. Po dwudniowym procesie dostaje pięć lat więzienia.

Ale nowa ekipa u władzy nie jest przesadnie mściwa. Niebawem na skutek amnestii wyrok dla Różańskiego złagodzony zostanie do trzech lat i czterech miesięcy.

Towarzysz „Wiesław” też potrzebuje sprawnej bezpieki. Od listopada 1956 roku działa ona jako jeden z pionów MO pod nową nazwą: Służba Bezpieczeństwa.



W „czarny czwartek” 28 czerwca 1956 roku gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego na Kochanowskiego jest – obok więzienia na Młyńskiej – głównym celem ataku demonstrantów. Od przedpołudnia do wieczora toczą się pod nim zacięte walki, poznaniacy próbują wdrzeć się do budynku i podpalić go butelkami z benzyną.



Ostrzelane portrety Bieruta i Cyrankiewicza

Sierpień 1956

CHWAŁA BOHATEROM

W 12. rocznicę Powstania Warszawskiego stolica złożyła hołd bohaterom, poległym w walce z okupantem hitlerowskim. Zostały odsłonięte tablice pamiątkowe: u zbiegu ul. Pięknej i Al. Stalina, w miejscu, gdzie żołnierze Armii Krajowej dokonali udanego zamachu na kata Warszawy, hitlerowskiego generała policji – Kutscherę oraz na frontonie domu przy ulicy Nowogrodzkiej 15 ku uczczeniu pamięci żołnierzy Gwardii Ludowej, którzy dokonali zamachu na lokal hitlerowski, gdzie zginęło kilkudziesięciu SS-manów i gestapowców. (...)

Na miejscach straceń zaciągnięto warty wojskowe. Już w przeddzień rocznicy cmentarze warszawskie i miejsca straceń pokryły się tysiącami wiązanek kwiatów, składanych przez mieszkańców stolicy. Odbył się uroczysty koncert, poświęcony bohaterstwu Ludu Warszawy.

Zgodnie z życzeniami mieszkańców stolicy Stołeczna Rada Narodowa podjęła w dniu 30 lipca jednogłośnie uchwałę o budowie Pomnika Bohaterów Warszawy poświęconego pamięci żołnierzy Gwardii i Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, oddziałów RPPS oraz innych patriotycznych organizacji zbrojnych, bojowników Getta, żołnierzy Wojska Polskiego z 1939 i 1945 roku i żołnierzy Armii Radzieckiej.

„Zielony Sztandar”, 5 sierpnia 1956

RUSZYŁ WRÓG, A ZA NIM ROZRABIACZ

Wydarzenia poznańskie starają się wrogowie przedstawić jako rewoltę robotników. Jest to podłe oszustwo. Robotnikom nie śniła się napaść na urzędy państwowe. Wyszli na ulice, nie wiedząc o tym, co ma się stać. Wróg przygotował się skrycie, a gdy robotnicy wyszli na ulicę, kryjąc się

za ich plecami zaczął działać. (...)

Trzeba z wypadków poznańskich wyciągnąć odpowiednie wnioski, trzeba na co dzień pamiętać, że wróg nie śpi i tam, gdzie nie ma nas, tam on nas zastępuje, a wykorzystując nasze błędy i ludzką nieświadomość, podjudza przeciwko Polsce Ludowej i władzy ludowej. Uważając, że w Polsce nastąpiły dni zupełnej bezkarności, ruszył do ataku wróg, za nim rozrabiacz, warchoł wyszedł wrogowi na spotkanie i tak w dwójkę, a może i w trójkę, bo tu i ówdzie przyłącza się do nich spekulant-kombinator, próbują pluć na dwunastolecie, w którym jakoby nie było nic dobrego, lecz samo zło. Obowiązkiem każdego rzetelnego działacza ZSL jest dawać należytą odprawę tym burżuazyjnym ćmom, które coraz liczniej próbują wychodzić z ukrycia.
Władysław Kowalski

„Zielony Sztandar”, 5 sierpnia 1956



BENZYNA Z AUTOMATU

Na warszawskich stacjach benzynowych mają być zainstalowane specjalne automaty elektryczne produkcji austriackiej, tzw. dystrybutory, które za naciśnięciem guzika pompować będą do zbiorników żadaną ilość benzyny. W ten sposób wyeliminuje się dotychczasowy, kłopotliwy ręczny sposób pompowania.

Dwa tego rodzaju automaty były tytułem próby ustawione na stacjach benzynowych przy ul. Rakowieckiej i Orlej. Obecnie pracę aparatury i jej dokładność pompowania bada Urząd Wag i Miar. Jeśli ekspertyza wypadnie pomyślnie, najpierw stolica, a następnie wszystkie stacje benzynowe w reszcie kraju mają otrzymać tę pomysłową aparaturę.

„Trybuna Ludu”, 8 sierpnia 1956



I PO JAZZIE

Sopot. 12 bm. zakończył się w Sopocie I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej. Pierwsza w Polsce tego rodzaju impreza muzyczna stała się przeglądem dorobku zespołów muzyki jazzowej. W Festiwalu wzięło udział 8 polskich zespołów jazzowych: A. Kurylewicza (Kraków), Zygmunta

Wicharego (Stalinogród), „Melomani” – Jerzego Matuszkiewicza (Łódź), „Sekstet Komedy” – Krzysztofa Trzcíńskiego (Poznań), „Drażek i Pięciu” – Stanisława Kalwińskiego (Kraków), „Pinokio” – Władysława Sosnowskiego (Warszawa), Jerzego Grzewińskiego (Poznań) i Pawła Gruenspana (Szczecin). Ponadto udział wzięły dwa zespoły zagraniczne „The Dave Burman-Jazz Group” z Londynu i zespół Kamila Háli z Pragi.

W ostatnim koncercie Festiwalu np. „All Stars”, który zgromadził w Operze Leśnej w Sopocie 5 tys. słuchaczy, wystąpiły jak zwykle gorąco oklaskiwane zespoły: Zygmunta Wicharego, „Sekstet Komedy”, zespół Kurylewicza, „Melomani” oraz zespół angielski.

W czasie koncertu zamykającego Festiwal kierownicy zespołów otrzymali pamiątkowe srebrne puchary. Zakomunikowano również, że w przyszłym roku zorganizowany zostanie II Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie lub Warszawie.

Z okazji wyboru „miss Sopot” na molo doszło do chuligańskich wybryków. Komitet organizacyjny nie stanął na wysokości zadania.

„Trybuna Ludu”, 14 sierpnia 1956

PLENUM POZWALA ZATRUDNIAĆ CZTERECH

Według obowiązującego dotychczas przepisu, formułującego rozgraniczenie rzemiosła i przemysłu fabrycznego – właściciel warsztatu rzemieślniczego mógł zatrudniać jednego tylko pracownika najemnego (oprócz uczniów).

Ostatnio Minister Przemysłu Drobego i Rzemiosła podpisał okólnik zmieniający ten przepis.

Obecnie rzemieślnik będzie mógł – zgodnie z wytycznymi VII Plenum KC PZPR – niezależnie od liczby uczniów i członków rodzin, zatrudniać w swoim warsztacie czterech pracowników najemnych.

Zwiększenie liczby zatrudnionych w warsztatach rzemieślników to realizacja jednego z najpilniejszych postulatów zmierzających do poprawy sytuacji w rzemiośle. Stwarza ono wielkie możliwości zwiększenia produkcji rzemieślniczej, a tym samym wytworzenia większej masy towarowej na potrzeby ludzi pracy.

„Trybuna Ludu”, 16 sierpnia 1956

WOJNA W KOREI A PLAN 6-LETNI

Z przemówienia I sekretarza PZPR Edwarda Ochaba w Zakładach ZISPO w Poznaniu:

(...) Faktycznie zrealizowany Plan 6-letni różnił się od Planu nakreślonego przez Zjazd Zjednoczeniowy. Dlaczego musieliśmy zmienić plan początkowy? Dlatego, że zmieniła się sytuacja międzynarodowa, że imperialiści napadli na Koreę, że coraz częstsze były głosy imperialistyczne nawołujące do organizowania wyprawy krzyżowej przeciwko krajom naszego obozu. Licząc się z takimi groźbami, trzeba było umocnić obronność kraju. Trzeba było rzucić wiele milionów na budowę przemysłu obronnego, przerzucić tam najlepszych ludzi i najlepsze maszyny. (...)

Kierownictwo Partii zrobiło słusznie budując przemysł obronny. Ale niestety postąpiliśmy niesłusznie, że nie przyszliśmy w porę do klasy robotniczej i nie powiedzieliśmy o tych zmianach w Planie 6-letnim. (...)

Jeżeli nie wykonaliśmy założeń w rolnictwie i w niektórych działach przemysłu pokojowego, to nie mogło się to nie odbić na stopie życiowej mas pracujących. Po prostu mieliśmy mniej towarów i artykułów spożywczych do podziału aniżeli zakładano pierwotnie.

Niedobrze się stało, że nie poszliśmy w porę do klasy robotniczej i nie powiedzieliśmy o tym, z jakich przyczyn nie nastąpił przewidziany wzrost stopy życiowej. Nie powiedzieliśmy tego klasie robotniczej, dlatego też wśród robotników mogły się zrodzić nastroje niezadowolenia i niepokoju.

„Trybuna Ludu”, 16 sierpnia 1956

A GRUZY ZNIKAJĄ

Jednym z nielicznych już na szczęście rezerwatów zniszczeń wojennych i parterowej odbudowy pierwszych powojennych lat były w centrum Warszawy al. Jerozolimskie, zwłaszcza na odcinku między Bracką a Marszałkowską.

Niechlubny ten dla naszego miasta rezerwat przeżywa na szczęście swe

ostatnie dni. Wielkie roboty rozbiórkowe w rejonie Al. Jerozolimskich od Brackiej aż po Marszałkowską są wstępem do zaplanowanej tu zabudowy mieszkaniowej.

„Trybuna Ludu”, 18 sierpnia 1956

Był jazz i krawaty w „girlsy”

„Sopockie trzęsienie ziemi” – oburza się „Słowo Powszechne”.

„Odpust bikiniarzy!” – grzmi słynny felietonista Stefan Wiechecki.

„Jazz czy Texas?” – pyta „Sztandar Młodych”.

„Zabawy smutnych dzieci” – niepokoją się „Perspektywy”.

W upalny sierpień 1956 roku niemal wszystkie polskie gazety straszą czytelników „gorszącymi wybrykami chuliganów”, „awanturnikami” i „burzą na Wybrzeżu”.

A wszystko z powodu 30–50 tysięcy fanów jazzu (szacunki do dziś są nieprecyzyjne), którzy po latach wegetacji w muzycznym podziemiu za ostatnie złotówki zjechali na sopocką plażę, by posłuchać ośmiu najlepszych krajowych jazz-bandów zaproszonych na I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej.

Szczególnie bulwersuje barwna parada. To jawna prowokacja i nabijanie się z socjalizmu: jej uczestnicy przepasali się szarfami jak przodownicy pracy, tyle że zamiast norm produkcji widnieje na nich napis „Jazz Festiwal”. Ba, niosą transparenty do złudzenia przypominające pierwszomajowe, na których wypisano nazwy zespołów.

Jednak na najśmielszy wyczyn pozwolili sobie artyści z gdańskiego teatru studenckiego Bim-Bom. Na drewnianych listwach, które niosą, widnieją cztery wycięte z kartonu litery układające się w słowo „dupa”.

Partyjna prasa jest w szoku.

„Krzysztof zasygnalizował możliwość”

– Ale się kotłowało! – mówi Jan „Ptaszyn” Wróblewski, legenda polskiego jazzu. – Nagle wolno było robić, pokazywać, słuchać tego, co było zakazane. Jazz, amerykańska literatura, filmy, sztuki teatralne. Ludzie przyjechali do Sopotu nie tylko dla jazzu, ale żeby pokazać, że są za wolnością.

Z „Ptaszynem” niełatwo umówić się na rozmowę. Choć w marcu ukończył osiemdziesiąt lat, ciągle w trasie. Kipi energią. Zupełnie jak sześćdziesiąt lat temu, gdy założył na głowę swoją charakterystyczną bejsbolówkę i przyjął artystyczny pseudonim.

Zima 1956 roku, Wydział Mechanizacji Rolnictwa Politechniki Poznańskiej. Jan Wróblewski, niski, drobny student II roku z Kalisza, raczej nie wyobraża sobie, że rzeczywiście zostanie mechanizatorem rolnictwa. W wolnych chwilach gra na fortepianie i klarnecie, prowadzi zespoły, które grają na imprezach tanecznych dla studentów.

– Saksofonu jeszcze wtedy nie ruszałem – przyznaje.

Modę na pseudonimy wśród jazzmanów zapoczątkowali muzycy z łódzkiego zespołu Melomani Jerzego Matuszkiewicza w połowie lat pięćdziesiątych, gdy polski jazz powoli wychodził z „katakumb”. Wróblewski miał „ptasie” nazwisko, więc przed nim dopisał sobie „Ptak”, a potem „Ptaszyn”. Czapkę z daszkiem, która ma przypominać ptasi dziób, nosi do dziś.

Jazz działa na młodych ludzi jak narkotyk. Szczególnie na tych, którym nie imponują „wielkie budowy socjalizmu” i zetempowskie masówki. Jest sposobem i wyrazem buntu wobec zgredów.



Z „Ptaszynem” Wróblewskim niełatwo umówić się na rozmowę. Choć ukończył 80 lat, ciągle w trasie

„Jazz jawił się wielu młodym ludziom jako jakaś szansa, jakiś sposób na życie, na przemianę szarości dni codziennych w wielobarwny sen o Ameryce, o wyzwoleniu, o wydostaniu się z klatki. Przenosił w świat marzeń o bytowaniu w wolności. Jazz pozwalał choć na chwilę zapomnieć o realiach PRL” – tłumaczy Krystian Brodacki, autor monografii o historii

jazzu w Polsce.

Dla muzycznych losów Wróblewskiego kluczowa okazuje się znajomość z Krzysztofem Komeda-Trzcińskim. Zimą 1956 roku Trzciński wymyśla, żeby stworzyć sześciuosobowy zespół, który grałby czysty jazz – „cool jazz w sposób, który nawiązuje do najlepszych wzorców tej muzyki w jej najbardziej nowoczesnym awangardowym wydaniu, czyli do: Mulligana, Ellingtona, Gillespiego, Coltrane’a, Davisa, Lewisa, Getza, Parkera, Petersona, Hawkinsa, Younga, Hamptona, Mariano, Monka, Jacksona, Tatum, Dameron, Garnera, Brubecka” – opisuje biograf Komedy Marek Hendrykowski.

Komeda zdradza „Ptaszynowi” swój plan w pociągu, podczas wspólnej podróży. W zupełnej tajemnicy: – Niczego ci nie proponuję, ale bądź przygotowany.

„Projekt młodych muzyków był z gatunku całkiem zwariowanych. Zupełna niedorzeczność w czasach, gdy w mieście takim jak Poznań jest tyle okazji, żeby nieźle zarobić graniem popularnych kawałków do tańca. Pieniądze nie były jednak dla nich żadnym motywem” – pisze Hendrykowski.

Skład i zestaw instrumentów w sekstecie Trzcińskiego wzorowany jest na słynnym amerykańskim Modern Jazz Quartet Johna Lewisa. 25-letni Trzciński zaprasza do współpracy 20-letniego Jerzego Miliana, studenta architektury wewnątrz w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu (wibrafon), 20-letniego Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego, studenta Politechniki Poznańskiej (klarnet, saksofon), 25-letniego Józefa Stolarza, grającego na basie w kilku poznańskich zespołach (w sekstecie grał na kontrabasie), Jana Zylbera, studenta politechniki (perkusja), i 27-letniego Stanisława Pludrę (saksofon).

Z wyjątkiem tego ostatniego – zawodowego saksofonisty – pozostali członkowie zespołu to amatorzy. Zdają sobie sprawę ze swoich niedoskonałości i godzą się na katorżniczą pracę, bo zależy im na podciągnięciu umiejętności.

Wieczne kłopoty z wibrafonem

Pierwsze spotkania zespołu odbywają się w mieszkaniu Trzcíńskiego, w budynku banku przy Alejach Marcinkowskiego, ale szybko przenoszą się do odległej o dwieście kroków kawiarni Arkadia na placu Wolności. Tam po godzinach pracy lokalu młodzi jazzmani grają do bladego świtu.

„Szóstka jazzowych konspiratorów działała w cieniu i unikała rozgłosu. Najwięcej problemów było z wibrafonem. Nie dość, że wypożyczany [od Zygmunta Nowakowskiego, perkusisty w Wielkopolskiej Symfonicznej Orkiestrze Objazdowej – red.] i ciągle psujący się, to jeszcze ciężki jak nieszczęście, a tu trzeba go wciąż nosić i dbać o jego bezpieczeństwo przed i po każdej próbie” – opisuje Hendrykowski.

Jan „Ptaszyn” Wróblewski uśmiecha się, gdy pytam o konspiracyjną atmosferę pierwszych prób sekstetu w Arkadii. – Dostaliśmy szansę korzystania z sali, która bodajże należała do Estrady. Jak tylko mieliśmy czas, to się tam pojawialiśmy i graliśmy. To były zwykle wczesne wieczory.

Po każdej próbie wibrafon przenoszą w bezpieczne miejsce w piwnicy rodziców Krzysztofa.

– Zdobycie wibrafonu było dużą sztuką. Jurek Milian musiał go wypożyczyć i nigdy nie było wiadomo, kiedy i na jak długo. Oczywiście instrument ciągle się psuł, bo był stary i zdezelowany, ale głównym problemem było to, żeby jego właściciel nie wycofał się z wypożyczenia. Także później, gdy graliśmy już koncerty – wspomina Wróblewski.

W dzień studiują, w nocy spotykają się w różnych miejscach, zwykle nieogrzewanych salach, ćwicząc pięć razy w tygodniu. Do upadłego.

Repertuar ściągali z radia. Nocami. Pierwszy i drugi takt spisywał Krzysztof, drugi i trzeci – Ptaszyn, kolejne – Krzysztof, następne – Ptaszyn. I tak do rana. – Po omacku – wspominał Ptaszyn.

Dziś „Ptaszyn” dodaje: – Nie mieliśmy innego wyjścia, bo nie było płyt, nut, żadnego sprzętu do nagrywania.

Najpierw mówią, że po prostu chcą ćwiczyć. Potem stawiają sobie cel: udział w I Ogólnopolskim Festiwalu Jazzowym, który ma się odbyć latem 1956 roku w Sopocie. Wyzwanie i motywacja.

– Sprawa festiwalu była długo niejasna. Krzysztof miał na niego zaproszenie od samego początku, ale dość długo wahało się, czy festiwal

w ogóle się odbędzie – wyjaśnia Jan „Ptaszyn” Wróblewski. – Wszystko wyjaśniło się jakieś dwa miesiące przed imprezą.



Nagranie Sekstetu Komedy w studiu radiowym przy ul. Berwińskiego w Poznaniu. Od lewej: Józef Stolarz, Krzysztof Komeda-Trzcński, Jan „Ptaszyn” Wróblewski, Jerzy Milian

Trzy minuty w telewizji

Na początku czerwca 1956 roku muzycy z sekstetu Komedy wiedzą już, że warto się starać – na przełomie lipca i sierpnia do Sopotu mają zjechać najważniejsze polskie grupy jazzowe, a grupa Trzcńskiego chce być wśród nich.

Na razie decydują się na pierwszy występ. Dają go 18 czerwca 1956 roku w świetlicy klubu dziennikarzy na najwyższym piętrze Domu Prasy przy Grunwaldzkiej 19. Sekstet gra dla kilkudziesięciu słuchaczy, zaraz

po brneńskiej orkiestrze Gustava Broma i zespole Jerzego Grzewińskiego. Reakcja widowni jest dość obojętna.

– Krzysztof doszedł do wniosku, że powinniśmy oswoić się z publicznością – wspomina „Ptaszyn”

Dwa dni później jazzmani występują w zaimprovizowanym studiu telewizyjnym na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Zaprasza ich francuska firma La Radio-Industrie, której przedstawiciele widzieli koncert na Grunwaldzkiej. Dzięki nadajnikowi telewizyjnemu zamontowanemu na iglicy targowej występ sextetu można śledzić na ekranach telewizorów w kilku punktach Poznania. To prawdziwa sensacja, ale przygodni słuchacze reagują bez emocji.

– Występ w telewizji w jakiegokolwiek roli był w tamtych czasach nobilitacją. To była przecież u nas jeszcze rzecz zupełnie nieznaną. Choć w sumie potraktowano nas tam per noga – opowiada „Ptaszyn” Wróblewski.

– Mieliśmy zagrać piętnaście minut, ale wszyscy byli tak rozgadani, że ostatecznie zagraliśmy wszystkiego około trzech minut. Nawet na jeden utwór nie starczyło.

„Godziny jazzu” dla milionów za żelazną kurtyną

Gdy sextet Komedy pojawia się na ekranach telewizorów w poznańskim parku Kasprzaka (dziś Wilsona), w kraju czuć już odwilż. Na scenie muzycznej robi się swobodniej od 1954–1955 roku. Jazz przestaje być w oczach partii „narzędziem imperialistów”. Choć właśnie wtedy, jak nigdy wcześniej, staje się kodem, za pomocą którego wolny świat porozumiewa się z narodami za żelazną kurtyną.

Przełomem jest nadawany przez Głos Ameryki od 5 stycznia 1955 roku cykl audycji *Jazz Hours (Godziny jazzu)*, prowadzonych przez 34-letniego konferansjera i impresaria z Waszyngtonu Willisa Conovera. Na pomysł wpadł podobno ambasador USA w Moskwie Charles E. Bohlen. *Godziny jazzu* nadawane są na cały świat. Baryton Conovera, wielkiego pasjonata jazzu, a jednocześnie miłośnika science fiction i poety, szybko staje się znany słuchaczom nad Wisłą. W szczytowym okresie popularności *Godzin jazzu*

słucha, mimo wytężonej pracy zagłuszonek, 20–30 milionów odbiorców za żelazną kurtyną.

Willis, zapowiadając nowości w jazzie amerykańskim, mówi do słuchaczy na całym świecie powoli i bardzo wyraźnie, by nawet słabo znający angielski rozumieli, o co chodzi.

„Z uchem przy głośnikach nędznych odbiorników typu Pionier wszyscy polscy jazzmani i jazzfani wsłuchiwali się w dźwięki, których nie mogli usłyszeć gdzie indziej – ani na żywo, ani z płyt – opisuje Krystian Brodacki, historyk polskiego jazzu. – Starali się spisywać tematy, wnikać w tajniki aranżacji, naśladować style. Audycje Conovera stały się jazzową wszechnicą, a on sam swego rodzaju wyrocznią czy nawet arcykapłanem jazzowej wiary. Wywarł ogromny wpływ na polskie audytorium i jeżeli w rozwoju jazzu w Polsce nastąpiło wkrótce ogromne przyspieszenie – niezaprzeczalna w tym jego zasługa”

Zofia Komiedowa-Trzcińska wspominała: „Ten, kto miał wystarczająco czuły odbiornik, aby namierzyć i odebrać nadawane z zachodu Europy programy *Voice of America Jazz Hour* Willisa Conovera i Radio Luxembourg, a także rozgłośnie polską Radia Wolna Europa, słuchał i dzielił się nowinkami z najbliższymi oraz z osobami zaufanymi. Wielu z nas nagrywało najlepsze i najciekawsze kawałki na magnetofony”

Ona sama wchodziła wtedy w świat krakowskiego jazzu: „W czasach kiedy jazz był muzyką ideologicznie zakazaną, naganną tak samo jak kolorowe ubrania czy też coca-cola, jeansy, wielobarwne, wypuszczane poza obrys spodni koszule, guma do żucia i wykraczające poza ściśle określone obręby socrealizmu sztuki plastyczne, myśmy chcieli wolności. Ale na tę naszą wolność miejsca nie było. Musieliśmy ją więc wykreować. I to się nam, o dziwo, udało!”

Bikiniarze, dzollerzy, bażanty

Na przełomie lipca i sierpnia 1955 roku Warszawę zalewa morze. Na V Międzynarodowy Festiwal Młodzięży przyjeżdża 30 tysięcy młodych ludzi ze 120 krajów. To pierwsze otwarcie się na świat komunistycznej Polski,

z której jeszcze rok wcześniej wyjechały prywatnie na Zachód zaledwie pięćdziesiąt dwie osoby.

Przybysze i miejscowi spotykają się na ulicach, wspólnie grają na gitarach, śpiewają, a wieczorami włóczą się po całym mieście. Pęka monopol partii i Związku Młodzieży Polskiej na wychowanie młodego pokolenia.

Ernest Skalski, uczestnik festiwalu, opisywał to tak: „W oczy rzucał się kontrast między karnymi delegatami sowieckimi a luzem młodych z Zachodu i z Trzeciego Świata. Sowieccy – podobnie chińscy – chodzili w ordynku z jednego oficjalnego spotkania na drugie, na których występowali – długo i nudnie – wyznaczeni mówcy z gotowymi tekstami. Ci spoza obozu robili wrażenie, że po prostu się bawią, przy czym czarnoskórzy i Latynosi wręcz żywiołowo. Polacy nie robili wrażenia zdyscyplinowanych, nawet ludzie z ulicy nie stronili od kontaktów z cudzoziemcami. Warszawiacy zobaczyli, że można być za »pokojem i przyjaźnią«, nie będąc sztywniakiem”

Chociaż po dwóch tygodniach obcokrajowcy wyjeżdżają, ulice polskich miast wyglądają już odtąd inaczej, bardziej kolorowo. Dbają o to „bikiniarze” – pierwsi powojenni ekscentrycy – dandysi, strojący się w barwne ciuchy z paczek. Najpierw przysyłano je do Polski w ramach wsparcia UNRRA, czyli Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy, potem dbała o to Polonia z Zachodu. Tą światową konfekcją handlowano w Warszawie nieopodal praskiego bazaru Różyckiego. Była w cenie nie tylko ze względu na szyk, ale i na jakość i trwałość. Krajowe ciuchy nie miały z nią szans.



Lato 1955, V Międzynarodowy Festiwal Młodzieży w Warszawie. Przybysze i miejscowi spotykają się na ulicach, wspólnie grają na gitarach, śpiewają, a wieczorami włączają się po całym mieście. Pęka monopol partii i Związku Młodzieży Polskiej na wychowanie młodego pokolenia

Bikiniarze w Warszawie, dzollerzy (od angielskiego „jolly” – wesoły, rozochocony) w Krakowie, bigarze we Wrocławiu, a w całym kraju po prostu bażanty (od barwnych ubiorów), widywani już w Polsce od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, teraz dumnie wychodzą na ulice. Kochają wszystko, co pochodzi z zagranicy, zwłaszcza jazz. Gardzą siermiężną zetempowszczyzną, szarzyzną i mundurkiem. „Zachodniość miała być antonimem nudnej propagandy, muzyczna i taneczna ekspresja przeciwstawiała się zorganizowanej i kontrolowanej rozrywce, nieformalne relacje w grupach rówieśników zastępowały zwarty kolektyw klasy szkolnej, grupy studenckiej czy pracowniczej brygady” – pisze Mirosław Pęczak w *Małym słowniku subkultur młodzieżowych*.

Młodzi Polacy znają kolorowy świat jedynie ze zdjęć w tygodniku „Dookoła Świata”, który wychodzi od 1954 roku. Dla władzy pismo to jest

swego rodzaju wentylem bezpieczeństwa, dla bikiniarzy – bezcennym źródłem inspiracji. Nieprzypadkowo Leopold Tyrmand nazwie je „głosem bikiniarza”

Skąd akurat bikiniarze? Bo noszą pstrokate krawaty z atomowym grzybem na atolu Bikini [w latach czterdziestych i pięćdziesiątych Amerykanie przeprowadzali tam próby atomowe – red.]. Albo zwisy w palmy, pod którymi prężą się nagie piękności – „girlsy”. Kochają Amerykę pod każdą postacią. A wieczorami gałkami swych radylek polują na jazz, jeszcze w 1955 roku zakazany przez komunistów.

Na ulicy łatwo ich rozpoznać nie tylko po krawatach. Z dumą noszą plerezy – fryzury w „kaczy kuper” – z przodu uniesione ku górze, z tyłu szesane – i szerokie, luźne marynarki „na kilowatach”. Spodnie bikiniarza (rurki) obowiązkowo są wąskie, zaś buty, ze względu na swoją toporność zwane „bombowcami”, zamszowe i na „słoninie”, czyli grubej gumowej podeszwie. Spod obowiązkowo zbyt krótkich nogawek po oczach walą piratki – jaskrawe skarpetki w prążki, zwykle zielono-żółte (tzw. szczypiorek na jajecznicę). „Skarpetki są bronią straszliwą. O niesłychanym zasięgu. Tylko dlatego (...), że istnieją idioci, którzy zakazują noszenia takich, zaś domagają się noszenia innych. I tępią nieposłusznych” – napisał Leopold Tyrmand w *Życiu towarzyskim i uczuciowym*.

W 1954 roku – o zgrozo! – podobne skarpetki zaczynają produkować spółdzielnie tekstylne.

Poza estetycznym wąskość rurek bikiniarzy – o czym wiedzą wtajemniczeni – ma też wymiar polityczny. Bo szerokie spodnie noszą w Warszawie głównie Rosjanie; warszawiacy rozpoznają ich po tym z daleka. Bażant nosi też zwykle w kieszeni „pół basa”, czyli butelkę wódki. Reszty wizerunku dopełniają czarne okulary i tłący się w ustach camel lub lucky strike.

Towarzyszkami bikiniarzy w ucieczce ku wolności są „kociaki”. Chodzą w pantoflach trumniakach albo na wysokich obcasach. Wzrok przechodniów przyciągają ich mocno rozcięte spódnice i sukienki, nylony i włosy podcięte „na chłopczycę”. Niektóre znaczą usta fiołkowo-pomidorową pomadką, stylizując się na „wampirzyce”

Jeden „Zły” na ryło

Im bardziej władza walczy z bikiniarstwem, tym sromotniej przegrywa. Widomą zapowiedzią tej klęski jest *Zły* Leopolda Tyrmanda, opublikowany grudniu 1955 roku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Powieść, która robi z bikiniarzy idoli.

35-letni Tyrmand, podówczas biedujący eksdziennikarz „Przekroju” i „Tygodnika Powszechnego”, objęty nieoficjalnym zakazem publikacji, pisze tę cegłę w swym ciasnym pokoiku w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy.

Opisuje Warszawę z lat pięćdziesiątych, której oficjalnie nie ma: z bandziorami, oszustami, gangami i dziwkami, w której *Zły*, tajemniczy mściciel przypominający bohatera westernu, przywraca w mieście porządek.

Rasowym bikiniarzem w tej historii jest Jerzy Meteor, jeden z czarnych charakterów, godny zapamiętania choćby dzięki kapitalnej scenie czesania się przed lustrem: „Pełnym namaszczonej precyzji ruchem rozdzielał błyszczące brylantyną, ciemne włosy w nieskazitelny przedział po lewej stronie. Następnie szesywał rozdzielone włosy z lewej strony do dołu, zaś z prawej – na bok. (...) Nagłym, okrągłym ruchem trzymany przez Meteora jak szpada grzebień uniósł naręcze wybrylantynowanych, prostych włosów do góry i spiętrzył je w miękki, prześlicznie sfalowany, naturalnie nawisły nad czołem pukiel (...). Tak, to było zwycięstwo!”

Wiosną 1956 roku *Złego* czyta cała Warszawa. „Sięgnąłem po egzemplarz zaczytany już do ostatka i nie wypuściłem go z ręki przez dzień i noc, póki nie skończyłem lektury” – relacjonował Tadeusz Konwicki. Po *Złym* późniejszy autor *Małej apokalipsy* nabiera do Tyrmanda szacunku, zaczynają przesiadywać razem w kawiarni Czytelnika.

Zły to największy sukces wydawniczy powojennej polskiej prozy. Książka błyskawicznie stała się sensacją. Gdy na pchli targ trafiło tłumaczenie referatu Nikity Chruszczowa ujawniającego zbrodnię Stalina, bukiniści sprzedawali obie publikacje razem, reklamując: „*Zły* Tyrmanda! *Zły* Chruszczowa! – napisał Mariusz Urbanek, autor biografii Tyrmanda. – W księgarniach sprzedawano »po jednej na ryło«, gazety opisywały przypadki wyrywania książki z rąk ludziom czytającym ją w tramwaju.

Kolejne nakłady szły jak woda, choć księgarze w Katowicach odmówili sprzedaży dzieła wroga. Czytelnikom nie przeszkadzały jednak oskarżenia, że Tyrmand jest ojcem ulicznych chuliganów”.

„Do trzeciej w nocy czytałam *Złego* Tyrmanda – zanotowała w swoim dzienniku w lutym 1956 roku Maria Dąbrowska. – Wszyscy się z tego wyśmiewają, a ja uważam to za ważną książkę 10-lecia. Może równie ważną, jak w swoim czasie *Dzieje grzechu* Żeromskiego; niższa klasa artyzmu, ale tak samo szmirowato-melodramatyczna; lecz rzeczywistość jest szmirowata i to powinno było znaleźć swój ekwiwalent w literaturze. Pisane, mimo pewnych dłużyzn, z takim talentem, że w miarę czytania robiło mi się słabo i dostawałam bicia serca (...)”.

Dąbrowska nazwie potem *Złego* arcydziełem, a powieść przyniesie Tyrmandowi zawiść środowiska pisarzy – Jarosław Iwaszkiewicz określi ją mianem „*Trędowatej* naszych czasów” – i ogromne pieniądze. Tyrmand kupuje za nie samochody: najpierw wartburga, potem fiata, w końcu srebrzystego opla. Wozi się wolno przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, żeby wszystkim w drodze ze stołówki U Literatów do kawiarni Czytelnika opadły szczęki.

Guru w moskiewskich skarpetkach

Tyrmand też nosi się po bikiniarsku – jego znakiem rozpoznawczym są kolorowe skarpetki. Podobno w 1949 roku przywiózł mu je z Moskwy karykaturzysta i satyryk Eryk Lipiński. „Były w czerwono-zielono-pomarańczowo-czarne paski. Tyrmand bardzo się nimi cieszył; najbardziej z tego, że do skarpet dołączony był kwit ze sklepu” – opisuje Mariusz Urbanek. Dzięki temu kwitowi pisarz mógł mówić, że „jego skarpety są jak najbardziej ideologiczne, bo kupione w Moskwie”.

Ale najbardziej Tyrmand kochał jazz. To on w marcu 1955 roku zorganizował w baraku Ministerstwa Komunikacji przy ulicy Wspólnej 72 pierwsze jam session w Warszawie. „Był naszym guru, ideowym przywódcą” – wspominał Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz, legenda polskiego jazzu. Tyrmand stworzył dwa pierwsze festiwale jazzowe w Sopocie, a także

wymyślił nazwę Jazz Jamboree dla największego festiwalu jazzowego w Europie Wschodniej. I on napisał pierwszą polską książkę o jazzie.

Dla bikiniarzy przesiadujących w nocnych lokalach stolicy – Kameralnej czy Paradis – Tyrmand to gość. Piją, dyskutują, podrywają, biją się. „Bikiniarz się nudzi, nudzą go ludzie, życie, Polska (...) Bikiniarz tęskni za pełnią życia, jednakże wykładnikiem takiego życia jest dla niego atmosfera nocnego lokalu, możliwość wyżycia seksualnego i miłosnych przygód. Bikiniarz lubi pokera i towarzyskie rozróby, lubi seksowne dziewczki (...)” – opisał młodych niepokornych Marek Hłasko w *Pięknych dwudziestoletnich*.



Leopold Tyrmand najbardziej kochał jazz. To on w marcu 1955 roku zorganizował w baraku Ministerstwa Komunikacji na ul. Wspólnej 72 pierwsze jam session w Warszawie

Prasa próbuje ośmieszać bikiniarzy. W *Dzienniku* 1954 Tyrmand zauważa:

„Przeciwko garstce bikiniarzy wytoczone zostały działa najpotężniejszego kalibru. Padły oskarżenia o dywersję, o agenturę, o imperialistyczną degenerację i wynaturzony styl życia. Uczniowie szkół technicznych i ślusarscy terminatorzy okazali się naraz piątą kolumną i wylęgarnią szpiegowskich komórek. Wszystkie tuby propagandowe – radio, film, prasa, wydawnictwa – rozdarły się wielkim krzykiem. ZMP ogłosiło rodzaj powszechnej mobilizacji. Druga strona bezwiednie sprężyła się do walki: nikt z nikim się nie kontaktował, niczego nie uzgadniał. Nie było żadnej ideologicznej podbudowy ani »podgotowki«, nawet nie wolno było głośno o niczym mówić, ale szeregi bikiniarzy rosły, rosły, rosły (...).”

Nagonka okazała się jednak nieskuteczna. „Sztandar Młodych” musi w końcu przyznać, że kolorowe skarpetki nie są z założenia dowodem wrogości. „I że można kochać Marksa i Engelsa, tańcząc swing w krawacie z »ciuchów«” – podsumowuje Tyrmand.

Władze uderzają więc raz jeszcze, tym razem cłem w paczki z zachodnią odzieżą. „Ciuchy” na bazarze Różyckiego drożeją, stragany pustoszeją – ale nigdy do końca.

Z coraz barwniejszą i niepokorną młodzieżą nie radzą sobie także aktywiści ZMP. W sierpniu 1956 roku towarzysz Jaworski desperacko grzmi na plenum zarządu głównego organizacji: „Znaczne rozmiary przybrały takie zjawiska jak chuligaństwo, alkoholizm, przestępczość, cyniczny stosunek do życia, lekceważenie podstawowych norm życia społecznego, rozwiązłość i pogoń za wyżyciem się za wszelką cenę!”

Carmen Moreno i szaleństwo w ZSRR

Władza przegrywa walkę z bikiniarstwem, a także z jazzem. W lutym 1956 roku w Warszawie startuje Błękitny Jazz – Państwowa Orkiestra Jazzowa pod dyktando Ryszarda Damrosza. To ewenement w skali całego obozu socjalistycznego. Polska Rzeczpospolita Ludowa inwestuje w niemal 40-osobowy zespół, wykonujący nie tylko utwory polskie, ale i zachodnie, w tym amerykańskie! Głównymi wokalistami grupy są René Glaneau (pseudonim artystyczny Romana Środy) oraz Carmen Moreno – półkrwi

Hiszpanka, córka tancerki akrobatycznej Pauliny Moreno i tancerza Józefa Masłowskiego.

Recenzenci kręcą nosami: Błękitny Jazz to „groch z kapustą”! „Nie wolno obiecywać komuś skuter, a dawać rower” – puentuje tygodnik „Po Prostu”, ale zespół odnosi oszałamiający sukces podczas sierpniowego tournée po miastach Związku Radzieckiego.

Również w lutym 1956 roku w Gdańsku wychodzi pierwszy numer „Jazzu” – jedynego takiego pisma na zachód od granic Układu Warszawskiego. Redakcja, którą zakłada Józef Balcerak (wojskowy, porucznik), pracuje przy Klubie Pracowników Kultury w Gdańsku Rudy Kot. W pierwszym numerze – artykuły historyczne o Louisie Armstrongu i genezie jazzu, zdjęcia Benny’ego Goodmana, Glenna Millera czy Rosemary Clooney. No i informacje o wydarzeniach jazzowych w... ZSRR.

To ostatnie posunięcie Balceraka jest genialne, bo wytrąca broń z rąk polskich komunistów: okazuje się, że pismo „Jazz” (kolejny numer ukaze się w lipcu) wcale nie jest tubą amerykańskich imperialistów.

„Początkowo »Jazz« pomyślany był jako jednodniówka. Gdy jednak pięćotysięczny nakład pierwszego numeru z lutego 1956 roku rozszedł się błyskawicznie – sprzedawany spod lady, niekiedy po paskarskich cenach – na przekór sceptykom postanowiłem przekształcić pismo z efemerydy w periodyk” – wspominał Józef Balcerak w latach sześćdziesiątych.

Wiosną 1956 roku jazz w Polsce to już szerokie zjawisko społeczne: splata się z literaturą, poezją, filmem, plastyką. Towarzyszy pojawieniu się w księgarniach dzieł Camusa, Sartre’a, Saint-Exupéry’ego, Kafki, Hemingwaya czy Faulknera. I awangardowym dramatom Becketta czy Ionesco wystawianym na scenach teatrów.

Towarzysz na czele, więc nie odmówią

W lipcu 1956 roku, w drugim już numerze pisma „Jazz”, fani jazzu znajdują elektryzującą wiadomość: „Pierwszy Festiwal Jazzowy w Polsce ma się odbyć w Sopocie od 30 lipca do 5 sierpnia” (ten termin się jeszcze zmieni).

Zapowiedź festiwalu jest niemal ukryta – na drugiej stronie pisma. To

z ostrożności, bo po krwawych wydarzeniach końca czerwca w Poznaniu nie ma pewności, w którą stronę pójdzie władza. W kraju panuje wielkie napięcie, w PZPR rosną w siłę zwolennicy powrotu do władzy Władysława Gomułki.

„Nie wiem, czy moje przypuszczenia nie idą za daleko, myślę jednak, że zgoda wydana przez władze PRL na zorganizowanie w Sopocie wielkiego międzynarodowego festiwalu jazzowego pozostaje w związku z wydarzeniami poznańskimi: nadarzyła się szansa, by odwrócić uwagę młodzieży od bieżącej polityki i pokazać Zachodowi »socjalizm z ludzką twarzą« – napisał Krystian Brodacki. – W każdym razie komuniści w zaistniałej napiętej sytuacji nie mogli chyba wycofać się ze złożonych wcześniej obietnic, zwłaszcza że w łonie PZPR działała już silna frakcja tzw. rewizjonistów (przyszłych »puławian«), skłonnych raczej do polityki otwarcia i ustępstw niż do zamordyzmu”

Z pomysłem festiwalu wychodzi już w lutym 1956 roku Franciszek Walicki, dziennikarz „Głosu Wybrzeża”, organu partii w Gdańsku, wraz z Jerzym Kosińskim, również partyjnym dyrektorem Gdańskiej Estrady. Zgłaszają się do Leopolda Tyrmanda, który zapala się do tej idei. 2 lipca w siedzibie Centralnego Zarządu Imprez Estradowych w Warszawie powołany zostaje komitet honorowy festiwalu, na którego czele staje „towarzysz Kosiński”

W Polskę idzie okazały plakat z programem festiwalu. „Oczekujemy przede wszystkim, że będzie on pierwszym, zakrojonym na taką skalę, przeglądem naszych najlepszych i najbardziej ambitnych zespołów, uprawiających prawdziwy jazz, wolny od naleciałości i wypaczeń” – pisze w artykule wstępnym Tyrmand.

Program imprezy zapowiada występ ośmiu polskich grup. Wieść o festiwalu rozchodzi się po Polsce lotem błyskawicy. Na początku sierpnia do Sopotu zjeżdża 30–50 tysięcy młodych Polaków. Całkowicie zaimprovizowana impreza, bez szyldu którejkolwiek organizacji politycznej, to nowy obrazek w dziejach PRL. Fani jazzu nocują na trawnikach, w parkach, w koszach kąpielowych na plaży.

Karnety na wszystkie koncerty kosztują od 70 do 140 złotych. I choć to dla

młodych ludzi sporo, rozchodzą się nawet te sprzedawane kilkakrotnie drożej przez „koników”.

„Ponura impreza” i wina robaka

„Ptaszyn” Wróblewski wspomina: – W Sopotcie zamieszkaliśmy w prywatnej kwaterze. Wszyscy razem gnieździliśmy się w wynajętym pokoiku. Pogoda była sympatyczna, mieliśmy trochę czasu, żeby pojeździć na plażę.

Festiwal jazzowy w Sopotcie rusza ostatecznie 6 sierpnia 1956 roku i trwa cały tydzień. To pierwszy w powojennej Polsce tak duży i oficjalny zjazd muzyków czerpiących inspirację z oceanu. Otwiera go barwna, wesoła parada wzorowana na paradach orkiestr nowoorleańskich, która ulicami Grunwaldzką, Dzierżyńskiego, Stalina i Rokossowskiego zmierza w kierunku molo. Na platformach ciężarówek jadą atrakcyjne „girlsy”, a w parady idą najwybitniejsi polscy jazzmani – także Krzysztof Komeda-Trzciniński ze swoim sekstetem.

– Z tymi „girlsami” to było sporo przesady, wcale nie były półnagie, jak pisała prasa – „Ptaszyn” macha ręką. – Ale rzeczywiście było tam sporo dziewczyn ładnych i ładnie ubranych. Po prostu na ciężarówkach jechały i grały poszczególne zespoły. A największa obraza dotyczyła tych sławetnych „czterech liter” niesionych przez artystów teatru studenckiego Bim-Bom.

Przed poznańską grupą kroczy boso poeta i reżyser Jerzy Skolimowski, rozebrany do pasa, w papierowym kapeluszu na głowie. Tuż za nim idzie ubrana na czarno grupa Komedy. Jazzmani niosą na ramionach futerał wibrafonu, opatrzony klepsydrami *Mambo italiano* i *Wiśniowego sadu*. Ta „trumna” ma symbolizować pogrzeb ówczesnej polskiej muzyki rozrywkowej. Tak Komeda i jego sekstet dają do zrozumienia, że odcinają się od tandety muzycznej. I że stawiają na ambitną, nowoczesną odmianę jazzu.

– Na trumnie wypisaliśmy wtedy tytuły rozmaitych ówczesnych szlagierów, których nie uważaliśmy wtedy za jazz – relacjonuje Wróblewski.

Czarne koszule i spodnie muzyków z Poznania sopocka publiczność odczytuje jako przekaz polityczny: „Pochodzimy z miasta, które miesiąc temu

władze rozjechały czołgami”

A chłopaki nie wiedzą, o co chodzi. Czarne jest fajne. Jaka polityka?

Mistrzem ceremonii festiwalu jest Leopold Tyrmand. Jedzie przez Sopot w odkrytym samochodzie – jak zapamiętają jedni, lub na platformie ciężarówki – jak zapamiętali drudzy, w towarzystwie skąpo odzianych pięknych dziewczyn. Gdy „nowoorleański” pochód dociera do pawilonu wystawowego A przy sopockim molo, Tyrmand przemawia jak Gomułka na placu Defilad:

„Jazz jest wielką epoką w historii muzyki i chyba nikogo na tej sali nie muszę przekonywać, że należy do rzędu zjawisk artystycznych, że jest sztuką przez duże S, albowiem wyraża radości i smutki naszego pokolenia i naszego wieku. Wyraża je w sposób frenetyczny, może nieco brutalny, lecz niesłychanie dynamiczny, może nieco zbyt hałaśliwie, lecz cóż na to poradzimy, że cały ten wiek XX, wiek gigantofonów i atomowych eksplozji, jest hałaśliwy”

Ale w największych gazetach cicho. Należąca do PZPR „Trybuna Ludu” informację o festiwalu upycha w rogu jednej z dalszych stron numeru z... 14 sierpnia. Notka, wybita rozdrobnioną czcionką, ma bezbarwny i lakoniczny tytuł: *Zakończenie Festiwalu Muzyki Jazzowej*.

„Pierwsza w Polsce tego rodzaju impreza muzyczna stała się przeglądem dorobku zespołów muzyki jazzowej. W Festiwalu wzięło udział 8 polskich zespołów jazzowych: A. Kurylewicza (Kraków), Zygmunta Wicharego (Stalinogród), Melomani – Jerzego Matuszkiewicza (Łódź), Sekstet Komedy – Krzysztofa Trzcíńskiego (Poznań), Drażek i Pięciu – Stanisława Kalwińskiego (Kraków), Pinokio – Władysława Sosnowskiego (Warszawa), Jerzego Grzewińskiego (Poznań) i Pawła Gruenspana (Szczecin). Ponadto udział wzięły dwa zespoły zagraniczne The Dave Burman-Jazz Group z Londynu i zespół Kamila Háli z Pragi – wylicza korespondent „Trybuny”. – W ostatnim koncercie Festiwalu, np. »All Stars«, który zgromadził w Operze Leśnej w Sopocie 5 tys. słuchaczy, wystąpiły jak zwykle gorąco oklaskiwane zespoły: Zygmunta Wicharego, Sekstet Komedy, zespół Kurylewicza, Melomani oraz zespół angielski (...)”



Parada otwierająca pierwszy festiwal jazzowy w Sopocie. Na pierwszym planie Sekstet Komedy. – Na trumnie [wibrafonie – red.] wypisaliśmy nazwy rozmaitych ówczesnych szlagierów, których nie uważaliśmy wtedy za jazz – relacjonuje Wróblewski

Na filmie Polskiej Kroniki Filmowej widać szaleństwo, jakie ogarnęło szczerlnie wypełnioną publikę w Operze Leśnej. Słuchacze są w ekstazie, wymachują kurtkami, w górę lecą koszule. Dziewczyny krzyczą spazmatycznie.

„Ptaszyn”: – Wtedy już wiedzieliśmy, że nikt nam tej muzyki nie zakaże.

„Z okazji wyboru »miss Sopot« na molo doszło do chuligańskich wybryków. Komitet organizacyjny nie stanął na wysokości zadania” – piętnuje „Trybuna Ludu”

Fakt, organizatorzy nie radzą sobie z tłumem i logistyką. Pawilon wystawowy przy molo, obliczony na 500–1100 słuchaczy (źródła nie są zgodne w tej sprawie), okazuje się zbyt mały na potrzeby koncertów. Część widzów wdziera się tu więc nielegalnie.

„Mimo zajęcia wszystkich miejsc siedzących, stojących i... leżących (przed estradą), chętnych było więcej. Zresztą część młodych widzów przyszła nie tyle dla wysłuchania piosenek, ile dla »ubawu«. Nic też dziwnego, że doszło do przepychanek i wejść »siłowych«, choć skala tego zjawiska była znacznie skromniejsza niż przy lada meczu piłki nożnej – opisywał te wydarzenia Sławomir Sierecki, wówczas dziennikarz „Głosu Wybrzeża”. – Niestety, na te zjawiska, a nie na muzykę zwrócili uwagę niektórzy recenzenci, w czym przodował ówczesny »Express Wieczorny«. Rzecz jasna – to zaniepokoiło ówczesnych »decydentów« i mało brakowało, żeby drugi festiwal się nie odbył. Na szczęście na Wybrzeżu »przechodziło« wiele zjawisk, które w innych regionach Polski z trudem torowały sobie drogę (...)”

Według Franciszka Walickiego, wówczas dziennikarza „Głosu Wybrzeża”, na salę koncertową wdarło się bez biletu około trzydziestu osób, chociaż – jak podkreślał – „obyło się to bez wyłamywania drzwi i tratowania bliźnich”

„I prawdą jest, że kilkunastu pijaków, którzy »urzędowali« w pobliskiej restauracji, a po wyjściu rozrabiali przed pawilonem, zostało zatrzymanych przez organa porządkowe – przyznawał w jednym z artykułów Walicki. – Ale wyciąganie z powyższych faktów wniosków bardziej ogólnych – o bikiniarskim charakterze festiwalu, o nieuniknionych powiązaniach jazzu z chuligaństwem i wódką – jest niesłuszne i głęboko krzywdzące”

– Na samej sali ekscesów wielkich nie było – zapewnia „Ptaszyn” –

W prasie czepiano się późniejszych ekscesów w kolejce trójmiejskiej, w różnych innych okolicznościach, które – nawet jeśli miały miejsce – na pewno nie miały nic wspólnego z festiwalem. Niewątpliwie była to sprawa podsycana tendencyjnie przez ludzi, którzy byli od początku wrogo nastawieni do festiwalu.

Niektórych partyjnych dziennikarzy rażą prowokacyjne nawiązania do komunistycznych rytuałów – szarf przodowników pracy czy pierwszomajowych transparentów – teraz promujących jazz. Denerwują ich także żywiołowe reakcje młodzieży podczas koncertów: wyrzucane w górę marynarki i swetry, bijące brawo dziewczęta w trzyczęściowych „piratkach” [barwnych skarpetach – red.], chłopcy obcięci na jeża, z wypuszczonymi ze spodni koszulami.

Szczególnie bezkompromisowo atakuje festiwal w swoich relacjach Zbigniew Zapert, dziennikarz „Expressu Wieczornego”. O towarzyszących jazzmanom dziewczętach pisze, że były „zupełnie obnażone”, a w relacji z koncertu grupy Dave’a Burmana dodaje, że „rozzuchwaleni awanturnicy zdierali z dziewcząt części garderoby”. W imieniu opinii publicznej domaga się „wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec niefrasobliwych organizatorów tej ponurej imprezy”.

I zakazu organizowania jej w przyszłości.

Zdaniem Stanisława Danielewicza, autora monumentalnego opracowania *Jazzowisko Trójmiasta*, Zapert mógł mieć osobiste powody, by odgrywać się na festiwalu. Podobno nie został przyjęty z honorami w biurze prasowym imprezy, a nawet go zlekceważono. Taką wersję wydarzeń lansował krakowski „Przekrój”. Faktem jest, że nie dostał karty wstępu na pierwszy koncert, co mogło spowodować, że w rewanżu nieco podkolorował niedociągnięcia organizatorów.

„Powiedzmy sobie otwarcie: festiwal sopocki był nie tylko imprezą muzyczną. Był również szczególnego rodzaju manifestacją młodzieży przeciwko długiemu okresowi »drętwej mowy«, przeciwko ponuractwu i doktrynerstwu, przeciwko metodom bezmyślnego prowadzenia za rękę i dławiącej zasadzie uszczęśliwiania ludzi wbrew ich woli (...)” – komentował odważnie już po zakończeniu festiwalu Franciszek Walicki w „Głosie Wybrzeża”.

Zachwycony jazzowym zapałem młodzieży był Stefan Kisielewski: „Tego krzepiącego obrazu nie zakłócą bynajmniej sporadyczne wyczyny chuliganów, zresztą stały ostatnio akompaniament wszelkich niemal wydarzeń w Polsce. Jeśli robak łązi po pięknym drzewie, to wina jest po stronie robaka – nie drzewa”.

A Czesi podszczypują

Jan „Ptaszyn” Wróblewski i Sekstet Komedy stają przed publicznością trzeciego dnia festiwalu, w środę 8 sierpnia o godzinie 20.

Zofia Komédowa-Trzcińska: „Przyjechali bardzo stremowani. Byli

debiutantami, smarkaczami w porównaniu z takimi wyjadaczami jak na przykład zespół Wicharego. W nocy przed koncertem Sekstetu długo, prawie do świtu, spacerowaliśmy po sopockim molo i zastanawialiśmy się, jak to wszystko się skończy... Zżerała nas trema. Przecież to pierwszy polski zespół jazzowy tworzący w stylu modern. Czy nie zanudzi słuchaczy?"

Na molo pociesza ich Jerzy Skolimowski, wtedy jeszcze student: – Nic się nie martwicie! Ja jestem waszym pierwszym kibicem, ja wam zrobię superklakę. Nawet jak was będą wygwizdywać i rzucać w was pomidorami, cokolwiek się zdarzy, no... to wtedy patrzcie na mnie. Będę siedział na ziemi przed pierwszym rzędem i będę krzyczał: bis!

„Ptaszyn” Wróblewski. – Od tamtej pory nazywamy go kibicem.

„Trzeciego dnia festiwalu weszli czarno ubrani młodzi ludzie – relacjonował występ Sekstetu w tygodniku „Świat” Andrzej Mularczyk. – Inne zespoły – Kurylewicz, Wichary, Melomani – były już znane – o nich nie widziano nic prócz tego, że noszą nazwę Sekstet Komedy i są z Poznania. Oni również nie wiedzieli nic o publiczności: jaka jest, jak ich przyjmie? Dotychczas burze oklasków i żywiołowych gwizdów witały zespoły grające w stylu dixieland. Oni grali cool. Ale jak grali! Publiczność śpiewała im *Sto lat!*, a oni sami w czasie przerwy obejmowali się, wzruszeni tym przyjęciem”

Publiczność jest zachwycona wariacjami jazzowymi na temat Jana Sebastiana Bacha. Słuchaczom nie przeszkadza nawet półgodzinna wymuszona przerwa, w trakcie której zespół zмага się z awarią wysłużonego wibrafonu. Po występie nagradzają jazzmanów z Poznania burzą oklasków na stojąco.

„Przyjęto nas entuzjastycznie, wypadliśmy znakomicie” – wspominała Zofia Komedowa-Trzcńska. Kiedy następnego dnia na molo Komedę otaczają fani, prosząc o autografy, jest wyraźnie zaskoczony.

– Cii... Podpisuj, przecież jesteście jazzmanami – podpowiada mu szeptem Skolimowski.

Niebawem wyruszy z Sekstetem w trasę po Polsce, choć grać nie potrafi.

– Jak nas przyjęto w Sopocie? – Jan „Ptaszyn” Wróblewski zawiesza na moment głos. – Pamiętam, że konferansjer zapowiedział nas w ten sposób, że nasz zespół reprezentuje muzykę „wyłącznie dla koneserów”

Po takiej zapowiedzi dobre przyjęcie było gwarantowane – odpowiada skromnie.



Jan „Ptaszyn” Wróblewski i Sekstet Komedy stają przed publicznością trzeciego dnia festiwalu, w środę 8 sierpnia o ósmej wieczorem

Chcąc nie chcąc przyznaje, że Sekstet Komedy został okrzyknięty nieformalnym zwycięzcą festiwalu. – Trzeba dodać, że istniała taka zasada, że każdy zespół gra przez część występu jazz tradycyjny, a część – nowoczesny. A Krzysztof to przełamał. Recenzje? Słuchając dzisiaj tego, co tam graliśmy, uznaję, że były ponad miarę.

Wrześniowy numer „Jazzu” nazywa Sekstet Komedy „największą sensacją festiwalu”. „Bezpretensjonalność, skromność, powaga i skupienie przy grze zjednały mu sympatię widzów... Składem, stylem, repertuarem Komeda zapoczątkował nowy okres rozwoju jazzu w Polsce”.

„Na tle dixielandowych szaleństw konkurencji było to coś całkiem odmiennego. Bez błyskotliwych feerii, efekciarskich popisów i porywających solówek. Jazzowy spektakl, jaki zaprezentowali komedyści, miał za to w sobie klasę i wewnętrzną temperaturę, która podbiła serca licznie zgromadzonej publiczności. Postawili na trudną muzykę, nie robiąc na scenie niczego »pod publiczność«” – ocenia Marek Hendrykowski.

Po koncercie trudno się dostać do szczęśliwych komedystów. Otacza ich zwarty tłum młodych entuzjastów.

Sekstet z Poznania zauważa też Stefan Kisielewski: „Najbardziej uderzającym zjawiskiem festiwalu był olbrzymi sukces poznańskiego zespołu Komedy. Gra on wyłącznie jazz trudny, nowoczesny, ascetyczny, wzorujący się zarówno w składzie zespołu (...), jak i w polifonicznym stylu na słynnym zespole Gerry Mulligana i na Modern Jazz Quartet” – ocenia „Kisiel” na łamach „Ruchu Muzycznego”.

Antoni Zambrowski, młody komunista, który latem 1956 roku wrócił do Polski po studiach w Moskwie, ogląda z żoną Rosjanką koncert „All Stars” festiwalu 11 sierpnia. „Byliśmy też z Nelą na pierwszym jawnym Festiwalu Jazzowym, odbywającym się w Operze Leśnej w Sopocie, wypełnionej tłumami młodzieży w chwilach ekstazy powiewającej marynarkami – wspominał. – Oglądaliśmy również, stojąc w tłumie, pierwsze od wielu lat wybory Miss piękności [12 sierpnia na molo – red.]. Wielotysięczne tłumy pełne ekscytacji oglądały przechadzające się po dachu niedużego budynku ubrane w stroje kąpielowe kandydatki. Tłum usiłował

narzucić swe oceny członkom jury i nawet w tak błahej sprawie czuło się destrukcyjne skutki wieloletniego braku demokracji”.

Ponowny występ grupy Komedy 11 sierpnia w Operze Leśnej potwierdza sukces Trzcíńskiego, Wróblewskiego i całego zespołu. Poznaniacy zostają nieoficjalnie uznani za najlepszy zespół festiwalu. Komeda staje się znany w całej Polsce, a Sopot to przełomowy punkt w jego karierze muzycznej. O muzyce Komedy i jego grupy piszą niemal wszystkie gazety – od „Trybuny Ludu” po „Tygodnik Powszechny”.

Bez litości dla polskich grup jazzowych poziom imprezy opisał jesienią 1956 roku w miesięczniku „Jazz” Kamil Hála, kierownik czeskiego zespołu uczestniczącego w sopockim festiwalu. To, co grały polskie grupy, nazwał „niedoskonałymi kopiami, naśladowującymi nieudolnie wielkie wzory”. Oberwało się też rewelacji festiwalu – Sekstetowi Komedy: „Basista starał się wykonać na kontrabasie techniczne pasaże i mimo że jest studentem konserwatorium, zagrał je bardzo fałszywie. Perkusista w każdym utworze co najmniej raz wypadł z rytmu, a alt i baryton nie mają najmniejszego pojęcia o nowoczesnym graniu i dźwięku, nie wspominając już o trudnościach rytmicznych. (...) Ponieważ są to młodzi chłopcy i do tego bardzo zdolni, dobrze byłoby, żeby zmienili sposób gry”.

Jan „Ptaszyn” Wróblewski zapamiętał złośliwości Czechów. – Wiem, gdzie tkwiła ich przyczyna: Czesi zostali źle przyjęci przez publiczność. Bo oni poszli takim przebojowym, mniej ambitnym nurtem i to się ludziom nie spodobało. W związku z tym w zemście Czesi skrytykowali nas – uważa muzyk.

Ale Hála raczej nie był złośliwy. Z niedoskonałości warsztatu polskich grup zdawali sobie sprawę także ówcześni znawcy jazzu. Kisielewski uspokajał: „Oczywiście – są to dopiero początki. Niejednemu muzykowi festiwalowemu brak techniki czy też pomysłowości wariacyjnej, niejedna improwizacja trąci schematem i robi wrażenie uprzednio przygotowanej, skostniałej. (...) Ale uchwycony został trafnie styl, rodzaj, gatunek (...). Zaś ogromny zapał zarówno publiczności, jak i wykonawców pozwala patrzeć optymistycznie w polską »jazzową przyszłość«”.

Po festiwalu i wielu przetasowaniach w składach zespoły znane już

z Sopotu wyruszają w trasy koncertowe organizowane przez wojewódzkie Estrady. Nagle okazuje się bowiem, że na jazzie można dobrze zarobić.

Jesienią 1956 roku Sekstet Komedy daje koncerty m.in. w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Gorzowie Wielkopolskim, Szczecinie, Krakowie, Koszalinie, Słupsku, Szczecinku, Toruniu, Kaliszu i Ostrowie Wielkopolskim. Jednak zespół nadal gra i ćwiczy na wypożyczanych instrumentach, w wynajmowanych przygodnie salach.

– Z tymi trasami koncertowymi wcale tak różowo nie było – prostuje „Ptaszyn”. – My mieliśmy tylko jedną. Drugą miał chyba zespół Wicharego, oceniany wtedy jako bardzo komercyjny, wdzięczący się do publiczności. Pozostałe zespoły miały te same trudności, żadnych wielkich tras wtedy nie odbyliśmy.

W listopadzie 1956 roku dach nad głową oferuje Sekstetowi Komedy Poznańska Rozgłośnia Polskiego Radia. W studiu nr 1 zespół ma do dyspozycji nie tylko fortepian, ale w ogóle profesjonalne warunki do pracy. Dostaje również ofertę nagrań. Od listopada 1956 roku do grudnia roku następnego w willi przy ul. Berwińskiego Sekstet Komedy odbędzie aż dziewięć sesji nagraniowych, rejestrując czterdzieści jeden utworów.

Festiwal jak „Solidarność”

Stanisław Danielewicz, autor książki o historii jazzu w Trójmieście, przyrównał znaczenie pierwszego festiwalu jazzowego w Sopocie w 1956 roku do „festiwalu Solidarności” w roku 1981:

„Nagle nieznajomi w sopockim »pochodzie orleańskim« poczuli się nadspodziewanie blisko siebie, powszechnie znienawidzone komunistyczne rytuały zostały – bezkarnie! – obnażone i wyśmiane, jazz zaś i taneczne boogie-woogie, symbole wolnego świata, cieszyły uszy i serca tysięcy słuchaczy. Okazało się, że totalitarna władza, dotychczas kontrolująca każdego i wszystkich, nie jest w stanie zapanować nad tłumem wyrażającym swoje emocje. Milicja była bezradna wobec tysięcy młodych ludzi, którzy nocowali pod gołym niebem i zaniedbywali obowiązek meldunkowy. Żaden urząd nie był w stanie zameldować trzydziestu tysięcy

osób, nawet gdyby te osoby zechciały się w tym celu ustawić w kolejce (a nie chciały)”.

– Wcześniej, już w 1954 roku w Warszawie, zdarzały się pojedyncze imprezy jazzowe, ale nigdy wcześniej nie było festiwalu. W 1955 roku koncerty odbywały się coraz częściej. Zasługą festiwalu w Sopocie było to, że on zablokował sytuację: nie dało się już zakazać jazzu. A poza tym festiwal ustabilizował pewne pojęcia: które zespoły są naprawdę jazzowe, a które takie udają. Do jazzu liczone bowiem wcześniej wszystko, co popadło, także muzykę taneczną. Władze zresztą też nie miały pojęcia, czym ten jazz jest – ocenia Jan „Ptaszyn” Wróblewski. I dodaje: – Festiwal odegrał ważną rolę w nurcie demokratyzacji kraju. To był mocny akcent, bo wróciły i książki, i filmy, wreszcie również muzyka. To było wydarzenie porównywalne z Warszawską Jesienią, która też wystartowała w 1956 roku.

Wróblewski przyznaje, że festiwal w Sopocie był dla niego jazzowym debiutem: – Mimo że grałem już przez cztery lata, tyle że muzykę taneczną.

„Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej to niejako start naszego wreszcie nieskrępowanego, swobodnego »życia jazzowego«” – podsumowywał na gorąco, w 1956 roku, na łamach „Głosu Wybrzeża” Stefan Kisielewski.

Jak policzył Krystian Brodacki, po festiwalu w polskiej prasie ukazało się około dwustu artykułów na jego temat, ostatecznie przełamując barierę w pisaniu o jazzie. „Sztandar Młodych” uruchomił stałą rubrykę poświęconą tej muzyce, pisał o niej w „Przekroju” Lucjan Kydryński, a Polskie Radio co dwa tygodnie nadawało w Programie I nagrania zespołu Komedy. Aż w końcu 21 grudnia 1956 roku na falach Polskiego Radia zagościł na stałe cykl audycji *To jest jazz*, prowadzonych przez Leopolda Tyrmanda.

Muzycy mieli też w końcu gdzie grać. W Polsce mnożyły się kluby jazzowe. Najważniejsze powstały w Krakowie (Krakowski Jazz Club znalazł gościnę w Yacht Clubie Ligi Przyjaciół Żołnierza), Warszawie (w baraku przy ul. Emilii Plater, gdzie w kwietniu 1956 roku zaczął działalność Klub Studentów Politechniki Warszawskiej „Stodoła”), a także w Zabrzu (Śląski Jazz Club) i Poznaniu (Jazz-Club Poznań, założony w październiku 1956 roku).

W lipcu 1957 roku w Sopocie (a de facto w Gdańsku) wystartował drugi

już krajowy festiwal jazzowy. Sekstet Komedy znowu tam zagrał, jednak w tym samym roku grupa Komedy rozpadła się. – Nas, jazzmanów, było wtedy w Polsce niewielu. I w prawie każdym zespole byli jacyś muzycy towarzyszący, którzy nie potrafili improwizować. Na krakowskich Zaduszkach w roku 1957 roku skrzyknęła się garstka tych najlepszych, którzy postanowili stworzyć zespół, w którym nie będzie słabego punktu. Poszliśmy tam z Trzczińskim – opowiada „Ptaszyn”.

Porzucił więc Poznań dla Krakowa, wówczas stolicy polskiego jazzu. A w 1958 roku przecierał szlaki polskim jazzmanom w Ameryce – na saksofonie tenorowym zagrał razem z International Newport Youth Band. Akompaniował samemu Louisowi Armstrongowi. Dostał nawet autograf, ale mu go skradziono.

– Wyjazd do Newport otworzył mi wiele możliwości, ale czy on był najważniejszy w mojej karierze? Ciągłe jeszcze wtedy raczkowaliśmy, uczyliśmy się jazzu – przyznaje dziś Wróblewski. – Muzycznie dobrze zaczęło się w Polsce dziać dopiero w 1960, 1961 roku. Graliśmy wtedy dużo lepiej niż w Sopocie, ale nadal nie miało to porównania ze skalą europejską.

Jazz a Gomułka

A co na to Gomułka?

– Musiał nas słuchać, bo kiedyś graliśmy u niego na jakiejś uroczystości państwowej. Mój Boże, co to było? – zastanawia się „Ptaszyn”. – Chyba jakieś dożynki, ale w którym roku? Już nie pamiętam. To mogło być na początku lat sześćdziesiątych... Ale chociaż Gomułka powiedział kiedyś, że Polska utopiła socjalizm w jazzie i czarnej kawie, to trzeba przyznać, że nie mścił się na jazzie. Po prostu uznał, że on w Polsce jest – i trudno.

– A może uznał, że jazz mu sprzyja? Bo to dowód, że w Polsce jest wolność? – dopytuję.

– I tak, i nie. Myślę, że od czasów Gomułki w Polsce jednak wolno było znacznie więcej niż wcześniej. Trudno porównać te dwa okresy. To, co było przed Gomułką, to był taki zamordyzm, o którym już nigdy później nie było mowy, również pod względem kulturalnym. Gomułka na pewno nie

był wielbicielem kultury zachodniej, ale jej nie przeszkadzał, trzeba mu to przyznać. Zresztą następni władcy PRL również.

„Lata 1955–1956 były okresem walki o szerokie swobody w kulturze, zakończonej zresztą pełnym sukcesem – wspominał Leopold Tyrmand w 1967 roku. – Jazz odegrał wówczas rolę pierwszoplanową, był – obok teatru, filmu, malarstwa i poezji – głównym orężem w boju. Każda impreza jazzowa była okazją do manifestacji na rzecz tych swobód, uruchamiała też masy młodzieży”.

Za sprawą m.in. Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego jazz ma się w Polsce dobrze także dzisiaj. Ten mistrz saksofonu mówił niedawno w programie *Muzyczny kram*: – Około roku 1955, kiedy jazz pojawił się jako zjawisko oficjalne, sytuacja wyglądała tak: muzycy jeszcze nie umieli grać, ale już byli wielkimi muzykami. Natomiast dzisiaj muzycy potrafią grać wspaniale, ale takimi bohaterami to już bardzo często nie są. Przynajmniej w postrzeganiu mediów, które nie wiem dlaczego od dłuższego czasu uznają, że jazzu w Polsce już nikt nie słucha. Jeżdżę po dziesiątkach koncertów i wszędzie wydaje mi się, że jest zupełnie odwrotnie.

Wrzesień 1956

ZBRODNIIE BALONOWE

Od szeregu miesięcy wypuszczane są z terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej do obszaru powietrznego Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej balony obciążone ulotkami tzw. Wolnej Europy. Rząd PRL zwracał już uwagę w notach do Rządu USA na te niedopuszczalne praktyki, wskazując, że są one sprzeczne z podstawowymi zasadami prawa międzynarodowego i zagrażają bezpieczeństwu żeglugi powietrznej w Polsce oraz bezpieczeństwu życia i mienia obywateli polskich. (...)

Z początkiem sierpnia roku bieżącego wzmogło się znacznie nasilenie akcji wypuszczania balonów z terytorium NRF (...). Dnia 3 sierpnia br. o godzinie 8.37 w okolicy Sochaczewa samolot odrzutowy UTiMIG-15, odbywający normalny lot ćwiczebny, spadł, rozbijając się o ziemię: 2 piloci, kapitan Roman Lachcik i podporucznik Józef Raże, ponieśli śmierć.

Jak ustaliło skrupulatne badanie przyczyn katastrofy, runięcie samolotu UTiMIG-15 nastąpiło w wyniku zderzenia z balonem, napełnionym wodorem i obciążonym ulotkami. (...)

Nie ulega wątpliwości, że odpowiedzialność za tragiczny wypadek w dniu 3 sierpnia (...) ponosi Rząd NRF wraz z Rządem USA. (...)

„Trybuna Ludu”, 7 września 1956

CHAUSSON DLA WARSZAWY

Centrala Handlu Zagranicznego Motoimport zawarła z francuską firmą samochodową Chausson kontrakt na zakup 80 autobusów za sumę 300 tys. dolarów. Transakcja ta zawarta została na zasadach 4-letniego kredytu, przy czym należności za autobusy spłacane częściowo będą dostawami naszych obrabiarek i kryształów. (...) Zakupione autobusy Chausson przeznaczone

będą dla Warszawy. Po wprowadzeniu tych samochodów do komunikacji stolica posiadać będzie łącznie ok. 400 autobusów.

„Trybuna Ludu”, 13 września 1956

CIEPŁE SŁOWA RADZIECKICH BUDOWNICZYCH

Minął rok od dnia, w którym warszawski Pałac Kultury i Nauki otworzył podwoje dla mieszkańców stolicy, dla wszystkich ludzi w Polsce. Pałac stał się symbolem przyjaźni między naszymi krajami...

Nam, autorom projektu Pałacu, niezwykle przyjemność sprawia fakt, iż nasz twórczy wysiłek, włożony w tę budowlę, znalazł uznanie narodu polskiego. Nic tak nie zbliża ludzi, jak wspólna twórcza praca (...).

Podczas trzyletniej pracy przy budowie Pałacu dobrze zapoznaliśmy się z Polską i jej stolicą Warszawą. W naszych oczach rosło miasto, stawało się z każdym dniem coraz piękniejsze. Byliśmy świadkami przebudowy ulicy Marszałkowskiej, widzieliśmy podnoszące się z ruin Stare i Nowe Miasto, widzieliśmy setki nowych ulic, domów, Stadion Dziesięciolecia...

Warszawa, pieczołowicie chroniąca ocalone i odbudowane zabytki polskiej architektury, stanie się przepięknym nowym miastem, miastem zieleni, ogrodów, jasnych osiedli, miastem bez ruder i nędzy, miastem radości i szczęścia. (...)

Architekci, autorzy projektu warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki

Członek rzeczywisty Akademii Budownictwa i Architektury

– Lew Rudniew

Architekci

– Igor Rożyn

– Aleksander Chriakow.

„Trybuna Ludu”, 14 września 1956

„PARTYZANT” ZDECHŁ

Warszawskie zoo poniosło dużą stratę – zdechł jedyny w tym ogrodzie i będący jego wielką atrakcją – słoń „Partyzant”. Strata jest tym większa, że „Partyzant” zdechł w niespełna dwa miesiące po śmierci „Kasi”, a para

tych zwierząt była bardzo lubiana.

„Partyzant” liczył ponad 50 lat i ważył blisko 3 tony. Przybył on przed rokiem do Warszawskiego ZOO wprost z dżungli Wietnamu, jako podarunek od Wietnamskiej Armii Ludowej. Obecnie przeprowadzana jest sekcja, która ma ustalić przyczynę śmierci słonia.

„Trybuna Ludu”, 14 września 1956



DOŻYNKI, CZYLI CHŁOP POPIERA

Warszawa w ten dzień obudziła się wcześniej niż zwykle. Alejami Jerozolimskimi, prowadzącymi do Stadionu Dziesięciolecia, pędziły czerwone autobusy i sunęły długim sznurem tramwaje z niecodziennymi napisami na motorowych wozach: – Dożynki. (...)

Na trybunie honorowej zajmuje miejsce Gospodarz Dożynek, I Sekretarz Komitetu centralnego PZPR Edward Ochab. (...)

Wieniec, bogate, kolorowe, symbolizujące cały plon, cały urodzaj ziemi ojczyściej, zbliżają się do trybuny. Z grupy niosącej wieniec centralny występuje teraz chłop Eugeniusz Kaleta ze wsi Władysławów w pow. garwolińskim.

„W imieniu milionów chłopów polskich...” – padają pierwsze słowa jego przemówienia, w którym pozdrawia najwyższe władze naszego państwa ludowego i melduje, że chłop polscy, choć rok obecny nie był łatwy, nie oszczędzili trudu i ofiarności, aby dać dla kraju, dla całego narodu dostatek chleba, jak najobfitsze plony. (...) Mówiąc o licznych jeszcze trudnościach, jakie występują w życiu wsi, o złu, jakie jeszcze panuje, stwierdza on: „My, chłopie, widząc wysiłek Partii i Rządu zmierzający do naprawy poprzemy go rzetelnie... My członkowie Partii, ZSL-owcy i chłopie bezpartyjni nie zaniedbamy niczego, aby uchwały Partii zrealizować”

„Zielony Sztandar”, 16 września 1956



KASZA Z OPIŁKAMI

W stołecznych sklepach spożywczych nie ma w sprzedaży kaszy manny. Jaka jest przyczyna tego dotkliwego braku – zwłaszcza dla rodzin z małymi

dziećmi?

Otóż niedawno Warszawa została całkiem dobrze zaopatrzona w ten artykuł. Ale jak stwierdziła Państwowa Inspekcja Handlowa – kasza z ostatniego transportu, jaki nadszedł do stolicy, jest zanieczyszczona opiłkami żelaza.

Natychmiast po wykryciu zanieczyszczenia wstrzymano dostawy do sklepów. Kaszę mannę wycofano również ze sklepów. Obecnie prowadzone jest dochodzenie, które ustali sprawców zniszczenia dużej ilości poszukiwanego i cennego artykułu spożywczego.

Ministerstwo Handlu Wewnętrznego oraz Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego powinny dołożyć starań, by jak najszybciej dotarł do Warszawy nowy transport na zaspokojenie choćby najpilniejszych potrzeb.

„Trybuna Ludu”, 18 września 1956

ZŁODZIEJE DZWONÓW

Organa Milicji Obywatelskiej w Szczecinie ujęły złodziei, którzy z kościołów w kilku miejscowościach województwa szczecińskiego kradli dzwony. Dobrana spółka złodziejska – Antoni Kasprzak z Klęskowa oraz Józef Łukaszewski ze Szczecina – dokonała kradzieży dzwonu w kościele parafialnym w Niemicy, pow. Kamień, w zabytkowej katedrze wolińskiej oraz w kościółku w PGR Koszewo, pow. Stargard.

Wartość dzwonów, wagi 500–600 kg każdy, oceniana jest na ponad 100 tys. złotych. Nie zostały one jeszcze sprzedane przez złodziei i zwrócone będą kościołom. Jak stwierdza Komenda Miasta MO w Szczecinie, dzwony kradzione były nocą przy pomocy dźwigów samochodowych.

„Trybuna Ludu”, 19 września 1956

PIERWSZE PROCESY ZA POZNAŃ

Poznań (obsł. wł.). Jak podawaliśmy, w czwartek 27 bm. przed Sądem Wojewódzkim w Poznaniu rozpoczynają się dwie rozprawy przeciwko osobom, oskarżonym o popełnienie ciężkich przestępstw w czasie czerwcowych wydarzeń poznańskich. Na ławie oskarżonych zasiądą ludzie,

którym akt oskarżenia zarzuca, że wykorzystując sytuację wytworzoną przez strajk i manifestację robotniczą 28 czerwca br. dopuszczali się zbrojnych napadów na pracowników bezpieczeństwa i żołnierzy, atakowali gmachy publiczne i rabowali sklepy.

Wbrew pogłoskom rozpowszechnionym przez zagraniczne radio – Prokuratura Poznańska pociągnęła do odpowiedzialności sądowej nie robotników, którzy uczestniczyli w strajku i manifestacji, lecz ludzi, którzy tragiczne wypadki poznańskie wykorzystali w zbrodniczych celach. (...)

„Trybuna Ludu”, 28 września 1956



ROZRACHUNEK Z KACYKAMI

W ostatnim czasie w kilkunastu gromadach woj. wrocławskiego odwołano z zajmowanych stanowisk nie wywiązujących się należycie ze swych obowiązków członków prezydiów rad narodowych.

M.in. w gromadzie Bolesławów, pow. Bystrzyca Kłodzka, odwołany został ze stanowiska przewodniczącego GRN Bolesław Czereucho. Sprawami wsi interesował się on tylko wtedy, gdy przynosiło mu to natychmiastowe korzyści. Państwowym funduszem ziemi gospodarował w ten sposób, jakby to była jego własność. Ziemie dzierżawili tylko jego krewni i znajomi, naturalnie po uiszczeniu odpowiedniego wynagrodzenia, które szło do kieszeni przewodniczącego.

Za łamanie praworządności został również odwołany ze stanowiska zastępcy przewodniczącego Prezydium MRN w Kowarach pow. Jelenia Góra Bolesław Bzdiona. B. Bzdiona przestał w ogóle pracować w aparacie rad narodowych. Znalazł on zatrudnienie jako pracownik kopalni.

„Zielony Sztandar”, 30 września 1956

„Wiesław”, towarzysz z odchyleniem

W sypialni Ryszarda Strzeleckiego-Gomułki nad łóżkiem wisi wielki portret jego ojca – Władysława Gomułki.

Były I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w eleganckim błękitnym garniturze, w pozie męża stanu. Skronie ma przyprószone siwizną, spogląda przed siebie z ufnością i powagą.

– Obraz powstał, gdy ojciec był już na emeryturze. Nie pamiętam już, kto go malował. Zdaje się, że malarz korzystał ze zdjęcia.

– Na pewno – potwierdza Hanna Strzelecka-Gomułka, wnuczka towarzysza „Wiesława” – Dziadek nie zgodziłby się na długie pozowanie.

Dwupiętrowy dom położony w pięknym, zielonym otoczeniu parku Marszałka Rydza-Śmigłego to jeden z dwóch budynków wzniesionych w czasach PRL przez Urząd Rady Ministrów. Niby centrum Warszawy, a zacisznie. Tu, na drugim piętrze, ostatnie lata życia spędził Władysław Gomułka. Dziś mieszka tutaj jego wnuczka, a mieszkanie dwa piętra niżej, na wysokim parterze, od 1964 roku zajmuje jego syn.



W sypialni Ryszarda Strzeleckiego-Gomułka nad łóżkiem wisi wielki portret jego ojca – Władysława Gomułka

Od więzienia do więzienia

Ryszard Strzelecki-Gomułka jest nieufny. – Żeby tylko ten tekst nie był antygomułkowski – zastrzega. Bo „na prostowaniu bzdur i kłamstw” na temat ojca stracił już ładnych parę lat. Jakich bzdur? A choćby takich, że towarzysz „Wiesław” rzucał kapciami w telewizor, gdy na ekranie pojawiał się Kabaret Starszych Panów albo Kalina Jędrusik, uważana przez Gomułkę za symbol wyuzdania.

– To niemożliwe – wyjaśnia syn „Wiesława” – choćby dlatego, że ojciec oglądał telewizję tylko przy kolacji, a potem szedł do swojego pokoju pracować, przeglądać dokumenty. A poza tym nie chodził po domu w kapciach, tylko w specjalnym obuwiu. Musiał je nosić po postrzeleniu go w lewą nogę w latach trzydziestych przez policjanta, bo kość źle mu się zrosła.

Hanna Strzelecka-Gomułka, córka Ryszarda: – Ojciec jest bardzo dumny z dziadka. Zawsze gdy ukazuje się jakiś artykuł, broni jego dobrego imienia.

Ryszard jest synem Władysława Gomułki i Zofii z domu Szoken, Żydówki. Z dzieciństwa pamięta ojca tylko z dwóch sytuacji: na ławie oskarżonych w sądzie w Katowicach, a potem za kratami w więzieniu w Sieradzu.

Urodzony w 1930 roku, a potem ochrzczony przez babcię Kunegundę Gomułkę, u której się wychowywał, pod Krosnem. Rodzice, komuniści, którzy siedzieli już wtedy w więzieniach, nie spodziewali się, że Kunegunda zrobi coś takiego. Po co dziecku komunistów i synowi Żydówki chrzest?

– Przed wojną dziecko nieochrzczone lub nieobrzezane nie istniało w rejestrach, bo wtedy funkcje urzędów stanu cywilnego pełniły biura parafialne. Babcia zdecydowała więc, że Ryszard zostanie jednak ochrzczony, żeby nie miał problemów w szkole i w życiu. Cała wieś wiedziała, że to dziecko Żydówki, ale chłopiec przetrwał okupację na tej podkarpackiej wsi, włos mu z głowy nie spadł. Bo został ochrzczony – opowiada profesor Andrzej Werblan, biograf Władysława Gomułki i jego bliski znajomy.

W 1956 roku Ryszard Strzelecki, członek Związku Walki Młodych, jest już po studiach na Politechnice Warszawskiej i pracuje jako inżynier przy montażu instalacji elektrycznych oraz w biurze projektów Komisji Planowania.

Rodzina ma za sobą burzliwy czas.

W sierpniu 1951 roku spędzający wakacje w Krynicy rodzice zostają aresztowani przez bezpiekę. Ojciec trafia do specjalnej willi Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Miedzeszynie, a mieszkanie Gomułków dwa razy przeszukuje bezpieka. Ich rzeczy zostają zarekwirowane, mieszkanie opieczętowane, potem przekazane innemu lokatorowi.

Syn Gomułków musi zamieszkać w kawalerce na ulicy Poznańskiej, w jednym pokoju z małą łazienką.

Już od gimnazjum im. Tadeusza Reytana, a więc od końca lat czterdziestych, nosi nazwisko Strzelecki. Wybiera je sam. – Nazwisko polityka krępuje. Nie chciałem takiego życia. Nie wiem, czy w 1951 roku moje otoczenie wiedziało, kim jestem. Ale nie przypominam sobie, bym z powodu uwięzienia rodziców miał jakieś nieprzyjemności ze strony

znajomych. Gestów solidarności też zresztą nie było. Ale zawsze ktoś za mną chodził.



Rodzina Gomułków. Od lewej: Kunegunda Gomułka, matka Władysława Gomułka, Ludwika, siostra Władysława Gomułka (górny rząd), Władysław Gomułka (w środku), Ryszard Strzelecki-Gomułka, syn (górny rząd), i Zofia Gomułka, żona tow. „Wiesława”

Oficjalnie Władysław Gomułka został aresztowany, bo ministerstwo miało rzekomo informacje o planach jego ucieczki bądź uprowadzenia go na Zachód, co z kolei miało doprowadzić do podziałów w PZPR.

Od początku jednak było wiadomo, że chodzi o pokazowy proces.

Oficerowie zeznający w procesie generała Stanisława Tatara i trzech innych generałów oskarżonych w 1951 roku o szpiegostwo mieli mówić, że Gomułka stał na czele grupy cywilnej, która wraz ze spiskowcami w wojsku chciała obalić ustrój w Polsce.

Śledztwo wobec Gomułki osobiście nadzoruje Bierut. Podpowiada różne rozwiązania, wyznacza kierunek. „Zadaniem śledztwa jest w pierwszym

rzędzie ujawnić wrogą działalność Gomułki, wszystko – głównie jej przejawy, cele i motyw, powiązania etc.” – notuje w trakcie śledztwa szef PZPR.

Ryszard Strzelecki-Gomułka nie ma wątpliwości: – Wiedziałem, że ojciec został aresztowany, bo sprzeciwił się Stalinowi jeśli chodzi o politykę międzynarodową.

Gomułka nie chciał stworzenia Kominformu, czyli biura informacyjnego partii komunistycznych. Obawiał się tego, co działo się przed wojną – sterowania partiami komunistycznymi bezpośrednio z Moskwy.

Syn czyta gazety, w których roi się od określeń typu „gomułkowszczyzna”, i czeka na proces ojca. Procesu jednak nie ma. Pisze do ojca listy, które – jak mówią – cenzurował sam Bierut. Ojciec mu odpisuje: zarzuty wobec mnie to nieprawda.

Syn jest pełen najgorszych przeczuć.

Gdy rodzice siedzą w więzieniu, żeni się z Ludmiłą Białowąs. W roli świadków: siostra żony i jej narzeczony. – To było dla mnie przykre, że nie mogłem zaprosić na ślub rodziców. Ojciec poznał moją żonę dopiero po wyjściu z więzienia.

Powrót rodziców

– Doskonale pamiętam powrót mamy z więzienia latem 1954 roku do naszego pokoiku na Poznańskiej. W grudniu 1954 roku przyszedł ktoś z Urzędu Bezpieczeństwa i powiedział, że ojciec jest w szpitalu. Pojechaliśmy do niego, leżał w łóżku.

„U ojca nastąpiła martwica mięśni nóg, co uniemożliwiło mu chodzenie. W nie najlepszym stanie był również jego system nerwowy” – opowiada w swych opublikowanych w postaci książki wspomnieniach *Między realizmem a utopią. Władysław Gomułka we wspomnieniach syna* Ryszard Strzelecki-Gomułka.

Władysław Gomułka wraca do rodziny na Boże Narodzenie 1954 roku.

– Święta obchodziliśmy tradycyjnie, z opłatkami. Ale tamte święta jakoś wymazały mi się z pamięci – przyznaje syn „Wiesława”

Profesor Werblan zapamiętał, że choć Gomułka był niewierzący, Boże Narodzenie w rodzinnym gronie miało dla niego duże znaczenie. Nie tylko w 1954 roku, gdy opuścił więzienie.

O uwolnieniu Gomułki decyduje Biuro Polityczne KC PZPR. Jeszcze w styczniu 1955 roku kierownictwo partii uchyla się jednak od odpowiedzi, co dalej z „Wiesławem”.

W 1955 roku Gomułkowie dostają trzypokojowe mieszkanie na Saskiej Kępie. Leczą się na koszt państwa, Władysław Gomułka ma bowiem zszargane nerwy. W tym samym budynku, w mieszkaniu obok, mieszka Ryszard z żoną. Obok nich – samotny mężczyzna, prawdopodobnie tajniak z bezpieczeństwa.

Ryszard i żona zauważają, że „Wiesława” zaczynają odwiedzać partyjni koledzy – Ignacy Loga-Sowiński i Zenon Kliszko, którym Gomułkowie pomagają redagować wnioski o rehabilitację i zadośćuczynienie. Gdy „Wiesław” słucha relacji o brutalnym śledztwie, jakiemu poddano brata generała Grzegorza Korczyńskiego, Jerzego, wybucha: – O takich sprawach należy pisać w gazetach!

Strzelecki-Gomułka nie przypomina sobie jednak, by jego ojciec dzielił się z rodziną wspomnieniami z więzienia w Miedzeszynie. – Wydaje mi się, że mówił tylko o samym śledztwie, o stawianych mu zarzutach. Ale był zadowolony, że ten zły czas się skończył. W politycznych dyskusjach ojciec krytykował poprzedni okres. Dominowało przekonanie, że nastąpi odcięcie się od stalinizmu.

Na Saskiej Kępie Ryszard chodzi z ojcem na spacery do parku Skaryszewskiego. – Tam czasami podchodzili do ojca jacyś obcy ludzie, witali się, krótko rozmawiali.

„Wiesław” lubi spacerować po parku z Misiem, psem rasy chow-chow podarowanym mu w 1955 roku przez znajomego lekarza.

UB wciąż go śledzi i prawdopodobnie podsłuchuje – choć ubecy skarżą się swym szefom, że nie mogą założyć podsłuchu telefonicznego. Powód? Gomułka nie ma telefonu.

W wolnych chwilach pisze krótkie fraszki, rodzaj komentarza politycznego do bieżących wydarzeń. Kilka z nich odnosi się do XX Zjazdu KPZR i krytyki

Stalina. Jak choćby ta: „Gdy »słoneczko« zgasło i nastąpił mrok, piewcy jego blasku odzyskali wzrok”

Między frakcjami

Gdy 12 marca 1956 roku w Moskwie umiera Bolesław Bierut, po Warszawie zaczynają krążyć plotki o zabójstwie towarzysza „Tomasza”. Albo o tym, że były I sekretarz PZPR „przejął się śmiertelnie” wnioskami z XX Zjazdu KPZR, podczas którego Nikita Chruszczow oskarżył Stalina o wypaczenia, zbrodnie i kult jednostki.

W Polsce Ludowej obowiązuje jednak ciągle stara wykładnia. Co prawda cichną oskarżenia pod adresem Gomułki o spiskowanie, ale na łamach „Trybuny Ludu” sekretarz KC Jerzy Morawski podtrzymuje tezę o „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym” w partii.

Gomułka wysyła do redakcji polemikę. „Przypuszczam, że »Trybuna Ludu«, która w przeszłości niejednokrotnie umieszczała skierowane przeciwko mnie artykuły pełne kłamstw, fałszerstw, oszczerstw i brudnych insynuacji, będzie uważała obecnie za obowiązek podać powyższe oświadczenie do publicznej wiadomości” – puentuje.

Ale gazeta ignoruje pismo towarzysza „Wiesława”

W kwietniu 1956 roku nowy szef PZPR Edward Ochab przemawia do partyjnego aktywu stolicy, po raz pierwszy informując o zwolnieniu Gomułki z aresztu i oczyszczeniu go z zarzutów „wrogiej i dywersyjnej działalności”. Nadal jednak krytykuje „gomułkowszczyznę”: „W słuszne pojęcia polskiej drogi do socjalizmu usiłował on [Gomułka – red.] włożyć obcą treść, oznaczającą w istocie rzeczy rezygnację z rozwoju socjalistycznego budownictwa w Polsce”



Gdy 12 marca 1956 roku w Moskwie umiera Bolesław Bierut, po Warszawie zaczynają krążyć plotki o zabójstwie towarzysza „Tomasza”

Dwaj wysłannicy PZPR przeprowadzają jednak z „Wiesławem” pierwszą rozmowę od chwili zwolnienia go z aresztu (takich rozmów będzie jeszcze

kilka).

Gomułka czuje się już mocny. Domaga się pełnej rehabilitacji i uznania, że złożona przez niego w 1948 roku samokrytyka była „wymuszona” i „przekreśliło ją życie”.

Choć władze partii nadal milczą, ostracyzm wobec „Wiesława” mija. Na Saską Kępę pielgrzymują coraz liczniej kolejni działacze partyjni, a w końcu i państwowi. W partii zaczyna się polityczna rozgrywka dwóch koterii, a Gomułka staje się cenny dla obu. Czuje się coraz pewniej.

O władzę w PZPR rywalizuje tzw. grupa natolińska, zachowawcza (nazwa pochodzi od pałacu w rządowym ośrodku w Natolinie) i reformatorscy „puławianie” (od domów przy ul. Puławskiej, w których mieszkają wysocy funkcjonariusze partyjni należący do tej grupy, m.in. Leon Kasman, Jerzy Albrecht, Roman Zambrowski).

„Natolińscy” – m.in. Aleksander Zawadzki, Zenon Nowak, Franciszek Jóźwiak i Wiktor Kłosiewicz – zdają sobie sprawę, że zmiany są nieuniknione. Chcą jednak, by nie naruszyły one podstaw systemu i dominacji ZSRR. Grają przy tym nutą antysemicką, wskazując na Żydów jako winnych „wypaczeń” w bezpieczeństwie. Określenie „Żydy” stosują też wobec swoich przeciwników z Puławskiej. „Natolin” ma pod kontrolą związki zawodowe, którymi rządzi Kłosiewicz, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych.

„Puławianie” – posiadający mocne poparcie w partyjnej prasie i wśród inteligencji, zwłaszcza młodej – są za głębszymi zmianami: złagodzeniem cenzury, poprawą zarządzania w gospodarce, demokratyzacją w szeregach PZPR.

Romanowi Zambrowskiemu, Władysławowi Matwinowi i Jerzemu Morawskiemu marzy się odnowa partii. Dla nich Zawadzki i spółka to „Chamy”.

Pomiędzy rywalizującymi frakcjami stoją I sekretarz Edward Ochab i premier Cyrankiewicz.

Ryszard Gomułka-Strzelecki wie o zabiegach o jego ojca, ale pamięta je jak przez mgłę, bo zna je głównie z rodzinnych opowieści. – Do ojca przychodziło coraz więcej ludzi, ale on nie identyfikował się z żadną z tych

grup. Niewątpliwie bliżej mu było do tych, którzy krytykowali poprzedni stan w państwie, ale żadnych gestów w stronę „puławian” sobie nie przypominam. W końcu wśród „puławian” było mnóstwo ludzi, którzy w poprzednich latach mocno go krytykowali. Często bywał u ojca generał Grzegorz Korczyński, który również był aresztowany. Przychodzili funkcjonariusze partyjni, zapraszali ojca na spotkania do Komitetu Centralnego.

W swoich wspomnieniach z 2003 roku syn Gomułki pisał: „Gości przyjmowano w największym pokoju, w którym dominował duży, owalny stół. Mogło przy nim zasiąść 8 osób. Matka częstowała herbatą i własnego wypieku ciastem. Odwiedzający relacjonowali i komentowali aktualne wydarzenia, mówili o nastrojach i oczekiwaniach poszczególnych środowisk. Ojciec uważnie słuchał tych rozmówców, zadawał pytania, starając się uzyskać możliwie najwięcej informacji. Zapamiętałem fragment rozmowy z odwiedzającym go historykiem (lato 1956), który argumentował, że kryzys polityczny można rozwiązać tylko przy pomocy nowego programu. »Cóż z ciebie za historyk – odpowiedział ojciec – obecnie nie pomoże już powielanie nowych programów, potrzebne są nowe twarze«”

Gomułka staje się nagle języczkiem u wagi walczących partyjnych frakcji. Odwiedza go m.in. Zenon Nowak, przedstawiciel „natolińczyków” „Ambasador radziecki zaprasza was na urlop do ZSRR” – przekazuje Gomułce.

„Gdyby towarzysz Chruszczow chciał ze mną rozmawiać, to niech przyjedzie do Warszawy. Chętnie z nim będę mówił, i to na każdy temat” – odpowiada mu „Wiesław”

Procesje i pielgrzymki

Profesor Andrzej Werblan, w 1956 roku kierownik Wydziału Propagandy w KC PZPR, poznał bliżej Gomułkę w październiku 1956. – Od tamtego czasu dobrze się z nim znałem. Był człowiekiem sympatycznym, rzeczowym i kulturalnym. Dobrze się nam rozmawiało.

W lecie 1956 roku Werblan, który wywodził się z PPS, sprzyjał

„puławianom” – Od znajomych i przyjaciół wiedziałem sporo o tych procesjach, które chodziły wtedy do Gomułki. Coraz bardziej zdawano sobie sprawę, że kryzys w Polsce po śmierci Bieruta jest nie do rozwiązania bez Gomułki. Partia była podzielona na frakcje, z których każda starała się Gomułkę pozyskać. Zresztą nie tylko frakcje chodziły w tych pielgrzymkach. Zaglądał do niego np. Osóbka-Morawski, który był wtedy poza partią, a usiłował wynegocjować coś dla byłych PPS-owców. Wszyscy spodziewali się, że Gomułka wróci do partii, tylko nie wiedzieli, kiedy i na jakie stanowisko.

Werblan uważał wówczas, że powrót do władz partii po prostu się Gomułce należy. – Za to, że został potraktowany wyjątkowo obrzydliwie i niesprawiedliwie po 1948 roku. Miał moralne prawo do powrotu. A poza tym stopniowo narastała legenda Gomułki jako człowieka, który przeciwstawił się Stalinowi.

Syn „Wiesława” uważa, że po wyjściu z więzienia ojciec miał silne poczucie krzywdy. – Ojciec nie zgadzał się na półśrodki, niepełną rehabilitację. Proponowali mu najpierw funkcję wicepremiera, ale to odrzucił – wspomina.

Partia ucieka do przodu

O Gomułce robi się jeszcze głośniejsze, gdy 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu wybuchają krwawe rewolty. Zbuntowani robotnicy, doprowadzeni do ostateczności pogarszającymi się warunkami życia, szturmują więzienie, a potem gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Biuro Polityczne rzuca przeciwko nim wojsko i czołgi. W walkach ginie pięćdziesiąt siedem osób, kilkaset zostaje rannych.

Ryszard Strzelecki-Gomułka mówi, że ojciec nie wierzył, że Poznań to dzieło „zachodnich imperialistów”. – Podchodził z dużym dystansem do oficjalnej propagandy. Dużo wtedy czytał – i prasę krajową, i emigracyjną, zwłaszcza paryską „Kulturę”, którą pożyczali mu znajomi. Prawdopodobnie słuchał też zachodniego radia, ale czy to była Wolna Europa, czy BBC World Service po polsku, tego nie wiem. Czytał też

„Po Prostu”, które było wtedy bojowym pismem. Zresztą później jeden z redaktorów tego tygodnika, Walery Namiotkiewicz, został osobistym sekretarzem ojca.

Gdy wojsko tłumi powstanie w Poznaniu, Antoni Alster, wiceszef Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, podczas spotkania decydentów partii i rządu informuje, że posiada informacje wskazujące na Gomułkę jako „inspiratora i organizatora” zajść. Chodzi o to, że jeden z ludzi Gomułki – Edwin Rozłubirski – miał się wcześniej spotkać z komendantem wojewódzkim MO w Poznaniu (w rzeczywistości złożył wizytę staremu przyjacielowi). Czasy są już jednak zdecydowanie inne: mimo zaciętych walk liderzy partii i rządu ignorują rewelacje bezpieczeństwa.

Lipiec 1956. W partii debatują nad przyczynami wybuchu w Poznaniu. Na razie dominuje pogląd, że to dzieło „imperialistycznych prowokatorów”. W kraju mnożą się jednak akcje poparcia dla robotników Poznania. Do władz partii dociera, że trzeba uciec do przodu.

„Nie ma innego wyjścia, jak tylko żeby przyszedł Gomułka” – mówi Stefan Staszewski podczas prywatnej rozmowy z I sekretarzem Ochabem.

„To wy zdrajcę chcecie sprowadzić!?” – jeży się Ochab.

Ale szef partii oswaja się już z tą myślą.

„Uważałem, że sprawę Gomułki trzeba załatwiać ostrożnie, powoli, wprowadzić jakieś hamulce, bo będzie ona zbyt wielkim wstrząsem dla partii. Mówiłem na Biurze Politycznym: trzeba stwierdzić z goryczą, uznać, żeśmy popełnili ciężki błąd, oskarżając Gomułkę o spisek antykomunistyczny, i należy mu to politycznie wynagrodzić” – wspominał Ochab w rozmowie z Teresą Torańską. „Po XX Zjeździe KPZR zupełnie było dla mnie jasne, kto ten »międzynarodowy spisek« organizował. Dalej zachowywałem swój pogląd na ideowe błędy tak zwanego odchylenia prawicowego, ale mówiłem: ta sprawa w dużym stopniu została przezwyciężona przez życie, a mając inne zmartwienia, nie powinniśmy dyskryminować Gomułki i przeszkadzać mu w powrocie do partii”.

Aby zachować twarz, w lipcu, podczas VII Plenum KC, Ochab wyraża nadzieję, że „po pełnym powrocie do zdrowia [Gomułka – red.] bardziej prawidłowo i samokrytycznie oceni swe błędne stanowisko z roku 1948”.

31 lipca Ochab, szef partii, i Aleksander Zawadzki, przewodniczący Rady Państwa, rozmawiają osobiście z Gomułką, po raz pierwszy od jego aresztowania. Nie chcą już wracać do sprawy „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” Gomułki i proszą, by i on do niej nie wracał. „Wiesław” się zgadza.

Ale konkretnej propozycji co do stanowiska Ochab Gomułce nie składa. Jeszcze myśli, że Gomułkę wystarczy zrobić członkiem KC, Biura Politycznego albo wicepremierem: „Niech dźwiga ten ciężar jakiś czas, a potem (...) zdecydowałoby się”.

Ryszard Strzelecki-Gomułka tej wizyty nie pamięta: – W ciągu dnia pracowałem, zachodziłem do rodziców od czasu do czasu wieczorem, więc o wszystkim nie wiedziałem. Wiedziałem tylko to, co ojciec potem komentował.

Zaproszenie na plenum

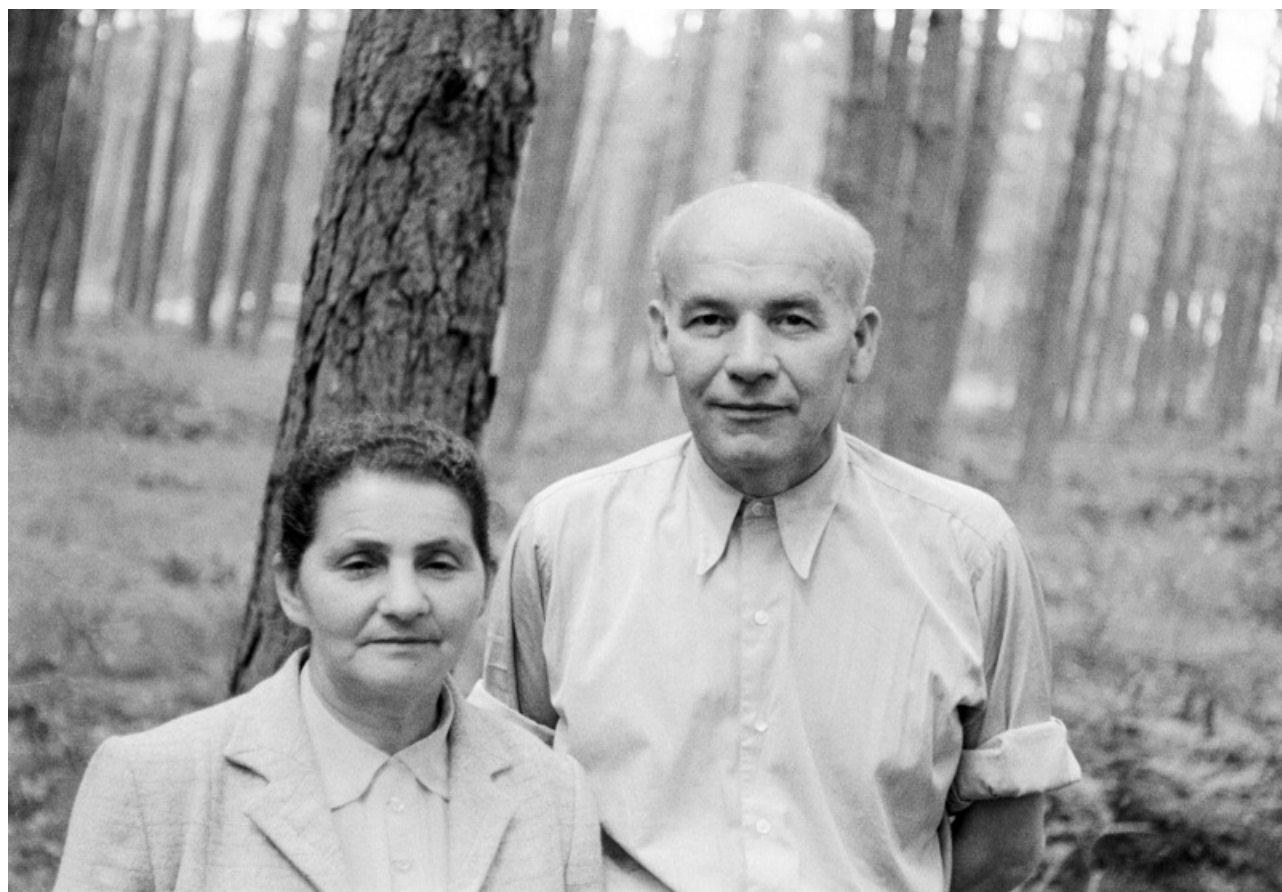
„Wiesław” wyjeżdża z żoną do Ciechocinka, ale i tam nie zaznaje spokoju. Po poznańskiej tragedii partia potrzebuje bowiem nowej twarzy, a „Wiesław” ma już legendę ofiary systemu.

Do sanatorium kursują więc kolejni aparatczycy obu partyjnych frakcji. „Nie widziałem go siedem lat. Coś ścisnęło mnie za gardło, gdy zobaczyłem, jak się postarzał. Wychudły, posiwiały. Te przeżycia siedmiu lat musiały go wiele kosztować” – wspominał Jerzy Morawski, lider „puławian”. „Zmienił się nie tylko wyglądem. To był inny Gomułka: życzliwy, otwarty. Gomułka, który słucha, wypytuje, a nie Gomułka, który z góry wie lepiej. Wtedy pomyślałem sobie, że to dobrze, bo to będzie lepszy Gomułka. (...) Sprawiał wrażenie człowieka, który zapomniał urazy, chce współdziałać z innymi. Sprawiał wrażenie, że mimo wszystkich przeżyć jest pełen sił, energii i ma otwartą głowę na wszystko, co się w Polsce dzieje. Należy się więc starać, by mógł wrócić. Nie byłem jeszcze świadomy tego, że jedyny możliwy powrót Gomułki to na stanowisko I sekretarza. Jeszcze tak nie myślałem i chyba nawet coś takiego mu powiedziałem, że chodzi nie o to, by wrócił sam, ale by stworzyć grupę, która będzie w stanie pociągnąć ten wózek,

bo jesteśmy w głębokim dole”

Polacy żyją plotkami o powrocie Gomułki. Wierzą, że skończy z zależnością Polski od ZSRR i naprawi gospodarkę.

„Naród nie chce bolszewizmu, nie chce sowietyzacji i kołchoizacji kraju. Chcemy iść własną, polską drogą, tak jak idzie Jugosławia i Jej Wódz Tito. Tow. Wiesław musi być zrehabilitowany i przywrócony do należnej mu czci i szacunku. Nie zasłonicie niewesołej sytuacji Kraju powodzą hasła, uroczystości, różnych imprez itp. Brakuje chleba, ludzie rozbijają się w ogonkach i biją za miejsce w nim. Ludzie są pomordowani nadmierną pracą w nieludzkich warunkach” – to tylko jeden z wielu anonimowych listów nadesłanych do redakcji „Trybuny Ludu”



„Wiesław” wyjeżdża z żoną do Ciechocinka, ale i tam nie znajduje spokoju. Po poznańskiej tragedii partia potrzebuje nowej twarzy, a „Wiesław” ma już legendę ofiary systemu

Do Gomułki jeździ też Roman Zambrowski. To on pod wpływem raportów o nastrojach Polaków wspólnie z premierem Cyrankiewiczem

przekonuje Ochaba, by ustąpił ze stanowiska I sekretarza i oddał je Gomułce.

– To po co wybraliście mnie na kilka miesięcy? – pyta z goryczą Ochab.

Ustępuje jednak ze stanowiska. Powrót Gomułki to dla niego problem moralny, bo w 1948 roku należał do mówców najostrzej atakujących „Wiesława” za prawicowe odchylenie. Ochab zdaje sobie jednak sprawę, że nie ma wyjścia. Na powrót Gomułki czeka cały naród.

Ryszard Strzelecki-Gomułka: – Ojciec był coraz bardziej zapracowany. Coraz częściej zapraszali go na rozmowy do KC. Dostawał różne materiały ekonomiczne, studiował dokumenty, coś pisał. Kontakt z rodziną był coraz słabszy, bo on był już zajęty tą perspektywą, że wróci do partii.

– Zdawał sobie sprawę, że plan sześcioletni nie wypalił?

– Tak. Ojciec krytykował go. Pamiętam, że kiedy jeden z dyskutantów zaproponował, żeby w nowym Biurze Politycznym pozostawić Hilarego Minca, to ojciec się sprzeciwił: „Przecież plan sześcioletni się zawalił, a Minc był za to odpowiedzialny!”. Ojciec miał też żal do Minca za to, że kiedy w 1948 roku próbował się sprzeciwić Stalinowi oraz powstaniu Kominformu i prosił znajomego francuski Minca, by zadbał o poparcie ze strony komunistów francuskich, ten mu odpowiedział: „Taki głupi to ja nie jestem”.

2 sierpnia 1956 roku (według innych źródeł 4 sierpnia) zwracają Gomułce legitymację partyjną. Ale „Wiesław” nie zamierza się kajać. 4 sierpnia o dwudziestej dzięki komunikatowi Polskiego Radia o powrocie Gomułki do partii dowiaduje się cały kraj.

2 października Biuro Polityczne partii robi decydujący krok: zaprasza Gomułkę na jedno z najbliższych posiedzeń. „Wiesław” ma wciągnąć się w prace przygotowujące kolejne plenum KC PZPR. Dziesięć dni później Gomułka, po raz pierwszy od siedmiu lat, uczestniczy w pracach kierownictwa partii.

„Sytuacja ekonomiczna wymaga szybkich decyzji” – apeluje Ochab. Polska gospodarka po fiasku planu sześcioletniego to obraz nędzy i rozpacz, ludzie czują się oszukani, są rozgoryczeni. Władysław Gomułka, gen. Marian Spychalski i Zenon Kliszko, dotychczas określane jako grupa z odchyleniem nacjonalistycznym, wchodzi w skład Komitetu Centralnego partii. Mają

ocalić twarz PZPR.

Ludzie Gomułki dostają też posady w administracji. Kliszko zostaje podsekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, a Ignacy Loga-Sowiński – sekretarzem w Centralnej Radzie Związków Zawodowych. Spychalski bierze natomiast udział w pierwszych obchodach rocznicy wybuchu powstania warszawskiego.

16 października Polacy ze specjalnego komunikatu Polskiej Agencji Prasowej dowiadują się, że w rozpoczynającym się 19 października VIII Plenum KC PZP weźmie udział Władysław Gomułka.

Mściwy nie był

– Gomułka był już wtedy kluczową postacią, zaangażowaną w przygotowanie VIII Plenum – podkreśla prof. Werblan. – Na VIII Plenum wśród osób, które weszły z nim do Biura Politycznego, nie było nikogo, kogo by nie znał od paru lat. Poza Kliszką i Logą-Sowińskim prawie wszyscy mieli w stosunku do niego coś na sumieniu, ale Gomułka przeszedł nad tym do porządku.

Prof. Werblan odebrał to wówczas jako wyraz rozsądku politycznego: – Na konferencji partyjnej okręgu warszawskiego zadano mu [Gomułce – red.] pytanie, co sądzi o tych ludziach, którzy atakowali go w 1948 roku. Czy oni to robili w dobrej, czy w złej wierze? Gomułka odpowiedział, że atakowało go bardzo wielu ludzi: „Niektórzy atakowali ze świadomością, inni szli z prądem”. Dodał, że nawet tych, którzy mieli dużą winę w tym, co się stało, nie może posądzić, że działali w złej wierze. „Bo im się wydawało, że służą dobrej sprawie”. Ale najbardziej winni, jak Berman czy Minc, zostali odsunięci.

Werblan uważa, że Gomułka nie był mściwy: – On zastanawiał się, co leży w interesie publicznym. Uważał, że z tymi, którzy zajmują w danym momencie rozsądne stanowisko, należy współpracować, niezależnie od tego, co było osiem lat wcześniej. Nigdy zresztą osobiście nie wracał do tych spraw.

Czy Gomułka rzeczywiście miał jakiś plan demokratyzacji kraju, czy chciał

tylko pewnych korekt, które pozwolą pozostawić wszystko po starym?

– Gdyby chciał pozostawić wszystko po starym, wracałby do władzy z innymi ludźmi, z Natolinem – uważa Werblan.

Jego zdaniem słowo „demokratyzacja” jest jednak złe, bo nie oddaje prawdziwych intencji Gomułki: – On miał koncepcję liberalizacji systemu. Nie był zwolennikiem demokracji w sensie pluralizmu politycznego, nigdy nie zamierzał przywrócić w Polsce opozycyjnych partii, bo uznawał to za nierealne i niebezpieczne. Uważał, że polskie społeczeństwo w sposób demokratyczny nie zaakceptuje zmian ustrojowych wprowadzonych w kraju po roku 1945. Ani zmian granicznych, czyli granicy na Bugu, które on sam uważał za bardzo szczęśliwe. Bardzo chciał, by nasze granice zachodnie zyskały akceptację krajów zachodnich.

Jadą radzieckie czołgi

To, co się dzieje we władzach PZPR, z narastającym niepokojem śledzi ambasador ZSRR Pantelejmon Ponomarienko. Nocą 17 października 1956 roku w imieniu Nikity Chruszczowa zaprasza kierownictwo PZPR do Moskwy.

Jednak Ochab wie, że najpierw trzeba dokonać zmian we władzach partii. Informuje więc ambasadora, że Biuro Polityczne postanowiło wysunąć podczas plenum kandydaturę Gomułki na pierwszego sekretarza.

18 października Ponomarienko dwukrotnie naciska na Ochaba, by odłożył plenum, a gdy on dwa razy odmawia, informuje I sekretarza, że nazajutrz do Warszawy przyleci delegacja Komitetu Centralnego KPZR z samym Chruszczowem na czele.

Towarzyszom radzieckim nie podobają się planowane zmiany w polskim kierownictwie. Nie tylko awans Gomułki. Krzywo patrzą też na plan usunięcia z Biura Politycznego marszałka Konstantego Rokossowskiego, a także Franciszka Jóźwiaka, Zenona Nowaka i Franciszka Mazura – działaczy uważanych w Moskwie za „swoich”. Tym bardziej że zastąpić ich mają Władysław Matwin i Jerzy Morawski, uznawani za nieprzychylnych ZSRR. Moskwę niepokoi też „wzrost nastrojów antyradzieckich” w Polsce,

widoczny w polskiej prasie. Oburzona „Prawda” bije na alarm.

– Chruszczow obawiał się, że Polska pod kierownictwem Władysława Gomułki zupełnie oderwie się od Związku Radzieckiego – komentuje syn Gomułki. – Wiem, że ojciec odpowiedział mu w Warszawie, że to nie jest możliwe, bo nam bardzo zależy na utrwaleniu naszej granicy zachodniej [na Odrze i Nysie – red.] i w tej sprawie mamy poparcie wyłącznie ze strony ZSRR. Ojciec był na konferencji poczdamskiej w 1945 roku i miał informacje, że Winston Churchill w rozmowach ze Stalinem sprzeciwiał się pozostawieniu Szczecina i Wrocławia po stronie polskiej.

Członkowie Biura Politycznego chcą przyjąć Rosjan w sobotę 20 października lub w niedzielę 21 października, a więc już po obradach plenum. Wyłamuje się tylko marszałek Rokossowski – to on i ambasador alarmują Moskwę, że sprawy w Warszawie przybierają niekorzystny dla ZSRR obrót. Rokossowski chce przyjazdu delegacji radzieckiej już w piątek, jeszcze przed plenum.

I taki scenariusz przedstawia Ochabowi ambasador ZSRR.

Biuro Polityczne decyduje, że delegację radziecką przywitają na lotnisku Ochab, Cyrankiewicz, Zawadzki i Gomułka. Napięcie rośnie z każdą godziną. Do ochrony gmachu Urzędu Rady Ministrów, w którym ma obradować piątkowe plenum, minister obrony kieruje grupę około stu oficerów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Pod Warszawę zostają też ściągnięte batalion piechoty i batalion pancerny. Wszystko z obawy przed antypartyjnymi demonstracjami w stolicy, ale także z powodu niepokojących meldunków o ruchach wojsk radzieckich w kierunku Warszawy. W nocy z 18 na 19 października w kierunku stolicy wyruszają równolegle dywizje pancerna i zmechanizowana z bazy w Bornem-Sulinowie na Pomorzu oraz spod Żagania i Bolesławca na Dolnym Śląsku.

„Trasy ich przemarszów zostały później odtworzone na podstawie dokonanego przez władze województw rejestru zniszczeń dróg, przez które przeszły wojska. Rejestry te przygotowano, aby przedstawić je stronie radzieckiej w celu pokrycia kosztów napraw dróg i mostów zniszczonych przemarszem wojsk radzieckich, a zwłaszcza pojazdami gąsienicowymi” – wyjaśnia Paulina Codogni, autorka książki *Rok 1956*.

„Nie ulega wątpliwości, że w Październiku – jedyny raz w dziejach PRL – w zasadzie zaczęła się radziecka interwencja zbrojna w Polsce. Przemieszczające się z Dolnego Śląska i Pomorza Zachodniego czołowe jednostki Północnej Grupy Armii Radzieckiej ostatecznie zostały zatrzymane niecałe sto kilometrów od centrum Warszawy – napisał prof. Jerzy Eisler w książce *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*. – Jednocześnie rozpoczęły się nie do końca zrozumiałe ruchy wojsk polskich podległych marszałkowi Rokossowskiemu. Do Zatoki Gdańskiej usiłował wpłynąć krążownik »Żdanow« w asyście trzech niszczycieli i flotylli mniejszych jednostek. W stan gotowości bojowej postawiono też jednostki radzieckie stacjonujące w NRD. Wojska przemieszczały się zresztą niemal na całym terytorium Polski”

Rosjanie szykują do akcji dywizje powietrzno-desantowe w okręgach wojskowych przy granicy z Polską, a nad naszym wybrzeżem pojawiają się samoloty radzieckiej dywizji lotniczej stacjonującej w Polsce.

Kontradmirał Jan Wiśniewski drogą radiową zabrania jednak sowieckim okrętom wpływać na wody Zatoki Gdańskiej, natomiast gen. Jan Frey-Bielecki, dowódca korpusu lotniczego w Poznaniu, ogłasza stan najwyższej gotowości w jednostce i zgłasza Gomułce przygotowanie do „ewentualnego zbombardowania radzieckich kolumn pancernych”. Piloci siedzą w kabinach, gotowi do lotu.

Gomułka jest daleki od chęci konfrontacji i nakazuje odwołać stan gotowości w lotnictwie. Kiedy jednak radziecka delegacja z Chruszczowem na czele ląduje na Okęciu, żąda wyjaśnienia, po co kolumny pancerne jadą na Warszawę. W odpowiedzi słyszy, że to element dawno zaplanowanych manewrów.

Gomułka dobrze wie, że czołgi to narzędzie presji, dlatego kilkakrotnie domaga się wstrzymania ruchów kolumn pancernych. 19 października sowieckie tanki zatrzymują się na linii Włocławek – Sochaczew – Łowicz – Łódź. 20 października na przedmieścia Warszawy dociera przez pomyłkę tylko radziecki batalion łączności.

Ale Armia Radziecka to niejedyne zagrożenie dla reformatorów w partii. 18 października w Warszawie pojawiają się plotki, że „natolińscy”,

przeciwni zmianom, przygotowali pucz. I listę około siedmiuset nazwisk zwolenników demokratyzacji przewidzianych do aresztowania.

Dowódca Wojsk Obrony Wewnętrznej gen. Waław Komar i dowódca KBW gen. Włodzimierz Muś stawiają w stan gotowości podległe im jednostki. Oddziały Korpusu patrolują ulice, obsadzają ważne obiekty strategiczne: Polskie Radio, mosty, lotnisko, centralę telefoniczną i gmachy publiczne. Z 18 na 19 października wielu ludzi z obawy przed aresztowaniem nocuje poza domem.

Zdaniem Ochaba listy proskrypcyjne mogą być sprawką Rokossowskiego i jego ludzi, kontaktujących się z ambasadą radziecką.

Po stolicy niesie się też plotka o uzbrajaniu robotników fabryki samochodów na Żeraniu – z karabinami w dłoniach mają bronić się reformatorskich w kraju przed obcą i rodzimą interwencją. W fabryce działa milicja robotnicza, ale – jak uważa prof. Eisler – ktoś świadomie kolportuje kłamstwa o broni w rękach robotników.

Plotki biorą się być może z deklaracji obradującego 20 października w Warszawie zjazdu dąbrowszczaków [lewicowych uczestników wojny domowej w Hiszpanii, byłych żołnierzy międzynarodowej brygady im. gen. Jarosława Dąbrowskiego – red.], którzy zapowiadają, że w razie potrzeby mogą znowu chwycić za karabiny.

Etot nomier nie projdiot!

Polska straż graniczna nie wie o przylocie delegacji radzieckiej, więc naprzeciw samolotowi z Chruszczowem wylatują dwa polskie myśliwce. Po wyjaśnieniu, kto leci, samolot z radziecką delegacją ląduje w Warszawie 19 października o siódmej rano.

Na płycie lotniska schodzą Nikita Chruszczow, Łazar Kaganowicz, Anastas Mikojan, Wiczesław Mołotow, naczelny dowódca Układu Warszawskiego marszałek Iwan Koniew i kilkunastu generałów – ścisłe kierownictwo ZSRR.

Chruszczow odstawia przedstawienie: wita się z oczekującymi na niego marszałkiem Rokossowskim i generałami radzieckimi, ignorując członków Biura Politycznego PZPR. Wygraża im za to z daleka pięścią.

Chce poniżyć Polaków, ale oni zachowują zimną krew. Kiedy gensek podchodzi w końcu do gospodarzy, wygraża palcem Ochabowi i krzyczy:

– *Etot nomier nie projdiot!* (Ten numer nie przejdzie!)

„Myśmy zareagowali na to w sposób bardzo spokojny, nie chcąc dawać w oczach generałów radzieckich i kierowców gorszącego widowiska publicznego” – wspominał Gomułka.

„[Chruszczow – red.] znów zaczął mi wywijać pięścią przed nosem – relacjonował po latach w rozmowie z Torańską Edward Ochab. – Był to oczywiście afront, skierowany nie tylko do mnie, ale do całej polskiej partii. Jasne było, że ten incydent stanie się publiczną tajemnicą. Musiałem więc zwrócić wysokiemu gościowi uwagę. Powiedziałem mu, że my jesteśmy gospodarzami w polskiej stolicy, nie ma potrzeby robić spektaklu na lotnisku, jedziemy do Belwederu, gdzie normalnie przyjmujemy naszych gości”.

Obrady plenum KC PZPR mają się rozpocząć o godzinie dziesiątej, Chruszczow naciska jednak, by przesunąć je na inny termin. Delegacji radzieckiej nie podoba się też, że z Biura Politycznego ma zostać wykluczony Rokossowski i kilku „natolińczyków”.

Ochab: „W Belwederze oświadczyłem mu [Chruszczowowi – red.], że nie odwołamy plenum, siedziałem sporo lat w więzieniach, nie boję się żadnego więzienia i w ogóle niczym mnie nie zastraszą. My odpowiadamy za swój kraj i robimy to, co uważamy za stosowne, bo to są nasze wewnętrzne sprawy. Nie robimy niczego, co by zagrażało interesom naszych sojuszników, a zwłaszcza interesom Związku Radzieckiego”.

– Przyjechaliśmy jako przyjaciele, nie wrogowie – próbuje łagodzić sytuację Mikojan.

– My takich metod wobec przyjaciół nie stosujemy. Nie cofniemy się, plenum nie odwołamy i o sprawach polskich będzie decydował nasz Komitet Centralny – odpowiada mu Ochab.

– *My rozbieriomsia, kto wrag Sowieckowo Sojuza!* (Ustalimy, kto jest wrogiem Związku Radzieckiego!) – krzyczy Chruszczow.

– *Ochab wrag, kak Gomułka wrag.* (Ochab wróg, jak Gomułka wróg.)
Znów zaczynacie tak jak przedtem – replikuje Gomułka.

– My was witamy, my do was nic nie mamy. Ale on... – Chruszczow wskazuje na Ochaba. – On z nami tego nie uzgodnił!

Ochab się obrusza: – A wy uzgadniacie z nami, jaki macie skład Biura Politycznego czy Komitetu Centralnego?

– *No szto wy, szto wy...* – śmieje się Chruszczow.

Mimo presji radzieckich notabli Biuro Polityczne PZPR zbiera się zgodnie z planem o godzinie dziesiątej. I zgodnie z ustaleniami Ochab wysuwa propozycję dołączenia do składu KC Gomułki i jego współpracowników: Kliszki, Spychalskiego i Logi-Sowińskiego.

Podczas obrad plenum nad Krakowskim Przedmieściem wisi transparent „Przyjaciele niech pomogą kroczyć Polsce polską drogą”

Potem następuje przerwa w obradach plenum zaplanowana do osiemnastej, ale tego dnia plenum nie podejmuje już obrad, bo Gomułka, Ochab i Zambrowski przystępują do rozmów z delegacją radziecką.

Negocjacje trwają do pierwszej w nocy 20 października. Przebieg rozmów znamy dzięki stenogramowi sporządzonemu przez Jana F. Dzierżyńskiego (syna Feliksa), referenta Wydziału do spraw Kontaktów z Partiami Komunistycznymi KC KZPR. Dzierżyński był w trakcie tych rozmów tłumaczem. Lektura stenogramu oddaje napiętą atmosferę rozmów w Belwederze.

„Tow. Gomułka: Wasz przyjazd jest ingerencją w nasze sprawy.

Tow. Chruszczow: Chcą nas oderwać od naszych wojsk w Niemczech Zachodnich.

Tow. Gomułka: Kto chce?

Tow. Chruszczow: Polska. Macie zamiar usunąć z Biura Politycznego tow. tow. Rokossowskiego, Józwiaka, Nowaka, Gierka, a wprowadzić – Morawskiego. Nie możemy do tego dopuścić i jeśli postawicie nas przed faktem dokonanym, będziemy zmuszeni brutalnie ingerować.

Tow. Ochab: Polscy komuniści siedzieli w waszych więzieniach i widocznie znowu będą siedzieć.

Tow. Chruszczow: Ja tak nie powiedziałem, nie przekręcajcie. Chcecie popsuć naszą przyjaźń. Dla dobra naszych interesów, interesów całej międzynarodowej klasy robotniczej i przede wszystkim dla dobra Polski, nie

możemy tego znosić.

Tow. Kaganowicz: Po to właśnie przyjechaliśmy, żeby przed faktem dokonanym rozmawiać z wami.

Tow. Gomułka: Naprawdę uważacie, że tylko ci towarzysze, Rokossowski i inni, są gwarancją przyjaźni z wami? My też nie chcemy jej naruszać.

Tow. tow. Kaganowicz i Mikojan: Nie, nie tylko oni są gwarancją przyjaźni, ale oni i wy razem.

Tow. Chruszczow: Zrozumcie, że nie przyjechaliśmy po to, żeby was wykorzystywać i coś wam zabrać. Nigdy nie wtrącaliśmy się do waszych spraw.

Tow. Gomułka: Chodzi o to, że skoro nie wtrącaliście się, to niech wszystko zostanie po staremu i teraz też się nie wtrącajcie.

(...)

Tow. Chruszczow: Przestaliście nas informować. O wydarzeniach w Polsce dowiadujemy się z Głosu Ameryki.

Tow. Gomułka: Jeśli sądzicie, że zmiany w Biurze Politycznym dokonywane są przeciwko przyjaźni z ZSRR, to głęboko się mylicie. Jeśli się tego nie robi, to partia będzie się rozpadać, co może doprowadzić do następstw, które trudno przewidzieć.

Tow. Mołotow: Już sam fakt, że nie chcecie z nami rozmawiać na te tematy, wiele mówi.

Tow. Gomułka: Powiedziałem tow. Ponomarience, że bezcelowe jest, byście przyjeżdżali do Warszawy i prowadzili rozmowy przed plenum KC. Prosiliśmy, żebyście przyjechali nie dzisiaj, ale jutro. Wychodzi na to, że o niczym nie możemy sami decydować, tylko zgodnie z waszą radą”.

Rozmowy w Belwederze są gorące i pełne wzajemnych oskarżeń. Gomułka i Ochab twardo bronią prawa do samodzielnego decydowania w polskich sprawach. Gomułka tłumaczy zmiany koniecznością opanowania kryzysu w Polsce, w pewnym momencie przechodząc nawet na język polski. Mówi jak w transie, z pianą w kącikach ust. Tłumacz nie nadaża, a Chruszczow daremnie prosi, by Gomułka przeszedł na język rosyjski. Gdy ogłaszają krótką przerwę, gensek jest pod wrażeniem towarzysza „Wiesława”.

W trakcie rozmów do polskiej delegacji docierają informacje o ruchach

radzieckich kolumn pancernych. W pokoju sąsiadującym z salą obrad dyżuruje pułkownik Zbigniew Paszkowski, sekretarz Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Co godzinę przekazuje Ochabowi raporty o przesuwaniu się oddziałów Armii Radzieckiej.

Stenogram Dzierżyńskiego oddaje nerwową atmosferę w Belwederze:

„Tow. Zambrowski odczytuje dopiero co otrzymany komunikat o tym, że do Warszawy zbliżają się radzieckie i polskie wojska, w związku z czym robotnicy fabryki na Żeraniu postanowili wyjść na ulicę, by zatrzymać wojsko.

Tow. Chruszczow: Tak zaogniliście sytuację, że przyjazd delegacji radzieckiej ocenia się jako zagrożenie dla Polski. Kim jesteście – wrogami? Po co podnieśliście szum o radzieckiej ingerencji w sprawy Polski?

Tow. Gomułka: Bo to jest ingerencja. Przyjechaliście po to, żeby wpłynąć na decyzje plenum KC i zatwierdzenie nowego składu kierownictwa.

Tow. Chruszczow: Przyjechaliśmy wbrew waszemu życzeniu, jeśli o to chodzi, zgadzam się, że była to pewna ingerencja. Ale nie mogliśmy patrzeć spokojnie. Wy w słowach jesteście za przyjaźnią, a w rzeczywistości podburzacie naród przeciwko nam.

Tow. Gomułka mówi, że otrzymano nowe komunikaty o sytuacji w Polsce. Kontynuowany jest ruch radzieckich i polskich czołgów. Zdarzył się najazd radzieckich czołgów na pociąg, rozbity został jeden wagon, zmiądzony został człowiek. Trzeba patrzeć na prawdę oczami narodu. W Zambrowie czołg radziecki najechał na linię wysokiego napięcia, w efekcie Zambrów pogrążony jest w ciemności, nie pracują fabryki. Można powiedzieć, że wszystko to są zdarzenia przypadkowe. Wszyscy tak by to pojmowali, gdyby was tutaj nie było.

Tow. Chruszczow: Ludzie inaczej rozumują. A wy doprowadzacie do końca swoją antyradziecką linię.

Tow. Gomułka: Pytam, co oznaczają wasze słowa powiedziane rano: »Jesteśmy gotowi do zdecydowanej interwencji«?

Tow. Mikojan: Dlaczego wiecie o wszystkim, co dzieje się w Polsce, a nie wiecie tego, że trwają zwykłe ćwiczenia?

Tow. Gomułka: Nie możemy powiedzieć narodowi, że akurat w dniu

waszego przyjazdu rozpoczęły się manewry. Jeśli chcemy normalizacji sytuacji, to musimy przerwać ruch czołgów”.

Chruszczow ostrzega Gomułkę przed Stanisławem Mikołajczykiem, który czeka rzekomo w Danii na rozwój sytuacji w Polsce i może przejąć władzę.

„Jeżeli Mikołajczyk siedzi w Kopenhadze, to wam trzeba było siedzieć w Moskwie i czekać, aż przyjdziemy prosić was, abyście nas ratowali – ripostuje Gomułka. – Nie rozumiecie, że nam na was powinno bardziej zależeć, niż wam na nas, bo władza w tym kraju w dużym stopniu opiera się na waszym poparciu?!”

Ze stenogramu Dzierżyńskiego:

„Tow. Chruszczow: Sedno w tym, że siejecie ziarno zerwania. Widzę, że nie chcecie się z nami liczyć i nie liczyacie się. Podejmujcie wasze decyzje, ale wiedźcie, że odpowiedzialność bierzecie na siebie.

Tow. Gomułka: My wiemy, że sami odpowiadamy za sytuację w Polsce.

Tow. Chruszczow: Dlaczego wy teraz usuwacie naszych przyjaciół i chcecie z nas zrobić durniów, i za naszymi plecami robicie różne machlojki?

Tow. Cyrankiewicz: Powiem na plenum, że oskarżacie nas o machlojki.

Tow. Chruszczow: Poniosło mnie, cofam słowo »machlojki«.

Tow. Gomułka: Jakie to są równe prawa i przyjacielskie stosunki, skoro rozmawiamy ze sobą w ten sposób?”

Chruszczow atakuje, ale coraz słabiej. Widzi, że polskie kierownictwo występuje razem i zdecydowanie i nie zamierza się poddać.

Rosjanie mają też inny powód, by się spieszyć, o którym nie wiedzą gospodarze: w obronie Polaków staje Komunistyczna Partia Chin. Chińczycy domagają się zaprzestania interwencji sowieckiej w Polsce i wysyłają do Moskwy delegację na rozmowy, grając na poprawienie własnej pozycji w obozie socjalistycznym. Rosjanie nie mogą ignorować potężnego sąsiada i muszą wracać do Moskwy na negocjacje (odbędą się w dniach 23–24 października).

O 1 w nocy Gomułce i Ochabowi udaje się przekonać Rosjan, że zmiany we władzach PZPR nie zagrażają interesom ZSRR. I że nie zniszczą „wiecznej przyjaźni” polsko-radzieckiej.

Chruszczow stwierdza na koniec, że Gomułka wydaje mu się

odpowiednim kandydatem na I sekretarza KC PZPR.

20 października nad ranem sowiecka delegacja odlatuje do Moskwy. Rosjanie wyglądają na względnie uspokojonych, choć jeszcze w rozmowach z Chińczykami Chruszczow przekonuje, że interwencja w Polsce jest konieczna, bo doszło w niej do „kontrewolucji”

„Narady toczyły się w atmosferze partyjnej i przyjacielskiej szczerości. Ustalono, że w najbliższym czasie delegacja Biura Politycznego KC PZPR uda się do Moskwy w celu omówienia z Prezydium KC KPZR zagadnienia dalszego pogłębiania współpracy politycznej i gospodarczej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Związkiem Radzieckim” – podsumuje następnego dnia w lakonicznym komunikacie „Trybuna Ludu”

O godzinie jedenastej wznawia obrady VIII Plenum KC PZPR. Następnego dnia Gomułka zostaje jednomyślnie wybrany na I sekretarza KC PZPR.

„Przeżyliśmy cichą rewolucję, a może doskonale przygotowany zamach stanu” – podsumowuje w swoim dzienniku 21 października Jan Józef Szczepański.

– Rosjanie zamierzali interweniować w Polsce siłą. Powstrzymała ich interwencja Chin – nie ma wątpliwości prof. Werblan, biograf Gomułki.



Warszawiacy czytają nadzwyczajny dodatek do gazet ze składem nowo wybranego Biura Politycznego KC PZPR

Wiesław! Wiesław!

Co o tych dramatycznych wydarzeniach wiedział wtedy syn Władysława Gomułki?

- Wiedziałem, że jadą te czołgi. I że ojciec rozmawia z Chruszczowem.
- Był pan wtedy dumny z ojca?
- Zawsze go ceniłem. Z uznaniem odnosiłem się do tego, co potrafił załatwić. Ojcu śpiewano *Sto lat!*, było zadowolenie, że tak to się skończyło. Bez ofiar.

We wspomnieniach napisał o ojcu: „[Jesienią 1956 roku – red.] nie zauważyłem w nim nawet cienia jakiejś pychy, wyniosłości czy nawet samozadowolenia. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie w stanie zaspokoić wielu rozbudzonych wtedy, czasami wzajemnie sprzecznych, oczekiwań. Ojciec nie szukał taniej popularności.

Któregoś dnia wieczorem opowiadałem ojcu o przebiegu wiecu

na Politechnice Warszawskiej. Wspomniałem, że stojąca niedaleko mnie grupa młodych ludzi skandowała: »Katyń!«. »To teraz do niczego dobrego nie prowadzi« – tak to wtedy skomentował”

Ochab wyzna po latach w rozmowie z Teresą Torzańską, że zgodził się oddać stanowisko Gomułce, bo chciał za wszelką cenę uniknąć rozłamu w partii. Rozłam oznaczał bowiem interwencję „przyjaciół” ze wschodu. „Oddawałem ją [władzę – red.] z ciężkim sercem, bo znałem Gomułkę, a wiedziałem także, że w warunkach, w jakich władzę przejmował, zabrzmiały fanfary, że oto jest ten zbawca Polski. Co będzie poniżeniem całej partii” – wyjaśniał po latach Ochab.

W tych dramatycznych dniach robotnicy warszawskich zakładów zachowują spokój. „Gdybyśmy dali upust ułańskiej fantazji, której nam, Polakom, nie brakuje, gdybyśmy poszli na ambasadę radziecką, to przecież oni tylko czekali, te wszystkie zagony pancerne, które ciągnęły na Warszawę” – wspominał Lechosław Goździk, charyzmatyczny przewodniczący organizacji partyjnej w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu.

21 października 1956 roku Gomułka wygłasza na VIII Plenum przemówienie, które radio transmituje na cały kraj. W historii PRL być może to najważniej słuchane wystąpienie szefa partii.

„Kiedy przed siedmioma laty przemawiałem na listopadowym plenum KC PZPR, wydawało mi się wówczas, że przemawiam do członków Komitetu Centralnego po raz ostatni – mówi nowy I sekretarz. – Wiele zła było w tych latach. Spuścizna, jaką ten okres pozostawił po sobie partii, klasie robotniczej i narodowi, jest w niektórych dziedzinach życia więcej niż zatrwajająca”

Gomułka jako pierwszy partyjny dygnitarz bierze w obronę robotników Poznania, którzy zbuntowali się 28 czerwca 1956 roku: „Klasa robotnicza dała ostatnio kierownictwu partii i rządowi bolesną nauczkę. Robotnicy Poznania chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulice w »czarny czwartek« czerwcowy, zawołali wielkim głosem: »Dosyć! Tak dalej nie można! Zawrócić z fałszywej drogi!«. Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się

w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą”

Gomułka nie oszczędza nawet swoich współpracowników z partii. „Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów. Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej”

Bije się też w piersi: „Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia klasy robotniczej tkwią w nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. Sześcioletni plan gospodarczy, reklamowany w przeszłości z wielkim rozmachem jako nowy etap wysokiego wzrostu stopy życiowej, zawiódł nadzieje szerokich mas pracujących!”

Gomułka potępia nie tylko kult jednostki, ale cały system prowadzący do prześladowania ludzi. Wspomina o wyrokach śmierci i karach długoletniego więzienia dla niewinnych. Mówi o potrzebie uzdrowienia gospodarki i konieczności demokratyzacji partii.

Największe oczekiwania związane z powrotem Gomułki do władzy mają chłopi. Liczą, że „Wiesław” zlikwiduje spółdzielnie i ułatwi występowanie z nich. I Gomułka przyznaje, że kolektywizacja rolnictwa była błędem. Na wsi zaczyna się odwrót od spółdzielni. W ciągu drugiego półrocza 1956 z 10,2 tysiąca spółdzielni zlikwidowanych zostanie ponad 8 tysięcy.

Polacy żyją wydarzeniami na szczytach władzy, przed kioskami w Warszawie ustawiają się długie kolejki w oczekiwaniu na wieści z gazet.

W całym kraju odbywają się spontaniczne wiece: w Krakowie, Nowej Hucie, Poznaniu, Trójmieście, Szczecinie, Lublinie, Gnieźnie, Wrocławiu, Łodzi, Katowicach, Gliwicach, Opolu, Olsztynie, Kielcach i wielu miejscowościach. Polacy domagają się wolności, demokracji i końca podległości ZSRR. „Precz z Rokossowskim!”, „Rokossowski na Sybir!”, „Sowieci do domu!” – skandują.

Największe są cztery wiece studentów i robotników w auli Politechniki

Warszawskiej, zorganizowane między 18 a 21 października. Niektóre z nich gromadzą nawet 30 tysięcy uczestników. Aula, sale wykładowe, krużganki i dziedzińce politechniki, pobliskie ulice i zieleńce pełne są rozemocjonowanych młodych ludzi. Uczestnicy wiecu uchwalają list poparcia dla towarzysza „Wiesława” i w napięciu śledzą rozwój wypadków.

Sekretarz partii w FSO Lechosław Goździk apeluje o rozwagę i ostrzega przed prowokacją.

„Tłok, gorąco, straszne wrzaski, narastająca nieustannie świadomość bezsensu i ponoszonej klęski – opisał atmosferę tych czterech dni wiecowania na warszawskiej politechnice Jacek Kuroń, wówczas uważający się jeszcze za ideowego komunistę. – Żądania, które sobie przypominam, były wręcz humorystyczne (...): przywrócić koronę do orła, rogatywki w wojsku – demonstracyjne podkreślanie polskości. No i *Rota*. Trochę akcentów antysemitycznych, sporo antyrosyjskich. Trzeba sobie powiedzieć, że z tego wszystkiego nie rozumieliśmy zupełnie nic. Po pierwsze – дума narodowa Polaków została tak strasznie zdeptana przez stalinowską politykę, że musiała teraz wystrzelić w sferze symbolicznej, przynajmniej tu znaleźć rekompensatę. Dalej – więź narodowa, kiedy zaczęto ją niszczyć, wprowadzając kadłubową kulturę, utrzymywała się głównie dzięki tradycji, wspomnieniu. W tej formie mogła funkcjonować przede wszystkim w Kościele, była to więc tradycja narodowo-chrześcijańska. Nie pierwszy raz w historii Polski symbole stanowiły podstawę najbardziej masowej więzi narodowej. Było więc oczywiste, że teraz, kiedy pojawia się szansa, te aspiracje ożywiły się, wybuchły”

Kuroń wysoko ocenił działalność Goździka: „Był wspaniały, taki klasyczny, wiecowy mówca, który rozumie salę, mówi do niej, natychmiast potrafi replikować. Goździk czuł salę tak samo jak Wałęsa, a miał nad nim niewątpliwą przewagę erudycji, czytania. Goździk był rzeczywiście przywódcą Warszawy, rewolucji. Zdawał sobie z tego sprawę, mówił o tym kpiąco. Był potwornie zmęczony. Pamiętam, przed przemówieniem siedział nieruchomo, z głową na stole”

Kiedy Październik odejdzie w niepamięć, Goździk zostanie zdjęty z funkcji sekretarza partii na Żeraniu i wyrzucony z PZPR. Pojedzie wtedy

na Wybrzeże, wyremontuje kuter i będzie pływał w spółdzielni rybackiej.

Ale na razie jest w szale, działa jak w amoku. 21 października 1956 roku do Komitetu Centralnego przyjeżdżają delegacje zakładów pracy i studentów, którzy fetują „Wiesława”.

– Bez was, bez poparcia całego społeczeństwa, nie mogę i nie pozostanę nawet dwudziestu czterech godzin w kierownictwie partii – deklaruje Gomułka.

Na murach stolicy pojawiają się klepsydry: „W dniu 21 października 1956 o godzinie 20 w czasie obrad VIII Plenum zmarła śmiercią polityczną grupa niedobitków stalinizmu, o czym zawiadamia nieutulony w żalu Lud Warszawy”.

23 października Gomułka wreszcie może głęboko odetchnąć. Z Moskwy dzwoni Chruszczow: „Nasze wojska w Polsce wrócą do swych baz w ciągu dwóch dni”.

Prof. Jerzy Eisler napisał, że w gorących dniach polskiego Października „Wiesław” stał się niekwestionowanym przywódcą nie tylko partyjnym, ale wręcz narodowym: „Nigdy przedtem ani nigdy potem w historii Polski żaden komunistyczny przywódca nie cieszył się takim poparciem, szacunkiem i zaufaniem jak Gomułka w owym czasie”.

Ludu pracujący stolicy!

Ryszard Strzelecki-Gomułka przyznaje, że nigdy nie miał okazji dłużej porozmawiać z ojcem o Październiku. – Był wtedy zbyt zapracowany. Można z nim było tylko porozmawiać przy kolacji, a po niej szedł do swojego gabinetu i studiował różne materiały. Więź z nim była coraz słabsza.

Po VIII Plenum działacze partyjni chcą zdyskontować popularność „Wiesława”. Stefan Staszewski, szef Komitetu Warszawskiego PZPR, proponuje zorganizować wiec przed Pałacem Kultury i Nauki, ale Gomułka obawia się niekontrolowanego tłumu, który mógłby wznosić antysowieckie hasła.

„Trzeba poczekać, masy są rozjuszony” – studzi Staszewskiego.

„Zresztą ten wiec do niczego Gomułce nie był potrzebny. On już wiedział,

że ma władzę, że jego racja jest na wierzchu, i nie potrzebował, by jeszcze ludzie mu krzyczeli” – opowiadał Torańskiej Staszewski.

Mimo to Gomułka w końcu zgadza się na udział w wiecu. 24 października 1956 roku na placu Defilad gromadzi się 300 tysięcy osób. Morze głów, wszyscy chcą na własne oczy zobaczyć „Wiesława” i wyrazić mu swój szacunek. „Wiesław! Wiesław!” – skandują, gdy Gomułka wchodzi na mównicę. A potem śpiewają *Jeszcze Polska nie zginęła...*

„Towarzysze! Obywatele! Ludu pracujący stolicy!” – rozpoczyna swoje wystąpienie Gomułka. Dziękuje za poparcie, powtarza swoją krytyczną ocenę minionych lat. Wyraźnie jednak chce uspokoić nastroje.

„Czym dzisiaj możecie pomóc kierownictwu partii i rządowi?” – pyta. I odpowiada: „Przede wszystkim tym, że każdy stanie przy swoim warsztacie na swoim posterunku i wzmożoną pracą czy nauką wykaże swoją wierność i oddanie naszej sprawie”.

Słuchacze w euforii intonują: *Sto lat!*

„Dość wiecowania, dość manifestacji! – kończy „Wiesław”. – Czas przejść do codziennej pracy!”



Gomułka w końcu zgadza się na udział w wiecu. 24 października 1956 roku na placu Defilad gromadzi się 300 tysięcy osób

Na zakończenie orkiestra gra *Międzynarodówkę*, którą tłum śpiewa już niechętnie. Po *Międzynarodówce* grupa młodych robotników intonuje *Jeszcze Polska nie zginęła...*, po czym z biało-czerwonymi flagami idzie pod Komitet Centralny, krzyżąc: „Rokossowski do Moskwy!”, „Spychalski – marszałkiem!” i „Uwolnić Wyszyńskiego!”

Gomułka wychodzi do nich na balkon: „Idźcie do domu!”

„Towarzysz »Wiesław« jest zmęczony” – dodaje Zambrowski.

Ludzie z biało-czerwonymi flagami, śpiewając *Rotę*, ruszają więc z powrotem ku placowi Defilad.

Kuroń wspominał: „Ci ludzie, śpiewający Gomułce »sto lat«. Och, jak on był wtedy bardzo kochany. To »sto lat, niech żyje, żyje nam« stało się przez krótki czas hymnem narodowym i śpiewano to nawet w nocnych lokalach. Orkiestra przestawała grać do tańca, jeśli ktoś próbował dalej tańczyć, to robiono mu awantury, trzeba było wstawać i cała sala śpiewała z olbrzymim

entuzjazmem. Z takim samym entuzjazmem śpiewano wówczas *Czerwone maki na Monte Cassino*”.

Lewicowa młodzież z ZMP była jednak wściekła na rzucone przez Gomułkę hasło „Dość wiecowania”. „Tylko tyle miał nam do powiedzenia?” – wspominał Kuroń.

Poznańskie UB raportuje: „Szczególnie nie podobało się stwierdzenie »kończyć z wiecowaniem – czas do roboty«”.

W Zakładach Cegielskiego robotnicy komentują: „Gomułka tylko chwilowo zezwolił robotnikom na wypowiadanie się, a obecnie już zmienia ton i występuje bardzo ostro”.

Tak trzeba było zrobić

Syn Władysława Gomułki nie widzi nic złego w wezwaniu do pracy, którym jego ojciec zakończył przemówienie: – To było jasne, że tak trzeba było zrobić. Przy każdych zaburzeniach jest tak, że część ludności chce więcej. Ale przecież w ten sposób można by doprowadzić gospodarkę polską do ruiny.

Październik 1956. Szczeciński UB raportuje do centrali: „Zapał u większości ludzi ostygł po przemówieniu tow. Gomułki na wiecu. Niektóre osoby wyrażają obawę nawrotu do starego i starych metod i przemówienie tow. Gomułki uważają jako pierwszy krok”.

Antoni Zambrowski, młody komunista po studiach w Moskwie, który słuchał Gomułki na placu Defilad, wspominał: „Przemówienie Wiesława – w odróżnieniu od przemówienia na plenum KC – nie było porywające. Było to pierwsze spotkanie Gomułki z szerokimi rzeszami społeczeństwa, zwłaszcza załóg zakładów przemysłowych, i ludzie czekali, by im powiedział coś od serca. Nic z tego. Ale z ust Gomułki przyjęto i to – miał otwarty kredyt zaufania. Po jego przemówieniu wybucha wielka wrzawa, tłum domaga się, by przemówił Marian Spychalski (ten miał cięższe od Gomułki śledztwo i znacznie później wyszedł z więzienia). Na trybunie konsternacja (tak mi się przynajmniej wydawało) – ale Spychalski przemawia. Znowu wrzawa. Gdzieś tam na trybunie stoi zwierzchnik Spychalskiego, marszałek

Rokossowski. Dawniej skandowano jego nazwisko obok nazwisk Stalina i Bieruta. Teraz musi mu być strasznie przykro”.

Gomułka stara się nie zaognić sytuacji, bo na Węgrzech wybuchło antyradzieckie powstanie, które próbują stłumić oddziały Armii Czerwonej. Zdaje sobie sprawę, że jeśli tłum w Warszawie wystąpi przeciwko ZSRR, Polskę czeka powtórka tragedii znad Dunaju.

Jan Józef Szczepański notuje 24 października: „Dzisiaj dwie charakterystyczne dla obecnych nastrojów manifestacje. Wiec z Gomułką w Warszawie, pełen autentycznego entuzjazmu i taktycznych wypowiedzi, które audytorium doskonale rozumie, a wieczorem manifestacja pod ambasadą węgierską na rzecz powstańców – surowo potępiona w komunikacie radiowym. Gomułka niezwykle zręcznie balansuje na linii. Trudno uwierzyć, że to nie my jesteśmy w sytuacji tych bitych”.

Powrót prymasa i lekcji religii

Prof. Eisler uważa, że w oczach milionów Polaków „Wiesław” uosabiał wtedy nadzieje na lepszą przyszłość: „Zaufano mu i chyba uwierzono, że potrafi on uczynić system bardziej sprawnym i wydajnym ekonomicznie oraz bardziej sprawiedliwym i efektywnym politycznie. Widziano w Gomułce przede wszystkim byłego więźnia okresu stalinowskiego, a nie jednego z głównych twórców podwalin Polski Ludowej, współodpowiedzialnego za wszystko, co wydarzyło się w kraju w latach 1944–1948”.

Ówczesny program towarzysza „Wiesława” objaśnia prof. Andrzej Werblan, wtedy szef Wydziału Propagandy KC PZPR: – Gomułka chciał zliberalizować system, to znaczy ograniczyć ingerencję państwa do rzeczy mających znaczenie polityczne. Przestać się wtrącać w to, jak malują, jak śpiewają, co grają. Poszerzyć maksymalnie zakres swobody życia. Po drugie: do minimum ograniczyć przemoc milicyjną. Po trzecie: zdjąć z polskiej wsi niebezpieczeństwo kolektywizacji. Był temu przeciwny od 1944 roku. Wreszcie cztery: uzyskać od Związku Radzieckiego pełną autonomię w zakresie polityki wewnętrznej: personaliów, składów rad. Za czasów

stalinowskich zależność Polski od ZSRR była bowiem ogromna.

Polakom podoba się, że towarzysz „Wiesław” uwalnia więzionego w bieszczadzkiej Komańczy prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, którego zwolnienia żądają tłumy na placu Defilad.

„Wyszyński do Biura Politycznego!” – skandują warszawiaczy rozchodzący się po przemówieniu Gomułki. O prymasie przypominają też wiecujący w Toruniu, Gnieźnie, Gliwicach, Katowicach, Elblągu, Białymstoku, Gdańsku, Poznaniu i Lublinie. Polacy domagają się też powrotu krzyży i lekcji religii do szkół.

Okrzyki upominające się o prymasa robią wrażenie na nowym szefie PZPR. Jeszcze 24 października, podczas obrad Biura Politycznego, Gomułka decyduje o podjęciu rozmów z prymasem. Dwa dni później do Wyszyńskiego jadą dwaj najbliżsi współpracownicy „Wiesława” – Zenon Kliszko i Władysław Bieńkowski. Mają do przekazania opinię nowego I sekretarza: prymas powinien wrócić na swoje stanowisko.

Wyszyński cieszy się z zachodzących zmian, ale stawia warunki. Domaga się zniesienia dekretu z 1953 roku o obsadzaniu stanowisk kościelnych za zgodą władz PRL, wznowienia prac przez komisję episkopatu i rządu, przywrócenia prasy katolickiej, a także rozpoczęcia rozmów na temat konkordatu. Chce też, by władze pozwoliły biskupowi kieleckiemu Czesławowi Kaczmarkowi i katowickiemu Stanisławowi Adamskiemu na powrót do ich diecezji.

Gomułka godzi się niemal na wszystko. 28 października 1956 roku Wyszyński wraca do Pałacu Prymasowskiego na Miodowej. Wraz z jego powrotem rozpoczyna pracę Komisja Wspólna Rządu i Episkopatu. W grudniu dochodzi do wstępnego porozumienia. Władze łagodzą wymowę dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych, a religia ma wrócić do szkół jako przedmiot nadobowiązkowy.

„W nowych warunkach już tylko od naszej gorliwości zależy, jaki procent szkół posiadać będzie naukę religii” – pisze prymas Wyszyński w odezwie do rodziców i duchowieństwa.

W wielu szkołach na powrót zawieszane są krzyże. Pod koniec roku szkolnego 1956/1957 w ogromnej większości szkół w Polsce wracają lekcje

religii.



Polakom podoba się, że towarzysz „Wiesław” uwalnia więzionego w bieszczadzkiej Komańczy prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego (tu na spacerze w Komańczy w 1956 roku)

Bohater „Time’a”

10 grudnia 1956 roku twarz Gomułki pojawia się na okładce amerykańskiego tygodnika „Time”.

„Zdobycze Października były niemałe. Szczególnie gdy za punkt odniesienia weźmie się stalinowską przeszłość. Każdy czuł na własnej skórze, że stalinowski koszmar już się skończył. Ci, którzy brali udział w wiecach, masówkach, pochodach i demonstracjach – a można bez przesady powiedzieć, że były ich setki tysięcy, jeśli nie miliony – mogli mieć poczucie, że to oni wynieśli do władzy nowego I sekretarza, człowieka symbolizującego zerwanie z przeszłością, że to pod ich naciskiem dokonana się istotna część zmian, że bez ich aktywności i determinacji przełomowe wydarzenia mogły zakończyć się zupełnie inaczej” – ocenia Paweł Machcewicz, autor książki *Polski rok 1956*.

„W niedawnym więźniu widziano i komunistę, który przeciwstawił się Moskwie, i ofiarę polskiego stalinizmu, i politycznego banitę, i wreszcie Polaka patriotę, a więc – pomijając karkołomność takiej wizji – bohatera narodowego – zauważa Robert Spałek, autor książki *Komuniści przeciwko komunistom*. – Tymczasem sam Gomułka nigdy nie zamierzał być demokratycznym przywódcą dążącym do emancypacji narodowej, co więcej, bał się rozprzestrzeniania nastrojów wolnościowych i antysowieckich. Rozumiał, że fala niepodległościowych emocji może podmyć cały system polityczny. On dążył bowiem do przemiany kraju będącego protektoratem, a więc mającego zmarginalizowane kompetencje wewnętrzne i wręcz śladowe zewnętrzne, w państwo o suwerenności ograniczonej, tym samym nadal ściśle sprzymierzone z ZSRR, choć według nowych reguł”.

Opiekun i wybawca

Gomułka obawia się skali społecznego poparcia i antyradzieckiego wrzenia w kraju. Boi się, że wydarzenia wymkną mu się spod kontroli, że dadzą pretekst Rosjanom do ponownego mieszania się w polskie sprawy. Atmosfera na wiecach w kraju jest bowiem gorąca, słychać nawet żądania

zwrotu Polsce Wilna i Lwowa.

Do nowego szefa partii spływają wiernopoddańcze adresy, rezolucje i listy z całego kraju. Są ich tysiące, a wymowa wielu jest dla Gomułki mocno kłopotliwa.

Górnicy z kopalni Dymitrow w Bytomiu piszą:

„Towarzyszu, szanujemy Was i ufamy, że poprawicie nam we wszystkim, że zamiast gimnastyki w radiu będzie odprawiać naród jedno *Zdrowaś Mario* za górników. Drugie – niech nikt nie tłumaczy, że Lwów jest rosyjski. Lwów musi być polski. Precz z Kostkiem Rokossowskim, wiemy, że robił zamach na tow. Gomułkę. Dopóki nie ustąpi sowietyzm z Polski i innych krajów okupowanych, spokoju nie będzie, wykluczone. Nie chcemy biedy naszych krajów, niech Sowiety przestaną pożerać nasz chleb, gdy my w nędzy i głodzie. Dziś Sowiet przyjaciel? A kto szedł wspólnie z Hitlerem na Polskę w 1939 r.?”

97 mieszkańców wsi Sypniewo (powiat Wałcz), w której 25 października radziecki czołg przypadkowo zabił siedmioletniego chłopca na furmance:

„Opiekunie nasz i wybawco, zrozum nasz ból. Dosyć naszych wylanych łez, dosyć nieprzespanych nocy i drżenia o synów, mężów, ojców, może co powiedział, może go zamkną, dosyć naszego chleba przez 10 lat. Zjedli ostatnie mleko, zboże nam zabierali, a kto nie oddał, zamknęli do więzienia, niech wyjeżdżają do Rosji i tam swoje dzieci rozjeżdżają, my chcemy pracować dla naszej Polski Ludowej i żywić swoją armię, a nie radziecką, już wypili z nas wszystką krew, dzieci nasze zapomniały, jak wygląda masło, bo oni nam wszystko zjedli, a teraz nam czołgami dzieci zabijają. Dzieci nasze i my krzyczymy: »precz z Rosją«”

Gomułka zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie sprostać wszystkim oczekiwaniom. Zaniepokojony jest też aparat partyjny. „Wiesław” uspokaja towarzyszy już 4 listopada 1956 roku, podczas narady w Sali Kongresowej, a więc zaledwie jedenaście dni po wiecu przed Pałacem Kultury. Obiecuje nienaruszalność ich pozycji, zwraca się wręcz do nich o pomoc.

To wtedy rodzi się dowcip: „Kiedy skończył się Październik? W listopadzie”

Poczucia humoru nie miał

Gdy Władysław Gomułka staje na czele partii, proponują mu willę na Mokotowie. – Mieszkał wtedy w trzypokojowym mieszkaniu na Saskiej Kępie i uważał, że to mu wystarczy – mówi prof. Werblan. – Dręczyli go, że ze względów bezpieczeństwa powinien się przenieść do centrum Warszawy, bliżej KC i Rady Ministrów. Dlatego zbudowano dla niego dwurodzinną willę. Gdy mu ją zaproponowano, obejrzał ją i zwymyślał współpracowników, że on w czymś takim nigdy mieszkać nie będzie! Zamieszkał tam jeden z wiceministrów spraw wewnętrznych.

– Nawet chyba oglądałem tę willę – przypomina sobie syn Gomułki. I wyjaśnia, że jego ojciec nie chciał takich przywilejów, gdy większość ludzi żyła w nędznych warunkach.

Ale gdy przytaczam opinie historyków o skrajnej oszczędności jego ojca, Ryszard Strzelecki-Gomułka się irytuje. – To bzdury! Na przykład to, że oszczędzał na papierosach, przełamując je na pół. Ojciec tak robił, żeby mniej palić, a nie żeby zaoszczędzić kilka groszy.

Dodaje jednak, że rozrzutny nie był: – Nie gromadził żadnego bogactwa. Miał to, co mu było potrzebne.

Hanna Strzelecka-Gomułka, wnuczka Władysława (rocznik 1959): – Moim zdaniem dziadek nie przywiązywał wagi do swojego ubioru. Ciężar prowadzenia domu i kupowania ubrań dla dziadka brała więc na siebie babcia. Kupowała mu odzież, zresztą dobrego gatunku.

Ryszard Strzelecki-Gomułka: – Garnitury, całkiem drogie, szył dla ojca krawiec, który mieszkał obok domu Emilia.

– Bywałem u Gomułki dość często. Gdy był na emeryturze, przyjeżdżałem do niego z różnymi pytaniami natury historycznej – opowiada prof. Werblan, który w latach osiemdziesiątych napisał o nim obszerną książkę.

– Jaki był „Wiesław”, gdy przyjmował pana u siebie?

– To był prosty człowiek, zachowywał się dość bezpośrednio. Nie wyczuwałem dystansu.

– Mówił do pana po imieniu?

– Zwracał się do mnie „towarzyszu Werblan”. Ja do niego mówiłem

„towarzyszu Gomułka” albo „towarzyszu »Wiesław«”

Werblan podkreśla, że Gomułka, choć ukończył tylko sześć klas szkoły podstawowej za czasów austriackich, był człowiekiem bardzo czytany. – Był samoukiem. W dyskusji trudno go było do czegoś przekonać, bo był uparty. A jednak warto się było z nim spierać, bo argumenty zapadały mu w pamięć. Wciąż do nich wracał i potrafił przyznać rozmówcy rację. Pamiętam, jak raz mieliśmy spór na temat dramatycznego konfliktu między Nowotką i Mołojcem w kierownictwie PPR-u, zakończonego morderstwami. On się mylił w swoich wspomnieniach. Wydarzenia rysowały mu się takie, jakie powinny być, a nie jakie były. Znałem je lepiej na podstawie dokumentów. On się uniósł. Krzyczał do mnie, pamiętam to jak dziś! A jednak miesiąc później zadzwonił do mnie i powiedział: „Mieliście rację”

– Miał poczucie humoru?

– Nie. Lubił czasem posłuchać dowcipów, ale prawdziwego poczucia humoru nie miał. I nie potrafił śmiać się z siebie, a opowiadanie dowcipów też mu nie bardzo wychodziło. Miał za to niebywałą pamięć do twarzy, do ludzi. I do topografii. W swoich wspomnieniach opisał, jak wracał nielegalnie, przez zieloną granicę, ze Związku Radzieckiego do Polski [w 1935 roku z „Leninówki” – Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej – red.]. Napisał, że nie pamięta, gdzie on tę granicę przekroczył, ale z dużą dokładnością opisał, jak ją przekraczał, jak we wsi się przechowywał przez trzy dni, a potem zaufany chłop przewiózł go w ukryciu do miasteczka, w którym był targ. Zapamiętał, że wszedł do pociągu o dwudziestej drugiej i że ten pociąg o drugiej w nocy był w Wilejce, a o siódmej rano w Wilnie. Wobec tego poszedłem do Archiwum Komunikacji i znalazłem rozkłady jazdy pociągów Dyrekcji Wileńskiej z 1935 roku. I bez trudu ustaliłem, w jakim miejscu Gomułka wszedł do pociągu i jaką trasą jechał. Odnalazłem też rozporządzenie wojewody o dniach targowych i na podstawie jego wspomnień udało mi się ustalić, w jakim dniu on wszedł do tego pociągu.

Do Moskwy z własnym kucharzem

Jesień 1956 roku. Chruszczow wrócił ze świątą do Moskwy, zaakceptował powrót „Wiesława”. Gomułka musi teraz uregulować relacje ze Związkiem Radzieckim. 15 listopada do Moskwy jedzie kierownictwo partii i państwa.

Ale Polacy dobrze pamiętają nagłą śmierć Bieruta w marcu 1956, podczas wizyty w Moskwie. I niepokoją się o bezpieczeństwo „Wiesława”. „Prosimy bardzo o zabranie ze sobą własnego kucharza wraz z całą aprowizacją, a nawet lekarza” – apeluje do Gomułki w anonimowym liście „wierni przyjaciele” z Krakowa.

– Ludzie rzeczywiście obawiali się o ojca, żeby w Moskwie nie stało się z nim coś złego – przypomina sobie Ryszard Strzelecki-Gomułka.

– Obawiał się tego wyjazdu?

– Nie wiem. Nie miał zwyczaju opowiadać po przyjeździe do domu, co się dzieje w pracy.

– A pana matka? Bała się?

– Zawsze była związana z ojcem i zawsze go moralnie wspierała. Ale czy bała się wtedy o jego życie? Trudno mi powiedzieć.

Gomułka odnosi w Moskwie sukces. Uzyskuje umorzenie długu wobec ZSRR i nowy kredyt na 1,4 miliona ton zboża. To ma być zadośćuczynienie za polski węgiel, sprzedawany Związkowi Radzieckiemu w latach 1945–1953 po zaniżonych cenach. Gomułce udaje się też załatwić drażliwą kwestię stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Warszawa ma być informowana o ich ruchach, a nad spornymi kwestiami ma obradować wspólna komisja. W grudniu strona rosyjska zgadza się wynagradzać rządowi PRL wszelkie straty materialne wyrządzane przez stacjonujące w Polsce jednostki radzieckie.

Historyk Paweł Machcewicz: „W dziedzinie stosunków polsko-radzieckich Gomułka nie dał Polakom tego, czego tak gwałtownie domagali się na tysiącach zgromadzeń w całym kraju. Wojska radzieckie miały stacjonować w Polsce dopóty, »dopóki istnieją bazy paktu atlantyckiego w Niemczech Zachodnich, dopóki zbroi się tam nowy Wehrmacht i podszczywa szowinizm i rewizjonizm przeciwko naszym granicom (...)« – jak powiedział I sekretarz w czasie wiecu na placu Defilad. Tyle tylko, że zgodnie z polsko-radzieckim porozumieniem (...) stacjonowanie tych

wojsk miało być teraz poddane różnym ograniczeniom i uregulowaniom, które miały gwarantować polską suwerenność nad radzieckimi oddziałami. Szczególne znaczenie po niedawnych doświadczeniach miał zapis, że wszelkie ruchy wojsk radzieckich poza terenami ich stacjonowania będą wymagały zgody polskich władz”.

Gomułka ustala również w Moskwie rozpoczęcie procesu repatriacji Polaków ze Wschodu. Dzięki temu do 1959 roku do ojczyzny wróci ponad ćwierć miliona Polaków, m.in. byłych żołnierzy Armii Krajowej, armii gen. Andersa, rolników wysiedlonych z terenów zachodnich ZSRR, Polaków z Wileńszczyzny, Białorusi i Ukrainy.

Wracający pociągiem z ZSRR I sekretarz PZPR jest owacyjnie witany na każdej polskiej stacji. W Białej Podlaskiej cywile i żołnierze wchodzi nawet na dach salonki, w której podróżuje Gomułka. Są flagi i kwiaty, chleb i sól, gromkie *Sto lat*. Dla Polaków jest bohaterem, który zwyciężył w negocjacjach z Chruszczowem.

Maria Dąbrowska notowała w swoim dzienniku:

„Powrót Gomułki był jednym pasmem tryumfów już od Terespoła (obecna granica). Tłumy stały na torach, zatrzymując pociąg nawet między stacjami. Gdy dojechali do Warszawy, salonka delegacji pełna była kwiatów, listów, depeš i... zabawek ofiarowanych Gomułce, nawet misie pluszowe i lalki! Wszędzie śpiewano tłumnie: *Sto lat*... Gomułka miał powiedzieć: »Nie wiedziałem, że *Sto lat* to pieśń rewolucyjna«. I tak odtąd istotnie *Sto lat* stało się pieśnią »polskiej rewolucji«”.

Jednak Polacy nie wiedzą, że Gomułce nie udało się uzyskać wszystkiego, co sobie założył. Gdy zażądał od Rosjan zwrotu połowy wydatków na cele zbrojeniowe i strategiczne, zrealizowane pod presją Moskwy przez przemysł PRL – co było m.in. przyczyną załamania się planu sześcioletniego – usłyszał kategoryczne „nie”.

Polacy widzą co innego: 13 listopada Biuro Polityczne wydaje komunikat o ustąpieniu marszałka Rokossowskiego ze stanowiska ministra obrony. Obejmuje je gen. Marian Spychalski.

Rokossowski wraz z dziewiętnastoma sowieckimi generałami i dwudziestoma pięcioma innymi oficerami, dotychczasowymi doradcami,

opuszcza Polskę.

Na wysokie stanowiska w Wojsku Polskim wracają oficerowie represjonowani w czasach stalinowskich. Spychalski przywraca polskie tradycje w wojsku, awansuje też generałów, którzy w październiku gotowi byli walczyć z Armią Radziecką (gen. Jan Frey-Bielecki zostaje dowódcą lotnictwa, a kontradmirał Jan Wiśniewski – marynarki).

Paweł Machcewicz: „W Październiku masowa mobilizacja opierała się na proteście – przeciw radzieckiej interwencji wojskowej, przeciw zależności Polski od Związku Radzieckiego, przeciw prześladowaniu Kościoła i religii, przeciw władzy bezpieki. Gomułka spełnił – lub wydawało się, że może spełnić – istotną część postulatów. Alternatywa wobec tego, przeciw czemu występowano, rysowała się słabo. Zachód – kapitalizm i demokracja parlamentarna – na poziomie masowym nie był wcale powszechnie funkcjonującym i przywoływanym wzorcem”.

Polacy otrzymują jednak spory zastrzyk wolności. Władze godzą się na wznowienie „Tygodnika Powszechnego”, zamkniętego w marcu 1953 roku za odmowę napisania artykułu pośmiertnego ku czci Józefa Stalina. Na czele redakcji staje znowu Jerzy Turowicz. Krakowska inteligencja katolicka może znowu wydawać miesięcznik „Znak”. A w 1958 roku w Warszawie zacznie wychodzić katolicka „Więź” pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego.

W powszechnej euforii uwadze Polaków uchodzi, że Gomułka popiera brutalną i krwawą interwencję armii sowieckiej na Węgrzech. Choć na początku konfliktu nad Dunajem zamierza wydać odezwę do Polaków sprzeciwiającą się inwazji ZSRR, zmienia zdanie. W sprawie Węgier przedstawiciel Polski w ONZ głosuje na sesji organizacji tak jak ZSRR. Gomułka obawia się podobnej masakry w Polsce. W maju 1957 roku, na IX Plenum, tłumaczy, że ingerencja sowiecka na Węgrzech była „smutną, lecz nieuniknioną koniecznością”.

Koniec złudzeń

Styczeń 1957 roku. Zdjęcie w „Trybunie Ludu”: towarzysz „Wiesław” zmierza pewnym krokiem do lokalu wyborczego, by oddać głos w wyborach

do nowego Sejmu PRL. Wcześniej wielokrotnie wzywa, by – mimo że wyborcy mają do tego prawo – nie skreślać żadnych kandydatów na listach i głosować na „czołowych kandydatów rządu i partii”

Maria Dąbrowska w swoich dziennikach zanotowała, że te apele Gomułki wywarły na niej „piorunujące wrażenie”: „Nic znowu nie rozumiem, bo tym samym Gomułka, główny »bohater« Października, przekreślił jedno z głównych osiągnięć tegoż Października, jakim było poprawienie ordynacji wyborczej w kierunku pewnej swobody wyboru między kandydatami, których liczba jest większa niż liczba przewidzianych mandatów? Właściwie Gomułka tym wezwaniem przekreślił całą praworządność, na której miała być oparta październikowa »odnowa życia«”



Władysław Gomułka wraz z rodziną wraca do domu po głosowaniu w wyborach do Sejmu w styczniu 1957 roku. Po lewej żona Zofia

W nowym Sejmie, z łaski władzy, znajduje się pięciu posłów katolickich. Wśród nich Stefan Kisielewski. Już po pierwszym posiedzeniu jest zawiedziony. Powtarza dowcip, że Polska przed Październikiem to był zepsuty samochód, a po Październiku – to ten sam grat, tylko ze zreperowanym klaksonem. Tym klaksonem ma być rzekomo Sejm, który

„coś wcale nie za głośno trąbi”

Kisielewski wie, co mówi: „Wiesław” wrzuca już bieg wsteczny. Rezygnuje z rozliczeń w szeregach partii, uznając, że to może ją osłabić. Nie pociąga do odpowiedzialności nawet tych funkcjonariuszy bezpieczeństwa, którzy stali za jego zatrzymaniem i uwięzieniem. Bo to nie kalkulowałoby się politycznie.

Nie pozwala też na powszechne dochodzenie w sprawie przestępstw organów bezpieczeństwa. Choć do prokuratur wpływa kilkanaście tysięcy doniesień przeciwko byłym ubekom, w akty oskarżenia przemieniają się tylko nieliczne. Przed sądami staje zaledwie kilkunastu najbardziej brutalnych oficerów MBP i wojskowego Głównego Zarządu Informacji.

Gomułka rozgrzesza funkcjonariuszy bezpieczeństwa: „Ja rozumiałem zasadniczo, robili to z przekonania, bo im poleciło kierownictwo partii, i robili. I dlatego ja do nich mam mieć za to pretensje, jak oni uwierzyli, że słusznie robili, choć niesłusznie robili?”

I sekretarz nie słucha sugestii prokuratorów, by zweryfikować cały aparat bezpieczeństwa. Nie chce zrezygnować z bezpośredniego zwierzchnictwa partii nad policją polityczną.

Cała odpowiedzialność za zbrodnie MBP spada na generała Romana Romkowskiego, jednego z nadzorców działań bezpieczeństwa do 1954 roku, a także na Anatola Fejgina, b. dyrektora X Departamentu MBP, Józefa Różańskiego – brutalnego śledczego MBP i kierownika grupy rozpracowującej „gomułkowszczyznę” – oraz na zbiegłego na Zachód Józefa Światłę, byłego wiceszefa X Departamentu MBP. 11 listopada 1956 roku sąd w Warszawie skazuje Romkowskiego na piętnaście lat więzienia, Różańskiego na czternaście, a Fejgina na dwanaście.

Żaden z nich nie odsiedzi jednak wyroku do końca. W 1964 roku Rada Państwa przychyli się do opinii Władysława Gomułki i wszystkich ułaskawi.

„Wiesław” nie zamierza też roztrząsać niedawnych tragicznych wydarzeń w Poznaniu. Gdy 5 czerwca 1957 roku – niemal w rocznicę „czarnego czwartku” – gości wśród robotników Zakładów im. Hipolita Cegielskiego, ostrzega robotników: „Na pobojuwisku żerują nieraz szakale. Na czarnym

poznańskim czwartku usiłuje zerować czarna reakcja. Tego żeru należy ją pozbawić”

Mówiąc o poległych w Poznaniu, zaznacza: „Z tej tragedii nie wolno robić bohaterstwa. Zdarzają się nawet w rodzinach tragiczne wypadki. I chociaż rodzina dotknięta takim nieszczęściem nigdy o nim zapomnieć nie może, to zawsze stara się jak najgłębiej zapuścić nad swoją tragedię żałobną kurtynę milczenia”

W kraju narasta niezadowolenie z polityki nowego szefa partii. Zaczynają się strajki zakładów pracy. W marcu 1957 roku stają Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Bydgoszczy. Pracownicy chcą podwyżki płac, jadą na spotkanie z Gomułką do Warszawy. Sekretarz nie pozostawia im złudzeń: stan gospodarki nie pozwala na wzrost wynagrodzeń.

„Jest takie przysłowie: jeżeli się mieszka w szklanym domu, to nie trzeba rzucać kamieniem” – poucza delegatów z ZNTK Gomułka. I dodaje: „Państwo socjalistyczne to właśnie jest ten szklany dom klasy robotniczej i nie trzeba w niego rzucać kamieniem”

Lato 1957 roku. Fala strajków w zakładach przemysłowych Poznania, Bydgoszczy, Warszawy, Wrocławia i Łodzi. W sierpniu 1957 roku strajkują też łódzcy tramwajarze. Miasto przez dwa dni jest sparaliżowane. Gomułka uważa, że protestujący dali posłuch „grupie warchołów”. Milicja bije strajkujących pałkami, zmuszając ich do przerwania protestu. Gomułka kwituje rzecz krótko: „Po dwóch dniach, widząc, że cała Łódź robotnicza obraca się przeciwko nim, warcholi skapitulowali i tramwajarze podjęli pracę”

Niektórzy historycy uważają rozprawę z łódzkim strajkiem za początek końca Października. Inni wskazują na usunięcie w 1957 roku z pracy około 150 dziennikarzy, uznanych przez partię za antyradzieckich.

Już miesiąc po VIII Plenum Gomułka mówi o mediach: „Trzeba im będzie wyperswadować bzdurną myśl, że oni są jakimś drugim, równorzędnym czy nawet nad kierownictwem stojącym czynnikiem, bo tym oni nie są i być nigdy nie mogą!”

W grudniu 1956 roku, podczas spotkania z władzami Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, szef partii sprzeciwia się dalszej krytyce władzy przez

dziennikarzy – i tym samym dalszej demokratyzacji. „Proces demokratyzacji polega głównie na tym, że można swobodnie dyskutować w organizacjach partyjnych” – klaruje „Wiesław” dziennikarzom.

Władze likwidują liczne pisma studenckie – dzieci odwilży – upatrując w nich źródeł „fermentu”. Uderzają też w wydawnictwa publicystyczne. Cenzura coraz ostrzej ingeruje w teksty tygodnika „Po Prostu”. I to likwidację „tygodnika studentów i młodej inteligencji” we wrześniu 1957 roku uważa się za symboliczny koniec Października.

W październiku 1957 roku, niemal w rocznicę Października, kilkutyśięczne protesty studentów na placu Narutowicza i w Politechnice Warszawskiej zostają rozbite i rozpędzone przez ZOMO i MO. Władza traktuje demonstrantów pałkami i granatami z gazem łzawiącym. W walkach z milicjantami ginie dwóch demonstrantów.

Atmosfera w niczym nie przypomina już radosnego uniesienia, którym żył kraj pod koniec 1956 roku.

– Oczekiwania dziennikarzy „Po Prostu” rozeszły się z Gomułką w sprawie pluralizmu politycznego. Oni szli za daleko – komentuje prof. Werblan. – Powiem panu coś: Gomułka na początku 1956 roku chciał pójść trochę dalej. Myślał o systemie wyborczym, w którym autentycznie wybierano by spośród zgłoszonych kandydatów. Wycofał się z tego pod wpływem wydarzeń węgierskich, zdławienia siłą Węgier przez ZSRR. To był bardzo pragmatyczny polityk.

Do końca wierzył w socjalizm

Gdy po masakrze robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku Władysław Gomułka traci władzę i ląduje na bocznym torze, Ryszard Strzelecki-Gomułka pracuje w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Zostaje wiceministrem, potem radcą handlowym w Londynie. Podobnie jak Władysław Gomułka z niepokojem obserwuje zadłużanie kraju przez ekipę Gierka. – Już w 1973 roku wiedziałem, że zachodnie kredyty są nie do spłacenia – opowiada.

Syn „Wiesława” broni swojego ojca. Uważa, że w 1970 roku na Wybrzeżu

wystąpiły „silne elementy prowokacji ze strony Związku Radzieckiego”. Że towarzysze w Moskwie obawiali się, że po uznaniu przez Niemiecką Republikę Federalną polskiej granicy na Odrze i Nysie kierownictwo Polski zorientuje się na współpracę z Zachodem i być może wybije na niezależność.

– To był sukces życiowy mojego ojca. Ale to był też sukces Polski! – i tłumaczy, że dlatego Rosjanie sprowokowali zamieszki w Gdańsku, do spółki z Franciszkiem Szlachcicem i ekipą Edwarda Gierka. A Breżniew wywierał na Gomułkę presję, by jak najszybciej stłumić protesty.

– Zgadza się pan z opinią historyków, że Władysław Gomułka odpowiada za rozkaz strzelania do ludzi?

– Tego nie wiem – mówi ostrożnie syn „Wiesława” – Ale przypuszczam, że wiedział o tym, że jeżeli dochodzi do rabowania sklepów i napadów na urzędy, należy dać strzał ostrzegawczy w górę, a jeśli strzelać, to tylko w nogi.

Strzelecki-Gomułka jest przekonany, że w Październiku jego ojciec chciał utrzymania socjalizmu w Polsce. I że stawiane mu dzisiaj przez historyków zarzuty, jakoby szybko zatrzymał pozytywne zmiany w Polsce, nie uwzględniają szerszych uwarunkowań ówczesnej sytuacji.

– Z perspektywy czasu uważam, że w opozycji zwykle jest się bardziej emocjonalnym. A kiedy przychodzi się do rządu, spotyka się z realiami codziennego życia, sytuacją kraju. I nie wszystkie rzeczy, których zmiany zapowiadało się w opozycji, mogą być zmienione. Tak to wtedy rozumiałem. Ojciec jednak wierzył w socjalizm i nie chciał odejścia od niego. Chciał, żeby system był bardziej łagodny, żeby była wolność w dziedzinie kultury, w nauce. A w dziedzinie politycznej chciał, by to partia decydowała, jak ten socjalizm budować w Polsce.

– To miał być „socjalizm z ludzką twarzą”? Albo „polska droga do socjalizmu”?

– Było takie określenie. Dlatego, że to, co działo się w Polsce, nie wydarzyło się w innych krajach demokracji ludowej.

Podkreśla, że jego ojciec zapobiegł tragedii podobnej do tej, jaka wydarzyła się jesienią 1956 roku na Węgrzech.

– A co pan sądzi o socjalizmie?

– Był piękną ideą, ale niedostosowaną do sytuacji i zachowań człowieka. Bo człowiek pracuje wydajniej nie wtedy, kiedy pracuje dla zespołu, tylko gdy pracuje dla siebie. W związku z tym wydajność w świecie socjalizmu była niższa niż wydajność w świecie kapitalizmu, gdzie właściciel wymuszał lepszą pracę. A kto lepiej pracował, mógł liczyć na jakieś awanse.

Syn jest w tym podobny do ojca. Władysław Gomułka miał kiedyś powiedzieć, że ciężko jest rządzić polskimi robotnikami, bo „chcą zarabiać jak na Zachodzie, a pracować jak na Wschodzie”.

– Wydaje mi się, że do końca życia ojciec nie odszedł od idei socjalizmu. Wierzył, że ten ustrój przetrwa. I może być lepszy niż ustrój wolnorynkowy. Niestety, życie pokazało, że socjalizm był gospodarczą utopią. Może za kilkaset lat, za kilkanaście pokoleń lud do tego dojrzeje – zastanawia się Ryszard Strzelecki-Gomułka.

Co zostało po „Wiesławie”? Syn ma kilka rękopisów jego publicznych wystąpień. I kilkanaście tomów Słownika Języka Polskiego, z których korzystał I sekretarz, przygotowując swoje przemówienia. Przez całe życie był wszak samoukiem, w szkole uczył się tylko do trzynastego roku życia. Jest też trochę zdjęć z rodziną. Na jednym Władysław Gomułka z synem podczas wakacji na Krymie w 1957 roku.

„Nie był zbrodniarzem takim jak Bierut i nie był jak on bezwarunkowo oddany Moskwie. Niemniej jednak był odpowiedzialny za wszystko, co wydarzyło się w kraju w ciągu czterech pierwszych lat władzy komunistycznej” – napisał o Gomułce prof. Jerzy Eisler, autor książki o pierwszych sekretarzach KC PZPR. Jego zdaniem, poza haniebnym Marcem 1968 roku, tragedią na Wybrzeżu i udziałem w interwencji w Czechosłowacji, na życiorys Gomułki składają się także rzeczy, które były korzystne dla Polski: układ z RFN z 1970 roku, walka z kolektywizacją polskiego rolnictwa, integracja Ziemi Odzyskanych z resztą kraju. „Wszelako w żadnym razie zasługi te nie pozwalają uznać Gomułki za pozytywnego bohatera swoich czasów” – puentuje historyk.

– Czy powstrzymanie kolektywizacji to mała sprawa? – pyta prof. Werblan. – Zostaliśmy dzięki temu na trwałe innym krajem niż reszta obozu socjalistycznego. I dziś Polska ma inne rolnictwo. Z Komańczy wrócił prymas

i stosunki z Kościołem też już na stałe pozostały inne. Inna była pozycja Kościoła, biskupi już nigdy więcej nie siedzieli w więzieniach. Po trzecie, przed 1956 rokiem w Polsce nigdy nie było mniej niż 2–3 tysiące więźniów politycznych. Po 1956 roku, aż do 1968, liczba osób, które dałoby się zakwalifikować jako więźniów politycznych, nigdy nie była większa niż 10. Pod tym względem Polska Gomułki była również zupełnie inna od reszty krajów socjalistycznych, w których liczba więźniów politycznych szła w tysiące. Naprawdę byliśmy najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym.

Lęk przed „Solidarnością”

Za rządów Gierka Gomułka był już politycznym emerytem. Na „Solidarność” patrzył z lękiem. – Ostatni raz byłem u niego w lutym lub marcu 1981 roku. Uważał, że „Solidarność” to ruch populistyczny, demagogiczny. I że to musi się skończyć interwencją radziecką – dopowiada prof. Werblan.

„Wiesław” poparł stan wojenny, choć nie bez zastrzeżeń. Walczył wtedy z rakiem płuc. Choroba czyniła szybkie postępy, zmarł 1 września 1982 roku. Władze partyjne pożegnały go 6 września pochówkiem w Alei Zasłużonych na Powązkach.

U schyłku życia Władysław Gomułka powtarzał, że Polskę szlachecką zgubiła magnateria, a Polskę międzywojenną burżuazja. Obawiał się, że Polskę Ludową „zgubi” klasa robotnicza. Nie pomylił się.

Październik 1956

„WISŁĘ” KUPISZ W STACJI OBSŁUGI

Już w najbliższy poniedziałek ukażą się w sprzedaży telewizory „Wisła”, produkcji Warszawskich Zakładów Telewizyjnych. Na razie polskie telewizory sprzedawać będą tylko dwie Stacje Obsługi Telewizyjnej: przy ul. Nowy Świat i Nowotki.

Klienci będą tu mieli fachową obsługę. Na miejscu otrzymają wszystkie potrzebne wyjaśnienia i dowiedzą się, jak należy się obchodzić z aparatem. Zakupione telewizory będą odwożone pod wskazany adres i instalowane przez pracowników SOT.

Cena krajowego telewizora przy sprzedaży gotówkowej wynosi 4000 zł. Przy sprzedaży ratalnej (10 rat) dolicza się 200 zł.

„Trybuna Ludu”, 6 października 1956

WYROK ZA LINCZ

Poznań. Dnia 8 bm. Sąd Wojewódzki ogłosił wyrok w procesie Józefa Foltynowicza, Kazimierza Żurka i Jerzego Sroki – oskarżonych o popełnienie przestępstw w czasie wypadków poznańskich, o udział w bestialskim pobiciu funkcjonariusza Woj. Urzędu Bezpieczeństwa kpr. Zygmunta Izdebnego, w wyniku czego Izdebnny zmarł, oraz w rabowaniu kiosków na poznańskim Dworcu Głównym. Żurek i Sroka oskarżeni byli ponadto o napady i demolowanie gmachów publicznych.

Sąd skazał: Foltynowicza na 4 lata i 6 miesięcy więzienia, Srokę na 4 lata i 6 miesięcy, a Żurka na 4 lata więzienia (...). Wszystkich oskarżonych Sąd uznał winnych udziału w katowaniu kpr. Izdebnego i rabunkach kiosków, a osk. Żurka również za winnego udziału w demolowaniu gmachów Sądu i Prokuratury. Osk. Srokę z zarzutu zamachu na więzienie na ul. Młyńskiej

Sąd uniewinnił (...)

„Trybuna Ludu”, 10 października 1956

DWA WAGONY MANNY

Do Warszawy dostarczono ostatnio 2 wagony (około 25 ton) kaszy manny. Wczoraj rozpoczęły się dostawy kaszy do sklepów. Dziś rano kasza manna powinna się znaleźć we wszystkich punktach sprzedaży.

„Trybuna Ludu”, 12 października 1956

NALOT CHRUSZCZOWA

Dnia 19 października br. przybyła do Warszawy delegacja KC KPZR w celu omówienia z Biurem Politycznym KC PZPR aktualnych zagadnień interesujących obie partie. W skład delegacji KC KPZR wchodził członkowie Prezydium KC KPZR, tow.: N.S. Chruszczow – przewodniczący delegacji, Ł.M. Kaganowicz, A.I. Mikojan, W.M. Mołotow. (...)

W naradach uczestniczył tow. Wł. Gomułka. Narady toczyły się w atmosferze partyjnej i przyjacielskiej szczerości. Ustalono, że w najbliższym czasie delegacja Biura Politycznego KC PZPR uda się do Moskwy w celu omówienia z Prezydium KC KPZR zagadnienia dalszego pogłębiania współpracy politycznej i gospodarczej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Związkiem Radzieckim (...).

„Trybuna Ludu”, 21 października 1956

NARÓD WSŁUCHANY W PLENUM

Zarówno w stolicy jak i w całym kraju z wielkim zainteresowaniem śledzi naród polski obrady plenum KC PZPR. Szerokim echem odbił się w społeczeństwie komunikat radiowy o powołaniu w skład Komitetu Centralnego PZPR Władysława Gomułki – Wiesława, Zenona Kliszki, Ignacego Logi-Sowińskiego i Mariana Spychalskiego. Popołudniowe pisma, które zamieściły tę informację, znikły z kiosków już w kilkanaście minut po ukazaniu się w sprzedaży. W niezliczonych rozmowach i dyskusjach, na zebraniach partyjnych, na wiecach i naradach – ich uczestnicy wyrażają

głębokie zadowolenie z powrotu tow. Władysława Gomułki do kierownictwa partii. (...)

Załoga Warszawskiej Fabryki Motocykli podjęła na zebraniu rezolucję – list do VIII Plenum KC, w którym podkreśla konieczność jawności życia politycznego i gospodarczego. Robotnicy WFM uważają, że wszyscy członkowie partii muszą być dokładnie informowani o wszelkich sprawach dotyczących naszego kraju i powinni znać stanowiska, jakie zajmują poszczególni członkowie KC w odniesieniu zagadnień zasadniczej wagi dla partii i narodu. (...)

W dalszym ciągu listu do Plenum KC robotnicy WFM wyrażają pełne zadowolenie z faktu powrotu tow. Gomułki do kierownictwa partii i podkreślają, że powinno ono zdecydowanie i odważnie walczyć o dobro narodu polskiego i klasy robotniczej (...).

„Trybuna Ludu”, 21 października 1956

JAK GOŹDZIK Z GOMUŁKĄ

W imieniu przybyłych delegacji przemówił L. Goździk, sekretarz organizacji partyjnej w Fabryce Samochodów Osobowych. „Spodziewamy się wiele od VIII Plenum – powiedział. – Gotowi jesteśmy poprzeć nakreślony przez Komitet Centralny program działania. Wiele krzywd wyrządził miniony okres klasie robotniczej i w walce o przemiany towarzysze mogą na nas liczyć”

W odpowiedzi na przemówienie tow. Goździka wystąpił Władysław Gomułka. Stwierdził on, że nie ma i nie może być nic ważniejszego dla Komitetu Centralnego jak zaufanie klasy robotniczej. Deklarowane poparcie dla linii KC będzie bardzo cenne. Chodzi jednak o to, aby nie ograniczało się wyłącznie do słów – ale miało pokrycie w czynach i postawie.

Tow. Gomułka przyznał szczerze, że ani KC, ani nowo wybrane Biuro Polityczne nie będzie mogło już dzisiaj spełnić wszystkich żądań i wymagań klasy robotniczej. Nie wchodzi w grę dobra czy zła wola, istnieją ogromne problemy ekonomiczne, nad którymi pracować będzie Komitet Centralny, rząd wraz z klasą robotniczą. Tow. Gomułka mówił o popełnianych nieprawidłowościach, o nierealizowaniu zadań podjętych wobec klasy

robotniczej, o co ma ona słusne pretensje. Ale wielu z jej postulatów nie możemy już na dziś zrealizować. Trzeba tę gorzką i trudną prawdę powiedzieć szczerze, iść do klasy robotniczej z otwartym czołem, wyjaśniając, że polityka partii będzie w zgodzie z interesami robotników i o jej urzeczywistnieniu zdecyduje również postawa klasy robotniczej (...).

„Trybuna Ludu”, 22 października 1956

TOWARZYSZ „WIESŁAW”: ZŁO BYŁO W NAS

Kosztom wielkich nakładów inwestycyjnych zbudowaliśmy fabrykę samochodów osobowych na Żeraniu. Powstał nowy zakład produkcyjny, który przy niewspółmiernie wysokich kosztach produkcji wypuszcza nikłe ilości samochodów starego typu, pożerających dużo paliwa, takich, jakich chyba nikt już dzisiaj na świecie nie produkuje. Czy zbudowanie takich zakładów można nazwać osiągnięciem, zwiększeniem mocy produkcyjnej naszego przemysłu? Jakie korzyści osiąga z tego gospodarka narodowa?

Ogólnie oceniając, po ukończeniu planu sześcioletniego, który według założeń miał podnieść wysoko poziom życiowy klasy robotniczej i całego narodu, znaleźliśmy się dzisiaj w pierwszym roku planu 5-letniego w obliczu trudności gospodarczych, które z dnia na dzień ciągle narastają. (...)

Klasa robotnicza dała ostatnio kierownictwu partii i rządowi bolesną nauczkę. Robotnicy Poznania chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulice w czarny czwartek czerwcowy zawołali wielkim głosem: – Dosyć! Tak dalej nie można! Zawrócić z fałszywej drogi! (...)

Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą. (...)

Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów.

Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej. Gdyby agenci

i prowokatorzy mogli natchnąć klasę robotniczą do działania, to wrogowie Polski Ludowej, wrogowie socjalizmu mieliby bardzo ułatwione zadania, mogliby łatwo osiągnąć swoje cele. Rzecz w tym, że tak nie jest. (...)

Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia klasy robotniczej tkwią w nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. Sześcioletni plan gospodarczy, reklamowany w przeszłości z wielkim rozmachem jako nowy etap wysokiego wzrostu stopy życiowej, zawiódł nadzieje szerokich mas pracujących. (...)

Fragment przemówienia Władysława Gomułki wygłoszonego podczas VIII Plenum KC PZPR. Cyt. za: „Trybuna Ludu”, 22 października 1956

WOJSKO: REHABILITOWAĆ ROZSTRZELANYCH

(...) W liście do VIII Plenum członkowie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Wojskowym Sądzie i Prokuraturze w Szczecinie wyrażają pełne poparcie dla ogólnej linii partii, w liście czytamy m.in. (...)

Jako wojskowi – domagamy się w szczególności spowodowania pełnej publicznej rehabilitacji 19 wyższych oficerów Wojska Polskiego niewinnie rozstrzelanych w związku z procesami generałów Wojska Polskiego.

„Trybuna Ludu”, 23 października 1956

WYSKOKI WE WROCŁAWIU

Jak nas telefonicznie w ostatniej chwili informuje nasz korespondent z Wrocławia, miały tam wczoraj wieczorem miejsce wystąpienia zalatujące demagogią nacjonalistyczną i antyradziecką. Klasa robotnicza i społeczeństwo Wrocławia zdaje sobie jasno sprawę z tego, komu służyć mogą podobne nieodpowiedzialne wyskoki, i z oburzeniem je piętnuje.

„Trybuna Ludu”, 24 października 1956

NARESZCIE CZTERY

Wiec załogi fabryki im. Gen. Świerczewskiego był jednym z wielu, które w dniu wczorajszym odbywały się w warszawskich fabrykach. I podobnie jak na wszystkich innych wiecach robotnicy „Świerczewskiego” z radością

i entuzjazmem przyjęli wieści o wynikach obrad Plenum. O przemówieniu tow. Gomułki powiedzieli:

– To jest prawdziwa ocena i słuszny program. Dwa razy dwa to nareszcie cztery.

Jakże to zebranie odbiegało od tych zgromadzeń ludzi obojętnych, które obserwowaliśmy do niedawna. Repliki, głosy i okrzyki padające z tłumu, żywa reakcja na każdą wypowiedzianą myśl – świadczyły o poczuciu odpowiedzialności zgromadzonych za postawę załogi w tej ważnej dla kraju sprawie.

„Trybuna Ludu”, 24 października 1956

OSKARŻENIA DO REWIZJI

Generalna Prokuratura PRL zarządziła zrewidowanie wszystkich aktów oskarżenia wniesionych do sądu przeciwko sprawcom przestępstw popełnionych w czasie wypadków poznańskich.

Równocześnie Prokuratura wystąpiła do sądu o zwolnienie z aresztu tymczasowego tych wszystkich osób, na których nie ciążyą zarzuty zabójstwa lub rabunków.

„Trybuna Ludu”, 25 października 1956

GOMUŁKA: DOŚĆ WIECOWANIA!

Warszawa nie widziała jeszcze takiego wiecu. Jedni oceniali liczbę zebranych 24 bm. na Placu Defilad na 300 tysięcy, inni nawet na 400 tys. Robotnicy, młodzież, inteligencja, żołnierze przybyli na wiec, aby manifestować swe gorące serdeczne poparcie dla nowo wybranego kierownictwa Partii, na czele którego stanął tow. Władysław Gomułka. (...) Poniżej podajemy wygłoszone na wiecu przemówienie I Sekretarza KC PZPR (...):

Towarzysze! Obywatele! Ludu pracujący stolicy!

(...) W ciągu ubiegłych lat nagromadziło się w życiu Polski wiele zła, nieprawości i bolesnych rozczarowań. Idee socjalizmu, przeniknięte duchem wolności człowieka i poszanowania praw obywatela, w praktyce uległy głębokim wypaczeniom. Słowa nie znajdowały pokrycia w rzeczywistości.

(...)

Robotnicy i pracownicy wszystkich dziedzin gospodarki narodowej, pomóżcie partii i rządowi w wielkim dziele ulepszenia socjalistycznej ekonomiki Polski Ludowej! (...)

Dalsze podwyżki zarobków są możliwe jedynie pod warunkiem zwiększenia masy towarów szerokiego spożycia, jedynie pod warunkiem obniżenia kosztów produkcji. (...)

Tylko od naszego uznania zależy, czy i na jaki okres jeszcze niezbędni są w naszym wojsku radzieccy specjaliści i doradcy wojskowi (długotrwałe oklaski).

Równocześnie uzyskaliśmy od tow. Chruszczowa zapewnienie, że wojska radzieckie na terenie Polski w ciągu dwóch dni wrócą do swych miejsc stacjonowania, w których przebywają na podstawie umów międzynarodowych w ramach paktu warszawskiego (owacje). (...)

Dzisiaj zwracam się do ludu pracującego Warszawy i całego kraju z wezwaniem: dość wiecowania i manifestacji! Czas przejść do codziennej pracy, ożywionej wiarą i świadomością, że partia zespolona z klasą robotniczą i narodem poprowadzi Polskę po nowej drodze do socjalizmu.

„Trybuna Ludu”, 26 października 1956

BUDAPESZT WALCZY

W Budapeszcie w niektórych rejonach powstańcy nadal utrzymują różne obiekty, nie składając broni. Już od szóstej rano trwają walki w okolicy ulicy Mesed, gdzie do godz. 13 kilka grup złożyło broń, pozostałe toczą walki. (...)

W poszczególnych miastach i ośrodkach organizują się nowe władze lokalne, popierające premiera Nagy. (...) W ośrodkach granicznych wojska radzieckie zachowały neutralność. Walki powstańców mają charakter polityczny i nie-antysocjalistyczny, jakkolwiek działają wśród nich uzbrojone grupy reakcyjne.

„Trybuna Ludu”, 29 października 1956

ŻÓŁTE FIRANKI DLA WSZYSTKICH

Popularnie zwane sklepy za żółtymi firankami, będące wyrazem uprzywilejowania pewnych grup pracowniczych i ich rodzin, będą odtąd otwarte dla wszystkich i zarządzane przez prezydium rad narodowych.

„Trybuna Ludu”, 29 października 1956



POWRÓT PRYMASA

W wyniku rozmowy, przeprowadzonej przez przedstawicieli Partii i Rządu w osobach Władysława Bieńkowskiego i Zenona Kliszki z ks. kardynałem Stefanem Wyszyńskim, ks. prymas kardynał Wyszyński wrócił do stolicy i objął urządowanie.

W rozmowie ustalono m.in. że pożądanym jest w najbliższym czasie powołanie wspólnej komisji przedstawicieli Rządu i Episkopatu, której zadaniem będzie rozpatrywanie spraw z zakresu stosunków między państwem i kościołem, wymagających uregulowania.

„Trybuna Ludu”, 30 października 1956

Z Węgier przywiozłam męża

– Czuprynę miał bardzo wysoką – Barbara Liszewska uśmiecha się nad zdjęciem męża z jesieni 1956 roku. Rozstawia na stole filiżanki z herbatą i sernik.

– A tu widać moją przyszłą żonę, to ta dziewczyna w chuście. Dopiero co przyjechaliśmy do Budapesztu. Tu stoimy pod pomnikiem Petőfiiego. A tu widzi pan naszą grupę w drodze na manifestację – Edward Liszewski, wysoki, szczupły 81-letni mężczyzna, wykłada na stół czarno-białe fotografie. – Te zdjęcia robił mój kolega Stefan Kowalski, też warszawiak. Jako jedyny z naszej grupki miał wtedy aparat. Zmarł w ubiegłym roku w Poznaniu.

Na fotografiach widać ludzi w płaszczach maszerujących szeroką ulicą. Na czele mężczyźni z węgierskimi flagami. – Nie jestem pewny, ale jedna z tych flag była nasza, polska – mówi.

Kolejne zdjęcia: grupa Polaków na tle powstańczego czołgu. – Tu stoją węgierski oficer, czołgista i nasi: Malinowski, Skroński, Kierzkowski, Borstern.

Następne: barykada z przewróconych tramwajów. Na innym widać Polaków pod resztkami pomnika Stalina; z dyktatora pozostały tylko spiżowe stopy.

Na następnym zdjęciu drzewo, na nim zmasakrowany człowiek. Liszewski: – To był awosz [od skrótu AVH, Allamvedelmi Hatosag, Urząd Bezpieczeństwa Państwa – red.], pracownik służby bezpieczeństwa, ofiara samosądu.

– Na szyi miał tablicę, wypisali, ile zarabiał – dorzuca pani Barbara.

– A ten ostrzelany budynek to Dom Partii – Liszewski pokazuje zdjęcie fasady budynku, w murze – dziury. – Tam się bronili oficerowie węgierskiej bezpieki.

Do antychrystów nie pojedziesz

Oboje są warszawiakami, urodzili się w 1934 roku. Barbara Liszewska, z domu Ładyńska, przeżyła okupację na Powiślu. Gdy wybuchło powstanie, była ze starszym bratem na wakacjach u rodziny w Rawie Mazowieckiej. Miała wtedy dziesięć lat, ale pamięta „te ciągłe alarmy, uciekanie do schronu”

Po powstaniu, w którym spłonęło jej rodzinne mieszkanie na Dobrej, zamieszkała z rodzicami w podwarszawskich Włochach. Tu ukończyła szkołę handlową, a potem pracowała w księgowości Zakładów Przyrządów Pomiarowych „Era”

Edward Liszewski mieszkał po drugiej stronie Wisły, na Pradze. Tam się urodził i wychował, tam przeżył okupację. – Raz Niemcy zgarnęli mnie podczas łapanki, to było w 1943 roku. Zapędzili nas do dawnych koszar 36. Pułku Piechoty na ul. 11 Listopada. Stałem z rękoma podniesionymi w górę, ale nie bałem się. Mnie, wtedy dziewięciolatka, bardziej interesował wycelowany w nas karabin.



Edward i Barbara Liszewscy są warszawiakami, urodzili się w 1934 roku

Po wojnie ukończył Gimnazjum i Liceum im. Władysława IV, jedną z najlepszych szkół średnich w stolicy, i zastanawiał się, co dalej. – Chciałem być kolejno: historykiem, uczyć się w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, być leśnikiem, a później geologiem, bo interesowało mnie chodzenie po górach, skały i pieczary. Ale w końcu z kolegami doszliśmy do wniosku, że dla mężczyzny najlepsza jest politechnika. Najlepiej być inżynierem, budować drogi, lotniska i mosty.

Ojciec Liszewskiego był cenionym tokarzem w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, podobnie jak dziadek i jego bracia. Przed I wojną światową był też działaczem niepodległościowym. Gdy poszukiwała go carska policja, spakował się i ukrył w głębi Rosji. W ten sposób zwiedził m.in. Tallin i Piotrogród [Petersburg – red.], by zakończyć wojażę na Saratowie nad Wołgą, gdzie zastała go rewolucja.

Podróże ojca miały wpływ na wybór życiowej drogi Edwarda. W 1951 roku zdał maturę. Między krajami bloku komunistycznego ruszyła wtedy wymiana studencka. Liszewski – prymus w swojej klasie licealnej – chciał być inżynierem. Jego rodzice zostali wezwani przez wychowawczynię, profesor Błońską, i otrzymali propozycję wyjazdu syna na studia za granicą. Dokąd? Tego jeszcze wtedy nie mówiono.

– Pamiętam tę naradę rodzinną – opowiada Liszewski. – Ojciec, który miał za sobą pobyty w Rosji, nie był entuzjastą, mama pręcej. Zdecydowała jedna sprawa: po powstaniu w Warszawie były nędzne warunki mieszkaniowe. Nasz dom na Pradze rozleciał się podczas walk w 1945 roku. Od tamtej pory mieszałyśmy kątem – trzy rodziny w jednym mieszkaniu. Po dwóch, trzech dniach wraz z rodzicami daliśmy odpowiedź, że się zgadzamy: „Niech Edziu jedzie ze granicę”.

Sugerowano mu wyjazd do ZSRR, NRD (na politechnikę do Lipska), na Węgry lub do Bułgarii.

– To było zaledwie sześć lat po wojnie, w Warszawie żywa była jeszcze nienawiść do Niemców – mówi pan Edward. – Ale ostatecznie zdecydowaliśmy: „co technika niemiecka, to niemiecka”. Złożyłem papiery do Lipska, podobnie jak mój kolega Tadeusz. Ale kiedy okazało się, że mogę

tam pojechać tylko sam, to się rozmyśliłem. W ministerstwie na mnie nakryczano: co ja sobie myślę, że tyle tygodni oni się starali, a ja lekką ręką rezygnuję z wyjazdu. Ale zrozumieli moją niechęć do Niemiec. Dali mi więc do wyboru Związek Radziecki, Węgry i Rumunię.

Zdecydowała matka: – Do Rosji, do tych antychrystów, nie pojedziesz. Węgier – Polak dwa bratanki...

Na Węgry wyruszył jesienią 1951 roku ze skierowaniem na Wydział Mechaniki Precyzyjnej na Politechnice w Budapeszcie. Tyle że na miejscu okazało się, że takiego wydziału w stolicy Węgier nie mają. Zaczął więc studia na Wydziale Mechanicznym. Przystudiował na nim dwa lata, a kiedy otwarto Wydział Mechaniki Precyzyjnej i Przyrządów Pomiarowych, przenieśli go tam na drugi rok (trzeciego jeszcze nie było). W ten sposób spędził na Węgrzech aż sześć lat.

Czarna noc nad Węgrami

Co wiedział o Węgrzech? Tyle co z geografii: gdzie leżą. I że produkują autobusy. No i mama przy szyciu nuciła sobie tematy z operetek Lehára i Kálmána.

A trafił nad Dunaj w najczarniejszym okresie komunistycznej dyktatury.

Na początku lat pięćdziesiątych krajem rządzi komunistyczna Węgierska Partia Pracy z Mátyásem Rákosim na czele. Przy pomocy tajnej policji AVH trzyma w karbach 9,5 miliona Węgrów. Reżim komunistyczny na Węgrzech czuje, że społeczeństwo go nie popiera. Rákosi mawia, że komuniści węgierscy muszą budować nowy ustrój z „dziewięcioma milionami faszystów”.

– Komunizm węgierski do roku 1956 to był wielki dryl – opowiada Liszewski. – Niby to było to samo, co u nas, ale bardziej rygorystyczne. W Polsce większość procesów kończyła się więzieniem, choć różnie bywało, a na Węgrzech ludzi skazywano zwykle na śmierć i wyroki wykonywano. Najlepszy dowód to proces László Rajka, którego zgładzono po wyroku w 1949 roku.

László Rajk – działacz komunistyczny, który po wojnie odpowiadał

za wprowadzenie terroru na Węgrzech – został ofiarą węgierskich stalinowców. W wyniku spreparowanych oskarżeń o nacjonalizm i kontakty z Titą został skazany na śmierć i stracony. Przez siedem lat spoczywał w bezimiennym grobie.

– Mimo trudnych czasów Węgry okazały się jednak doskonałym wyborem. Trafiłem na świetną atmosferę. Węgrzy byli Polakom przyjaźni, traktowali nas rzeczywiście jak bratanków – ocenia Liszewski.

Nowe porządki

W sterroryzowanym narodzie popularność zyskuje Imre Nagy, były minister rolnictwa, który, choć komunista, w 1949 roku występuje przeciwko kopiowaniu sowieckich rozwiązań na wsi, zwłaszcza przeciw kolektywizacji. Po śmierci Stalina w czerwcu 1953 roku przywódcy KPZR decydują się usunąć znenawidzonego Rákosiego ze stanowiska premiera i zastąpić go Nagym. Rákosi pozostaje jednak szefem partii komunistycznej. Nagy zapowiada „nowy kurs”: odejście od kolektywizacji, rewizję wyroków, które zapadły w poprzednich latach, ukrócenie wszechwładzy aparatu bezpieczeństwa. Ogranicza wydatki Węgier na zbrojenia i przesuwają zaoszczędzone środki na poprawę stopy życiowej rodaków. Wypuszcza też z więzień komunistów, ofiary politycznych procesów – wśród nich Jánosa Kádára.

Jednak nowe porządki na Węgrzech nie podobają się Moskwie. KPZR znowu stawia na Rákosiego. W marcu 1955 roku premier Nagy zostaje oskarżony o „prawicowe odchylenie”, traci fotel szefa rządu, a w końcu 1955 roku także członkostwo w partii. Rákosi chce wytoczyć przeciwnikowi proces, ale nie starcza mu już czasu ani środków.

Wokół Nagya gromadzą się środowiska niezadowolone z rządów Rákosiego. Buntownikom dodaje odwagi XX Zjazd KPZR w lutym 1956 roku, w trakcie którego Nikita Chruszczow demaskuje kult jednostki i zbrodnię Stalina. W marcu 1956 roku po raz pierwszy zbiera się Klub Petőfi. Na dyskusje o literaturze, filozofii, ekonomii, ideologii i historii przychodzą tysiące słuchaczy. Organizatorzy muszą szukać największych sal

w Budapeszcie, by pomieścić wszystkich chętnych. Członkowie Klubu zachęcają przybyszów z prowincji, by zakładali podobne struktury u siebie. Władze są zaniepokojone: choć nikt nie podważa kierowniczej roli partii i uzależnienia kraju od ZSRR, rośnie grono potencjalnych przeciwników.

Gdy w lipcu 1956 roku na Węgry docierają informacje o buncie robotników Poznania, władze nakazują zawiesić działalność Klubu do września.

Chruszczow zdaje sobie sprawę, że Rákosi nie jest już w stanie uspokoić sytuacji na Węgrzech. Pod pozorem kłopotów zdrowotnych zostaje więc zdjęty ze stanowiska szefa partii i wywieziony do ZSRR (będzie tam aż do śmierci w 1971 roku). Na jego miejsce władze radzieckie typują Ernő Gerő, dotychczas człowieka numer 2 w węgierskiej partii komunistycznej.

Wiec w akademiku

Wrzesień 1956 roku. Liszewski wyjeżdża z Warszawy do Budapesztu na ostatni rok studiów. – Wiedziałem już sporo o poznańskim Czerwcu. W Budapeszcie docierały do mnie skąpe informacje o rehabilitacji Gomułki, o VIII Plenum. Tego nie kolportowano na Węgrzech oficjalnie, chodziło raczej pocztą pantoflową. Trzeba było mieć grono zaufanych słuchaczy, bo nie brakowało takich, którzy nasłuchiwali. Mieszkaliśmy w akademiku wspólnie z Węgrami. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, można było sobie pofolgować. Z drugiej strony myśmy się nie za bardzo obawiali skutków. Co nam mogło grozić ze strony ambasady? Jakaś reprimenda, w najgorszym razie odwołanie ze studiów.

Węgrzy interesują się zmianami w Polsce. Pytają, zagadują. Przed wszystkim o to, co się stało w czerwcu w Poznaniu. Chcą wiedzieć, jak wyglądały walki w mieście. Już na przełomie czerwca i lipca, gdy Liszewski przebywa na miesięcznej praktyce w węgierskiej fabryce urządzeń pomiarowych, zaczepia go jeden z robotników, wielkie chłopisko:

– Słuchaj no, a co ty myślisz o Katyniu?

W październiku w Segedynie, mieście blisko granicy z Jugosławią, zawiązuje się Zjednoczona Organizacja Studentów i Słuchaczy Szkół

Wyższych. Lisewski pamięta, że to był rewolucyjny odłam młodzieży akademickiej, której działalność zaczęła promieniować na największe na Węgrzech środowisko akademickie w Budapeszcie: – I to oni sformułowali wówczas dwanaście postulatów politycznych, które wcześniej nie mieściły się ludziom w głowach. 22 października, a więc dzień przed wybuchem rewolucji, na politechnice budapeszteńskiej odbył się wielki wiec, na którym dwanaście punktów segedyńskich zostało uzupełnionych o dalsze cztery. W sumie do rewolucji wchodziliśmy jako młodzież akademicka z szesnastoma postulatami.

Studenci żądają m.in.: niech wojska radzieckie opuszczą Węgry. Imre Nagy stworzy nowy rząd. Rozwiązać AVH – Urząd Bezpieczeństwa Państwa, czyli bezpiekę. Do tego wolne wybory i system wielopartyjny. No i koniec z eksploataowaniem węgierskich zasobów uranu przez Rosjan.

– A w ostatnim punkcie solidaryzowali się z Polakami. Chcieli mieć u siebie Październik – mówi Liszewski.

Mieszka wtedy w męskim akademiku na Wzgórzu Zamkowym. To moloch: gnieździ się w nim 1,5 tysiąca studentów.

Na wiec 22 października, podczas którego miano przegłosować szesnaście postulatów i zaakceptować zaplanowany na następny dzień wielki pochód pod pomnik generała Józefa Bema, przychodzą prawie wszyscy. Tłok nieziemski, nawet korytarze wypełnione do ostatniego kąta.

Liszewski wcisnął się do głównej auli. – Szum ogromny, jak to na zebraniu samych mężczyzn, którzy wiedzą, po co przyszli.

Szesnaście punktów przyjęto przy wielkim aplauzie.

Euforię uspokaja asystent rektora: – To nie jest bezpieczne. Zastanówmy się jeszcze.

– No dobrze, dobrze, ale jeśli my pójdziemy jutro w tej demonstracji, to wy po której będziecie stronie? – krzyczy ktoś z sali.

Asystent bez zastanowienia: – Oczywiście, że z wami.

Studenci wybierają delegację, która idzie do kombinatu przemysłowego na wyspie Csepel. Pracuje tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi, robotników i inżynierów. Do studentów doszły wtedy informacje, że jakaś grupa młodzieży komunistycznej przygotowuje robotniczą kontrmanifestację

i może dojść do rozróby.

Po zakończonym wiecu Liszewski wraz z Erykiem Bazylczukiem czują się w obowiązku powiadomić ambasadę polską o tym, że zamierzają wziąć udział w planowanej na następny dzień demonstracji w centrum Budapesztu. – Dotarliśmy tam późnym wieczorem. Ambasadorem był pan Adam Willman. Wydaje mi się, że wstał do nas z łóżka. Poinformowaliśmy go o wiecu. Na nasze pytanie, jak my, polscy studenci, mamy się zachować, Willman odpowiedział dyplomatycznie: „Sądzę, że jesteście rozumni i zachowacie się zgodnie z waszym sumieniem”

Odpowiedź żadna – i doskonała. Bo jakie człowiek 22-letni mógł mieć wtedy sumienie, skoro wychował się w tamtych warunkach?

W dniu rewolucji przyszedł student

Gdy Edward jest świadkiem początków rewolucji, nieświadoma tych wydarzeń Barbara Ładyńska jest już w Budapeszcie. Zakłady Przyrządów Pomiarowych w podwarszawskich Włochach, w których pracuje, prowadzą wymianę z bliźniaczym przedsiębiorstwem na Węgrzech. W październiku Barbara jedzie z kolegami i koleżankami z pracy do Budapesztu. – Wyjechałam w jedenastoosobowej grupie: trzy kobiety i ośmiu mężczyzn. Do Budapesztu dotarliśmy pociągiem kilka dni przed wybuchem rewolucji. Zakwaterowano nas w podmiejskiej dzielnicy Sashalom, w pokojach biurowych fabryki. Na miejscu przydzielono nam tłumaczy. To byli polscy studenci, zmieniali się co kilka dni.

Na pomysł wykorzystania tłumaczy studentów wpadła ambasada polska w Budapeszcie.

– We wtorek, w dniu wybuchu rewolucji, przyszedł do nas kolejny student, Edward. Między nami nie było jednak wtedy żadnych bliższych kontaktów. Uważałam go za sporo starszego, a później okazało się, że tylko o pół roku. I tak to się wtedy zaczęło – wspomina pani Barbara.

Edwardowi od razu wpada w oko, choć nie daje tego po sobie poznać: – Moja przyszła żona była najatrakcyjniejszą z tej trójki dziewcząt. Zresztą wpadła w oko nie tylko mnie, także kolegom z grupy. A poza tym

spodobała się Węgrowi, który się napatoczył z fabryki, i później, adorując Basię, uczestniczył razem z grupą w naszych wycieczkach. Cóż, ja byłem zajęty tłumaczeniem, przejęty swoją rolą. Udawałem, że Basia mnie nie interesuje.

Liszewski był drugim tłumaczem grupy. Po nim obowiązki miał przejąć Eryk Bazylczuk, kolega z Bydgoszczy, ale stało się inaczej. Do końca tłumaczem grupy spod Warszawy pozostał Liszewski.

– Pierwszy z tłumaczy był bardzo oszczędny w słowach. Zwykle poprzestawał na kilkunastu zdaniach. Natomiast Edward był bardzo dokładny i oddany naszej grupie. Zawsze dokładał coś od siebie. Wszyscy koledzy bardzo go polubili – śmieje się pani Barbara.

Żagwie pośród ciemności

23 października o ósmej rano Liszewski melduje się więc w grupie Polaków z podwarszawskich Włoch. – Mieliśmy zwiedzać miasto. Ale nie wyobrażałem sobie, że mogę opuścić manifestację! Najpierw pomnik Bema, potem zwiedzanie.

Oczywiście, idziemy pod pomnik! – warszawiacy zaakceptowali pomysł.

Na zdjęciach wykonanych przez nieżyjącego już Stefana Kowalskiego widać pochód, który ruszył pod pomnika „Ojczulka Bema”. – Ta demonstracja mogła rozpocząć się pod pomnikiem Petőfiiego czy Kossutha, ale Węgrzy chcieli pokazać, że nawiązują do tego, co działo się wtedy w Polsce – mówi Liszewski.

Na innym zdjęciu, nieznanego autora, widać czoło pochodu, na którym dwaj mężczyźni w płaszczach niosą flagi węgierską i polską. Za nimi idą młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety. W tle widać most na Dunaju i gmach węgierskiego parlamentu.

Barbara Liszewska: – My też mieliśmy ze sobą flagę!



Polacy w Budapeszcie. Od prawej: Barbara Matusik, węgierski przewodnik Miklos Fodor, Barbara Ładyńska (dziś Liszewska), Jacek Skroński, Zbigniew Malinowski, Tadeusz Laskowski

Na placu Bema gromadzą się tysiące mieszkańców Budapesztu. Ludzie krzyczą: „Rákosi do Dunaju – Imre Nagy do rządu!”, „Precz z Rosjanami!”, „Jeśli jesteś Węgrem – jesteś z nami!”

Liszewski: – Przyszliśmy pierwsi, zanim pod Bema przyszli inni. Studenci szli ósemkami – tak postanowili, by uniknąć jakiejś prowokacji. Mieli trzymać się pod rękę, ale kiedy dotarli pod pomnik, dyscyplina pękła. Jak już przeszli przez most na Dunaju, to i oni ludziom machali, i ludzie machali im. Żadnych prowokacji po drodze nie było. Robotnicy z kombinatu Csepel zapewnili nas, że wezmą udział w naszej manifestacji i przyjadą pod pomnik.

Pod pomnikiem studenci odczytują szesnaście postulatów, są przemówienia o wolności i demokracji.

A robotnicy? Liszewski ich tam nie widział, ale jest przekonany, że przyszli.

Dwa dni później widział ciało jednego z nich w roboczym kombinezonie na rogu ulicy Rakoczego. Leżało w kałuży krwi.

Pod wieczór manifestacja rozchodzi się spokojnie spod pomnika.

Liszewski: – Po jednej ze stron placu znajdowały się budynki garnizonu węgierskiego. Wszystkie okna były wypełnione żołnierzami. Siedzieli na parapetach, machali do nas. Nikt nie wyprowadził wojska przeciwko manifestantom.

To wtedy pod pomnikiem Bema pojawiają się pierwsze trójkolorowe węgierskie flagi z dziurami po wyciętych komunistycznych gwiazdach. Węgrzy ruszyli w stronę parlamentu, więc polska grupa decyduje się pójść za nimi – przez most Łańcuchowy w stronę parlamentu.

Pod pięknym gmachem zbiera się około 200 tysięcy Węgrów.

Tłum faluje jak zboże, pamięta Liszewski.

– Pod pomnikiem Kossutha ludzie śpiewali różne patriotyczne pieśni, najczęściej hymn węgierski. Zaczyna się od słów „Boże, błogosław Węgry...”, więc nie mógł być śpiewany po wojnie, szczególnie za rządów Rákosiego, można za to było trafić do więzienia.

Któryś z Polaków rzuca: – Zaśpiewajmy nasz hymn. Niech Węgrzy wiedzą, że z nimi jesteśmy.

Jeszcze Polska nie zginęła!

„Lengyel! Lengyelek itt!” Polacy! Polacy tu są! – wołają Węgrzy.

I Niech żyje Polska! Niech żyje przyjaźń polsko-węgierska!



Pod pomnikiem Bema pojawiają się pierwsze trójkolorowe węgierskie flagi z dziurami po wyciętych komunistycznych gwiazdach. Węgrzy ruszyli w stronę parlamentu, więc polska grupa decyduje się pójść za nimi – przez most Łańcuchowy

Poklepują Polaków po ramionach, ściskają ręce. Proszą: zaśpiewajcie wasz hymn jeszcze raz. I jeszcze raz.

Liszewski: – Choć byłem na Węgrzech już szósty rok, nigdy nie czułem się im tak bliski.

Nagle na placu przed parlamentem gasną latarnie i zapadają egipskie ciemności. 200 tysięcy stłoczonych ludzi, nic nie widać. I żadnej paniki. Spokój i dyscyplina.

Liszewski wspomina: – Ludzie powyciągali gazety, różne czasopisma, a z pobliskiej redakcji wytoczono bele papieru. Ludzie ten papier rwali na kawałki i zwijali w żagwie. Po chwili cały plac płonął, żagwie rozświetliły ciemności. To był niesamowity widok, z jednej strony piękny, a z drugiej straszny.

Chwilę później przywrócono oświetlenie.

Imre Nagy, Imre Nagy, Imre Nagy! – demonstranci domagają się wystąpienia byłego premiera. Gdy wychodzi na balkon parlamentu, zaczyna przemówienie od „Towarzysze”, ludzie go zakrzykują.

Nie chcą żadnych komunistycznych towarzyszy.

Są już obywatelami.

Akurat Stalinowi obcięli nogi

Przemówienie Nagya kończy się po dziesiątej wieczorem. Tłum zaczyna się rozchodzić. Polacy pod komendą Liszewskiego kierują się w stronę ówczesnej alei Stalina. Widzą samochód ciężarowy, na którym stoi kilkunastu Węgrów wykrzykujących: „Precz ze Związkiem Radzieckim! Niech żyje Nagy!”

Polacy odkrzykują: Precz, precz. Niech żyje!

– Jedziemy pod pomnik Stalina!

– To my z wami!

Ciężarówka dociera pod monumentalny pomnik Stalina. Spawacze akurat kończą podcinać nogi palnikami i posąg wali się z hukiem na trotuar. Na cokole zostają tylko buty Józefa Wissarionowicza.

Resztki Stalina dobre byłyby, żeby z nich zbudować barykadę. Ale nic z tego: każdy chce mieć kawałek dyktatora na pamiątkę. Szybko ze Stalina pozostaje nędzna kupka gruzu.

Świat obiega zdjęcie, na którym widać głowę Stalina odłupaną od korpusu. Leży na ulicznym bruku niczym gigantyczna piłka.

Liszewski: – Pierwsze strzały usłyszeliśmy, gdy szliśmy w stronę Muzeum Narodowego. Było już późno, około jedenastej, pojedyncze strzały z karabinów i pistoletów maszynowych. Potrafiłem rozróżnić szczekanie automatu od salw z kbk czy z karabinów maszynowych. Przyznam, że się wystraszyliśmy, tym bardziej że ludzie wracający z przeciwnej strony wskazywali na nas i mówili: „Ruszi, Ruszi!” Węgrzy, a już zwłaszcza zwykli przechodnie, nie rozróżniają języków słowiańskich, dla nich mowa Polaków i Rosjan brzmi podobnie. Odkrzykiwałem co prawda, że jesteśmy Polakami, ale zacząłem się bać, że ktoś nas pomyli i zaatakuje. Zdecydowaliśmy,

że odeślemy dziewczęta z powrotem.

Dziewczyny jadą pod opieką Węgra Sándora w stronę Dworca Wschodniego, a potem kolejką podmiejską wracają na teren swojej fabryki w Sashalom.



Cieżarówka dociera pod monumentalny pomnik Stalina. Spawacze akurat kończą podcinać nogi palnikami i posąg wali się z hukiem na trotuar. Na cokole zostają tylko buty Józefa Wissarionowicza

Liszewski z ośmioma innymi mężczyznami idzie w stronę Muzeum Narodowego: – Okazało się, że strzały padają z pobliskiego budynku radia. Studenci chcieli zmusić obsługę radia do nadania szesnastu postulatów nie tylko w eter Węgier, ale też za granicę. Do radia wezwano kompanię awoszów, a ponieważ studenci próbowali dostać się do studia siłą, padły strzały i pierwsi zabici. Studenci nie pozostali dłużni, tym bardziej że milicja oddała im broń. Zaczęła się walka z użyciem karabinów i granatów. Muszę

powiedzieć, że z milicją była bardzo dobra komitywa, zresztą jej dowódca Sándor Kopácsi został wkrótce szefem Gwardii Narodowej złożonej przede wszystkim ze studentów.

Polacy nie podchodzą w sam rejon walk, ryzyko jest zbyt duże. Spod Dworca Wschodniego ostatnią kolejką wracają do Sashalom. To był ostatni kurs kolejki, bo nazajutrz w całym Budapeszcie rozpoczął się strajk generalny.

Gdy Polacy wracają na nocleg, pod gmachem radia toczy się już regularna bitwa. To początek węgierskiej rewolucji. Jeszcze tego dnia szef partii komunistycznej Ernő Gerő prosi ambasadora ZSRR na Węgrzech Jurija Andropowa i Nikitę Chruszczowa o pomoc militarną. Chruszczow się waha, ale w końcu zgadza się – pod warunkiem że poprosi go o to rząd węgierski.

Ruszają przygotowania do inwazji. Premier rządu András Hegedűs napisze jednak list z prośbą o sowiecką interwencję dopiero, gdy będzie już w ZSRR, w trzecim dniu najazdu armii radzieckiej na Węgry.

Masakra

Liszewski nocuje w Sashalom. Następnego dnia w stołówce zakładowej nie zastali niemal nikogo. Cała załoga zebrała się na wydziale mechanicznym i ogłosiła strajk.

– Tylko dzięki przyjaźni polsko-węgierskiej przez następne dni nie pomarliśmy w Sashalom z głodu. Trwał strajk i stołówka była zamknięta, ale dla nas zawsze znalazło się coś z zapasów – wspomina pan Edward.

W centrum Budapesztu trwają walki powstańców z awoszami i wspierającymi ich żołnierzami radzieckimi, w różnych dzielnicach zawiązują się spontanicznie powstańcze ugrupowania. Liszewski: – Nie przypominało to jednak powstania warszawskiego, gdzie poszczególne dzielnice były ze sobą połączone, postawiono barykady i można było kursować pomiędzy różnymi częściami miasta. W Budapeszcie mieliśmy powstańcze enklawy. Na przykład jednym z ośrodków powstania była wyspa Csepel. Inna enklawa powstała wokół redakcji „Wolności Ludu”, gazety partyjnej. Silna grupa powstańców działała na Wzgórzu Zamkowym,

niedaleko mojego akademika. No i u nas, na zamku, w Archiwum Akt Dawnych przy Bramie Wiedeńskiej, dawnej bramie wjazdowej, z której stroma uliczka prowadziła do zamku. Nomen omen nazywała się ona ulicą Szturmową – i taką została, bo to tamtędy poszedł szturm radzieckich czołgów.

Przeciwno komunistom występuje m.in. pułkownik Pál Maléter, dowódca oddziału czołgów w koszarach Kiliana, które stają się głównym punktem oporu. Zostanie on wkrótce generałem i ministrem obrony w rządzie Nagya.

Rankiem 24 października węgierskie radio informuje o powrocie Nagya na urząd premiera i do Biura Politycznego partii. To wspólna decyzja władz radzieckich i węgierskich. Ogłoszony zostaje stan wyjątkowy, wprowadza się sądy wojskowe dla uzbrojonych cywilów i zakaz zgromadzeń. Węgrzy dowiadują się też, że władze poprosiły ZSRR o pomoc.

Interwencja wojsk radzieckich – pierwsza w czasie tej rewolucji – napotyka opór. Walczą tysiące powstańców. To zwykle młodzi ludzie: uczniowie, studenci i robotnicy. Przyłączają się do nich żołnierze armii węgierskiej. Do oporu wzywa sekcja węgierska Radia Wolna Europa. Rewolucja przenosi się poza Budapeszt. Na prowincji powstają komitety rewolucyjne, które opanowują miasta i niszczą sowieckie pomniki.

Węgierscy rolnicy przywożą żywność do walczącego Budapesztu.

Na 25 października pod parlament znowu zostaje zwołana wielka manifestacja. Liszewski postanawia tam dotrzeć. Po drodze chce wpaść do swojego akademika i sprawdzić, co słychać wśród kolegów.

Niedaleko Dworca Wschodniego słyszy odgłosy kanonady z cekaemów. Kryje się. Gdy wystrzały cichną, przedziera się dalej. Widzi ciała, wiele ciał.

Zapamięta postawnego robotnika w granatowym kombinezonie, który leży w kałuży krwi (musiał dostać całą serię w pierś), i dziewczynę, ładną, z rozrzuconymi blond włosami, leżącą na chodniku tak, jakby trafiono ją serią, kiedy chciała uciec pod osłonę drzew i krzewów.

Od Węgrów Liszewski słyszy, że ludzi idących pod parlament ostrzelali z karabinów maszynowych awosze. Z okien hotelu Astoria. I nie dopuścili do rannych karetok pogotowia.

25 listopada to czarny dzień węgierskiego powstania. Ginie sto

kilkadziesiąt osób, m.in. János Rezler, kolega Liszewskiego ze studiów, przeszyty serią.

Przygnębiony Liszewski wraca do Sashalom.

Wydano nam broń

Ludzie nie darują awoszom morderstw. Zabijają ich czym popadnie, nawet gołymi rękami. Wieszają na drzewach i latarniach. – Nienawiść do nich była straszna. Wcześniej na Węgrzech panował taki strach, że moja koleżanka Edit Hantos, panięskie nazwisko Nagy, dopiero po wielu latach przyznała się, że jej ojciec, wojskowy, aż do 1957 roku siedział w więzieniu.

Węgrzy są rozczarowani, że Imre Nagy dołącza do starych władz i firmuje masakry swoim nazwiskiem. Ale szef rządu szybko rozwiązuje aparat bezpieczeństwa, opowiada się za zawieszeniem broni i żąda wycofania wojsk radzieckich z kraju.

Gerő i Hegedűs wyjeżdżają do ZSRR, a Nagy idzie jeszcze dalej: ogłasza powrót do systemu wielopartyjnego. Po latach uwięzienia z aresztu zwolniony zostaje kardynał József Mindszenty, na wolność wychodzi też 4 tysiące więźniów politycznych.



Walczą tysiące powstańców. To zwykle młodzi ludzie: uczniowie, studenci i robotnicy

Walki chwilowo ustają. Kiedy 28 października Węgrzy powołują Gwardię Narodową pod dowództwem pułkownika Sándora Kopácsiego, Liszewski się zgłasza. Takich jak on Polaków gwardzistów jest kilkudziesięciu. – Wydano broń studentom. Także nam, Polakom. Dostałem pepechę, taką na 72 naboje. Ale nie wykorzystywano nas do walk, raczej do zabezpieczania różnych obiektów, zwłaszcza tych opuszczonych przez wojsko – wspomina.

Rosjanie pozorują rozmowy z delegacją węgierską o wycofaniu armii radzieckiej z Węgier, 30 października podejmując w tajemnicy decyzję o kolejnej interwencji. Prezydium KC KPZR powierza misję spacyfikowania Węgier marszałkowi Iwanowi Koniewowi.

Sowieci przerzucają na Węgry nowe jednostki z ZSRR i Rumunii.

Koncentrują siły wokół Budapesztu i lotniska.

Nagy stara się zapobiec kolejnemu atakowi. 1 listopada ogłasza wystąpienie Węgier z Układu Warszawskiego i neutralność kraju. Tymczasem stojący dotąd u jego boku János Kádár, komunista zwolniony niedawno z więzienia, który po ustąpieniu Gerő staje na czele partii komunistycznej, dowiaduje się o planowanym ponownym ataku armii radzieckiej. Odlatuje więc do Moskwy, gdzie uzgadnia utworzenie rządu popieranego przez towarzyszy radzieckich. Wystosowuje do Węgrów list oskarżający Nagya o nieudolność i wzywający do poparcia rządu komunistów sprzymierzonych z Moskwą.

3 listopada rano Liszewski żegna się ze swoją grupą w Sashalom i dzięki pomocy chłopów na wozach drabiniastych dostaje się do Budapesztu. Potem przez Dunaj dociera do swojego akademika na Wzgórzu Zamkowym.

– Było w nim bardzo mało studentów – wspomina. – Z Polaków pozostał tylko Zdzisio Dzitko z czwartego roku wydziału elektrycznego. Pytam go, gdzie są pozostali Polacy, było nas tam przecież z dziesięciu. Odpowiada, że z ambasady przyszło polecenie, że wszyscy mają wracać do Polski. Przyjechał samochód i zabrał tych Polaków, którzy byli w węgierskiej Gwardii Narodowej. Złożyli broń i pojechali na lotnisko. Tam czekał już na nich samolot, który dzień wcześniej przywiózł z Polski medykamenty, osocze i krew. Dzitko nie chciał wyjeżdżać, więc ukrył się w akademiku. A ja właśnie się w nim znalazłem, nie wiedząc o wyjeździe kolegów.

Sytuacja się uspokaja, więc wszyscy studenci z akademika zostają odesłani do domów.

– To była duża zbrojna siła, 1500 chłopów, prawie wszyscy pod bronią! – pan Edward ożywia się. – Pozwolono im pojechać do domów i zdecydowana większość wyjechała do rodzin. Byłem sam w czteroosobowym pokoju. Położyłem się i czekałem, co będzie dalej. Chciałem następnego dnia wrócić do Sashalom i powiedzieć moim znajomym z Polski, że rewolucja zwyciężyła. Wojska radzieckie wycofały się na obrzeża Budapesztu i wyglądało na to, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Generał Pál Maléter został wysłany do rozmów z Rosjanami. Wyglądało na to, że nastanie nareszcie prawdziwa wolność.

Nikt nie podejrzewał, że 3 listopada to ostatni dzień wolności.

– Nie spodziewaliście się ponownej sowieckiej interwencji?

– Absolutnie nie – mówi Liszewski. – Wtedy było uspokojenie, wydawało się, że sytuacja jest opanowana. Tymczasem Rosjanie podciągnęli odwody z zewnątrz. Weszli zupełnie bez zapowiedzi.

Sowieci kontratakują

4 listopada o czwartej nad ranem Liszewskiego budzą eksplozje i huki. Wyskakuje zdezorientowany z łóżka: – Pobiegłem na wartownię. Zobaczyłem tam mały oddziałik Węgrów pod bronią, z pepeszami. Mieli się udać w kierunku placu Moskiewskiego i bronić radiostacji. Dowódca tej grupki wiedział tylko tyle, że nastąpiła inwazja Rosjan.

Sowiecka armia atakuje w sile szesnastu dywizji – w sumie miasto zdobywa 150 tysięcy żołnierzy i 2 tysiące czołgów, wspieranych przez artylerię i lotnictwo. Przeciw tej potędze staje kilkanaście tysięcy powstańców uzbrojonych w broń lekką.

Liszewskiemu każą iść na mury obronne Budy. – Chwyciłem pepechę i pobiegłem w tamtą stronę. To było za ruinami klasztoru Dominikanów. Stałem za wypalonymi budynkami. Myślałem, że będę tam sam, ale zastałem tam już innego „powstańca”. Miał trzynaście, może czternaście lat i trzymał karabin wielki jak on sam. Słysząc strzały z broni maszynowej w najbliższym otoczeniu, a ja stoję z pepechą i mam nastoletniego kompana, z którym mam bronić wejścia.

Kanonada wzmagą się, słysząc wystrzały armatnie. W końcu przychodzi ktoś z akademika i każe chłopakom wracać. Liszewski wraca, nastolatek zostaje.

Nigdy więcej się nie spotkali. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Rosjanie weszli do miasta inną drogą, od placu Moskiewskiego.

Już w akademiku Liszewski słyszy, że oddział powstańczy zdecydował, że trzeba odpuścić walkę. Rosjan jest bardzo wielu.

Złożył broń i poszedł do swojego pokoju.

Akcja w archiwum

Nieliczni studenci wyczekują w akademiku na dalszy rozwój wypadków. Słyszą odgłosy walki, ale nie wiedzą, że sytuacja powstańców jest dramatyczna.

4 listopada Imre Nagy czyta ze studia radiowego w parlamencie oświadczenie: „Dzisiaj o świcie oddziały radzieckie zaatakowały naszą stolicę z wyraźnym zamiarem obalenia legalnego, demokratycznego rządu węgierskiego. Nasze oddziały podjęły walkę. Rząd pozostaje na stanowiskach. Zawiadamiam o tym naród naszego kraju i cały świat”

Trzy dni później Sowieci atakują Wzgórze Zamkowe ostrzeliwani przez powstańców z wysokich pięter Archiwum Akt Dawnych, masywnego budynku na skarpie, w którym zgromadzono skarby literatury węgierskiej. Ostrzał artylerii i czołgów szybko kładzie kres oporowi Węgrów. Archiwum staje w płomieniach.



Sowiecka armia atakuje w sile 16 dywizji – w sumie miasto zdobywa 150

tysięcy żołnierzy i 2 tysiące czołgów wspieranych przez artylerię i lotnictwo

Liszewski jest wtedy w akademiku. 7 listopada rano słyszy, jak ktoś biegnie korytarzem i podekscytowany woła: „Węgrzy, na pomoc!”

– Wyskoczyłem na korytarz, pobiegłem w stronę portierni. Zebrała się tam grupa może ze trzydziestu studentów. Ktoś otworzył zaryglowaną bramę i okazało się, że przed bramą stoi czołg radziecki z lufą wycelowaną w akademik. I kordon żołnierzy radzieckich z bronią skierowaną w naszą stronę. Jeden z nas wyszedł do oficera, rozmawiali. Chwilę później wrócił i powiedział, że Rosjanie pozwalają, żebyśmy poszli w stronę Archiwum Akt Dawnych, które płonie. Jeżeli chcemy, możemy na własne ryzyko iść do archiwum ratować stare akta i księgi.

Liszewski i jego węgierscy koledzy wahają się. – Nie wyglądało to zachęcająco. Stał czołg, żołnierze z pepeszami gotowymi do strzału. Do archiwum było może dwieście metrów... Odważnych zebrało się może z piętnastu. Pobiegliśmy w stronę archiwum. Cała ulica obstawiona była żołnierzami z bronią.

Przed archiwum trafiają na kolejny wóz pancerny i grupę żołnierzy. Z górnych kondygnacji wydobywa się dym, widać płomienie.

– Część dalej położonych sal na górnych piętrach już się paliła. Rzuciliśmy się do ratowania zbiorów. Dosłownie wrywaliśmy akta z półek, nosiliśmy korytarzem na klatkę schodową i przekazywaliśmy innym, którzy nosili je dalej, do klatki centralnej. A tam już nie zawracali sobie głowy znoszeniem, tylko rzucali te akta klatką schodową w dół, byle dalej od płomieni! Rosjan w budynku nie było.

Po czterech godzinach akcji Liszewski był zczadziały i otumaniony. Pojawili się ludzie w uniformach straży pożarnej i zlurowali studentów. Rosjanie nadal obstawiali ulicę, czołg wciąż stał w bramie akademika.

Wszystko dla bratanków

Na zaproszenie Josipa Broz-Tity premier Nagy i jego współpracownicy znajdują schronienie w ambasadzie Jugosławii. Budynek jest otoczony przez

wojska radzieckie.

7 listopada radzieckim wozem pancernym wjeżdża do Budapesztu János Kádár. Wspiera go KGB. Kádár wydaje list żelazny dla Nagya i jego towarzyszy gwarantujący im bezpieczny powrót do domów. Jednak te gwarancje są nic niewarte: Nagy zostanie ujęty i przewieziony do siedziby KGB, a potem do Rumunii.

Powstańcy apelują do ONZ o pokojowe rozwiązanie. Państwa zachodnie, zajęte konfliktem wokół znacjonalizowanego przez Egipt Kanału Sueskiego, nie udzielają jednak Węgrom wsparcia.

Płynnie za to ogromna pomoc medyczna z Polski. Po apelu Węgierskiego Czerwonego Krzyża o oddawanie krwi dla Madziarów, nadanym przez Polskie Radio, do punktów krwiodawstwa w całej Polsce ustawiają się kolejki Polaków. Jest ich tak wielu, że nie sposób pobrać krwi od wszystkich.

Do początku 1957 roku z Polski dotrą na Węgry czterdzieści dwie ciężarówki oraz sto cztery wagony darów i co najmniej sześć samolotów z lekami. PCK zbierze 31 milionów złotych i towary o wartości miliona złotych.

W polskich miastach wiszą węgierskie flagi – znak solidarności z walczącymi „bratankami”. Przed Instytutem Węgierskim na placu Trzech Krzyży studenci i robotnicy wystawiają warty honorowe. 4 listopada Grób Nieznanego Żołnierza przykrywa flaga Węgier. Tego samego dnia 10 tysięcy osób przechodzi przez Olsztyn, wznosząc antyradzieckie hasła. „Ręce precz od Węgier!” – krzyczą. Spontanicznie przemianowują plac Armii Czerwonej na plac Powstańców Węgierskich. Ostatecznie po negocjacjach Armię Czerwoną w nazwie placu zastępuje generał Józef Bem.

Wiadomość o drugiej interwencji sowieckiej na Węgrzech wyprowadza na ulice mieszkańców Poznania, Gliwic i Krakowa. Idą w milczących marszach, demonstrując poparcie dla Węgrów.

Na Dolnym Śląsku pojawiają się ulotki wzywające do podjęcia walki z wojskami radzieckimi stacjonującymi w Polsce, a w hucie aluminium w Skawinie robotnicy przewracają pomnik Stalina i na oczach zbaraniałej delegacji z NRD wloką go ciągnikiem po terenie zakładu.

W grudniu na dworcu kolejowym w Warszawie kilkudziesięciu Polaków

czeka na pociąg, który ma zawieźć węgierskie dzieci do ZSRR w celu rusyfikacji. Chcą przejąć dzieci, wziąć je pod opiekę. Ale pociąg z Węgier nie nadjeżdża, informacja okazuje się plotką.

Pod kulami w ambasadzie

Tymczasem nad Dunajem węgierski opór dogorywa. Najdłużej w Budapeszcie utrzymuje się wyspa Csepel, broniona przez robotników – poddaje się po bombardowaniach 11 listopada. Sowieci wprowadzają godzinę policyjną, zaczynają się represje.

Liszewski nie może przedostać się na peszteński brzeg Dunaju, bo mostu Małgorzaty pilnują najpierw Rosjanie, a potem awosze. 10 listopada dociera do ambasady polskiej, gdzie odnajduje grupę swoich „podopiecznych” z Sashalom. Okazuje się, że pracownicy ambasady ściągnęli ich 4 listopada i zakwaterowali w byłym partyjnym hotelu.

Barbara Liszewska do dziś pamięta towarzyszący im strach, gdy w ogniu radzieckiej ofensywy dyplomatycznymi wołgami jechali do ambasady. – Na ulicach stały radzieckie czołgi i wozy pancerne, kierowały lufy w naszą stronę. Pomyślałam sobie, że jeśli już mam zginąć, to wolę w Polsce niż na obczyźnie.

Rosjanie kilkakrotnie ich kontrolowali, skonfiskowali mapy i rewolucyjne plakaty.

Ale w ambasadzie też nie było spokojnie – budynek został ostrzelany. Barbara chowa się za pancerną szafą, kule dziurawią ściany.

– To było pomieszczenie w suterenie, okna były jeszcze nad ziemią, ale całość już pod ziemią. Pamiętam, że żyrandole bujały się, kiedy radzieckie samoloty przelatywały nisko nad budynkami – opowiada pani Barbara.

W ambasadzie częstują ich spirytusem i czekoladą, zielonymi pomidorami i papryką. Tylko takie mają zapasy. Ale nawet to się liczy. – Tak głodna jak w Sashalom nie byłam nawet w czasie okupacji. W niektóre dni naprawdę nie było co jeść.

W ambasadzie chronią się polscy turyści i dziennikarze, których dyplomaci przejęli pod swoje skrzydła po wybuchu inwazji. Wśród tych drugich są

Wiktor Woroszyński [napisze *Dzienniki węgierskie*, drukowane w drugim obiegu w PRL – red.] i Hanna Adamiecka ze „Sztandaru Młodych” [zginie w niejasnych okolicznościach w 1958 roku, gdy wróci na Węgry, by opisywać represje reżimu – red.]. Liszewski zapamiętał też dwie studentki hungarystyki z Warszawy, które w Budapeszcie zaangażowały się w rewolucję.



Zniszczony fragment samochodu dostawczego i zwłoki na jednej z ulic Budapesztu, listopad 1956 roku

– Wśród tych wszystkich osób był też facet, który nijak nie pasował do otoczenia – przypomina sobie pan Edward. – Nikt go nie znał: ani dziennikarz, ani pracownik zakładów we Włochach. Mówił dobrze po polsku, ale do rozmowy się nie włączał. Natomiast chętnie się przysłuchiwał. Gdy tylko jakaś grupka dyskutowała, to zaraz stawał obok. Kiedy zacząłem głośno opowiadać, co widziałem, czego doświadczyłem i jakie mam zdanie o Rosjanach, zaraz się pojawił. Jacek Skroński, lider naszej grupki, powiedział mi: „Edward, ty bądź ostrożny, bo to jakiś

podejrzany typ”

Zanim wyjadą do Polski, udaje im się obejrzeć centrum Budapesztu po walkach. Docierają do tzw. zaułku Corwina i koszar Kiliana, gdzie stoczono najbardziej zaciekłą bitwę. – Na ulicach leżała ogromna liczba trupów, niektóre były rozjechane gąsienicami czołgów. Pamiętam spłaszczony przez czołg hełm, wystawało spod niego tylko trochę krwawej miazgi i włosów – relacjonuje Liszewski.

– A ja widziałam dwóch żołnierzy radzieckich spalonych w wozie pancernym – dodaje pani Barbara.

– To był pojazd odkryty z góry, zapewne został zaatakowany wiązką granatów i butelkami z benzyną. Spłonął, a ludzie nie zdołali uciec – mówi Edward Liszewski.

Polacy pytają Rosjan: – Wiecie, gdzie jesteście?

Ci odpowiadają: – W Niemczech Zachodnich.

A inni: – Nad Kanałem Sueskim.

Liszewski: – To byli prości ludzie.

Złamany opór

Wracają do Polski ciężarówkami PCK, które przywiozły na Węgry lekarstwa i krew. Na granicy węgiersko-czechosłowackiej na Dunaju zatrzymują ich Rosjanie. Z aparatu Stefana Kowalskiego wyjmują film ze zdjęciami Budapesztu tuż po walkach i wyrzucają z mostu do rzeki.

Liszewski: – Zaczęli wypytywać, czy są wśród nas studenci. Byłem ja, był Zdzisio Dzitko, było też dwóch medyków, którzy nie załapali się wcześniej do grupy wyjazdowej. Kazali nam wysiąść z samochodów, stanąć osobno. Wtedy Jacek Skroński zaczął z nimi dyskutować i przedstawił nas jako robotników. Starszy lejtnant, który dowodził oddziałem, widocznie był już tym wszystkim znużony, bo tylko machnął ręką i wpuścił nas do Czechosłowacji.

Liszewski jest dziś przekonany, że to robota podejrzanego typu, który przysłuchiwał się jego słowom w ambasadzie polskiej w Budapeszcie. Prawdopodobnie był awoszem i uprzedził odpowiednie służby, że „lepiej

tych studentów do Polski nie wpuszczać”

W Bratysławie przesiadają się do pociągu. 13 listopada 1956 roku docierają do Warszawy.

Na Węgrzech trwa wtedy ostateczna rozprawa z powstańcami. Wszyscy złapani z bronią w rękę wysyłani są na kilka tygodni do Związku Radzieckiego (najczęściej na Ukrainę).

Bilans powstania jest tragiczny: ginie w nim co najmniej 2700 Węgrów, rannych jest około 30 tysięcy osób. Do końca roku z Węgier uchodzi do Austrii lub Jugosławii około 200 tysięcy obywateli. Po ogłoszeniu w 1963 roku przez Kádára amnestii wrócą nieliczni.

Interwencja na Węgrzech kosztuje Rosjan 669 zabitych żołnierzy, 51 zaginionych i ponad 1450 rannych.

Nadchodzi fala represji, zakazane zostają nawet pokojowe demonstracje. 8 grudnia w Salgótarján siły bezpieczeństwa atakują demonstrację górników protestujących przeciwko aresztowaniu członków rady robotniczej. Ginie około czterdziestu osób.

W styczniu 1957 roku reżim Kádára wydaje rozporządzenie grożące śmiercią za podżeganie do strajku i odmowę pracy. Opór społeczeństwa zostaje złamany.

Śledztwa obejmują 35 tysięcy Węgrów. 26 tysięcy staje przed sądami, 22 tysiące zostaje skazanych. W procesach za zamkniętymi drzwiami powstańcy dostają wysokie wyroki więzienia lub kary śmierci. Wielu trafia na szubienicę tylko dlatego, że w ich mieszkaniach znaleziono broń.

Szacuje się, że reżim Kádára stracił 350–500 Węgrów. Powstańcy z wyrokami więzienia wyjdą dopiero w 1963 roku.

Za wsparcie powstania płaci też wieś. W latach 1959–1961 władze przeprowadzają przymusową kolektywizację, niszcząc gospodarstwa indywidualne.

W kwietniu 1957 roku partia węgierska z inicjatywy Kádára decyduje się na proces Imre Nagya i jego współpracowników. Śledzą go uważnie przywódcy pozostałych krajów tzw. demokracji ludowej. W maju 1957 roku, podczas wizyty w ZSRR, Władysław Gomułka, I sekretarz PZPR, jako jedyny wstawia się za Nagyem u Chruszczowa. Nic to jednak nie daje.

W czerwcu 1958 roku sąd w Budapeszcie skazuje na śmierć Nagya i jego ludzi. Były premier i najbliżsi współpracownicy, m.in. generał Pál Maléter, zostają natychmiast straceni.

Naboje w marynarce

Edward Liszewski wraca na ostatni rok studiów do Budapesztu. Władze pozwalają na to zaledwie sześciu polskim studentom – tylko tym, którzy kończą studia. Liszewskiego, byłego członka powstańczej Gwardii Narodowej, represje omijają, ale podczas ostatniego roku studiów jest sprawdzany przez węgierskie tajne służby.

Raz pod jego nieobecność tajniacy przeszukują jego pokój w akademiku. Szczęśliwym trafem nie sprawdzają marynarki, w której jest dziesięć naboji.

– Gdyby to znaleźli, nie wykaraskałbym się z więzienia przez resztę życia!
– przyznaje z ulgą Liszewski. – Z duszą na ramieniu, bo entuzjazm rewolucyjny dawno już minął, wsadziłem te naboje do kieszeni, wymknąłem się z akademika i wyrzuciłem je w krzaki.

W lipcu 1957 roku broni pracy dyplomowej na Politechnice Budapeszteńskiej i dwa dni później wraca pociągiem do Warszawy.

W samą porę: – Dowiedziałem się, że zaraz potem do mojego akademika w Budapeszcie przyszło dwóch „cichociemnych” i chcieli ze mną rozmawiać. Musieli mieć dobre zamiary.

Wróżka mnie przepowiedziała

– Kiedy byłam na Węgrzech, a w Polsce podawali informacje o rewolucji, moja mamusia załamywała ręce. Aż w końcu poszła po radę do wróżki. A ta jej powiedziała: „Niech się pani nie martwi, córka wróci cała i przywiezie stamtąd męża” – opowiada pani Barbara. – No i proszę!

– Potem mama już nie mogła protestować, bo przecież wróżka mnie przepowiedziała! – śmieje się pan Edward. Nagle poważnie: – A mojej mamie donieśli, że ktoś mnie widział na Węgrzech martwego, jak leżałem zabity pod parlamentem. Więc w domu mnie już pogrzebali. Rozpacz była

wielka, dopóki nie wróciłem.

Na pierwszą randkę Edward i Barbara umawiają się jeszcze w listopadzie 1956 roku, w pociągu powrotnym do Polski. – Edward poprosił mnie o adres. Zapisałam go na bilecie, lecz bez większego przekonania. Pomyślałam, że może chce go dla rozrywki, żeby wiedzieć, gdzie mieszkam – opowiada pani Barbara. – Ale za dzień czy dwa patrzę: jest, przyjechał mnie odwiedzić.

Po studiach, w 1957 roku, Liszewski rozpoczyna pracę w dziale konstrukcyjnym Ery, a więc w zakładzie, w którym pracuje Barbara.

Przyjaźń z Budapesztu przeradza się w miłość. Pobierają się w kwietniu 1958 roku. W 1959 roku rodzi się ich syn, a dziesięć lat później córka.

Pani Barbara pracuje przez jakiś czas w Erze, a potem w różnych instytucjach budowlanych.

Pan Edward przechodzi wszystkie szczeble kariery w swoim zakładzie, od pracownika działu konstrukcyjnego do dyrektora.

– Po studiach na Węgrzech miałem ponaddziesięcioletni zakaz wjazdu do tego kraju – wspomina. – Jakiś czas po wydarzeniach 1956 roku moja firma nawiązała kontakty techniczno-produkcyjne z jedną z fabryk węgierskich. A ponieważ jako jedyny w zakładzie znałem węgierski, byłem cały czas w centrum rozmów. Jednak zawsze coś uniemożliwiało mi wyjazd do Budapesztu: a to moje papiery gdzieś zaginęły, a to przychodziły za późno... Zawsze Węgrzy znajdowali jakieś przyczyny formalne. Potem dopiero okazało się, że byłem w tamtym czasie persona non grata. Węgrzy mieli zapisane, żeby Liszewskiego nie wpuszczać.

Ponownie udaje mu się wyjechać na Węgry w 1967 roku.

Barbara Liszewska wspomina swój pobyt u znajomego w Budapeszcie w latach sześćdziesiątych. Nienawiść do Rosjan była tam wciąż powszechna. – Karel, ten znajomy, ostrzegał mnie, żebym w sklepie nie mówiła do niego po polsku, bo Węgrzy nie odróżniają polskiego od rosyjskiego, mogą mnie wziąć za Rosjanę.

Od czasu pobytu na Węgrzech w 1956 roku Liszewscy odwiedzają się nawzajem ze znajomymi z Dunaju. – Pojechaliśmy z nimi nad morze, ale Bałtyk był dla nich za zimny. Myśmy się kąpali, oni stali nad brzegiem.

Woda w Balatonie jest dużo cieplejsza – uśmiecha się pan Edward.

– Byliśmy też razem na wczasach w Zakopanem – dorzucą jego żona.

Z węgierskiej kuchni przejęli leczo, kluski z sera i faszerowaną mięsem paprykę. – Kiedy zajechaliśmy na Węgry po raz pierwszy, w akademiku dali nam na obiad taką paprykę. Pierwszy raz widzieliśmy te dziwolągi. Cholera, zjadłem ją całą, z pestkami i całym środkiem. Gęba mi się krzywiła: co oni mają za potrawy, dajcie spokój! Potem się dowiedziałem, że środek trzeba wyrzucić! – śmieje się Liszewski.

Pokazuje z dumą węgierski album, w którym są też zdjęcia Polaków, uczestników rewolucji. Na jednym jest jego twarz. W podpisie fragment wspomnień: „Z okien Archiwum Akt Dawnych wydobywał się dym. Kiedy byliśmy wewnątrz, zobaczyliśmy też płomienie. Półki pełne były starych pism”.

W 50. rocznicę węgierskiego powstania na Zamku Królewskim w Warszawie Liszewski wraz z kilkunastoma osobami otrzymał Medal Bohatera Wolności oraz podziękowanie podpisane przez prezydenta i premiera Węgier.

Liszewscy bywają gośćmi w Węgierskim Instytucie Kultury w Warszawie. Jesienią ubiegłego roku pan Edward chodził na wykłady w Zamku Królewskim poświęcone wspólnej historii Polaków i Węgrów.

Co roku oboje są też z honorami zapraszani do węgierskiej ambasady.

Listopad 1956

TYSIĄC LEKARZY MUSI CZEKAĆ

30 bm. z lotniska na Okęciu w Warszawie wystartowały do Budapesztu dwa dalsze samoloty, zabierając ze sobą dla ofiar wypadków na Węgrzech medykamenty i krew o łącznej wadze ponad 4 tys. kg. Pięć poprzednich polskich samolotów, które wozily medykamenty, dotarło szczęśliwie do Budapesztu.

Zarząd Główny PCK – miejsce, gdzie koncentrują się sprawy tak manifestacyjnie podjętej przez społeczeństwo polskie pomocy dla Węgrów. Godzina 15. Ogromne panuje tu podniecenie, oto przed paru minutami przyszła depesza z Budapesztu od Węgierskiego Czerwonego Krzyża. Jest to odpowiedź na pytania PCK o formy pożądaną przez Węgrów pomocy. Węgrzy telegrafują: „dziękujemy za pomoc i wyrazy sympatii. Potrzebujemy żywności, mleka dla dzieci, tłuszczu, lekarstw i materiałów opatrunkowych”. Prawie jednocześnie, bo w parę minut po otrzymaniu depeszy, prezes PCK nawiązuje pierwszą telefoniczną łączność z Budapesztem. Wszyscy zebrani w sekretariacie oczekujemy w napięciu wiadomości z kraju, którego tragedię śledzą z ogromną troską i niepokojem miliony Polaków. Czekam cierpliwie na zakończenie tej ważnej rozmowy. Znacznie mniej cierpliwie oczekuje jej wyniku młody delegat studentów Akademii Medycznej z Gdańska. Przyjechał dziś specjalnie, by zgłosić PCK ekipę sanitarną swej uczelni – 80 studentów V roku i 29 lekarzy-chirurgów. Wszyscy gotowi są wyjechać już jutro. Nareszcie rozmowa z Budapesztem skończona. Dowiadujemy się, że sekretarz generalny Węgierskiego Czerwonego Krzyża dziękował gorąco za pomoc, prosił o leki, krew, plazmę, surowicę przeciwwężcową, materiały opatrunkowe, żywność, szkło, którego pierwszy transport poszedł samolotem wczoraj. Natomiast uważa, że w tej chwili pomoc ekip lekarskich i pielęgniarskich na Węgrzech nie jest konieczna (ta wiadomość zmartwiła

szczerze młodego lekarza z Gdańska). Gdyby taka konieczność zaistniała, Polski Czerwony Krzyż zostanie o niej niezwłocznie zawiadomiony. A więc ok. 1000 lekarzy, którzy w całej Polsce zgłosili chęć przyjścia z bezpośrednią pomocą ludności Węgier – czekać musi cierpliwie.

„Trybuna Ludu”, 1 listopada 1956

POLSCY KOMUNIŚCI POTĘPIAJĄ

Ostatnio wydarzenia węgierskie weszły w nową, groźną fazę. Coraz wyraźniej biorą górę elementy reakcyjne. Podstawy ustroju socjalistycznego są zagrożone. W całym kraju szerzy się chaos i rozprzężenie. Bandy reakcyjne dokonują samosądów i mordują komunistów.

Polska klasa robotnicza i cały naród z najgłębszą troską patrzą na ten rozwój wypadków. Siły reakcji, które pchają Węgry do katastrofy, spotykają się w Polsce ze zdecydowanym potępieniem. (...)

W sytuacji, kiedy próbują podnosić głos elementy reakcyjne, wysuwające prowokacyjne hasła, godzące w sojusz polsko-radziecki, kiedy tu i ówdzie zdarzają się nierozsądne, nieodpowiedzialne wystąpienia, klasa robotnicza i wszyscy świadomi obywatele winni im dać zdecydowany odpór w imię niepodległości kraju i zdobyczy socjalizmu.

Dziś nie czas na manifestacje i wiece. (...)

Komitet Centralny PZPR.

„Trybuna Ludu”, 3 listopada 1956

SOWIECI DŁAWIĄ POWSTANIE

Budapeszt (PAP). Radio budapeszteńskie podało w niedzielę we wczesnych godzinach rannych, że wojska radzieckie wkroczyły do Budapesztu. Jak wynika z doniesień zachodnich agencji prasowych, radzieckie siły zbrojne przystąpiły do działania na terenie całego kraju.

Associated Press powołując się na agencję austriacką doniosła w południe, że wojska radzieckie rozbrajają już jednostki wojska węgierskiego w Budapeszcie.

Jednocześnie donoszą o powstaniu na Węgrzech, w miejscowości Szolnok (...)

nowego rządu węgierskiego, na czele którego stanął János Kádár (...).

Moskwa (PAP). Agencja TASS donosi z Budapesztu:

Dziś z rana siły reakcyjnego spisku przeciwko narodowi węgierskiemu zostały złamane. Utworzony został nowy węgierski rewolucyjny rząd robotniczo-chłopski z premierem Jánosem Kádárem na czele (...).

„Trybuna Ludu”, 6 listopada 1956

„PANORAMA” W ŚRÓDMIEŚCIU

Wrocław (kor. wł.). W ankietach przeprowadzonych przez dzienniki wrocławskie i wrocławską rozgłośnię Polskiego Radia znaczna większość społeczeństwa wypowiedziała się za ustawieniem budynku *Panoramy Racławickiej* w śródmieściu.

Spółeczny Komitet Odbudowy Panoramy zdecydował, że budynek *Panoramy* zbudowany zostanie nad Odrą w okolicach mostu Grunwaldzkiego.

„Trybuna Ludu”, 11 listopada 1956

MEDALE – I DO DOMU

Przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki udekorował w dniu 13 bm. wysokimi odznaczeniami państwowymi radzieckich doradców wojskowych odjeżdżających do ZSRR. (...) Przemawiając w czasie uroczystości, Aleksander Zawadzki podkreślił wielkie zasługi radzieckich doradców – generałów i oficerów, którzy pomogli nam stworzyć silną, nowocześnie uzbrojoną armię, zdolną do obrony granic Polski. (...)

W imieniu odjeżdżających doradców wojskowych w gorących słowach przemówił gen. Władysław [Wsienołod] Strażewski. Podkreślając więzy braterstwa i przyjaźni, jakie złączyły radzieckich doradców wojskowych z żołnierzami Wojska Polskiego, wskazał on na pomyślnie rozwijającą się współpracę armii ZSRR i Polski. Spotkanie upłynęło w serdecznej atmosferze.

„Trybuna Ludu”, 15 listopada 1956

DOBRODZIEJSTWA MOSKWY

Ułożenie wzajemnych stosunków na leninowskich zasadach równouprawnienia. Zadłużenie Polski wobec Związku Radzieckiego zostało umorzone. ZSRR dostarczy nam w 1957 r. 1.400 tys. ton zboża. Długoterminowy kredyt dla Polski w wysokości 700 milionów rubli. Rozpatrzenie spraw związanych z czasowym stacjonowaniem jednostek radzieckich w Polsce. ZSRR ułatwi dalszą repatriację Polaków do kraju.

„Trybuna Ludu”, 20 listopada 1956

NASI DEFILOWALI PIĘKNIE

Punktualnie o godz. 15 czasu australijskiego (wg naszego czasu o godzinie 6.) burzliwe oklaski ponadstutysięcznej widowni olimpijskiego stadionu Cricket Ground w Melbourne przywitały wkraczające przez bramę olimpijską ekipy wszystkich państw biorących udział w XVI Igrzyskach Olimpijskich (...).

Pięknie prezentującą się drużynę polską poprzedzają Filipiny. Burzą oklasków i serdecznymi okrzykami w języku polskim wita naszą ekipę liczna kolonia polska. Świetnie prezentuje się Tadeusz Rut, chorąży zespołu. Reprezentacja Polski swą wspaniałą postawą i pięknym defiladowym krokiem wzbudza entuzjazm nie tylko Polaków.

„Trybuna Ludu”, 24 listopada 1956

SOŁDATY MAJĄ SIĘ NIE MIESZAĆ

Wizyta naszych czołowych kierowników Partii i Rządu w Moskwie doprowadziła do pomyślnego zlikwidowania tych błędów i wypaczeń, jakie ciążyły na stosunkach między Polską a ZSRR, między PZPR i KPZR w okresie stalinowskim. (...)

Wspólna deklaracja wyraźnie zaznacza, że czasowy pobyt w Polsce wojsk radzieckich w niczym nie może naruszać suwerenności praw państwa polskiego i wyklucza jakiegokolwiek ich mieszanie się do naszych spraw wewnętrznych. Jest to ważne stwierdzenie, ponieważ „ruchy wojsk” w pamiętnych dniach października spowodowały sporo niepokojów i niepotrzebnie narobiły „złej krwi”, narażając na szwank to wielkie zaufanie,

jakim chce darzyć naród polski swego wielkiego sojusznika i sprzymierzeńca. Obecnie Polska będzie miała głos w kwestii liczebności i składu wojsk radzieckich, przebywających na jej terytorium. Także wszelkie ruchy wojsk radzieckich będą wymagały odpowiedniej zgody ze strony Rządu Polskiego. (...).

„Zielony Sztandar”, 25 listopada 1956

NARESZCIE ZŁOTO

Nareszcie mamy złoty medal. Zdobyła go Elżbieta Duńska-Krzesińska w skoku w dal, osiągając znakomity wynik 6,35 m, który jest nowym rekordem olimpijskim i wyrównuje dotychczasowy rekord świata, należący zresztą do Krzesińskiej.

„Trybuna Ludu”, 29 listopada 1956

Bydgoszcz miała listopad

Niedziela 18 listopada 1956 roku. Około godziny 17 przed bydgoskim kinem Bałtyk w Alejach 1 Maja (obecnie ul. Gdańska) kłębi się tłum chętnych do obejrzenia północnokoreańskiego filmu *Zwiadowcy* o żołnierzach Kim Ir Sena. Frekwencja dopisuje, bo bilety są niemal dwukrotnie tańsze niż na *Nikodema Dyzmę* z Adolfem Dymszą w położonym nieopodal kinie Pomorzanin; tam wejście kosztuje aż 9 zł.

Tłum ciśnie się w wąskim przejściu prowadzącym na podwórko, na którym mieści się kino Bałtyk. W holu kina ludzie napierają na okienko biletowe z taką pasją, że kasjerka Teresa Koszuda prosi biletera Franciszka Rogiewicza: – Wezwij milicję!

Czerwone parobki

Z interwencją pierwszy dociera do kina patrol oficerski MO, ale podporucznicy Józef Kukulski i Edward Mazurek nie radzą sobie z rozgorączkowanym tłumem, w którym są też żołnierze służby zasadniczej. Na pomoc przyjeżdża gazikiem kolejny patrol, tym razem trzyosobowy. I choć przed kinem czeka aż czterysta osób, a milicjantów jest tylko pięciu, sprawnie wypychają największych awanturników z holu na ulicę.

Na chwilę sytuacja uspokaja się, lecz na miejsce zamieszania dociera trzeci patrol MO. Plutonowy MO Roman Ginter chce aresztować wyłowionego z tłumu osiemnastolatka, który rzekomo uderzył jednego z funkcjonariuszy w twarz.

Tłum się burzy i nie pozwala zabrać chłopaka. Otacza milicjantów, szarpie ich, krzyczy: „Czerwone parobki!”

Bydgoszczanie atakują również milicyjny gazik: podnoszą go nad jezdnię i puszczają z hukiem, co zmusza milicjantów do uwolnienia chłopaka i sięgnięcia po pałki.

Bicie tylko wzmacnia agresję tłumu.

Stefan Pastuszewski, historyk i autor książki o wydarzeniach w Bydgoszczy, mówi, że to była ta iskra. – Zadziałała na beczkę prochu. Ludzie pod kinem byli zaskoczeni, bo po raz pierwszy w dziejach PRL milicja użyła pałek.

„Banan”

Przez jedenaście powojennych lat Polski Ludowej milicjanci nie mieli pałek – komunistom kojarzyły się z granatową policją „burżuazyjnej” Polski przedwojennej. To za pomocą pałek, ale również broni palnej, policja rozpędzała przed 1939 rokiem demonstracje robotnicze, w których brał udział niejeden prominentny polityk późniejszego PRL-u. W państwie robotników i chłopów używanie czegoś takiego było więc wykluczone. Do 1956 roku.

Pałki, które spadły na plecy bydgoszczan w listopadzie 1956, wyprodukowano w NRD. Tamtejsze zakłady przemysłowe dostarczały zresztą więcej sprzętu polskiej milicji – oprócz pałek także tarcze, kaski szturmowe z przyłbicami – aż do końca jej istnienia. Jednak wbrew powszechnemu przekonaniu w pałki nie wyposażył MO Władysław Gomułka. Taką decyzję podjęli jeszcze jego poprzednicy wiosną 1956 roku, czyli pół roku przed powrotem „Wiesława” do władzy.

„Prawdopodobnie już w kwietniu warszawscy milicjanci otrzymają pałki. Będą to pałki chowane w rękojeść, z której w razie potrzeby wyskakują” – obwieściła dobrze poinformowana „Trybuna Ludu” 25 marca 1956 roku, zaledwie kilka dni po wyborze Edwarda Ochaba na I sekretarza KC PZPR.

W listopadzie „Trybuna” – nieco wstydliwie, w małej notce na dalszych stronach gazety – doniosła o dostawie pałek do jednostek MO.

Milicjanci otrzymali krótkie patrolowe pałki z białej gumy. Nazywali je „bananami”, bo były poręczne i lekkie. I wyginały się, gdy milicjanci nimi wymachiwali. Znacznie krótsze od pałek szturmowych, w które wyposażono później oddziały Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO), stanowiły popularny element milicyjnego ekwipunku – ostatnich egzemplarzy używała jeszcze policja po 1989 roku.

– Kiedy te nowe enerdowskie pałki zaczęły świstać pod kinem Bałtyk, bydgoszczanie byli wzburzeni. Tym bardziej że w tym czasie Gomułka gościł w Moskwie. Ludzie o tym wiedzieli i byli zawiedzeni: po co tam pojechał? Wyczuwali, że Gomułka odchodzi od tego, co obiecywał w Październiku – opowiada Pastuszewski.

Ściśnięci w wąskim przejściu, w ciemnościach listopadowego wieczoru milicjanci nie mają szans. Muszą ratować się ucieczką. Czterech chroni się w restauracji Rybna naprzeciwko kina. Gdy tłum rusza za nimi, kierownik knajpy Stanisław Zengier barykaduje drzwi. Milicjanci alarmują komendę, że potrzebują wsparcia.

Pałowanie nie z tej ziemi

Tego samego dnia po dziewiętnastej ze starej czynszowej kamienicy przy placu Poznańskim wychodzi Józef Borowski. Mówi matce, że do kina. Ma siedemnaście lat, jest prostym pracownikiem, bez wykształcenia, zatrudnionym w fabryce lodówek.

– W domu była nas ósemka, plus mama i tata. Mama była w domu, ojciec pracował w zakładach odzieżowych. Było nam ciężko, bardzo ciężko. Z pieniędzmi gorzej niż źle. Dlatego nie mogłem skończyć szkoły podstawowej, musiałem iść pracować. Robiłem po południu szkołę dla pracujących przy Bernardyńskiej – opowiada Borowski, niski mężczyzna o bystrym spojrzeniu. Przyszczyżone „na szcnotkę” siwe włosy, pod szyją granatowy krawat. Dziś jest już emerytem.

Wtedy, gdy opuszcza dom, jest już ciemno. Z placu Poznańskiego do Bałtyku jest jakieś pół godziny drogi.

W Alejach 1 Maja przy Orbisie chłopak widzi jakieś zgromadzenie i dwa samochody z milicją albo KBW. I niesamowity widok: milicjanci biją ludzi! Pałowanie nie z tej ziemi!

– Pochodzę z rodziny katolickiej, mój tata był betonem wobec komuny. Mówił nam: „Pamiętajcie, chłopcy, komunę trzeba niszczyć wszelkimi możliwymi sposobami!” Był prześladowany i przez Niemców, i przez czerwonych, bo w czasie wojny nie dał się wpisać na folkslistę, a za komuny

nie wstąpił do partii. W domu słuchaliśmy stacji Jeziorańskiego, Głosu Ameryki, BBC i zagranicznych audycji katolickich. Zawsze od godziny 22 do 23. Mama była zła. Przestrzegała nas, że ktoś może usłyszeć. To było ciężkie słuchanie, bo zakłócało je takie piszczenie, jakby w zakładzie pracy ktoś pracował na pilarence. A to była zagłuszarka na wzgórzu na Szwederowie – wspomina Borowski.



Po godz. 19 ze starej czynszowej kamienicy przy placu Poznańskim wychodzi Józef Borowski. Mówi matce, że do kina. Na zdjęciu: Józef Borowski na Wzgórzu Dąbrowskiego, w miejscu, w którym zniszczono zagłuszarkę, grudzień 2015 roku

Kiedy widzi, że ludzie przeganiają milicjantów, postanawia się przyłączyć do tłumu. – Było nas z 2–3 tysiące. Ludzie krzyczeli za Węgrami, przeciwko Roskom, ale też: „Niech żyje Gomułka!”. Nie wiem, czy to ktoś prowokował, bo każdy Gomułkę miał w nosie... Ludzie byli w różnym wieku, także

wojskowi.

Zbiorowisko przed Bałtykiem rośnie, ludzie są podnieceni: „Precz z Ruskimi!” Pojawiają się plotki, że milicja pałuje także pod kinem Orzeł; że kobiety też; że zastrzelono trzech kolejarzy, którzy nie chcieli prowadzić pociągu do ZSRR.

Około godz. 18 ktoś woła: – Precz z „blacharzami”! Idziemy na MO!

„Blacharze” to milicja. Tłum formuje pochód i rusza w stronę komendy na ulicy Chodkiewicza: „Niech żyje wolna Polska!”, „Precz z Ruskimi!” Wobec partii i milicji – obelgi.

Pastuszewski: – Ich zachowanie podyktował scenariusz poznański. W Bydgoszczy, tak samo jak w Poznaniu, demonstranci poszli w pierwszej kolejności pod budynki władzy, pod MO i więzienie.

Pochód zamiast westernu

19.30. Z mieszkania przy Gołębiej wychodzi Zdzisław Dzięgielewski. Też do kina, ale na western o 20.15 w kinie Polonia. Ma dwadzieścia lat, jest wysoki i silny, od roku sortuje i kontroluje skóry z lisów i nutrii w Pomorskim Przedsiębiorstwie Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych w Bydgoszczy.

– Pracowałem od piętnastego roku życia. Mojego ojca zamordowali Niemcy, matka była chorowita, więc od razu po podstawówce poszedłem do pracy w zakładach rowerowych, na produkcji. Ale zwolniłem się, jak mnie wpisali do Związku Młodzieży Polskiej. Widziałem, jak co chwila coś w tym statucie ZMP zmieniali. Mój dziadek, który jeszcze za zaborów należał wraz z Emilem Warmińskim do Towarzystwa Patriotów Polskich, uczył mnie: „Pamiętaj, żebyś za dużo nie gadał. Wróc do domu, to ci ktoś zawsze wytłumaczy” – wspomina.

Dziś jest osiemdziesięciolatkiem z siwym wąsem. Kiedy opowiada, rozkłada potężne, silne dłonie. – Legitymację ZMP spaliłem w czasie tego protestu w 1956, na Mostowej. Doszedłem do wniosku, że prędzej zrobią ze mnie komsomolca niż zetempowca. Wcześniej chodziłem na różne czyny społeczne, pracowałem też w Służbie Polsce: na wykopkach kartofli,

w koszeniu żyta, pieleniu buraków... Byłem młody i głupi, robiłem, co potrafiłem. W tym wieku nie nadużywałem swojej mądrości.



19.30. Z mieszkania na Gołębiej wychodzi Zdzisław Dzięgielewski. Też do kina, ale na western o 20.15 w kinie Polonia. Ma 20 lat, jest wysoki i silny. Na zdjęciu: Zdzisław Dzięgielewski w grudniu 2015 roku

Gdy stoi w kolejce przed kasą kina Polonia, z oddali słyszy okrzyki.

– Jak ludzie usłyszeli hasło „Niech żyją Węgry!”, zaraz pobiegli z kolejki na Aleje 1 Maja, do pochodu. Ja oczywiście też. Wiedziałem z Wolnej Europy, co się działo na Węgrzech. A wiadomo: Polak, Węgier, dwa bratanki... Ruskich ludzie nie cierpieli.

Po czterdziestu minutach tłum dochodzi pod gmach Komendy Wojewódzkiej MO przy ulicy Chodkiewicza 30. To dwa długie bliźniacze budynki z czerwonej cegły; dziś mieści się w nich Uniwersytet Kazimierza Wielkiego. Ludzie forsują bramę i demolują dyżurkę.

Borowski widzi, jak wartownik z dyżurki ucieka do komendy. Znosi się na szturm gmachów, w których przebywa dziesięciu funkcjonariuszy kompanii ochronno-konwojowej. Na dziedziniec wychodzi jednak naczelnik wydziału kadr, któremu udaje się nakłonić do wycofania się ludzi próbujących wedrzeć się do komendy.

– Idziemy na radiostację! – rzuca wtedy stojący na czele pochodu Tadeusz Gulcz, mężczyzna w jasnym trenczu, z obandażowaną, poparzoną kilka dni wcześniej dłonią. Ma na myśli zagłuszarkę zachodnich rozgłośni radiowych, która stoi na Wzgórzu Dąbrowskiego na Szwederowie – tę samą, która utrudnia Borowskiemu słuchanie BBC. Ludzie z entuzjazmem podchwytyją pomysł.

– Jakież 150 metrów od Chodkiewicza jechał tramwaj – pamięta Borowski. – Zatrzymaliśmy go, mówię, jak było, niczego się nie wyrzekam. W tramwaju było kilku milicjantów. Weszliśmy do środka, dostali po karku. Nic im się nie stało, ale swoje oberwali.

Podczas przemarszu demonstranci wpadają do siedziby Komendy Miejskiej MO i gmachu kasyna MSW, który jeszcze do niedawna był Klubem Milicjanta i Pracownika UB.

Borowski woła: „Idziemy na więzienie!” – Miałem na myśli uwolnienie politycznych.

Gdy demonstracja dociera pod sąd i więzienie na Nowogrodzkiej, ludzie skandują: „Uwolnić więźniów politycznych!”, ale sądu nie atakują. – Nie mieliśmy żadnych szans, bo milicja już tam z bronią czekała. Widocznie ich powiadomili.

Tłum kieruje się więc Wałami Jagiellońskimi ku wzgórzu na Szwederowie. To tam, na działce Głowińskich, stoi widoczny z daleka 25-metrowy maszt z anteną zagłuszarki.

Płonąca zagłuszarka

Zagłuszanie audycji radiowych w PRL trwa od 1950 roku. Najpierw na celowniku znajdują się audycje Radia Madryt – antykomunistycznej rozgłośni nadającej po polsku z Hiszpanii, wspieranej przez generała Franco

(jednym z jej redaktorów był poeta i prozaik Józef Łobodowski). Od 1 grudnia 1951 roku radiostacje komunistyczne zagłuszają też polskie audycje Serwisu Światowego BBC. Potem na listę wrogów wpisana zostaje również Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, zagłuszana od dnia nadania pierwszej audycji – 3 maja 1952 roku.

Nic dziwnego, że 28 czerwca 1956 roku demonstranci w Poznaniu niszczą zagłuszkę znajdującą się na dachu budynku ZUS.

Bydgoskim symbolem cenzury jest Szwederowo, gdzie maszt zagłuszkarki stoi od początku lat pięćdziesiątych. Obok, nieco niżej, znajduje się – ocalały do dziś – jednopiętrowy budynek ze szklaną nadbudówką, w której urzęduje wartownik z karabinem. Na parterze budynku, w wynajmowanym mieszkaniu – metalowe szafy z aparaturą zagłuszającą.

Teren jest ogrodzony siatką.

Urządzeń zagłuszających próbuje bronić pracownik ochrony Ignacy Bielak, strzela nawet na postrach w powietrze, jednak szybko zostaje rozbrojony przez tłum. Ludzie przeskakują przez siatkę, która otacza działkę Głowińskich na Wzgórzu Dąbrowskiego, wdzierają się do wnętrza radiostacji, niszczą sprzęt zagłuszający i centralę telefoniczną. Zabierają cztery karabiny, ale w emocjach gubią do nich zamki, więc broń jest bezużyteczna.

Borowski pamięta, że wszedł do radiostacji, ale jak: nie ma pojęcia. – Ale te urządzenia pamiętam. Takie szafy były, że ho, ho! Dwie wysokie na półtora metra! Waliliśmy w nie pięściami, a potem podpaliliśmy.

– Nasze działania nie były zorganizowane, raczej chaotyczne – przyznaje Dzięgielewski.

Demonstranci podpalają budynek radiostacji i przewracają drewniany maszt z budką fiderową [urządzenie techniczne związane z pracą zagłuszkarki – red.] u podstawy słupa.

Dzięgielewski: – Ktoś zniszczył skrzynię fiderową, rozbił ją, więc zaczął z niej wyciekać olej. Ktoś inny przyniósł z budynku obok starą kanapę. Wymoczyli ją w tym oleju i podpalili. A potem dokładali do ognia, co się dało, ludzie z pobliskiej kamienicy.

Od płonącej kanapy zajmuje się cały maszt. Stoi jednak nadal dzięki czterem grubym stalowym linom.

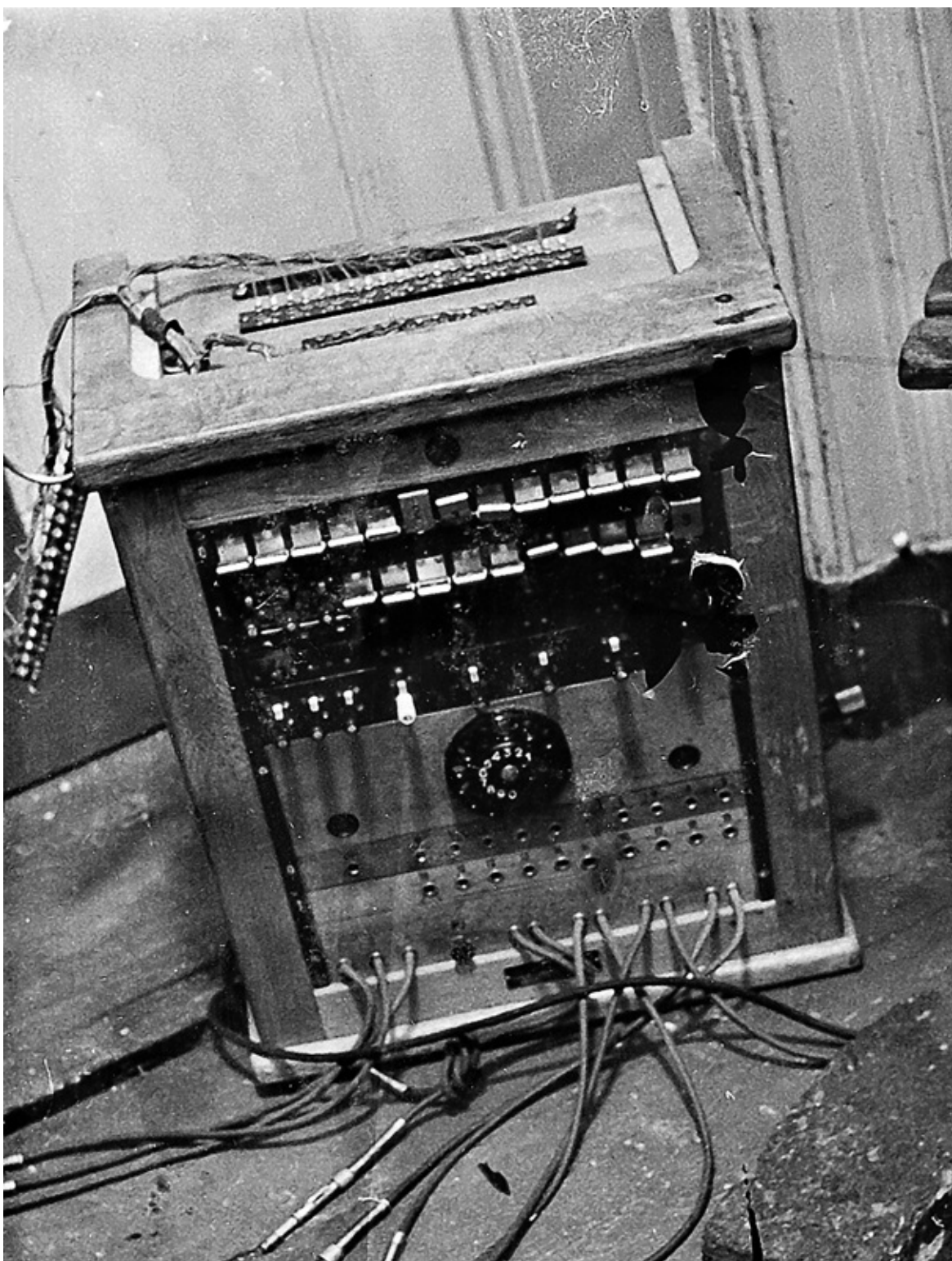
– Ludzie się obawiali, że się wywróci na nich. Przyleciał jakiś starszy facet z siekierą, z pobliskiego domu. Wziął ją Tadeusz Gozdecki, zatrudniony, zdaje się, w energetyce. Miałem przy sobie latarkę na trzy baterie, to mu przyświecałem, a on rąbał siekierą w te liny, aż iskry szły! Jak dwie liny zerwał, to się zagłuszarka przewróciła na zbocze. Zaraz ludzie z kamienicy przybiegli, zaczęli krzyczeć: „Niech żyje Polska!” i śpiewać *Mazurka Dąbrowskiego!*

Gozdecki przytomnie wskazuje ludziom, które liny mają ciągnąć, żeby maszt nie przewrócił się na domy. Maszt opada na zbocze od strony ulicy Filareckiej.

„Ludzie, którzy tutaj przyszli z centrum miasta, potrzebowali najwykleszego sprzętu, żeby móc zniszczyć zagłuszkę, i tak się złożyło, że mój dziadek był człowiekiem, który użyczył im siekiery” – wspominał w lokalnej gazecie Leszek Latosiński, mieszkaniec Szwedkowa. Kiedy na Wzgórze Dąbrowskiego przyjeżdżają strażacy, demonstranci nie dopuszczają ich do ognia. – Ludzie im te węże siekierami poprzecinali. A straż wyglądała tak, jakby wcale nie chciała gasić – przypomina sobie Dzięgielewski.

Do demonstracji dołączają mieszkańcy okolicznych domów. Wywieszają flagi w oknach, wykrzykują patriotyczne hasła, śpiewają patriotyczne pieśni. – Była euforia, panie – przyznaje Borowski.

– Ale to była radość na zapas, bo chyba każdy rozsądny człowiek wie, że przez taką drobną rzecz nie zmieni się ustroju w Polsce. Taka euforia niepotwierdzona logiką – komentuje dziś Dzięgielewski.



Zerwana przez demonstrantów centrala telefoniczna i aparaty na dyżurce
na Wzgórzu Dąbrowskiego

Kontratak

Gdy tłum idzie na zagłuszkę, siły porządkowe zwierają szyki. Około godz. 19 sztab 9. Pomorskiego Pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego zarządza ochronę sześciu państwowych obiektów uznanych za zagrożone. Radiostacja zagłuszająca ma być jednym z nich. W Komendzie Wojewódzkiej MO zmobilizowano dwie piętnastoosobowe grupy funkcjonariuszy uzbrojonych w pałki i chemiczne środki obezwładniające. Dostają rozkaz „rozpędzenia chuliganów przy radiostacji” na Szwederowie.

Funkcjonariusze nie mają samochodów, maszerują więc na Wzgórze Dąbrowskiego, co opóźnia interwencję. Około 20.10 grupa manewrowa KBW powiadamia milicjantów, że bezpośrednio pod stację zagłuszającą podejść się nie da, bo została już zajęta przez demonstrantów i podpalona.

Po godz. 20.10 siły MO i UB atakują od strony ulic Filareckiej i Podgórznej. Manifestanci zostają rozproszeni, ale część z nich ponownie gromadzi się na placu Pawła Findera (dziś Nowy Rynek). Na Komitet Miejski PZPR lecą kamienie, słychać brzęk tłuczonych szyb.

– Niech żyją Węgry! – krzyczą bydgoszczanie. – Niech żyje Poznań!

Milicja znowu ich rozpędza, a oni znowu nie dają za wygraną – raz jeszcze próbują zebrać się w Alejach 1 Maja. Atakują Komendę Dzielnicową MO Śródmieście i kasyno, więc dowódca oddziału KBW wysyła tam kompanię wojska. Żołnierze do spółki z ubowcami i milicjantami idą w zwartym szyku, rzucają petardy i środki chemiczne, potem pałkami rozpraszają zgromadzenie. Około dwudziestej drugiej sytuacja jest już opanowana.

Borowski i Dzięgielewski chyłkiem przedostają się do domów, udaje im się uniknąć patroli milicji. Dzięgielewski jest w domu, na Gołębiej, około dwudziestej trzeciej. – Matka się nie denerwowała, bo wiedziała, że idę do kina.

Borowski dociera na plac Poznański po północy. – Rodzice już na mnie czekali. Przyznałem się, gdzie byłem, w końcu byłem z tego dumny. Mama była na mnie zła, ale mój świętej pamięci tata poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Dobrze, mój synu. Dobrze zrobiłeś!”



Gozdecki przytomnie wskazuje ludziom, które liny mają ciągnąć, żeby maszt nie przewrócił się na domy. Maszt opada na zbocze od strony ulicy Filareckiej

Gomułka żąda: Przykładnie ukarać!

Nazajutrz, w poniedziałek 19 listopada, Borowski idzie jak gdyby nigdy nic do pracy. Ale przed dziewiątą zgłasza się do niego portier.

– Przyszli po ciebie – mówi.

Borowski widzi dwóch mniej więcej trzydziestoletnich facetów.

– Borowski Józef? – pytają.

– Tak.

– Ubierać się i z nami.

– Ale o co chodzi?

– Wy już dobrze wiecie, o co chodzi.

Przed zakładem czeka na niego wojskowy samochód, a przy nim czterech-pięciu żołnierzy z pepeszami. – Pojechaliśmy prosto na Chodkiewicza, do komendy wojewódzkiej MO.

Zostaje aresztowany pod zarzutem, że „w dniu 18 listopada 1956 w Bydgoszczy wziął aktywny udział w zbiegowisku, idąc na czele pochodu” oraz „w tym samym miejscu i czasie wybił na terenie KWMO jedną szybę oraz dwie szyby w Komendzie Dzielnicowej MO Śródmieście”.

Godzinę później, około dziesiątej, tajniacy zajeżdżają też do zakładu, w którym pracuje Dzięgielewski.

– Kazali mi się zbierać. Wsadzili mnie w obstawie do citroëna – opowiada. Jego również wiozą na Chodkiewicza, a potem do więzienia na Wałach Jagiellońskich, gdzie trafia też Borowski. Siedzą jednak w innych celach: Dzięgielewski ze Zdzisławem Ligowskim, a Borowski sam.

W areszcie ląduje szesnastu uczestników demonstracji. Władze przedstawiają zamieszki jako chuligańskie wybryki, których celem miało być „niszczenie społecznego mienia”.

Śpią na drewnianych pryzkach.

Dwa razy budzą Borowskiego w środku nocy. Śledczy kieruje lampę prosto na twarz. Jak u fotografa.

– Mów. Jak nie podasz nazwisk kumpli, zabierzemy się za twoją matkę i ojca. I nie wyjdiesz stąd.

Ale nie biją.

Ani Borowski, ani Dzięgielewski nie podają żadnych nazwisk.

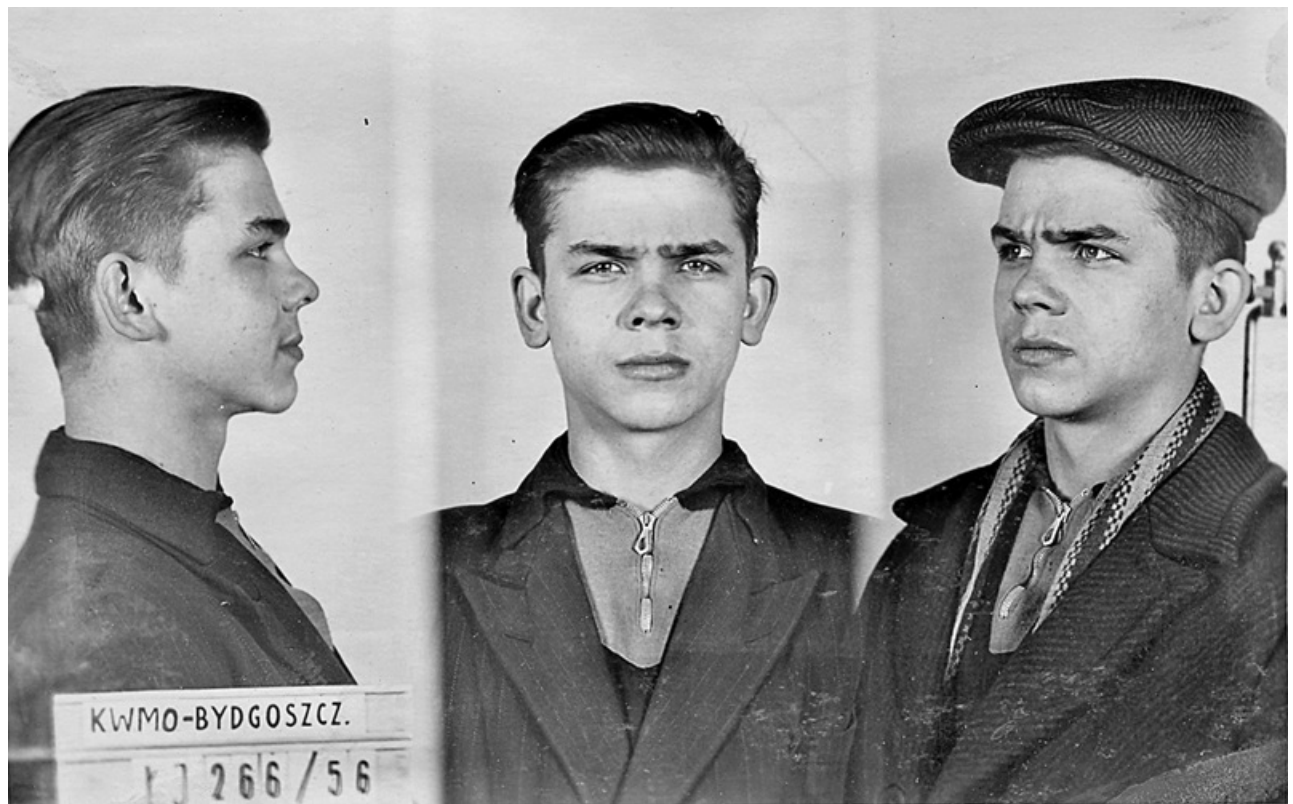
Władze się spieszą. Rozprawa przed Sądem Wojewódzkim w Bydgoszczy rozpoczyna się już 2 stycznia. O wywołanie „chuligańskich zajęć” oskarżona jest cała szesnastka. Najstarszy oskarżony ma czterdzieści cztery lata, najmłodszy szesnaście.

– Przykładnie ukarać! – domaga się Gomułka.

Sąd działa pod presją gazet, które piszą o chuliganach, a pomijają lub zatajają polityczne motywy protestu. Mimo to sprawa robi się głośna, do Bydgoszczy przyjeżdżają dziennikarze z USA i Francji. Materiał z rozprawy kręci Polska Kronika Filmowa.

– Zobaczyliśmy się dopiero tam, na sali sądu – opowiada Dzięgielewski. – Każdy patrzył na drugiego, a nazwiska poznawaliśmy z aktu oskarżenia.

Także dla sądu oskarżeni to chuligani, którzy dopuścili się niszczeniu mienia publicznego lub czynnej napaści na funkcjonariuszy MO. Wyroki zapadają już 18 stycznia. Uznany za prowodyra Tadeusz Gulcz dostaje sześć lat więzienia, Ryszard Kosik pięć, Ryszard Ratajczak i Stanisław Serwiński po trzy, Zdzisław Berkowski dwa i pół, Bernard Doliński i Zdzisław Ligowski po półtora, a Tadeusz Lewandowski rok. Zdzisławowi Dzięgielewskiemu i Tadeuszowi Gozdeckiemu wlepiają po osiem miesięcy, Józefowi Borowskiemu pół roku, zaś Stanisławowi Gołębiowi pięć miesięcy (z warunkowym zawieszeniem wykonania kary). Waldemar Marciniak trafia natomiast do poprawczaka (z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na trzy lata i pozostawieniem go pod nadzorem matki). Zbigniew Witczak zostaje uniewinniony, podobnie jak Bronisław Połomski i Maksymilian Kaczyński.



Zdjęcia milicyjne Józefa Borowskiego



Zdjęcia milicyjne Zdzisława Dziegielewskiego

Stefan Pastuszewski: – To był bardzo specyficzny proces. Po Październiku władza prowadziła go tak, żeby nie pokazać, że ludzie są przeciwko niej. Dlatego wyłapano i skazano tych, których można było oskarżyć o akty typowo chuligańskie. A przecież demonstracja od razu przyjęła charakter polityczny. Dość powiedzieć, że na trasie pochodu nie wybito ani jednej szyby sklepowej, ucierpiała jedynie gablota teatralna, choć akurat jej zniszczenie mogło być prowokacją ubowców. Wznoszono natomiast antyradzieckie hasła, śpiewano hymn i *Boże, coś Polskę*.

Pastuszewski podkreśla, że władza wpływała też na adwokatów oskarżonych. Sugerowano im, że ich klienci dostaną niższe wyroki za czyny chuligańskie, niżby to było w przypadku sprawy politycznej. Takiej kwalifikacji czynów prokuratura chciała uniknąć.

– Mój adwokat, Kochański, nakazał mi, żebym się przyznał do tego, czego nie zrobiłem. Że niby byłem o 19.30 na komendzie MO, że jakiegoś milicjanta niby nogą od krzesła uderzyłem. A o tej godzinie to ja jeszcze byłem w domu! – zżyma się Dziegielewski. – Przyznałem się tylko do tego, że byłem w marszu. Jeszcze z więzienia we Wronkach pisałem w tej sprawie do Rady Państwa, ale nic to nie dało.

– Co to byli za obrońcy! – macha ręką Borowski. – Z urzędu! Ja się przyznałem do wszystkiego, do tego, gdzie byłem. Bo byłem z tego dumny.

Dziegielewski zostaje ostatecznie ukarany ośmioma miesiącami więzienia za „udział w zbiorowisku chuligańskim”. Ale nie za udział w najściu na komendę MO.

Dwa, trzy tygodnie siedzi w Potulicach (w tym samym czasie przebywali tam Zdzisław Ligowski, Bernard Doliński i Ryszard Ratajczak). Potem wraz z Ligowskim przewożą go do Wronek. Tam siedzi do końca wyroku.

– Ligowski był kalifaktorem, roznosił jedzenie. A ja powiedziałem, że uczyłem się na ogrodnika, bo chciałem wyjść na powietrze. Zresztą faktycznie tak było – opowiada Dziegielewski. – Sadziłem ogórki, pomidory. Ponieważ nie miałem jeszcze prawomocnego wyroku, to traktowali mnie inaczej. Chodziłem w cywilnych ciuchach, nie byłem też ostrzyżony „na glacę”

Podobnie jak Borowski siedzi w pojedynczej celi. Cieszy się zaufaniem strażników na tyle, że pozwalają mu zbierać za murami więzienia liście morwowe potrzebne do hodowli jedwabników. Raz, pod koniec kwietnia 1957, klawisz pozwala mu nawet obserwować przelot komety Arenda-Rolanda.

Wychodzi latem 1957. W tym czasie Borowski jest już na wolności. Cztery ze swoich sześciu miesięcy odsiedział w Trzeciewnicy. Pozostałe darowali mu warunkowo.

Po Bydgoszczy był Szczecin

W listopadzie i grudniu 1956 roku bojowe nastroje opanowują całą Polskę. Społeczeństwo odreagowuje lata milczenia i napięcia związanego z wydarzeniami Października. Tych wieców i zgromadzeń, podczas których padają antyradzieckie hasła, obawia się najbardziej Władysław Gomułka.

Tydzień przed zamieszkami w Bydgoszczy z milicją ścierają się mieszkańcy Płocka. Podłoże jest podobne: 11 listopada 1956 roku milicja próbuje aresztować uczestnika bójki, za którym wstawia się tłum. Zamieszki przeradzają się w oblężenie komendy MO przez kilkuset płocczan. Lecą kamienie – i szyby komendy, ale i tym razem to nie jest zwykły chuligański wybryk. Atakujący gmach śpiewają pieśni patriotyczne i religijne.

10 grudnia 1956 roku w Szczecinie milicja usiłuje zatrzymać pijanego mężczyznę. Bronią go przechodnie. Młodzi mężczyźni wywracają milicyjny samochód. „Rozpętała się chuligańska heca” – komentuje następnego dnia „Trybuna Ludu”. Na miejscu incydentu zbiera się 3 tysiące mieszkańców Szczecina. Żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozpędzają tłum gazami łzawiącymi, lecz szczecinianie próbują zdobyć komisariat MO, więzienie i prokuraturę wojewódzką. W ruch idą kamienie. Regularne walki uliczne z KBW rozprzestrzeniają się na całe śródmieście. „Precz z Ruskimi! Niech żyją Węgry!” – krzyczą demonstranci.

Około dwudziestej trzeciej tłum przepędza wartownika z budki przed konsulatem ZSRR i demoluje wnętrze placówki, niszcząc meble i dokumenty. Ludzie tną portret Chruszczowa, krzyczą o wolnych Węgrzech.

Bez szwanku wychodzą tylko... portrety Lenina.

Sowieccy dyplomaci i ich ochrona, kilku uzbrojonych kagebistów, w obawie przed linczem ukrywają się w specjalnym schronie w piwnicy.

Ten atak jest bodaj jedynym przypadkiem w dziejach PRL, gdy Polacy szturmem zajmują sowiecką instytucję. Napastnicy uciekają dopiero wtedy, gdy na ulicy pojawiają się wozy opancerzone KBW.

„Trybuna Ludu” ubolewa nad „przestępczym atakiem na przedstawicielstwo zaprzyjaźnionego kraju”. Walki z siłami porządkowymi w Szczecinie trwają jeszcze dwa dni, milicja i KBW zatrzymują 93 osoby. Wiele z nich stanie przed sądem.

Paweł Machcewicz w książce *Polski rok 1956* zauważa: „Agresja tłumów kierowała się w pierwszej kolejności przeciwko obiektom związanym z radziecką obecnością w Polsce – koszarom radzieckich wojsk, budynkom użytkowanym przez radzieckich oficerów i żołnierzy, czy – jak w przypadku Szczecina – radzieckim placówkom dyplomatycznym, a także przeciwko obiektom symbolizującym represyjny wymiar reżimu: gmachom urzędów bezpieczeństwa, komendom i komisariatom MO, gmachom prokuratury i więzień. (...) Charakterystyczne jest też to, że zarówno w Poznaniu [w czerwcu 1956 – red.], jak i w Bydgoszczy tłum zniszczył aparaturę zagłuszającą zagraniczne radiostacje”

Narodziny ZOMO

Władze PRL bacznie obserwują i analizują wydarzenia w Bydgoszczy i Szczecinie. Dochodzą do wniosku, że Milicja Obywatelska nie jest w stanie skutecznie zwalczać żywiołowych ulicznych demonstracji, czego zresztą dowiodły już wydarzenia w Poznaniu. W grudniu 1956 roku zapada więc decyzja o utworzeniu Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, ZOMO, które mają wspomagać milicję w tłumieniu zamieszek.

ZOMO, dziecko wczesnego Gomułki, zapisze niechlubną kartę podczas rozpędzania manifestacji opozycji demokratycznej w PRL, zwłaszcza w okresie stanu wojennego. Ludzie nazwą je ironicznie „bijącym sercem partii”

Tydzień po wydarzeniach w Bydgoszczy władze ogłaszają wstrzymanie zagłuszania i wyłączają zagłuszarki obcych stacji radiowych. Tłumaczą przy tym, że zdarzające się wciąż przypadki zakłócania odbioru wynikają z działania zagłuszek spoza terytorium PRL. Częściowa to prawda: władze PRL wstrzymują zagłuszanie fal średnich z centrum radiowego w Woli Rasztowskiej oraz fal krótkich z zagłuszek lokalnych, choć jednocześnie uruchamiają zagłuszanie tzw. metodą fali odbitej – z nadajników na terytorium ZSRR, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier i Rumunii. Sieć radiostacji zagłuszających nadzoruje Wielki Brat.

Polskie władze komunistyczne wznowią klasyczne zagłuszanie zachodnich stacji z terytorium Polski w marcu 1971 roku.

Piętno chuliganów

Dzięgielewski bez problemów wrócił do pracy. Nie chwalił się, że siedział, ale wszyscy koledzy z zakładu wiedzieli, co robił w listopadzie 1956 roku. W latach siedemdziesiątych, gdy pracował w przedsiębiorstwie transportowym jako kierowca, próbował mu to wytknąć jakiś działacz partyjny, ale pan Zdzisław nie pozwolił sobie wejść na głowę.

Borowski nie miał tyle szczęścia. W dwóch kolejnych zakładach, w których szukał pracy, spotkał się z odmową, „bo pan siedział z przyczyn politycznych”. Ponad rok był bez roboty. Ostatecznie znalazł pracę w fabryce obuwia na ul. Kościuszki: – Butki zgrzewałem. Ale do partii, choć kusili, nie wstąpiłem. Ani do ZSMP. Szybko mnie zwolnili. Że niby bezpartyjny i „się nie przykładam”.

Nieprzyjemności miał też w kolejnych miejscach zatrudnienia.

– Wydarzenia listopadowe w Bydgoszczy były pierwszym wotum nieufności wobec ekipy Gomułki – podsumowuje Stefan Pastuszewski. Dziś na fundamencie dawnego masztu zagłuszarki na Wzgórzu Dąbrowskiego znajduje się tablica pamiątkowa: „W tym miejscu bydgoszczanie w proteście przeciwko komunistycznemu reżimowi spalili 18 listopada 1956 roku maszt radiostacji zagłuszającej”. Ufundowała ją w 40. rocznicę tamtych wydarzeń Chrześcijańska Demokracja-Stronnictwo Pracy.

Miejsce to nosi miano skweru Wydarzeń 18 listopada 1956 roku.

Próby rehabilitacji skazanych w styczniu 1957 roku, podejmowane po 1989 roku, nie przynoszą skutku. W grudniu 1994 roku Sąd Wojewódzki w Bydgoszczy postanawia, że wyrok z 1957 roku należy respektować, bo nie można udowodnić „politycznego zaangażowania” uczestników zamieszek. Sąd Najwyższy natomiast uznaje, że sprawa się przedawniła, więc rehabilitacja nie ma sensu.

„18 listopada 1956 r. był wyrazem protestu przeciwko nadużyciom organów partyjnych i administracyjnych, przeciwko wszechwładzy aparatu bezpieczeństwa i milicji oraz przeciwko złym warunkom ekonomicznym” – interpeluje w lipcu 2008 roku do ministra sprawiedliwości poseł Andrzej Walkowiak. I pyta, czy minister zamierza podjąć się rehabilitacji skazanych w 1956 roku. Minister sprawiedliwości odpisuje: rehabilitacja nie jest możliwa, bo zamieszki rozpoczęły się od wydarzeń o charakterze chuligańskim, i dlatego nie można w tym przypadku mówić o ich wyłącznie „niepodległościowym” charakterze.

– To nieprawda – burzy się Borowski. – Mam brata starszego o trzy lata, ma dziś osiemdziesiąt lat. Za Gomułki chciał pracować w milicji, a personalny mu na to: „Papiery ma pan w porządku, ale my nie możemy pana przyjąć, bo pański brat występował przeciwko władzom PRL”. To jak to jest? Chuligaństwo? Przecież oni sami odpowiedzieli, że nie!

– Trzeba wreszcie coś z tym zrobić, bo przecież wtedy, w procesie z 1957 roku, przyjęto hasło „chuligani” jako linię obrony, a nie faktyczne przekonanie, że tak było – argumentuje Dzięgielewski. – obrońcy nie mogli nas bronić jako opozycjonistów, bo jakby nas bronili jak przeciwników systemu, to byśmy dostali po dwadzieścia lat.

– Fundamentalnie nie zgadzam się z argumentacją, że czyny demonstrantów miały charakter chuligański, więc nie można ich zrehabilitować – komentuje dr Marek Szymaniak z bydgoskiego Instytutu Pamięci Narodowej, autor wystawy poświęconej wydarzeniom z listopada 1956 roku. – Tym bardziej że w aktach sądowych sprawy z 1957 roku mamy wyraźną wykładnię, że to były wystąpienia antysystemowe. To nie był przypadek, że ci ludzie udali się właśnie na wzgórze, na którym stała

zagłuszarka. Przypisywanie im pobudek chuligańskich jest więc z gruntu nieuczciwe.

Szymaniak uważa, że dziś, dwadzieścia siedem lat od odzyskania niepodległości, podtrzymywanie tezy o chuligańskich wyczynach bydgoszczan to „absurdalny paradoks” – Przecież zniszczono mienie w bardzo konkretnych miejscach: szyby w kasynie MSW, komendach wojewódzkiej i dzielnicowej MO, tablicę w Komitecie Miejskim PZPR, wreszcie podpalono urządzenia zagłuszające. To były miejsca, z których korzystali przedstawiciele tamtego systemu. Nie niszczone sklepy, nie bito ludzi na ulicach. To nie był chuligański rajd po mieście; podłoże tych wydarzeń było polityczne. To było echo wydarzeń w Poznaniu i na Węgrzech.

Szymaniak zwraca uwagę, że wystąpienie bydgoszczan było niemal identyczne jak bunt poznaniaków w czerwcu 1956 roku. I dziś nikt nie kwestionuje niepodległościowego charakteru poznańskiego Czerwca. Zapowiada, że IPN podejmie próbę wszczęcia śledztwa w sprawie wydarzeń bydgoskich, a tym samym rehabilitowania żyjących jeszcze uczestników Listopada '56. – Tym ludziom to się po prostu należy.

Stefan Pastuszewski, radny i historyk, zwrócił się o pomoc w tej sprawie do Kancelarii Prezydenta RP.

Czego pan tu szuka?

Borowski i Dzięgielewski mają żal, bo kiedy na skwerze 18 Listopada odbywają się rocznicowe uroczystości i oni zabierają głos, telewizja tego nie pokazuje.

Kilka lat temu Józef Borowski poszedł po indeks syna do gmachu uniwersytetu na Chodkiewicza. – Gdy już wszystko załatwiłem, schodząc z piętra nagle przypomniałem sobie, że to znajome miejsce... Zszedłem na dół, gdzie w 1956 roku były te wszystkie cele. I tak spojrzałem... – w oczach mężczyzny pojawiają się łzy, a głos grzęźnie mu w gardle. – Wyszła sprzątaczką, zobaczyła, że dotykam drzwi z kraty. „Panie, czego pan tu szuka?” – zapytała. Zrazu się nie odezwałem, ale potem odpowiedziałem: „Przeszłości”. Spojrzała na mnie dziwnie.

Grudzień 1956

ZBOŻE DLA DEMOLUDÓW

Moskwa (PAP). 27 bm. ze stacji kolejowej Taincza (Kazachstan) odszedł transport zboża do Polski. W listopadzie br. rolnicy z obwodu kokczetaawskiego dostarczyli do krajów demokracji ludowej 19 pociągów zboża.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy Czechosłowacja, Polska i NRD otrzymały przeszło 4 miliony pudów zboża. Do końca roku Kazachstan dostarczy Polsce i NRD jeszcze 45 tys. ton zboża.

„Trybuna Ludu”, 1 grudnia 1956

PRĄD DO ŚWIECENIA

W ponad 15 tys. wsi, czyli w około 40 proc. wszystkich wsi w Polsce, używa się już energii elektrycznej do celów oświetleniowych. W 1957 r. światło zabłyśnie w dalszych 70 tys. zagród wiejskich. A w jakim stopniu wykorzystywana jest energia elektryczna do celów gospodarczych na wsi? Jak dotąd w stopniu bardzo niewielkim. Jedynie w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych – i to nie we wszystkich – używa się energii elektrycznej w postaci siły. (...)

„Trybuna Ludu”, 3 grudnia 1956

UCZENI CHCĄ AKADEMII

Do grona uczonych Krakowa, którzy wystąpili z apelem o przywrócenie do życia Polskiej Akademii Umiejętności, dołączyli się młodzi naukowcy (...). Młodzi pracownicy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej, Politechniki oraz muzeów i instytutów naukowych w uchwalonym apelu piszą:

„Nadszedł czas, by głośno stwierdzić, że zamknięcie w roku 1952 Polskiej Akademii Umiejętności, połączone z propagandą zwróconą przeciwko jej dorobkowi, było aktem nie przynoszącym pożytku kulturze polskiej. Stworzono sztucznie pustkę w zakresie życia naukowego w Krakowie, zamknięto świetnie prosperujące wydawnictwa PAU. Zwracamy się do Prezydium Polskiej Akademii Umiejętności z prośbą o opublikowanie przebiegu narad poprzedzających likwidację tej instytucji w 1952 r.”

„Trybuna Ludu”, 3 grudnia 1956

ZA WALUTĘ JUŻ NIE ZAMKNA

Odpowiadając na liczne zapytania czytelników w kwestii wydanego niedawno przez Ministra Finansów rozporządzenia w sprawie wykonania ustawy dewizowej, wyjaśniamy:

Zasadnicza zmiana polega na zniesieniu zakazu posiadania przez obywateli obcej waluty, złota, platyny w postaci stanowiącej wartość dewizową. W związku z tym wszyscy posiadacze obcych walut (jak również złota i platyny), którzy byli zmuszeni złożyć je do depozytu bankowego, mogą je obecnie z banku odebrać.

Natomiast nadal nie wolno handlować obcą walutą.

Rozporządzenie ma przyczynić się do uruchomienia wszystkich trzymany dotychczas w ukryciu obcych walut i wykorzystania ich przede wszystkim dla poprawy zaopatrzenia rzemieślników w surowce i maszyny, a rolników w nawozy sztuczne, środki owadobójcze, materiały budowlane oraz potrzebne dla produkcji maszyny i narzędzia rolnicze.

Szczególnie niezwykle doniosłe znaczenie posiada to rozporządzenie dla wsi małopolskiej i podkarpackiej, gdzie prawie każda rodzina chłopska posiada krewnych w Ameryce, którzy przysyłali dolary lub też inne obce waluty. Dotychczas obce pieniądze były trzymane w wielkiej tajemnicy w „pończoszkach” i rozmaitych schowkach ze szkodą dla ich posiadaczy i całej naszej gospodarki narodowej.

„Zielony Sztandar”, 2 grudnia 1956

NADAJĄ ZAMIAST ZAGŁUSZAĆ

Zielona Góra. W zlikwidowanej ostatnio pod Zieloną Górą radiostacji zagłuszającej zakończono prace, mające na celu przystosowanie radiostacji do nadawania programu lokalnego i retransmitowania programów ogólnopolskich.

W dniu 30 listopada br. zielonogórska ekspozytura Polskiego Radia rozpoczęła nadawanie pierwszych próbnych audycji na fali 230 m. Ponieważ radiostacja ta o dużej mocy zagłusza niektóre stacje, m.in. gdańską i szczecińską, normalny całodzienny program z radiostacji zielonogórskiej będzie nadawany dopiero po zainstalowaniu specjalnych urządzeń synchronizacyjnych.

„Trybuna Ludu”, 3 grudnia 1956

NIE TYLKO DLA KOMBajnERÓW

(Inf. Wł.) 28 listopada w Zarządzie Głównym Zw. Zaw. Prac. Rolnych i Leśnych, w obecności wiceministra PGR tow. Berlinga, nastąpiło wręczenie nagród 80 przodującym kombajnierzom i traktorzystom z PGR i POM, którzy zajęli czołowe miejsca w krajowym współzawodnictwie o tytuł: „Najlepszego w zawodzie”.

Pierwsze nagrody – motocykle WFM i dyplomy otrzymali: kombajnierz Adam Korzeniowski z PGR Witnica (woj. szczecińskie), który wykonał w czasie kampanii żniwnej koszenie zbóż na obszarze około 500 ha, oraz Janusz Zbozeń (POM Dzierżoniów), Jan Omasta (POM Brzeg) i Jan Koczałkas (zespół PGR Marcinkowo, woj. koszalińskie).

Pozostali traktorzyści i kombajnierzy otrzymali za dobre wyniki swej pracy zegarki, radioaparaty oraz rowery.

„Trybuna Ludu”, 3 grudnia 1956

LITERACI CHCĄ „KULTURY”

Wśród uchwalonych następnie przez Zjazd wniosków znalazło się m.in. żądanie wprowadzenia ustawy prasowej, przewidującej odpowiedzialność prawną autorów i redaktorów oraz skasowanie prohibitów w czytelnich

i bibliotekach. W jednym z wniosków Zjazd wypowiedział się za rozszerzeniem stosunków z polskimi pisarzami na emigracji i zwrócił się do władz o uchylenie ograniczeń w rozpowszechnianiu prasy emigracyjnej, w szczególności paryskiej „Kultury”.

Dalej Zjazd zlecił nowemu Zarządowi Głównemu ZLP poczynienie kroków w celu naprawienia krzywd wyrządzonych w minionym okresie poszczególnym pisarzom, na których spadły niesłuszne sankcje organizacyjne bądź nieuzasadnione represje polityczne. Jeden z wniosków wypowiada się przeciwko istniejącemu w naszym kraju monopolowi „Domu Książki” w dziedzinie dystrybucji wydawnictw. (...)

Zjazd Literatów Polskich wybrał na stanowisko prezesa Zarządu Głównego ZLP – Antoniego Słonimskiego.

„Trybuna Ludu”, 4 grudnia 1956

ZIEMIE ZACHODNIE DOSTAŁY BISKUPÓW

Stolica Apostolska ustanowiła na Ziemiach Zachodnich, na miejsce dotychczasowych wikariuszy kapitulnych – pięciu nowych biskupów, a mianowicie: dla Wrocławia – ks. biskupa Bolesława Kominka; dla Opola – ks. biskupa Franciszka Jopa; dla Gorzowa – ks. biskupa Teodora Bensch; dla Gdańska – ks. biskupa Edmunda Nowickiego; dla Olsztyna – ks. biskupa Tomasza Wilczyńskiego.

Nominacje te zostały uzgodnione między Episkopatem a Rządem PRL.

„Trybuna Ludu”, 5 grudnia 1956

POLSKIE SREBRNE SZABLE

Wtorek [4 grudnia – red.] był dniem wielkiego sukcesu naszej szermierczej drużyny olimpijskiej. Polscy szabliści, którzy cztery lata temu, na XV Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach, nie zakwalifikowali się do finału – tym razem zdobyli srebrny medal. W walkach finałowych ulegli oni tylko rutynowanemu zespołowi Węgier, a pokonali doskonałe drużyny ZSRR i Francji (...).

Zdobywcy srebrnego medalu: Wojciech Zabłocki, Jerzy Pawłowski, Andrzej

Piątkowski, Ryszard Zub, Zygmunt Pawlas i Marek Kuszewski.

„Trybuna Ludu”, 6 grudnia 1956

POWROTY ZA ODRE

Szczecin (kor. wł.). Na terenie Szczecina i województwa szczecińskiego mieszka kilka tysięcy osób narodowości niemieckiej. Wiele z nich chciałoby wyjechać z Polski, aby połączyć się z rodzinami znajdującymi się w NRF. Dotychczasowa jednak akcja łączenia rodzin przebiegała bardzo powoli, budząc wiele słusznego niezadowolenia wśród bezpośrednio zainteresowanych. Dopiero niedawno nasze władze centralne wydały zarządzenia, które zmieniają tę sytuację.

Pozwolenia na wyjazd wydawane będą obecnie bezpośrednio przez Prezydium Wojew. Rady Narodowej, co znacznie przyspieszy całą akcję. W związku z tym jeszcze w bież. miesiącu ze Szczecina wyjadą dwa transporty, liczące łącznie ok. 600 osób. Trzeba dodać, że w pierwszej kolejności pozwolenia na wyjazd wydawane są ludziom starszym i niezdolnym do pracy, którym połączenie z rodzinami zapewni poprawę warunków bytowych.

„Trybuna Ludu”, 6 grudnia 1956

REHABILITACJA BOHATERÓW

Przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy rozpoczął się w dn. 5 bm. proces rehabilitacyjny działaczy ruchu podziemnego z lat okupacji – członków Komisji Walki Podziemnej podległej Delegaturze rządu londyńskiego na kraj – Kazimierza Moczarskiego, Stanisława [Eustachego] Kraka i Alfreda Kurczewskiego. W 1952 r. Sąd Wojskowy skazał – K. Moczarskiego i St. Kraka na kary śmierci, a A. Kurczewskiego na karę dożywotniego więzienia za rzekomą współpracę z okupantem hitlerowskim i zwalczanie podziemnego lewicowego ruchu oporu. (Po ponad dwóch latach pobytu w celi śmierci Moczarskiemu zamieniono karę śmierci na karę dożywocia). W bież. roku wszyscy oni zostali zwolnieni z więzienia; nie przyjęli jednak amnestii, którą zostali objęci, i złożyli wniosek o wznowienie

postępowania w ich sprawie.

W toku obecnej rozprawy przed Sądem Najwyższym pierwszy składał wyjaśnienia Kazimierz Moczarski. (...) Aresztowany w lecie 1945 r., spędził on w więzieniu prawie 11 lat.

(...) Moczarski, który przed wojną należał do organizatorów klubów demokratycznych, przedstawił Sądowi swą głęboką tragedię działacza i człowieka, którego walka z okupantem hitlerowskim w wyniku perfidnie spreparowanych oskarżeń i grozę budzących metod śledztwa, bezprawnie przeprowadzonych rozpraw sądowych, potraktowana została jako zdrada narodu polskiego. (...)

Wstrząsające wrażenie na zebranych w sali sądowej wywarły wyjaśnienia Moczarskiego, dotyczące niedozwolonych metod śledztwa stosowanych wobec niego przez pracowników b. MBP, zarówno zajmujących kierownicze stanowiska – Romkowskiego, Fejgina, Różańskiego, Duszy, Kaskiewicza, jak funkcjonariuszy Chimczuka [Chimczaka], Adamuszka i innych.

Jak wynika z wyjaśnień Moczarskiego, kierujący śledztwem nie zadowalali się wyniszczeniem fizycznym swych ofiar, ale i usiłowali przekształcić je w źródła bezpodstawnych oskarżeń nie tylko przeciwko szeregowi osób uwięzionych, ale i przeciwko szeregowi osobistości pełniących wówczas odpowiedzialne funkcje w państwie. (...)

W konkluzji K. Moczarski zwrócił się do Sądu o wyrok uniewinniający i o pełną rehabilitację. (...).

„Trybuna Ludu”, 7 grudnia 1956

SPECKOMISJA ROZLICZY

Jak dowiaduje się Polska Agencja Prasowa, powołana została (...) komisja dla zbadania odpowiedzialności pracowników Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego za wypadki łamania praworządności w latach ubiegłych. W skład komisji, której przewodniczy Marian Mazur – zastępca Prokuratora Generalnego PRL, wchodzi: Mieczysław Szerer – sędzia Sądu Najwyższego, Stanisław Kotowski – prezes Sądu Wojewódzkiego woj. warszawskiego oraz płk Adam Uziembło – przedstawiciel MON. (...)

Komisja w pierwszej kolejności bada sprawę odpowiedzialności osób winnych dostarczenia fałszywych dowodów bądź wymuszania zeznań, na podstawie których zapadły w latach 1951–1953 wyroki skazujące w stosunku do 19 oficerów Wojska Polskiego (...).

Należy przypomnieć, że wyroki skazujące na karę śmierci 19 oficerów zapadły w poszczególnych sądach wojskowych na podstawie zeznań uzyskanych w toku trwającego 2 lata śledztwa i przy zastosowaniu niedozwolonych metod badań – przymusu fizycznego i psychicznego. Oskarżono ich o tworzenie w poszczególnych służbach Wojska Polskiego „komórek wywiadowczo-szpiegowskich”, podległych bezpośrednio tzw. grupie Tatar.

Na wniosek Naczelnej Prokuratury Wojskowej Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego rozpatrzyło ponownie sprawy tych oficerów i uchyliło skazujące ich wyroki, co oznacza pełną ich rehabilitację.

„Trybuna Ludu”, 8 grudnia 1956

KABAŁA Z PROSZKIEM DO PIECZENIA

Są już w sprzedaży figi, śliwki suszone (krajowe), wanilia, cynamon, goździki, rodzyнки, lada dzień zjadą się w sklepach gałka muskatołowa i inne artykułu typowo świąteczne, tzw. kolonialne. Hurt spożywczy zapowiada, że między 15 a 23 grudnia będą w sklepach pomarańcze, a także mandarynki. Spodziewamy się także transportu sardynek jugosłowiańskich. Wiele artykułów nadal jednak brakuje na rynku, tak jak np.: liści laurowych, ziela angielskiego, migdałów, orzechów włoskich i laskowych, daktyli, pieprzu, papryki itp. (...)

Trudno określić inaczej, jak nie biurokratyczną kabałą historię, jaką zgotował rynkowi Zarząd Przemysłu Koncentratów Spożywczych z proszkami do pieczenia ciast. Od lat się ta kabała powtarza! Właśnie w okresach przedświątecznych proszku tego brakuje najbardziej. Hurt spożywczy od sierpnia alarmował kogo tylko można, że trzeba wreszcie zabezpieczyć zaopatrzenie w tę, było nie było, „podstawę” do pieczenia ciast... Jeśli już nie można wyprodukować należytej ilości tego proszku w kraju – twierdzi hurt spożywczy – to trzeba go sprowadzić... z zagranicy. Cóż, kiedy

zamówienie zgłoszone zostało za późno.

„Trybuna Ludu”, 9 grudnia 1956

WSKRZESZONE HARCERSTWO

W Łodzi zakończył dziś obrady Ogólnopolski Zjazd działaczy harcerskich z udziałem ponad 400 przedstawicieli 19 chorągwi, hufców i rad harcerskich. Jednocześnie odbyła się też narada harcerzy-seniorów – z udziałem wieloletniego działacza harcerskiego Aleksandra Kamińskiego. (...) Dn. 10 bm. w trzecim dniu zjazdu przyjęto deklarację ideową ZHP, uchwałę o zmianach w harcerskiej symbolice i formach zewnętrznych oraz uchwałę w sprawie organizacyjnych podstaw działalności ZHP. W uchwale tej przywraca się związkowi tradycyjną nazwę – Związek Harcerstwa Polskiego.

„Trybuna Ludu”, 12 grudnia 1956

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO LATACH

11 bm. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy ogłosił wyrok w sprawie Kazimierza Moczarskiego, Eustachego Kraka i Alfreda Kurczewskiego, uniewinniając ich i oczyszczając od hańbiących zarzutów współdziałania z najeźdźcą hitlerowskim w likwidowaniu lewicowych działaczy w okresie okupacji.

W motywach wyroku Sąd stwierdził, że zarzuty postawione w akcie oskarżenia nie znalazły potwierdzenia w toku wznowionego procesu. Tendencyjnie uprzednio sporządzony akt oskarżenia opierał się na faktach sprzecznych z rzeczywistością i zmierzał do dyskwalifikacji osób zasiadających na ławie oskarżonych.

„Trybuna Ludu”, 13 grudnia 1956

STAŚ I NEL IDĄ DO SZKOŁY...

Główne kierunki zmian w programach historii – to przede wszystkim oczyszczenie ich z fałszu i wprowadzenie tematów dotąd przemilczanych. Słowem – przywrócenie prawdy historycznej. (...)

Np. poważnie skrócono i uproszczono tematy obejmujące historię

budownictwa socjalizmu w ZSRR. Rozszerzono natomiast temat: powstanie państwa polskiego po I wojnie światowej, pokazując walkę różnych formacji polskich w Rosji, we Francji, a także rolę Legionów i POW. W temacie „Rzeczpospolita Polska w latach 1918–1939” znajdują się takie zagadnienia, jak udział Polski w interwencji przeciwko ZSRR, wyprawa kijowska, kontrofensywa radziecka i jej załamanie. (...) Poważnych zmian dokonano w części programu obejmującej lata II wojny światowej i historię Polski Ludowej. Uzupełniono temat o wrześnie polskim (starając się pokazać bohaterstwo i patriotyzm żołnierza) i o walce wyzwoleniczej narodu polskiego z okupantem. Przywrócono prawdę o roli AK i BCh, podano więcej faktów o walkach żołnierzy polskich na wszystkich frontach wojny, m.in. w bitwie o Anglę, pod Narwikiem, Tobrukiem i Monte Cassino. Dotychczasowe programy literatury i nauki o języku krytykuje się nie od dziś. (...) W starszych klasach szkoły podstawowej zrezygnowano z wielu mniej wartościowych pozycji (m.in. z niektórych przekładów literatury radzieckiej), wprowadzono zaś takie książki, jak *W pustyni i w puszczy* Sienkiewicza; *Serce Amicisa*; *Wspomnienia niebieskiego mundurka* Gomulickiego; książki dla młodzieży Marii Dąbrowskiej; *Miasto niepokonane* Brandysa, *Kamienie na szaniec* Kamińskiego itp.

„Trybuna Ludu”, 16 grudnia 1956

...A KAPELANI DO WIĘZIEŃ

Minister Sprawiedliwości w celu umożliwienia więźniom wierzącym korzystania z posług religijnych wydał zarządzenie w sprawie wykonywania posług religijnych w zakładach karnych. Zarządzenie zobowiązuje kierowników zakładów karnych do zawarcia z duchownymi umów o pełnieniu funkcji kapelanów. Kapelanami więziennymi będą w zasadzie kapelani wojskowi.

„Trybuna Ludu”, 17 grudnia 1956

TYLKO ŚPIĄCYCH LALEK MAŁO

Stołeczne sklepy otrzymują ostatnio coraz więcej artykułów z importu.

Obecnie znajduje się w sprzedaży biżuteria czeska i z NRD – naszyjniki i bransoletki w cenie 60 do 75 zł za komplet.

Przed kilku dniami sklepy otrzymały czeskie buty – wibramy i jugosłowiańskie buty narciarskie, w niewielkich zresztą ilościach, oraz dresy z NRD.

W najbliższych dniach ukazą się żyletki z Izraela i Czechosłowacji. Spodziewany jest też nowy transport zabawek czeskich. Jest w nim jednak zbyt mała ilość śpiących lalek. Wkrótce też rozpocznie się sprzedaż telewizorów z NRD.

Do Warszawy nadchodzą już wagony z pomarańczami. Wczoraj sprzedawały je „Delikatesy”. Po nadejściu nowych transportów pomarańcze i mandarynki ukazą się w sprzedaży także w sklepach sieci powszechnej.

„Trybuna Ludu”, 22 grudnia 1956

ZNISZCZĄ – TO ZAPŁACĄ

W Warszawie przebywała delegacja Rządu ZSRR z ministrem spraw zagranicznych D.T. Szepiłowem i ministrem obrony Marszałkiem G.K. Żukowem na czele. (...) W wyniku przeprowadzonych rokowań została podpisana w dniu 17 grudnia specjalna umowa. (...) Rząd radziecki zgodził się wynagradzać Rządowi PRL wszelkie szkody materialne, jakie mogą być wyrządzone Państwu Polskiemu, polskim instytucjom i obywatelom na skutek działania radzieckich jednostek wojskowych, w wysokości ustalonej przez utworzoną polsko-radziecką komisję mieszaną, która będzie miała swą siedzibę w Warszawie.

„Zielony Sztandar”, 23 grudnia 1956

POWRÓT Z ZESŁANIA

Rekordowym miesiącem pod względem liczby repatriantów powracających do kraju ze Związku Radzieckiego jest grudzień. Od 1 do 26 bm. przybyło z ZSRR ok. 8 tys. osób, przy niespełna 5 tys. osób, które powróciły w ciągu listopada. Codziennie punkty repatriacyjne w Białej Podlaskiej i Przemysłu przyjmują od 200 do 400 osób. Ogromna większość repatriantów

po załatwieniu formalności wyjeżdża natychmiast do swoich rodzin.
Ogółem w ciągu br. powróciło do kraju ponad 31 tys. repatriantów, w tym
29 tys. osób ze Związku Radzieckiego.

„Trybuna Ludu”, 29 grudnia 1956

Widziałeś, jak mi Hłasko dał w zęby?

– Knajpy w Warszawie były inne niż te w Moskwie. W Polsce wódkę piło się jednak z kieliszków, a w Moskwie ze szklanek.

Ernest Skalski to weteran polskiego dziennikarstwa, był we władzach zdelegalizowanego w stanie wojennym przez władze PRL Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W 1956 roku studiował historię w Moskwie. Do Warszawy wracał latem i na ferie zimowe.

Siedzimy przy kawie w restauracji warszawskiego hotelu Marriott, przez szyby widać odnowiony budynek Dworca Centralnego. W 1956 roku jeszcze go nie było.

– Z Moskwy do Warszawy jeździło się wtedy z Dworca Białoruskiego. Nie pamiętam, czy w Warszawie wysiadało się wtedy na dworcu Warszawa Gdańska, czy Warszawa Główna. Chyba na Główniej – zastanawia się Skalski.

Wtedy, wiosną 1956 roku, miał dwadzieścia jeden lat i był na czwartym roku studiów. Zapamiętał spotkanie studentów polskich z Bierutem i Cyrankiewiczem, którzy przyjechali do stolicy ZSRR na XX Zjazd KPZR. – Bierut był już kiepski. Mówił, że ma gripę. Chorował też Cyrankiewicz, ale z tego wyszedł. Bierut już nie.



Ernest Skalski to weteran polskiego dziennikarstwa. W 1956 roku studiował historię w Moskwie. Do Warszawy wracał latem i na ferie zimowe

U nas psioczyli na system

Kiedy latem 1956 roku Skalski po raz kolejny wracał do Polski na wakacje, był pod wrażeniem wieści o buncie robotników Poznania, które dotarły do Moskwy. Czuł, że coś się w kraju zmienia.

Już podczas wcześniejszych powrotów do Polski, gdzieś w 1954 czy 1955 roku, zauważył, że Polskie Radio przestało nadawać wyłącznie muzykę ludową i poważną, a wpuściło na antenę zakazany jazz.

Gdy przyjeżdżał z Moskwy do Warszawy, w oczy rzucał się kontrast między nocnym życiem obu stolic. – Lokale najbardziej różniły się klientelą i jej zachowaniem. I tu, i tam w knajpach z wódką przeważali mężczyźni, choć w Polsce w lepszych lokalach, jak Stowarzyszenie Dziennikarzy, Bristol czy Kameralna, towarzystwo było już mieszane.

W Polsce, gdy klienci już się upili, zwykle psioczyli na władzę. – Teoretycznie było to niebezpieczne, ale mniej niż pomstowanie w zakładzie pracy. Za to w Moskwie ledwo się mężczyźni upili, zaraz w sposób absolutnie szczerzy deklarowali swój patriotyzm. To byli najczęściej weterani wojenni. Większość mężczyzn w Moskwie chodziła w mundurach bez dystynkcji, bo były dobrej jakości, a o ubrania było trudno. Poza tym obowiązywał wtedy taki sznyt. W lokalach w Warszawie mundury zdarzały się rzadko, tylko u wojskowych. Dominowali ludzie ubrani w cywilne rzeczy.

No i w Warszawie był jazz. – Zwykle grał jakiś zespół. Perkusja, saksofon, trąbka, pianino czy fortepian. Grali rzadko, parę kawałków. Potem robili długą przerwę, ogłaszali: „Orkiestra kończy działalność”, i wtedy zaczynało się to, co nazywało się „tańcami góralskimi”. Nazwa wzięła się jeszcze od banknotów pięćsetzłotowych z czasów okupacji, takich z podobizną górala w kapeluszu. Orkiestry grały więc za „górala”, czyli za pięćset złotych – opowiada Skalski.

W Moskwie wytworne restauracje znajdowały się wtedy tylko w drogich hotelach, ale trudno było się tam dostać. Natomiast inne lokale były kiepskie, znacznie gorsze niż w Warszawie.

Orłówka, czyli noce na Dzikim Zachodzie

Mercedesem Skalskiego wyjeżdżamy z hotelowego parkingu na szlak lokali Warszawy z 1956 roku.

– Miasto nie było jeszcze wtedy całkowicie odbudowane. Puste miejsca, ruiny i przypadkowa zabudowa nie były rzadkością. Na zachód od Pałacu Kultury rozciągał się ogromny obszar nazywany „Dzikim Zachodem”. Wśród ruin stały niskie domki, w których gnieździł się rzemieślnicy – wspomina

Skalski.

Najpierw jedziemy pod Orłówkę – a raczej pod to, co z niej zostało. Z okien samochodu widać stare bramy i resztki ceglanej zabudowy „Dzikiego Zachodu” wzdłuż ulicy Żelaznej. Choć to centrum Warszawy, wieje prowincją.

Skalski pamięta, że w okolicy ulicy Chmielnej, w ruinach, czekały na klientów prostytutki. – Mówiono o nich „gruzinki”, bo pracowały w gruzach. To była najniższa klasa, były najtańsze. Utrzymały się w tych ruinach długo, nawet do końca lat pięćdziesiątych. Latem było im trudniej, bo robiło się ciepło i na ulicę wychodziła amatorska konkurencja: studentki, urzędniczki, pielęgniarki, które chciały sobie dorobić.

– O, a tutaj była Orłówka, lokal kategorii drugiej czy trzeciej. Ale, powiedziałbym, z fasonem – ożywia się Skalski. – Prosty, robociarski. Ludowy. Swoisty folklor warszawski.

Niski, jednopiętrowy budynek z wysokimi prostymi oknami i żółtą fasadą, przyklejony do wyższej kamienicy. Stoi na rogu Żelaznej i Chmielnej. Dziś jest tam Zarząd Dróg Miejskich.

Bywał tu z kolegami ze studiów albo ze szkoły. Do Orłówki wpadało się na wódkę i śledzia, a potem szło się dalej w miasto.

Teraz na wschód, na Pragę. Tam przy ulicy Targowej w 1956 roku odwiedzało się Oazę. – To był taki niby dancing, ale bardziej szemrany – puszcza oko Skalski. – Wpadłem tu kilka razy, bo nie było tu trudno wejść.

W miejscu Oazy stoi dziś plomba – nowoczesny biurowiec z aluminiową fasadą. W 1956 roku Skalski przyjeżdżał tu tramwajem ze Śródmieścia.

Przejeżdżamy obok bazaru Różyckiego, gdzie w latach pięćdziesiątych można było nieźle zjeść, np. gorące pyzy albo flaki prosto z garów. To tu zaopatrywali się w ciuchy z Zachodu – krawaty z „girlsami”, barwne skarpetki czy marynarki – nie tylko bikiniarze. Potem, jak mówi Skalski, ciuchy przeniosły się na plac Szembeka, a wreszcie wyniosły się do Rembertowa.

Skrećamy w Brzeską. Wtedy kipiało tu życie, dziś straszy cisza. Na bazarze był tłum, dziś są pustki.

Drugi popularny bazar w tamtym czasie w Warszawie znajdował się

na Polnej, niedaleko Politechniki. – Tam o każdej porze dnia i nocy można było kupić wódkę. Jak tam się podjechało taksówką i zatrzymało, to zaraz ktoś podchodził i pytał: „Wódka? Dziewczynka? Coś do zjedzenia?” Tak było w 1956 i dobrych parę lat później. Gdzieś tutaj, gdzie te „antyki”, był też bar u Felka Marynarza. I tu przychodziło się na setę ze śledziem.

– A te śledzie to świeże były?

– Raczej tak. W takich knajpach alkohol spożywało się na stojąco. Zamawiało się wódkę i przegryzało na przykład galaretą. Mówiło się na to „lorneta i meduza”. Lorneta to dwie wódki.

Cooper sięga po Wyborową

Wódka była wtedy wszędzie i lała się strumieniem. Janusz Głowacki, pisarz i scenarzysta, wspominał w rozmowie z Pawłem Smoleńskim: „Wódka była naszą polską narodową dumą. Pamiętam film z Garym Cooperem, co to się nazywał *Miłość po południu* [rok produkcji: 1957 – red.]. Zaprasza Gary Audrey Hepburn do pokoju hotelowego, otwiera bar, a tam bateria wszelkiego dobra. Wyławia wyborową! Przez salę przechodził wtedy radosny jęk: naszą wódkę bierze milioner, naszą, polską, wie, co dobre, chociaż Amerykaniec. Wychodziliśmy podniesieni na duchu, lepsi... i do baru. Pod Orłem albo Pod Cyckami. A dookoła reklamy »Polska wódka – żubrówka«, »Bizon – Brandy Vodka«. Albo reklama Miodu Staropolskiego, a na niej dwa pijane miśki leżą pod drzewem z kieliszkami w łapach”.

Jak opowiadał, pili wtedy wszyscy: „(...) klasa robotnicza, inteligencja pracująca, młodzież, rządzący i rządzeni, wsadzający do więzienia i wsadzani. Każdy chciał złapać trochę szczęścia. Pamięta pan ten dowcip na budowie. – Panie majster, która godzina? – A wiesz, że ja bym też się napił. (...) Pili chłopourzędnicy i chłoporobotnicy, pogubieni, powyrywani ze swoich środowisk. (...) Piła żulia, ta, którą Leopold Tyrmand zmitologizował w *Złym*. Niby przesadził, ale spróbowałyby pan wybrać się do kina Praha przy Jagiellońskiej na Pradze na ostatni seans: zaczepki, mordobicie, gra w kreskę – rysowali kreskę na chodniku, a kto na nią stanął, dostawał w mordę”.

W picu zacierały się granice warstw i klas. „Modne było picie z teczki.

W PRL wszyscy nosili teczki, i urzędnik, i robotnik, i literat. Wchodziło się do lokalu, zamawiało oranżadę i dolewało do szklanek z teczki, bo alkohol na miejscu był drogi. Rano widziało się ludzi ustawionych w szeregu. Czekali na otwarcie pierwszego sklepu monopolowego. Wszyscy pod krawatem. Bo krawat służył jako dźwignia, żeby ten pierwszy kieliszek, przy którym trzęsą się ręce, trafił do ust – opowiadał nasz znany za oceanem scenarzysta. – Piło się z literatek – setka. Z musztardówek – prawie ćwiartka. Z gwinta – itd., żeby nie zanudzić”

Co pito poza lokalami wyższej kategorii? Popularne było rumuńskie wino musujące, pite „z ryjka”: usta układano w trąbkę, dzięki czemu bąbelki nie wciskały się do nosa.

„Dosyć smaczna i lubiana była woda fryzjerska na łupież. Piło się ją z tak zwanych pyków, buteleczek, które miały wąziutkie szyjki. Podnosiło się ją, odchyłało głowę do tyłu, potrząsało, a ona robiła »pyk, pyk, pyk«” – opowiadał Głowacki.

Najbiedniejsi pili denaturat, zwany oślepkim. Albo oczyszczoną benzynę lotniczą, czeską politurę. „Najbardziej konwencjonalny zestaw: koniak, winiak, jarzębiak, soplica, żytnia i wyborowa z niebieską albo czerwoną kartką. Z win – alpaga. W lepszym towarzystwie Egri Bikavér, Mistella i Advocat. Whisky zaczęło się później” – opowiadał Głowacki.

Popularne toasty? „Po łyku dla odwyku”, „Po szklanie i na rusztowanie”, „Dajmy sobie po nerach”, „Jeszcze po szkopku i spotkamy się w żłobku”. A także „No to chlup w ten głupi dziób” czy „Żegnaj rozumie, spotkamy się jutro”. Zdarzały się też toasty chamskie: „Zdrowie naszych pań, bo jak nasze panie będą zdrowe, to i my będziemy zdrowi”

Panienki rwało się w SPATiF-ie

Przejeżdżamy obok biało-czerwonej korony Stadionu Narodowego, skręcamy ku Śródmieściu.

– Kiedyś ostatnie knajpy znajdowały się na rogatkach miasta, te były dla kierowców. W mieście kierowcy nie wolno było pić, ale na szosie – proszę bardzo – wspomina Skalski.

Z mostu Poniatowskiego zjeżdżamy w prawo, ku Wiśle, Wybrzeżem Kościuszkowskim docierając do Karowej, a nią pod Bristol. Skalski zagląda w okna na parterze. W bramie wisi szyld restauracji Marconi. Teraz jest tu kawiarnia, w 1956 roku przychodziło się na de volaille'a.

Hotel Bristol, cudem ocalały z wojennej pożogi, i znajdująca się w nim restauracja należały wówczas do Orbisu. Odnowione w stylu socrealizmu, obsługiwały zagranicznych gości. W Bristolu mieszkali m.in. Pablo Picasso i Marlena Dietrich, a w 1958 roku Jan Kiepura, wniesiony tam przez wielbicieli na rękach. Z hotelowego balkonu śpiewał wtedy swe słynne arie. Działały tu również placówki dyplomatyczne, co dodatkowo podnosiło status hotelu. I ceny w restauracji.

Po skosie przecinamy Krakowskie Przedmieście i docieramy do Kamieniołomów – lokalu z lat pięćdziesiątych mieszczącego się w Hotelu Europejskim. – To był taki bar-restauracja, wchodziło się od ulicy Ossolińskich. Kamieniołomy były bardzo popularne wśród elegantszej publiki. Już Bristol był bardzo szycowny, ale Kamieniołomy liczyły się jeszcze bardziej.

– Trzeba było być przy forsie, by tam wejść?

– Raczej tak. Co ciekawe, ludzie mieli wtedy mało pieniędzy, ale jakoś nigdy im nie brakowało, żeby się uchlać. A panienki rwało się kiedyś w SPATiF-ie w Alejach Ujazdowskich, choć Stowarzyszenie Dziennikarzy też się liczyło. Oczywiście lepsze laski chodziły do SPATiF-u.

I Skalski szeroko się uśmiecha.

„Kamera”, czyli życie bohemy

Mijamy ambasadę włoską na Jasnej. Gdzie w 1956 można było natknąć się na obcokrajowców?

– Tylko w knajpach, ale cudzoziemców nie było wtedy za dużo.

Skalski opowiada, że w czasie wakacji dorabiał sobie, wożąc do ZSRR damską bieliznę z milanezu, rodzaju jedwabnej dzianiny, i garnitury z 60-procentowej wełny. Z powrotem przywoziło się zegarki, aparaty fotograficzne, czasem kawior. Opłacalne, ale trzeba było zachować umiar,

żeby nie podpaść celnikom.

Podjeżdżamy na ulicy Foksal pod Dom Dziennikarza, w latach pięćdziesiątych lokal Stowarzyszenia Dziennikarzy. Okazały budynek z charakterystycznej cegły na frontonie. W restauracji pusto, widać przygotowania do jakiejś imprezy: stoły nakryte białym obrusem, obsługa krząta się przy ustawianiu naczyń.

– To jest lokal, z którym łączy mnie najwięcej sentymentów – wzrusza się Skalski. – Parę lat pracowałem w „Głosie Pracy”, miałem tu dwa kroki. Przechodziłem przez podwórko pałacu Zamojskich. Ale się jadało! Członkowie stowarzyszenia mieli prawo do tzw. obiadów dziennikarskich za 13 złotych. Człowiek wpadał tu na obiad, a wychodził późnym wieczorem i przechodził kilkadziesiąt metrów, do Kameralnej... Wszystko się tu zmieniło – macha ręką zawiedziony.

Foksal idziemy w stronę Nowego Świata. Na rogu po prawej, pod numerem 16, stoi kamienica, w której w 1956 roku mieściła się najgłośniejsza knajpa ówczesnej Warszawy – Kameralna.

– To była Kameralna nocna. Trochę dalej po prawej, w głębi ulicy Kopernika, była Kameralna dla ubogich – objaśnia Skalski.

Do „Kamery” schodziła się elita Warszawy: wpadał tam na wieczorną wódkę i ogórki (czyli „koniak z południowymi owocami”) Jerzy Andrzejewski, bywali w niej Leopold Tyrmand, Henryk Grynberg, Roman Polański czy Marek Nowakowski. Niektórzy przychodzili, żeby zobaczyć Marka Hłaskę, wschodzącą gwiazdę pióra, który zaglądał tu wraz z innymi dziennikarzami „Po Prostu”.

Zasłyszane tu przez Hłaskę opowieści stawały się kanwą jego kolejnych opowiadań. Na przykład usłyszane od szatniarza określenie „wielkie sprawy krasnoludków” – opisujące partyjne plenum. „Roześmiałem się, po czym zupełnie wyleciało mi to z głowy. Markowi nie, przeniósł kwestię szatniarza do któregoś z opowiadań” – wspominał Andrzej Roman w „Rzeczpospolitej”.

– W lokalach takich jak Kameralna czy Bristol były dancingi, grała orkiestra do kotleta. Za najbardziej wytworne danie uchodził wtedy kotlet de volaille – relacjonuje Skalski. Do wódki można też było zamówić golonkę.

Na parkiety śmiało wkroczyły do niedawna jeszcze zabronione rumbi, samby i boogie-woogie, a później rock and roll. Bikiniarze cenili też jive'a i jitterbuga. Niezwykle szybki, nieregularny rytm tych tańców budził niechęć starszych, statecznych obywateli, którzy hurtem określali wszystkie mianem „tańca Heine-Medina”

Na noworocznych i karnawałowych balach zaczęli się pojawiać muzycy z Zachodu. Tak było na przykład w lutym 1956 roku w hotelu Bristol, gdy podczas Balu Sztuki wystąpiła grupa Everyman Opera Company. W styczniu 1957 roku na Balu Gałganiarzy warszawskiej ASP w Teatrze Narodowym pojawiła się sama Brigitte Bardot – bogini ekranów i symbol kobiecego wyzwolenia.

Do dawnej Kameralnej prowadzi wejście między dwiema kolumnami. Po prawej jest dziś pub o nazwie Pif Paf. Wnętrze ma kształt litery L. Wzdłuż baru idzie się do zakrętu, potem trzeba skręcić w lewo. Na ścianach piwne kapsle. Pora obiadowa, więc na razie pustawo. Ale w 1956 pod bramą zawsze kłębił się tłumek chętnych. Drzwi do lokalu były szklane, przed nimi stał portier.

– Tu, w narożniku, siedziała orkiestra – przypomina sobie Skalski. – A bar był tam, na końcu. Zawsze obleżony, pchały się do niego trzy, cztery rzędy ludzi. Wszyscy wyciągali ręce z banknotami. Kto miał dłuższą, ten wygrywał.

Poeta Roman Śliwonik opisywał: „[Kameralna] była to namiastka świata wielkiego, który gdzieś podobno istniał, ale też nie na pewno. Ale jeśli nawet był, przelewał się światłami, samochodami, dobrobytem, to dla nas niewiele znaczył, był odsuwany w głąb świadomości, bo fakt jego istnienia głęboko nas upokarzał”

Dla Hłaski Kameralna była „wyspą zapomnienia”, dla innych „imperium”, „oazą wolności” albo „królową knajp”. Do lokalu wpuszczano tylko w marynarce i pod krawatem, co kończyło się dramatycznymi próbami: Edward Stachura krawat zastąpił kiedyś plecionym paskiem od spodni, ktoś inny użył ponoć do tego celu skarpetki.

– Wtedy w zasadzie każdy inteligent w mieście miał krawat i marynarkę – prostuje tę legendę Ernest Skalski. – A już zwłaszcza gdy trzeba było gdzieś

wejść, coś zjeść, załatwić.

Przy wejściu, w szatni Kameralnej, królował pan Miecio – sympatyczny olbrzym, który potrafił wyrzucić nieproszonego gościa za drzwi. Hłasko trzymał u szatniarza swoją dyżurną welwetową marynarkę, zakupioną w Państwowym Domu Towarowym.

„[Hłasko] pojawiał się około północy jak duch. Latem w szoferskiej skórce, zimą w szoferskim kożuchu – pisał Henryk Grynberg w *Uchodźcach*. – Wszyscy cisnęli się do baru, żeby zobaczyć, usłyszeć, otrzeć się. Przez niego w Kameralnej zawsze brakowało miejsc. Tylko najodważniejsi ośmielali się do niego odezwać, bo kto się głupio odezwał, dostawał w zęby. No i snoby, którym wszystko imponowało. – Widziałeś, jak mi Hłasko dał w zęby?”

W Kameralnej burd nie brakowało. Bywało ostro, po bójce z podłogi nie raz zamiatano zęby. Potem do akcji wkraczał kierownik. – Panowie, ogólna buźka! – wołał dramatycznym głosem.

Jeśli to nie skutkowało i trzeba było wezwać milicję, delikwent dostawał czasowy zakaz wstępu do „Kamery”. Ta straszna kara przynosiła efekty.

Prawdziwymi panami peerelowskich restauracji byli wtedy kelnerzy. „Gardzili klientami, bo zarabiali więcej od nich, a trzeba było takiemu nędzarzowi podawać. Z upokorzenia upijali się i bili swoich gości – wspominał w rozmowie z Pawłem Smoleńskim Janusz Głowacki. – Napisałem kiedyś felieton o procesie kelnerów, którzy w restauracji Balaton pobili gości”

Hłasko opisywał, że stopień rozbawienia gości Kameralnej mierzono na radiowozy z „bananami” (milicją uzbrojoną w pałki). Przy małej rozróbce zamawiano jeden, przy większej dwa. „Pan redaktor jest już zmęczony – zdecydował szatniarz. – Dobrej nocy!”

Za awanturnikami z lokalu wyrzucano ich płaszcze, laski i kapelusze.

„Legenda Kameralnej nie jest w pełni prawdziwa, bo wynika z niej, że [Hłasko – red.] nic innego nie robił, tylko pił, podrywał dziewczyny i dawał w zęby. A to nieprawda” – opowiadał w rozmowie z Martą Grzywacz z „Wyborczej” Andrzej Czyżewski, kuzyn Hłaski i autor jego biografii. To w Kameralnej Hłasko poznał w 1955 roku Hannę Golde, piękną dziennikarkę „Kurieru Polskiego”, starszą od siebie mężatkę z dwójką dzieci.

Po latach nazwał ją jedyną miłością swego życia (choć miał ich sporo). Podciął sobie nawet dla niej żyły.

Ile melbów, tyle kurwów

Kameralną dobrze wspomina Jerzy Urban, w 1956 roku młody dziennikarz i szef działu krajowego w „Po Prostu”. Opowiada, jak pewnej nocy nie mógł usnąć i o drugiej pobiegł do knajpy, żeby upewnić się, czy przypadkiem nie dzieje się tam coś ważnego. Bo lokal żył własną legendą. I opowieściami o tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy.

Urban zapamiętał też taki obrazek: odbiera od starego szatniarza palto, a ten podaje je, klękając. „Panie, to już przesada” – komentuje dziennikarz. A szatniarz na to: „Panie, każdemu gówniarzowi podaję palto, bo nigdy nie wiadomo, co z niego wyrośnie”.

– Były trzy Kameralne – wyjaśnia Urban. – Jedna dla biednych, w głębi Kopernika. Druga, dzienna, na Foksal. Odznaczała się dużą szklaną gablotą, w której kręciły się przekąski. Był tam też duży bar, gdzie można było zjeść i wypić, ale tam zaglądałem rzadko. Chodziłem natomiast do Kameralnej nocnej, która była oblegana. To była męska knajpa, kręciło się tam również trochę prostytutek. Wstęp mieli albo bywalcy, albo ci, którym udało się przekupić bramkarza. Trzeba było mieć marynarkę i krawat, wypożyczał je szatniarz. Chodziłem tam nałogowo. Wtedy Kameralna to była knajpa, w której zbierali się literaci, prostytutki, lokalni „magnaci” z szarej strefy. W Kameralnej zbierali się pisarze, którzy tworzyli show: Hłasko, Andrzejewski, Iredyński. Później to towarzystwo przenosiło się do innych lokali: do Bristolu, do Ścieku, do SPATiF-u, potem do Kamieniołomów.

Mniej zamożni kończyli na dworcu. Głowacki opowiadał „Wyborczej”: „A w dworcowych knajpach kusily zakąseczki: siny tatar, zielone jajko w majonezie i ponury śledzik po japońsku. I hasła nad bufetem: »Wspólną pracą zbudujemy socjalizm«, »Alkohol podajemy tylko z zakąską. Uwaga! Wino i piwo zakąskami nie są«, »Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatnio«”.

Urban był z Hłaską zakolegowany, pracowali razem w „Po Prostu” –

Hłasko to był kabotyn, który dawał show.

I opowiada, jak kiedyś Hłasko sprowadził do Kameralnej jakąś atrakcyjną młodą urzędniczkę z Centrali Filmów na Puławskiej. – Rano jej mówił, że się z nią ożeni, dawał jej kwiatki i się tulili. A jak się uchlał, to ją wyzywał. Bił kobiety kwiatami po twarzy, zjadał szkło...

Urban zapamiętał też scenę, gdy Hłasko dostał „jakąś dużą nagrodę”. Przyszedł wtedy do Kameralnej i rozrzucał wokół banknoty. „Siał gotówką”, a ludzie zbierali. Ale w odpowiednim czasie skwapliwie im te pieniądze podbierał.

Z „Kamery” szło się z panienką nad Wisłę oglądać wschód słońca. – Albo się jechało dopijać na zieleniak, czyli na bazar hurtowy jarzyn, gdzie funkcjonowała knajpa dla woźniców, którzy przyjeżdżali nad ranem z produktami do Warszawy. Pamiętam, że raz jechałem na ten zieleniak dorożką z jakimś poznanym w Kameralnej tenorem opery z Sofii, który stał w otwartej dorożce z kapeluszem w ręku i o trzeciej czy czwartej nad ranem śpiewał arie na całe gardło.

W pamięć zapadł Urbanowi też nocny rekonesans po mieście warszawą (lub pobiedą). – Kierował Żyd Ignacy Taub, a w samochodzie jechało nas chyba z osiem osób. Taub był kompletnie pijany, ale jakoś prowadził, tyle że nie potrafił włączyć świateł. Jechaliśmy Wałem Miedzeszyńskim i oczywiście zatrzymała nas milicja, trzech funkcjonariuszy na motocyklu z przyczepką. „Ile?” – zapytał Taub. To mu wyliczyli: „Bez prawa jazdy, pijany, dwa razy tyle ludzi, bez świateł... Jest nas trzech... Dwadzieścia złotych!”. Wspominam to ze wzruszeniem...

Także zdaniem Urbana Kameralna była wtedy numerem jeden w Warszawie, bo „tam się bywało”. Owszem, działał też nocny lokal w hotelu Polonia, ale „on był dla buraków” – urzędników, którzy przyjechali do stolicy. Był też nocny lokal w Grand Hotelu na Kruczej, jednak nigdy wielkiego wzięcia nie miał.

Urban zębów na podłodze Kameralnej nie pamięta. – Nie była to speluna, gdzie by się tłukli. Ale ludzie mocno pijani, a piło się wtedy dużo, mogli się czasem pobić. I może jakiś ząb padł. Ale raczej szarpali się o wejście do Kameralnej. Powoływali się w drzwiach na znajomości, machali stówami,

żeby ich wpuścić. Kameralna miała bowiem charakter elitarny.

Aby w połowie lat pięćdziesiątych pójść samemu do Kameralnej i pić przyzwyczajenie przez całą noc, trzeba było mieć 50 złotych. Wystarczało na czystą wódkę, frytki własnej produkcji i ładnie obrane jabłka na zakąskę. Urban pamięta, że „tam były tylko dwa dania, które można było zamawiać: de volaille i melba”, ale żaden szanujący się klient ich nie brał. Kiedy melbę zamawiała jakaś kobieta, to było wiadomo, jakiej jest profesji.

A barman krzyczał: „Ile melbów, tyle kurwów!”

Gówniara klientów podbiera!

Pewnego razu Izabella Cywińska, studentka etnografii na Uniwersytecie Warszawskim, wybrała się ze stryjem do restauracji w hotelu Polonia, by dowiedzieć się, jak wyglądają warszawskie prostytutki. „Wyjaśniał mi, co i jak. Że to ta i na sto procent tamta, ta pewnie jest taka, a ta siaka... W końcu jedna z nich podleciała do mnie z pretensjami, że to nie mój rewir, że to niesłychane, że jakaś gówniara się wpycha i podbiera najlepszych klientów, czyli starszych panów. Wymknęliśmy się stamtąd jak niepyszni – wspominała po latach w swojej autobiograficznej książce *Dziewczyna z Kamienia* znana reżyserka teatralna i filmowa, a w rządzie Tadeusza Mazowieckiego minister kultury. – Nasza młodość, smak epoki: czuliśmy się równi i wolni. Nie było żadnej szansy na poprawienie standardu życia, podniesienie go na odrobinę wyższy poziom niż ten, który osiągnęliśmy już wszyscy dookoła. A więc nie było komu zazdrościć, zawiść była zbędna. Forsa? Potrzebowaliśmy jej tylko na przeżycie. Nikt nie prowadził kapitału na potem. Byle do jutra!”

Cywińska jest ciekawa świata. Ze Zbyszkiem Cybulskim zna się z treningów na Legii – ona gra w koszykówkę, on biega. Wieczorami zagląda ze znajomymi do Kameralnej albo Bristolu.

– To było życie bardzo sympatyczne, ale kompletnie puste – ocenia dziś. – Byłam zawsze z grupą, przychodziliśmy w kilka osób, w grupie byłych ziemian. Pewnie dlatego nie było wokół nas chamstwa, tego jestem pewna. Nie widziałam nikogo, kto by się tam przewracał. I o podrywaniu nie

mogło być mowy, nikt mi nie złożył propozycji typu: „Mała, czy byś się ze mną przespała”. Choć raz się zdarzyło, u Dziennikarzy...

Podrywał Ireneusz Iredyński, nieżyjący już dziś pisarz, dramaturg i poeta, wówczas początkujący poeta. Propozycja była z gatunku bardzo bezpośrednich: „Nachylił się do mnie i zapytał, czy mogę mu zrobić minetę. Poprosiłam kolegę, który był ze mną, żeby zrobił coś z nim. Wyszli z lokalu. Myślałam, że poszli się bić, a oni poszli razem na wódkę do Kameralnej”

Cywińska mówi, że takie wyprawy do lokali były dla niej „ucieczką przed światem zewnętrznym”: – Znudziło mnie życie uniwersyteckie, stąd były te nasze „hulanki i swawole”

A świat na zewnątrz naprawdę nie wyglądał różowo. Cywińska mieszkała w akademiku molochu na Kickiego. „Któregoś ranka pod tym samym oknem, przez które weszli moi goście, znaleziono wyrzucone z któregoś piętra martwe niemowlę. Małe, gołe, z nieodciętą pępowiną – wspomina w swojej książce. – Milicja szukała matki. Wszystkim dziewczynom, które mieszkały w tym pionie, zakazano wychodzić z pokoi. Położyli nas potem do łóżek i doktor sprawdzał biel pościeli, a niektórym z nas robił nawet badania ginekologiczne... Dziwne, ale winowajczyni nie znaleziono”

– Na Kickiego była często burdelowa sytuacja – przyznaje dziś. – Bo gdy dziewczyny przyprowadzały chłopaków, to prosiły, by się koleżanki wyprowadziły z pokoju.

– Antykoncepcja?

– Nikt wokół mnie wtedy niczego takiego nie używał – mówi Cywińska. – Krucho też było ze środkami higieny. Dominowało szare mydło, a mydło z zielonym jabłuszkiem to już był niebywały cymes!

Polska jest wtedy krajem, w którym dostęp do środków antykoncepcyjnych jest mocno ograniczony. Najpopularniejsze są kiepskie prezerwatywy. Polki wstydzą się pytać o środki antykoncepcyjne w aptekach, nawet w dużych miastach. „Jak wobec tego wygląda sytuacja na prowincji, gdzie jest tylko jedna apteka i znajomy wszystkim lekarz?” – pisała w lutym 1957 roku Wanda Bogusławska z „Kobiety i Życia”

A przyrost naturalny szybuje: co roku rodzi się w Polsce około pół miliona dzieci. W publicznych dyskusjach i w nagłówkach gazet pojawia się termin

„świadome macierzyństwo”, nieużywany od lat trzydziestych. W kwietniu 1956 roku Sejm uchwała liberalizację ustawy, która rozszerza prawo kobiet do przerywania ciąży – słowa „aborcja” się wtedy nie używa – także na „trudne warunki życiowe” ciężarnej. O tym, czy warunki są wystarczająco trudne, ma decydować oświadczenie kobiety, weryfikowane przez ginekologów z państwowych poradni.

Ministerstwo Zdrowia argumentuje, że chodzi o ograniczenie liczby pokątnych aborcji przeprowadzanych przez osoby bez kwalifikacji. Pięciu posłów katolickich jest przeciw. „Rocznie dokonuje się u nas 300 tysięcy nielegalnych poronień. Czy projekt ustawy ma na celu zmniejszenie tej liczby? Nie, projekt ten chce tylko stan ten zalegalizować. A legalność przerywania ciąży może tę liczbę jeszcze zwiększyć” – przemawia w Sejmie poseł Jan Dobraczyński.

„Przykro mi jest, że poseł Dobraczyński jest tylko z katolikami, a nie z naszymi tkaczkami, z naszymi prądkami i inteligencją pracującą kobiet, które chciałyby mieć dziecko wtedy, kiedy pragną, a nie wtedy, kiedy co dzień żyją pod strachem” – polemizuje posłanka Wanda Gościmińska z Łodzi, prądka i przodownica pracy, która została dyrektorem fabryki.

Alhambra i inne

Marka Hłaskę Cywińska zobaczyła po raz pierwszy w niecodziennych okolicznościach: „Już następnego dnia przez okno od podwórza [do akademika na Kickiego – red.] wdrapał się w środku nocy Zbyszek Cybulski. Był z nim Marek Hłasko. Wracali z jakiejś libacji. Podpici, poprosili o przenocowanie. Zrobił się popłoch wśród dziewczyn. W tym akademiku takie spodziewane lub niespodziewane wizyty zdarzały się często, zdążyłyśmy do tego przywyknąć. Ale tym razem ani jeden, ani drugi z moich gości nie był znany moim współlokatorom?”

Oprócz Kameralnej, w której przesiadywał najchętniej, Hłasko widywany był również w Harendzie – kawiarni przy Uniwersytecie Warszawskim. Młodzi artyści bawili się także w Pod Krokodylem na Rynku Starego Miasta, Pod Żółtą Rybką na Nowym Świecie i w Jontku na Wiejskiej.



Nowych knajp, powstających na fali odwilży, przybywało z każdym miesiącem. Wydany w 1956 roku przewodnik *Jesteśmy w Warszawie* wymieniał 40 kawiarni, 18 restauracji i 11 kin w samym tylko Śródmieściu. Na zdjęciu: kawiarnia Ewa na ul. Brackiej, 1957 rok

– Do Jontka wpadało się na setę – wspomina Skalski.

Na Rynku Starego Miasta kusił Manekin. Jego piwniczne wnętrza posłużyły ekipie filmowców Andrzeja Wajdy jako scenografia do filmu *Niewinni czarodzieje*.

– Pamiętam, jak raz siedziałem w Manekinie przy stole jako debiutant: młody, nieznany i zadowolony, że ci lepsi pozwolili mi się tu napić. Przy drugim końcu sali siedziała Agnieszka Osiecka, zapowiadająca się poetka, otoczona już wielkim nimbem. Była nieco młodsza ode mnie – opowiada Skalski.

Nowych knajp, powstających na fali odwilży, przybywało z każdym miesiącem. Wydany w 1956 roku przewodnik *Jesteśmy w Warszawie* wymieniał czterdzieści kawiarni, osiemnaście restauracji i jedenaście kin w samym tylko Śródmieściu. W stolicy działało w sumie około czterystu

kawiarni i barów kawowych, w których nierzadko można było zamówić coś mocniejszego od „małej czarnej”. Odpychające w czasach stalinowskich, po przełomie 1956 roku zyskały na kolorycie. Wyróżniała się wśród nich „orientalna” Alhambra w Alejach Jerozolimskich, w której nastrój tworzyły boazerie, ciemnoczerwone tapety, trzy lampiony, stoliki na tłoczonych nogach i wyściełane taborety.

– Tam można było wypić kawę parzoną po turecku, w tygielku – opowiada Skalski. – To było też ulubione miejsce spotkań homoseksualistów. W tamtym czasie nie mówiło się o nich jeszcze „geje”, tylko po prostu „pedały”.

Jedziemy skrajem placu Trzech Krzyży. Pan Ernest wskazuje na parter jednej z kamienic. W 1956 roku była tu kawiarnia Antyczna, w której spotykali się poeci, dziennikarze i malarze. Wnętrze zdobiły rysowane delikatną kreską postacie antycznych bogów. – Tuż obok, na placu, stał klasyczny francuski szalet blaszany, okrągłak, wyłącznie dla mężczyzn. Tam również spotykali się homoseksualiści – przypomina sobie Skalski.

Przy placu Trzech Krzyży mieścił się też Lajkonik, cukiernia i kawiarnia w jednym. Przesiadывali tu głównie plastycy i satyrycy z pobliskiej redakcji „Szpilek”. Był to również ulubiony lokal Antoniego Słonimskiego, który w 1951 roku wrócił do Polski. Ściany Lajkonika zdobiły malowidła, dzieła tutejszych bywalców. Na jednym z nich, autorstwa Jerzego Srokowskiego, Słonimski wsiadał do dorożki numer 13 – sentymentalne mrugnięcie okiem w stronę przedwojennych lat, czasów restauracji Ziemiańska, wówczas mekki literatów.

Gdy żart był oznaką siły

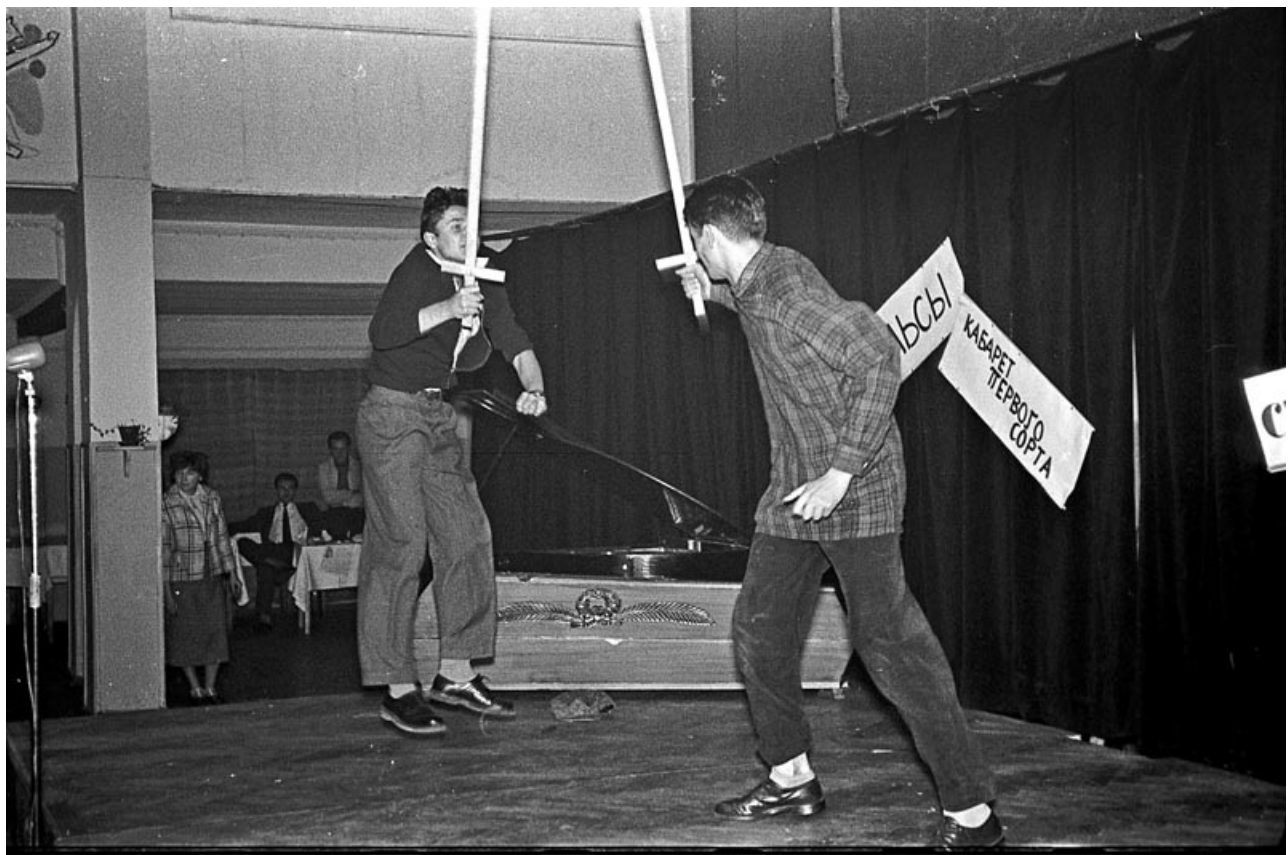
Wracamy do centrum, jedziemy ulicą Emilii Plater. Po prawej Pałac Kultury i Nauki, oddany do użytku 22 lipca 1955 roku, po lewej – szklane Żłote Tarasy, a potem kolejne wieżowce. Pomiedzy nimi niski, przeszklony pawilon Emilii.

– To musiało być gdzieś tutaj – Skalski rozgląda się trochę zagubiony. – Tu stała pierwsza Stodoła.

Wiosną 1956 roku przy Emilii Plater stała drewniana stołówka, pamiątka po budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Robotnicy wznoszący prezent od Józefa Stalina i ZSRR jedli tu obiady. Gdy ukończyli budowę, pozostał pusty barak. Stał w świetnym miejscu, tuż przy Pałacu, szybko zajęli go więc studenci Politechniki, organizując tu wieczorki taneczne i kabaretowe. Nazwali go Stodołą.

Tak w kwietniu 1956 roku powstał Centralny Klub Studentów Politechniki Warszawskiej „Stodoła”. W baraku na Emilii Plater utrzymał się do stycznia 1961 roku.

– Bywałem tu rzadko, chyba na jakichś tańcach, nie pamiętam za dobrze – przyznaje Skalski.



W kwietniu 1956 roku powstał Centralny Klub Studentów Politechniki Warszawskiej „Stodoła”. W baraku na Emilii Plater utrzymał się do stycznia 1961 roku

W każdy czwartek, sobotę i niedzielę w baraku na Emilii Plater grał jazzowy zespół Janusza Zabieglińskiego. Stodoła szybko stała się warszawską

mekką jazzu, ale również centrum satyry. W maju 1957 roku zaprezentowano tu pierwszy program kabaretowy *W tym szaleństwie jest metoda* w reżyserii Jana Biczycyckiego. Na scenie pojawiła się z gitarą Sława Przybylska, nieznana jeszcze wtedy nikomu amatorka, która zaśpiewała dwa songi Bertolta Brechta. Największą sławę i popularność przyniesie jej piosenka *Pamiętasz, była jesień*.

Eksplozja kabaretów to znak firmowy tych czasów. „To był czas dużego zamętu, z którego wyłonił się pierwszy ruch wolnościowy. Zaczęło się od teatrzyków studenckich i kabaretu, bo poprzez tę formę artystyczną ludzie coraz głośniej zaczęli wypowiadać się na tematy polityczne” – wspominał Jacek Kuroń.

Teatry studenckie mnożą się jak grzyby po deszczu. W 1957 roku w Polsce będzie ich ponad trzydzieści. W Gdańsku wszyscy Ignał do teatru Bim-Bom. Powstaje jesienią 1954 roku, gdy Zbigniew Cybulski, aktor Teatru Wybrzeże, obejmuje opiekę artystyczną nad grupą studentów Politechniki Gdańskiej. Dołączają do niej m.in. Jacek Fedorowicz z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Bogumił Kobiela z Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie. W dniu pogrzebu Bieruta Bim-Bom wystawia program *Radość poważna*. Operuje mimiką, gwarem, szumem, sceną plastyczną (aktorzy i aktorki są plastykami i architektami).

Wśród ludzi Bim-Bomu obraca się Agnieszka Osiecka, studentka dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, która odbywa praktyki w „Głosie Wybrzeża”. W 1953 roku została usunięta z ZMP za „ferment – niestosowne zachowanie podczas warszawskich uroczystości żałobnych” po śmierci Stalina. Śmiała się z koleżanką i podskakiwała z powodu zimna. Legitymację zetempowską zwrócił jej dopiero Sąd Centralny ZMP wiosną 1954 roku. Problem w tym, że Osiecka pochodzi z inteligenckiej rodziny „skażonej” drobnomieszczaństwem (jej ojciec był przed wojną właścicielem restauracji Watra w Zakopanem), a na dodatek zna języki obce i fascynuje ją Zachód.

„Kiedy patrzyłam na drugi program Bim-Bomu, podziw mieszał się ze zdumieniem – wspominała po latach. – Patrzyłam na to wszystko, na śliczne dekoracje, na coraz to nowe i nowe pomysły (prześwietlanie

kurtyny, kaktus w scenie zbiorowej) i zdumienie moje rosło: skąd oni to wszystko wzięli, skąd oni to wiedzą? Z tych strzępków filmów chaplinowskich? Z filmów Jean-Louis Barrault (jeden mogli widzieć), z pantomimy francuskiej, o której zaledwie słyszeli? A wreszcie – jak oni to robią – wszyscy czy może ktoś jeden?”

W studenckiej Łodzi wybija się od 1954 roku teatr Pstrąg. Nazwa zawiera jasną sugestię: tworzą go ci, którzy płyną pod prąd.

A w warszawskim Domu Klubu Energetyka od maja 1954 roku występuje Studencki Teatr Satyryków: młodzi z Żoliborza, dzielnicy o tradycjach przedwojennej lewicy. W większości znają się z dzieciństwa spędzonego na podwórkach Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

„My nie chcieliśmy niszczyć socjalizmu, ale go naprawiać. Mówiliśmy ze sceny raczej o powrocie do źródeł – opowiadał Andrzej Jarecki, jeden z liderów STS. – (...) Byliśmy okaleczonymi przez rzeczywistość ideowcami. Zwracaliśmy się z naszej sceny nie tylko przeciwko tym, którzy socjalizm spaprali, ale także przeciwko naprawiaczom, którzy czerpali z innych niż my źródła”

Przez dwa lata teksty piosenek dla STS pisze Osiecka. Ludzi z teatru poznaje w październiku 1955 roku dzięki Witoldowi Dąbrowskiemu, swojej pierwszej miłości. „Było to w jakiejś knajpie, zdaje się w Rycerskiej. Siedzieli przy długim stole, pili kawę i straszliwie wrzeszczeli – wspominała. – (...) Zrobili na mnie ogromne wrażenie (...). Piegowate zjawisko – Jarosław Abramow. Kiedy się uśmiechał, robiły mu się dołeczki, śmiesznie jak u dziewczynki. Sympatyczny, roześmiany grubas, do którego nabrałam żywiołowego zaufania – reżyser (Jerzy) Markuszewski. Tyczkowaty młodzieniec, do którego zwracano się z wielką estymą, sam milczący – (Andrzej) Jarecki. Witold uprzedził mnie, że będzie to zebranie ludzi z teatru poświęcone teatrowi. Tymczasem to, czego byłam świadkiem, podobne było prędeż do zebrania zetempowskiego czy do jakiegoś spotkania konspiratorów niż do dyskusji artystycznej. Mówiono niemalże wyłącznie o polityce”

W listopadzie 1955 roku satyrycy STS wystawiają program pod przekornym tytułem *Myślenie ma kolosalną przyszłość*. Włączają do niego

cały cykl piosenek Osieckiej. „Mówiono, że pisze wiersze – relacjonował potem Jarosław Abramow-Newerly. – W różowej sukience, z tym swoim końskim ogonem wzbudziła moją nieufność. Co ona może napisać? – pomyślałem. Okazało się, że może. Jej pierwsza *Piosenka o kolorach* wszystkich nas zaskoczyła”

Osiecka: „Znaleźć się wówczas w teatrze studenckim to było prawdziwe, najprawdziwsze szczęście. Teatr studencki to była ta wyspa na oceanie uczelnianej drętwej mowy, gdzie ironia okazywała się przejawem zdrowia, nie – choroby; gdzie żart był przejawem siły, nie – schizmy; gdzie wątpliwości rodziły się z zaangażowania, nie – z goryczy, i gdzie moralność była polityką, a polityka – moralnością. Moi koledzy z STS-u wierzyli w potęgę słowa. Nasze najpiękniejsze lata przypadły na okres najpiękniejszych złudzeń. Wszystko, co niemożliwe, wydawało się możliwe. Byliśmy czyści jak dzieci i śmieszni jak anioły”

Ze scen studenckich teatrów można usłyszeć więcej, niż się mówi i pisze oficjalnie. „Nie pisaliśmy o sprawach banalnych – przedmiotach, krajobrazie, zwierzętach, pogodzie. Moi koledzy uprawiali »lirykę obywatelską«. Każdy swój utwór traktowali jako ważną wypowiedź, pewien rodzaj posłannictwa. Aby im dorównać, przeżywałam istne męki twórcze... – wspominała Osiecka. – (...) Czy nasz teatrzyk naprawdę miał kiedy co wspólnego z bohemą? To była zawsze trochę jaczajka komunistyczna podszyta romansowością Lili Brik i tej całej rakiety. (...) Pachniało sportami, herbatą i wielkimi ideałami. Tylko z tych ideałów straszna groza buchała”

Aktorzy STS-u „pokładali w Gomułce ogromne nadzieje – opisywała Osiecka. – Byli młodzi i chcieli mieć tę nadzieję. Tym bardziej że ustrój gomułkowski nie był taki groźny – już nie trzeba było bać się pukania mleczarza nocą do drzwi. Był to jednak ustrój nieprzychylny kulturze i wolności człowieka. Dlatego STS na swój sposób stał się teatrem opozycyjnym”

Częstochowa, czyli Bierut w kufierku

Z czego się śmiali się Polacy w 1956 roku? Przede wszystkim

z twardogłowych „natolińczyków”, zetempowców, przodowników pracy. Z Bieruta, no i z „Wielkiego Brata” – ZSRR.

„Mężczyzna na poczcie robi awanturę urzędnicze, że znaczek z Bierutem nie chce się przylepić. – No tak, bo pan pluje z drugiej strony”

„Przed Pałacem Kultury defilują ludzie na 1 maja. Jakiś gość krzyczy w bramie. – Niech żyją kolejarze! – Panie, co pan, teraz pielęgniarki idą. – Niech żyją kolejarze! – Przecież teraz idą aktorzy. – Niech żyją kolejarze! – Co pan z tymi kolejarzami? – Gdyby nie kolejarze, to byśmy węgiel do Moskwy na plecach nosili”

„Dwóch mężczyzn wyjechało z Funduszu Wczasów Pracowniczych i znaleźli się w jednym pokoju. Poszli na spacer, kupują totka. – Co pan zrobi, jak pan wygra 100 tysięcy? – Pojadę na wczasy do Związku Radzieckiego. – A jak pan wygra pół miliona? – Kupię wycieczkę do Związku Radzieckiego. – A jak pan wygra milion? – Zafunduję sobie dłuższy pobyt w Związku Radzieckim. – Czy pan nie zna innych krajów? – Znam, ale pana nie znam”

„Jakie są podstawy handlu z ZSRR? My dajemy im lokomotywy, a oni zabierają nam węgiel”

„Wchodzi do sklepu robociarz: Dwa kilo cwaniaka! – Jakiego cwaniaka? – dziwi się sprzedawczyni. – No tego! – i robotnik wskazuje na salceson. – Toż to przecież salceson – mówi ekspedientka. – Tak, ale jaki cwaniak! Nie dał się wywieźć do Ruskich!”

Gdy w marcu 1956 roku w Moskwie niespodziewanie umiera Bolesław Bierut, Polacy żartują (po cichu, tylko w zaufanym gronie), że stolica ZSRR powinna zmienić nazwę. Na „Częstochowa”. Bo często chowa swoich gości.

Inny żart o Bierucie mówi: „Wyjechał w futerku, a wrócił w kuferku”

A warszawiacy na wieść, że pogrzeb Bieruta kosztował 3 miliony złotych, sarkają: – Szkoda, że za te pieniądze nie pochowano całego KC. Byłoby oszczędniej!

Za takie dowcipy jeszcze dwa-trzy lata wcześniej można było trafić na UB i dostać dwa lata więzienia, ale jesienią 1956 roku wszelkie tamy na moment puszczają.

Choć Gomułka to wtedy narodowy bohater, z czasem i on staje się

bohaterem dowcipów. Zwłaszcza gdy wychodzą na jaw jego braki w wykształceniu. Jeden z najbardziej popularnych żartów brzmi: – Czym różni się pociąg pospieszny od Gomułki? Pociąg ma dwie klasy, a Gomułka trzy.

„W latach gomułkowskich najciekawsze były lekko zniekształcone fragmenty przemówień I sekretarza. Były strasznie komiczne, bo Gomułka miał charakterystyczny tembr głosu. Miałem w swoim programie kilka takich fragmentów. »Gdybyśmy mieli blachę, zarzucilibyśmy Europę konserwami. Ale nie mamy mięsa«. Inny słynny żart, powtarzany przez całą Polskę, wyszedł właśnie z naszego kabaretu: »Polska przedwrześniowa stała na skraju przepaści, a myśmy zrobili dalszy krok naprzód«” – wspominał Jan Pietrzak, który w latach sześćdziesiątych zaczynał karierę w kabarecie studenckim w Hybrydach.

Striptiz w Stodole

Z okien samochodu spoglądamy z Ernestem Skalskim na miejsce, w którym w 1956 roku stała Stodoła. Cezary Prasek w *Złotej młodzieży PRL* zaznacza, że właśnie tu, w Stodole, odbył się pierwszy w stolicy striptiz. „Nieżyjący już artysta kabaretowy Jan Tadeusz Stanisławski opowiadał, że modelka musiała wystąpić w pożyczonym francuskim staniku, którego w kulminacyjnym momencie nie potrafiła rozpiąć. Polskie biustonosze zapinały się bowiem w tym czasie na tradycyjne haftki, a nie na jakieś wymyślne zapięcia”

Skalskiemu pierwszy striptiz kojarzy się z restauracją Kongresową w Pałacu Kultury i Nauki.

– Ale to już musiało być po 1956 roku. Pamiętam, że panienka rozbierała się dosyć mozolnie. A jak już miała zdejmować stanik i majtki, na scenę wyskakiwały wielkie papierowe kwiaty. Kiedy przyjeżdżali do nas Ruscy, to nie można było nie zaprowadzić ich na striptiz w Kongresowej. Zawsze chcieli tam pójść.

Striptizy były też w Paradise przy Nowym Świecie, lokalu, o którym krążyła legenda, że podziemny tunel łączył go z pobliskim Komitetem

Centralnym partii.

„Goło, ale wesoło”, czyli Piwnica i jazz

Gdy Skalski wrócił do Moskwy na ostatni rok studiów, w grudniu 1956 roku w Krakowie wystartował kabaret Piwnicy pod Baranami. Ulokował się w piwnicach pałacu Potockich przy krakowskim Rynku Głównym.

„W tych (...) podziemiach, do których mnie wprowadzono, panował niemały zgiełk, papierosowy dym otulał młodzież płci obojga, paliły się świece, ktoś brzdąkał na gitarze, ktoś czytał wiersze, w ogromnym kominku płonęły szkielety składanych krzesel – opisała swoją pierwszą wizytę w piwnicach jesienią 1956 roku Barbara Nawratowicz, później ważna postać lokalu. – Rajmund Jarosz, już zadomowiony w Piwnicy student PWST, wraz z pomocnikami usuwał resztki ceglanego murku dzielącego piwnicę, popijano tanie wino i dyskutowano zawzięcie. Czuło się w powietrzu, że »idzie nowe«, że rozluźniają się kleszcze politycznego zamordyzmu, że nowoczesna sztuka i literatura wyjdą z podziemia, że socrealizm wszyscy diabli wezmą i będzie się można bezkarnie naigrawać z otaczającej nas szarej rzeczywistości ze Związkiem Radzieckim na czele”



Piwnica pod Baranami w 1957 r. Na zdjęciu: Barbara Nawratowicz, aktorka i piosenkarka, oraz Piotr Skrzynecki, felietonista, konferansjer, historyk sztuki

Pierwszy program kabaretowy w Piwnicy pod Baranami nosił tytuł *Polska stajnia narodowa*. Widownia entuzjastycznie przyjęła Tadeusza Kwintę, który wygłosił skonfiskowany przez cenzurę manifest Leszka Kołakowskiego *Czym jest socjalizm?* Ułożony w formie litanii utwór był spisem ponad osiemdziesięciu formuł mówiących o tym, czym nie jest panujący w Polsce ustrój (na przykład: nie jest „państwem, które sądzi, że tylko ono może zbawić ludzkość”; nie jest „państwem, które sądzi, że wolność polega tylko na posłuszeństwu państwu”; czy też nie jest „państwem, gdzie jest więcej szpiegów niż pielęgniarek i więcej miejsc w więzieniach niż w szpitalach”).

– To była część pierwsza – skończył długą wyliczankę Kwinta. I dodał: – A teraz słuchajcie uważnie! Powiem wam, czym jest socjalizm. Otóż: socjalizm jest to ustrój, który... ech! Co tu dużo mówić! Socjalizm jest to

naprawdę dobra rzecz!

Nasiadówki artystycznej braci krakowskiej odbywają się u Joanny Olczak, w jednym z pokoi mieszkania jej matki w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Nawratowicz: „Każdy coś pisał – abstrakcja, purnonsens były hasłem dnia. Z Zachodu wiał wicher egzystencjalizmu (Sartre, Juliette Gréco, Beckett, Françoise Sagan, Picasso), inspirując polskich artystów”

Pierwsze występy, jeszcze nieoficjalne, odbywają się wśród widzów siedzących na składanych krzesłach i dorzucających zwykle coś od siebie. Trudno się dziwić: są wśród nich m.in. Lidia i Jerzy Skarżyńscy, Janina Ipohorska, Marian Eile, Sławomir Mrożek czy Ludwik Jerzy Kern. Za scenę robią najpierw drewniane paki – kto chce się pokazać, czyta lub śpiewa z tego prowizorycznego podwyższenia.

„Piotr Skrzynecki był w gruncie rzeczy bardzo nieśmiały (...), nie brał jednak udziału w naszych pionierskich występach, natomiast zabawnie coś podgadywał z boku i radośnie rechotał” – relacjonuje Barbara Nawratowicz w książce o fenomenie Piwnicy pod Baranami.

Jeden z ich ulubionych „numerów” zatytułowany był *Striptiz polityczny*: Joanna Olczak stoi tyłem do widowni, na jej plecach rozwieszane są kartki z napisami: węgiel, zboże, ruda żelaza, wolność... Barbara Nawratowicz, odgrywająca Związek Radziecki, zdejmuje z koleżanki kartki, odczytując ich treść. Każde hasło wzbudza na widowni uciechę.

Naigrawają się z absurdów życia w PRL. Drwią z przodowników pracy.

Wincenty Pstrowski

górnik ubogi

wykonał normę

i wyciągnął nogi... – recytują ze sceny.

Obśmiewają też ZMP, śpiewając składankę złożoną z fragmentów zetempowskich piosenek:

(...) A tokarka Honoratka też pracuje świetnie,

Chce wykonać w cztery lata swój plan pięcioletni (...).

Skąd taka zmiana, skąd taka zmiana, skąd taka zmiana – kto to wie,

Skąd taka zmiana, skąd taka zmiana – tego dokonało ZMP!

Mówią o nich „brudni egzystencjaliści” – pewnie także dlatego, że trudno zachować czystość w zakopconej piwnicy bez wentylacji, która służyła jeszcze niedawno jako skład węgla. Palą nałogowo najtańsze sporty albo bardziej wykwintne grunwaldy – jedne i drugie równie truujące, bo bez filtrów. W piwnicznym kominku grzeją w baniaku flisaka, tanie wino ze składek, przyprawiane cukrem i goździkami, byle tylko zabić zapach i smak siarki.

Nawratowicz: „Było goło, ale wesoło i stanowiliśmy najlepszą chyba reklamę hasła, że PRL jest najweselszym barakiem obozu socjalistycznego”

W reżyserskie karby nieco chaotyczne przedstawienia ujmuje Krzysztof Zrałek. „Kabaret Piwnicy pod Baranami nie był, wbrew powszechnej legendzie, pomysłem i dziełem Piotra Skrzyneckiego. To Krzysztof Zrałek był pomysłodawcą, pierwszym reżyserem i konferansjerem piwnicznego kabaretu” – wyjaśnia Nawratowicz.

Lekko sepleniący Skrzynecki niebawem dołączy z konferansjerką.

Artyści występują za „zrzutkę do kapelutka”, z którym Nawratowicz stoi przy wejściu. Potem pojawia się wyszynk zwany „Barbarą”, w którym można nabyć tanie wino po 3 złote za musztardówkę.

Piwnica pod Baranami przyciąga muzyków, aktorów, ludzi filmu, literatów. Staje się szybko najważniejszym i najlepszym kabaretem w Polsce. A także centrum polskiego jazzu – za sprawą Zofii Komedy-Trzcińskiej, która pomaga „piwniczynom” wyjść z długów. Przez krakowskie piwnice przewijają się w końcówce lat pięćdziesiątych największe gwiazdy jazzu: Krzysztof Komeda-Trzciński, Jerzy Matuszkiewicz, Andrzej Trzaskowski, Andrzej Kurylewicz czy Jan „Ptaszyn” Wróblewski. W 1959 roku koncertu Komedy w Piwnicy słucha Karol Wojtyła. A potem dyskutuje z nim przy winie o... możliwości grania jazzu w kościołach.

Uznałem, że muszę się zaangażować

Było już swobodniej, bo po Październiku. Ernest Skalski poczuł, że czas się zaangażować: – Uznałem, że te przemiany nie mogą się obejść beze mnie. Ale wtedy nie było jeszcze życia publicznego poza partią. W systemie

totalitarnym wszystkie ruchy społeczne musiały być „herezjami w Kościele”, bo nie było nic innego poza Kościołem.

Do partii przyjmowano go długo, prawie rok. Przez ten czas ochota mu już co prawda przeszła, lecz nie wypadało się wycofać ze względu na kolegów, którzy dali mu rekomendację. Dostał legitymację, ale nie zagrał w partii długo miejsca. Ożenił się bowiem z Rosjanką, która miała kontakty z dysydencką organizacją Związek Patriotów Rosyjskich. – Centralna Komisja Kontroli Partyjnej wyrzuciła mnie z partii, za co do dziś jestem jej wdzięczny, bo nie musiałem uczestniczyć w późniejszych wydarzeniach – wspomina Skalski.

Z Rosji do Polski wrócił na stałe w marcu 1958 roku. Najpierw znalazł pracę w biurze pełnomocnika rządu PRL do spraw repatriacji Polaków z ZSRR, a potem, w grudniu 1958 roku, trafił do redakcji „Sztandaru Młodych”.



1956 rok. Interwencja Milicji Obywatelskiej na ulicy Warszawy. Pijany delikwent trafia do izby wytrzeźwień

Pijana Marszałkowska

Jadąc Marszałkowską, patrzymy na zabudowę wschodniej pierzei placu Defilad. Gdy Skalski zaczynał pracę w Warszawie, na nocnej mapie stolicy liczył się szlak barów na Marszałkowskiej, róg ulicy Widok. Bary

po wschodniej stronie placu Defilad istniały do czasu, aż Gomułka ostatecznie ją zabudował.

– Człowiek wchodził do Baru pod Dwójką, wypijał kieliszek, potem zaliczał po drodze kilka innych barów, a kończył w Barze pod Setką. W ten sposób można się było upić, nie przechodząc nawet na drugą stronę Marszałkowskiej. A jak ktoś się upił na tyle, że nie był w stanie wrócić o własnych siłach, kończył w izbie wytrzeźwień.

Izby wytrzeźwień to także wynalazek 1956 roku. I to był koniec pijackiego szlaku.

Podziękowania

Tej książki nie byłoby bez moich rozmówców, świadków historii. Chciałbym więc serdecznie podziękować: mojemu ojcu Aleksandrowi Bojarskiemu, Aleksandrze Banasiak, Henrykowi Karoniowi, Ryszardowi Strzeleckiemu-Gomułce, Hannie Strzeleckiej-Gomułce, prof. Andrzejowi Werblanowi, Barbarze i Edwardowi Liszewskim, Andrzejowi Krzeczunowiczowi, Ewie Chciuk-Celt, Kazimierzowi Szymańskiemu i Irenie Mendel, Janowi Górskiemu, Zenonowi Wechmannowi, Józefowi Borowskiemu, Zdzisławowi Dziegielewskiemu, dr. Markowi Szymaniakowi, Stefanowi Pastuszewskiemu, Jerzemu Urbanowi, Stefanowi Bratkowskiemu, Janowi Olszewskiemu, Andrzejowi Wajdzie, Janowi Englertowi, Kazimierzowi Kutzowi, Janowi „Ptaszynowi” Wróblewskiemu, Ernestowi Skalskiemu i Izabelli Cywińskiej. Wielkie podziękowania kieruję też pod adresem Pawła Goźlińskiego, który przekonał mnie do zabrania się do tego szerokiego tematu i wspierał w trakcie pracy; a także osób, które zadbały o jakość książki: dr. Piotra Osęki, Aleksandry Klich, Roberta Siewioraka, Danuty Sabały, Katarzyny Kubickiej, Rafała Szczepankowskiego, Pawła Panczakiewicza, Łukasza Cynalewskiego, Jacka Marczewskiego, Tymona Markowskiego i Marcina Wesołka. Jestem również wdzięczny osobom, których pomoc okazała się nieoceniona w dotarciu do bohaterów: Monice Lang, Marii Krzyżańskiej, Jackowi Karoniowi, Lechosławowi Gawlikowskiemu i Mariuszowi Kubikowi. Dziękuję wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób wspomagali mnie w trakcie pisania książki.

Piotr Bojarski

Najważniejsze wydarzenia polityczne 1956 roku w Polsce^[*]

14–25 lutego

Odwilżowy XX Zjazd KPZR w Moskwie, w którym uczestniczy delegacja polska z Bolesławem Bierutem na czele. 14 lutego specjalna komisja XX Zjazdu uznaje rozwiązanie Komunistycznej Partii Polski w 1938 roku za bezpodstawne. 25 lutego I sekretarz KC KPZR Nikita Chruszczow odczytuje delegatom KPZR tajny referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*, demaskujący zbrodnie Stalina. Delegaci są w szoku.

9 marca

Gen. Marian Spychalski, bliski współpracownik Władysława Gomułki, zostaje zwolniony z więzienia. Dzień później „Trybuna Ludu” drukuje artykuł *O kulcie jednostki i jego następstwach* – pierwszą szerszą informację na ten temat przeznaczoną dla społeczeństwa.

11 marca

Jerzy Ambroziowicz, Walery Namiotkiewicz i Jan Olszewski publikują w tygodniku „Po Prostu” tekst *Na spotkanie ludziom z AK*, inicjujący dyskusję na temat przyszłości represjonowanych akowców. Domagają się zwolnienia z więzień i rehabilitacji dla żołnierzy AK.

12 marca

W Moskwie na zawał serca spowodowany zapaleniem płuc umiera Bolesław Bierut. Zostaje pochowany cztery dni później w Warszawie.

20 marca

VI Plenum KC PZPR z udziałem Nikity Chruszczowa wybiera na nowego I sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba. W kierownictwie PZPR utrzymuje

się „delikatna równowaga” (określenie za Wojciechem Roszkowskim) między „natolińczykami”, zaufanymi Kremla, i „puławianami”, skrzydłem liberalnym partii.

24 marca

Sesja Rady Kultury i Sztuki przy Ministerstwie Kultury. Członkowie Związku Literatów Polskich rozpoczynają rozliczenia z okresem stalinowskim. Antoni Słonimski przyrównuje lata stalinizmu do mroków średniowiecza.

12 kwietnia

Umorzenie śledztwa przeciwko marszałkowi Michałowi Roli-Żymierskiemu. „Z braku dowodów winy” zostaje oczyszczony z zarzutów współpracy z obcymi wywiadami. Marszałek jest już od blisko roku na wolności.

20 kwietnia

Mury więzienia we Wronkach opuszcza major Stanisław Skalski, legenda lotnictwa w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Skazany na dożywocie, po siedmiu latach śledztwa i tortur w więzieniach PRL odzyskuje należne mu honory.

23 kwietnia

Komunikat prasowy informujący o aresztowaniu Romana Romkowskiego i Anatola Fejgina, oskarżonych o stosowanie niedozwolonych metod śledczych w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

24 kwietnia

O godz. 10 rano z więzienia we Wronkach zostaje zwolniony 49-letni Kazimierz Moczarski, w okresie okupacji pracował m.in. w Wydziale Informacji BIP Komendy Głównej ZWZ-AK. Jak informuje wypełniony wówczas formularz, zwolniony „zamierza zamieszkać w Warszawie, ul. Marszałkowska nr 72 m. 3”. Na razie musi ratować zdrowie.

27 kwietnia

Sejm uchwała ustawę o amnestii, która obejmuje przestępstwa polityczne

oraz przestępstwa popełnione przeciwko państwu za granicą, jeśli ich sprawcy wrócą do kraju w ciągu trzech miesięcy. Do początku czerwca 1956 roku zwolniono 28 tysięcy więźniów politycznych, często złamanych psychicznie lub nieuleczalnie chorych. Tego samego dnia Sejm uchwała ustawę liberalizującą przepisy o dopuszczalności aborcji.

9 maja

Franciszek Mazur i Zenon Nowak, wysłannicy Biura Politycznego, przeprowadzają pierwszą rozmowę z Władysławem Gomułką. Sondują, czy byłby gotów wrócić do partii.

24 czerwca

Stanisław Cat-Mackiewicz decyduje się wrócić do kraju. Propaganda PRL wykorzystuje ten fakt, by przekonać świat o postępującej demokratyzacji.

26 czerwca

Minister przemysłu maszynowego Roman Fidelski przyjmuje delegatów Zakładu im. Stalina z Poznania (dawny Cegielski). Delegaci domagają się m.in. zwrotu niesłusznie pobranego podatku (chodzi w sumie o około 11 milionów złotych), cofnięcia zawyżonych norm, ośmiogodzinnego dnia pracy i likwidacji godzin nadliczbowych, poprawy kooperacji, wprowadzenia wolnej soboty, skrócenia czasu pracy dla kobiet do sześciu godzin, poprawy bezpieczeństwa i higieny pracy, a także przywrócenia cen artykułów żywnościowych sprzed ukrytej podwyżki cen. Minister odnosi się przychylnie do najważniejszych postulatów.

27 czerwca

Minister Fidelski przyjeżdża do Poznania i przemawia na masówkach w ZISPO, jednak załoga W-3 i uczestnicy warszawskich rozmów z ministrem są całkowicie zaskoczeni. „Okazało się, że mówi co innego niż to, co uzgodniliśmy w Warszawie” – relacjonował Stanisław Matyja, jeden z robotników. Rozpoczyna się strajk w poznańskich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. Delegaci z innych poznańskich zakładów podejmują

decyzję o strajku generalnym i manifestacji ulicznej, która wykorzysta obecność zachodniej prasy na XXV Międzynarodowych Targach Poznańskich.

28 czerwca

„Czarny czwartek” na ulicach Poznania. Demonstracja robotnicza zostaje krwawo stłumiona przez wojsko i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w dwudniowych walkach ginie 57 osób, aresztowanych jest ponad 1100.

18–28 lipca

VII Plenum KC PZPR i burzliwe dyskusje, m.in. o możliwości powrotu Władysława Gomułki do życia politycznego.

1 sierpnia

Uroczyste obchody 12. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego w stolicy, organizowane po raz pierwszy po wojnie. Obok partyzantki ludowej wymienia się m.in. Armię Krajową i Bataliony Chłopskie.

2 sierpnia

Władysław Gomułka, Zenon Kliszko i Marian Spychalski otrzymują ponownie legitymacje partyjne.

26 sierpnia

Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego, napisane przez kardynała Stefana Wyszyńskiego, złożone w częstochowskim sanktuarium przez około miliona osób, modlących się także o uwolnienie prymasa z Komańczy. Wierni widzą pusty tron prymasa Polski, na którym spoczywa wiązanka biało-czerwonych róż.

27 września

Ruszają pierwsze procesy uczestników protestów poznańskich – „proces trzech”, oskarżonych o udział w zabójstwie kaprała Zygmunta Izdebnego na poznańskim dworcu PKP, „proces dziewięciu” i 5 października „proces dziesięciu”. Na ławie oskarżonych znajduje się m.in. Janusz Kulas, konik. Prasa określa go mianem „Edie Polo – włoski bandyta”.

8 października

Hilary Minc, jeden z najbliższych niegdyś współpracowników Bieruta, rezygnuje z funkcji wicepremiera.

12 października

W obradach Biura Politycznego uczestniczy Władysław Gomułka (opinia publiczna dowiadyuje się o tym dzień później). Biuro zwołuje VIII Plenum KC PZPR na 19 października. 15 października Biuro Polityczne włączy do swojego składu Władysława Gomułkę, Zenona Kliszkę, Mariana Spychalskiego i Ignacego Logę-Sowińskiego.

17 października

Pierwszy wiec studentów Politechniki Warszawskiej zaniepokojonych pogłoskami o puczu wojskowym. Tego dnia w Moskwie miało się stawić całe Biuro Polityczne KC PZPR, ale Edward Ochab zaproponował kierownictwu radzieckiemu przełożenie wizyty.

18–19 października

W kierunku Warszawy z baz w Bornem-Sulinowie i Żaganiu oraz Bolesławcu wyruszają wojska radzieckie. Stan podwyższonej gotowości w jednostkach Wojska Polskiego i KBW. Kolejne wiece na Politechnice Warszawskiej.

19 października

Wizyta delegacji radzieckiej z Nikitą Chruszczowem na czele w Warszawie. Rozpoczynają się trzydniowe obrady VIII Plenum KC PZPR. Chruszczow naciska na kierownictwo PZPR, by nie wprowadzać niekorzystnych dla „natolińczyków” zmian we władzach PZPR. Ochab, Cyrankiewicz i Gomułka nie ustępują. Następnego dnia delegacja radziecka wraca do Moskwy.

21 października

Gomułka zostaje wybrany na I sekretarza KC PZPR. Z kierownictwa partii usunięto marszałka Konstantego Rokossowskiego.

22 października

Koniec ostatniego procesu w Poznaniu przeciwko uczestnikom robotniczego protestu z czerwca. Umarza się większość spraw, skazani zostają tylko winni śmierci funkcjonariusza UB na dworcu kolejowym.

23 października

W Budapeszcie spontaniczny wiec poparcia dla przemian zachodzących w Polsce, który przeradza się w powstanie skierowane przeciwko komunistycznemu reżimowi i Rosjanom. Antyradzieckie wystąpienia w Legnicy, siedzibie dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Następnego dnia Władysław Gomułka przemawia na placu Defilad do 400-tysięcznego tłumu. Apeluje o spokój i namawia: „Koniec wiecowania!”

28 października

Powrót kardynała Stefana Wyszyńskiego do Warszawy, prymas obejmuje ponownie swój urząd.

4 listopada

Drugi atak wojsk radzieckich na Budapeszt. Do 10 listopada Sowieci tłumią rewolucję węgierską.

11 listopada

Zamieszki uliczne w Płocku, mieszkańcy demonstrują poparcie dla Węgier.

13 listopada

Marian Spychalski zastępuje marszałka Konstantego Rokossowskiego na stanowisku ministra obrony narodowej. Przewodniczący Rady Państwa odznacza grupę 32 generałów i oficerów radzieckich, którzy wraz z marszałkiem Rokossowskim opuszczają Polskę.

15–18 listopada

Delegacja polska z Gomułką na czele prowadzi negocjacje z kierownictwem KPZR w Moskwie na temat m.in. umorzenia polskich długów, dostaw zboża,

repatriacji Polaków z ZSRR, warunków pobytu oddziałów wojsk radzieckich w Polsce.

18 listopada

Starcia tłumy z milicją w Bydgoszczy, demonstranci przewracają maszt i niszczą urządzenia zagłuszające na Wzgórzu Dąbrowskiego.

29 listopada

Rozpoczyna się rozliczeniowy VII Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich, który wybierze na prezesa Antoniego Słonimskiego.

9–11 grudnia

Ogólnopolski zjazd działaczy harcerskich w Łodzi reaktywuje Związek Harcerstwa Polskiego, na czele którego staje Aleksander Kamiński, w czasie wojny członek Szarych Szeregów.

10 grudnia

Rada Państwa wydaje dekret przywracający Katowicom i województwu katowickiemu pierwotne nazwy. Koniec Stalinogrodu i województwa stalinogrodzkiego. Powołana zostaje tzw. komisja Mazura, która ma zbadać przypadki łamania prawa w naczelnych organach ścigania i wymiaru sprawiedliwości do 1956 roku.

17 grudnia

Podpisanie „Umowy o statusie prawnym wojsk radzieckich czasowo stacjonujących w Polsce” (ratyfikacja 27 lutego 1957) oraz umowy o repatriacji Polaków z terytorium ZSRR. Wojciech Roszkowski: „Choć ich obecność [wojsk radzieckich w Polsce – red.] obwarowano zastrzeżeniami o niemieszaniu się w wewnętrzne sprawy Polski i uzgadnianiu z rządem PRL liczebności i ruchów tych wojsk, kontrola polska okazała się, jak pokazał czas, fikcją”.

19 grudnia

Antyradzieckie demonstracje w Szczecinie, manifestanci demolują m.in.

radziecki konsulat.

24 grudnia

Rada Ministrów przyjmuje uchwałę o utworzeniu ZOMO, które ma tłumić wystąpienia przeciwko władzy.

[*] Opracowane na podstawie m.in. Paulina Codogni, *Rok 1956*, Warszawa 2006, Wojciech Roszkowski, *Historia Polski 1914–1990*, Warszawa 1991, Andrzej Paczkowski, *Pół wieku dziejów Polski*, Warszawa 2005.

Bibliografia

Wyjście z kanału

Don Fredericksen, Marek Hendrykowski, *Kanał*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2007.

Tadeusz Lubelski, *Wajda*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006.

Oscar 2000. Wajda – filmy, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 2000.

Artur Patek, *Dzieje jednej kariery. Władysław Sheybal (1923–1992)*, „Kwartalnik Filmowy” nr 37–38/2002.

Igor Rakowski-Kłós, *Kłopotliwy „Kanał”*, „Ale Historia” nr 179, 3.08.2015.

Tadeusz Sobolewski, *Francuzi w kolejce do „Kanału”*, „Gazeta Wyborcza” nr 118, 22.05.2007.

Tadeusz Sobolewski, *Kino z miłości do życia*, „Gazeta Wyborcza” nr 93, 20.04.2007.

Jacek Szczerba, *Alfabet Andrzeja Wajdy*, „Gazeta na Wajdę”, dodatek do „Gazety Wyborczej” nr 55, 6.03.2006.

Jacek Szczerba, *Szkoła polska*, „Gazeta Wyborcza” nr 152, 2.07.2001.

Stanisław Mikulski – ofiara kapitana Klossa, rozmawiał Grzegorz Sroczyński, „Duży Format” nr 190, 14.08.2008.

Andrzej Wajda, *Autobiografia*, Znak, Kraków 2013.

Zaplute karty wracają do życia

Paulina Codogni, *Rok 1956*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Antoni Dudek, Ryszard Gryz, *Komuniści i Kościół w Polsce (1945–1989)*, Znak, Kraków 2003.

Waldemar Handke, *Polegaj jak na Zawiszy... Dzieje organizacji AK Zawisza w Krobi w latach 1947–1950*, Światowy Związek Żołnierzy AK, Leszno–Krobia

1997.

Andrzej Krzysztof Kunert, *Oskarżony – Kazimierz Moczarski*, Iskry, Warszawa 2006.

Stanisław Marat, Jacek Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki. Dokumentacja czasu bezprawia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.

Andrzej Paczkowski i inni, *Czarna księga komunizmu*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

Robert Spałek, *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956*, IPN, Zysk i Spółka, Poznań 2014.

Krzysztof Szwagrzyk (red.), *Aparat bezpieczeństwa w Polsce 1944–1956. Kadra kierownicza*, IPN, Warszawa 2005.

Stefan kardynał Wyszyński, *Zapiski więzienne*, Editions du Dialogue, Paris 1982.

Literaci jedzą żabę

Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, tom 4, Czytelnik, Warszawa 1988.

Anna Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, Iskry, Warszawa 2008.

Joanna Kuciel-Frydryszak, *Słonimski. Heretyk na ambonie*, W.A.B., Warszawa 2012.

Mariusz Zawodniak, Piotr Zwierzchowski (red.), *Październik 1956 w literaturze i filmie*, Wyd. Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2010.

Październik 1956. Odwilż i przełom w życiu literackim i kulturalnym Polski. Materiały ogólnopolskiej sesji naukowej, Rzeszów, 23–25 września 1996.

„Po Prostu” prawdą w oczy

Piotr Bratkowski, *Gdy zgaszono reflektory*, „Gazeta Wyborcza” nr 266, 15.11.1997.

Stefan Bratkowski (red.), *Październik 1956. Pierwszy wyłom w systemie. Bunt, młodość i rozsządek*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1996.

Paulina Codogni, *Rok 1956*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Włodzimierz Kalicki, *Zwracam własność*, „Duży Format”, dodatek do „Gazety Wyborczej”, nr 235, 7.10.2010.

Barbara N. Łopieńska, Ewa Szymańska, *Stare numery*, Aneks, Londyn 1986.

Paweł Machcewicz, *Polski rok 1956*, Mówią Wieki, Warszawa 1993.

Dominika Rafalska, *Między marzeniami a rzeczywistością. Tygodnik „Po Prostu” wobec głównych problemów społecznych i politycznych Polski w latach 1955–1957*, Neriton, Warszawa 2008.

Zbysław Rykowski, Wiesław Władyka. *Polska próba. Październik '56*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

Eleonora Salwa-Syzdek, Tadeusz Kaczmarek (red.), *Władysław Gomułka i jego epoka*, Studio Emka, Warszawa 2005.

Paweł Smoleński, *Tamte czasy*, „Gazeta Wyborcza” nr 251 z 26.10.1996.

Jerzy Urban (oprac.) *„Po Prostu” 1955–1956. Wybór artykułów*, Iskry, Warszawa 1956.

Rebelianci

Piotr Bojarski, *Cztery twarze Prusaka. Historie wielkopolskie*, Agora, Warszawa 2010.

Dariusz Jaworski (red.), *Kronika poznańskiego powstania Czerwiec 1956*, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 26–30 czerwca 2006.

Jarosław Maciejewski, Zofia Trojanowiczowa (red.), *Poznański Czerwiec 1956*, Wielkopolskie Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu, Poznań 2006.

Edmund Makowski, *Poznański Czerwiec 1956. Pierwszy bunt społeczeństwa w PRL*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2006.

Aleksander Ziemkowski, *Poznański Czerwiec 1956. Relacje uczestników*,

Bonami, Poznań 2006.

Radio wolnych ludzi

Jolanta Hajdasz, *Szczekaczka, czyli Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*, Media Rodzina, Poznań 2006.

Jarosław Kurski, *Jan Nowak-Jeziorański*, Bertelsmann Media, Warszawa 2005.

Paweł Machcewicz, *Polski rok 1956*, Mówią Wieki, Warszawa 1993.

Joanna Szymoniczek, Eugeniusz Cezary Król (red.), *Rok 1956 w Polsce i jego rezonans w Europie*, PAN, Warszawa 2009.

Paweł Ziętara, *Emigracja wobec Października. Postawy polskich środowisk emigracyjnych wobec liberalizacji w PRL w latach 1955–1957*, Warszawa 2001.

Zabić ubowca!

Konrad Białecki, Stanisław Jankowiak, *Poznański Czerwiec 1956. Uwarunkowania, przebieg, konsekwencje*, Instytut Pamięci Narodowej, Instytut Historii UAM, Poznań 2007.

Paulina Codogni, *Rok 1956*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Feliks Dwojak, *Mój Czerwiec 1956. Wspomnienia świadka wydarzeń*, Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW, Warszawa 1981.

Łukasz Jastrząb, *Rozstrzelano moje serce w Poznaniu. Poznański Czerwiec 1956 r. – straty osobowe i ich analiza*, Comandor, Poznań 2006.

Joanna Kałużna, *W opozycji do mitu i o micie opozycji. Analiza polaryzacji stanowisk i ocen dotyczących Poznańskiego Czerwca '56, czyli rzecz o strajku na tle ekonomiczno-socjalnym i zamieszkach zbrojnych o charakterze politycznym oraz o antykomunistycznym powstaniu i ofiarach totalitarnego systemu*, „Refleksje, Pismo Naukowe Studentów i Doktorantów WNPiD UAM”, nr 2/2011.

Paweł Machcewicz, *Polski rok 1956*, Mówią Wieki, Warszawa 1993.

Edmund Makowski, *Poznański Czerwiec 1956. Pierwszy bunt społeczeństwa w PRL*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2006.

Krzysztof Szwagrzyk (red.), *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, t. I 1944–1956, IPN, Warszawa 2004.

Stanisław Marat, Jacek Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki. Dokumentacja czasu bezprawia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.

Ryszard Terlecki, *Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944–1990*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.

Grzegorz Majchrzak, Andrzej Paczkowski (red.), *Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1953–1954*, IPN, Warszawa 2004.

Grzegorz Majchrzak, Andrzej Paczkowski (red.), *Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1954–1956*, IPN, Warszawa 2011.

Był jazz i krawaty w „girlsy”

Stefan Bratkowski (red.), *Październik 1956. Pierwszy wyłom w systemie*, Warszawa 1996.

Krzysztof Brodacki, *Historia jazzu w Polsce*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 2010.

Maciej Chłopek, *Bikiniarze. Pierwsza polska subkultura*, Wydawnictwo Akademickie Żak, Warszawa 2005.

Stanisław Danielewicz, *Jazzowisko Trójmiasta. Historia jazzu w Gdańsku, Gdyni i Sopocie 1945–2010*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 2011.

Marek Hendrykowski, *Komeda*, Wydawnictwo Miejskie w Poznaniu, Poznań 2009.

Zofia Komiedowa-Trzcińska, *Nietakty. Mój czas, mój jazz*, Wydawnictwo Szelest, Warszawa 2015.

Mirosław Pęczak, *Mały słownik subkultur młodzieżowych*, Semper, Warszawa 1992.

Cezary Prasek, *Złota młodzież PRL*, Bellona, Warszawa 2010.

Cezary Prasek, *Życie towarzyskie w PRL*, Bellona, Warszawa 2011.

Jerzy Radliński, *Obywatel Jazz*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1967.

Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, Res Publica, Warszawa 1989.

Mariusz Urbanek, *Zły Tyrmand*, Iskry, Warszawa 2007.

Roman Waschko, *Jazz od frontu i od kuchni*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1962.

„Wiesław”, towarzysz z odchyleniem

Stefan Bratkowski (red.), *Październik 1956. Pierwszy wyłom w systemie*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1996.

Paulina Codogni, *Rok 1956*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, t. 4, Czytelnik, Warszawa 1988.

Jerzy Eisler, *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2014.

Krystyna Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1945–1948*, SAWW, Poznań 1990.

Jacek Kuroń, *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

Paweł Machcewicz, *Polski rok 1956*, Mówią Wieki, Warszawa 1993.

Paweł Machcewicz, *Władysław Gomułka*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.

Piotr Nehring, *Awantura z Chruszczowem*, „Ale Historia” nr 42, 19.10.2015.

Jan Józef Szczepański, *Dziennik, tom 1, 1945–1956*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015.

Robert Spałek, *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956*, IPN, Zysk i S-ka, Poznań 2014.

Ryszard Strzelecki-Gomułka, Eleonora Salwa-Syzdek, *Między realizmem a utopią. Władysław Gomułka we wspomnieniach syna*, Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2003.

Joanna Szymoniczek, Eugeniusz Cezary Król (red.), *Rok 1956 w Polsce i jego rezonans w Europie*, PAN, Warszawa 2009.

Teresa Torańska, *Oni*, Iskry, Warszawa 2004.

Z Węgier przywiozłam sobie męża

Paulina Codogni, *Rok 1956*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Janusz Karwat, Janos Tischler, *Poznań – Budapeszt*, Media Rodzina, Poznań 2006.

Bydgoszcz miała listopad

Wojciech Borakiewicz, *Poznań miał Czerwiec '56, Bydgoszcz – Listopad '56*, „Gazeta Wyborcza”, 18.11.2015.

Włodzimierz Kalicki, *18 listopada 1956. Kino akcji*, „Gazeta Wyborcza”, 21.11.2010.

Paweł Machcewicz, *Polski rok 1956*, Mówią Wieki, Warszawa 1993.

A. Paczoska-Hauke (red.), *Przełom po przełomie. Bydgoskie wydarzenia roku 1956*, Urząd Miasta, Bydgoszcz 2006.

Stefan Pastuszewski, *Bydgoski Listopad 1956*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1996.

Widziałeś, jak mi Hłasko dał w zęby?

Justyna Błazejowska, *Żarty z misia*, „Biuletyn IPN” nr 7, lipiec 2008.

Izabella Cywińska, *Dziewczyna z kamienia*, Agora, Warszawa 2016.

Andrzej Czyżewski, *Piękny dwudziestoletni. Biografia Marka Hłaski*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2012.

Małgorzata Fidelis, *Kobiety, komunizm i industrializacja w powojennej*

Polsce, W.A.B., Warszawa 2015.

Jerzy S. Majewski, *Warszawa śladami PRL-u*, Agora, Warszawa 2011.

Barbara Nawratowicz, *Piwnica pod Baranami. Fenomen w kulturze PRL*, Petrus, Kraków 2012.

Ernest Skalski, *Był karnawał*, „Gazeta Wyborcza” nr 253, 29.10.2001.

Paweł Smoleński, *Bida musi pofolgować, czyli na Szlaku Hańby*, „Gazeta Wyborcza” nr 119, 22.05.2009.

Barbara Stanisławczyk, *Miłosne gry Marka Hłaski*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

Zofia Turowska, *Agnieszka. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.

Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, Res Publica, Warszawa 1989.

Jerzy Urban (oprac.), *„Po Prostu” 1955–1956. Wybór artykułów*, Iskry, Warszawa 1956.

Mariusz Urbanek, *Kisiel*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

Mariusz Urbanek, *Zły Tyrmand*, Iskry, Warszawa 2007.

Prawda w żartach zawarta. Z Janem Pietrzakiem rozmawia Patrycja Gruszyńska-Ruman, „Biuletyn IPN” nr 7, lipiec 2008.

Mariusz Zawodniak, Piotr Zwierzchowski (red.), *Październik 1956 w literaturze i filmie*, Wyd. Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2010.

Indeks

Odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki.

- Abramow-Newerly Jarosław 425
Adamiecka Hanna 364
Adamuszek Adam 400
Adamski Stanisław 317
Adamski Wiesław 209
Albrecht Jerzy 289
Alster Antoni 236, 292
Ambroziewicz Jerzy 110, 114, 116-117, 119-126, 129-130, 138, 437
Amicis Edmondo De 402
Anders Władysław 52, 196, 322
Andropow Jurij 354
Andrzejewski Jerzy 91-92, 134, 412, 415
Arlaud Rodolphe-Maurice 44
- Bach Jan Sebastian 268
Badyda Cyryl 184
Balcerak Józef 260-261
Banasiak Aleksandra 151, 155-156, 159-162, 164-165, 168-170, 174, 176-177,
179-182, 184, 435
Banasiak Leon 155
Bandurski Wacław 87
Bardot Brigitte 413
Barrault Jean-Louis 424
Bartoszewski Władysław 41, 58
Bazylczuk Eryk 346-347
Beckett Samuel 39, 261, 430
Bem Józef 346, 363
Ben Philippe 192

Bensch Teodor 398
Berezowska Teresa 41
Bergman Ingmar 44
Berkowicz Andrzej 138, 209
Berkowski Zdzisław 390
Berman Jakub 297
Biczycki Jan 423
Białowąs Ludmiła 286
Bielak Ignacy 383
Bieńkowski Władysław 317, 337
Bierut Bolesław 11-12, 23, 75, 82-83, 85, 101, 103, 135, 227, 228, 285-287, 291,
314, 321, 330, 405-406, 424, 426-427, 437, 439
Błońska Maria 342
Bogusławska Wanda 418
Bohlen Charles E. 252
Bojarski Aleksander 10, 435
Bordziłowski Jerzy 162
Borkowicz Leonard 21-23, 42
Borowski Józef 377, 379-380, 382-384, 386, 389-391, 393-395, 435
Borstern Janusz 340
Brandt Józef 216
Brandys Kazimierz 90-92, 134, 402
Bratkowska Anna 110, 138
Bratkowski Stefan 108, 139, 435
Braun Andrzej 92
Brecht Bertolt 423
Breżniew Leonid 329
Brik Lila 426
Brodacki Krystian 248, 252, 262, 273
Brom Gustav 251
Broniewski Władysław 87
Broz-Tito Josip 362
Brubeck Dave 248

Bryll Ernest 116
Brystiger Julia 235
Brzechwa Jan 95
Buczowski Leonard 25
Buñuel Luis 45
Burman Dave 242, 265, 267
Bzdiona Bolesław 279

Camus Albert 97, 261
Cat-Mackiewicz Stanisław 93, 187, 438
Cestari Bruno 145
Chacian, funkcjonariusz UB 188
Chałasiński Józef 179
Chciuk-Celt Ewa 201, 203-205, 209-210, 435
Chciuk-Celt Tadeusz 201, 203, 205
Chełmoński Józef 216
Chełstowski Stanisław 107, 113, 131
Chimczak Eugeniusz 400
Chojecki Maksymilian 67
Chriakow Aleksander 277
Chruszczow Nikita 10, 23, 51, 85, 113-114, 136, 196-197, 200, 228, 257, 287, 291,
298, 300-307, 311, 321, 323, 333, 337, 344, 354, 367, 392, 437, 439
Chudzyński Janusz 138
Churchill Winston 298
Cieśliński Ireneusz 158-159, 163, 165, 169-170
Ciołkosz Adam 196
Ciuba Jan 123
Clooney Rosemary 261
Cocteau Jean 44
Codogni Paulina 299, 440
Coltrane John 248
Conover Willis 252
Consolini Adolfo 215

Cooper Gary 409
Cybulski Zbigniew 23, 417, 419, 423
Cyrankiewicz Józef 15, 131, 142, 148, 176-177, 197, 214, 239, 290, 295, 299, 305,
307, 439
Cywińska Izabella 417-419, 435
Czereucho Bolesław 279
Czyński Jan 123
Czyżewski Andrzej 415

Ćwiertnia Jerzy 113

Dameron Tadd 248
Damrosz Ryszard 260
Danielewicz Stanisław 267, 272
Daszewski Władysław 87
Davis Miles 248
Dąbrowska Maria 93, 95, 257, 323-324, 402
Dąbrowski Witold 425
Dietrich Marlena 411
Dobraczyński Jan 419
Dolata Stefan 145
Doliński Bernard 390
Dostojewski Fiodor 134
Drachal Marian 52
Dumitrescu Constantin 145
Duńska-Krzesińska Elżbieta 373
Dusza Józef 13, 228, 231, 400
Dutkiewicz Kazimierz 168
Dwojak Feliks 231-232, 237
Dworakowski Władysław 228
Dyगत Stanisław 134
Dymsza Adolf 375
Dzierżyński Feliks 302
Dzierżyński Jan F. 302, 304-305

Dzięgielewski Zdzisław 380, 383-384, 387-391, 393-395, 435
Dzitko Zdzisław 358, 366

Eile Marian 430
Eisler Jerzy 299-300, 311, 315, 330
Ellington Duke 248
Engels Fryderyk 260
Englert Andrzej 35
Englert Jan 33-36, 38, 48-49, 435
Englert Maciej 33
Estreicher Karol 89-90

Faulkner William 261
Fedorowicz Jacek 108, 424
Fejgin Anatol 122, 225, 227, 229, 326, 400, 438
Felczak Wacław 204
Fibak Jan Franciszek 185
Fibak Wojciech 185
Fidelski Roman 438
Fidorek Michał 217
Foltynowicz Józef 222-224, 332
Ford Aleksander 22, 39
Franco Francisco 382
Frąckowiak Franciszek 148
Fredericksen Don 26, 28, 46
Frey-Bielecki Jan 300, 323

Galik Ludwik 187
Gargała Stanisław 14
Garner Erroll 248
Gerő Ernő 345, 354, 357-358
Gerson Wojciech 216
Getz Stan 248
Gierałowski Tomasz 217

Gierek Edward 177, 303, 328-329, 331
Gieryski Aleksander 216
Gillespie Dizzy 248
Ginter Roman 376
Glaneau René (Roman Środa) 260
Gliński Wieńczysław 25, 216
Gładysz Andrzej 180
Głowacki Janusz 409-410, 414-415
Godek Włodzimierz 113, 123, 126, 128-129, 131, 138
Golde Hanna 415
Goliński Zdzisław 234
Gołąb Stanisław 390
Gombrowicz Witold 93
Gomulicki Wiktor 402
Gomułka Kunegunda 283
Gomułka Władysław 10-11, 33, 38, 46, 58, 68, 77, 97, 110, 120, 134, 136, 138-141, 181, 184, 197, 199-200, 209-210, 228, 233, 235, 239, 261, 263, 274, 281, 283, 285-309, 311-315, 317-324, 326-331, 333-336, 245, 367, 376-377, 379, 389, 391, 393, 427, 433, 437-440
Gomułka Zofia 283
Gonczarski Egon 138
Goodman Benny 261
Göring Hermann 135
Gościmińska Wanda 419
Gozdecki Tadeusz 383-384, 390
Goździk Lechosław 308, 310, 334
Górny Andrzej 164
Górska Beata 72
Górska (z d. Stypińska) Danuta 71-72
Górska Hanna 72
Górski Andrzej 72
Górski Jan 65, 67-72, 79, 435
Granatowicz Józef 151, 159, 160-161, 163, 175-176

Gréco Juliette 430
Greiser Arthur 179
Groń-Gąsienica Franciszek 50
Gruenspan Paweł 242, 265
Grynberg Henryk 412, 414
Grzegorzewicz Michał 179, 181
Grzelak Zdzisław 113, 123-126
Grzewiński Jerzy 242, 251, 265
Grzywacz Marta 415
Gulcz Tadeusz 382, 389
Guluk, z angielskiego wywiadu 52
Gwiazdowski Tadeusz 216

Hajdasz Jolanta 200
Hála Kamil 271
Hampton Lionel 248
Handke Waldemar 59, 62
Hantos Edit 357
Hartman, funkcjonariusz UB 188
Hawkins Coleman 248
Hegedüs András 354, 357
Hejmowski Stanisław 170, 179-182
Hemingway Ernest 97, 134, 261
Hendrykowska Małgorzata 185
Hendrykowski Marek 26, 28, 40-41, 46, 248-249, 270
Hepburn Audrey 409
Hitler Adolf 52, 67, 319
Hłasko Marek 23, 92, 112-113, 134, 258, 412-416, 419
Holoubek Gustaw 25
Hołubowski Henryk 223

Ionesco Eugène 39, 261
Ipohorska Janina 430
Iredyński Ireneusz 415, 418

Iwaszkiewicz Jarosław 97, 257
Izdebny Zygmunt 158, 177, 219-224, 239, 332, 439
Iżewska Teresa 23, 44, 216

Jackiewicz Aleksander 41
Jackson Milton 248
Jagiełło Franciszek 187
Jakubowska Wanda 39
Jakubowski Franciszek 224
Janczar Tadeusz 23, 30, 36, 41, 44, 216
Janicki Czesław 42
Jarecki Andrzej 424-425
Jarosz Rajmund 428
Jaroszewicz Piotr 120
Jasieński Brunon 87, 134
Jastrun Mieczysław 89-90, 95
Jaszczuk Tadeusz 113
Jaworski, działacz ZMP 260
Jędra Jan 52
Jędrusik Kalina 23, 283
Jop Franciszek 398
Józwiak Franciszek 289, 298, 303

Kaczmarek Czesław 317
Kaczmarek Gerard 61
Kaczyński Lech 65, 185
Kaczyński Maksymilian 390
Kádár János 344, 358, 362, 366-367, 371
Kafka Franz 134, 261
Kaganowicz Łazar 301, 303, 333
Kaleta Eugeniusz 278
Kálmán Imre 343
Kalwiński Stanisław 242, 265
Kamiński Aleksander 86, 401-402, 440

Karewicz Emil 25-26, 41, 216
Karoń Henryk 149, 151, 156, 158, 160-162, 167, 169-170, 172, 175-176, 180, 184-185, 435
Karoń Jacek 185, 435
Kaskiewicz Jerzy 13, 228, 231, 400
Kasman Leon 289
Kasprzak Antoni 278
Kawalerowicz Jerzy 22, 39, 47
Kern Ludwik Jerzy 430
Kędziora Jerzy 13, 228
Kiepusza Jan 411
Kieras Jan 13, 228, 231
Kierzkowski Kazimierz 340
Kijowski Andrzej 85
Kim Ir Sen 375
Kirchmayer Jerzy Maria 67
Kisielewski Stefan 267, 270-271, 273, 326
Kleniewska Halina 51
Klimek Stanisław 225
Kliszko Zenon 287, 296-297, 302, 317, 333, 337, 439
Kłosiewicz Wiktor 289-290
Kmieciak Stanisław 15
Kobiela Bogumił 424
Kochański, adwokat 390
Kocięcka Wanda 171
Koczałkas Jan 398
Kolombet Mikołaj 145
Kołakowski Leszek 134, 430
Komar Wacław 300
Komeda-Trzcńska Zofia 252, 267-268, 431
Komeda-Trzcński Krzysztof 248, 251-252, 263, 265, 267-268, 270-274, 431
Kominek Bolesław 398
Konecki Józef 167

Konieczna Zagremma 18
Konieczny Adam 18
Konieczny Marian 18
Koniew Iwan 10, 301, 357
Konwicki Tadeusz 17, 19, 22-23, 39, 45, 47, 134, 257
Kopácsi Sándor 354, 357
Korczyński Grzegorz 287, 290
Korczyński Jerzy 287
Korzeniowski Adam 298
Kosik Ryszard 389
Kosiński Jerzy 262
Kossak Jerzy 131
Kossak-Szczucka Zofia 207
Kossuth Lajos 348, 351
Kostrzewa Marian 15
Koszuda Teresa 375
Kotarbiński Tadeusz 134
Koterbska Maria 100
Kotowski Stanisław 400
Kott Jan 86
Kowalik E., funkcjonariusz UB 188
Kowalska Anna 90-91, 93, 95
Kowalski Stefan 339, 348, 366
Kowalski Władysław 187, 241
Kozior Jerzy 187
Kozłowska Aleksandra 161, 165, 168
Krak Eustachy 399, 401
Krasucki Eryk 89
Kraśko Wincenty 148
Krenz Jan 26
Królak Stanisław 143-145
Kruczkowski Leon 87, 90, 95
Krzeczunowicz Andrzej 191-192, 195-197, 199-200, 210, 435

Krzesiak Antoni 52
Kubas Zbigniew 124
Kubiak Marian 161-162, 185
Kuczyński Janusz 113
Kujanek Gerard 179
Kukulski Józef 375
Kulas Janusz 180, 439
Kurczewski Alfred 399, 401
Kuroń Jacek 310, 312, 423
Kurylewicz Andrzej 241-242, 365, 368, 431
Kuszewski Marek 399, 425
Kutschera Franz 18, 35, 240
Kutz Kazimierz 26-32, 36, 39-40, 47-48, 435
Kuźniak Józef 222
Kwapień Tadeusz 15
Kwinta Tadeusz 428, 430

Lachcik Roman 276
Lasota Eligiusz 107, 110, 113, 117-119, 121-122, 129, 133-136, 138
Latosiński Leszek 384
Lehár Franz 343
Lenin Włodzimierz 81, 392
Lentz Stanisław 216
Lewandowski Tadeusz 390
Lewis John Aaron 248
Ligowski Zdzisław 389-391
Lipiński Eryk 258
Lipman Jerzy 26, 30, 32, 216
Lipski Jan Józef 113
Liszewska (z d. Ładyńska) Barbara 339-340, 347
Liszewski Edward 342-343, 345-352, 354-369, 435
Loga-Sowiński Ignacy 287, 296-297

Łobodowski Józef 382

Łopieńska Barbara N. 131

Łukaszewski Józef 278

Łukiewski Michał 217

Machcewicz Paweł 318, 322-323, 392

Macikowska Helena 15

Malenkow Georgij 196

Maléter Pál 355, 358, 367

Malinowski Zbigniew 340

Mann Roman 26, 29

Marciniak Józef 58-59

Marciniak Waldemar 390

Marczewski Bolesław 14, 435

Marek Krystyna 196

Mariano Charlie 248

Marks Karol 138, 260

Markuszewski Jerzy 425

Masłowski Józef 260

Matejko Jan 216

Mateuszuk Ludwik 145

Matuszkiewicz Jerzy 241, 246, 258, 265, 431

Matwin Władysław 290, 298

Matyja Stanisław 239, 438

Mauriac François 97

Mazowiecki Tadeusz 324, 417

Mazur Franciszek 229, 298, 438, 440

Mazur Marian 400

Mazur Zdzisław 123, 125

Mazurek Edward 375

Mendel Irena 61-62, 435

Mikojan Anastas 301-303, 305, 333

Mikołajczyk Stanisław 67, 116, 148, 196, 203, 305

Mikulski Stanisław 25-26, 29, 49

Miler Helena 52-53
Miler Jan 52-53
Milian Jerzy 248, 249
Miller Glenn 261
Miłosz Czesław 87, 91
Minc Hilary 296-297, 439
Mindszenty József 357
Misiurski Jan 13, 228
Missalowa Gryzelda 118
Moczarski Kazimierz 57, 399-401, 438
Modzelewska Zofia 100
Molenda Jerzy 175
Mołojec Bolesław 320
Mołotow Wiaczesław 169, 301, 303, 333
Monk Thelonious 248
Morawski Jerzy 119, 289-290, 295, 298, 303
Morel Salomon 62
Moreno Carmen 51, 260
Moreno Paulina 260
Morgenstern Janusz 19, 26, 33, 36, 49
Mrożek Sławomir 430
Mularczyk Andrzej 268
Mulligan Gerry 248, 270
Munk Andrzej 19, 47
Muś Włodzimierz 300

Nagy Imre 337, 344, 346, 348, 351-352, 355, 357-358, 361-362, 367
Namotkiewicz Walery 114, 116-117, 119-122, 292, 437
Nawratowicz Barbara 428, 430-431
Nikkinen Soini 215
Nowak Zenon 133, 289, 291, 298, 303, 438
Nowak-Jeziorański Jan 47, 108, 192, 195-197, 199-201, 205, 209-210
Nowakowski Marek 412

Nowakowski Zygmunt 249
Nowicki Edmund 398
Nowotko Marcei 320, 332
Nyman, kolarz fiński 145

Ochab Edward 10, 91, 148, 242, 278, 289-290, 292-293, 295-296, 298-304, 307-308, 377, 437, 439
Olczak-Ronikier Joanna 430
Olszewska, ze spółdzielni produkcyjnej w Jackowicach 83
Olszewski Jan 107, 113-114, 116-123, 126, 131-132, 138, 141, 435, 437
Omasta Jan 398
Orłowski, z KMI w Brzozowie 125
Orwell George 95
Osiecka Agnieszka 420, 424-426
Osmańczyk Edmund 119, 235
Osóbka-Morawski Edward 234, 291
Ossowska Maria 134
Ossowski Stanisław 134

Paczkowski Andrzej 57, 440
Parker Charlie 248
Pastuszewski Stefan 376-377, 379, 390, 393, 395, 435
Paszkowski Zbigniew 304
Pawlas Zygmunt 399
Pawłowska Zofia 163
Pawłowski Jerzy 399
Perlman Marek 108
Peterson Oscar 248
Petőfi Sándor 339, 344, 348
Pęczak Mirosław 255
Piasecki Bolesław 204
Piątkowski Andrzej 399
Picasso Pablo 411, 430
Pilarski, prof. AM w Poznaniu 71

Pludra Stanisław 248
Płaskocieński Stanisław 52
Polański Roman 45, 412
Połomski Bronisław 390
Pomian Krzysztof 201
Ponomarienko Pantelejmon 298
Popławski Stanisław 162, 172
Prasek Cezary 427
Proszowski Stanisław 188
Przyboś Julian 89-90, 95
Przybylska Sława 423
Przybył, funkcjonariusz UB 170
Pstrowski Wincenty 430
Pszczółkowski Edmund 188, 228, 236
Ptasiński Jan 230, 237
Putrament Jerzy 90

Radkiewicz Stanisław 122, 227
Rafalska Dominika 117
Rajk László 343
Rákosi Mátyás 343-344, 348, 351
Rakowski Mieczysław F. 134-135, 141
Ratajczak Ryszard 389-390
Raże Józef 276
Rączka Marian 58-59, 61-62
Rekowski, inżynier 101
Rezler János 357
Rodakowski Henryk 216
Rogala Jan 65
Rogiewicz Franciszek 375
Rogiński Giedymin 59
Rokossowski Konstanty 263, 298-299, 301, 303, 314, 319, 323, 439-440
Rola-Żymierski Michał 437

Roman Andrzej 413
Romkowski Roman 122, 229, 326, 400, 438
Rozłubirski Edwin 121, 292
Rożyn Igor 277
Różański Józef 122, 225, 227, 239, 326, 400
Rudniew Lew 277
Rusinek Michał 95
Russell Bertrand 134
Rut Tadeusz 373
Rybacki Marian 65
Rykowski Zbysław 136

Sagan Françoise 430
Saint-Exupéry Antoine de 261
Sandauer Artur 90, 92
Sartre Jean-Paul 39, 134, 261, 430
Sawicki, z KMI w Brzozowie 125
Schiller Leon 87
Schoenbrennerowa Janina 118
Schulz Bruno 93
Serwiński Stanisław 390
Sheybal Władysław 25, 216
Sidło Janusz 215
Sienkiewicz Henryk 402
Sierecki Sławomir 266
Sikorski Kazimierz 63
Skalski Ernest 67, 253, 405, 407-409, 411-414, 419-420, 423, 427-428, 433, 435
Skalski Stanisław 437
Skarbek, z KMI w Brzozowie 125
Skarżyńska Lidia 430
Skarżyński Jerzy 430
Skibiński Franciszek 67
Skolimowski Jerzy 263, 268

Skroński Jacek 340, 464, 366
Skrzynecki Piotr 430-431
Słonimski Antoni 87, 89-91, 95, 97, 398, 420, 437, 440
Smoleński Paweł 141, 409, 414
Smuglewicz Franciszek 216
Smyczyński Alojzy 65
Sobolewski Tadeusz 47
Sokołowski ze wsi Ruda 52
Sokorski Włodzimierz 86, 90
Solska Alicja 120
Sosnowski Władysław 242, 265
Spałek Robert 318
Spychalski Marian 233, 235, 296, 302, 314, 323, 333, 437, 439-440
Sroka Jerzy 222-224, 332
Srokowski Jerzy 420
Stachowiak Jan 61-63
Stachura Edward 414
Stalin Józef 11, 22-23, 28, 46, 59, 81, 85, 113-114, 116, 135, 196, 228, 257, 263,
285, 287, 291, 296, 298, 314, 324, 344, 422, 424, 437
Stande Stanisław Ryszard 87
Stanisławski Jan Tadeusz 427
Starski Ludwik 21-22
Stasiak Leon 148
Staszewski Stefan 292, 311
Stawiński Jerzy Stefan 17, 19, 21-23, 42, 44, 216
Steinbeck John 196
Stolarz Józef 248
Stolzmann Zdzisław 71
Strażewski Wsiewołod 372
Strzałkowska Anna 167
Strzałkowski Roman 165, 167, 181-182
Strzelecka-Gomułka Hanna 281, 283, 320, 435
Strzelecka-Gomułka Ludmiła 286

Strzelecki-Gomułka Ryszard 281, 283, 285-287, 290, 292-293, 296, 311, 320,
322, 328-330, 435
Suwara Ryszard 145
Szanter Stanisław 41
Szczepaniak Józef 59, 61
Szczepański Jan 179
Szczepański Jan Józef 45, 92, 307, 314
Szczurkiewicz Tadeusz 179
Szepiłow Dmitrij 403
Szerer Mieczysław 400
Szlachcic Franciszek 235, 329
Szot Stanisław 52
Sztachelski Jerzy 175
Szulewski Marian 145
Szydełko Ludwik 14
Szymaniak Marek 394-395, 435
Szymańska (zd. Wołk) Adela 64
Szymańska Ewa 131
Szymański Kazimierz 55, 58-62, 64-65, 345
Szymański Stefan 58, 62
Syndler-Głowacki Wiesław 209

Ścibor-Rylski Aleksander 92
Śliwiński Bolesław 165, 167, 169-170, 180
Śliwonik Roman 413
Światło Józef 68, 135, 192, 225, 227, 326
Świerczewski Karol 72, 336

Tatar Stanisław 285
Tatarewicz Lusja 175
Tatum Art. 248
Taub Ignacy 416
Toeplitz Krzysztof Teodor 22
Torańska Teresa 293, 301, 308, 311

Trościanko Wiktor 199
Trzaskowski Andrzej 431
Turowicz Jerzy 324
Turski Ryszard 110, 118-119, 126, 128-130, 133, 135-136, 137
Tylmanowski 15
Tyrmand Leopold 134, 255-256-258, 260, 262-263, 273, 275, 410, 412

Urban Jerzy 103-107, 110, 113, 116-120, 126, 128-131, 133, 135, 138-139, 141,
415-417, 435
Urbanek Mariusz 257-258
Urbaniak, robotnik z FSO na Żeraniu 51
Uziembło Adam 400

Wajda Andrzej 11, 19-26, 28-30, 32-33, 35-36, 39-42, 44-48, 216, 420, 435
Walasek Jan 51
Walicki Franciszek 262, 266-267
Walkowiak Andrzej 394
Wańkiewicz Melchior 93, 207
Warmiński Emil 380
Wążyk Adam 90
Wąsik Józef 52
Wąsik Zygmunt 30
Wechmann Zenon 72-78, 435
Wenderski Leon 65
Wenzłowa Helena 65
Werblan Andrzej 283, 286, 291, 297, 307, 315, 319-320, 328, 330-331, 435
Węgliński Zdzisław 69
Wichary Zygmunt 268
Wiechecki Stefan 245
Wierzyński Kazimierz 93
Wiktorowicz Tadeusz 145
Wilczewski Bolesław 217
Wilczyński Tomasz 398
Willman Adam 346

Wiłkomirska Wanda 135
Wirpsza Witold 89, 113, 138
Wiśniewska Ewa 36
Wiśniewski Antoni 163-164
Wiśniewski Jan 299, 323
Wiśniowski Ryszard 129-130
Witaszewski Kazimierz 91
Witczak Zbigniew 390
Witkiewicz Stanisław Ignacy 93, 134
Wizna, prof. AM w Poznaniu 71
Władyka Wiesław 136
Wojtyła Karol 431
Woroszyński Wiktor 90, 92, 136, 364
Wójcik Jerzy 26
Wójtowicz Kazimierz 145
Wróblewski Jan „Ptaszyn” 246-249, 251, 262-263, 267-268, 271, 273-275, 431,
435
Wyczółkowski Leon 216
Wygodzki Stanisław 92
Wyka Kazimierz 90
Wyspiański Stanisław 181
Wyszyński Stefan 58, 204, 315-317, 337, 439-440

Young Lester 248

Zabiegliński Janusz 423
Zabłocki Wojciech 399
Zachwatowicz Krystyna 46
Zahorski Lech 90
Zajac Franciszek 145
Zakrzewski Bernard 121
Zambrowski Antoni 270, 314
Zambrowski Roman 289-290, 295, 302, 304, 312
Zapert Zbigniew 267

Zarzycki Jerzy 21
Zawadzki Aleksander 289-290, 293, 299, 372
Zbozeń Janusz 398
Zengier Stanisław 377
Zięba, przewodniczący ZMP w Brzozowie 124
Zimand Roman 110, 131
Zrałek Krzysztof 431
Zub Ryszard 399
Zych Ludwik 67
Zylber Jan 248

Żdanow Andriej 87, 89
Żeromski Stefan 257
Żółkiewski Stefan 90
Żukow Georgij 413
Żurek Kazimierz 223-224, 332